

Barclay Tessa

Nieodrodna córka

1

Gdyby tego spokojnego niedzielnego wieczora dowiedzieli się, że cały ich świat legnie nagle w gruzach, jedyną ich reakcją byłoby niedowierzenie.

Ogień palił się równym czerwonym płomieniem na żelaznym palenisku. Pokój pogrążony był w półmroku, tylko stolik brydżowy, przy którym Lindon Tregarvon odniósł swój triumf oświetlało przytłumione światło.

Udało mu się wygrać z własną córką i jej partnerem.

Erica była wyraźnie poirytowana i zła na narzeczonego; aż dziw, że tak słabo chwytal taktykę gry. Pomyślała, że jeśli Gerald zamierza zrobić karierę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, będzie musiał nauczyć się szybkiej orientacji i nabrać wyczucia.

Żadne z nich nie zwróciło uwagi na daleki brzęk dzwonka u drzwi wejściowych. Przecież nikomu ze znajomych nie przyszłoby do głowy pojawiać się znienacka w niedzielny wieczór po kolacji i w dodatku w mroźny styczniowy dzień. Hurrock odprawi z pewnością nieproszonego gościa.

- Nasza wygrana, moja droga partnerko - powiedział Tregarvon przesyłając uśmiech żonie.

Amy zapisała wynik w notatniku brydżowym.

- Tak, myślę, że ten rober należy do nas - potwierdziła marszcząc brwi nad obliczeniami. - Erico, jesteś nam winna czternaście szylingów.

- Gerald zapłaci - odparła córka grożąc narzeczonemu palcem. - To jego wina.

- Czternaście szylingów! Jak mogłem dać się wciągnąć do gry w jaskini piratów!

Jego okrzyk wywołał oczekiwane rozbawienie i wszyscy mieli jeszcze uśmiech na ustach, gdy do pokoju wszedł Hurrock. Zbliżył się do swego chlebowdawcy, pochylił głowę i szepnął mu coś do ucha.

1

- Niemożliwe - obruszył się Tregarvon. Na jego twarzy o zdrowej, gładkiej cerze pojawił się wyraz zakłopotania. - Powiedz im, żeby przyszedli kiedy indziej...

Hurrock szepnął coś w odpowiedzi. Ericę wydało się, że dosłyszała słowo „nalegają”...

Nalegają? Któż ośmieliłby się „nalegać”, zakłócać spokój niedzielnego wieczoru kogoś tak ważnego jak Lindon Tregarvon? Zaciekawilo ją to na chwilę, ale ojciec wzruszył ramionami i wstał.

- Jak trzeba, to trzeba - powiedział. - Rozdaj, kochanie, zaraz wracam.

Amy Tregarvon zebrała karty, potasowała talię i zaczęła rozdawać. Nie zwróciła większej uwagi na niedawny incydent, pochłonięta arcyważną kwestią dalszych losów gry.

Za oknami, na Park Lane, samochody mknęły z cichym świstem opon po przyprószonej śniegiem jezdni, miniaturowe drzewka laurowe u drzwi wejściowych ustroiły się w białe czapy, a balustrady balkonów pokryła warstwa szronu. Zimny, mroźny wieczór. Ale w domu panowała atmosfera ciepła i spokoju - ciężkie zasłony z ciemnobłękitnego aksamitu chroniły przed zimnymi podmuchami, gruby dywan w tym samym kolorze przydawał wnętrzu przytulności, intarsjowany orzechowy stolik do gry Hepplewhite i stojąca w pobliżu kryształowa karafka z whiskey zachęcały do spędzenia miłego popołudnia w gronie rodzinnym. Półmrok rozświetlały iskierki połyskujących diamentów. Amy Tregarvon miała diamentowe kolczyki w uszach i broszkę w kształcie mewy u wycięcia wieczorowej sukni. Na lewej ręce jej córki lśnił pierścionek zaręczynowy. Naprzeciw Eriki, po drugiej stronie stołu, przystojny mężczyzna w saksońskim typie, mężczyzna, który obdarzył ją owym pierścionkiem, zebrał i ułożył swoje karty, lustrując je poważnym spojrzeniem

- Bez atu - odezwała się matka Eriki.

- Tata będzie zachwycony - powiedziała córka.

- Naprawdę? - odparł jej partner, wyraźnie powstrzymując się od pytania, dlaczego.

- Przy stoliku brydżowym nie prowadzimy pogawędek - upomniała Amy z udaną surowością.

Erica przesłała Geraldowi uśmiech zachęty. W zupełnie niedalekiej przyszłości, kiedy już będą po ślubie, usiądzie z nim któregoś popołudnia przy stoliku karcianym i wprowadzi go w arkana brydża. Prawda, że mało kto traktował grę z takim namaszczeniem, jak Tregarvonowie. Spędzili na niej niezliczone popołudniowe godziny podczas rejsów, w które wyruszali cała rodzina, by ojciec mógł mieć na oku swoją flotyllę statków pasazerskich.

Dzieciństwo Eriki było nietypowe. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo różni się od reszty dziewcząt, z którymi stawiała pierwsze kroki na królewskim dworze, kiedy to wystąpiły jako debiutantki późną wiosną

3

poprzedniego roku. Te inne, córki arystokracji i ziemiaństwa, sędziów i wysokich urzędników państwowych, uczęszczały do elitarnych szkół dla dziewcząt, po czym dopełniały edukacji w szkole dobrych manier w Genewie, Paryżu lub Florencji. W ich pojęciu życie, jakie wiodła Erica, było dziwne, ale fascynujące.

- Byłaś w Nowym Jorku? W Szanghaju? Ależ to fantastyczne... Wiedziała, że uważają ją za dziwaczkę. Miała dwadzieścia lat, czyli

była starsza od większości debiutantek z 1931 roku; nieustanne podróże nie ułatwiały znalezienia właściwej osoby, która patronowałaby jej prezentacji na dworze królewskim. W dodatku nie była typem słodkiej ślicznotki, tak modnym tego roku. Debiutantki uznały ją za „interesującą”, co naprawdę znaczyło: prawdziwą pięknoscią nie jest. Zgadzały się, że choć ubrana była według kanonu ostatniej mody, jej wyraźnie zarysowane kształty nie wyglądały najlepiej w długiej, prostej sukni wylansowanej przez Patou. Gęste włosy, obcięte niezbyt krótko „na pazia”, lśniły bogatym brązem, orzechowe oczy ze złotymi cętkami były wspaniałe - chociaż pojawiał się w nich nierzadko wyraz zniecierpliwienia, gdy słuchała szczebiotów eleganckich panienek.

Słowem, robiła na nich wrażenie, ale ich nie pociągała. Nie zaprzyjaźniła się bliżej z żadną z dziewcząt w trakcie trwania sezonu. A gdy ogłoszono jej zaręczyny z Geraldem Colbertem, debiutantki stwierdziły: „Świetnie się dla niej nadaje. On jest u progu kariery, a ona ma pieniądze; więc on pozwoli sobą rządzić, byle tylko finansowała jego kuce do gry w polo”.

Czekając na powrót ojca do pokoju i podjęcie gry, Erica myślała, że gdyby tylko Gerald grał w brydża równie dobrze jak w polo, ich szczęście małżeńskie byłoby zapewnione.

Ale ojciec nie wracał. Natomiast zza drzwi dały się słyszeć odgłosy sprzeczki. Podniesione głosy, protesty, stłumiony stuk, jakby ktoś przewrócił krzesło.

- A cóż to takiego? - zawołał Gerald, rzucając karty na stół i podnosząc się z miejsca.

- Lindon! - wykrzyknęła matka Eriki, odwracając się ku wejściu.

- Co się tam dzieje? - Erica podeszła szybko do drzwi i otworzyła je zaniepokojona.

Przy jej ojcu stało dwóch wysokich i potężnie zbudowanych mężczyzn. Odnosiło się wrażenie, że niemal go przygniatają. W holu starego, pięknego domu zwieszała się z sufitu lampa z kutego żelaza i w jej żółtawym świetle twarz Lindona Tregarvona sprawiała wrażenie woskowo bladej. Był zaszokowany, ledwie przytomny. Jedno z krzeseł rzeczywiście leżało na podłodze. Hurrock właśnie je podnosił, gdy pojawiła się Erica.

- O co chodzi, panowie? - spytała, próbując stanąć pomiędzy ojcem a jednym z wysokich mężczyzn. - Kim jesteście? Czego chcecie?

7

- Spokojnie, panienko - odparł jeden z nich uspokajająco. - To tylko taka sprawa służbowa...

- W niedzielny wieczór? Jak śmiecie nachodzić nas i...

- Przepraszam, panienko, a pani jest...

- Jestem Erica Tregarvon. Tato, kim są ci panowie? - zwróciła się do ojca.

Ojciec - zawsze spokojny i opanowany - nigdy nie pozostawiał jej pytań bez odpowiedzi. Ale teraz widać było, że został wytrącony z równowagi.

- Ci panowie są z posterunku policji na Snow Hill - powiedział zmienionym głosem, w którym brzmiało napięcie. - Chcą, żebym z nimi poszedł.

- Żeby pan z nimi poszedł? - powtórzył Gerald, który także pojawił się w holu. - Na posterunek policji?

- Myślę, proszę pana, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie pan po prostu z nami - powiedział większy z dwóch potężnych mężczyzn. - Nie ma potrzeby mieszać w to całej rodziny...

- Nie jestem członkiem rodziny - przerwał mu Gerald. - Jestem narzeczonym panny Tregarvon. I może powinienem uprzedzić pana, że pracuję na poważnym stanowisku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i nie podobają mi się policjanci nachodzący przyzwoite domy.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że podkreśla rangę swojej pozycji. Właściwie było to zbędne; zarówno on, jak i Lindon, w wieczorowych strojach o nienagannym kroju i lśniących białą sztywnych gorsach koszul, odróżniali się od policjantów ze Snow Hill, ubranych w tanie, gotowe garnitury i sfatygowane koszule.

Jeden z mężczyzn sięgnął do kieszeni na piersi i wyjąwszy z niej wizytówkę, wyciągnął ją w kierunku Geralda.

- Inspektor Griffiths, ze Snow Hill - przedstawił się. - A to jest sierżant Lowry. Jesteśmy tu w sprawie oficjalnego śledztwa.

- Bez wątpienia - zgodził się Gerald, spuszczając nieco z tonu, gdy usłyszał, kim są policjanci. - Ale nawet jeżeli pan Tregarvon ma wystąpić jako świadek, z pewnością można było wybrać stosowniejszą porę niż niedzielny wieczór...

- Lindon, kochanie, nic nie wspomniałeś, że byłeś świadkiem jakiegoś zdarzenia. - Na pulchnej twarzy Amy malowało się strapienie. - Czy zdarzył się jakiś wypadek? Nie powiedziałeś ani słowa...

- Nie, nie, moja droga, nie było żadnego wypadku, nic z tych rzeczy. Nie mam najmniejszego pojęcia, o co chodzi!

- Jeżeli zechce pan towarzyszyć nam na posterunek, proszę pana...

- Ależ powtarzam, że o niczym nie wiem! Więc nie rozumiem, w jakim celu miałbym...

- Pana obecność, proszę pana, będzie pomocna w prowadzonym przez nas śledztwie.

- Śledztwo, w jakiej sprawie? - spytał Gerald, wyraźnie poruszony tym sformulowaniem.
- Niestety, nie możemy udzielać informacji na ten temat. - Inspektor zwrócił się do Lindona Tregarvona. - Sam pan widzi, proszę pana, że rodzina się denerwuje. Naprawdę lepiej będzie kontynuować tę rozmowę na posterunku...
- Ale jaką rozmowę? Tego właśnie nie rozumiem!
- Wyjaśnimy to panu, ale o wiele wygodniej będzie to zrobić gdzie indziej, proszę pana. Mając dokumentację pod ręką...
- Dokumentację? Jaką dokumentację? I co to ma wspólnego ze mną? Nalegam, żeby panowie wyjaśnili cel swojej wizyty albo opuścili te progi. To niedopuszczalne, takie najście na dom i zagadkowe wzmianki o śledztwie, które mnie zupełnie nie dotyczy!
- O tym właśnie, proszę pana, chcielibyśmy z panem pomówić.
- O czym znowu?
- O tym, jak i dlaczego nasze śledztwo pana dotyczy.
- Ależ nie mogę mieć z tym nic wspólnego. Jeżeli zajmujecie się jakąś zbrodnią czy przestępstwem i podejrzewacie kogoś spośród pracowników Tregarvon Line; powinniście udać się do doków albo do biura.
- Możemy o tym wszystkim porozmawiać na posterunku, proszę pana.
- Nalegam, żeby w sprawie jakichkolwiek oskarżeń skierowanych przeciw członkom moich załóg przyszli panowie jutro do mnie do biura. Wiem, że stale krążą pogłoski o przemyśle, ale Tregarvon Line...
- Nie mamy zamiaru rozmawiać o podejrzeniach dotyczących przemytu, proszę pana.
- Myślę, że sami nie macie najmniejszego pojęcia, o czym chcecie rozmawiać - zawołała Erica w zdenerwowaniu. - Mówicie piąte przez dziesiąte...
- Słusznie, panienko, po prostu wszyscy tracimy czas - przytaknął sierżant Lowry i roześmiał się. Wydawał się bardziej towarzyski niż jego przełożony. - Kobieta zawsze pierwsza zauważy, kiedy mężczyźni zachowują się bez sensu. Ale idzie o to, że posłali nas, żebyśmy przyprowadzili pana Tregarvona na Snow Hill. Nie możemy wrócić bez niego.
- Ale kto, na miły Bóg, chce, żebyśmy stawił się na posterunku?
- Pan nadinspektor, proszę pana. Dostaliśmy rozkaz: „Poproście pana Tregarvona, żeby był tak dobry i pofatygował się z wami na Snow Hill”.

- O Boże, widzę, że to się będzie ciągnęło w nieskończoność - zawołał Lindon, poddając się. - Trudno, pójdę z wami. Ale ostrzegam - będę miał coś do powiedzenia waszym zwierzchnikom na temat sposobu, w jaki wykonujecie ich rozkazy.
- Bardzo nam przykro, proszę pana - odparł sierżant, krzywiąc się lekko i wzruszając ramionami.
- Obawiam się, że to oznacza koniec brydża na dzisiaj - podjął

Lindon, zwracając się do Geralda przeprasza. - Żałuję bardzo, coś za marne zakończenie wieczoru...

- Możemy skończyć po pana powrocie - powiedział Gerald. Inspektor odchrząknął.

- Tak? - spytał Lindon, słusznie interpretując chrząknięcie jako zaprzeczenie.

- Lepiej byłoby, proszę pana, gdyby nie liczył pan na tak rychły powrót do domu, żeby móc skończyć grę w karty.

- Nie liczył na powrót?! - krzyknęła Amy, chwytając męża za rękę - Co pan chce przez to powiedzieć?

- Tyle, proszę pani, że to może trochę potrwać.

- Trochę? Ale jest dopiero dziewiąta trzydzieści. Jeżeli uporacie się z tym, założmy, w godzinę, będziemy mogli dokończyć robra - obstawał przy swoim Gerald.

- Nie sądzę, proszę pana.

Zapadła cisza. Erica poczuła dreszcz na plecach.

- Uważa pan, że to potrwa dłużej? Kilka godzin? - spytał Lindon.

- Co najmniej kilka godzin. Może nawet dłużej.

- Ależ... ależ... - Lindon zamilkł, zebrał się w sobie. - Chce pan powiedzieć, że mogę nie wrócić przed, powiedzmy, północą?

- Najprawdopodobniej, proszę pana. Takie sprawy zwykle się przeciągają.

- W takim razie... - Lindon rozejrzał się. - Hurrock, przynieś mi telefon.

- Do kogo zamierza pan telefonować, jeśli wolno spytać, proszę pana? - odezwał się sierżant Lowry.

- Do mojego osobistego sekretarza. Mam umówione spotkania wcześniej rano, będę musiał je przelożyć.

- Wolalbym, proszę pana, żeby pan do nikogo nie telefonował - powiedział inspektor, zagradzając Hurrockowi drogę.

- Co takiego? Ależ muszę zadzwonić! Jeżeli zamierzacie trzymać mnie na posterunku do samego rana, to nie będę na czas w biurze, a jestem umówiony z Brandsworthe'em, z którym mam omówić sprawę...

- Jestem pewien, że pana sekretarz sam da sobie świetnie radę.

- Niemożliwe! Timothy nie będzie wiedział, jak wyjaśnić Brands-worthowi, a to bardzo ważna osobistość...

- Przykro mi, proszę pana, ale byłoby lepiej, gdyby pan udał się z nami nikogo nie uprzedzając.

- To po prostu oburzające!

Tak, to było oburzające - i przerażające zarazem. Dwóch potężnych mężczyzn pewnych swoich racji; oszołomienie ojca; spojrzenie Geralda wędrujące po ich twarzach... nic podobnego nie spotkało dotąd Eriki w całym jej życiu.

Nie wiedziała, co robić. Na statkach ojca wszystko było tak dobrze

10

zorganizowane, tak starannie obmyślane. Prawie nigdy nie działo się nic złego, wyjąwszy zmiany pogody i stan morza, ale nawet wówczas na statku panował spokój, a sytuację w pełni i świadomie kontrolowała wyszkolona załoga i doświadczony kapitan.

Jednakże teraz, w bezpiecznym jak dotąd własnym domu, Erica poczuła się zagrożona. Podobnych uczuć musiała doświadczać matka. Erica słyszała jej szybki, płytki oddech, który tak często był zwiastunem ataku astmy. Podeszła do Amy, obejmując ją opiekuńczo.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła. - To jakaś absurdalna pomyłka. Tata wróci za godzinę...

Wszyscy podeszli do progu, odprowadzając spojrzeniami Lindona Tregarvone'a, który podążał ośnieżoną ścieżką prowadzoną przez dwóch mężczyzn. Czekal na nich czarny rover. Rzuciwszy im ostatnie zdumione spojrzenie, ojciec Eriki pozwolił zaprosić się do samochodu i odjechał rozjaśnioną blaskiem latarni Park Lane.

Styczeniowy wieczór był naprawdę mroźny i pani Tregarvon drżała z zimna. Lokaj poczekał, aż Erica wprowadzi ją z powrotem do środka, po czym zamknął za nimi drzwi zdecydowanym ruchem, jakby chciał powiedzieć: „Wróćmy do normalności”.

- Proszę zaraz podać gorącą kawę, Hurrock - odezwała się Erica.

- Dobrze, panno Tregarvon.

Taca z kawą pojawiła się prawie natychmiast, co świadczyło o tym, iż kuchnia również została postawiona w stan alarmu. Erica pomyślała, że Hurrock zdążył już podzielić się z resztą służby swoimi wrażeniami.

Kiedy matka przelknęła parę łyków kawy, a Gerald nalął sobie brandy, Erica przeszła do następnej sprawy:

- Ojciec chciał powiadomić o tym wszystkim Timothy'ego. Więc ja to zrobię.

- Ale... kochanie, ci detektywi... powiedzieli, że raczej nie chcą, żeby... Erica wzruszyła ramionami.

- Nie obchodzi mnie, co powiedzieli. Ojciec chciał, żeby Timothy wiedział o tym, więc dam mu znać.

Kiedy podchodziła do drzwi, Gerald zauważył:

- Może nie byłoby od rzeczy zawiadomić jego adwokata. Zatrzymała się i odwróciła głowę; wymienili spojrzenia. Erica bez słowa przeszła do gabinetu.

Musiała poszukać domowy numer Timothy'ego Perrimana. Znała Timothy'ego i była z nim zaprzyjaźniona, ale wyłącznie w kontekście interesów prowadzonych przez ojca. Mieszkał gdzieś w okolicy Maida Vale.

Wykręciła numer i czekała niecierpliwie, słuchając sygnału. Wreszcie uznała, że widocznie nie wrócił jeszcze z weekendu, gdy w słuchawce odezwał się głos.

- Timothy? Timothy, mówi Erica Tregarvon.

- Panna Tregarvon! Co za niespodzianka...

10

- Timothy, zdarzyło się coś okropnego. Do domu przyszli dwaj policjanci i zabrali... zabrali... - ku jej własnemu zdumieniu i przerażeniu głos jej się załamał, a z oczu popłynęły gorące łzy.

Do tej chwili była zbyt pochłonięta próbą zrozumienia tego, co się dzieje, oraz własną reakcją - niedowierzaniem, oburzeniem - by odczuć szok. Teraz doznała tak intensywnego bólu, że niemal ją zamroczyło. Ściany pokoju były jak zamazane i zdawały pochylać ku niej, meble zachwiały się, słuchawka telefonu prawie wyśliznęła się jej z palców i Erica prawie upadła.

- Panno Tregarvon? Co pani powiedziała? Co się stało? Panno Tregarvon, czy pani mnie słyszy?

Odetchnęła głęboko. Przelknęła ślinę. Wolną ręką otarła łzy z oczu.

- Przepraszam. Nagle uderzyło mnie to, jak obuchem w głowę. Myślę, że przedtem nie dotarło... nie dotarło to do mnie w pełni... - opanowała się z wysiłkiem. - Timothy, mojego ojca zabrano na posterunek Snow Hill, gdzie ma pomóc w jakimś śledztwie.

- W śledztwie? Ale w jakiej sprawie?! - wykrzyknął zdumiony Timothy.

- Bóg raczy wiedzieć. Policjanci nie chcieli nic zdradzić. Byli bardzo tajemniczy. Oni tylko... powtarzali, że ojciec musi z nimi iść, a kiedy powiedział, że chce się z tobą porozumieć przed wyjściem, wiesz, ze względu na jutrzejsze spotkania, to po prostu mu nie pozwolili.

- Nie pozwolili? Chce pani powiedzieć, że wręcz...

- Nie, nie, nic mu nie zrobili. Tylko wciąż powtarzali, musi z nimi iść...

- Ale dlaczego?

- Żeby odpowiedzieć na pytania.

- Ale na jakie pytania, panno Tregarvon? - próbował ustalić Timothy podnosząc głos, jakby głośniejszy ton miał zagwarantować jaśniejsze odpowiedzi.

- Nie wiem, Timothy. Jest to absolutnie tajemnicza sprawa. Ojciec był tym wszystkim kompletnie oszołomiony.

- Ale poszedł z nimi?

- Tak. - Wyczuła coś w jego głosie. - Uważasz, że nie powinien był tego zrobić?

Zapadła krótka cisza.

- Myślę, że nie było konieczne zabieranie go na posterunek. To akcja brutalna. I robi bardzo złe wrażenie...

- Jak to?

- No, „pomóc policji w śledztwie”... wie pani, co to zwykle znaczy...

- Nie, nie wiem. Co takiego, Timothy? Nie rozumiem cię.
- Oznacza to... przynajmniej większość ludzi tak uważa... oznacza to, że zatrzymano podejrzanego.
- Podejrzany? Mój ojciec? - Pokój znów zaczął falować. Zmarszczyła brwi, żeby powstrzymać wirujące ściany. - Jak śmiesz tak mówić!

12

- Panno Tregarvon, przecież ja tak nie myślę. Naturalnie, że nie. Ale ludzie będą uważali...
- Nawet im do głowy nie przyjdzie powiedzieć coś podobnego o moim ojcu! To nie do pomyślenia.
- Oczywiście. Zgadzą się z panią całkowicie. Ale...
- Ale co?
- Szkoda, że nie odmówił pójścia na policję.
- A mógł odmówić? - Wróciła myślami do tamtej sceny. Wówczas presja wywierana przez policjantów wydawała się nie do pokonania.
- Sądzę, że tak. Nie wiem za wiele na ten temat. Ale jeśli go nie aresztowano...
- Aresztowano? Mojego ojca?
- Oczywiście to absurd. Po prostu prowadzą śledztwo w jakiejś sprawie, a on może im przekazać pewne informacje - zapewnił Timothy. - Z pewnością o to chodzi. Szkoda tylko, że nie powiedział im, żeby poczekali z tym do jutra i przyszli do biura.
- Dlatego właśnie dzwonię, Timothy. Ojciec jest umówiony na spotkania, jutro, od samego rana.
- Przecież zjawi się na nie bez wątpienia...
- Nie - odparła i uderzyło ją pomieszanie strachu i rozpacz we własnym głosie. - Ci ludzie mówili o dobrych kilku godzinach, może nawet dłużej. Nie sądzę, żeby ojciec przyszedł do biura o zwykłej porze. Chce, żebyś przełożył te spotkania.
- Oczywiście. Zajmę się tą sprawą natychmiast, proszę się tym więcej nie kłopotać. Umówię wszystkich na popołudnie. Pan Tregarvon jest także umówiony na lunch... może lepiej przełożę również i to.
- Gerald jest zdania...
- Co pani powiedziała? Co sądzi Gerald?
- Gerald uważa, że powinnam się porozumieć z panem Winkwor-the'em - mówiąc to, wiedziała, że prosi Timothy'ego by zrobił to za nią. Myśl, że będzie musiała powtórnie opowiedzieć o wszystkim adwokatowi wydała jej się straszna.

- Zrobię to za panią - ofiarował się natychmiast Timothy. - Proszę mi to zostawić.

- Nie.

Jej obowiązkiem było dopatrzenie sprawy osobiście. Musi sama porozmawiać z Winkworthe'em, choć upokorzenie wiążące się z wyjaśnieniami sprawiało, że miała dreszcze, a oszołomienie, które było pierwszą reakcją, ustąpiło miejsca narastającemu przerażeniu. Była przecież córką swego ojca a jej obowiązkiem było zrobić wszystko, co w jej mocy, by mu pomóc.

- Jeszcze jedno - powiedział Timothy, gdy właśnie zamierzała się z nim pożegnać. - Powinniśmy zachować dyskrecję na temat całej tej sprawy.

- Niewątpliwie.

13

- Rozgłos mógłby zachwiać zaufanie, jakim darzą nas klienci. Chodzi o bezsensowną pomyłkę, ale wiemy, jacy są ludzie...

- Tak - potwierdziła Erica ze smutkiem i odłożyła słuchawkę. Pokojówka w rezydencji Winkworthe'ów poinformowała, że państwo spędzają weekend z synem i synową w Surrey. Podala telefon. Erica wykreśliła nowy numer. Po pewnej zwłoce, co wyglądało niemal na niechęć do rozmowy, w słuchawce odezwał się głos pana Winkworthe'a. Gdy usłyszał nowinę irytację zastąpiło oburzenie.

- Ion z nimi poszedł?! - wybuchnął.

- Oni... zachowywali się tak, jak by to było... nieuchronne. Ojciec oczywiście wiedział, że nie może chodzić o nic poważnego...

- Będę na Snow Hill tak szybko, jak będzie to możliwe. Wyruszam niezwłocznie. Panno Tregarvon, czy nie domyśla się pani, o co może chodzić?

- W najmniejszym stopniu - westchnęła.

- Czy miała pani wrażenie, że to sprawa osobista, czy coś związanego z interesami?

- Naprawdę nie wiem. Widzieli, że matka jest coraz bardziej zdenerwowana, więc zasugerowali, że lepiej będzie udać się na posterunek i... jeszcze, powiedzieli, że tam będą mieli dokumentację.

- Dokumentację?

- Wydaje mi się, że użyli tego właśnie słowa - zawahała się. - Czy to panu coś mówi?

- Zastanawiałem się, czy nie chodzi o sfalszowanie podpisu na czekach pani ojca albo może o zwrot portfela, który kiedyś zgubił. Chyba że sprawa dotyczy kogoś z załogi któregoś ze statków...

- Matka przypuszczała, że ojciec mógł być świadkiem jakiegoś drobnego wypadku samochodowego.

- Ale dokumentacja... Lepiej pożegnaj się z panią, panno Tregarvon, i zatelefonuję na Snow Hill, żeby dać im znać, że już tam jadę.

- Dziękuję panu.

- Dziecko drogie, niech się pani nie martwi - powiedział prawnik niespodziewanie miękko. - Sprawa wyjaśni się, kiedy tylko tam dotrę.

Lindon Tregarvon nie wrócił do swojego domu przy Park Lane ani w ciągu nocy, ani też następnego ranka.

Przy śniadaniu Erica znalazła poranną gazetę. Prawie nie zmrużyła oka tej nocy; powieki jej ciążyły, czuła się przygnębiona. Gdy Hurrock nalewał kawę, sięgnęła po dziennik.

Natychmiast zauważyła tytuł w lewym rogu pierwszej strony. POLICJA PRZESŁUCHUJE TREGARVONA. ROSZCZENIA UBEZPIECZENIOWE POD ZNAKIEM ZAPYTANIA.

Wstrząśnięta, gwałtownie poruszyła dłonią. Jej ręka zderzyła się z ręką Hurrocka; kawa zalała cały obrus i dół pięknej, wełnianej sukienki.

15

- Ach, panno Tregarvon, przepraszam najmocniej...

- To nic, to nic!

Erica skoczyła na równe nogi, umykając troskliwym próbom osuszenia plam po kawie za pomocą serwetki. Pobiegnęła do telefonu w gabinecie, gdzie mogła rozmawiać bez skrępowania. Gdy sięgała po słuchawkę, usłyszała głośny dzwonek.

- Panno Tregarvon, czy to pani? Tutaj Winkworthe. Czy mogę mówić z pani matką?

- Matka jeszcze nie wstała, panie Winkworthe. Przeżyła wstrząs wczorajszego wieczoru i namówiłam ją na wzięcie lekkiego środka nasennego.

- Aha, z pewnością rozważne posunięcie. Ale rzecz w tym, że... widzi pani...

- O co chodzi, panie Winkworthe? - spytała Erica, przeczuwając złe wieści.

- Pani ojciec potrzebuje przyborów do golenia i zmiany ubrania... Czuję, że ogarnia ją panika.

- Więc będą go przetrzymywali jeszcze dłużej?

- Nie, nie, powinien wrócić do domu. Nie, pan Tregarvon pragnie odświeżyć się i przebrać ze stroju wieczorowego, nim pokaże się w sądzie...

- Ale dlaczego? Dlaczego ma być w sądzie?

- Ponieważ jest oskarżony - powiedział Winkworthe bez ogródek. Erica skamieniała. Odezwała się po chwili.

- O co jest oskarżony?

- Akt oskarżenia nie jest gotowy. Ale głównym punktem będzie prawdopodobnie oskarżenie o defraudację.

- To niemożliwe.

- Moja droga, to niestety zaledwie jedno z kilku oskarżeń, które ma zamiar wnieść policja. W tej chwili istnieją pewne niejasności kilku przepisów prawa międzynarodowego...

- Przepisy prawa międzynarodowego? O czym pan mówi! Mój ojciec nie zrobił nic złego ani w tym kraju, ani gdziekolwiek indziej na świecie! Wie pan o tym równie dobrze, jak ja...

- Nie ważne, co ja wiem, czy czego nie wiem; chodzi o to, w co wierzy prokurator. Moje drogie dziecko, muszę teraz kończyć. Dopiero wróciłem do domu, a całą noc spędziłem na posterunku policji i mam przed sobą jeszcze ileś telefonów do załatwienia. Czy mogę pani powierzyć sprawę przesłania panu Tregarvonowi przyborów toaletowych oraz zmiany ubrania?

- Oczywiście - odparła Erica. - Zaraz to zorganizuję. Ale moja matka...

- Tak?

- Kto powiadomi moją matkę?

Po dłuższym milczeniu adwokat przemówił łagodnie.

- Obawiam się, że pani będzie musiała to zrobić, panno Tregarvon.

15

Niech na razie śpi, pomyślała Erica. Niech śpi spokojnie, nie wiedząc nic o tej groteskowej farsie, która rozgrywa się na posterunku policji i na sali sądowej. I tak w końcu się dowie.

Zadzwoiła na Hurrocka.

- Mój ojciec potrzebuje zmiany ubrania i przyborów toaletowych -powiedziała. - Zapakuj je, proszę, i zawieź mu.

- Mam je zawieźć? Dokąd, panienko?

- Na posterunek Snow Hill, oczywiście.

Lokaj nawet nie drgnął. Na jego twarzy malował się nadal ten sam wyraz grzecznego skupienia, do którego przywykła. A jednak w jakiś sposób zdołał jej przekazać, że nie pragnie składać wizyt na posterunku policji, że to nie wchodzi w zakres jego obowiązków, a co ważniejsze -obniża jego prestiż.

Ogarnęła ją fala gniewu. Już chciała powiedzieć mu coś ostrzejszym tonem, ale przypomniała sobie w porę, że skutkiem bodaj cienia nieuprzejmości w stosunku do Hurrocka będzie zawsze jakaś drobna przykrość: rogaliki na śniadanie dostarczone w chwili, kiedy zdążyły właśnie ostygnąć, portwajn potrząśnięty podczas podawania do stołu...

- Poszłabym sama, Hurrock - powiedziała - ale muszę być tutaj, kiedy obudzi się matka.

- Rozumiem, panienko - odparł, pochylając lekko siwowłosą głowę. Jej tłumaczenie sprawiło mu widoczną satysfakcję. Czy tak będzie

wyglądało nasze życie, dopóki ta idiotyczna pomyłka nie zostanie wyjaśniona? - zastanowiła się. Czy będę zmuszona zachowywać się dyplomatycznie nawet w stosunku do służby?

Biorąc to wszystko pod uwagę, rozważała każde słowo w rozmowie z osobistą służącą matki.

- Maitland, proszę mi dać znać, kiedy mama zadzwoni po poranną herbatę. Mam jej do przekazania ważne wiadomości.

- Ojej, panno Tregarvon! Czy w sprawie pana?

Rzecz jasna, że w sprawie pana, pomyślała Erica tłumiąc złość. O kogo innego mogłoby dzisiaj chodzić?

Kiwnęła głową i odprawiła służącą.

Amy Tregarvon przebudziła się około dziesiątej; wciąż jeszcze senna zadzwoniła po poranną herbatę, a gdy zerknęła na budzik zaczęła się zastanawiać, dlaczego jest tak późno. Ledwie zdążyła do niej wrócić pamięć wydarzeń ubiegłego wieczoru, kiedy drzwi sypialni otworzyły się i ukazała się w nich córka; a jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło, by Amy obudziła się na dobre.

- Co, kochanie? Co się stało?
- Chodzi o ojca...
- Tak, naturalnie, ale jeśli to złe wiadomości, wolałabym, żeby przyszedł opowiedzieć mi o nich sam...
- Nie może przyjść, mam. Wciąż jest na posterunku policji i dziś jeszcze będzie musiał stawić się w sądzie.

16

- Co to znaczy? W jakim celu? Czy Winkworthe wie o wszystkim?
 - Tak, to właśnie Winkworthe mnie o tym powiadomił. Dzwonił mniej więcej przed godziną...
 - Dlaczego mnie nie obudziłaś? Dlaczego pozwoliłaś mi spać tak długo?
 - Mamo - zaczęła Erica, siadając na brzegu łóżka i biorąc ręce matki w swoje dłonie - postaraj się, proszę, zachować spokój. Pozwoliłam ci spać, bo tego potrzebowałaś. Wieczorem byłaś bardzo wyczerpana i przygnębiona. A środek nasenny zapewnił ci długi i spokojny sen. Porozmawiamy o wszystkim, ale musisz obiecać, że nie będziesz się denerwowała.
 - Ja już jestem zdenerwowana! Nie mogę uwierzyć w to, co oni wyprawiają z Lindonem! Trzymać go przez całą noc na posterunku... Boże drogi, czy sądzisz, że on w ogóle dostał śniadanie? I gdzie spał, w jakim łóżku? To jest nie do zniesienia.
 - Mamo kochana, ojciec jest silnym, zdrowym mężczyzną, nic mu nie będzie, nawet jeśli przespał jedną noc na twardym łóżku i zjadł na śniadanie chleb z masłem. W tej chwili martwię się bardziej o ciebie. Spróbuj się uspokoić, proszę, bo wywołasz jeden ze swoich ataków.
- Amy całe swoje życie cierpiała na astmę. Była delikatnym dzieckiem i od wczesnej młodości karty stanowiły dla niej źródło rozrywki i pociechy; spędziła wiele długich dni na kanapie, grając w wista czy kribidza ze swoją guwernantką. Jej stan zdrowia z wiekiem uległ poprawie, ale skłonność do astmy pozostała, zwłaszcza latem i podczas wakacji na wsi. Z tego właśnie względu lekarze zalecali jej podróże morskie. Nic więc dziwnego, że Erica tak znaczną część dzieciństwa spędziła na pokładzie statków pasażerskich. Amy miała się zawsze o wiele lepiej na morzu, ale nie chciała rozstawać się z dzieckiem, tym bardziej że jej pierworodny synek umarł w wyniku powikłań po odrze w wieku trzech lat.
- Matka i córka były silnie ze sobą związane. Odkąd Erica mogła sięgnąć pamięcią, były dla siebie towarzyszkami: bawiły się i grały razem w przeróżne gry, słuchały płyt z gramofonu w salonie Amy, a gdy Erica dorosła matka zaszczepiła w niej zamiłowanie do kart.

Przygotowując się do debiutu towarzyskiego i słuchając paplaniny innych dziewcząt, Erica była zdumiona ich niecierpliwością, a często autentyczną antypatią w stosunku do własnych rodziców. Jeśli nie potrafiło się lubić ojca i matki, to kogo innego będzie się umiało polubić? Do kogo innego można się zwrócić, kiedy szuka się porady, oparcia, pocieszenia? Ale niektóre z dziewcząt uważały matkę za zło konieczne, które znosi się tak długo, jak to jest niezbędne, ignorując o tyle, o ile się da. Ojcowie zajmowali zwykle nieco lepszą pozycję: u ojca można było na ogół uzyskać to, czego się chciało.

Erica nie mogła tego zrozumieć. Dla niej ojciec był osobą, której ufała, którą admiirowała i szanowała.

Prawda, że Lindon Tregarvon nie spędzał z córką tak wiele czasu, jak Amy, ale to było zrozumiałe. Ojcowie bywali

2 - Nieodrodna córka

17

wielkimi przemysłowcami, znaczącymi figurami w eleganckim świecie, często wzywały ich obowiązki.

Niemniej należało ich kochać, ponieważ ojciec stanowił jedną z dwóch opok w życiu.

A teraz Erica musiała wyjaśnić matce, że Lindon Tregarvon, ten uczciwy, prostolinijny człowiek, z powodu jakiegoś niewytłumaczalnego nieporozumienia zmuszony będzie stawić się w sądzie, oskarżony o takie czy inne przestępstwo.

- Ale o co? Jaki haniebny czyn mógł popełnić twój ojciec? Z pewnością coś im się pomyliło, sami się zorientują, kiedy będą musieli wstać i wypowiedzieć głośno oskarżenie. Nie uważasz, Erico?

- Tak sądzę, mamó. Wkrótce będziemy wiedziały... - urwała, bo drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Maitland z tacą z herbatą.

- Ach, zabierz to! - zawołała Amy. - Nie jestem w stanie niczego przelknąć.

- Proszę cię, mamó, bardzo proszę, spróbuj wypić herbatę i zjeść sucharka...

- Nie mogę! Zadławiłabym się.

- Proszę zostawić tacę, Maitland. Służąca postawiła herbatę.

- Niech się pani uspokoi i nie martwi, madam, wszystko będzie dobrze, kiedy pan Tregarvon wróci do domu. Nie chciałaby pani chyba, żeby zobaczył panią w takim stanie?

- Nie, nie... oczywiście, że nie...

- Więc niech pani wypije herbatę, póki jest gorąca - persadowała Maitland, nalewając do filiżanki. - A teraz przygotuję pani kąpiel i ubranie. Nadal jest bardzo zimno na dworze, potrzebuje pani czegoś ciepłego. Co by pani powiedziała na ciemnożółtą welnianą suknię?

Gawędząc i odwracając uwagę swojej pani od trosk, Maitland uspokoiła ją na tyle, że Amy otarła zapłakane oczy. Gdy wychodziła, by przygotować kąpiel, przesłała Ericę pełne współczucia spojrzenie.

A więc doszło do tego, że służba lituje się nad nami? - pomyślała Erica. Nie wiadomo już, czy lepsze to, czy nadany Hurrock.

Wychodząc z sypialni matki, Erica poczuła złość na samą siebie. Czyż miało jakiegokolwiek znaczenie, co myśli służba? Dlaczego miałoby ją to obchodzić? Istotny był jedynie fakt, że ojciec wróci do domu za godzinę, może za dwie. No i przecież z pewnością, z niezachwianą pewnością, policja zorientuje się sama, jak absurdalne są stawiane mu zarzuty.

Hurrock wrócił do domu oznajmiając, że oddał walizkę na posterunku, a policjan obiecał przypilnować dostarczenia jej właścicielowi.

- Więc nie widziałeś ojca! - zawołała Erica.
- To było niemożliwe, panienko.
- A ja myślałam... miałam nadzieję...
- Panno Tregarvon, pytałem na posterunku i, dowiedziałem się, że oskarżenie nie będzie gotowe jeszcze dzisiaj.

18

- Ach nie, to niemożliwe!
 - Tak powiedział sierżant, panienko.
- Erica rzuciła się do telefonu, żeby zadzwonić do Winkworthe'a. Usłyszawszy w słuchawce jego westchnienie zorientowała się, że brał w rachubę taki obrót wydarzeń.
- Co możemy zrobić? - spytała. - Przecież nie wolno dopuścić, żeby go tam trzymali.
 - Niestety, nie możemy temu zapobiec, panno Tregarvon. Policja twierdzi, że ma dostateczne powody, żeby zatrzymać go na przesłuchanie. Z informacji, które zdobyłem, wynika, iż chodzi bez wątpienia o poważne wykroczenie.
 - Nie popełnił go mój ojciec!
 - Ktoś dokonał naprawdę oszustwa na wielką skalę. Zgłosili się świadkowie, którzy złożyli zeznania, tak że sprawa nie toczy się w sferze domniemań, ale faktów. Nie leży w mojej mocy, by zabronić policji prowadzenia śledztwa, a do tego konieczne jest przesłuchanie pani ojca. Tak działa prawo, panno Tregarvon!
 - Nie mogę się z tym pogodzić. Musi pan coś zrobić!
 - Zrobiłbym, gdybym mógł. Ale policja działa zgodnie z prawem. Pan Tregarvon udał się na komisariat z własnej woli. A śledczy zgromadził materiał dowodowy, który obciąża pani ojca.
 - Nie uwierzę w to!
 - Nadinspektor utrzymuje, że mogą mu wytoczyć sprawę. Prawo zezwala im na zatrzymanie pana Tregarvona do momentu, gdy uznają, że przesłuchanie dało zadowalające rezultaty. Przykro mi, moja droga, ale musi pani to zaakceptować. Jedyne, co nam pozostało, to czekać.
- Reszta dnia była koszmarem. Za każdym kolejnym dzwonkiem telefonu Erica rzucała się do aparatu pewna, że usłyszy wiadomość o powrocie ojca. Ale za każdym razem był to ktoś inny: najpierw Timothy Perriman, który prosił o przekazywanie mu wszelkich wiadomości i zapewniał, że czuwa nad interesami; następnie znajomi, by się upewnić, że informacje podane przez gazetę były nieporozumieniem; wreszcie dziennikarze,

próbujący dowiedzieć się czegoś o prywatnym życiu oskarżonego. Uważali za oczywiste, że Tregarvon jest przestępcą. Bo cóż innego kryło się za sformułowaniem „pomoc w śledztwie”?

Zatelefonował Gerald pytając, co słychać.

- Jeszcze nie wrócił? - Był wyraźnie zaalarmowany wiadomościami, które przekazała mu Erica. - Na miły Bóg, co tam się odbywa? Maraton?

- Pan Winkworthe twierdzi, że policja ma do tego prawo... ale mówileś, że masz przyjaciół...

- No tak - mruknął Gerald - tak, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Ale widzisz, kochanie, jeśli pan Winkworthe jest zdania, że nic nie można zrobić...

Erica zrozumiała, że Gerald nie jest pewien, czy powinien działać na

22

rzecz jej ojca. Fakt, że pan Tregarvon wciąż jest w areszcie, dał mu widocznie do myślenia. Kiedy spytała, czy przyjdzie dotrzymać jej towarzystwa tego wieczoru, wyczuli że narzeczony się waha.

- Nie bardzo mogę, moja droga. Jestem umówiony na proszoną kolację u Hastingów.

- Geraldzie, jakoś się wykręć!

- Niezbyt wypada mi to zrobić, Erico. Zaburzyłbym porządek gości przy stole, a pani Hasting nie znajdzie już nikogo na moje miejsce. Poza tym ona jest kuzynką mojego szefa i nie chciałbym się jej narazić.

- No tak. Rozumiem.

Rozstali się zapewniając się wzajemnie o swoich uczuciach, ale Ericę opadły obawy. Gerald mógł uważać, że zaręczenie się z córką człowieka, który ma być oskarżony, choćby zupełnie niewinnie o oszustwo, może okazać się fatalne dla jego kariery; zdała sobie z tego jasno sprawę.

Dzień zbliżył się wreszcie ku końcowi. Winkworthe udał się ponownie na Snow Hill, by poprosić o zwolnienie Tregarvona, ale spotkał się ze zdecydowaną odmową. A kiedy zasugerował zwolnienie za kaucją, nadinspektor oznajmił:

- Nie chcielibyśmy przerywać toku śledztwa, panie mecenasie. Przykro mi, ale wolimy mieć Tregarvona do dyspozycji, dopóki akt oskarżenia nie zostanie jasno sformułowany.

Akt oskarżenia? Ile było więc tych oskarżeń? Kiedy Winkworthe jej to powtórzył, Erica była tak zaszokowana, że w pierwszej chwili nie mogła dobyć słowa. Dopiero po paru minutach odzyskała głos.

- Niech pan nie wspomina o tym przy matce. I tak już za bardzo to wszystko przeżywa. Błąka się po domu niby zagubiona dusza, zaglądając do wszystkich pokojów, jakby się spodziewała zastać ojca w którymś z nich. Długa, poważna twarz Winkworthe'a zmarszczyła się w zmęczonym uśmiechu.

- Wyobrażam to sobie doskonale. Naturalnie, panno Tregarvon, nie musimy mówić pani matce nic o „oskarżeniach”.

Wychodząc, uściśnął mocno jej rękę.

- Moja droga, jest pani bardzo dzielna.

Następnego dnia o ósmej rano Erica pojechała taksówką ze zmianą bielizny dla ojca. Paczkę odebrał od niej policjant - oficjalny, uprzejmy i zdecydowany nie udzielić jej żadnych informacji.

- Ależ jestem jego córką! Muszę wiedzieć, co się dzieje!

- Przepraszam panią, ale to jest sprawa detektywów prowadzących dochodzenie, a oni mnie o niczym nie informują.

- Więc chciałabym porozmawiać z jednym z nich.
 - To się na nic nie zda. Oni sami pewnie nie wiedzą, kiedy sprawa będzie gotowa do przedstawienia w sądzie.
- Pan Tregarvon powrócił do domu tuż przed południem, kiedy Amy

24

wraz z córką siedziały w salonie. Towarzyszył mu adwokat. Rzut oka na kamienną twarz Winkworthe'a wystarczył, by Erica zrozumiała, że sprawa musi być istotnie bardzo poważna.

Świeża zazwyczaj twarz ojca wydawała się poszarzała, zaczerwienione powieki świadczyły o ogromnym zmęczeniu, plecy miał przygarbione.

- Kochanie! - zawołała Amy biegnąc ku niemu. - Wyglądasz na zupełnie wyczerpanego! Zaraz każę przynieść kawę... albo koniak...

- Powiedziałem już Hurrockowi, że chcę whiskey z wodą sodową -odparł Tregarvon. Objął żonę i poklepał ją po plecach. - Wszystko w porządku, Amy, przestań się przejmować tą historią.

- Więc sprawa się wyjaśniła? Dzięki Bogu! Chyba oszaleli, żeby cię tak traktować, ale teraz, kiedy jest już po wszystkim, powinienes zrobić z nimi porządek. Wiesz przecież, że Gerald ma znajomości w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, czy gdzieś tam...

- Nie myślmy o tym choć przez chwilę - puścił ją i opadł na krzesło. - Boże, jaki jestem zmęczony! Muszę się wykapać i zdrzemnąć...

- Oczywiście, kochanie, ale zjesz chyba przedtem lunch? - Amy wyciągnęła rękę w kierunku Hurrocka, który pojawił się z butelką whiskey. - Powiedz kucharce, że zjemy za kwadrans.

- Ale zapiekanka z wołowiny została dopiero włożona do pieca, madam.

- Złotko, a może byś poszła i porozmawiała z kucharką osobiście? Zjadłbym coś zupełnie prostego, tylko się trochę odświeżę.

- Tak, racja, kochanie. Najodpowiedniejszy byłby omlet. Kucharka nie lubi co prawda przygotowywać omletów, ale w tym wypadku... - pospieszyła za Hurrockiem, przypominając małą zwinną łódkę żeglującą u boku majestatycznego okrętu.

Lindon Tregarvon wskazał adwokatowi krzesło. Erica patrzyła na obu mężczyzn z zamierającym sercem.

- Co się wydarzyło? - spytała. Winkworthe zawahał się.

- Śmiało, niech pan mówi, będzie się musiała dowiedzieć wcześniej czy później.

- To prawda. No więc przykro mi, wiadomości są bardzo złe.

- Złe? - powtórzyła szeptem Erica.

- Pani ojciec został oskarżony o defraudację, kilka mniejszych wykroczeń przeciw prawu handlowemu i... o zabójstwo.

2

Zabójstwo. Słowo było tak przerażające, że Erica zlodowaciała w środku.

- Ktoś umarł? - wyjąkała. - Z powodu czegoś... czegoś, co zrobiłeś, tato?

Potrząsnął głową, jakby chciał dodać siły zaprzeczeniu.

- W żadnym wypadku! To wszystko jest jednym wielkim kłamstwem, od początku do końca. Nigdy bym nie przyłożył ręki do tego rodzaju machinacji.

- Więc jak...

- Krótko mówiąc, panno Tregarvon, sprawa przedstawia się następująco - podjął Winkworthe. - W ciągu dwóch ostatnich lat zatonięły na morzu dwa statki handlowe należące do pani ojca, dla których Tregarvon Line wykupiły ubezpieczenie. Zginęło pięciu członków załogi. Oskarżenie o zabójstwo wniosły rodziny ofiar.

- Ale jeżeli statek zatonię na morzu...

- Twierdzą, że ja to zaaranżowałem - powiedział jej ojciec niskim, ochryplym głosem. - Mówią, że wszedłem w zmwę z kapitanami tych statków - mieli je zatopić usuwając przedtem załogę. W przypadku jednego, *Ganymede'a*, plany się z jakiegoś powodu nie powiodły, tak że ocalał tylko pierwszy oficer i inżynier okrętowy.

- Nie! To potworne!

- I to jeszcze nie wszystko - mówił dalej Tregarvon. - Policja „kontynuuje dochodzenie”. - Przelknawszy resztę whiskey podniósł się na nogi. - Muszę zdjąć z siebie to piekielne ubranie; czuję się, jakbym je nosił przez miesiąc. Winkworthe, niech pan opowie Erice całą resztę. Musi wiedzieć o wszystkim, żeby poradzić sobie z tym, co ją czeka w najbliższej przyszłości.

Wyszedł szybko z pokoju. Erica zrobiła ruch w jego stronę, jakby

22

chciała go zatrzymać, ale zaraz z lękiem w oczach zwróciła się do prawnika.

- Co się zdarzy w najbliższej przyszłości? Co takiego?

- Wyznaczono bardzo wysoką kaucję - westchnął Winkworthe - pięćdziesiąt tysięcy funtów. To daje pojęcie o przekonaniu sędziów, co do ciężaru oskarżeń. W ich mniemaniu pani ojciec ponosi odpowiedzialność nie tylko za śmierć pięciu ludzi, ale także za oszustwa ubezpieczeniowe. Statki i przewożone przez nie towary były ubezpieczone na bardzo wysokie kwoty...

- Ale przecież w tym leży sedno sprawy, prawda? - zawołała Erica, skupiając się na punkcie, który wydał jej się najważniejszy. - Skąd przypuszczenie, że chodzi o jakiegokolwiek oszustwo? Czy nie jest możliwe, że katastrofa wydarzyła się z przyczyn naturalnych?

Pan Winkworthe poruszył się niespokojnie na krześle.

- Niestety, panno Tregarvon, inżynier i pierwszy oficer z *Ganymede 'a*, popiwszy sobie, przechwalali się w Darwin, w Australii, pieniędzmi, które zarobili z powodu zatonięcia statku. Pewien agent pracujący na rzecz spółki ubezpieczeniowej, nie mającej zresztą nic wspólnego z firmami, które ubezpieczały statki Tregarvon Line, usłyszał o tym i uzyskawszy więcej informacji, przedstawił raport u Lloyda w Londynie.

- Ale może oni to wszystko zmyślili.

- Może - zgodził się Winkworthe, choć widać było, że nie uważa tego za prawdopodobne. - Są teraz obaj w drodze do Londynu, gdzie będą składali zeznania, jednak zeznawali już pod przysięgą. Twierdzą, że dostali instrukcje zatopienia *Ganymede'a* w Torres Strait, po rozładunku w Daru...

- Nie rozumiem!

- Na tym to polega, panno Tregarvon. Ubezpiecza się statek wraz z ładunkiem na sporą sumę, następnie wyladowuje towar w umówionej z góry przystani, gdzie władze portowe nie są zbyt drobiazgowo. Towar zostaje sprzedany za tyle, ile jest wart, a statek zatopiony; i wówczas właściciele żądają wypłaty ubezpieczenia. Tego rodzaju przedsięwzięcie jest bardzo zyskowne.

- Mój ojciec nie dopuściłby się nigdy podobnego czynu - powiedziała Erica i policzki jej zapłonęły na samą myśl o takiej podłości. - Był przecież kiedyś marynarzem i nigdy nie naraziłby ludzkiego życia.

- Nikt nie zakłada, że załoga może się znaleźć w niebezpieczeństwie - odparł Winkworthe. - Przyjmuje się, że marynarze odpłyną na szalupach ratunkowych i tak się to zwykle odbywa. O ile się orientuję, nikt na statku o niczym nie wie, poza oficerami - kapitanem i pierwszym oficerem, a prawdopodobnie także i inżynierem. Policja poszukuje obecnie kapitana *Lariette*, statku, który zatonął w ubiegłym roku z ładunkiem urządzeń mechanicznych na południowym Atlantyku.

- Pamiętam doskonale! Ojciec przejął się tym ogromnie, *Lariette* była jednym z pierwszych statków, jakie kupił, kiedy tworzył swoją flotę.

- No właśnie. Bardzo stary statek, który nadawał się już raczej na złom. Policja podkreśla, że został ubezpieczony na zdumiewająco dużą kwotę.

- Ależ to dlatego, że wiózł tak cenny ładunek...

- Zgadza się. I podobno część maszyn odnalazła się w przędzalni bawełny w Nowej Anglii...

Erica odwróciła się w stronę okna i znów do prawnika, żeby móc choć przez chwilę zastanowić się nad tym, co usłyszała.

- Czyli, krótko mówiąc, policja prowadzi dochodzenie na ten temat już od jakiegoś czasu?

- To zrozumiałe. Chodzi o bardzo złożoną sprawę. Specjalna brygada policji londyńskiej gromadzi dowody od ponad pół roku.

Ericę przeszedł dreszcz. Przez całe ostatnie lato, kiedy ona bawiła się, radując swoim pierwszym londyńskim sezonem, kiedy pisano o niej z podziwem w kronice towarzyskiej, policja pracowała usilnie nad podkopaniem fundamentów jej spokoju i szczęścia. Próbowali dowieść, że jej ojciec jest oszustem i mordercą; bo jeśli było prawdą, że pięciu ludzi zginęło w wyniku jego knowań, to istotnie był mordercą, nawet jeśli sam nie zabił. Ale on nie miał z tym, oczywiście, nic wspólnego.

- Panie Winkworthe - powiedziała - widzę, że sprawa jest bardzo poważna. Ale mój ojciec nie uczestniczył w tym absolutnie i żaden sąd nie dowiedzie jego winy.

- Niestety, są w stanie tego dokonać. Pani ojciec podpisał polisy ubezpieczeniowe, a następnie zażądał pieniędzy po stracie statków.

- Przecież musiał podpisać te dokumenty.

- Tak, ale wobec tego to on jest osobą, która odniosła korzyść z oszustwa. Zgadza się pani?

- Ale statki i towary muszą być ubezpieczone. Czy nie jest możliwe, że ktoś ukradł ładunek, a potem spowodował zatonięcie statków, by to ukryć?

- To jest, w rzeczy samej, możliwa linia obrony - zgodził się pan Winkworthe suchym tonem - i zostanie prawdopodobnie wykorzystana przez obrońcę, kiedy przekażę mu szczegóły sprawy. Niestety McGuire i Lilton, wracający z Darwin do kraju, twierdzą, że instrukcje zostały wydane przez samego pana Tregarvona.

- To jest kłamstwo! - krzyknęła Erica. - Najzwyczajniej kłamstwo!

- Dlaczego mieliby kłamać? - odpowiedział pytaniem Winkworthe. Erica popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Jak pan może... - i dorzuciła prawie natychmiast: - Pan sądzi, że on to zrobił!

- Moja droga, niech pani nie przypisuje czegoś, czego nie wypowiedziałem. Ale proszę popatrzeć, jak to wygląda. Oskarżenie przeciw pani ojcu ma bardzo mocne podstawy, a gdy dziennikarze zorientują się, o co chodzi, będzie jeszcze gorzej. To właśnie miał na myśli pani ojciec mówiąc,

29

że musi się pani przygotować na wszystko, co się może zdarzyć. Musi pani także myśleć o matce.

- O Boże! - wykrzyknęła Erica. - To ją po prostu zmiażdży.

- Wierzę, że nie. - Winkworthe wstał, podszedł do dziewczyny; poklepał ją przyjacielsko po ramieniu. - Jestem pewien, że znajdzie pani sposób, by ją ochronić.

- Ale jak? Gazety będą niewątpliwie pełne sensacyjnych nagłówków.

- Artykuły ukazały się już wczoraj, prawda? Może pani Tregarvon nie będzie szukała następnych wiadomości.

- Miejmy nadzieję. Uprzedzę służbę, żeby nie przynosiła gazet i o niczym nie mówiła.

Pan Winkworthe uśmiechnął się blado.

- Nie sądzę, moja droga, żeby jakiegokolwiek pani polecenia czy przestrogi zdołały powstrzymać plotkarzy. To może być najtrudniejsze dla pani matki.

Skierował się do drzwi i w tymże momencie ukazała się w nich Amy Tregarvon. Wyglądała na odprężoną.

- Sprawa załatwiona - oznajmiła energicznie. - Uzgodniłam z kucharką menu. Zostanie pan na lunchu, panie Winkworthe?

- Jest pani bardzo miła, ale niestety nie mogę. Mam jeszcze mnóstwo ważnych spraw do załatwienia. - Zerknął na Ericę, która pojęła natychmiast, że te ważne sprawy dotyczą jej ojca.

Odprowadziła go do drzwi wejściowych.

- Będę rozmawiał z jednym z najlepszych obrońców - powiedział prawnik. - Kontaktowałem się już z nim telefonicznie. Słyszała pani może o Speldonie Banksie?

Erica potrząsnęła przecząco głową.

- Prawda, że on specjalizuje się w sprawach z zakresu prawa morskiego, a nie sądzę, żeby pani kiedykolwiek poświęcała temu uwagę. Do zobaczenia, panno Tregarvon. Niech pani nie upada na duchu. Będziemy walczyli i zwyciężymy!

Wymienili uścisk dłoni i Erica zamknęła za nim drzwi. Brzmiały jej wciąż w uszach jego ostatnie słowa: „będziemy walczyli”. Prawdę mówiąc, była pewna, że oskarżenia zostaną uznane za bezpodstawne.

Wydawało się absurdalnym, że na jej ojcu ciążył jakikolwiek poważny zarzut.

Jeżeli rzeczywiście istniały jakieś dowody, musiały być oparte na nieporozumieniu. Odkryto na przykład urządzenia mechaniczne, wcześniej uznane za zaginione... Erica dobrze wiedziała, że załogi statków handlowych wykorzystywały niekiedy możliwości zarobków na boku: przemyt ludzi i dóbr był praktyką powszechną, poważny problem stanowiły też kradzieże towarów i okradanie bagażu podróżnych.

Najpilniejsze było teraz uspokojenie matki. Wróciła do salonu, formułując w myśli pokrzepiające zdania.

Amy kręciła galkami radia.

25

- Chciałam posłuchać wiadomości o pierwszej, kochanie - wyjaśniła córce. - Jestem ciekawa, co mówią o twoim ojcu.
- Widziałas przecież wczorajsze gazety - odparła Erica spokojnym tonem, który nie pasował do jej uczuć. - Powtórzą to samo.
- Uważam, że gazety są okropne, zawsze przypisują wszystkim najgorsze przestępstwa - pożałowała się matka. - Wiesz przecież, jak paskudnie potraktowały Sybil Drewsley, kiedy chodziło o jej rozwód, a przecież każdy, kto cokolwiek o tym wiedział, mógł ich poinformować, że Tony zachowywał się wobec niej wprost ohydnie, więc nic dziwnego, że szukała pociechy gdzie indziej.
- Co właściwie będziemy jedli na lunch? - zapytała Erica.
- Po namyśle doszłam do wniosku, że sam omlet nie wystarczy. Nie sądzę, żeby ojcu podano cokolwiek przyzwoitego na tym posterunku. Wyobraź sobie, kochanie, kanapki grubości pół bochenka posmarowane margaryną. Więc zamieniłam dzisiejsze menu. Teraz zjemy solę, która była przewidziana na wieczór, i następnie omlet; wieczorem moglibyśmy zjeść zapiekana wołowinę, ale pułkownik Pierce nie lubi wołowiny, więc kucharka telefonuje właśnie po steki...
- Erica przypomniała sobie z przerażeniem, że tego wieczora mieli mieć gości. Spotkanie było umówione ponad miesiąc wcześniej. Nie przyszedł jej do głowy żaden komentarz, więc tylko słuchała paplaniny matki. Kiedy pojawił się ojciec, przebrany i odświeżony, zostawiła ich samych, by wymienili wrażenia dwóch ostatnich dramatycznych dni.
- Poszła do gabinetu z przekonaniem, by zatelefonować do Pierce'ow. Trzeba było ich uprzedzić, żeby nie mówili nic o szczegółach sprawy, o której bez wątpienia już wiedzieli z gazet czy z radia. Ale ostrzeżenie okazało się zbędne. Pierce'owie skwapliwie skorzystali z szansy wymówienia się ód wizyty.
- Jestem pewna, że nie macie dzisiaj nastroju na przyjmowanie gości -stwierdziła pani Pierce z przekonaniem.
- Teraz, kiedy pani ojciec jest przesłuchiwany...
- On jest już w domu, proszę pani.
- Ach, tak? Sprawa została wyjaśniona?
- Został zwolniony za kaucją - poinformowała Erica, nie bardzo wiedząc, jak ubrać tę informację w ładniejsze słowa.
- Rozumiem. Więc tym bardziej nie życzycie sobie dzisiaj gości, macie z pewnością wiele do omówienia. Dziękuję za telefon, Erico. Harold zgadza się ze mną, że nie powinniśmy się wam dzisiaj narzucać.

- Dziękuję pani - odpowiedziała Erica z wdzięcznością, choć sposób, w jaki pani Pierce wykręciła się od wizyty pozostawiał wiele do życzenia.

Kiedy usiedli do lunchu, wspomniała, że odbyła pogawędkę z panią Pierce.

- Była bardzo miła - skłamała. - Powiedziała, że nie chcieliby nam przeszkadzać, rozumieją, że wolimy dzisiejszy wieczór spędzić sami.

26

- Dzięki Bogu - westchnęła Amy, nie podejrzewając niczego. - Lily gra w brydża zupełnie nieźle, ale pułkownik zawsze traci szybko cierpliwość i opanowanie.

Po lunchu, podczas którego toczyła się, w pojęciu Eriki, całkowicie oderwana od rzeczywistości rozmowa, Amy udała się na popołudniową drzemkę. Lindon polecił, by samochód czekał o pierwszej czterdzieści pięć, a następnie przeszedł do salonu na kawę.

- Powiedziałem twojej matce, że wszystko się wkrótce wyjaśni -oznajmił córce. - Nie sądzę, żeby była w stanie zrozumieć, o co właściwie chodzi, Erico, a w każdym razie nie chcę, żeby martwiła się którymkolwiek z tych nonsensownych zarzutów.

Erica skinęła głową potakująco.

- Może lepiej byłoby wyjechać z miasta na tydzień czy nawet dłużej?

- To niemożliwe. Muszę być na miejscu, żeby móc rozmawiać z prawnikami i pilnować interesów...

- Timothy mówił, że w biurze wszystko idzie gładko.

- Tak było, zanim świat biznesu nie usłyszał o oskarżeniach. Teraz będzie to istne piekło. - Ojciec był ponury, choć mówił spokojnie.

Telefon dzwonił kilkakrotnie w czasie lunchu. Teraz zadzwieczał jeszcze raz, a Hurrock pospieszył, by go odebrać. Po chwili wrócił do salonu.

- To reporter z „News Chronicle”, proszę pana. Podczas lunchu telefonowało kilku innych reporterów, ale powiedziałem im, że jest pan zajęty. Zapowiedzieli, że zadzwonią później.

- Dziękuję, Hurrock. Proszę cię, przekaż temu reporterowi, że nie mam nic do powiedzenia, ale jeśli chcą się ze mną skontaktować, muszą dzwonić do mnie do biura.

- Dobrze, proszę pana.

- Hurrock? - dorzuciła Erica.

- Tak, panno Tregarvon?

- Jeżeli zatelefonuje ktokolwiek do mojej matki, powiedz, że nie ma jej w domu.

- Dobrze, panienko.

Kiedy wyszedł, Lindon Tregarvon wzruszył ramionami.

- Może jest to pewien sposób. Ale nie myślę, żeby udało się ją całkowicie ochronić. Wcześniej czy później jakaś przyjazna dusza dotrze do niej i wszystkie sensacyjne szczegóły opisze.

- Odwleczmy to przynajmniej na tyle, na ile się da.

- Słusznie. - Tregarvon podniósł się, opanowany, gotów udać się do pracy. - Muszę iść. Biedny Timothy jest już prawdopodobnie oblegany. Erico, zostawiam dom na twojej głowie. Opiekuj się matką.

- Oczywiście.

Pocałowała go w policzek i poszła z nim do holu. Hurrock podał mu płaszcz. Kiedy otworzył drzwi frontowe, jakiś nieznany mężczyzna próbował wedrzeć się do środka.

33

- Hola! - wykrzyknął Hurrock. - O co chodzi?

- Pan Tregarvon? - zawołał mężczyzna, usiłując dojrzeć coś ponad ramieniem lokaja. - Panie Tregarvon, jaka jest pana reakcja na oskarżenia?

- Wynoś się pan stąd! - powiedział Lindon.

Erica, zdumiona, cofnęła się o krok. Teraz podeszła bliżej, wlepiając wzrok w intruza.

- Kim pan jest?

- Nieważne, kim jest. Wynoś się pan z mojego domu! - krzyknął Lindon. Z pomocą Hurrocka wypchnął reportera, który ślizgając się na oblodzonych kamieniach nie przestawał wykrzykiwać kolejnych pytań.

- On wcale nie ma zamiaru odejść - stwierdził Hurrock z oburzeniem. - A drugi stoi przy furtce.

- A ja miałem nadzieję na spokojne popołudnie w biurze - powiedział Lindon z goryczą w głosie. Namyslał się chwilę. - Nie, nie pozwolę, żeby mi przeszkodzili w pracy. Powiem im po prostu, że jeśli chcą się ze mną widzieć, niech przyjdą do biura. I poproszę Winkworthe'a, żeby wymyślił coś, co ich zadowoli.

Włożył kapelusz, wziął od Hurrocka rękawiczki i wyszedł krokiem wodza wiodącego oddział do ataku. Przez okno w drzwiach Erica dojrzała, że otoczyło go kilku ludzi. Odsunął ich, powiedział kilka słów, wsiadł do samochodu i polecił szoferowi odjechać.

- Panienko - odezwał się Hurrock łagodnym tonem - jeśli ma pani zamiar wyjść, to użyłbym na pani miejscu kuchennych drzwi. Ta zgraja nie odejdzie, to widać. Czają się w pobliżu od dwóch godzin, odkąd pan Tregarvon i pan Winkworthe weszli do domu. Na dworze jest lodowato, a oni czekają, więc są zdecydowani na wszystko, byle tylko cokolwiek usłyszeć.

Erica nigdzie nie zamierzała wychodzić. Chciała pozostać przy matce przez resztę dnia, na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Ale kiedy ojciec wrócił wieczorem, przedzierając się przez grupę gapiów, marzyła już o opuszczeniu domu. Miała wrażenie, że ktoś uwięził ją w klatce.

Gerald zatelefonował wcześniej, żeby spytać, czy prawdą jest to, co przeczytał w popołudniowych dziennikach.

- Że oskarżenia zostały sprecyzowane? - odparła. - Tak to prawda. Ale to naturalnie nic nie znaczy. Znasz mojego ojca dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że nigdy nie byłby zamieszany w oszustwo.

- Oczywiście. Chociaż muszę powiedzieć, że tytuły w gazetach są trochę szokujące.

- Geraldzie, możesz wpaść dziś wieczorem? Chciałabym cię zobaczyć.

- To znaczy do was? - w jego tonie wyczuła wahanie.

- A, chodzi ci o tych dziennikarzy... zresztą - dodała, wybiegając myślą naprzód - i tak nie moglibyśmy rozmawiać swobodnie przy mamie.

- Wyobrażam sobie, że ona bardzo to wszystko przeżywa.

28

- Wiesz, to zabawne, ale wcale nie. Ona po prostu w to wszystko nie wierzy.

Gerald roześmiał się.

- I bardzo dobrze. Problem w tym, moja miła, że inni w to wierzą.

- Mówisz o ludziach, którzy nie znają ojca - oświadczyła Erica z niewzruszonym przekonaniem. - Zresztą kiedy przesłuchają, jak należy, tych świadków z Australii, wycofają się z oskarżeń i cała sprawa się wyjaśni.

- Tak sądzisz?

Z góry dały się słyszeć odgłosy świadczące o tym, że matka już wstała i schodzi na dół.

- Muszę kończyć - powiedziała Erica z pośpiechem. - Wiesz co? Spotkajmy się gdzieś... na przykład u ciebie.

Odwiedzanie samotnego mężczyzny przez kobietę nie było w dobrym tonie, nawet w przypadku narzeczonych. Gerald zajmował eleganckie, choć niewielkie mieszkanie w pobliżu Pall Mall.

- To nie jest dobry pomysł, kotku - odpowiedział. - Zresztą mówiłaś chyba, że wasz dom otoczony jest przez reporterów?

- Tak, ale mogę się wymknąć kuchennymi drzwiami. Mogłabym bez kłopotu...

- Spotkajmy się na drinka w jakimś spokojnym miejscu, tak chyba będzie najlepiej, prawda? Gdzieś, gdzie nikt nas nie zna.

- Dobrze. Gdzie? Gerald myślał przez chwilę.

- Co byś powiedziała na Comedy Tavern? To jest zaraz za...

- W pubie?

Młode panny z dobrych domów nie chodziły do pubów.

- To nie jest żadna spelunka. Przychodzi tam mnóstwo ludzi z teatru, a nawet Edna Best czy Cicely Courtneidge.

- Dobrze, czyli spotkamy się tam, powiedzmy, o dziewiątej trzydzieści?

Tak więc po kolacji, kiedy rodzice odpoczywali w salonie, Erica wymknęła się cichcem kuchennymi drzwiami na boczną ulicę, machnęła na przejeżdżającą taksówkę i pojechała do Comedy Tavern.

Lokal był elegancki, na ścianach wisiały fotosy sław opatrzone autografami i stare afisze teatralne, oprawione w ramy. Gerald siedział przy stoliku w zacisznej niszy. Podniósł się, kiedy się zbliżyła.

- Czego się napijesz? - zapytał.

- Ach, nie wiem - odparła, zastanawiając się, co zamawia się w pubach. - Czy można poprosić o kieliszek wina?

- Porto czy sherry?

- Myślałam o zwykłym winie, o czymś lekkim.

- Nie, tego niestety tu nie podają.

- Trudno, w takim razie napiję się sherry.

36

Gerald przyniósł jej kieliszek i zajął swoje miejsce.

- Właśnie sobie przypomniałem... czy nie zapraszaliście na dzisiejszy wieczór Pierce'ów?

- Wymówili się od wizyty.

- Ach, tak?

- Obawiam się, że będzie nas to często spotykało - Erica nerwowo obracała kieliszek sherry w palcach. - Do tej pory nie rozumiałam, co to znaczy być na językach ludzi.

Czekała, żeby Gerald powiedział: „Szybko się zorientują, jak bardzo się mylili”, lecz on siedział zasępiony, bawiąc się krawatem.

- Kiedy ukazały się popołudniowe wydania gazet, znajomi w biurze mówili... że to nie wygląda dobrze.

- To zrozumiałe! Ludzie patrzą wyłącznie na nagłówki: oszustwo, wykroczenie przeciw prawu morskiemu, przeciw ustawie o przewozie towarów i, najgorsze ze wszystkiego, oskarżenie o zabójstwo. Ale oni nie rozumieją, że zarzut oszustwa jest bezpodstawny i bezsensowny; kiedy tylko ojciec się z tym upora, wszystkie inne oskarżenia będą pozbawione podstaw.

- Ale czy twój ojciec jest w stanie tego dowieść? - powątpiewał Gerald. - Posłuchaj, Erico, Wydział do Spraw Wykroczeń nie wnosi sprawy do sądu, jeżeli rzecz nie jest pewna.

Erica wlepiała w niego wzrok. Nagle jego szczupła twarz o regularnych rysach stała się obca.

- O co chodzi? - spytała. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że wierzysz w to wszystko?

- Próbuję cię tylko przekonać, że nie powinnaś traktować tego jak zwykle nieporozumienie, które można zbyć beztrudnym wzruszeniem ramion.

- Ależ to jest nieporozumienie.

- Czyżby? Dwa statki zatoniły, ładunek przewożony na jednym z nich szybko się odnalazł, na drugim zginęło pięciu ludzi... Ci, którzy przeżyli, mówią o spisku czy zмовie...

- Wiem o tym doskonale, Geraldzie! Lepiej od ciebie. Twierdzę tylko, że mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego.

- Oczywiście, kochanie - jego wzrok nakazywał, żeby zniżyła głos. - Staram ci się po prostu pokazać, jak to wygląda w oczach innych. A w biurze mówili dziś... wiesz... *cui bono!*

- Co to znaczy?

- Kto odnosi korzyść. - Wzruszył ramionami. - Ktoś tu coś namotał i nie możesz mieć pretensji do ludzi, którzy mówią, że zyskało na tym konto twojego ojca.

- Ależ to absurd! Mój ojciec nie ma kłopotów finansowych.
- Mówił, że twój sezon londyński kosztuje go więcej, niż jest w stanie zapłacić.

38

- To był żart, Geraldzie! Chyba rozumiesz, co to jest żart?
- Dobra, dobra, nie musisz mi zaraz skakać do oczu... Roześmiała się histerycznie.
- Czy tak się mówi w kręgach dyplomatycznych? - zapytała. - „Nie musisz mi zaraz skakać do oczu?”

Gerald był zły.

- Jeśli zamierzasz czepiać się każdego mojego słowa...
- Przepraszam, wybac mi. Ale miałam nadzieję...
- Że cp?

Że mnie pocieszysz, że powiesz mi, żebym się nie martwiła, bo wierzysz w mojego ojca - pomyślała. To właśnie chciała mu powiedzieć. Ale nie będzie go błagała o zrozumienie i współczucie. Jeżeli nie widzi, jak bardzo oczekuje od niego pomocy, nie ma sensu liczyć na cokolwiek. Widocznie mniej ich łączyło, niż sobie wyobrażała, i może właśnie w tej chwili rozstrzygają się losy ich związku.

- Po prostu nie mogę pojąć, dlaczego wszyscy, choćby ludzie w twoim biurze czy dziennikarze, zakładają z góry, że ojciec popełnił przestępstwo i to tylko po to, żeby się wzbogacić! Czy nie rozumieją, że w ten sposób czynią go odpowiedzialnym za śmierć tych pięciu mężczyzn?
- Okropieństwo! - mruknął Gerald.
- Ojciec był marynarzem w czasie wojny. Nigdy nie naraziłby życia innych marynarzy.
- Nie sądzę, żeby ludzie o tym pamiętali. Poza tym uważają oczywiście... - urwał.
- Co? Co uważają?
- Uważają prawdopodobnie, że jeśli ktoś ma takie pieniądze, jak twój ojciec, to musi być bezwzględny i bezlitosny.
- Bezwzględny i bezlitosny? - powtórzyła zaszokowana.
- No... w każdym razie w przeszłości. Nie słyszałaś pewnie nigdy mrozących krew w żyłach historyjek, które opowiada się przy portwajnie - zamilkł, świadomy, że powiedział za dużo.

Po chwili Erica odezwała się znużonym tonem:

- Więc myślisz, że on to zrobił.
- Wcale tego nie powiedziałem!

- **Może nie wprost. Ale ponieważ po kolacji, przy winie, słyszałeś z jego ust różne „męskie” opowieści, myślisz, że jest zdolny oszukać towarzystwa ubezpieczeniowe i posłać na pewną śmierć niewinnych ludzi.**
- **Wcale tak nie myślę!**
- **Wierzysz, że jest niewinny?**
- **Oczywiście.**
- **W takim razie, jeśli jakiś młody praktykant w twoim biurze zacznie opowiadać o ojcu okropne rzeczy, czy staniesz w jego obronie?**
- **Tak.**
- **A zrobiłeś to dzisiaj? Kiedy ktoś stwierdził, że w grę wchodzi**

niewątpliwie oszustwo i że zyskał na tym mój ojciec, czy wtedy wstałeś i oświadczyłeś: „Lindon Tregarvon nie jest człowiekiem, który byłby do tego zdolny”?

- Słuchaj, Erico, nie spodziewasz się chyba, że będę chodził i wygłaszał mowy w jego obronie?

Przez chwilę milczała.

- Ale gdybyśmy byli już małżeństwem, musiałbyś go bronić, prawda? - spytała. Nie mógłbyś dopuścić, żeby ludzie wyrażali takie opinie

o ojcu twojej żony.

Dostrzegła błysk w jego niebieskich oczach i wiedziała, że zdał sobie nagle sprawę z zagrożenia. Jeżeli ożeni się teraz z Ericą Tregarvon, niezależnie od tego, czy jej ojciec okaże się winny czy też nie, plotkarze zawsze będą mówili: „jego żona jest córką Tregarvona, pamiętasz chyba, tego, który był zamieszany w sprawę oszustwa”.

- Nie wiem, dlaczego uparcie wracasz wciąż do tego samego - powiedział z irytacją. - Oświadczyłem już, że uważam go za niewinnego

I jeśli ktokolwiek będzie przy mnie wypowiadał jakieś przesadzone opinie na ten temat, to je ukróczę. Ale wydaje mi się, że musisz się pogodzić z faktami: sprawa o oszustwo może ciągnąć się długo, zanim dotrze do sądu, a sama rozprawa też może trwać tygodniami. Nie będziesz chyba wymagała, żebym kłócił się ze wszystkimi moimi przyjaciółmi przez resztę roku. Bądź rozsądna.

- Niech Bóg broni, żebym miała stać się źródłem nieporozumień między tobą a twoimi przyjaciółmi.

- Niepotrzebnie unosisz się honorem...

- To niemądre z mojej strony, prawda? Pomyśleć tylko, sądziłam, że mój narzeczony będzie myślał przede wszystkim o mnie.

- Boże drogi, czego jeszcze chcesz? Przecież jestem tutaj z tobą?

- O, tak. W cichym, małym pubie, gdzie nikt nas nie zna. Fatalnie byłoby pokazać się publicznie z córką przestępcy.

- Dobrze, ironizuj sobie, jeśli chcesz, ale zapewniam cię, że niewielu mężczyzn miałoby ochotę, żeby ich kojarzono...

- Proszę cię - powiedziała Erica, powstrzymując go gestem ręki. - Nie chciałabym być dla ciebie przeszkodą. Przecież, w gruncie rzeczy, jesteśmy tylko zaręczeni. Nic nie jest jeszcze ustalone. Możemy zerwać zaręczyny, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej.

Pod jej spojrzeniem Gerald z wolna czerwieniał. Tab bardzo chciał powiedzieć: „Tak, zerwijmy zaręczyny”, ale nie zdobył się na wypowiedzenie tych słów.

Erica zdjęła diamentowy pierścionek z lewej ręki i położyła go na stole.

- Jesteś wolny - powiedziała. - Tak będzie najlepiej. Zdałeś sobie sprawę, że nie jestem najlepszą partią, a ja odkryłam, że właściwie nie bardzo cię lubię.

32

- Czekaj no, Erico... Lecz ona już się podniosła.

- Wszystko jest w porządku - oświadczyła. - Jeśli zdecydujesz, że jednak chcesz, żebyśmy byli nadal zaręczeni, możesz przyjść do mnie za kilka dni i spróbować mnie namówić na przyjęcie pierścionka...

Ale dobrze wiedziała, że on tego nie zrobi.

Gdy podawała taksówkarzowi adres, zapomniała go uprzedzić, żeby zajechał od tyłu domu. W rezultacie taksówka zatrzymała się przed bramą przy Park Lane i czekający dziennikarze rozpoznali ją, zanim zdążyła powiedzieć kierowcy, żeby pojechał dalej.

Była więc zmuszona wysiąść i ruszyć do tylnych drzwi. Popelniła błąd, bo reporterzy pognali za nią. Od tej chwili będą pilnować również i tej drogi ucieczki.

Matka położyła się już do łóżka. Ojciec był w gabinecie, ale wyjrzał, gdy zbliżała się do schodów.

- Jak tam, córeczko, pogadałaś sobie z Geraldem?

- Tak, to była bardzo pouczająca pogawędka.

Był na tyle zaabsorbowany swoimi sprawami, że nie zwrócił uwagi na ironię w jej głosie.

- To świetnie. Przeglądałem właśnie moje zapiski. Zdaje się, że w czasie, kiedy zostały podpisane polisy ubezpieczeniowe dla *Ganymede 'a*, byliśmy na Bahamach. Przypominasz sobie?

Erica spróbowała wrócić pamięcią wstecz, do roku poprzedzającego jej debiut, do czasu który teraz wydawał jej się tak bardzo odległy.

- To musiał być... kwiecień 1930 roku?

Ojciec skinął głową, wpatrując się w stronicę dziennika, który trzymał w ręku.

- Dwudziestego drugiego kwietnia. Mam tu wzmiankę: „Polisy podpisane i wysłane wraz z czekiem”.

Absolutnie w porządku. Szczerze mówiąc, nawet sobie tego nie przypominam.

- Pytałeś Timothy'ego?

- Oczywiście! Powracaliśmy do sprawy wielokrotnie, analizując ją wciąż na nowo. Żaden z nas nie pamięta niczego, co mogłoby budzić wątpliwość. Nie pierwszy'raz używaliśmy tej właśnie spółki; mamy w niej ubezpieczone cztery inne statki. - Uśmiechnął się ponuro. - Naturalnie, teraz spółka przestała czuć się pewnie - wysłali agentów, którzy badają, czy wszystko jest w porządku. Mówię ci, Erico, kiedy ludzie raz zaczną myśleć o kimś źle...

- Wszystko to jest wyssane z palca - odparła Erica podnosząc głowę, żeby go pocałować. - Zobaczysz, kiedy ci marynarze dotrą do Londynu i zostaną przesłuchani, okaże się, że sami uknuli cały ten spisek.

- Ta-ak - zgodził się, klepiąc ją po ramieniu, kiedy odsunęła się, by odejść. - Ale widzisz... jest jeszcze kwestia drugiego statku. Oznaczałoby to, że dwie załogi moje niezależnie od siebie wpadły na identyczny pomysł. Policja nie bardzo w to wierzy.

3 - Nieodrodna córka

33

Erica była zbyt zmęczona, by rozważać ten problem.

- Tato, daj już sobie spokój - poprosiła. - Lepiej wyśpij się porządnie.

- Tak, zrobię to. Mam jutro spotkanie ze Speldonem Banksem, muszę być w jako takim stanie, jeśli mam mówić z sensem. Dobranoc, dziecino. -Urwał, marszcząc brwi. - Bardzo mi przykro, Erico. Ta cała historia dotknęła również ciebie, a miałaś taki uroczy i pełen sukcesów sezon.

- To naprawdę nieistotne. Dobranoc, tato.

- Dobranoc.

Erica była tak wyczerpana, że zapadła natychmiast w głęboki sen. Ale koło trzeciej nad ranem obudził ją jakiś dziwny odgłos.

Leżała parę chwil, przekonując samą siebie, że pewnie coś jej się przyśniło, kiedy znów to usłyszała. Ktoś szedł po schodach.

Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i wyszła z sypialni; jej matka schodziła na palcach do holu.

- Mamo!

Amy drgnęła, odwróciła głowę, a potem położyła palec na ustach.

- Cii... - szepnęła. - Bo obudzimy ojca.

- Co ty robisz? - odszepnęła Erica, schodząc za matką po schodach.

- Nie mogę zasnąć. Wierciłam się i przestraszyłam się, że go obudzę... Więc pomyślałam, że zejść i postawię kilka pasjansów.

- Aha.

Erica objęła ramieniem matkę i poszły razem do salonu. Ogień już wygasł, ale Erica włączyła grzejnik elektryczny i zapaliła boczne lampy.

- Przydałaby ci się szklanka gorącego mleka - stwierdziła.

- Maitland dopilnowała, żebym wypila mleko przed pójściem do łóżka. Nie cierpię mleka, przynoszą je zawsze, kiedy dzieje się coś niedobrego.

- No to może filiżankę herbaty?

- Nie dzwoń! - zawołała Amy. - Nie należy wyciągać służby z łóżek w środku nocy.

- Ależ, mamo...

- Idź już, a ja po prostu postawię sobie spokojnie pasjansa.

- Skądże znowu, przecież nie zostawię cię samej. - Erica zrozumiała, że musi posłuchać matki. Karty bywały wybawieniem, kiedy matka dawała się Amy we znaki. - Dobrze, więc zagrajmy partyjkę wista.

- Nie, nie, wracaj do łóżka.

- Weźmiemy ten składany stolik.

Erica posadziła matkę w kącie kanapy, przyniosła stolik, wyjęła karty z szuflady biurka i usiadła naprzeciwko.

Losowały, kto rozda karty. Wypadło na matkę. Erica uśmiechnęła się do siebie widząc, jak Amy, która uwielbiała dotyk kart wyslizgujących się z jej palców, zabiera się do rozdawania.

- To co? Mizerka? - spytała, kiedy matka skończyła.

- Jak chcesz.

34

- Dobrze, niech będzie mizerka. Gotowa?

- Tak.

Gra toczyła się w przyjaznym milczeniu. Erica widziała, że karty pochłonęły całkowicie uwagę matki.

Erica chętnie wzięłaby z niej przykład, ale niestety, nigdy nie była tak zapalonym graczem. Jej mózg rejestrował automatycznie przebieg gry. Pewien Amerykanin, poznany na statku, powiedział kiedyś Ericie: „Powinna pani grać w pokera, ma pani do tego głowę”. Ale ona nigdy nie chciała grać w karty na pieniądze. Brydż, jej ulubiona gra, stanowił dla niej rozrywkę umysłową, pociągającą z racji niezbędnej strategii i taktyki, a nie drobnych sum pieniędzy, które można wygrać.

Po jakimś czasie uwaga matki rozproszyła się, głowa zaczęła jej ciążyć.

- Chyba... może przymknę na chwilę oczy, kochanie...

Erica ułożyła matkę wśród poduszek, przyniosła wełniany pled z szafy i otuliła Amy. Zastanawiała się przez chwilę, czy wrócić na górę do własnego łóżka, ale zdecydowała, że matka może się przestraszyć, gdy przebudzi się sama w salonie. Wobec tego przyniosła drugi koc i okrywszy się nim, zwinęła się w kłębek na szerokim fotelu. Tak zastała je pokojówka, która przyszła o szóstej wyczyścić kominek.

Wkrótce potem wpadł do salonu Lindon, który przeraził się nie na żarty, gdy zauważył, że nie ma przy nim żony. Erica próbowała go uciszyć, lecz- Amy przebudziła się na dźwięk głosu męża.

- Lindon? O co chodzi? - spytała zasnana.

- To ja cię chcę o to spytać! Co robisz tu na dole o świcie?

- Co takiego? Ja nie... aha... - Amy była strapiona i bliska łez z powodu zamieszania, które spowodowała.

- Ciii... - uspokajała ją Erica - Nic się nie stało. Chodź, pójdziemy na górę, wypijesz poranną herbatę i wszystko wróci do normy.

- Do normy? - westchnął ojciec. - Co w tym domu jest teraz normalne?

Amy poszła do własnego łóżka i zasnęła, zanim zaskoczona Maitland zdążyła podać poranną herbatę. Lindon skorzystał, że jest na nogach o tak wczesnej godzinie, by umyć się, ubrać i wyjść z domu, zanim powrócą dziennikarze.

Tak więc dzień zaczął się zamieszaniem, a sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Telefon dzwonił bez przerwy. Reporterzy opanowali ogród, zaglądając do okien na parterze i dzwoniąc raz po raz do drzwi wejściowych.

Podobnie było przez wszystkie następne dni. Tregarvonowie nauczyli się stosować taktykę obronną przed natarciem, ale czuli się wyczerpani. Erica widziała ponurego ojca, zdenerwowaną i przerażoną matkę i zmęczoną służbę.

Rozmowy toczone ze Speldonem Banksem na temat sprawy zdawały się nie przynosić oczekiwanych rezultatów; wciąż przychodził po nowe

dokumenty i zapiski osobiste, by opracować linię obrony. Erica spędzała mnóstwo czasu w gabinecie ojca. Gdy sortowała papiery myślała ze smutkiem do czego doprowadziło ich beztroskie, cygańskie życie na morzu. Tak właśnie pracował Lindon Tregarvon: prowadził interesy z salonu na którymś ze swoich statków, czy ze swego jachtu w Nassau albo z hotelu na Florydzie. Był z nimi zawsze sekretarz ojca, Timothy Perriman, który prowadził dokumentację, robił notatki, wysyłał telegramy i dłuższe depesze; nie był to powszechnie przyjęty tryb prowadzenia interesów, ale w przypadku Lindona Tregarvona metoda działała znakomicie. Aż do teraz. Pod koniec stycznia przybyli z Darwin dwaj mężczyźni, których świadectwo dało początek dochodzeniom policji. Wbrew oczekiwaniom Eriki, obstawali przy swojej wersji. Sprawa przeciw ojcu nie została wycofana. Miał stawić się w sądzie czwartego lutego, gdzie miano przedstawić oficjalny akt oskarżenia. Zostało ustalone, że adwokat udzieli odpowiedzi w jego imieniu i poprosi o możliwie szybką datę rozprawy, by położyć kres domysłom i pomówieniom, co przynosiło szkody i straty przedsiębiorstwa.

- Ależ ja myślałam, że to zostało dawno wyjaśnione! - zaprotestowała oszołomiona Amy, zwracając się do córki. - Przecież mówiłaś, zdaje się, że to była omyłka?

- Jak najbardziej, i wszystko na pewno się wyjaśni - uspokajała Erica. - Tylko potrwa to trochę dłużej, niż myśleliśmy.

- Ale ten... ten specjalny adwokat...

- Pan Banks.

- Tak. On coś mówił, że wszyscy będziemy musieli pójść do sądu?

- Jeszcze nic nie wiadomo. Pan Banks tylko rozważa, czy nas wezwać.

- Mnie? - Amy wciągnęła gwałtownie powietrze. - Ja mam coś mówić w sądzie? Przed tłumem obcych?

- Nie przejmuj się tym, mamu. Pan Banks powiedział, że opracowuje najlepszą linię obrony.

Drugiego lutego Lindon wyszedł wieczorem, by udać się na długą rozmowę z Timothyem. Obaj mężczyźni od jakiegoś czasu łamali sobie głowę usiłując dociec, co stało się z dokumentami dotyczącymi ubezpieczenia, ponieważ okazały się niekompletne. O północy Erica poszła do łóżka znużona i przygnębiona. Nie doczekała się ojca i nie powiedziała mu dobranoc.

O siódmej obudziło ją pukanie do drzwi. Usiadła, spodziewając się zobaczyć pokojówkę. Zamiast niej, w drzwiach ukazał się Hurrock.

- Panno Tregarvon, uważałem, że powinienem panią powiadomić. Przed chwilą poszedłem, jak zwykle, do garderoby pana Tregarvona z poranną herbatą," ale pana tam nie ma.

- Ojciec wrócił wczoraj bardzo późno i przypuszczalnie jeszcze się nie obudził.
- Nie, panienko, zajrzałem do sypialni - tam też go nie ma. W ogóle, panno Tregarvon, wygląda to tak, jakby nie wrócił na noc do domu.

47

Erica przetarła oczy.

- Podaj mi szlafrok, Hurrock, i poczekaj na korytarzu.
- Dobrze, panienko.

W chwilę później wyszła z pokoju.

- Jesteś pewien, że nie wrócił do domu?
- W holu nie ma jego płaszcza ani kapelusza.
- Wobec tego musiał spędzić noc w biurze.

Czasem się to zdarzało, gdy zachodziło coś wyjątkowo poważnego w świecie morskim.

Erica zeszła do gabinetu i wykręciła numer biura. Zawsze był tam ktoś na dyżurze, ponieważ statki muszą mieć stały kontakt z lądem. Telefon odebrał urzędnik z nocnej zmiany.

- Baillie? Mówi Erica Tregarvon.
- Tak, panno Tregarvon, rozpoznałem pani głos.
- Proszę mi powiedzieć, czy mój ojciec jest w biurze?
- Tutaj? Nie, panno Tregarvon, poza mną są tu tylko sprzątaczk.
- Nie ma go w biurze?
- Nie, panno Tregarvon.
- A był tam, kiedy przyszedł pan na nocną zmianę?
- Nie, była tylko telefonistka i urzędnik z dziennej zmiany.

- Dziękuję, Baillie.

Gdzież on się może podziewać? Musi być z Timothyem. Widocznie po długiej naradzie poszli razem do domu sekretarza. Wykręciła numer Timothy'ego, który podniósł słuchawkę niemal natychmiast.

- Timothy, czy mój ojciec jest u ciebie?
- U mnie? - W jego głosie slychać było wyraźne zdziwienie. - Ależ skąd, panno Tregarvon!
- Więc nie poszedł z tobą do domu, kiedy zakończyliście wieczorną rozmowę?
- Nie rozumiem?

- Ty i ojciec... mieliście zbadać dokumentację dotyczącą interesów sprzed dwóch lat.
- Skąd ta wiadomość?
- Przecież mój ojciec powiedział... Wczoraj po kolacji wyszedł do biura...
- Ale nie był umówiany ze mną, panno Tregarvon - w głosie Timothy'ego zadźwięczała nuta niepokoju. - Czy chce pani powiedzieć, że pani ojca nie ma teraz w domu?
- Tak. I wygląda na to, że nie wrócił wcale na noc. Myślałam, że może zaprosiłeś go do siebie...
- To chyba nie miałoby sensu, bo pani ojciec mieszka bliżej biura, niż ja. W każdym razie nie ma go tutaj i z całą pewnością nie byliśmy umówieni na wczorajszy wieczór.
- Co takiego?

- A on twierdził, że byliśmy?
- Tak, powiedział to wczoraj, wychodząc... Perriman milczał.
- Timothy?
- Zastanawiam się. Ależ tak! Jest z pewnością w swoim klubie.
- Ach, naturalnie! - wykrzyknęła Erica z ulgą.

Ale Lindona Tregarvona nie było także w klubie. Nie było go w żadnym z miejsc, w których Erica próbowała go znaleźć. Nigdzie się nie pojawił ani tego dnia, ani następnego dnia.

A nazajutrz był czwarty lutego, dzień, w którym Lindon Tregarvon powinien stawić się w sądzie. Panowie Winkworthe i Banks przybyli kwadrans przed wyznaczonym czasem, wciąż z nadzieją, że pan Tregarvon wkrótce przybędzie. Kiedy wywołano jego nazwisko, obaj weszli do sali sądowej.

Sędzia spytał, gdzie podział się ich klient. Jedyne, co mogli odpowiedzieć, to to, że spodziewają się go ujrzeć lada chwila. Sąd postanowił zaczekać.

O dziesiątej trzydzięci stało się jasne, że Lindon Tregarvon nie stawi się przed sądem.

3

Jeszcze przez kilka następnych dni Erica i jej matka w żaden sposób nie mogły w to wszystko uwierzyć.

- Musiał mieć jakiś wypadek - zawodziła Amy. - Pewnie leży nieprzytomny gdzieś w szpitalu!

A policja szukała Lindona Tregarvona. Sprawdzili wszystkie szpitale, rejestry wypadków, wreszcie miejsca, do których mógłby trafić człowiek dotknięty utratą pamięci - domy noclegowe Armii Zbawienia, tanie hotele.

Szukali także dziennikarze. Kilka dni przed rozprawą opuścili posiadłość Tregarvonów i przenieśli się w okolice sądu. Toteż kiedy Lindon Tregarvon wyszedł z domu wieczorem drugiego lutego, nie było nikogo, kto by go zaczepił, nikogo, komu przysłoby do głowy, żeby pójść jego śladem. Tak więc szukali i dziennikarze, bo teraz zanosilo się na olbrzymią sensację.

Nie odkryto niczego.

- Obawiam się, że pani mąż uciekł za granicę - powiedział inspektor Griffiths, a na jego twarzy malował się niemal wyraz współczucia.
- Nigdy by tego nie zrobił bez porozumienia ze mną! Inspektor zawahał się.
- Czy pan Tregarvon rzeczywiście nie kontaktował się z panią? Bo jeśli to zrobił, byłoby o wiele lepiej...

- Nie miałyśmy od niego żadnych wiadomości - wtrąciła Erica. - Nie mamy pojęcia, gdzie może przebywać.
- Czy ma jakichś przyjaciół, u których mógłby się schronić? Uśmiechnęła się z goryczą.
- W tej chwili Tregarvonowie chyba nie mają żadnych przyjaciół.
- Hm... A ci z dawnych lat? Był kiedyś marynarzem, prawda? Może ktoś z tamtych czasów?

- Mamo?

Amy potrząsnęła głową bezradnie.

- Jeśli nawet utrzymywał z kimś kontakty, to my nic o tym nie wiedziałyśmy - powiedziała Erica.

- Nietrudno się domyślić - inspektor zdawał się mówić bardziej do siebie, niż do słuchających go kobiet - że taki człowiek... mógł bez kłopotu zdobyć komplet dokumentów marynarza i dostać się na pokład jakiegoś statku handlowego...

- Ale nie zrobiłby tego - upierała się Amy ze łzami w oczach - bo i po cóż?

Odpowiedź była najoczywistsza z oczywistych. Lindon Tregarvon uciekł, ponieważ wiedział, że gdyby stanął przed sądem, zostałby uznany za winnego i skazany na więzienie.

Po kilku tygodniach policja nabrała przekonania, że poszukiwany przedostał się do Irlandii, a stamtąd prawdopodobnie do Stanów Zjednoczonych.

- Co pani wiadomo o stanie jego konta za granicą? - brzmiało następne pytanie.

- Konta? Ja... nie mam pojęcia o sprawach finansowych. Będziecie musieli zwrócić się do Timothy'ego.

Timothy Perriman udostępnił policji wszystkie dokumenty księgowe. Długimi, szczupłymi palcami przewracał stronę po stronie, wskazując kolejne pozycje. Erica patrzyła na niego z podziwem. Sytuacja finansowa spółki nie miała dla niego tajemnic, przypuszczalnie chował całą tę wiedzę w swojej wąskiej, ale pojemnej głowie.

- Rzecz jasna, przedsiębiorstwo nie jest ubogie, jak panowie tu widzą - powiedział półgłosem - ale tych pieniędzy można użyć jedynie posługując się książeczką czekową firmy, która musi być dodatkowo podpisana przez naszego głównego księgowego. Natomiast co do osobistego konta pana Tregarvona...

- Sprawdzaliśmy w banku. Nie podejmował żadnych większych sum.

- W takim razie - stwierdził Timothy z lekkim wzruszeniem ramion nie potrafię panom pomóc.

Po odejściu policjantów Erica zauważyła:

- Oni są zdania, że ojciec zgromadził gdzieś pieniądze.

- To tylko przypuszczenia.

- Timothy, czy ty sądzisz, że ojciec jest winny tego oszustwa ubezpieczeniowego?

- Oczywiście, że nie. Pani ojciec nie jest człowiekiem zachłannym. Nie miałby powodu zaplanować czegoś podobnego wyłącznie w celu osiągnięcia zysku.

- Policja uważa, że człowiek, który dorobił się dużych pieniędzy, nie będzie miał skrupułów co do sposobu, w jaki zdobędzie ich jeszcze więcej.

Timothy westchnął. Znajdowali się w biurze Lindona Tregarvona przy

52

Bishopsgate, w zacisznym wnętrzu zastawionym mahoniowymi meblami, z bogato zdobioną chińską tapetą na ścianach. Po szybach spływał zimny lutowy deszcz.

- Problem polega na tym - powiedział Timothy - że policja mówi o tych funduszach, jakby to było niewyczerpane źródło, tymczasem, jeśli tak dalej pójdzie...

- Spółka ma jakieś kłopoty? - spytała Erica, zaskoczona.

- Jeszcze nie. - Timothy wstał z fotela Tregarvona i zaczął spacerować miarowymi krokami do okna i z powrotem. - Niemniej ludzie, którym Tregarvon Line są winne pieniądze, zaczynają wysuwać żądania. Doszło też do mnie, że towarzystwo ubezpieczeniowe ma zamiar zażądać zwrotu pieniędzy, które wypłaciło za zatopione statki. A to poważnie naruszy nasze rezerwy.

- Ale wszystko się wyrówna? Spółka nie jest zagrożona? Zatrzymał się odwrócony do niej plecami. Nie ruszając się stwierdził:

- Jeszcze nie.

- Timothy!

Po chwili podszedł do Eriki. Spojrzał jej w oczy.

- Sytuacja nie jest łatwa - w opuszczonych kącikach jego wąskich warg, w wyrazie jasnoszarych oczu, kryła się troska i obawa. - Powinna się pani przygotować na dużo cięższe czasy.

- Cięższe? A jakie przeżywamy teraz, jak sądzisz? Wziął ją za rękę.

- Może być jeszcze gorzej, panno Tregarvon. Na pani miejscu pomyślałbym o wyjeździe na wieś. Chyba nie ma pani ochoty na spory z wierzycielami?

Erica milczała, wstrząśnięta jego słowami. Timothy wciąż trzymał ją za rękę.

- Myślę o pani matce - dodał. - Ona nie jest przygotowana do odpierania nacisków komorników...

- Komornicy!

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale uważam, że postąpią panie rozsądnie opuszczając Londyn.

Jestem pewien, że policja nie będzie miała żadnych obiekcji.

- Mówisz tak, jakby... nie sądziłam, żeby istniała najmniejsza obawa...

- Nawet najpotężniejsza firma może się zachwiać - odparł chłodnym tonem. - Zarząd robi, co może, żeby utrzymać równowagę finansową, ale musi pani wiedzieć, że pani ojciec był „kapitanem statku”. Pod jego nieobecność mamy mnóstwo kłopotów, ponieważ nie znamy jego planów. Niemniej robimy, co w naszej mocy.
- Uścisnął mocniej jej rękę. - Proszę nie martwić się na zapas, panno Tregarvon. Niech pani raczej pomyśli o opiece nad matką.

Erica nie potrzebowała zachęty. Amy była kompletnie załamania. Z wdzięcznością i ulgą przyjęła propozycję wyjazdu do domu na wsi,

41

a kiedy zasugerowano jej sprzedaż rezydencji przy Park Lane, zgodziła się bez cienia protestu. Tregarvon kupił dom za miastem z myślą o Ericie. Chciał, by mogła się tam spotykać z młodzieżą ziemiańską w okresie jej debiutu towarzyskiego. Dotychczas zawarto raczej znajomości niż przyjaźnie, ale taki stan rzeczy odpowiadał teraz najbardziej - i Amy, i Ericie Tregarvon. Nie miały ochoty na przyjmowanie gości i zdawkowe rozmowy, które oczywiście mogłyby dotyczyć tylko zbrodni, którą popełnił Lindon Tregarvon? Od czasu do czasu odwiedzał panie Winkworthe, informując o aktualnej sytuacji prawnej. Policja nadal szukała Tregarvona, a oskarżenie wzmocniono o kolejne przestępstwo - ucieczkę oskarżonego. Ale w miarę, jak tygodnie przeszły w miesiące, stało się oczywiste, że Tregarvon się nie odnajdzie.

- Nie będzie następnego odroczenia - oznajmił Winkworthe, potrząsając siwowłosą głową. - Kaucja przepadła. Sąd skłonny był przedłużać termin, ponieważ w grę wchodziła tak pokaźna suma, ale obecnie stwierdzono, że wyczerpały się wszelkie możliwości. Niestety, pani ojciec zorganizował to zniknięcie znakomicie. Prawdopodobnie wyjechał za granicę. Może do Ameryki Południowej...

- Nie zrobiłby tego! - protestowała niemal z płaczem Amy. - Nigdy by mi tego nie zrobił.

- A jednak zrobił, mamó - odpowiedziała Erica, okazując po raz pierwszy zniecierpliwienie. - Zniknął i nas zostawił, nie troszcząc się o konsekwencje.

- Sprawa sądowa została tymczasem odłożona ad acta - wtrącił Winkworthe, pragnąc przedstawić ich sytuację w jak najkorzystniejszym świetle. - Z powodu nieobecności pana Tregarvona rozprawa nie może się odbyć, choć ci dwaj mężczyźni wycofali swoje dotychczasowe zeznania. Jednakże towarzystwo ubezpieczeniowe uzyskało oficjalnie u sędziego Jerdona prawo do odszkodowania. Co oznacza przepadek następnej ogromnej kwoty... - Prawnik westchnął. - Pieniądze po prostu wyciekają. Wszyscy wierzyciele domagają się zwrotu należności. Obawiam się... poważnie się obawiam...

- Czego? - zapytała Erica, przestraszona powagą malującą się na jego twarzy.

- Obawiam się, że niebawem mogą panie odczuć kłopoty finansowe. A kiedy to nastąpi...

Erica poczuła następny przypływ irytacji i zniecierpliwienia, które ostatnio ogarniały ją coraz częściej. Czy prawnik nie mógł powiedzieć zwyczajnie tego, co miał do powiedzenia, zamiast tych wszystkich niedomówień i potrząsań głową?

Ale zaraz się opanowała. Naturalnie, unikał mówienia o rzeczach, które mogłyby zdenerwować matkę. Amy siedziała z pochyloną głową i oczami utkwionymi w zaciśniętych dłoniach. Gdyby tylko mogła, zasłoniłaby uszy

rękami. Nie chciała słuchać żadnych oskarżeń skierowanych przeciw Lindonowi.

- Mamo, czy nie poszłabyś powiedzieć Maitland, żeby podała herbatę? Amy zerwała się gorliwie. Wszystko było teraz lepsze od siedzenia

i wysłuchiwania niezyczliwych komentarzy na temat jej męża. Po jej wyjściu Winkworthe uśmiechną się do Eriki.

- Opiekuje się pani matką troskliwie. Dobrze, że nie musi stawić temu czoło samotnie.

- A czemu jeszcze musimy stawić czoło? - spytała w odpowiedzi Erica, przygotowując się wewnątrz na następny cios.

- Złożono nam ofertę. Ktoś chce kupić Tregarvon Line...

- Boże drogi! Przecież to niedorzeczne...

- Nie, Erico, wcale nie. Pieniądze wypływają szybciej, niż wpływają, a powszechne zaufanie do spółki zostało tak dalece podkopane, że banki nie udzielą nam więcej kredytu. Pani ojciec planował kupno dwóch następnych statków; umowy zostały oczywiście unieważnione, ale takie unieważnienie pociąga za sobą opłaty karne. Poza tym przygotowanie tras wiąże się z ponoszonymi z góry kosztami, a to również oznacza wypływ pieniędzy. W chwili obecnej Tregarvon Line ledwie się utrzymują na powierzchni, a do tego ileś statków stoi bezużytecznie w portach, zdobycie ładunku jest prawie niemożliwe, a jeśli chodzi o statki pasażerskie...

Erica usiłowała sobie to wyobrazić. Statki, tak dobrze jej znane, zakotwiczone teraz w przystani... puste, martwe. Trudno wprost uwierzyć. Miała jeszcze przed oczami krzątanicę i pośpiech, które tyle razy obserwowała z chwilą przybicia na nabrzeże: prędeej, prędeej, towar musi być wyladowany, a pasażerowie na brzegu, żeby statek mógł wyjść w morze z następnym przyplływem.

- Czy to ma znaczyć, że jesteśmy u progu bankructwa? - zapytała wreszcie.

- Jeszcze nie. Ale zapewne do tego dojdzie w najbliższej przyszłości. Więc rozumie pani, ta oferta kupna...

- Sę, pikujący w dół, żeby rzucić się na padlinę - zauważyła Erica głosem pełnym gorzkości.

- Może pani uważać, że to objaw nieczułości, ale świat biznesu, Erico, nie kieruje się sentymentem.

Towarzystwo Swiftway Line złożyło bardzo przyzwoitą ofertę. Doradzałbym stanowczo, żeby nakłoniła pani matkę do zgody na sprzedaż.

- A co sądzi o tym Timothy?

- To Timothy zwrócił moją uwagę na tę ofertę. Przez cały ten czas pracował z wielkim poświęceniem, Erico. Wykazał podziwu godną lojalność, zwłaszcza, że zaproponowano mu intratną posadę w Hamburgu. A on odmówił...
- Nigdy nawet o tym nie pomyślałam.
- Że praca Timothy'ego w Tregarvon Line nie ma przyszłości? Ale to

fakt. Timothy był osobistym sekretarzem pani ojca. Może pozostać na swoim stanowisku tylko do chwili przejęcia spółki przez nowego właściciela. Dlatego się spodziewałem, że skorzysta ze sposobności i przyjmie którąś z ofert.

- Ale tego nie zrobił. To pięknie o nim świadczy.

- Istotnie. Ponadto dokładał wszelkich starań, żeby wszystko szło gładko; zawdzięczamy mu także kontakt ze Swiftway Line, co powinno zapobiec całkowitej ruinie. Przekona pani matkę, mam nadzieję?

- Oczywiście. Ona podpisze wszystko, co będzie miało rekomendację moją lub Timothy'ego.

Ale tu się myliła. Amy Tregarvon nie miała głowy do interesów i nie zwykła była kierować się własnymi decyzjami. Wiedziała jedno - jej mąż nigdy nie sprzedałby swojej spółki okrętowej.

- Nie, nie, to nie może być słuszna decyzja. Ojciec nigdy by się na to nie zgodził.

- Ale, mamo, jego tu nie ma...

- Przecież o tym wiem... - wyszeptala Amy przez lzy. - Co dzień rano, kiedy otwieram oczy, próbuję się pogodzić z myślą, że nadszedł następny dzień, w którym go nie zobaczę. Nie mogę się z tym pogodzić. Wciąż czekam, że zaraz zacznę pogwizdywać w pokoju obok, że wychyli głowę zza drzwi, żeby mi powiedzieć, że jedzie do City...

- Mamo kochana, przestań o tym myśleć. Jego tu nie ma i nie będzie, dopóki sprawa nie jest zamknięta...

- Ale wróci, kiedy sprawę umorzą. Więc nie możemy sprzedać spółki.

- Oskarżenia nie zostaną wycofane... Nigdy. On tu nie wróci.

- Więc my pojedziemy do niego! Skontaktuje się z nami i my...

- Zrobiłabyś to? Zamieszkałabyś w jakiejś dziurze za granicą, kryjąc się przed światem? - Erica była wstrząśnięta.

- Ach, przecież spotykaliśmy mnóstwo osób w podobnej do naszej sytuacji... Nie ma w tym nic niezwykłego. Mam na myśli ludzi wyjeżdżających za granicę z powodu kłopotów w kraju. Są to na ogół osoby, które postąpiły lekkomyślnie, a teraz żyją na obczyźnie, utrzymując się z zupełnie niewielkich funduszy - wyjaśniła Amy, wycierając nos w chusteczkę i prostując się. - Widzisz, za granicą jest to całkiem możliwe. Więc musimy trzymać się spółki, żebyśmy mieli za co żyć, kiedy twój ojciec się odezwie...

- Ale nie możemy już na niej polegać, mamo. Spółka jest na progu bankructwa i wkrótce nie będzie pieniędzy na opłaty portowe i postojowe...

- Głupstwa. Ludzie zawsze będą potrzebowali statków. Spółka okrętowa zawsze przynosi dochody.

- Nie, mamo, to tak nie jest.

Ale Amy była przekonana, że wie lepiej. W ciągu wielu lat małżeństwa pływała z mężem. Morze i statek to był jej świat - stabilny i bezpieczny. Nic nie mogło zachwiać spółką okrętową: rozwijała się i prosperowała przez dwadzieścia pięć lat, więc musi być tak nadal.

58

Minął rok. Nadeszła jesień, potem zima. Amy w dalszym ciągu stanowczo odmawiała zgody na sprzedaż. U progu 1933 roku wierzyciele Tregarvon Line wnieśli do sądu pozew, w wyniku którego uznano spółkę za niewypłacalną. Wyznaczono zarząd powierniczy, podlegający komisji kontrolnej; należało ustalić, jakie poczynić kroki, by spłacić chociaż część długów.

- Nie rozumiem - oświadczyła oszołomiona Amy. - Jak mogą zabrać nam spółkę. Ona przecież należy do nas!

- Niestety nie, droga pani - powiedział Winkworthe. - Należała do pani męża, a teraz musi być sprzedana, bo trzeba spłacić jego długi. I bardzo mi przykro, ale ten dom także.

- Dom? Przecież nie mogą sprzedać mojego domu!

Erica i prawnik wyjaśniali cierpliwie, że dom został przejęty przez sąd, że komornicy zabiorą z niego wszystko z wyjątkiem rzeczy osobistych, a potem zostanie wystawiona na sprzedaż, ponieważ Lindon nie stawiał się w sądzie i nie zadbał o swój majątek.

- Ale gdzie wobec tego będziemy mieszkały? - zapytała Amy. Właściwie nigdy nie lubiła ich wiejskiej rezydencji, niemniej ostatnio nieruchomość była dla nich bezpieczną przystanią.

- Zamieszkamy w hotelu.

- Ach, naturalnie, w hotelu, póki wszystko się nie wyklaruje. Co byś powiedziała o Claridges? Zawsze go lubiłam.

Ale Erica wybrała skromną miejscowość nadmorską, gdzie wynajęła dla nich obu pokoje w hotelu Wessex. Nie były jednak całkowicie pozbawione środków do życia. Wśród ich „osobistych rzeczy” znajdowało się sporo biżuterii. Z pomocą pana Winkworthe Erica sprzedawała naszyjnik z pereł, który dostała z okazji swego debiutu. Uzyskane w ten sposób pieniądze zapewniły utrzymanie na kilka następnych miesięcy. Ale nowa sytuacja oznaczała rozstanie z wierną Maitland - której nie mogły wypłacać już pensji.

- Toć to wstyd i grzech - pochlipywała Maitland, kończąc pakowanie walizek Amy. - Tyle się pani nadaje, żeby sobie sama radzić w tym obcym świecie, co pisklątko, które wypadło z gniazda. Kochana pani Tregarvon, życzę pani gorąco wszystkiego najlepszego i nie dbam o to, co zrobił pani mąż, a jeśli kiedyś w

przyszłości będzie pani potrzebowała osobistej służącej, proszę tylko napisać słowo, a ja zaraz wymówię, gdziekolwiek bym była, bo wolę pracować u pani, niż u każdej innej, choćby najlepszej.

- Dziękuję ci, Maitland - odpowiedziała Amy, roniąc także łzy z powodu rozstania, chociaż nigdy przedtem nie myślała o swojej służącej jak o przyjaciółce. - Tak, z pewnością, kiedy tylko ten wszystko się wyjaśni, będę chciała mieć cię z powrotem.

- Oczywiście, proszę pani - zgodziła się Maitland, ale gdy napotkała wzrok Eriki zrozumiała, że nigdy do tego nie dojdzie.

Hotel Wessex w miasteczku Chobsea, staroświecki i spokojny, świecił pustkami w zimnej szarości lutego.

Mieszkała tam para stałych rezydentów,

45

którzy ożywili się na widok przybyłych, zwłaszcza gdy się dowiedzieli, że nowi goście to żona i córka przestępcy.

- To żadna dla pani ujma - zapewnił Ericę pułkownik Price. - Nie wierzę w odpowiedzialność za grzechy ojców, ot co.

- Dziękuję - odparła Erica, powstrzymując się od wyrażenia nadziei, że jakaś straszna choroba uciszy raz na zawsze nietaktownego dżentelmena. Okazję do rewanżu znalazła przy stoliku brydżowym - obie z matką były nie do pokonania.

Erica zaczęła rozglądać się za pracą, jednakże wielki krach z 1929 roku na Wall Street był wciąż odczuwalny. Wszelkie wolne posady proponowano w pierwszym rzędzie mężczyznom, a dopiero później mogły spróbować szczęścia kobiety. Erica wyraźnie go nie miała. Nie miała też żadnych kwalifikacji poza umiejętnością prowadzenia wielkoświatowego życia. Potrafiła planować menu, układać kwiaty w wazonach, pilnować rozmieszczenia gości przy stole, grać dobrze w tenisa i znakomicie w brydża. Ale tego rodzaju talenty nie były wcale poszukiwane.

- Najlepiej byłoby skończyć jakiś kurs - zasugerował właściciel jednego z biur pośrednictwa pracy. - Na przykład mogłaby się pani nauczyć stenografii i maszynopisania. A może skończyłaby pani kurs pielęgniarstwa?

- Ile czasu zająłby mi taki kurs?

- Stenografia i maszynopisanie... około pół roku. Pielęgniarstwo wymaga oczywiście trzech lat nauki z pobytem na miejscu. Ale jest też krótki kurs pielęgnacji niemowląt i opieki nad dziećmi. Wówczas, gdyby znalazła pani posadę, mieszkałaby pani u swoich pracodawców.

Kariera pielęgniarki czy niani była więc wykluczona. Erica nie mogła opuścić matki na okres praktyki w szpitalu, nie mogła również przyjąć żadnej posady z koniecznością zamieszkania na miejscu. Pozostawała stenografia i maszynopisanie. W Chobsea była tylko jedna szkoła kursów biurowych i do tego niezbyt zachęcająca, o ile Erica zdołała się zorientować, obojętnie jej dość zaniedbaną siedzibę w oficynie.

- Po skończeniu kursu może pani poszukać pracy tutaj, w Chobsea - powiedziano jej - ale lepsze posady oferują w większych miastach, jak Southampton czy Dover.

Ponieważ tak czy inaczej kurs był już w toku, Erica wstrzymała się chwilowo z decyzją. Czytała pilnie wszystkie ogłoszenia, szukając czegoś, czegokolwiek, co mogło zapewnić jakikolwiek zarobek. Zdała sobie

sprawę, że posiada jednak pewne umiejętności: mówiła biegle po francusku i hiszpańsku, mogła więc podjąć się pracy tłumaczki.

Ale nikt w Chobsea nie potrzebował tłumaczeń. Także w tej dziedzinie szanse zatrudnienia koncentrowały się głównie w portach. Wyglądało na to, że zdobycie pracy wiąże się z przeniesieniem do Dover czy Southampton, lub z powrotem do Londynu.

Zresztą i tak będą musiały wkrótce rozważyć tę kwestię. W miarę zbliżania się sezonu letniego zarządca Wessex coraz wyraźniej dawał im

61

do zrozumienia, że albo zdecydują się na wysokie opłaty letnie, albo będą musiały opuścić hotel. Erica nie rozmawiała jeszcze o tym z matką; dzięki swym talentom towarzyskim Amy zaprzyjaźniła się z innymi gośćmi hotelowymi, z którymi niełatwo przyjdzie jej się rozstać.

Pewnego dnia nadeszła paczka. Nadana była z biura pana Wink-worthe'a, ale okazało się, że był on tylko przekazicielem; nadawcą był pan Gaynor Medcalfe z Nassau na Bahamach.

„Droga pani Tregarvon - pisał - mam nadzieję, że mnie pani pamięta. Jakies dwa lata temu razem z mężem pani brałem udział w między klubowych regatach rozgrywanych w parach. Przysłał mi wówczas butelkę szampana. Z wielką radością kupiłem od zarządców masy upadłościowej jego jacht, *Margravine*, chociaż oczywiście nie cieszą mnie powody sprzedaży. To piękny jacht, pamięta pani z pewnością, jaki jest komfortowy. Obiecuję dbać o niego troskliwie. Pomyślałem, że sprawią pani przyjemność drobiazgi, które znalazłem w jednej z szuflad w salonie. Najlepsze życzenia od kolegi-jachtmana. Medcalfe”.

- Ach! - wykrzyknęła Amy. - A ja myślałam, że to znowu jakieś okropne urzędowe dokumenty i papiery... Popatrz no, Erico! Spójrz tylko!

W tekturowym pudełku znajdował się zestaw szczotek oprawionych w szylkret, składana srebrna ramka z fotografiami rodzinnymi i mały srebrny puchar z napisem:

Zwycięzca Regaty na New Providence 1929 Lindon Tregarvon

Naturalnie Amy natychmiast zalała się łzami. Erica opanowała się z trudem, by nie pójść w jej ślady. Te pamiątki szczęśliwych czasów sprawiły, że ich obecna sytuacja wydała się jeszcze bardziej szara i ponura. Erica pocieszała matkę, starając się odwrócić jej uwagę.

- Popatrz, twoja ślubna fotografia, jaka twarzowa była ta moda...

- O tak, i podkreślała smukłość sylwetki... Na szczęście miałam wtedy świetną figurę... A twój ojciec... cóż za piękny mężczyzna... A to jedyne zdjęcie Neville'a, jakie nam pozostało... miał trzy latka, kiedy umarł, moje biedactwo... '

Erica patrzyła na znajome niegdyś fotografie, które zawsze stały na blacie stołu, służącego ojcu za biurko, przy jego fotelu w salonie na jachcie. W centrum potrójnej składanej ramki z rzeźbionego srebra uśmiechali się nowożeńcy, stojący u wrót kościoła St George przy Hanover Square; po bokach, z jednej strony wizerunek małego dziecka, ledwie widocznego pośród obrzeżonych koronką poduszek, z drugiej - jej własny portret w wieku czterech lat, w marynarskiej bluzie i ciemnej spódnicy.

- Biedny Neville - szlochała Amy. - Nie chcieliśmy go narażać,

47

robiąc tradycyjne zdjęcie na skórze baraniej, był za delikatny, by ryzykować takie pozowanie. Dlatego potem, kochanie, nigdy nie chciałam się z tobą rozstawać, pragnęłam cię mieć zawsze przy sobie, żeby nie przydarzyło ci się nic złego...

W tym momencie, przygnieciona świadomością, jaki straszny los spotkał jej jedyne pozostałe przy życiu dziecko, Amy rzuciła się na łóżko, szlochając rozpaczliwie.

Pół godziny później, gdy udało się uspokoić matkę, Erica zaczęła mówić o przyszłości. Sposobność była dobra: po burzy emocji matka zachowała przypuszczalnie spokój na wiadomość o nowych kłopotach.

- Będziemy musiały wkrótce opuścić Wessex - zaczęła. - Czysze idą w górę z początkiem lipca...

- Naprawdę? Dlaczego?

- Ponieważ zaczyna się sezon wakacyjny i pan Abbot potrzebuje naszych pokoi, żeby wynająć je letnikom.

- Ale jeśli zapłacimy tę samą kwotę jak letnicy, to z pewnością...

- Nie możemy sobie na to pozwolić, mamó. To więcej, niż...

- A pułkownik Price? I panna Rand? Czy oni też się wyprowadzają?

- Nie, ale pułkownik Price poza swoją emeryturą wojskową ma dodatkowe dochody, a panna Rand, o ile wiem, czerpie korzyści z jakichś inwestycji. Więc, rozumiesz sama, oboje mogą zapłacić więcej, a ponadto obowiązuje specjalna zniżka, jeśli podpisuje się umowę na dwa lata z góry.

- A czy my nie mogłybyśmy tego zrobić? I dostać tę specjalną zniżkę? Amy nie chciała się wyprowadzać.

Ubiegły rok był pełen niepokojów

i obaw, ale w Wessex znalazła swój nowy dom.

- Na to jest już za późno - tłumaczyła Erica cierpliwie. - Pan Abbot przeznaczył nasze pokoje dla ludzi, którzy zarezerwowali je wcześniej na czas wakacji. Zresztą tak czy inaczej musiałybyśmy się wkrótce przeprowadzić.

- Tak uważasz? - Zdziwienie matki było autentyczne. Znalazły schronienie w tym miłym hotelu. I dlaczego więc muszą go opuścić?

- Widzisz, mamó, usiłuję znaleźć pracę. I z tego powodu będę musiała ukończyć jakieś kursy.

- Kursy? Czego?

- Myślałam o stenografii i maszynopisanii. Ale żeby pójść na taki kurs, musiałabym przenieść się do miasta większego od Chobsea, nie mówiąc o tym, że będą potrzebne mi pieniądze. Najlepszą szansą na ich zarobienie są tłumaczenia, ale tutaj nikt ich nie potrzebuje. Może jednak w Southampton...

- Miałybyśmy się przenieść do Southampton?
 - Albo do jakiegoś innego większego miasta. Może najlepszym rozwiązaniem byłby powrót do Londynu.
- Matka westchnęła.

48

- Londyn w czerwcu... Wszystkie bale i przyjęcia... uroczysta zmiana warty...
- To nas nie dotyczy - powiedziała Erica ostrzej, niż zamierzała. - Musiałybyśmy znaleźć jakiś niedrogi pokój.
- Mówisz o hotelu?
- Nie, po prostu pokój, mamó. Będziemy również musiały zająć się same gotowaniem i sprząaniem.
- Co takiego?

- Inni ludzie tak żyją! Zmywają sami naczynia i smażą sami jajecznicę!

- Wiem o tym, kochanie. Wiem, że są ludzie, którzy interesują się gotowaniem. W gazetach ukazują się artykuły o gotowaniu, szyciu i tym podobnych rzeczach. Ale... prawdę mówiąc... -[^]Irwała, marszcząc brwi nad mokrymi jeszcze od łez oczami. - Erico, jak się właściwie smaży jajecznicę?

Niezdecydowana, czy śmiać się czy płakać, Erica objęła matkę ramionami.

- To nieważne, nauczymy się! - zawołała.

Najważniejsze, że ziarno zostało zasiane. Za kilka dni, gdy Amy się oswoi z tym pomysłem, będą mogły przedyskutować sprawę i podjąć jakąś decyzję. Miały zwolnić pokoje hotelowe z końcem czerwca, więc Erica zabrała się bezzwłocznie do studiowania ogłoszeń w londyńskich dziennikach w poszukiwaniu taniego mieszkania.

Jednakże niełatwo było znaleźć cokolwiek odpowiedniego w przyzwoitych dzielnicach Londynu. Stopniowo Erica zrezygnowała z okolic, które знаła - Chelsea, Wimbledon czy Hampstead - i zaczęła rozważać miejsca typu Walworth. Walworth? Gdzie też mieściło się Walworth? Albo Stepney?

Siedziała właśnie w saloniku w Wessex, układając list do agenta nieruchomości w Battersea, który oferował tanie jednopokojowe mieszkanie, kiedy pojawiła się pokojówka.

- Jakiś dzentelmen do pani, panno Tregarvon.

Erica podniosła oczy, zdziwiona. Ani ona, ani matka nie miały gości.

- Pan Winkworthe? - spytała na chybił trafił, ponieważ było to najbardziej prawdopodobne.
- Pan Perriman.
- Timothy!

Chociaż Timothy czasem do nich pisał, a nawet telefonował, nie widziały się z nim od momentu opuszczenia Londynu. Nie było w tym nic dziwnego. Najpierw Timothy uginał się wprost pod nawalem pracy w okresie wcielania w życie procedur związanych z bankructwem spółki, a potem został bez pracy. Z pewnością był więc pochłonięty szukaniem nowej posady.

Zupełnie jak ja, pomyślała Erica, dodając w duchu z ironią: tyle że on ma o niebo lepsze kwalifikacje ode mnie.

4 - Nieodrodna córka

49

Zwróciła się do Bessie:

- Powiedz, proszę, panu Perrimanowi, że przyjdziemy za chwilę, Bessy. Zaprowadź go do Zakątka i przynieś herbatę dla trzech osób.

Zakątek był rogiem werandy, gdzie można było podjąć gościa we względnym odosobnieniu — choć wszystko, co działo się na terenie hotelu, stawało się prędzej czy później własnością publiczną.

Erica pospieszyła na górę, by zawiadomić matkę. Amy, wyrwana z popołudniowej drzemki, podniosła się natychmiast, poprawiając włosy.

- Timothy! Ach, jak miło! To taki przyzwoity młody człowiek! Zeszły razem na dół. Timothy wstał szybko z wiklinowego fotela, żeby

je powitać. Brązowowłosy, smukły i wysoki, ubrany był jak typowy wyższy urzędnik z City na weekendowy wyjazd - świetnie uszyty garnitur z jasnoszarej welny, gładka, jedwabna koszula i brązowe buty wypolerowane do połysku.

- Droga pani Tregarvon! Cóż za radość znów panią zobaczyć! Wygląda pani wspaniale. Panno Tregarvon, witam panią, nie widzieliśmy się od tak dawna!

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie. Amy posunęła się nawet do objęcia Timothy'ego. Był dla niej częścią jej własnej, tak drogiej przeszłości, kimś, kto znał i lubił Lindona. Erica również powitała go z przyjemnością, choć nie przyszłoby jej do głowy, żeby go obejmować. Timothy był osobistym sekretarzem ojca, bardzo dawnym znajomym, ale nie przyjacielem. W ramach konwencji, obowiązującej w jej przeszłym życiu, było to przypieczętowane faktem, że ona zwracała się do niego po imieniu, natomiast on nazywał ją panną Tregarvon.

Kiedy usiedli i Amy zaczęła nalewać herbatę, Timothy rozejrzał się wokół.

- To jest chyba dość typowy hotel nadmorski?

- Tak, i bardzo go sobie chwalimy. Pułkownik Price bywa czasem trochę nietaktowny, ale panna Rand...

- Mamo, Timothy z pewnością nie jest zainteresowany tymi osobami - wtrąciła Erica. - Rzeczywiście, to całkiem przyjemny, spokojny hotel. Poszczęściło nam się, choć wybrałam go zupełnie przypadkowo.

- Jedna kostka cukru, czy dwie, Timothy? Zapomniałam...

- Dziękuję, nie używam cukru. A... miewają panie jakieś wiadomości od pana Winkworthe'a?

- Niewiele, dzięki Bogu! Od czasu do czasu przysyła nam jakieś okropne dokumenty prawne. Nie miałam pojęcia, że te formalności mogą ciągnąć się tak długo.

- Obawiam się, że będzie jeszcze sporo dokumentów do podpisu -odparł Timothy z westchnieniem. -
Przeżywałem to samo. Ktokolwiek zjawiał się w biurze, żądał ksiąg do wglądu; wertowałem je pewnie ze sto razy. Mnie także pan Winkworthe przysyła papiery do podpisania. A propos - zawiesił głos, nieruchomiejąc z podniesioną do ust filiżanką - pan

50

Winkworthe powiedział mi, że poczciwa, kochana *Margravine* została sprzedana.

Erica roześmiała się.

- Poczciwa, kochana *Margravine*! Przecież ty jej nie cierpiałeś!

- Nic podobnego...

- Ależ tak! Zawsze chorowałeś na jej pokładzie...

- No, no, Erico, jeśli nawet wychowałaś się na pokładach statków, nie powinnaś sobie kpić z ludzi zapadających na chorobę morską. To bardzo uciążliwa dolegliwość.

- Nie mogę zaprzeczyć, że zawsze dawała mi się we znaki - potwierdził Timothy, potrząsając głową z udanym ubolewaniem. - Że też wśród tylu innych musiałem sobie wybrać na szefa eksmarynarza, który kochał fale morskie!

- Rzeczywiście, ciężka dola - zgodziła się Erica. - Ale kiedy zawijaliśmy do portu, mogłeś zatrzymać się w hotelu na lądzie. Pamiętam, że w Rio mieszkałeś w Monterosa.

- To prawda, była tam wspaniała orkiestra taneczna.

- A ja, ostatnim razem, kiedy przy płynęliśmy do Nassau na *Margravine*, zatrzymałam się w Royal Palms - przypomniała sobie Amy.

- Tak, masz rację, tam jest ten znakomity niedzielny bufet.

- Ale kto kupił *Margravine*? - zapytał Timothy.

- Bardzo miły człowiek! Przysłał mi różne osobiste drobiazgi Lindona... - urwała Amy, przelykając lzy. -
...Jego szczotki do włosów i srebrną ramkę z fotografiami.

- Przypominasz sobie Gay nora Medcalfe'a? - wtrąciła Erica, żeby dać matce czas na opanowanie wzruszenia.

- Potężny, hałaśliwy mężczyzna z żoną blondynką, która zawsze ubiera się na różowo...

- Medcalfe - powtórzył Timothy, wzruszając ramionami. - Nie pamiętam, żebym...

- No tak, ty nigdy nie brałeś udziału w regatach. Medcalfe ma bzika na punkcie regat oceanicznych. Dlatego właśnie kupił jacht. Właściwie *Margravine* powinna pływać w regatach znacznie częściej, ale ojciec...

Erica nie dokończyła. To wszystko wydawało jej się teraz takie odległe - te dyskusje o taktyce wyścigów, opracowywanie planów dotarcia na czas do takiego czy innego portu, żeby spotkać się tam z *Margravine* i jej załogą, a wszystko po to, by wziąć udział w regatach.

- Zakład, że dostał ją za pół ceny - powiedział Timothy z żalem. - Najgorszy problem z zarządcami masy upadłościowej polega na tym, że nie mają wielkiego pojęcia o wartości nietypowych obiektów. Bardzo chciałbym ją znów zobaczyć. Poczciwa, kochana *Margravine*. Wicie może, panie, dokąd nowy właściciel zamierza nią popłynąć?

- Nie wiem, czy będzie gdziekolwiek płynął - odparła Erica. - O ile pamiętam, jego bazą było Nassau. Jeśli jesteś naprawdę zainteresowany jej losami, zajrzyj do pism jachtingowych; znajdziesz tam listę jach-

68

tów startujących w różnych regatach, a *Margravine* z pewnością wystartuje.

- Tak, powinienem był o tym pomyśleć. Czy panie również zamierzają się za nią rozejrzeć?

- *Za Margravine?* - Erica była zdziwiona. Chociaż kochała jacht, myślała teraz o innych, poważniejszych sprawach. Wydawałoby się, że z Timothyem powinno być podobnie, tym bardziej że nigdy nie był zapalonym żeglarzem.

Amy zmieniła temat pytając, czy Timothy znalazł nową posadę.

- Nie, właściwie nie - odpowiedział, odwracając się i zaciągając zasłonę, bo przez szybę werandy wpadały promienie popołudniowego słońca. Miał teraz, w odróżnieniu od dawnych dni, typową bladą cerę mieszkańca wielkiego miasta. - Niewykluczone, że otworzę własny interes.

- Własny interes?! - wykrzyknęła Amy z podziwem. - Ależ to cudownie! Jaki interes, Timothy?

- Myślałem o... morskim doradztwie handlowym. Widzi pani, wiem sporo o międzynarodowym handlu morskim.

- Oczywiście! Lindon miał o tobie bardzo wysokie pojęcie. Nieraz mówił: „Timothy ma zawsze wszystkie potrzebne informacje na zawołanie”.

- Bardzo mi to pochlebia.

- Ależ nie, to szczerą prawdą. Jestem pewna, że twój interes będzie szedł wspaniale. A kiedy już się urządzisz, będziesz mógł dać pracę Erice.

- Mamo!

- Cóż takiego, kochanie, czemu nie miałabym go o to spytać? Szukasz pracy, a Timothy będzie wymarzoną pracodawcą.

- Mamo, przestań! - Erica gotowa była zapaść się pod ziemię ze wstydu i zażenowania.

- Czy rzeczywiście rozgląda się pani za pracą? - spytał Timothy, a jego przenikliwe szare oczy wyłowily mnóstwo informacji z zachowania matki i reakcji córki. - Znalazły się panie w trudnych warunkach?

- Trudnych! Erica była zmuszona sprzedać swoje perły. Oczywiście nie miało to aż takiego znaczenia, bo nie zdążyła się jeszcze do nich przywiązać, ale jeżeli będziemy musiały sprzedać którąś z moich błyskotek, wypłacę sobie oczy. Choć z drugiej strony, może byłoby to lepsze, niż przyglądanie się, jak Erica zamęcza się przy maszynie do pisania w jakimś ponurym biurze.

- Mamo, proszę cię.

- Szuka pani pracy maszynistki? - Timothy zmarszczył lekko brwi. - A umie pani pisać na maszynie?

- Jeszcze nie. Ale będę chodziła na lekcje...
- Mnóstwo kwalifikowanych maszynistek szuka teraz pracy - zauważył.
- Zdaję sobie z tego sprawę, Timothy, ale nie mam wyboru. Sądziłam,

70

że jeśli opanuję stenografię i maszynopisanie, to ze znajomością francuskiego i hiszpańskiego...

- Ale francuski i hiszpański język handlowy bardzo różni się od potocznego...
- Sama się o tym przekonałam - zgodziła się Erica. - Pożyczyłam z biblioteki fachową książkę i z trudem rozumiałam co dziesiąte słowo. Ty oczywiście jesteś w tym biegły - dodała z zazdrością. Dziwnie było zazdrościć mu czegokolwiek.

Timothy przeniósł wzrok z jednej kobiety na drugą.

- Chciałem spytać, Erico - powiedział - czy mógłbym zamienić z panią słowo na osobności.

Erica była zaskoczona. Podobnie jej matka.

- O co chodzi, Timothy? Czy może o jakieś interesy? Jeśli tak, to wiedz, że nie mamy przed tobą tajemnic. niesprawiedliwie byłoby obarczać Ericę całością naszych problemów.

- Nie, to sprawa osobista - wyjaśnił Timothy, a jego blada twarz lekko poczerwieniała.

Sprawa osobista? Erica nie wiedziała, co o tym myśleć. Timothy podniósł się z fotela.

- Czy moglibyśmy wyjść na krótki spacer?

- Właściwie... proszę bardzo. - Wzruszyła ramionami i przeszła przez szklane drzwi werandy do ogrodu. Po drugiej stronie trawnika krąg pachnących sosen zapewniał dawał schronienie przed czerwcowym słońcem.

- O co ci chodzi? - spytała dość raptownie, ponieważ czuła się trochę wytrącona z równowagi. - Jeśli to dotyczy mojego ojca, matka i tak będzie się musiała w końcu dowiedzieć.

- Nie, to nie dotyczy pana Tregarvona - odpowiedział Timothy pochylając głowę i wpatrując się w czubek własnego buta. - Erico, właściwie przyjechałem tu dzisiaj, żeby ci się oświadczyć.

Erica, dotąd lekko wytrącona z równowagi, teraz poczuła niemal zawrót głowy.

Pomyślała, że Timothy żartuje. Ale on zwrócił się do niej po imieniu, co nie zdarzyło się nigdy przedtem i sugerowało przejście na inny typ kontaktów. Przestała być panną Tregarvon, córką bogatego chlebobdawcy; stała się Ericą, z którą mógł rozmawiać, jak z równą sobie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Timothy Perriman. Wysoki, ciemnowłosy, dość przystojny, spokojny i dyskretny, obdarzony przenikliwym umysłem. Co właściwie o nim wiedziała? Prawdę mówiąc, nic. Zaczął pracować u jej ojca, kiedy miała piętnaście czy szesnaście lat.

Wkrótce zaczął towarzyszyć im w podróży, siadywał wraz z nimi do stołu w jadalniach na statku i w hotelach. Ich zagraniczni przyjaciele z dalekich miast zapraszali go razem z Tregarvonami.

Zawsze jednak była między nimi pewna różnica. Oni mówili do niego „Timothy”. A on do nich: „Panie, pani czy panno Tregarvon”.

Milczenie, które zaległo po niespodziewanych słowach Timothy'ego, stawało się kłopotliwie długie. Stali oboje pod sosnami, nie patrząc na siebie.

Timothy myślał: pokpiłem sprawę. Nie powinienem był wyskoczyć z tym tak nagle, bez żadnego uprzedzenia. Ale jak przygotować córkę szefa na propozycję małżeństwa ze strony byłego podwładnego?

Przysunął się trochę bliżej, biorąc ją za rękę.

- Przepraszam - powiedział - ale nie jest to dla mnie łatwe. Nigdy przedtem nikomu się nie oświadczałem. Z pewnością to powinno wypaść bardziej romantycznie.

Westchnął. Zdał sobie sprawę, że nie przyniósł jej nawet kwiatów. Głupiec. Tym bardziej że rozważał tę sprawę od wielu dni. Od chwili, kiedy Winkworthe powiedział mu...

54

- Jestem trochę zaskoczona - odparła Erica, nie usiłując oswobodzić ręki, choć kontakt z Timothyem wywoływał w niej dość dziwne uczucie. Nigdy jej nie dotykał, może z wyjątkiem podania jej dłoni przy wsiadaniu do samochodu, czy pomocy przy wchodzeniu na trap.

- Naprawdę? Musiałaś się chyba domyślać moich uczuć.

Nie, nie domyślała się wcale. W gruncie rzeczy nigdy się nie zastanowiła, co Timothy mógłby do niej czuć.

Gdyby ktokolwiek ją o to spytał, stwierdziłaby zapewne, że czuje do niej lekką niechęć czy nawet urazę. Była

oczkiem w głowie swego ojca, który gawędził z nią nieraz o poufnych sprawach w sposób, w jaki nigdy nie zrobiłby tego z podwładnym. Niekiedy ojciec zasięgał nawet jej opinii w sprawach interesów, a choć śmiał się z niektórych jej odpowiedzi, zdarzało mu się również kierować jej punktem widzenia. A to wcale nie musiało podobać się Timothy'emu.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć - odezwała się półgłosem, zmieszana i zła na siebie z racji tego zmieszania. Co się z nią działo? Przeżyła dosyć trudnych chwil w ciągu ostatnich dwóch lat, by nauczyć się radzić sobie w kłopotliwej sytuacji.

- Może powinienem zacząć od moich uczuć, Erico. Przedstawić ci całą sprawę, jeśli mogę użyć tego wyrażenia. Chcę, żebyś mnie zrozumiała. -Zatrzymał się, a ponieważ nie odpowiedziała, spytał: - Czy mam mówić dalej?

- Tak... owszem...

- Zacznijmy od tego, że znalazłyście się obie, ty i twoja matka, w bardzo trudnej sytuacji, która przypuszczalnie jeszcze dość długo nie ulegnie poprawie...

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Wybacz, wiem, że to zabrzmiało brutalnie, ale po tym całym skandalu...

- To przycichnie.

- Tak sądzisz? Widzisz, wasze nazwisko wyróżnia się wśród innych. Gdyby twój ojciec nazywał się zwyczajnie Smith czy Jones, mogłybyście obie zachować anonimowość. Ale nazwisko Tregarvon pozostanie w ludzkiej pamięci na długi czas.

Usłyszał jej westchnienie. Skinęła lekko głową.

- Więc pierwsza korzyść, jaką odniosłabyś z małżeństwa ze mną, to zmiana nazwiska.

Zauważył, że ona bierze głęboki oddech i wiedział, że powie: „Nie wyjdę za mąż tylko po to, żeby zmienić nazwisko”. Dorzucił więc pospiesznie.

- Oczywiście to powód drugoplanowy. Najważniejsze, że ty i twoja matka mogłybyście poczuć się bezpieczne. Otwieram własny interes i myślę, że mam wszelkie widoki na sukces. Widzisz, udało mi się odłożyć trochę pieniędzy; zainwestowałem je w czasie największego kryzysu, a sprzedałem, kiedy nadeszła poprawa, więc teraz dysponuję całkiem

pryzwoitą kwotą. To dobra baza wyjściowa i chociaż nie spodziewam się, że będę mógł ci zapewnić życie na takim poziomie, do jakiego byłaś przyzwyczajona, będzie ono bezsprzecznie lepsze od waszego życia w tym hotelu.

- Traktujesz to niemal, jak kwestię finansową.

- Bo w dużej mierze to kwestia finansowa, prawda?

Aż dziw, jak trudno mu było to wszystko wyrazić. Przepowiadając sobie wcześniej tę scenę, wyobrażał sobie, że ona odpowie: „tak, rzeczywiście”. Nie spodziewał się większego oporu. Przecież muszą być istotnie w ciężkich warunkach, a jeśli chodzi o znalezienie przez Ericę pracy, podobny pomysł był po prostu śmiechu wart. Przecież ona nic nie umie...

- Chcę ci powiedzieć - zaczął znów, przypominając sobie wszystkie argumenty - że powinniśmy myśleć o twojej matce. Nie można zapominać

o jej zdrowiu. To niebywałe, że mimo wszelkich przeciwności losu jest w takiej dobrej formie.

- Naturalnie troszczę się o zdrowie mamy - zgodziła się Erica. - Dlatego właśnie chcę rozpocząć pracę. Żeby zapewnić jej choć w pewnym stopniu bezpieczne życie.

- Ale posłuchaj, to byłoby zupełnie niepotrzebne! Zapewniłbym jej utrzymanie, mogłaby mieszkać razem z nami. Miałybyście przynajmniej pewny dach nad głową, a z czasem, mam nadzieję, osiągnąć znacznie więcej.

- Timothy, to bardzo szlachetnie z twojej strony...

- To sensowne wyjście, Erico. I chciałbym, żebyś wiedziała, że ja zawsze... zawsze...

Ale teraz Erica potrząsała głową i poczuł, że jej ręka wysuwa się z jego dłoni.

- Nigdy nie podejrzewałam, że czujesz do mnie coś szczególnego - powiedziała. - Wybacz, jeśli okazałam się niewrażliwa.

- Ależ nie, dlaczego miałabyś wiedzieć o czymkolwiek? Musiałem bardzo uważać, żeby się z niczym nie zdradzić, bo sytuacja byłaby ogromnie kłopotliwa, wprost niemożliwa...

- Niewątpliwie. - Więc tak to właśnie było? Timothy, skrywający swoje uczucia, bo zdradzenie się z nimi równałoby się jego zwolnieniu

1 nieujrzeniu jej więcej? Erica poczuła przyływ litości. - No, poza tym był przecież Gerald...

- Gch, od początku brałem pod uwagę możliwość, że zaręczysz się z kimś takim, jak on - odpowiedział. W jego głosie zabrzmiała pogardliwa nuta, której nie zdołał ukryć. Uważał Geralda Colberta za głupca o gładkich manierach. - Byłem na to przygotowany. Ale teraz... sytuacja się zmieniła, Erico; myślę, że bylibyśmy

dobrymi partnerami, ty i ja. Rozumiem, że nie odwzajemniasz moich uczuć, ale byłaś przecież... nie ślepo zakochana w Geraldzie, prawda?

I on we mnie też nie, pomyślała Erica. Timothy mówił rozsądnie.

56

W prozaicznej rzeczywistości sentymentalne romanse należały do sfery marzeń. W tej prozaicznej rzeczywistości gotowa była wyjść za Geralda i być dobrą żoną, dbającą o karierę męża, matką jego dzieci, panią domu przyjmującą jego przyjaciół. Małżeństwo z Timothyem zapewniłoby jej to samo, tyle że na mniejszą skalę; może nie wytworne bale w ambasadach czy uroczyste nominacje w zamorskich krajach - ale miałyby dom i służbę oraz wszystko to, czego tak bardzo potrzebowała jej matka.

Timothy wyraźnie czekał, żeby się odezwała. Ale ona nie mogła powiedzieć: „Dobrze, wyjdę za ciebie”. Za bardzo ją to wszystko zaskoczyło.

Timothy zrozumiał i kiwnął głową. Widział, że zrobił na niej wrażenie. Nie należało nalegać. Była zawsze tutaj, na miejscu, uwięziona w ciasnej nadmorskiej mieścinie z powodu trudności finansowych. Mógł wrócić tu nazajutrz i potem znów, za następnych kilka dni, i stopniowo nakłaniać ją do zaakceptowania jego propozycji. Właściwie tak to sobie zaplanował. Nie było potrzeby żądać od niej natychmiastowej odpowiedzi. W świecie biznesu nauczył się cenić cnotę cierpliwości.

- Przemyśl to - powiedział. - I omów z panią Tregarvon. Nie ma gwałtu, choć gdy podejmisz decyzję, nie będziesz musiała się już martwić

o pracę, ani cokolwiek innego.

- Masz rację, Timothy. Dziękuję ci.

- Dobrze. Wróćmy do hotelu. Nie zostanę dziś dłużej - zdecydował, podając jej ramię. - Byłoby to może trochę krępujące, bo twoja matka będzie pewnie chciała wiedzieć o czym...

- O tak - przytaknęła Erica z ulgą.

Poczuła przyływ wdzięczności dla Timothy'ego, który okazał się wyrozumiały i taktowny. Zabawne, nigdy przedtem nie uświadamiała sobie, że on może mieć takie zalety... - Kiedy skierowali się w stronę werandy, lzy stanęły jej w oczach. Jakąż egocentryczką była w przeszłości, jak niewiele uwagi poświęcała komukolwiek poza sobą.

Gdy wrócili, Amy jadła właśnie lukrowane ciasteczko. Odłożyła je na talerzyk, przyglądając się obojgu z ciekawością. Pomyślała, że Timothy wygląda trochę uroczyście, podczas gdy Erica miała zarumienione policzki

I wydawała się nieco rozstrojona. Ale czym?

- Muszę już iść, droga pani - powiedział Timothy, kłaniając się na pożegnanie.

- Ale przecież dopiero co przyszedłeś! I nawet nie spróbowałeś ciasteczek! - Amy czuła się zbita z tropu. Ich pierwszy gość opuszczał je, nim zdołały go przyjąć jak należy.

- Dziękuję pani, może następnym razem - odparł Timothy i skinął głową Erice. - Dzisiaj mamy czwartek; może przyjechałbym w sobotę?

- O... tak... tak, oczywiście.

I zniknął im z oczu, skręcając za róg werandy w drodze do holu. Amy patrzyła za nim szeroko rozwartymi oczami.

75

- **Niesłychane! Przecież przyjechał tu chyba aż z Londynu, żeby nas odwiedzić, a nie został nawet pół godziny! Erica usiadła i nalala sobie herbaty. Czowała suchość w ustach. Ręka jej lekko drżała, kiedy sięgnęła po mleko.**
- **O czym Timothy chciał z tobą rozmawiać? - zapytała Amy. - Powiedział, że to sprawa osobista, ale wyobrażam sobie, że chodzi o jakąś następną okropną rzecz dotyczącą twojego ojca, o której nie chciał mówić przy mnie.**
- **Nie. To zupełnie co innego. Timothy zaproponował mi, żebym za niego wyszła - wyznała Erica cicho.**
- **Co takiego? - Amy nie pojęła sensu słów córki. - Co powiedziałaś?**
- **Zaproponował mi, żebym za niego wyszła.**
- **Timothy?**
- **Tak.**
- **Zaproponował ci... - Amy urwała. - Nie opowiadaj głupstw.**
- **Naprawdę, mamo. Powiedział, że zawsze żywił do mnie specjalne uczucia, tylko się z nimi ukrywał. A teraz sądzi, że małżeństwo z nim rozwiązałoby wszystkie nasze problemy. Przelknęła łyk herbaty i uniósłwszy wzrok znad filiżanki, obserwowała reakcję Amy, która próbowała się oswoić z nowiną. Po chwili na ustach matki pojawił się lekki uśmiech.**
- **No, no! - powiedziała pani Tregarvon.**
- **Czy to oznacza, że jesteś zadowolona?**
- **Skarbie, to jest wreszcie jakaś dobra wiadomość, chyba przyznasz sama. Wszystko było tak przygnębiające w ciągu tych ostatnich strasznych miesięcy... choć nie powiedziałam ani słowa, uważam, że Gerald zachował się skandalicznie.**
- **Lepiej, że tak się stało - stwierdziła Erica, wzdychając w duchu. - Okazało się, że właściwie wcale go nie znam.**
- **No, tego z pewnością nie możesz powiedzieć o Timothy. Znasz go od lat.**
- **Tak sądzisz?**
- **Jak to! Oczywiście, że go znasz. Od co najmniej sześciu czy siedmiu lat.**
- **Myślałam o czym innym. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście choć trochę go znam. Po prostu zgłupiałam, kiedy zaczął mówić o małżeństwie. Nigdy mi do głowy nawet nie przyszło, że może coś do mnie czuć...**

- Istotnie, to jest trochę... no, ale jesteś przecież bardzo ładną dziewczyną, a on stale przebywał w naszym towarzystwie.

- Ale, mam, powiedz uczciwie, czy zauważyłaś, żeby on choć raz okazał mi coś poza zwykłą uprzejmością? Albo postąpił tak, jak podobno postępują zakochani? Na przykład zatrzymał jakąś pamiątkę... karnet balowy czy chusteczkę? Czy wydał ci się kiedykolwiek smutny po moim odejściu?

58

Amy ściągnęła wargi.

- Nie. Ale gdyby zrobił coś podobnego, to trzymałby to w tajemnicy. Twój ojciec zwolniłby go natychmiast, jeśli zauważyłby jakieś przejawy sentymentów.

- To prawda. Mnie również przyszło to do głowy. Lecz wydaje mi się, że gdyby mnie kochał, musiałabym to wyczuć.

- Nie, dlaczego, kochanie? Kiedy rozpoczął pracę, byłaś jeszcze bardzo młodziutka, a my prowadziliśmy życie na wielką skalę. Następnie wyjechałaś do szkoły, gdzie, jak sobie wyobrażam, robiono wszystko, by nie zachęcać dziewcząt do marzeń o romansach, chyba że chodziło

o młodego człowieka przyjętego przez rodziców. A potem nadszedł twój sezon. Nie miałaś kiedy myśleć o Timothy, ćwicząc dworskie ukłony.

Odsuwając filiżankę, Erica oparła się wygodniej w fotelu i zakryła oczy ręką.

- To było okropne, mam! Nie wiedziałam, co powiedzieć!

- A co miałaś ochotę powiedzieć?

- Chciałam powiedzieć: „Zapomnijmy, że kiedykolwiek mi to zaproponowałaś”.

- Ale tego, rzecz jasna, zrobić nie można. Timothy mówił, że przyjedzie w sobotę. Czy masz mu dać odpowiedź?

- Tak.

- I co mu odpowiesz?

- A co powinnam odpowiedzieć?

Zapadło długie milczenie, tak długie, że Erica cofnęła rękę, żeby spojrzeć na matkę. Amy kiwała głową, jakby potakując swoim myślom.

- Uważasz, że powinnam powiedzieć „tak”?

- Dlaczegoż by nie, córeczko? Jest miłym chłopcem i znamy go dobrze, prawda? O ile pamiętam, chodził do jednej ze skromniejszych szkół, ale jednak do renomowanej... Poznałam kiedyś jego rodziców, pana Ralpa Perrimana i jego żonę; zdaje mi się, że ona jest z domu Hickson. Dobra rodzina, choć bez grosza. Jej mąż zmarł na jakąś oskrzelową dolegliwość... pamiętam, że Timothy jechał na pogrzeb swego ojca, to było chyba trzy lata temu. Nie wiem dobrze, co się stało z jego matką, chyba mówił, że przeniosła się do swojej siostry mieszkającej w Afryce Południowej. - Pani Tregarvon przerwała, by zaczerpnąć tchu. - No i przy tym Timothy jest mądry i bystry. Powiedział, że ma nadzieję osiągnąć sukces, i sądzę, że mu się to uda. Słowem, Erico, myślę, że to całkiem dobra partia. Dobra partia. Czemu zmroziło ją, gdy usłyszała znów te słowa? Kiedy powtarzano je w okresie jej zaręczyn z Geraldem, była uszczęśliwiona. Teraz te same słowa wydały jej się zimne i wyrachowane.

Zawahała się.

- A co z uczuciem? Nie umiem wzbudzić w sobie ani krzty afektu dla Timothy'ego.

- Ależ, kochanie, przecież z Geraldem też nie łączyło cię wielkie

uczucie. Lubiałś go, był dla ciebie stosownym partnerem, więc sprawa została postanowiona. Podobnie jest z Timothy. Lubisz go, a on się oświadczył...

- Ale tylko dlatego, że się oświadczył...

- Erico, większość kobiet musi się zadowolić najlepszą z możliwości...

- Nieprawda! Ty i ojciec byliście w sobie zakochani, kiedyście się pobierali! Słyszałam nieraz, jak sami o tym mówiliście.

- No tak. - Amy zamilkła na chwilę, wracając pamięcią do młodych lat. - Tak, to było całkiem co innego.

Miałam wielkie szczęście, córeczko. Wiesz, że twój ojciec i ja pochodzimy z tej samej części Kornwalii; los zetknął nas, kiedy Lindon był zaledwie u progu kariery w marynarce handlowej. Ale wiesz co? Gdyby nie pojawił się akurat wtedy, wyszłabym za mąż za Harolda Dudleya, który już prawie mi się oświadczył. Byliśmy właściwie parą, choć nieoficjalnie, bo nie dostałam jeszcze pierścionka, rozumiesz. - Amy umilkła. Po chwili potrząsnęła lekko głową i powróciła do poprzednich argumentów. - Nie każdą dziewczynę spotyka podobne szczęście. A od czasu wojny mamy taki brak mężczyzn, że mnóstwo dziewcząt pozostało samotnych. Tak, stanowczo należy wykorzystać tę sposobność, skoro się nadarza.

Erica słuchała z rosnącym przekonaniem, że matka ma rację. W gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty zdobywać kwalifikacji stenotypistki i maszynistki, a następnie pracować dziewięć godzin dziennie w ciasnym pokoju biurowym przypominającym kurnik. Nie chciała spędzać życia, troszcząc się o pieniądze, nie znajdowała satysfakcji w statusie zubożalej dziedziczki. Nie pragnęła dźwigać samotnie odpowiedzialności za losy swojej matki. Z pewnością lepiej było poślubić mężczyznę, który ją kochał od lat. Ona również nauczy się go kochać.

- Wiem, że masz słuszość - powiedziała do matki. - Po prostu czułam się ogromnie zaskoczona.

- Ale zaczynasz się oswajać z tą myślą - odparła Amy zachęcającym tonem.

- Chyba tak.

- Rozwiązałoby to tak wiele problemów, Erico. Powiedziałas, że musimy wyprowadzić się z Wessex, no więc po prostu ty przeniesiesz się do swojego nowego domu, a ja na pewno znajdę jakieś małe mieszkanie.

- Zamieszkaś razem z nami - stwierdziła Erica natychmiast.

- Ach, raczej nie, kochanie, wiesz, młoda para...

Erica omal nie powiedziała: „przecież to absurd”; nie potrafiła sobie wyobrazić samej siebie w roli młodej mężatki, w nowym domu u boku Timothy'ego, z którym pragnęłaby być sam na sam. Zamiast tego oznajmiła:

- Timothy mówił wyraźnie, że chce, żebyś z nami zamieszkała.

- Tak powiedział? Jak to miło z jego strony! Naprawdę, to bardzo sympatyczny chłopiec, Erico. - Z promiennym uśmiechem sięgnęła po-
60

lukrowane ciasteczko i zaczęła je pogryzać. - Letni ślub byłby uroczy. Oczywiście będziesz miała białą suknię?

- Nie wiem... może to się odbędzie w urzędzie stanu cywilnego...

- Ach nie, uchwaj, Boże! Wiem, że nie możemy zorganizować uroczystości na wielką skalę z mnóstwem przyjaciół, bo... - Amy nie dokończyła. Nie miały już przyjaciół. - Ale jest ta piękna suknia uszyta na twój debiut. Powinnaś koniecznie ją włożyć, przecież leży bezużytecznie, spakowana w którymś z kufrów.

- Zobaczmy.

Rozmowę przerwała panna Rand. Wracła właśnie od znajomych, gdzie spędziła popołudnie grając w krokieta.

- Podobno miały panie gościa - zagadnęła.

Erica jęknęła w duchu. Za parę godzin, jakimś dziwnym sposobem, wszyscy będą wiedzieli, że ktoś się o nią stara i że ona myśli o ślubie. Przesławszy matce ostrzegawcze spojrzenie, dziewczyna umknęła z salonu.

Podczas wieczornej partii brydża Erica była wyraźnie roztargniona. Spała źle. Około czwartej nad ranem, całkowicie wybita ze snu, zaczęła rozmyślać o własnym życiu.

Jeżeli poślubi Timothy'ego, jej przyszłość będzie zapewniona. Będzie miała męża i, być może, dzieci. Życie samotnej kobiety jest ciężkie i przeważnie - wizja nie do pozazdroszczenia - czeka ją los starej panny. Tak więc z jej własnego, osobistego punktu widzenia, małżeństwo było najlepszym rozwiązaniem.

Oczywiście zyska także na tym jej matka, zamieniając wątpliwy komfort życia w hotelu czy maleńkim mieszkaniu na wygodny i bezpieczny dom. Matka zawsze miała zdolność łatwego nawiązywania kontaktów, więc jako teściowa dobrze prosperującego biznesmena szybko zdobędzie sobie grono znajomych. Może nikt nie zwróci nawet uwagi, że jej mężem był oszust Lindon Tregarvon.

Była to kusząca perspektywa.

Choć nie pozbawiona wad. Miała wyjść za człowieka, którego prawie nie знаła; a nawet jeśli w jakimś sensie znała, nigdy nie traktowała jak równego sobie. Naturalnie taka postawa była naganna, o czym teraz

wiedziała. Niemniej przez wiele lat Timothy był dla niej osobą, której mogła wydawać polecenia. Czy na tym mogło opierać się małżeństwo?

No cóż, będzie się musiała nauczyć szacunku dla niego. Miłość, szacunek, posłuszeństwo — to formuła ślubnej przysięgi. Jeśli to małżeństwo miało mieć szanse powodzenia, będzie się musiała dobrze jej nauczyć.

Ptaki zaczęły budzić się ze snu. Pierwsze zaświergotały jaskółki, potem dołączył do nich gwizd kosa. Erica usiadła w pościeli. Budzik na stoliku nocnym wskazywał piątą rano. Wstała i podeszła do okna. Poranne słońce padało ukośnie na ogród, długie cienie sosen kładły się ciemnymi plamami na jasnej zieleni trawy.

Umyła się i ubrała bezgłośnie. Otworzyła frontowe drzwi, zanurzając

się w ciszę piątkowego poranka. Sąsiednie domy, stojące przy szerokiej ulicy, pogrążone były jeszcze we śnie. Jej kroki na bruku dudniły tak głośno, że zesłała na piaszczyste pobocze.

Gdy znalazła się na bulwarze, zatrzymała się i oparła o balustradę. Patrzyła na niespokojne morze. Mewy śmigły w dół i podrywały się zaraz szybkim lotem, krzyząc wysokimi głosami, czatując na małe makrele w zatoce. Kuter z pobliskiej wioski rybackiej po zachodniej stronie powracał do przystani z porannym połowem.

Muszę to zrobić, powiedziała Erica do siebie, przyglądając się znajomej scenerii. Zwłaszcza dla mamy będzie to bez wątpienia najlepsze wyjście. Małżeństwo z Timothyem może okazać się nie najgorsze... Nie zważała, że zacisnęła dłonie w pięści, tak jakby chciała utwierdzić się w swojej decyzji.

Nie miała okazji powiedzieć matce, iż postanowienie zostało powzięte. Amy zawsze wstawiała późno, tak późno, że z trudem udawało jej się zdążyć na śniadanie, co było źródłem niezadowolenia obsługi. Inni mieszkańcy hotelu byli dawno na nogach, zajęci wybieraniem gazet ze stolika, przeglądaniem poczty, rezerwowaniem najlepszych krzeseł na werandzie.

O jedenastej podawano kawę. Erica planowała wziąć obie filiżanki i zaprowadzić matkę do jakiegoś ustronnego miejsca w ogrodzie, by powiadomić ją o swojej decyzji. Lecz na pół godziny przed pojawieniem się tacy z kawą w holu, przed hotel zajechał okazałych rozmiarów samochód. Erica, która przechadzała się, nie mogąc usiedzieć na miejscu, podeszła do okna i wyjrzała.

Ku swemu zdumieniu dostrzegła znajomą postać. Był nią kapitan Swinford z *Langrovii*, flagowego statku pasażerskiego z flotylli należącej niegdyś do jej ojca.

Amy, zwabiona jej okrzykiem zdziwienia, podeszła i stanęła obok.

- Co się stało, kochanie? ...Ach! - Ponad ramieniem córki dojrzała stojącego na żwirowanym podjeździe przybysza.

Kapitan Swinford, nieświadomy że jest obserwowany, zerknął na cukierkowo różową fasadę hotelu, potrząsnął głową i wszedł pod daszek nad drzwiami frontowymi, znikając z pola widzenia.

W chwilę później do sali zajrzała Bessie.

- Jeszcze jeden gość do pań Tregarvon - oświadczyła uroczyście.

- No, no, ma się wzięcie! - skomentowała zazdrośnie pani Eyott. Posławszy błady uśmiech w jej kierunku, Amy oddaliła się prędko,
a Erica pospieszyła śladem matki.

Kapitan Swinford ruszył ku nim, kiedy tylko przeszły przez próg.

- Pani Tregarvon! Droga, kochana pani! Nie widzieliśmy się od tak dawna! I panna Erica!

Każda z nich pochwyciła jedną z wyciągniętych dłoni kapitana. Był ich starym, dobrym przyjacielem, kapitanem statku, który obie lubiły najbar-

83

dziej. Często z nim podróżowały, zapraszane do jego stołu oraz do salonu, gdzie podejmował najznakomitszych gości spośród pasażerów.

Ten potężny, krzepki mężczyzna wyglądał dziwnie w cywilnym ubraniu. Widywały go zwykle w śnieżnobiałych spodniach od munduru i płaskiej, równie białej czapce z lśniącym czarnym daszkiem. Ale nawet w sportowej marynarce i wełnianych spodniach przedstawiał się imponująco - mierzący ponad sześć stóp, o szerokich barach i wąskich błękitnych oczach w ogorzalej twarzy.

Obie kobiety zasypały go gradem pytań. Jak się miewa pani Swinford? A dzieci? Antony jest już na uniwersytecie - nie do wiary!

W tym momencie podeszła do nich pokojówka.

- Jeśli życzy sobie pani zabrać gościa do Zakątka, madam, to zaraz podam państwu kawę.

- Dziękuję, Bessie - Amy uśmiechnęła się z wdzięcznością, choć wiedziała doskonale, że Bessie będzie podsłuchiwała i powtórzy to, co usłyszy.

Kiedy zasiedli w wiklinowych fotelach, Amy zadała oczywiste pytanie.

- Ale co pana tu sprowadza, kapitanie?

- No, przede wszystkim chciałem się przekonać, jak sobie panie dają radę. Pan Grahme i ja zastanawialiśmy się od jakiegoś czasu...

- Ale jak pan nas tu znalazł?

- Zatelefonowałem po prostu do pana Winkworthe'a. Zresztą utrzymywaliśmy stały kontakt podczas załatwiania tych zawyłych i przygnębiających spraw związanych z bankructwem spółki.

- To musiał być dla pana bardzo trudny okres - wtrąciła Erica, uświadamiając to sobie po raz pierwszy.

Wszyscy pracownicy Tregarvon Line musieli żyć w obawie o pracę przez cały ten czas, podczas gdy zarządcy masy upadłościowej sprawdzali rachunkowość spółki.

- Na szczęście cała ta historia jest już za nami. Wiedzą panie pewnie, że *Langrovia* kupił Bletcham Diamond?

Erica skinęła głową. Bletcham Diamond Line zawsze chciała mieć statek kalibru *Langrovii*, obawiano się jednak przed zainwestowaniem pieniędzy w jego budowę.

- Pewnie udało im się zrobić świetny interes? - spytała ze smutkiem.

- Tak, te szczury lądowe okazały się całkiem przemyślne - odparł kapitan ze złością. - Czekali aż cena dostatecznie spadnie, powiedziałbym na dno, i wtedy się zdecydowali.

Bessie przyniosła tacę z kawą. Ociągała się, jak mogła, ustawiając filiżanki i układając łyżeczki na spodkach, ale nie usłyszała nic poza wymianą zdań na temat sprzedawania i kupowania statków. Nic naprawdę ciekawego, co można by powtórzyć pannie Rand i pani Eyott.

- Jednak ostatecznie umowa została zawarta i zatrzymaliśmy załogę prawie w komplecie - ciągnął kapitan. - Straciliśmy tylko kilku najmłodszych, którzy nie mieli ochoty obijać się, czekając na zmianę

właściciela... Ale ogólnie rzecz biorąc, poczciwa *Langrovia* pozostała nie zmieniona.

- To cudownie - westchnęła Amy, wspominając z nostalgią wspaniałe życie na pokładzie luksusowego liniowca. Znała wszystkich oficerów, interesowała się karierą i życiem rodzinnym każdego z nich. Zaczęła wypytywać kapitana Swinforda o dawnych znajomych. Gdzie się podziwał Alan Cowan? Czy Dinsdale Bryant awansował na drugiego oficera?

- Każdy, kto odbył służbę na pokładzie *Langrovii*, ma praktycznie awans w kieszeni - stwierdził kapitan z satysfakcją. - W każdym razie wszyscy wyżsi oficerowie są nadal na statku; pan Grahme, pan Tonsley, no i ja, oczywiście.

Pan Grahme był na *Langrovii* pierwszym oficerem, pan Tonsley -inżynierem pokładowym. Obaj pełnili funkcję głównych pomocników kapitana, otwierając listę liczącą ponad pięciuset trzydziestu pracowników, choć wielu z nich było po prostu stewardami i kelnerami. Każdy z oficerów miał ściśle wytyczony zakres obowiązków: dotyczyły nawigacji, maszynowni, zakwaterowania pasażerów, załadunku i wyładunku towarów w portach oraz rozmieszczenia go w ładowniach, rozrywek, opieki lekarskiej i stu innych aspektów życia w tym pływającym mieście, jakim był statek.

Amy obserwowała, jak młodzi ludzie rozpoczynający służbę marynarską pieli się po szczeblach kariery, by ostatecznie objąć stanowisko kapitana na innym statku. Byli prawie rodziną, słuchała więc zachłannie opowieści kapitana o ich losach.

- A co najważniejsze - zakończył kapitan - to niezależnie od wszystkiego, co się zdarzyło, zawsze będziemy dumni, że służyliśmy na statkach pana Tregarvona, a zwłaszcza na *Langrovii*. Jeżeli możemy cokolwiek dla pań zrobić...

Oczy Amy zamglily się łzami.

- Nikt nie może nic dla nas zrobić - powiedziała drżącym głosem. - Mój mąż jest zbiegłym przestępcą, a Erica i ja musimy się nauczyć z tym żyć.

Kapitan Swinford w milczeniu sięgnął po swoją filiżankę. Erica dorzuciła:

- Najtrudniej może jest pogodzić się z myślą, że ojciec zostawił nas zupełnie same... Czy pan jest w stanie to zrozumieć, kapitanie? Pan go dobrze znał.

Kapitan ściągnął wargi z namysłem.

- Powiem paniom wprost, że byłem mocno zdziwiony. Ale w sytuacji przymusowej, wiadomo... ludzkie reakcje są nie do przewidzenia.

- Bardzo ciężko jest mi znieść myśl, że nie zostawił nam żadnej wiadomości - westchnęła Amy. - I nadal mam nadzieję, ilekroć przychodzi poczta, że dostanę jednak list... w którym napisze, gdzie jest i poprosi żebyśmy do niego przyjechały...

- To mało prawdopodobne, droga pani. W ten sposób wskazałby policji miejsce pobytu...

64

Amy zamilkła.

- Mama uważa - powiedziała Erica - że ojciec pojechał gdzieś, gdzie nie działa prawo ekstradycji*

- O tak, to niewykluczone; i pani, i ja widzieliśmy sporo takich miejsc podczas naszych podróży, prawda, droga pani? No dobrze, ale nawet gdyby mąż kiedyś się odezwał, to jakie ma pani plany?

Amy spojrzała wyczekująco na Ericę, ale ta milczała. Nie chciała na razie zdradzać nikomu swoich zamiarów.

- Nie jesteśmy w stanie pomóc paniom od strony materialnej - skonstatował kapitan, chrząkając. - Ale rozmawiałem z panem Grahme'em i panem Tonsleyem, i gdyby paniom odpowiadało porzucenie tego miejsca... panie rozumieją - żeby móc odetchnąć i spokojnie przemyśleć to i owo... no więc moi oficerowie i ja chcemy paniom powiedzieć, że na *Langrovii* czeka luksusowa kabina, jeśli tylko są panie zainteresowane. Amy klasnęła w ręce. Ericę także olśniła na chwilę ta nieoczekiwana perspektywa; powrót do komfortu i znanego, drogiego im otoczenia. Ale rozsądek zwyciężył.

- Nie możemy w żaden sposób pozwolić sobie...

- Tak, tak, to zrozumiałe - przytaknął kapitan. Układając myśli w zdania, wziął biszkopta i schrupał go mocnymi, białymi zębami. - Więc sprawa przedstawia się tak: mamy na *Langrovii* jakieś pół tuzina wolnych łóżek. A po co płynąć przez Atlantyk z pustymi łózkami, skoro panie mogłyby zająć dwa z nich?

- Rejs atlantycki! - szepnęła Amy rozmarzona.

- Nie chcę wgłębiać się za bardzo w delikatną materię, ale rejs byłby darmowy. Podzielilibyśmy cały koszt pomiędzy nas trzech, a w dodatku jak panie wiedzą, członkowie załogi mają prawo do zniszkowej ceny biletów. Tak że nie muszą się panie w ogóle o to martwić.

- Jest pan cudowny - westchnęła Amy.

- To długi rejs. Z Southampton do Ameryki Południowej, a następnie na północ... Pernambuco, Trinidad, Belize, Nowy Orlean, Miami i Nowy Jork.

- Pernambuco - pogrążyła się we wspomnieniach Amy. Zapadła chwila ciszy.

- Panno Erico, pani nie powiedziała ani słowa - zauważył kapitan. Erica była zbyt przejęta, by mówić. Myśl, że może uciec od wszystkich problemów życia w Anglii, była olśniewająca. Nie będzie musiała wychodzić za Timothy'ego. Ta ucieczka byłaby przypuszczalnie tylko chwilowa. Ale jej reakcja na szansę, jaką jej ofiarowano, była dla niej swoistym odkryciem: pojęła, jak bardzo nje chce wychodzić za mąż za Timothy'ego Perrimana. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, ani dlaczego zrozumiała to tak wyraźnie dopiero teraz. Wcześniej, o świcie, przekonała samą siebie, że będzie to najlepsze

5 - Nieodrodna córka

65

wyjście. No tak: nie musiałyby dłużej szukać marnie płatnej pracy ani rozglądać się za tanim, ciasnym mieszkankiem dla siebie i matki, na które ledwie będzie je stać. Tak, matka miałaby bezpieczną przyszłość, a ona odzyskałaby należną jej pozycję.

Ale, kiedy pojawiła się inna, zrozumiała, że takie małżeństwo było po prostu nie do pomyślenia. Timothy był jej na dobrą sprawę obcy, a powierzchowna znajomość, która ich łączyła, nie skusiła jej nigdy, by się z nim bliżej zaprzyjaźnić. Był oczywiście porządnym człowiekiem, kompetentnym sekretarzem jej ojca, samodzielnym, bystrym, godnym zaufania. Ale z drugiej strony miał duszę i serce biznesmena, nie mówiąc już

o cechującej go sztywności. Nie mogła wyobrazić go sobie w roli kochanka.

Kapitan czekał nadal na odpowiedź.

Amy nie była w stanie wypowiedzieć swoich uczuć. Dech jej zapierało na myśl o znalezieniu się na pokładzie kochanej, najmilszej *Langrovii*; nie potrafiłaby w tej chwili rozważyć żadnych za i przeciw.

- Co o tym myślisz, kochanie? - spytała córkę drżącym głosem, śmiertelnie przerażona, że jej rozsądne dziecko powie „nie”.

- Uważam, że powinniśmy pojechać - brzmiała odpowiedź Eriki. - To jest cudowny pomysł! Dziękuję panu z całego serca, kapitanie Swinford. Nie potrafię panu powiedzieć, ile dla nas znaczy ta propozycja.

- Pojadą panie? - Kapitan był zachwycony. - To wspaniale, po prostu wspaniale! A jak pan Grahme się ucieszy! Chciał tu przyjechać ze mną

1 namawiać panie osobiście, ale musiał zostać na statku, żeby dopilnować przygotowań do rejsu. Jeśli panie pozwolą, zatelefonuję, żeby go zawiadomić, że się panie zgodziły. Jest tu jakiś telefon?

- Tak, w holu jest telefon do użytku publicznego - wyjaśniła Erica wstając, żeby pokazać mu drogę.

- Dziękuję, moja droga, ale sądzę, że zdołam dobić samodzielnie do kabiny telefonicznej - stwierdził kapitan.

- Ach, Erico! - zawołała pani Tregarvon, kiwając się w plecionym fotelu w przód i w tył z takim impetem, że wiklina zatrzeszczała ostrzegawczo. - Pomyśl tylko! To jakby powrót do domu!

- Prawda? Dla mnie również.

- Tak się bałam, że powiesz „nie”.

- Ależ skąd, uważam, że to cudowny pomysł. Ciekawe, kiedy odplywają.

- Ale nasza garderoba! - zawołała nagle matka. - Erico, nie mamy co na siebie włożyć!

- Jak to, przecież w piwnicy hotelowej stoją nasze kufry pełne ubrań...

- Ale one wszystkie są sprzed dwóch lat! Erica roześmiała się, potrząsając głową.
- Będziemy musiały się nimi zadowolić. Zresztą zawsze byłyśmy awangardowe, pewnie inne pasażerki dopiero teraz zaczną nosić podobne fasony, więc nie będziemy się wyróżniać.

66

- Czy nie mogłybyśmy sprawić sobie chociaż po jednej nowej rzeczy? - spytała Amy z tęsknotą w głosie. - Tak przyjemnie byłoby pójść do Hardy Amies...

- Nie mamy pieniędzy.

- Mogłybyśmy sprzedać moją diamentową broszkę.

- Nie, mam. Posłuchaj, obdarowano nas po królewsku i nie wolno nam zaprzepaścić wiążących się z tym korzyści, robiąc nierozsądne i niepotrzebne zakupy. Zresztą... może i tak trzeba będzie sprzedać twoją broszkę. Nie poradzimy sobie, bez niewielkiej choćby sumy pieniędzy.

- Chyba masz rację. - Amy umilkła na chwilę. - Poza tym jest jeszcze kwestia brydża. Nie można grać na pokładzie, nie tracąc czasem pieniędzy.

- Więć dobrze, decydujemy się sprzedać tę broszkę. Ale nie po to, by kupować nowe stroje.

- Będzie, jak chcesz, kochanie.

Kapitan Swinford wrócił oznajmiając, że jego pierwszy oficer jest zachwycony, że oficer rachunkowy wciągnie ich nazwiska na listę pasażerów i że mają się zgłosić w Southampton za tydzień, licząc od jutra.

- Nie muszę paniom dawać wskazówek, jak odnaleźć właściwe nabrzeże, znacie doskonale miejsce odprawy pasażerów w porcie w Southampton. Wypływamy o szóstej, więc zobaczymy się około piątej.

- Bajecznie! - zawołała pani Tregarvon, żegnając się z kapitanem. - Nie domyśla się pan nawet, co to dla nas znaczy! Powiadomimy zaraz recepcję hotelu - dodała. - Niepokoiłi się, kiedy będą mogli wynająć nasze pokoje komuś innemu.

- Wspaniale jest również to - oświadczyła Erica triumfalnie po odejściu kapitana Swinforda - że ponieważ wypowiadamy na tydzień z góry, nie będziemy musiały płacić odstępnego za następny tydzień.

Odczuła pewne zdziwienie, słysząc własne słowa. Czy to nie zdumiewające, że tak uradowała ją myśl o zaoszczędzeniu sześciu gwinei? Ale zaraz potem nastrój euforii opadł.

- Powinnam zatelefonować do Timothy'ego - stwierdziła.

- Timothy! - Jej matka dopiero w tej chwili przypomniała sobie o wcześniejszych planach. - Nie będziesz mogła wyjść za niego przed wrześniem, a może nawet jeszcze później.

- Nie wyjdę za niego wcale.
- Nie? Ale, kochanie...
- Kiedy kapitan Swinford ofiarował nam szansę wyjazdu, była to dla mnie równocześnie szansa ucieczki od małżeństwa z Timothyem.
- Kochanie, nie możesz tak na to patrzeć.
- To szczerą prawdą, mamo. Nie kocham Timothy'ego.
- Ale rozmawialiśmy już o tym i...
- I co więcej - dodała gwałtownie Erica - nie mogę nawet powiedzieć, że bym go lubiła.
- Nie, posłuchaj, Erico...

- A ty lubisz Timothy'ego?
- Oczywiście. Znam go od lat.
- Nie o to cię pytam. Czy go lubisz?
- Tak, ja... to jest... myślę, że tak... - Amy, zdezorientowana, posłużyła się niepodważalnym, jak jej się wydawało, argumentem. - Twój ojciec go
- Jesteś pewna?
- Naturalnie. Ufał mu bez zastrzeżeń.
- W interesach. Ale czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby rozmawiał z nim o sprawach osobistych?
- Ależ tak. Z pewnością musiałam słyszeć.
- Pamiętasz choć jedną taką rozmowę?
- Zaraz... właściwie... nie przypominam sobie dokładnie...
- Tak, bo to się nigdy nie zdarzyło. Ojciec zawsze traktował go wyłącznie jak podwładnego. Nie uważasz, że to znamienne? Jeżeli w ciągu tych ośmiu lat wspólnej pracy nie zaprzyjaźnili się ze sobą, to oznacza po prostu, że ojciec nie żywił do Timothy'ego żadnych cieplejszych uczuć. Ty także ich nie żywisz. A ponieważ to ja miałam go poślubić, dla mnie jest to sprawa pierwszej wagi. Więc plany małżeńskie zostają odwołane. Amy zawahała się; chciała coś powiedzieć, zmieniła zamiar i zamilkła.
- Nie będziesz mi usiłowała tego wyperswadować?
- Nie... Wiesz? Zabawne, ale w pewnym sensie poczułam ulgę.
- Ulgę? Och, mamo! - Erica roześmiała się i poklepała matkę po ramieniu. - Życz mi powodzenia. Idę zatelefonować, żeby powiedzieć mu „nie”.
- Ale, jak się okazało, nie pomyślała wcześniej, by spytać Timothy'egoT w jaki sposób można się z nim skontaktować. Miała tylko jego dawny numer domowy, lecz tam nikt nie odpowiadał. Zadzwoiła do pana Winkworthe'a, który niestety był akurat w sądzie. Jego sekretarka znalazła numer pana Perrimana.
- To jest takie niewielkie mieszkanie przy Gracechurch Street, panno Tregarvon - powiedziała. - Pan Winkworthe odpisał „tymczasowo”.
- Jednakże numer przy Gracechurch Street nie odpowiadał. Zatelefonowała powtórnie, późniejszym wieczorem, sądząc, że tym razem go zastanie. Odpowiedział jej obcy głos.
- Czy mogę mówić z panem Perrimanem? - spytała.

- Pan Perriman? Wyprowadził się. Chwileczkę, miałem zapisany jego numer na wypadek, gdyby ktoś pytał. - Ale nowy lokator nie zdołał odnaleźć karteczki. - Przykro mi - dodał ze skrucą. - To było ponad pół roku temu i musiałem to wyrzucić.

Spróbowała, już zupełnie na wszelki wypadek, zadzwonić jeszcze raz na numer biurowy, ale o ósmej wieczorem nikt nie podniósł słuchawki. Nie było innej rady, jak poczekać na wizytę Timothy'ego.

Zjawił się niedługo przed lunchem. Erica zajęła pozycję przy oknie, by

68

dostrzec go w chwili, kiedy się pokaże na podjeździe. Gdy go zobaczyła, wyszła mu na spotkanie.

- Witaj, Timothy.

- Dzień dobry. Czekalaś na mnie? - Timothy uśmiechnął się lekko na tę myśl.

- Może pójdziemy znów do ogrodu? - zaproponowała Erica. - To, co mam ci do powiedzenia, jest trochę kłopotliwe.

- Kłopotliwe? Co rozumiesz przez kłopotliwe?

Erica wskazała mu jedno z metalowych krzeseł z ozdobnym oparciem, stojących na brzegu trawnika, a następnie usiadła obok.

- Wybieramy się obie z mamą w podróż na pokładzie *Langrovii* -zakomunikowała.

- Ach tak? - Timothy zmarszczył brwi. Jak mogły sobie na to pozwolić? - Chyba raczej kosztowne przedsięwzięcie?

- Zaprosił nas kapitan Swinford.

Timothy spróbował rozważyć różne aspekty tej nowiny, ale prędko dał za wygraną.

- No tak, to miło z jego strony - przyznał. - A dlaczego mi o tym mówisz?

- Ponieważ wyruszamy praktycznie zaraz.

- Ale... chwileczkę. Nie możesz wyjechać. Przecież masz wyjść za mnie za mąż!

Erica potrząsnęła głową przecząco.

- Nie, Timothy, zrozumiałam, że to byłoby bardzo nie fair wobec ciebie. Jestem ci szalenie wdzięczna, ale... nie kocham cię.

- I cóż to ma za znaczenie! - zawołał Timothy. - Mówiliśmy już o tym, kiedy ci zaproponowałem małżeństwo.

Oboje wiemy, że nie straciłaś dla mnie głowy. Ale przyznasz, że to korzystny układ. Potrzebujesz kogoś, kto zapewni utrzymanie tobie i matce, i skłonny jestem to zrobić...

- Skłonny? - przerwała mu.

Coś w jej tonie ostrzegło go, że powinien uważać na to co mówi. Poprawił się:

- To znaczy pragnę to zrobić. Wiesz chyba, że chcę ci zapewnić wszystko, co tylko będę mógł. Będiesz szczęśliwa, zadbam o to. Twoja matka będzie miała zapewnione bezpieczne życie. Nie odrzucisz przecież tego wszystkiego, żeby się wybrać w jakąś podróż?

- Nie, naturalnie, że nie o to chodzi. Złożyły się na to różne powody. Jednym z nich jest fakt, że kiedy kapitan złożył nam propozycję, moja matka wyglądała, jakby otworzyły się przed nią bramy raju. Zdałam sobie wtedy sprawę, że tego właśnie potrzebuje...

- Przecież podróż nie trwa wiecznie! Pięć, sześć tygodni? - na statku, który dobrze znacie i do którego macie ogromny sentyment. Rozumiem to, ale z praktycznego punktu widzenia postępujecie absurdalnie, Erico. Bo co się z wami stanie po powrocie?

93

Wzruszyła ramionami.

- Będziemy się o to martwić we właściwym czasie.

Timothy walczył przez chwilę z uczuciem gniewu i rozczarowania, po czym zmusił się do wypowiedzenia następujących słów:

- Będę na ciebie czekał, aż wrócisz.

- Nie. To bardzo szlachetnie z twojej strony, Timothy, ale chcę ci powiedzieć, że moja odpowiedź brzmi: „nie”.

- Dlaczego? Co jest przyczyną tej naglej zmiany? Kiedy pożegnałem cię w czwartek, byłaś prawie zdecydowana, wiem o tym z całą pewnością.

- Po prostu zrozumiałam, że popełniłabym pomyłkę.

- Nieprawda! Jestem ci potrzebny, Erico. Jak sobie poradzisz beze mnie? Nic nie wiesz o prawdziwym życiu, nigdy nie musiałaś się go uczyć.

- Uczę się go teraz - odparła, nieco zdziwiona jego żarliwością. - Nauczyłam się bardzo wiele przez ostatnie półtora roku.

- Czyżby? Czego się mianowicie nauczyłaś? Chyba niczego, skoro odrzucasz taką szansę życiową dla bezcelowej wycieczki statkiem. Nie ma w tym krzty rozsądku i oczywiście jest to typowe...

- Typowe? Chcesz powiedzieć, że jestem nieodpowiedzialna? Timothy opamiętał się. Niepotrzebnie to powiedział. Ale był zupełnie

pewien, że się zgodzi. W jego pojęciu sprawa została właściwie ustalona podczas rozmowy przed dwoma dniami. Na początku Erka była zaskoczona propozycją, ale zdrowy rozsądek - choć nie miała go wiele - zwyciężył. Aż tu nagle, z niewiadomych przyczyn, zmienia zdanie!

- Posłuchaj, Erico - zaczął znowu - przepraszam cię. Ale tak bardzo chcę, żebyś zrozumiała, jakie to ważne. Nie odrzucaj wszystkiego dla jednego kaprysu.

- To nie jest kaprys.

Uśmiechnęła się do niego i zrozumiał, że ona się nad nim lituje. Miała czelność litować się nad nim!

- Szanuję cię, Timothy - ciągnęła - i doceniam twoją lojalność w stosunku do mojego ojca, który, Bóg świadkiem, wcale na nią nie zasługiwał. Ale mimo wszystkich twoich zapewnień nie potrafiłabym być szczęśliwa z tobą w małżeństwie. Jak widzisz, jestem zupełnie szczerą i przyznaję, że z początku skusiła mnie twoja oferta, bo znaczyłoby to tak wiele dla mojej matki. Ale postąpiłabym nie fair wobec ciebie...

- Nie fair wobec mnie! Co chcesz przez to powiedzieć? Czy chcesz mi po prostu powiedzieć, że nie jestem dość dobry...

- Przeciwnie, chciałam powiedzieć, że to ja nie jestem dość dobra dla ciebie. Zaslugujesz na kogoś, kto cię będzie kochał i doloży wszelkich starań, żeby...

- Sam wiem najlepiej, czego mi potrzeba! Czy nie rozumiesz, że przemyślałem wszystko, zanim ci zaproponowałem, żebyś za mnie wyszła? Czy wyobrażasz sobie, że przyjechałbym tutaj bez gruntownego przeanalizowania sprawy?

95

Nie jestem głupcem, Erico, przyznasz chyba, wziąłem pod uwagę wszystkie za i przeciw: to, że przypuszczalnie nigdy nie pomyślałaś o mnie jako o swoim mężu, że poślubienie panny Tregarvon jest pewnym obciążeniem...

- Stokrotne dzięki! To mi bardzo pochlebia...

- Nie, poczekaj, źle się wyraziłem, wspomniałem o tym, żebyś zrozumiała, jak ogromnie mi na tobie zależy.

- Tak, usiłujesz mnie przekonać za wszelką cenę. I szczerze mówiąc, jestem trochę zdziwiona. Wydawałoby się, że masz dość rozsądku, żeby przestać nalegać, kiedy widzisz, że to się na nic nie zda.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie chcesz się zgodzić? W sumie, Erico, cóż innego ci pozostaje? Nie wmawiaj sobie, że nauczysz się stenografii i maszynopisania, to po prostu nie ma sensu.

Zobaczył, jak policzki jej poczerwieniały, i zrozumiał, że posunął się za daleko. Wszystko przez to, że rozmowa nie szła zgodnie z planem. Nie spodziewał się, że będzie musiał ją tak długo namawiać, był po prostu przekonany, że ona skwapliwie skorzysta z szansy na spokojne, bezpieczne życie.

- Timothy - powiedziała Erica, wstając - nie jestem jeszcze w tak krytycznej sytuacji, żebym była zmuszona czepiać się rozpaczliwie propozycji małżeństwa, zwłaszcza z kimś, kogo, jak się okazuje, wcale nie znam. Dam sobie jakoś radę.

- Rzeczywiście? Ciekawe, jak. W dzisiejszych czasach oferty pracy nie leżą na ulicy, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? A co do małżeństwa, to kto inny ci je proponuje?

- Dziękuję ci - powiedziała zimno Erica. - Teraz oboje wiemy, czego się trzymać.

Popsuł wszystko. Kiedy tylko wypowiedziała ostatnie zdanie tym lodowatym tonem, wiedział, że zaprzepaścił wszelkie szanse na choćby cień zainteresowania z jej strony. A było to dla niego niezmiernie istotne, bo Erica

stanowiła jego jedyną więź z rodziną Tregarvonów, odkąd spółka została zlikwidowana. Jako jej mąż miałby dostęp do wszelkich wiadomości o jej zaginionym ojcu, które mogły się jeszcze pojawić.

Ale teraz ona już nigdy nie pozwoli mu się zbliżyć do siebie. Jakimś sposobem wzbudził w niej antypatię - a jego plan zakładał coś zgoła przeciwnego, miała go lubić i ufać mu i być oddaną żoną, która przekaże mężowi wszelkie informacje o Tregarvonie, wszelkie dokumenty, które mogłyby się gdzieś odnaleźć...

- Erico - zaczął, podejmując ostatnią próbę naprawienia szkody.

- Odejdź, proszę - powiedziała. - Wiesz, jak trafić do wyjścia.

- Ale nie możemy się tak rozstać.

- Owszem, możemy. Teraz już wiem, że cię nie lubię, a okazuje się, że ty także mnie nie lubisz. Więc na tym się sprawa kończy.

Ruszyła przez trawnik, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową.

71

Timothy stał przy żelaznych krzesłach i patrzył, jak zbliża się do budynku i wchodzi przez drzwi werandy. Trudno, muszą być inne sposoby, żeby uzyskać informacje o Lindonie Tregarvome. Ale szkoda. Jako mąż jego córki, zyskalby wiele...

Timothy ruszył w kierunku podjazdu i dalej do stacji, by wrócić do Londynu.

- Jak poszło, kochanie? - spytała niepewnie pani Tregarvon, gdy Erica stanęła w progu.

- Fatalnie - brzmiała odpowiedź.

Akurat w tej chwili rozległ się gong na lunch i Amy uznała, że nie ma potrzeby przedłużać drażliwej rozmowy.

Tegoż wieczoru po kolacji dostarczono Ericie do salonu olbrzymi bukiet kwiatów. Na wizytówce widniały słowa: „Wybacz, proszę, wszelkie nietakty dzisiejszego ranka. Odezwij się do mnie, zanim odpłyniesz na *Langrovi*”. Podpis Timothy'ego oraz jego adres.

- Dowód miłości? - spytała panna Rand z miną niewiniątka.

- Skądże znowu.

Erica podarła kartkę i wrzuciła ją do najbliższego kosza. A potem ku zdumieniu wszystkich gości hotelu Wessex, z bukietem w dłoni po-szła w kierunku recepcji.

- Proszę - zwróciła się do recepcjonistki. - Ta wiązanka jest dla pani

- Dla mnie? - Panna Doyle wytrzeszczyła oczy na czerwone róże o długich łodygach. - Ależ panno Tregarvon, musiał je przysłać ktoś, komu ogromnie na pani zależy!

- Nie - powiedziała Erica. - Wprost przeciwnie.

5

Młody oficer stał przy wejściu do luku bagażowego, nadzorując załadunek kufrów i walizek na statek. Dostał instrukcje, by zwrócić specjalną uwagę na bagaże pań Tregarvon, i sumiennie wykonał polecenie, nieważ oficerowie zawsze słuchają rozkazów kapitana. Zrobił to sprawnie, choć bez entuzjazmu. Nazwisko pań było mu oczywiście znane, ponieważ afera Tregarvona wstrząsnęła całą marynarką handlową półtora roku wcześniej i przez kilka tygodni nie mówiono praktycznie o niczym innym.

Ten człowiek, Tregarvon, doprowadził do zatonięcia dwóch dobrych statków i śmierci kilku ludzi, po to tylko, by zgarnąć pieniądze z polisy ubezpieczeniowej. W oczach braci żeglarskiej był podłym łotrem, a w dodatku tchórzem, który umknął jak szczur i gdzieś się ukrywa, zamiast ponieść karę, na jaką zasłużył.

Hobart Crosley nie mógł pojąć, dlaczego kapitan zajmuje się tymi kobietami. Poza dopatrzeniem, by ich bagaż znalazł się bezpiecznie w luksusowej kabinie, Crosley miał dopilnować, by podróż przebiegała bez najmniejszych zakłóceń. Miał dopilnować, żeby nie było żadnych spięć, zapoznać je z odpowiednimi towarzyszami podróży, i tak dalej. Wyglądało na to, że kapitan ma słabość do pań Tregarvon.

Bart Crosley nie podzielał tych uczuć. Jedna była żoną, druga córką oszusta i mordercy. A co do tych głupot, które wypisywano w gazetach - że zostały same, bez przyjaciół i środków do życia - to była oczywista nieprawda, bo jeśli rzeczywiście zostały bez grosza, to jak mogły sobie pozwolić na luksusową kabinę? Tylko bogaci ludzie wybierali się na takie wycieczki.

W czasie swojej niedługiej jeszcze służby na eleganckich statkach pasażerskich, Bart miał okazję zetknąć się z takimi ludźmi. Powoli dochodził do przekonania, że woli życie na frachtowcach, gdzie pasażerów było

niewielu i nikt nie miał wygórowanych wymagań. Natomiast pasażerowie liniowca uważali, zdaje się, że oficerowie istnieją tylko po to, by spełniać ich zachcianki, nie przychodziło im raczej do głowy, że mają oni również inne obowiązki...

Jednakże Bart był zadowolony z przejścia z *Princess Julia* do pracy na pokładzie *Langrovii*. Służba u kapitana Swinforda była zawsze znakomitym świadectwem i rekomendacją, jeśli myślało się o awansie. Po uzyskaniu dyplomu kapitana, Bart zamierzał w przyszłości dowodzić statkiem, toteż kiedy trafiła się okazja przejścia na *Langrovię*, skorzystał z niej natychmiast. Nie był pewien, czy wykazałby taki sam zapał, gdyby statek należał nadal do Tregarvon Line, ale szczęśliwie uniknął tego dylematu kiedy ogłoszono, że na statku są nie obsadzone stanowiska, był już własnością Bletcham Diamond Line.

Oczywiście ten stary wilk morski, kapitan, utrzymał się na swoim miejscu! Dowodził *Langrovią* i w pełni na to zasługiwał. Bart zajmował odpowiednio niższe stanowisko: był drugim oficerem. Innymi słowy, Bart należał do grona tych, którym przypadła tak zwana psia wachta - w godzinach, kiedy panował półmrok - od północy do czwartej rano. Takie wachty przydzielano marynarzom średniej rangi, już doświadczonym, ale nie na tyle szanowanym, by mieli prawo spokojnie przespać noc.

- Nie będę mógł się zająć paniami Tregarvon na dzisiejszym przyjęciu - powiedział Bart do pierwszego oficera, zerknąwszy na rozkład wacht.

- Będziesz, będziesz, mój chłopcze. Pokrzążasz się od czwartej do szóstej. I słuchaj no, Crosley, nie lekceważ sobie tych obowiązków. Kapitan życzy sobie, żeby obie panie czuły się u nas doskonale.

- Tak jest - odparł Bart. I zrozumiał, że lepiej zachować opinię o n' tylko dla siebie.

Rzut oka na zegarek uświadomił mu, że pora pokazać się i zaoferować swoje usługi na pokładzie pierwszej klasy. Statek opuści port lada moment. W takich chwilach pasażerowie wykazywali skłonności do łez, a bywało że i do paniki, gdy okazywało się, że zapomnieli czegoś niezmiernie ważnego, lub gdy nagle przeraził ich bezmiar morskiego żywiołu. Niektórzy miewali kłopoty z utrzymaniem równowagi po zbyt dużej ilości szampana wypitego na pożegnanie.

Bart poszedł do kabiny, którą dzielił z Yatesem, trzecim oficerem. Zmienił marynarkę na nieskazitelnie białą i przyczesał włosy, usiłując dojrzeć swoje odbicie w zbyt małym lusterku.

- Sama uroda - skomentował Yates, wychodząc z łazienki.

- Czego nie można powiedzieć o tobie, Ike. Pileś w porcie przez całą noc?

- Mniej więcej. - Yates przyjrzał się Bartowi przekrwionymi oczami. - Ty za to wyglądasz jak okaz zdrowia i energii.

- Jestem okazem zdrowia i energii - odparł Bart - co zawdzięczam oczywiście ascetycznemu trybowi życia i regularnemu myciu zębów.

74

Istotnie był okazem zdrowia. Wysoki, o trwałej opaleniznie nabytej w ciągu ośmiu lat żeglowania, o jasnych, choć nie złotych włosach i brązowych oczach, szczupły i muskularny był dostatecznie przystojny, by podobać się pasażerom, jednak nie na tyle, by towarzysze przypięli mu etykietkę bawidamka. W sumie podwładni aprobowali Crosleya. Był tolerancyjny i łatwy we współżyciu, kiedy wszystko szło dobrze, a w razie potrzeby potrafił wymusić dyscyplinę. Nie zdążył jeszcze wyrobić sobie reputacji na *Langrovii* i między innymi z tego właśnie powodu niechętnie podporządkował się poleceniu nadskakiwania jakimś dwóm kobietom.

Bart poczuł drżenie pod stopami; wielki statek, duży jak spory budynek, zaczął oddalać się od nabrzeża. Z głośników płynęły dźwięki skocznych melodii, granych przez orkiestrę pokładową. Kiedy wchodził na górny pokład, dobiegały go dalekie okrzyki i chór głosów wykrzykujących słowa pożegnania.

Z czterech kominów unosiły się smugi dymu, maszyny pracowały ćwiercią swojej mocy. Nie wykorzystają ich nawet w połowie, póki nie miną strefy ruchomego dna przy Southampton. Skierowawszy się w stronę kanału La Manche, będą wciąż zwiększali prędkość aż do około dwudziestu węzłów. Ta podróż nie wymagała zresztą użycia pełnej mocy maszyn, ponieważ był to rejs wycieczkowy; nie próbowano zdobyć Błękitnej Wstęgi czy pobić rekordu szybkości na jakimkolwiek dystansie.

Część pasażerów pozostała na pokładzie, patrząc, jak Southampton rozplywa się w oddali. Wśród tych, którzy pierwsi odeszli, znajdowały się obie panie. Mijając je u wejścia do salonu, Bart usłyszał słowa starszej z nich, skierowane do młodszej:

- Nie mam najmniejszej ochoty patrzeć, jak ląd znika nam z oczu. Im szybciej zniknie, tym lepiej, jeśli o mnie chodzi.

Kiedy przechodziły przez hol, kierując się ku swojej kabynie, Enca wzięła matkę pod rękę opiekuńczym gestem. Dotychczas nie zawarły jeszcze znajomości z innymi podróżnymi. Nie wiedziały, czego się mogą spodziewać. Zdecydowały więc nie pokazywać się w porze koktajli, tylko odłożyć swoją godzinę próby do kolacji, bo wtedy znajdą się pod opieką kapitana.

Wchodząc pierwszy raz do luksusowej kabiny na pokładzie A, Amy miała niemal uczucie powrotu do domu. Erica również odczuła radość i ulgę w tym jakże dobrze znanym jej otoczeniu. Ta sama orzechowa boazeria na ścianach, ten sam puszysty błękitnobrązowy dywan, jedwabna pościel na bliźniaczych łóżkach i jednakowe jedwabne abażury na lampach, zdobne lustra odbijające promienie słońca wpadające przez okna... Do tradycji należało, by pierwszego wieczoru w podróży nie przebierać się do kolacji. Jednakże większość kobiet radziła sobie z tym dobierając starannie strój, w którym wsiadały na statek. Amy, a także jej córka,

zdecydowały się na popołudniowe suknie, wybrane spośród eleganckich strojów, tak długo spoczywających w kufkach. Amy do swojej błękitnoszarej sukni włożyła cienkie jedwabne pończochy i szare pantofelki. Erica miała na sobie sukienkę w kolorze zielonym, który pięknie podkreślał kasztanowaty odcień jej włosów. Obie poświęciły dużo uwagi fryzurze i makijażowi. Amy nigdy nie opanowała sztuki układania swoich włosów, więc Erica pomogła upiąć jej przyprószone siwizną loki w misterną koronę. Czesząc matkę myślała ze smutkiem, że przed tym pamiętnym, tragicznym wieczorem, gdy policja przyszła po ojca, we włosach Amy nie było siwych pasm.

Dla siebie Erica wybrała modną fryzurę a la Joan Crawford; masa długich, gęstych loków, zaczesanych starannie w głębokie fale, z małymi loczkami spadającymi z przodu na czoło. Na szczęście jej włosy wily się naturalnie, więc nie musiała uciekać się do ponizającego procederu zakręcania ich na noc na wałki. Niemniej fryzura wymagała sporo zręczności w palcach.

Gdy były gotowe, spojrzwały jedna na drugą.

- I jak? - spytała Erica.

Amy skinęła aprobująco głową. Nikt nie domyśliłby się, że są praktycznie bez grosza, tego była pewna. Salon jadalny *Langrovii* dla pasażerów pierwszej klasy był urządzonej w stylu francuskim - ściany wyłożone u dołu srebrzystoszarą jesionem, od góry pomalowane farbą o tym samym odcieniu, lampy imitowały świeczniki z XVI wieku, przy stolikach nakrytych białymi obrusami ustawiono krzesła obite wzorzystą tkaniną przypominającą gobelin. Gd Erica i jej matka weszły do sali, większość miejsc była już zajęta. Wiele głów odwróciło się, by na nie spojrzeć; nie dlatego, że wzbudziły jakieś szczególne zainteresowanie, ale dlatego, że kapitan Swinford podniósł się na ich widok.

- Dobry wieczór, moje drogie panie. Mam nadzieję, że kabina przypadła paniom do gustu?

- Jest naprawdę piękna, dziękujemy panu, kapitanie - odpowiedziała Amy.

Steward odsunął tymczasem krzesło i pomógł usiąść Amy, rozkładając zręcznie serwetkę na jej kolanach. Dla innych gości stało się jasne, że kapitan wydał polecenie, by steward zajął się ze szczególną troską tymi dwiema pasażerkami.

Kiedy siedziały już przy stole i przeglądały menu, kapitan dokonał prezentacji.

- Łaskawa pani, proszę pozwolić, że przedstawię pana Lewisa Sim-monsa i jego żonę, Mabel. Pan Simmons jest dziekanem Gerlinburg College w Arizonie. Państwo Kletscher z Wiednia. Pan Kletscher jest

kompozytorem, jestem pewien, że zna pani jego nazwisko. Pan William Johnson, który opowie pani, czym się zajmuje, znacznie lepiej niż ja,

76

ponieważ chodzi o maszyny do perforowania. Pan de La Metterie, wydawca. Panno Tregarvon, oczywiście prezentacja dotyczy także i pani.

Goście kapitana pochylili głowy w uprzejmych ukłonach. Jeśli nawet kilku z nich przeczytało wcześniej nazwisko Tregarvon na liście pasażerów, wyraźnie nic ono nikomu nie mówiło. A jeśli je znali, zastosowali się bez wątpienia do sugestii kapitana, reagując przyjazną życzliwością, okazywaną zwykle pierwszego wieczoru na statku.

Jednakże inni nie znajdowali się w bezpośrednim sąsiedztwie kapitana. Erka słyszała szepty dochodzące z pobliskich stolików i kątem oka widziała pochylone głowy.

Trudno. Wcześniej czy później musiało wyjść na jaw, że pośród pasażerów znajdują się żona oraz córka odsądzonych od czci i wiary Lindona Tregarvona.

Erica wpila wzrok w kartę dań. W duszy potępiała po raz setny tego egoistę bez serca, którego otaczała uwielbieniem przez dwadzieścia lat. To przez niego ludzie szepotali na ich widok. To z jego winy na całe lata, a może i na zawsze będą naznaczone.

Kolacja upłynęła w przyjaznym nastroju. Dziekan Simmons opowiadał o kłopotach związanych z poszukiwaniem dobrego trenera dla drużyny futbolowej w swoim college'u. William Johnson objaśnił działanie maszyn do perforowania, Frau Kletscher okazała się matką trójki dzieci, których wyczyny dostarczyły następnego tematu do rozmowy, a pan de La Metterie, który postanowił mówić wyłącznie po francusku, konwersował głównie z Ericą.

Z chwilą, gdy talerzyki deserowe zostały uprzątnięte ze stołu, kapitan Swinford odwrócił głowę, dając komuś znak. Dwaj oficerowie, siedzący przy stoliku służbowym, podnieśli się natychmiast.

- Panie i panowie, pozwólcie przedstawić sobie pana Bailesa i pana Crosleya. Oczywiście wkrótce poznają państwo wszystkich moich oficerów, ale tymczasem, zanim twarze całej załogi staną się znajome, ci dwaj dżentelmeni są na państwa usługi, oferując wszelką pomoc, jakiej mogliby państwo potrzebować.

- Dziękujemy, kapitanie.

- To niezwykle uprzejmie z pana strony.

- Jak się macie, panowie.

Amy i Erka były lekko zdziwione. Nie pamiętały, by kiedykolwiek w przeszłości przedstawiano im dwóch „pomocników”. Zazwyczaj pasażerowie bardzo prędko poznawali przynajmniej niektórych oficerów, ponieważ w najbliższej odpowiedniej chwili, po pierwszym posiłku, przeprowadzono próbny alarm szalupowy. Pasażerowie kierowani do łodzi ratunkowych prawie natychmiast wiedzieli, kto jest kim na statku. Obaj przedstawieni oficerowie przeszli wraz z gośćmi na kawę do salonu. Erica miała wrażenie, że pan Crosley usiłuje trzymać się blisko niej. Zręcznie popsuła mu szyki, siadając pomiędzy matką a panem de La Metterie.

Bart Crosley zmuszony był przerzucić swoją uwagę na panią Simmons, która chciała wiedzieć, czy powinna wrócić do kabiny po jakieś okrycie, nim wszyscy zostaną wezwani na przeszkolenie. Próbował dosłyszeć cokolwiek z rozmów pań Tregarvon. Dziewczyna szczebiotała po francusku z wydawcą, popisując się zapewne i ozdabiając swoje kwestie nazwiskami francuskich pisarzy. Matka słuchała, cierpliwie i uprzejmie - to musiał przyznać - długiej historii pani Kletscher o tym, jak Klara przejechała się sześć razy na diabelskim młynie na Praterze, nie okazując przy tym cienia strachu.

Gdy wypito kawę, a filiżanki uprzątnięto, ogłoszono próbny alarm szalupowy. Niektórzy pasażerowie znali już ten rytuał, ale inni czuli się zdezorientowani i zagubieni, a nawet dość przestraszeni. Chyba najwięcej kłopotu sprawiała oficerom klasa turystyczna.

- Pozwól panie, że pokażę drogę... - zaczaj Bart, ofiarowując jedno ramię pani Tregarvon, a drugie Ericie.
- Dziękujemy, nie trzeba nam pomocy - odpowiedziała raczej szorstko Erica.
- Rzeczywiście, dziękujemy, panie... Crosley, prawda? Mamy już za sobą takie szkolenia, może lepiej zajmie się pan państwem Kletscher.

I znów się nie udało, pomyślał Bart odchodząc. Jedno było pewne: z łatwością zyska przychylność matki, natomiast Erica Tregarvon wyglądała na zarozumiałą i odnosiła się do niego opryskliwie. Właściwie szkoda, bo na swój sposób dziewczyna była bardzo atrakcyjna: nie klasyczna piękność i nie ślicznotka, a jednak miała w sobie witalność, która przydawała blasku i lekkości całej jej postaci.

Gdy odwołano alarm wszyscy wrócili do salonów i barów, by pokrzepić się i odzyskać siły. Do Amy i Eriki zbliżył się oficer rachunkowy *Langrovii*, Colin Ridgeford, w towarzystwie starszej damy.

- Jak tam, szanowna pani - zagadnął tonem starego znajomego - czy jest pani gotowa do walki? Pozwoli pani, że przedstawię pannę Maugren, która ma ambicję zapędzić panią w kozi róg.
- Tak szybko proponuje pan karty, panie Ridgeford? Czy nie za wcześnie? Może powinniśmy...
- Proszę dać się namówić - zaczęła prosić panna Maugren. - Słyszałam o pani tak wiele i marzę, bu usiąść z panią do stolika.
- Naprawdę?
- Pani pewnie nie pamięta mojej siostry, pani O'Rourke? I ona sama, i jej mąż grywali z panią w brydza pewnej zimy w Buenos Aires...
- Ależ pamiętam doskonale! Margaret O'Rourke! I jej mąż - Henry? Harold?

- Harold. Jak to miło, że pani nie zapomniała. Margaret tyle opowiadała o tych rozgrywkach. Twierdziła, że nigdy w życiu nie musiała być tak skupiona i uważna, jak podczas gry z panią.

- Wobec tego zgadzam się - zdecydowała Amy.

106

Prawdę mówiąc, nie potrzebowała zachęty. Ona również dosłyszała szepty w jadalni i nawet teraz czuła na sobie czyjeś spojrzenie. Marzyła, by schronić się przy karcianym stoliku, ujrzeć znów znajome wizerunki królów, dam i waletów, dać się pochłonać grze.

Nie przyszło jej nawet do głowy spytać, czy Erica nie wolałaby spędzić czasu w inny sposób, porozmawiać z młodymi ludźmi w swoim wieku lub pójść potańczyć. Skierowała się po prostu do saloniku karcianego, a córka poszła za nią. Usiedli we czwórkę przy stoliku. Steward przyniósł nowe talie kart, notatniki i ołówki.

- To co, może... pensa za sto punktów? - zaproponował pan Ridgeford, spoglądając na partnerkę i przeciwniczki.

Pensa za sto punktów! Bart wzruszył w duchu ramionami i wycofał się, stawka była naprawdę wysoka! Cóż z tego, że kapitan polecił mu się nimi zająć, skoro one postanowiły zatopić się w brydżu z parą starych dziwaków. Czując ulgę na myśl, że przez resztę wieczoru ma wolne, Bart Crosley udał się do sali balowej, gdzie natychmiast poprosił do fokstrota uroczą blondynkę.

W czasie podróży do pierwszego portu, w którym się mieli zatrzymać, życie pań Tregarvon nabrało ustalonego rytmu. Erica wstawiała wcześniej i szła popływać przez pół godziny - mogła o tej porze być sama na basenie. Amy, zgodnie ze swoim zwyczajem, jadła śniadanie w łóżku i to raczej późno. Spędzały razem część przedpołudnia i jadły wspólnie lunch. Po południu Amy udawała się na drzemkę, a Erica miała wolny czas, który spędzała na pokładzie, toczyła pogawędkę, lub po prostu obserwowała, jak zimne szare wody północnego Atlantyku nabierają z wolna łagodniejszego, turkusowego odcienia oceanu tropikalnego.

Wieczorem był zawsze brydż, pewne, solidne schronienie przed ewentualnymi docinkami i pogardliwym wzrokiem.

Gdy dotarli do równika załoga zorganizowała uroczystą ceremonię, a gdy na horyzoncie pojawiła się wyspa św. Pawła, uczczono ten moment włączając syrenę okrętową. Kolor morskich fal zmienił się definitywnie z chwilą wplynięcia w strefę, w której wody Amazonki zabarwiały ocean. Następnego dnia mieli dopłynąć do Pernambuco, a właściwie do Recife, głównego miasta regionu Pernambuco.

Amy i Erica były w tych stronach wcześniej; ale choć w programie rozrywek Recife zostało ochrzczone mianem „brazylijskiej Wenecji”, Erica pamiętała, że nie wydało jej się specjalnie atrakcyjne. Było tam kilka pięknych starych kościołów i egzotyczny bazar, lecz - o ile pamięć jej nie zawodziła - w wilgotnym powietrzu unosiło się sporo cementowego pyłu.

Niemniej była to przyjemna wycieczka na ląd. Podobnej rozrywki dostarczył podróżnym Trinidad, a następnie Belize. Erica i jej matka wydały bardzo niewiele pieniędzy, chociaż inni pasażerowie wracali na pokład objuczeni słomkowymi kapeluszami, torebkami z krokodylej skóry, naszyjnikami z koralami i mnóstwem innych podobnych trofeów.

Podczas tych wycieczek na brzeg Erka widywała kręcącego się w ich pobliżu pana Crosleya. Nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Jeżeli chciał się z nią umówić, to dlaczego nie próbował tego zrobić? Po prostu powiedziałyby „nie”, uwalniając się od jego obecności. Brzmiały jej jeszcze w uszach przestrogi matki z dawnych czasów: „Nie angażuj się nigdy w bliższą znajomość z oficerami ze statku”. A oficerom powiedziano prawdopodobnie to samo: „Nie szukajcie bliższej znajomości z córką bossa”. Ale teraz wszystko się zmieniło, nie była już córką bossa i mógł się do niej zalecać każdy czuły na kobiece wdzięki mężczyzna na *Langrovii*. Statek kierował się na północ, ku Stanom Zjednoczonym. Erka była pewna obaw. Co właściwie poczną, kiedy statek dopłynie do portu przeznaczenia, czyli Nowego Jorku? Przyjmując zaproszenie kapitana Swinforda, Erka postanowiła nie myśleć o tym, co będzie dalej. W tamtej chwili nie liczyło się nic poza tym, że wyjadą, pozostawiając za sobą hotel Wessex, Anglię i Timothy'ego. Teraz jednak zbliżały się do Miami i rejs dobiegał końca.

Czy zostaną w Nowym Jorku? A jeśli tak, to skąd wezmą pieniądze na życie? Jeśli nie, to czy powrócą do Anglii? I w jaki sposób? Nieprzystoi-tością byłoby oczekiwać, że kapitan Swinford znów je zaprosi na pokład *Langrovii*. Mógł to zrobić raz bez narażenia się na dezaprobatę ze strony nowych właścicieli, ale nawet kapitan wielkiego statku pasażerskiego musiał się wytłumaczyć przed dyrekcją ze zbędnych wydatków. Na szczęście żaden z tych problemów nie nękał Amy. Myślała o nich jedynie Erka. Zdażyła się już nauczyć w samotności borykać z kłopotami i zgryzotami. —

Jak się niebawem okazało, kapitan Swinford myślał jednak o ich przyszłości. Podczas popołudniowej herbaty zatrzymał się przy Erice.

- Czy zamierzają panie towarzyszyć nam do Nowego Jorku, czy też myślały może panie o zatrzymaniu się w Miami?

Erica spojrzała na niego. Był tak starym, wypróbowanym przyjacielem, więc mogła pozwolić sobie przy nim na całkowitą szczerłość.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co robić - wyznała. - Byłyśmy tak zachwycone podróżą, że nie myślałyśmy wcale o tym, co będzie później... Ale rzecz w tym, że...

- Rzecz w tym, że Nowy Jork na początku lipca nie jest najbardziej atrakcyjnym miejscem na świecie. Słusznie. Czy nie lepiej zatrzymać się w Miami?

- W Miami też jest gorąco...

- Ale zawsze znajdzie się gdzieś w pobliżu jakiś basen, w którym można się ochłodzić. - Uśmiechnął się, siadając obok.

Skinął głową i steward podszedł natychmiast z następną filiżanką herbaty dla Eriki. W chwilę potem wrócił z ciastem i małym przenośnym stolikiem. Gdy się oddalił, kapitan odezwał się znowu:

80

- Pamięta pani może, że jedna z przyjaciółek pani matki ma dom w Miami?

- Naprawdę? - Erica zmarszczyła brwi, szukając w pamięci.

- Pani Oakes - przypomniał kapitan. - Niewykluczone, że Harry Oakes kupił go po pani wyjeździe do szkoły.

Wiem z pewnością, że La Marmora stoi zwykle pusta... Spory kawałek gruntu tuż nad oceanem, dziesięć pokoi, basen i ścieżka prowadząca na plażę. Co pani na to, żebym wysłał telegram do pani Oakes z pytaniem, czy możecie zatrzymać się u niej na miesiąc lub dwa? Jestem pewien, że teraz jest w Kanadzie.

Przyjaźń pomiędzy Amy Tregarvon i panią Oakes sięgała dalekiej przeszłości. Pewnego dnia w Sydney, na pokładzie jednego ze statków należących do spółki Tregarvona, na którym podróżował akurat tego lata właściciel z żoną, zjawiała się para nowożeńców. Lindon Tregarvon znalazł już wcześniej Harry'ego Oakesa, który wślawił się odkryciem żyły złota w okolicach Kirkland w Kanadzie. Harry poślubił młodą kasjerkę z banku, która czuła się niepewnie w roli żony milionera. Amy zajęła się Eunice Oakes z właściwą sobie życzliwością, biorąc ją pod swoje skrzydła.

Przez następne dziesięć lat spotykały się od czasu do czasu, przy okazji męzowskich podróży w interesach w różne zakątki świata. Nie były może przyjaciółkami od serca, ale łączyły je ciepłe uczucia, których nie zdołały osłabić ani nieczęste spotkania, ani ogromne odległości.

Nastrój Eriki uległ natychmiastowej poprawie. Spośród niewielu znajomych z przeszłości, co do których mogła sądzić, że ucieszą się znakiem życia od nich, pani Oakes plasowała się zdecydowanie w czołówce.

Kapitan Swinford wysłał więc telegram. Odpowiedź nadeszła w ciągu kilku godzin: telegram-do kapitana, ze słowami podziękowania za wiadomość o paniach Tregarvon, i następny, skierowany do Amy: „Bardzo proszę, odwiedź mój dom w Miami i sprawdź, czy wszystko jest w porządku. Wyświadczysz mi przysługę, zatrzymując się w nim jakiś czas, o ile to nie koliduje z twoimi planami - domy nie powinny stać puste. Z najlepszymi życzeniami, Eunice Oakes”.

- La Marmora! - wykrzyknęła Amy. - Pamiętam, że czytałam o ich domu, kiedy go kupili. Wystrój wnętrze zrobił Mamel, a basen wyłożony jest marmurem z Carrary. Erko, zgódź się! Bardzo cię proszę.

- Dlaczego nie, mamó, jeśli masz na to ochotę - zgodziła się posłusznie Erica, której ciężar spadł z serca. W domu Oakesów nie będzie czynszu, który trzeba na czas zapłacić, będzie natomiast służba, która się nimi zajmie, oraz samochód do dyspozycji; podarowano im następną okazję ucieczki od kłopotów, ale teraz Erica zdawała sobie w pełni sprawę, że nie mogą tak żyć bez końca, czerpiąc z hojności innych. Wkrótce przyjdzie czas, by poważnie pomyśleć nad kwestią zarobienia na swoje utrzymanie. W jej głowie zakiełkował już pewien pomysł. Pośród pasażerów

6 - Nieodrodna córka

81

Langrovii znajdował się król naftowy z Teksasu oraz jego żona - Harcourt i Delona Nellbrond. Harcourt był zapamiętałym brydżystą; odnosił pewne sukcesy, chociaż jego styl gry niezupełnie odpowiadał paniom Tregarvon Natomiast jego żona, Delona, grała bardzo słabo.

- Próbowałem ją nauczyć - jęknął, kiedy z jej winy stracili kolejnego robra. - Bog świadkiem, spędziłem na tym godziny, ale nie mogę jej wytłumaczyć, że musi po prostu zacząć myśleć.

- On na mnie krzyczy - poskarżyła się Delona, opuszczając swoją pięknie uczesaną głowę. - Wiem, że mogłabym się nauczyć, gdyby tylko nie wpadał w furję.

Erica prawie zaproponowała: „ja mogę panią nauczyć”. Ale nie powiedziała mc, ponieważ w przeszłości, kiedy próbowała swoich sił jako nauczycielka, rzadko spotykała się z wdzięcznością. Starszym brydżystom wcale się nie podobało, że młoda dziewczyna wytyka im błędy i potknięcia.

Jednakże teraz sytuacja była trochę inna. Jeżeli pani Nellbrond chciała się nauczyć grać bez krzyków i złości, oraz gotowa była płacić za lekcje Enca Tregarvon mogła ją przyjąć jako uczennicę.

Nellbrondowie również opuszczali statek w Miami, gdzie za kilka tygodni miał się odbyć turniej brydżowy, który Harcourt chciał koniecznie zobaczyć. A gdyby tak zaproponować pani Nellbrond, że w oczekiwaniu na turniej może wziąć kilka lekcji brydża?

Delona zareagowała na sugestię Eriki z entuzjazmem.

- Ach, skarbie, jeśli tylko mogłaby mi pani wytłumaczyć, co znaczą różne karty przy licytacji, żebym od początku wiedziała, co mam mówić byłabym nieskończenie wdzięczna! ^

- Myślę, że jestem w stanie zrobić więcej. Sądzę, Delono, że mogę nauczyć panią zupełnie nieźle grać w brydża.

Delona potrząsnęła głową.

- Erico, gdyby partnerował pani mój mąż, straciłaby pani z miejsca całą pewność siebie.

- Ależ nie! No więc, co pani o tym myśli? Zgadza się pani na lekcje?

- Marzę o tym!

- Jest tylko jedna kwestia, Delono. Obawiam się, że będę musiała panią poprosić o niewielką opłatę...

- Niewielką opłatę? Kochanie, jeśli uda się pani choć trochę mi pomóc, podaruję pani jeden z szybów naftowych Harca!

Roześmiały się obie i ustaliły opłatę, która nie była równie wysoka, jak wartość szybu naftowego, ale mimo wszystko wyższa, niż kwota, jaką mogłaby zasugerować sama Erica.

Panie Tregarvon opuściły statek w Miami, żegnając z ogromną wdzięcznością kapitana i jego oficerów. Zjawił się wszechobecny pan Crosley, by dopatrzeć przetransportowania ich bagażu ze statku na brzeg. Erica podziękowała mu uprzejmie i natychmiast przestała o nim myśleć. Bart

112

Crosley patrzył z mieszanymi uczuciami, jak obie z matką wchodzi do sali dla przyjezdnych.

- Jeśli jesteś ciekaw mojego zdania - mruknął do Ike'a Yatesa - te dwie kobiety utrzymują się prawie za nic.

Ike wrócił właśnie z nabrzeża, gdzie pilnował wyładunku worków pocztowych. Obejrzał się za reling.

- Kto? A, panie Tregarvon... Niemożliwe, stary. Mieszkały w kabinie na pokładzie A.

- A jednak... kręciłem się w pobliżu, kiedy wychodziły na brzeg. Prawie nic nie wydawały. A dziewczyna spędzała Bóg wie ile godzin, grając w brydża na duże stawki z bywalcami salonu karcianego.

- No więc sam widzisz - nie gra się na duże stawki, jeśli nie ma się pieniędzy.

- Ale ona prawie nigdy nie przegrywała! Przeciwnie, wydaje mi się, że całkiem sporo wygrała.

Yates spojrział bystro na kolegę.

- Twierdzisz, że grała dla pieniędzy?

Bart zawahał się. Przyglądał się Ericie, bo dostał takie instrukcje. A to, co zaobserwował, było raczej niespodziewane. Panie Tregarvon, zajmujące jedną z luksusowych kabin pierwszej klasy, zdawały się być bez grosza. Nigdy nie zamawiały niczego w barze, chyba że była to towarzyska konieczność. Schodząc na ląd, unikały wszelkich pułapek czyhających na turystów, nie pozwoliły sobie nigdy na pójście do restauracji, by odmienić monotonię posiłków w jadalni na statku. Napiwki wręczone personelowi - obsługującemu kabinę nie były bynajmniej hojne, choć, co dziwniejsze, nikt się nie skarżył.

A Erica sprawiała wrażenie profesjonalnego gracza, co zrobiło na nim wrażenie. Sam grywał w brydża, ponieważ była to jedna z towarzyskich umiejętności, jakich od niego oczekiwano; lecz jeśli chodzi o klasę, pozostawał za nią daleko w tyle. Niemal od pierwszej chwili zrozumiał też, że ona nie ma zamiaru tracić żadnych pieniędzy. Najpierw myślał, że jest typem dziewczyny, która po prostu chce wygrać, by zaspokoić ambicje, ale bardzo prędko wyczuł, że chodzi tu o coś więcej. Erica nie mogła sobie pozwolić na przegraną. Przeciwnie, chodziło o to, żeby wygrać, gdyż stawki w rozgrywkach przeciągających się do późna w nocy bywały naprawdę wysokie.

Innymi słowy, potrzebowała pieniędzy.

Bart nie odpowiedział na pytanie Ike'a, który, pomyślawszy chwilę, wzruszył ramionami.

- Mała hazardzistka, co? Uczy się zarabiać własnym sprytem, odkąd tatuś zniknął i zostawił ją, żeby sobie sama radziła? - stwierdził.

Zabrzmiało to brutalnie. Bart był niemal gotów jej bronić. W końcu co złego było w tym, że ktoś próbował sam sobie radzić? Tyle że hazardziści nie byli mile widziani przez oficerów statków wycieczkowych.

83

6

W cieniu werandy w La Marmora toczyła się rozgrywka brydżowa. Ponad głowami grających zwieszały się jaskrawopomarańczowe kwiaty pnącza, które oplatało dach, przynosząc trochę chłodu. Wielkie wiszące kosze, wypełnione paprociami, chwiały się lekko w podmuchach bryzy wiejącej od zatoki.

- Teraz powinna pani zagrać dziesiątką karo - zauważyła Erica.
- Ale ja nie mam dziesiątki karo - odparła zdesperowana Delona Nellbrond.
- Owszem, ma pani. Wyłożyła pani już szóstkę i siódmkę, a teraz powinna pani wyjść w dziesiątkę.
- Jakim cudem może pani wiedzieć, co mam w ręku? To jest czarna magia. - Delona znalazła dziesiątkę karo i posłuchała polecenia Eriki. Nie bez pewnych oporów pojęła wreszcie, że nie uda jej się w żadnym razie zabrać lewy i że musi poświęcić tę kartę.
- Mam dobrą pamięć - stwierdziła Erica.

Meksykańska gospośnia spojrzała na angielską lady z nabożnym podziwem. Pamięć? Może amerykańska senora miała rację, może istotnie było w tym coś z czarnej magii. Na wszelki wypadek pani Domingo wymruczała pod nosem zaklęcie chroniące od uroków.

Tego popołudnia już po raz trzeci nakłoniono ją, by wzięła udziału w grze, bo brakowało czwartego, i za każdym kolejnym posiedzeniem wzrastał jej szacunek dla młodej lady. A co do amerykańskiej senory, to może nauczy się kiedyś grać na poziomie pani Domingo, co nie będzie wielkim osiągnięciem, jako że gospodyni nauczyła się brydża na spotkaniach towarzyskich w kręgach parafialnych.

Erica powiedziała prawdę. Wystarczała dobra pamięć. Ona sama miała zawsze zdolność zapamiętywania każdej karty, która zesła, a to oznaczało, że mogła dość trafnie przewidzieć, co pozostało w ręku jej partnera oraz

przeciwników. Brydżyści rozgrywali kolejne karty zgodnie ze swoimi karcianymi nawykami, które często można było przewidzieć: poświęcę tę kartę a wykorzystam inną, będę licytował najdłuższy kolor - Erica mogła nieomal dosłyszeć ich myśli. Oczywiście naprawdę dobrym graczom udawało się czasem ją przechytrzyć. Ale na tym polegały między innymi uroki gry.

Jednakże lekcje z Deloną nie dawały przyjemności. Harcourt Nel-lbrond z pewnością nie poślubił jej ze względu na wybitny umysł; Delona nie potrafiła się skoncentrować na dłużej niż dziesięć minut.

Erica grała z Deloną, jej matka miała za partnerkę gospodynię Oake-sów. W ciągu trzech sesji osiągnęły jednak pewien postęp: Delona mogła już wziąć udział w licytacji bez wpadania w panikę. Lecz wątpliwe było, czy kiedykolwiek posiadzie instynkt gracza, jakim jest wyczucie karty.

- Weźmie pani udział w turnieju, senorita? - zapytała pani Domingo. Erica, skupiona nad kartami Delony i swoimi własnymi, potrząsnęła przecząco głową.

- Ależ, skarbie, powinna pani to zrobić! - zawołała Delona. To poważny turniej, a nagrody są naprawdę warte zachodu.

- Nigdy nie brałam udziału w żadnym turnieju brydżowym.

- Ale właściwie dlaczego? Ma pani wrodzone zdolności.

- Turniej publiczny to nowa impreza. Oczywiście zdarzało nam się wygrywać z mamą srebrne pucharki na statkach, ale brać udział w konkursie, gdzie są nagrody pieniężne...

- O jej, marzę, żeby pani wygrała! To byłby dopiero cios dla Harca! Uważa, że kobiety nie potrafią dobrze grać w brydża, mówi, że są zbyt emocjonalne - Delona roześmiała się. - Ja niewątpliwie jestem tego przykładem, po prostu zamieniam się w kłębek nerwów, kiedy siadam do gry z Harcem. Ale pani jest taka opanowana i zimna, Erico, lodowato zimna... o co zakład, że dałaby pani niezły wycisk tym gościom z hotelu Esmeralda?

Po wyjściu Harcourta, który przyjechał po żonę, Erica spojrzała na matkę.

- Może przejedziemy się po kolacji do Esmeraldy i zobaczymy, jak to wygląda?
- Erico, nie myślisz chyba o udziale w tym turnieju?
- Dlaczego? Delona wspomniała o „nagrodach wartych zachodu”. Przyznasz, że pieniądze by się przydały.
- Nie wiem... uważasz, że to wypada? - spytała strapiona Amy.
Erica nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie matki. Żywiła już wcześniej pewne obawy co do stosowności udziału w nocnych rozgrywkach na pokładzie Langrovii, podczas których była jedyną kobietą. Wygrała zresztą wtedy prawie pięćdziesiąt funtów, co teraz było dla niej pokazną kwotą. Niewykluczone, że w Esmeraldzie można będzie wygrać nawet więcej.
Myśląc o tym poprosiła o samochód. Po kolacji czekał na obie panie

86

pontiac Oakesów. Przemierzały wysadzone palmami ulice - minęły uniwersytet w Coral Gables i dojechały do centrum Miami, gdzie wielkie hotele jarzyły się światłami i tętniły hałaśliwym życiem wśród spokojnych ulic. Esmeralda zbudowana była w stylu wielkopańskich rezydencji hiszpańskich - ciężkie meble z ciemnego dębu, abażury i klosze z kutego żelaza, oraz orientalne szale przykrywające balustrady i fortepiany. Idąc w kierunku foyer, zobaczyły duży afisz, na którym wydrukowano informację, której szukały. „Hotel Esmeralda gospodarzem Turnieju Brydżowego stanu Floryda! Konkurs publiczny! Rozgrywki eliminacyjne 10 i 11 lipca. Zapisz się natychmiast!” Amy zerknęła na afisz, ale szła dalej, nie zwalniając kroku. Erica pospieszyła w ślady matki, choć wolałaby przystanąć. Być może damie istotnie „nie wypadało” okazywać jawnego zainteresowania konkursem brydżowym.
W foyer zamówiły kawę. Czekając na kelnera, Erica podeszła do bocznego stolika, gdzie leżały gazety i barwne magazyny dla gości. Jak przypuszczała, wyłożono tam również ulotki i broszury, dotyczące hotelu i programu rozrywek, które oferował. Pośród nich znajdował się formularz uczestnictwa w turnieju brydżowym.

Oplata wpisowa wynosiła dwadzieścia dolarów. Chętni proszeni byli o stawienie się na rozgrywki eliminacyjne w poniedziałek i wtorek. Środa była dniem wolnym. Następnie w czwartek i w piątek, także w sali balowej, miały odbyć się główne rozgrywki. Wreszcie w sobotę wieczorem, po kolacji, finaliści mieli grać o główną nagrodę. Sumy warte były zachodu: dwieście, pięćset i tysiąc dolarów oraz srebrny puchar. Przy wartości funta równej czterem dolarom, oznaczało to główną nagrodę w wysokości 250 funtów.

Dwieście pięćdziesiąt funtów szterlingów. Było to oczywiście do podziału z partnerem, ale za sto dwadzieścia pięć funtów mogły obie z matką utrzymać się przez rok.

Amy zdążyła nalać kawę, zanim Erica wróciła do stołu. Widząc folder w ręku córki, spytała z westchnieniem:

- Informacje o turnieju?

- Tak, Mam zamiar wypełnić formularz i oddać go, kiedy będziemy wychodziły.

- Erico...

Przez chwilę siedziały, patrząc na siebie w milczeniu.

- Wiem, mamo, uważasz, że to nie całkiem „uchodzi”. Rok temu myślałabym tak samo, ale sytuacja się zmieniła. Tak się składa, że umiem grać w brydża. Może udałoby mi się zdobyć ponad sto funtów. A potrzebujemy pieniędzy.

- No tak, chyba masz rację.

- A ty się nie zgłosisz?

- O nie. Nie potrafię ci dokładnie wyjaśnić... ale czułabym, że

w pewnym sensie przynosi mi to ujmę. Nie różni się to wiele od zarabiania na życie za pomocą zręczności i sprytu.

- A cóż innego nam pozostało, mamó - spytała Erica z goryczą -poza zręcznością oraz talentami towarzyskimi?

- Erico, wiesz sama, co zawsze myślałyśmy o ludziach, którzy stawali do konkursów tylko po to, żeby zdobyć nagrody...

- Mamó, moje uczestnictwo w turnieju brydżowym nie oznacza jeszcze, że zacznę się cieszyć złą reputacją! - roześmiała się Erica. - Będę grała uczciwie. Czy jest w tym coś złego?

- Właściwie nie... Po prostu nigdy nie przypuszczałam, że będziemy zmuszone traktować karty jako źródło utrzymania. Więc jesteś pewna, że to... przyzwoite?

- Tak, zdecydowanie, dopóki ktoś nie przekona mnie, że jest inaczej -odparła Erica. I Amy, która nauczyła się polegać na córce w każdej niemal sytuacji, zaakceptowała jej punkt widzenia bez dalszych sprzeciwów.

Erica zapłaciła za kawę i dogoniła matkę w holu. Znalazła tam pióra i atrament. Wypełniła formularz i zaniósła go wraz z dwoma dziesięcio-dolarowymi banknotami do recepcji, gdzie wręczono jej kwit i kopertę zawierającą kartę uczestnictwa z osobistym numerem oraz napisaną na maszynie instrukcję.

Była sobota. Dzień dziesiątego lipca wypadał w najbliższy poniedziałek. Erica pomyślała, że przydałby jej się trening z naprawdę dobrymi brydżystami, ale czuła się zobowiązana kontynuować lekcje z Deloną. Wzdychając w duchu, wróciła z matką do La Marmora.

- Seniorita, był do pani telefon - poinformowała pani Domingo, odbierając od Eriki okrycie. - Z Nowego Jorku.

- Niemożliwe! - Któż to mógł być? O ich pobycie w Miami wiedział tylko kapitan Swinford i kilka osób, które widziały je, gdy opuszczały statek. Tylko kapitan mógł znać numer telefonu państwa Oakesów. - Czy ta osoba zostawiła jakąś wiadomość?

- Nie, seniorita. Ten pan powiedział, że zadzwoni jeszcze raz.

- O co chodzi, córeczko? - spytała matka, rozglądając się i szukając wzrokiem „American Ladies Journal”.

- Był telefon. Dziwne. To chyba musiał być pan Swinford.

- Ach, jak to miło z jego strony! Pewnie wypływa niedługo z Nowego Jorku w podróż powrotną do kraju. Co za uroczy gest, zatelefonował do nas na pożegnanie. - Uśmiechając się do siebie na myśl o życzliwości starego przyjaciela, Amy poszła na górę, żeby poczytać w łóżku.

Erica została na dole. Od chwili powzięcia decyzji o udziale w turnieju czuła wewnętrzny niepokój. Brydż, który powstał w Stanach Zjednoczonych w 1925 roku, zyskał ogromnie na popularności w latach dwudziestych, stając się dziesięć lat później najbardziej może rozpowszechnioną grą towarzyską w świecie zachodnim. Znakomici brydżyści - mistrzowie -

88

naturalną kolejną rzeczą, zapragnęli zmierzyć swe siły w zmaganiach z przeciwnikami. W ten sposób narodziły się turnieje brydżowe.

Na razie nikt nie był pewien, jak powinny wyglądać. Regulaminy różniły się w zależności od kraju, nawet od regionu. Konieczny był ścisły nadzór, by nie dopuścić do najdrobniejszych nawet oszustw. Grano „systemem Hoyle'a”, czyli według zbioru przepisów nazwanego tak od nazwiska angielskiego twórcy reguł gier karcianych.

Mimo to, każdy turniej odbywał się wedle innych zasad. Niektóre dopuszczały wspólny udział stałych partnerów brydżowych, od początku do końca imprezy. Gdzie indziej uważano, że taki system ułatwia komunikowanie się partnerów za pomocą umówionych znaków, mrugnięć czy pochyleń głowy, toteż nalegano na wybór partnera drogą losowania.

Turniej w Esmeraldzie zakładał „losowanie partnera”. Bardzo dużo zależało na kogo trafi Erica. Jednakże, tak czy inaczej, słabi gracze zostaną wyeliminowani w kolejnych rozgrywkach, tak że w finale powinni się znaleźć wyłącznie znakomici brydżyści.

Erica ani przez chwilę nie pomyślała, że mogłaby nie znaleźć się w finale.

O dziesiątej trzydzieści zadzwonił telefon. Odebrała go pani Domingo, która zaraz przyszła do salonu.

- To ten pani dżentelmen z Nowego Jorku, seniorita - powiedziała, niosąc aparat z długim przewodem.

Erica, przekonana, że telefonuje kapitan Swinford, odezwała się na powitanie:

- Kapitanie? Dzwoni pan zapewne z portu?

- Erica? Erico, co ty robisz w Miami? Przyjechałem tu, żeby się z tobą spotkać, kiedy *Langrovia* zawinie do portu...

Był to ostatni głos, jaki spodziewałaby się usłyszeć. Przez chwilę nie mogła zebrać myśli.

- Timothy? - wyjąkała wreszcie.

- Nie mogłem zrozumieć, co się stało! Dlaczego nie dojechałyście do Nowego Jorku?

Zdumienie odebrało jej mowę.

- Erico? Jesteś tam? Erico?

- Tak. - Tyle w końcu zdołała powiedzieć.

- Pytałem kapitana Swinforda, co się z wami stało. Martwiłem się o ciebie.

Wreszcie odzyskała głos.

- A cóż ci do tego, gdzie ja teraz jestem? - zapytała zdumiona.

- Przecież prosiłem, żebyś się odezwała do mnie przed wyjazdem.

- Nie zawracaj głowy. Nie miałam ci nic do powiedzenia.

- Erico, jak możesz tak do mnie mówić?

Mogę, i to bez trudu, pomyślała. Zdumienie ustąpiło teraz miejsca ciekawości.

120

- Czego chcesz, Timothy?

- Jak to, chcę się z tobą zobaczyć, to chyba oczywiste. Po to przyjechałem do Nowego Jorku.

Raz jeszcze ogarnęło ją zdziwienie. Była również zaskoczona. Naturalnie, Timothy mógł bez żadnego kłopotu znaleźć się w Nowym Jorku przed *Langrovią* - wystarczyło wsiąść na jeden z szybkich transatlantyków, które pokonywały trasę w cztery dni. Ale po co miałyby sobie zadawać tyle trudu?

- Erico, muszę się z tobą zobaczyć. Wszystko popsulem... Straciłem panowanie nad sobą.

- Nie przeczę. Wyraziłeś przy tym swoją szczerą opinię o mojej osobie. - Na samo wspomnienie jego słów policzki Eriki zapłonęły. - Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie coś więcej do powiedzenia.

- Ależ mamy! Przekonam cię! Przyjadę do Miami. Mogę wsiąść w samolot...

- Nie rób tego.

- Ale muszę ci...

- Jeżeli przyjedziesz tutaj, polecę służbie, żeby zamknęła ci drzwi przed nosem. - Przerwała na chwilę. - Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie jesteśmy?

- Kapitan Swinford powiedział mi, oczywiście.

Szkoda. Nie przyszło jej do głowy uprzedzić kogokolwiek, że nie życzy sobie, by Timothy Perriman wiedział, gdzie się znajdują. Czemu miałyby przewidywać taką konieczność? Uznała rozmowę w ogrodzie za zakończenie ich znajomości - znajomości, nie przyjaźni - nigdy nie byli tak blisko, żeby można to było nazwać przyjaźnią. Więc w jakim celu on znów jej szukał?

- Nie przyjeżdżaj tutaj, Timothy. To nic ci nie da.

- Ale co macie zamiar robić w Miami? - dopytywał się. - Za co będziecie żyły? Nie możecie przedłużyć waszego pobytu w nieskończoność.

- To zupełnie nie twoja sprawa!

- Nawet ktoś tak hojny jak Eunice Oakes, nie życzyłby was sobie w charakterze wiecznych gości.

- Twoja troska o nasze losy jest wzruszająca, za to twój brak taktu po prostu powala.

- Złe to wyraziłem - powiedział zmieszany i kontynuował, pogrążając się coraz głębiej. - Chciałem tylko powiedzieć, że ponieważ nie łączą was *Z* nią żadne więzy, poza okazjonalnymi spotkaniami w czasie wakacji, raczej trudno byłoby wam prosić ją o gotówkę, żeby jakoś przetrwać. Pewnie macie jakąś biżuterię, którą można zastawić, ale to też nie potrwa długo...

- Timothy Perriman! - w głosie Eriki zabrzmiała groźba. - Zamilknij. Przestań się wtrącać w nasze sprawy. Potrafię opiekować się matką, nie

90

szukając pomocy u lichwiarzy. I nie przyjeżdżaj do Miami. Pewien młody, silny Meksykanin, wyrzuci cię natychmiast z domu.

Odłożyła słuchawkę z trzaskiem. Dopiero teraz dostrzegła ze zdziwieniem, że drży z wściekłości.

Ale już po chwili oba uczucia ustąpiły miejsca refleksji. Co takiego skłoniło Timothy'ego do przebycia Atlantyku? Dlaczego wyobrażał sobie choć przez chwilę, że ona będzie miała ochotę zobaczyć się z nim tutaj, w Miami?

Ruszyła powoli na górę. Jej matka siedziała w łóżku, czytając żurnal. Na widok Eriki zrobiła ruch, jakby chciała wstać.

- Czy to kapitan Swinford? - spytała. - Słyszałam dzwonek telefonu. Chętnie zamieniłabym parę...

- Nie musisz wstawać - odparła Erica. - To był Timothy.

- Timothy? Perriman? - Amy była równie zdziwiona, jak jej córka. - Przecież w Londynie jest w tej chwili środek nocy!

- On nie jest w Londynie, tylko w Nowym Jorku. Niebieskie oczy Amy rozszerzyły się ze zdumienia.

- A cóż on robi w Nowym Jorku?

- Zamierzał, jak twierdzi, spotkać się z nami.

- Timothy Perriman pojechał do Nowego Jorku specjalnie po to, żeby się z nami spotkać, kiedy *Langrovia* wpłynie do portu?

- Tak.

- Ależ to jakiś absurd!

- Pomyślałam zupełnie to samo. A co dziwniejsze, oświadczył, że przyleci tutaj, do Miami.

Pani Tregarvon zmarszczyła brwi.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Powiedział, że pokpił sprawę oświadczając mi się i że chciałby to naprawić. Na co mu odpowiedziałam, żeby oszczędził sobie fatygi.

- Ach tak? - pani Tregarvon zastanawiała się przez chwilę. - Czy to nie było trochę bezwzględne?

- Bezwzględne? W jakim sensie?

- No bo, widzisz, on musi cię bardzo kochać, skoro przebył ocean, żeby się z tobą spotkać, a do tego jeszcze chciał przylecieć samolotem do Miami. Ja za żadne skarby nie wsiadłabym do takiej maszyny.
- On mnie nie kocha, mamo.
- Ależ musi cię kochać, przecież ci się oświadczył i teraz przyjechał za tobą, żeby oświadczyć się jeszcze raz. Erica pokręciła głową.
- Nie słyszałaś co on mówił. Powiedział mi właściwie wprost, że powinnam go przyjąć, bo nikt inny mnie nie zechce.
- Erico!
- Tak, bo jestem naznaczona piętnem ojca-przestępcy i nie reprezentuję sobą nic prócz kosztownej edukacji oraz...

- Niemożliwe, żeby coś podobnego powiedział! Erica usiadła w nogach łóżka matki.
- Powoli dochodzę do wniosku, że coś się za tym kryje - powiedziała z namysłem. - On mnie nie kocha. Nie sądzę, żeby mnie nawet lubił. Więc po co w ogóle zaproponował mi małżeństwo?
- Kochanie moje, musiałaś coś pokręcić. Timothy jest rozsądnym człowiekiem. Z pewnością nie pragnąłby związku z dziewczyną obarczoną tymi wszystkimi dezawantażami, które przed chwilą wyliczyłaś, gdyby jej nie kochał.
- Tak by się wydawało. Ale on nie żywi do mnie najmniejszego uczucia... co od razu widać, jeśli tylko zapomni o swojej roli.
- Wobec tego po cóż przyjeżdżałby za tobą do Ameryki i po cóż by ci się oświadczał?
- To jest właściwie postawione pytanie - stwierdziła Erica.

Przez kilka następnych dni Ericę nękały obawy, czy Timothy nie pojawi się mimo wszystko. Jednak się nie pojawił. Uprzedziła służbę, żeby nie 'wpuszczano go do domu, i poleciła ogrodnikowi trzymać zamkniętą bramę na wypadek, gdyby Timothy przyjechał samochodem. W poniedziałek nie poświęciła mu już nawet jednej myśli. Miała ważniejsze sprawy na głowie. Będzie grała w brydża. I to o dużo pieniędzy.

Poniedziałek był duszny i ciężki, ale trudno było spodziewać się czegoś innego w Miami w lipcu. Nie na próżno hotele organizowały rozmaite dodatkowe imprezy, by przyciągnąć turystów w tak nieatrakcyjnym okresie. Prawdziwym sezonem była dla Florydy zima, kiedy bogata publiczność ciągnęła z północy na południe, by uniknąć srogiego klimatu Nowej Anglii, Pensylwanii czy Illinois. A ten poniedziałek był po prostu typowym letnim dniem na Florydzie - upalnym, wilgotnym i przygnębiającym.

Erica włożyła zieloną sukienkę bez rękawów z cienkiej bawełny i sandały, które dwa lata temu kupiła w Nicei. Najwygodniej byłoby jej w sukience plażowej, pochodzącej z tego samego sklepu, ale regulamin hotelowy nie dopuszczał noszenia strojów plażowych w salonach.

W sali balowej Esmeraldy, na parkiecie przeznaczonym do tańca, ustawiono stoliki do gry i krzesła.

Włączono wszystkie wentylatory, toteż w środku było dość chłodno. Na długim, przykrytym obrusem stole, stały soki owocowe i woda z lodem. W rogu sali był płatny bar, lecz nie przewidywano przy nim dużego ruchu - mile widziany był drink czy dwa podczas towarzyskich rozgrywek, ale nie w czasie turnieju o wysoką nagrodę pieniężną.

Uczestnicy zostali poproszeni o odszukanie swoich nazwisk na wizytówkach ułożonych wcześniej na stołach. Zostały one wylosowane tegoż ranka. Przy stoliku Eriki znalazło się dwóch mężczyzn: młody był wyraźnie

biznesmenem na wakacjach, starszy emerytowanym mieszkańcem Miami. Czwartym graczem okazała się pulchna kobieta około trzydziestki.

Kelnerzy w białych rękawiczkach wnieśli uroczyście talie kart na srebrnych tacach. Przy każdym stoliku odbyło się losowanie partnerów. Erice los przydzielił starszego z panów, co przyjęła z ulgą. Zdażyła dojrzeć w oku młodszego błysk wyższości i zbytnią pewność siebie, a pulchna dama już teraz była mokra ze zdenerwowania.

Ranek był nużący. Z każdym następnym robrem stawało się bardziej oczywiste, że większość uczestników turnieju reprezentowała niski poziom; zgłosili po prostu swój udział zwabieni nagrodą pieniężną. Za dużo było rozmów, zbyt wiele prób maskowania słabej techniki gry, desperackiego szarżowania.

Z ulgą powitano przerwę na lunch. W jadalni, gdzie Erica spotkała się z matką, przygotowano specjalny „Lunch Turniejowy”. Zasiadły więc obie do zupy z krewetek, sałatki, zimnej szynki, lodów i kawy. Erica była głodna, zabrała się więc z entuzjazmem do kolejnych potraw.

- Jak ci idzie? - spytała Amy patrząc, jak córka pochłania drugą porcję sałatki, zdumiona jej wilczym apetytem. Ona sama, czekając w holu na zakończenie porannej sesji, była tak zdenerwowana, że omal nie dostała ataku duszności i w dalszym ciągu nie mogła nic przelknąć.

- Jak dotąd nie działo się nic wielkiego. Mój pierwszy partner okazał się niezły - ma na imię Sidney; przed przejściem na emeryturę i osiedleniem się w Miami był nadzorcą w zakładach tkackich. Rozegrał całkiem zręcznie skontrolowaną partię, miał króla, waleta, siódmkę i szóstkę w pikach, a licytacja zaczęła się od jednego karo. Tyle że przeszkadza mu niestety słaba pamięć. Nie sądzę, żeby dotrwał do jutra, chyba że będzie miał wyjątkowo dobrych partnerów.

Naturalnie Erica spodziewała się przejść do następnych rozgrywek -tak się zresztą stało. Przeszła również jej pierwsza popołudniowa partnerka, bystra chuda panna w niebieskiej sukni. Pokonały razem przeciwników i miały szczęście wylosować się wzajemnie także przy następnym robrze. Grały więc jako partnerki i odniosły kolejny sukces. Pod koniec popołudnia Erica zauważyła z przyjemnością, że Jane, podobnie jak ona sama, znajduje się nadal w grupie tych, którzy przeszli kolejny etap.

Wtorek był powtórzeniem poniedziałku, z tym że poziom gry podniósł się, a w sali zapanował spokój - umilkły rozmowy i chichoty, uczestnicy grali w skupieniu. Erica patrzyła ze współczuciem na Jane, która została wyeliminowana po ostatnim robrze. Środa była dniem wolnym. Erica trochę pływała, czytała, słuchała

radia. Nie myślała wcale o brydżu aż do popołudnia, kiedy z matką, Deloną i panią Domingo spędziła spokojną godzinę przy stoliku. Stwierdziła jednak w cichości ducha, że w żadnym wypadku nie można tej sesji nazwać treningiem - Delona grała tak źle, że była to raczej męczarnia. Prawdziwa rywalizacja rozpoczęła się w czwartek po południu. Mocno

93

przerzedzone grono brydżystów zasiadło przy ośmiu stolikach. Zwycięzców czekały następne rozgrywki w piątek po południu, a potem w piątek wieczorem. Trzecia z najlepszych par piątkowego wieczoru dostanie dwieście dolarów, czyli trzecią nagrodę.

W sobotę wieczorem zostanie już tylko jeden jedyny stolik. Całodniowa przerwa będzie dla jednych napięciem, dla innych błogosławieństwem. Zwycięzcom w tej ostatniej rozgrywce przypadnie tysiąc dolarów i srebrny puchar, zwyciężonym - pięćset dolarów.

Erica nie miała wątpliwości, że zdobędzie główną nagrodę i srebrny puchar, aż do piątkowego wieczoru, kiedy wstała od gry, jako jedna z czterech zwycięzców. Teraz jednak nie była już taka pewna siebie. Jeden z brydżystów grał co najmniej równie dobrze jak ona i mogła liczyć na wygraną tylko w przypadku wylosowania go na partnera.

- Wiesz, kim on jest? - spytała matkę. - To Mitchell Harrowford. Po pierwszych rozgrywkach poniedziałkowych Amy nie poszła więcej do hotelu. Napięcie było zbyt wielkie i nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Teraz zmarszczyła brwi, szukając w pamięci wymienionego przez córkę nazwiska.

- Mitchell Harrowford? Czy ja go w ogóle znam?

- Zetknęliśmy się z nim parokrotnie; na *Sinclair*, przed trzema czy czterema laty, kiedy płynęliśmy na regaty do Australii i rok wcześniej, o ile dobrze pamiętam, na pokładzie *Corfu*. Wysoki, chudy mężczyzna, zawsze nieskazitelnie ubrany; bardzo opanowany przy grze... bezbłędnie umie pokazać partnerowi, kiedy przerzucić się na inny kolor...

- Wysoką kartą. Tak, oczywiście, Harrowford - Amy uśmiechnęła się, ale zaraz zmarszczyła brwi. - Mieliśmy co do niego pewne zastrzeżenia. On gra w karty dla pieniędzy... - urwała, zmieszana i zbita z tropu. - No tak, przecież turniej nie jest niczym innym, jak grą dla pieniędzy. Niemądra jestem! Więc mówisz, że on tak dobrze gra?

- Doszedł razem ze mną do finału. I naprawdę nie wiem, czy poradzę sobie jutrzejszego wieczora, jeśli nie wylosuję go na partnera. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła z nim wygrać całego robra.

- Ależ, kochanie, dużo zależy też od tego, kogo on wylosuje...

- Nie, myślę, że mógłby wygrać również z całkiem przeciętnym partnerem. A wśród naszej czwórki naprawdę nie ma nikogo przeciętnego.

- Nie martw się, moja kochana. Nagrodę masz już zapewnioną.

- Wiem - westchnęła Erica - tylko marzyłam, żeby wygrać połowę tego tysiąca dolarów. Ale nie było jej to sądzone. Erica wylosowała na partnera Sama Lutsky'ego, a Mitchell Harrowford - Winthorpa Hayesa. Lutsky był spokojnym, przysadzystym, siwowłosym mężczyzną, który palił w trakcie gry bez przerwy, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób zdradzała narastające zdenerwowanie. A Mitchell Harrowford umiał to zauważyć. Siedział ubrany w biały

128

smoking, z goździkiem w butonierce, pozornie całkowicie rozluźniony. Co jakiś czas ogarniał niemal obojętnym spojrzeniem ciemnobrązowych oczu karty oraz towarzyszy gry.

Erica nie dała się temu zwieść. Była pewna, że Mitchell Harrowford czyta w Lutskym, jak w otwartej księdze. Obawiała się, że podobnie poradzi sobie także z nią, chociaż nigdy nie usiłowała dyrygować swoim partnerem. Harrowford i Hayes wygrali pierwszą partię z nieznaczną przewagą. Lutsky próbował dodać otuchy Ericie, kiedy oboje pokrzepiali się herbatą z lodem.

- Rozłożymy ich na obie łopatki w drugiej partii.

Erica wzruszyła lekko ramionami. Miała ochotę powiedzieć: „Czy nie mógłby pan odłożyć palenia do końca gry?” Ale było to bezcelowe. Pan Lutsky tak się przyzwyczaił do papierosa leżącego na popielniczce tuż pod jego ręką, że bez tego nie mógłby sobie poradzić. Niemniej, za każdym razem, gdy zaciągał się dymem, mówił swojemu bystremu oponentowi, co myśli o swoich szansach.

Mimo późnej pory było wyjątkowo ciepło. Wieczorowa suknia z wiśniowej tafty kleiła się Ericie do pleców. Oddałaby wszystko za chłodny prysznic i możliwość przebrania. Cóż za szalony pomysł, żeby wkładać suknię z tafty! Dlaczego nie ubrała się w coś miękkiego i lekkiego?

Weranda została urządzona w taki sposób, by goście hotelowi i zawodnicy, którzy nie weszli do finału, mogli przyglądać się grze. Obecność ludzi wokół stołu podniosła dodatkowo temperaturę, a wentylatory nie pracowały tak dobrze, jak w sali balowej. Nowe karty, zrazu chłodne w rozgrzanych palcach, prędko stały się lepkie i wilgotne.

Lutsk miał szybki refleks, a pomiędzy nim i Ericą zrodził się już w pierwszej części rozgrywki rodzaj porozumienia. Nabrała do niego sympatii i razem poradzili sobie całkiem dobrze z impasem ze strony Winthorpa Hayesa.

Ale już w połowie partii Erica zrozumiała, że nie będą zwycięzcami. Gdyby mieli trochę lepsze karty lub trochę mniej zręcznych przeciwników - nawet jedna z tych okoliczności dałaby im szansę. Niestety,

Harrowford był brydżystą pierwszej klasy, Hayes po prostu bardzo dobrym graczem, a do tego sprzyjała mu karta.

Gdy druga partia dobiegała końca, zapiski w notatnikach wskazywały wyraźnie, kto wygra. Mężczyzna, który je prowadził, podszedł do kierownika hotelu, szepcząc mu coś do ucha; kierownik udał się po prezesa Izby ; Handlowej, który miał wręczyć nagrody.

Wrócił w chwili, gdy ostatnia lewa została już odłożona. Mitchell Harrowford wyciągnął rękę ponad stołem, ściskając dłoń Hayesa.

- Brawo, partnerze.

- Dziękuję. I dziękuję również, panno Tregarvon oraz panie Lutsky, za emocjonującą grę.

95

Uścisnęli sobie uprzejmie dłonie. Erica zmusiła się do uśmiechu. Prowadzący zapiski wręczył notatniki brydżowe kierownikowi hotelu, który rzucił na nie okiem, złożył swój podpis i przekazał reporterowi z „Miami Herald”.

Podano napoje, Erica wypiła jednym tchem. Rozejrzała się za Amy, która siedziała z wachlarzem na fotelu trzcinowym. Pomachały do siebie. Słowa były zbędne, Amy wiedziała, że Erica i jej partner są ha drugim miejscu.

- Panie i panowie, poproszę o uwagę - kierownik zwrócił się do publiczności przez mikrofon. - Panie i panowie, oddaję głos naszemu niestrudzonemu, znanemu wszem i wobec Reynoldowi T. Culdonowi, prezesowi Izby Handlowej w naszym wspaniałym mieście. Reynold T. Culdon!

Opalonego mężczyznę powitano oklaskami.

- Panie Vinesci, dziękuję za te pochlebne słowa. Panie i panowie, do was również kieruję serdeczne podziękowania za wspieranie pierwszego otwartego turnieju brydżowego zorganizowanego w stanie Floryda. W ciągu ostatniego tygodnia wszyscy byliśmy świadkami wspaniałej gry uczestników. Chciałbym zacząć od wręczenia trzeciej nagrody, zdobytej przez panią Rebeccę Upnalt i pana Thomasa Sigimo. Pani Upnalt i pan Sigimo!

Prezes wziął do ręki dużą kopertę ze złotymi brzegami i zielonym napisem - zieleń była firmowym kolorem Esmeraldy. Zdobywcy trzeciego miejsca przyjęli ją gorliwie, otwierając i wyjmując szeleszczące dziesięciodolarówki.

- Teraz nasi zdobywcy drugiej nagrody. Wszyscy, którzy obserwowali dzisiejszą grę, wiedzą, jak dzielnie walczyli, choć nie sprzyjało im szczęście. Proszę o brawa dla panny Eriki Tregarvon i pana Samuela Lutsky'ego!

Rozległy się oklaski i aprobujące okrzyki. Erica i jej partner odebrali podobną kopertę. Lutsky podał ją Erice.

- Proszę, niech pani otworzy.

Erica spełniła prośbę, ale zwlekała z odliczaniem pieniędzy. Lutsky uśmiechnął się, wziął je od niej i podzielił po dwadzieścia pięć dziesięcio-dolarowych banknotów.

- To pokrywa moją podróż i jeszcze coś zostanie - stwierdził z satysfakcją. - A pani jest zadowolona?

- Tak, dziękuję. I dziękuję panu za wspólną grę.

- Hm... Mam wrażenie, że lepiej by pani poszło z jednym z tamtych, ale tak to już jest. Nie ma mi pani tego za złe?

- Ależ skąd.

Tymczasem prezes Izby Handlowej wezwał zwycięzców po odbiór nagrody i pucharu. Erica klaskała wraz z innymi, gdy Winthorp Hayes podszedł, by odebrać trofea. Zauważyła, że Harrowford chętnie zajął się kopertą z pieniędzmi. Odniosła wrażenie, że srebrny puchar zupełnie go nie interesuje.

96

Podano szampana, wzniesiono toasty i w godzinę później było już po wszystkim. Erica poszła poszukać matki, by zabrać ją do La Marmora, pogodzona już z myślą, że wygrała zaledwie sześćdziesiąt kilka funtów. Mimo wszystko był to niezły zarobek za tydzień pracy.

- Przepraszam panią...

Erica przystanęła w drodze do holu.

- Panno Tregarvon, chciałem pani powiedzieć, że równie dobrze mogła wygrać pani i pan Lutsky. Zwłaszcza pani grała po mistrzowsku.

- Dziękuję. Ale pan okazał się jeszcze lepszy.

- Hm, nie przeczę, ale też trafiłem na lepszego partnera. Gdyby pani wylosowała mnie albo pana Hayesa, to pani odebrałaby główną nagrodę.

Erica uśmiechnęła się w milczeniu. Wiedziała, że miał rację.

- Mam wrażenie, że spotkaliśmy się już wcześniej.

- Tak, rozmawiałam o tym wczoraj wieczorem z moją matką. Kilka lat temu podróżował pan statkiem *Sinclair*.

- *Sinclair*. Ach tak, Sydney i Melbourne... Proszę mi wybaczyć, nie pamiętam[^] czy graliśmy razem w brydża.

- Nie, ale obserwowałyśmy pana przy grze. Podziwiałymy pana styl.

- To bardzo miło z pani strony. Jestem pełen dla pani podziwu, jest pani naprawdę utalentowaną brydżystką.

- Zawahał się na chwilę. - Czy myślała pani kiedykolwiek o uprawianiu tego profesjonalnie?

- Profesjonalnie? Uśmiechnął się.

- Wygląda pani na bardzo zdziwioną. Ale grając w brydża można zarobić na życie. Turnieje podobne do tego są organizowane w wielu miejscach, a w większych miastach nagrody bywają wyższe...

- Nie sądzę, żebym...

- Z kolei na statkach pasażerskich spotyka się zawsze podróżnych, którzy szukają chętnych do gry. Z pewnością zdarzyło się pani grać na pokładzie?

- Tak - przyznała.

- Ale nie na pieniądze?

- Właściwie... no tak... w czasie ostatniej podróży... owszem, grałam dla pieniędzy.

- I wygrała pani.

- Trochę.

Uśmiech rozjaśnił jego chudą twarz.

- Czyli... pozbawiłem panią dzisiaj całkiem pożytecznej sumy.

- Tak, przyznaję. Chociaż nie byłam zainteresowana pucharem -odparła, uśmiechając się również.

- Ja także nie. Odstąpiłem go Hayesowi za dwadzieścia dolarów. Chciał mieć pamiątkę.

- Sprzedał pan swoją część!

- Oczywiście. Zawsze sprzedaję puchary i inne trofea. Nie nadają się

7 - Nieodrodna córka

97

do jedzenia - wyjaśnił z przeproszącą miną. - To jest mój sposób zarabiania na życie, rozumie pani.

- Rozumiem.

- Myślę, że i pani zarabiałaby całkiem nieźle, gdyby zdecydowała się wykorzystać swój talent. Życzę pani szczęścia.

- Dziękuję.

- Może nasze drogi kiedyś się skrzyżują?

- Niewykluczone. Do widzenia, panie Harrowford.

- Do widzenia, panno Tregarvon.

Gdy Erica podeszła do matki, Amy pytała:

- O czym on z tobą rozmawiał?

- Powiedział, że powinnam grać w brydża zawodowo.

- Ponieważ on sam to oczywiście uprawia.

- Ja także mam taki zamiar.

- Erico! To niemożliwe!

- Dlaczego?

- Już ci to wyjaśniałam. Coś, co może być dopuszczalne dla mężczyzny, w przypadku młodej dziewczyny... Nie, nie, to nie do pomyślenia.

- Mamo - powiedziała Erica - to jest sposób zarabiania pieniędzy. Jeżeli pan Harrowford może to robić, ja mogę również.

- Nie, kochanie, naprawdę nie!

Amy zdawała sobie sprawę, że protestuje na próżno. Potrzebowały pieniędzy, a jej córka znalazła sposób, żeby je zarobić.

Erica nie była typem dziewczyny, która może nauczyć się stenografii i maszynopisania, po czym utknąć w jakimś biurze jako niższa urzędniczka. Była na to za ambitna.

Toteż, choć była to droga niekonwencjonalna, niepewna i nie ciesząca się powszechnym szacunkiem, Erica postanowiła zarabiać na życie grając w karty.

Powietrze było przesycone słodkim, wonnym zapachem pomarańczy. Statek wycieczkowy *Wincenta* był zakotwiczony na głębokich wodach portu w Schottegat. W porannym słońcu lśniły stojące wzdłuż nabrzeża budynki o pastelowych kolorach - cukierkoworóżowe, pistacjowozielone, beżowe niczym kawa z mlekiem i błękitne jak niebo. Szczyty domów wieńczyły bogato zdobione facjatki, obramowania drzwi zrobione były z rzeźbionego kamienia, a same drzwi, masywne, mahoniowe, pięknie rzeźbione, miały pyszne wykończenia z mosiądzu. Tak właśnie wyglądało Curaçao, perła Holenderskich Antyli.

Pasażerowie *Wincenty* szykowali się do zejścia na ląd, w poszukiwaniu wieczornych rozrywek. Sklepy w Willemstad pozostaną otwarte tak długo, jak długo turyści zechcą kupować butelki likieru pomarańczowego, hafty, koronki na wzór flamandzkich, portfele i torebki ze skóry rekina, koszyki, rzeźbione wyroby z fiszbinu oraz perfumy o zapachu kwiatów tropikalnych.

- Panno Tregarvon! Panno Tregarvon! Wspominała pani wcześniej, że odwiedziła pani to miejsce kilkakrotnie i zna pani dobrze Willemstad. Panno Tregarvon, czy mogłaby mi pani wskazać sklep, w którym dostanę bursztyny? Moja matka prosiła mnie specjalnie o przywiezienie jej sznurka bursztynów.

Pani Achtov, która jak zwykle plotła piąte przez dziesiąte, schodziła po trapie kilka kroków przed Ericą z odwróconą do tyłu głową, prosząc o pomoc w zakupach i nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo potknięcia. Marynarz dyżurujący przy trapie westchnął i chwycił ją za łokieć w chwili, gdy zachwiała się, stawiając stopę na brzegu. Wymienił z Ericą porozumiewawcze spojrzenie cierpiętника.

Od dnia wypłynięcia z Miami, wszyscy pasażerowie *Vincenty* zdążyli już ucierpieć z powodu pani Achtov. Wiadomo było, że świeżo owdowiała,

a kiedy zabrakło jej męża-opiekuna, czuła się zagubiona. Podczas wieczornych partii brydża opowiedziała Ericie przynajmniej dziesięć razy historię swego małżeństwa z Rudim.

- Zastanawiam się, czy Rudi życzyłby sobie, żebym nosiła żalobę. Czuję się trochę winna... ale matka orzekła, że nie mogę wybrać się w czerni na wycieczkę statkiem.

Przez całe jej życie najpierw matka, a następnie mąż dyktowali pani Achtov, jak ma postępować. Tym razem złamana noga przeszkodziła matce w towarzyszeniu jej na wycieczce i udzielaniu codziennych instrukcji.

Chcąc nie chcąc, Erica znalazła się też przy niej, gdy zeszły na ląd.

- Sklepy są trochę dalej, nad zatoką - poinformowała. - To niedaleko, a ochłodziło się dostatecznie, żeby pójść tam piechotą, jeśli ma pani ochotę.

- Mam iść piechotą? Czy też może wziąć taksówkę? - Pani Achtov rozejrzała się wokół. - Ale na taksówki czeka cały tłum. Więc może lepiej pójdę, jak pani myśli? Panno Tregarvon, czy pani również idzie piechotą? Więc chodźmy razem.

- Przepraszam panią, ale jestem umówiona...

- Tutaj? W Willemstad? - Pani Achtov rozejrzała się wokół, jakby chciała sprawdzić, czy rzeczywiście, w tym obcym porcie mogła się znaleźć jakaś przyzwoita osoba, z którą była umówiona panna Tregarvon.

- Ależ tak, to dawno ustalone spotkanie - powiedziała Erica, kłamiąc na poczekaniu. Była gotowa na wszystko, byle pozbyć się pani Achtov.

Panie Tregarvon, matka i córka, wybrały *Vincentę*, by Erica zadebiutowała jako profesjonalny gracz. Był to pierwszy statek, który opuszczał Miami po zakończeniu Turnieju Brydżowego stanu Floryda. A poza tym potentat naftowy Harcourt Nellbrond znalazł kogoś w dyrekcji tej właśnie linii morskiej. Dzięki jego poleceniu, Ericie udało się wykupić z niewielką zniżką dwuosobową kabinę dla siebie i matki pod warunkiem, że będzie pracować jako „dama do towarzystwa”.

Do jej obowiązków należało granie w brydża co wieczór po kolacji do godziny jedenastej, o ile pasażerowie pragnęli poświęcić się tej rozrywce. Miała czuwać nad prawidłowym rozgrywaniem kolejnych róbów. Jeżeli gra toczyła się na pieniądze, stawki musiały być bardzo niskie, dziesięć centów za sto punktów. Natomiast kierownictwo nie interesowało się wysokością stawek w czasie nocnych sesji brydżowych. Uzgodnienie opłat za udzielenie lekcji brydża było już sprawą Eriki i jej ucznia.

Na pani Tregarvon nie spoczywały podobne zobowiązania, tyle że poproszono ją, by często grywała w brydża. Nie był to ciężki obowiązek dla Amy, która nie wyobrażała sobie przyjemniejszej rozrywki od dobrze rozegranego robra.

Erica nie była szczególnie zadowolona. W przeszłości mogła zawsze wybrać, z kim będzie grała. Teraz sytuacja wyglądała inaczej. Każdy pragnący się do brydża miał być usatysfakcjonowany i Erica musiała tego dopilnować. Co wieczór zasiadano przy co najmniej trzech stolikach

136

do gry, ale nie zawsze okazywało się możliwe umieszczenie nudziarzy i zawadiaków w innych czwórkach. Właściwie pani Achtov była niewielkim problemem w porównaniu z innymi. Jeden z graczy miał romansowe plany wobec Eriki, a znów jedna z pasażerek, zazdrosna o stroje, docinała jej w perfidny sposób. Ale tego wieczoru w Curaçao, oboje - pasażer i pasażerka - mieli zupełnie co innego do roboty. Jedyne pani Achtov, nie mająca sprecyzowanych projektów, pragnęła towarzystwa Eriki u swego pulchnego boku. Erica żałowała tymczasem, że nie została na pokładzie razem z matką. Amy postanowiła zejść na ląd następnego dnia.

- Gdzie się pani umówiła z przyjaciółmi? W mieście? W takim razie mogłybyśmy pójść tam razem...

- Dziękuję pani, ale powinnam zaczekać tutaj. Proszę spojrzeć, kolejka do taksówek prawie zniknęła, więc bez problemu może pani pojechać.

- Panno Tregarvon, tak bym chciała, żeby pani dotrzymywała mi towarzystwa. Wygląda na to, że nikt jednak nie przyjdzie na spotkanie z panią. - Pani Achtov zlustrowała ponownie nabrzeże, ale nie dojrzała nikogo, kto wyglądałby na odpowiednie towarzystwo dla panny Tregarvon. - Czy jest pani pewna, że umówiła się pani właśnie tutaj?

- Ależ tak, jestem tego zupełnie pewna.

Erica również rozejrzała się wokół. Gdyby zobaczyła jakąś przyzwoitą kobietę, nie zawahałaby się podejść do niej i zagadnąć, przeciągając rozmowę do czasu, aż pani Achtov odjedzie taksówką.

- Czy pani spędzi całe popołudnie i wieczór z tymi przyjaciółmi? - chciała wiedzieć jej dręczycielka.

- Niestety tak. - Idź już, prosiła Erica w myślach. Idź i daj mi spokój.

- Moim zdaniem to bardzo nieładnie z ich strony, że nie przyszli spotkać się z panią, skoro obiecali - powiedziała głośno pani, Achtov z naganą w głosie. - Jak długo ma pani zamiar czekać tutaj na nich?

- No, jeszcze dobrą chwilę... Ale proszę, niech pani idzie spokojnie po zakupy.

- Czuję, że nie postąpiłabym właściwie, zostawiając panią samą w nie znanym porcie.
 - Ależ nie, wszystko jest w porządku.
 - Zdaje się, że pani przyjaciele mieszkają tu na stałe. Więc może poszłybyśmy do nich razem? - Pani Achtov była zachwycona własnym pomysłem. Miałyby zajęcie na całe popołudnie, bo przyjaciele Eriki na pewno ją zaproszą, by spędziła u nich wolny czas.
 - Erico! - zawołał nagle ktoś wesołym głosem. - Przepraszam za spóźnienie!
- Erica odwróciła się gwałtownie.
- Spoza sterty skrzyń wyłoniła się znajoma postać. Był to Hobart Crosley, oficer z *Langrovii*. Erica wydała zduszony okrzyk:
- Pan Crosley!

- Długo pani czeka? Utknąłem na poczcie.

Był w cywilnym ubraniu, białej płóciennej marynarce, w bawełnianych spodniach i kapeluszu panama.

Uniósł go lekko, witając panią Achtov.

- Dobry wieczór pani - powiedział.

- Pani Achtov... to jest pan Crosley... jeden z moich przyjaciół. Pani Achtov jest również pasażerką z *Vincenty*.

- Bardzo mi przyjemnie - jego ton był uprzejmy, ale chłodny, jakby kryła się w nim zapowiedź pożegnania.

Przyszedłem na spotkanie z przyjaciółką, więc po co pani tu jeszcze stoi - zdawał się mówić do pani Achtov?

- No więc... myślę, że jednak pojedę taksówką...

- Pozwoli pani, że się tym zajmę - Bart podszedł do krawężnika, dał znak kierowcy i pomógł wsiąść pani

Achtov. - Jaki adres mam podać kierowcy?

- Wybieram się do sklepów... chciałabym kupić bursztyny.

- Tadeus Huystens - zwrócił się Bart do taksówkarza, który natychmiast odjechał.

Erica uśmiechnęła się z wdzięcznością, gdy do niej podszedł.

- Skąd pan się tu znalazł? - spytała. - I jak pan odgadł, że potrzebuję pomocy?

- Ach, ratowanie dam z opresji to moja specjalność - odparł Bart. Zobaczył ją już z daleka i pomyślał, że powie jej dzień dobry, ale

potem zawahał się, przystając za skrzyniami, ponieważ panna Tregarvon me wydawała się raczej przychylnie do niego usposobiona na pokładzie *Langrovii*. Jednakże rozmowa, którą przypadkiem usłyszał, przekonała go, że tamta kobieta uczyła się Eriki kurczowo. Wezbrała w nim natychmiast sympatia i współczucie, gdyż sam niejednokrotnie miewał podobne problemy. Ale teraz znów się zawahał.

- Czy rzeczywiście jest pani umówiona? Potrząsnęła przecząco głową.

- Wymyśliłam to, żeby się jej pozbyć.

- A... czy zechciałaby pani zjeść ze mną kolację?

- Przecież pewnie miał pan jakieś plany na dzisiejszy wieczór.

- Tylko przeprawę z władzami pocztowymi. - Wzruszył ramionami. - Zawieruszyła się gdzieś partia przesyłek poleconych. Miałem ją odnaleźć i dostarczyć jutro na *Langrovię* w Kralendijk.

Kralendijk był portem na sąsiedniej wyspie, Bonaire, należącej również do Holenderskich Antyli.

- Wracacie z Nowego Jorku do Southampton?

Erica stłumiła westchnienie. Cudownie byłoby wrócić na pokład *Langrovii*. *Wincenta* była wygodnym statkiem, wyposażonym stosownie do potrzeb zamożnych pasażerów, ale miała tylko jedną klasę i nie mogła się nawet równać z elegancją *Langrovii*.

- Więc jak? Ma pani ochotę coś przekąsić?

- Nie jestem bardzo głodna, ale chętnie pójdę z panem na kolację. Nie pomyślałaby nigdy, że może wypowiedzieć podobne słowa do pana

102

Crosleya, który podczas podróży przez Atlantyk dał jej się porządnie we znaki swoim zwyczajem pojawiania się u jej boku, kiedy' wcale nie pragnęła jego towarzystwa.

Bart przywołał taksówkę, która zawiozła ich do pięknego starego domu na przylądku. Mieścił się tam hotel Kronprins, którego restauracja słynęła z dań rybnych, ale nie była dostatecznie elegancka, by wymieniono ją w broszurach turystycznych rozdawanych na statku, nie było więc niebezpieczeństwa, że spotkają tutaj panią Achtov.

Podczas kolacji Bart opowiadał, co nowego zaszło na *Langrovii*, ale nie było tego zbyt wiele. Na sprawnie dowodzonym statku rzadko zdarzały się nietypowe czy niezwykle przypadki. Erica zaś dość niechętnie wyjaśniła, co robi na pokładzie *Vincenty*.

- Gra pani zawodowo? - Bart podniósł brwi. - Czy to samo robiła pani na pokładzie *Langroviil*

Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

- Nie, jeszcze nie. Ale wygrałam trochę pieniędzy, wygrałam też pewną sumę w turnieju brydżowym w Miami. Więc przyszło mi do głowy, że można w ten sposób zarabiać, a potrzebujemy z matką jakichś dochodów.

Bart sam doszedł do takiego wniosku w ostatnich dniach jej podróży na *Langrovii*.

- Czyli pani ojciec ulotnił się, nie zostawiając wam pieniędzy na życie?

Erica wzdrygnęła się na słowo „ulotnił”. Nie odpowiedziała.

- Myślałem sobie w czasie podróży do Ameryki... zdawało mi się, że właściwie są panie bez środków do życia.

- Tak było.

- Pani ojciec nic nie zostawił?

- Zarządcy masy upadłościowej zabrali wszystko.

- No tak, ale... sprytni finansiści zaopatrują rodziny na podobne okoliczności. Choćby - jak słyszałem - otwierając konta bankowe na nazwisko żony.

- ...Nie.
- Nie zrobił niczego w tym rodzaju?
- Nie.
- Co za łotr.

Ostatnie słowo wypowiedział bez cienia emocji, jakby było tylko wyrażeniem na głos od dawna ustalonej opinii. Erica zrozumiała, że żeglarze często i z goryczą dyskutowali o aferze Tragarvona. Poczula, że musi powiedzieć coś na obronę.

- Nie myślę, żeby się spodziewał kiedykolwiek, że będzie musiał uciekać... - zaczęła niepewnym głosem.
- W przeciwnym razie zorganizowałby coś, żeby zapewnić dochody pani i matce?

140

- Nie! Nie o to mi chodziło! Mój ojciec nigdy nie przypuszczał, że...
- Że jego machinacje wyjdą na jaw? No tak, tego chyba rzeczywiście nie przypuszczał. - Bart wrócił pamięcią do różnych rozmów w gronie kolegów-oficerów. - To było sprytnie oszustwo i prawdopodobnie nikt nigdy by go me wykrył, gdyby ci dwaj marynarze nie upili się w Australii i nie zaczęli za dużo mówić.
- Niech pan przestanie - powiedziała Erica, a w jej głosie brzmiał ból. - Nie mogę o tym myśleć. Ludzie zginęli...

Bart powstrzymał się od wypowiedzenia następnego zdania. Zrozumiał że Erica cierpi na samą myśl o przestępstwie ojca. Co za głupiec z niego' żeby wtrącać się, nieproszony, w jej sprawy. Szybko zmienił temat.

- Jeśli naprawdę zamierza pani pływać na statkach i grać w brydża dla zarobku - powiedział - będziemy się prawdopodobnie spotykali tu i ówdzie. Nowi właściciele *Langrovii* są bardzo zainteresowani rozwijaniem programu rejsów wycieczkowych, więc będziemy raczej odbywać luksusowe podróże, niż przyziemne przeprawy przez Atlantyk.

- A pan nie jest z tego zadowolony-domyśliła się Erica z tonu jakim mówił.
- Zaczynam dochodzić do przekonania, że nie zostałem stworzony do służby na wielkich statkach pasażerskich. Może za rok czy dwa wrócę znów do marynarki handlowej.
- Tam pan zaczynał? Na frachtowcach?
- O, tak. Mój ojciec wysmiałby mnie niemiłosiernie, gdybym mu oznajmił, że pracuję na statku pasażerskim. Jego zdaniem służą tam same maminsynki.

Uśmiechnął się na myśl o ojcu, czytającym gazetę w zaciszu domowym, z głową w kłębach dymu z fajki i nogami w miękkich pantoflach opartymi o brzeg kanapy.

- Pływa na statku handlowym?
- Jest właścicielem trawlera. Nieugięty typ - dodał Bart ciepło - Brał mnie na morze niemal od chwili, kiedy nauczyłem się chodzić. Moja biedna matka odchodziła od zmysłów wyobrażając sobie, że zmyje mnie z pokładu pierwsza wysoka fala. Ale teraz wiem, że był zawsze bardzo ostrożny. Potem pracowałem na pokładzie trawlera w czasie wakacji na ogół spędzaliśmy Boże Narodzenie łowiąc sztokfisz.
- Nie miał pan choinki? Ani indyka, ani zapiekanki z mięsem?
- Mama chowała wszystko na nasz powrót. Widzi pani, najwięcej ryb jest w zimie... - Bart urwał. - Zanudzam panią niepotrzebnie tymi opowieściami.
- Skądże, są fascynujące. Dlaczego porzucił pan łowienie ryb i przeszedł na frachtowiec?

- To był pomysł taty. Twierdzi, że rybołówstwo jest dobre dla mężczyzn z przeciętnym umysłem, ale ktoś chociaż trochę bystrzejszy powinien mieć

104

tylko rozumu, by znaleźć sobie lepsze zajęcie. Więc poszedłem do szkoły w Blackfriars, gdzie nauczyłem się wszystkiego, co potrzebne - nawigacji, prawa morskiego i tak dalej. A stamtąd prosto na statek, *Baricron*, kursujący na Bałtyk i z powrotem z ładunkami drewna. Po jakimś czasie przeszedłem na statek grecki, zawijający do wszystkich większych portów na Morzu Śródziemnym. I tak dalej... uzyskałem dyplom oficerski i mogłem się starać o pracę na *Langrovii*. Tata nie wie, czy ma być dumny, czy się wstydzić, że na niej pływam.

- Pana ojciec musi być fantastyczny.

- Taak... - przeciągnął słowo, przyglądając jej się. - Może dlatego zastanawiam się...

- Czy co?

- Czy próbowała pani kiedykolwiek odnaleźć pana Tregarvona?

- Odnaleźć...?

- Nie myśli pani o nim?

- Nie - odparła, potrząsając głową gwałtownie. - Wcale o nim nie myślę.

- Wcale? Dziwne.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Nie kochała go pani?

- Oczywiście, że go kochałam! Dlatego to wszystko było takie... takie...

- Gdyby mój tata zniknął - powiedział Bart, wyobrażając sobie podobną sytuację - nie spocząłbym, póki bym go nie znalazł. Zastanawiałbym się nieustannie: gdzie jest? Czy jest zdrowy? Czy jada trzy porządne posiłki dziennie i czy ktoś się nim zajmuje?

Ku jego zdumieniu, Erica Tregarvon zerwała się na równe nogi z płonącymi policzkami.

- Niech pan pilnuje własnego nosa! - krzyknęła i ciskając serwetkę na ziemię wybiegła z restauracji.

Zanim Bart wy dostał się z za stołu i zapłacił rachunek, już jej nie było. Portier poinformował go, że poleciła taksówkarzowi zawieźć się do portu, na *Wincentą*. Bart zerknął na zegarek i stwierdził, że zrobiło się późno.

Już tej nocy miał wsiąść na szybki kuter, który przewiezie go na Bonaire, żeby zdążyć na *Langrovię* zacumowaną w Kralendijk, nie miał więc czasu na jazdę do portu z przeprosinami.

Jak mógł zachować się tak nietaktownie? Wyobrazić sobie na głos, jakby się czuł na jej miejscu? To naprawdę nie była jego sprawa. Jednakże nie spodziewał się, że ona zareaguje tak gwałtownie, wydawała mu się zawsze taka chłodna i opanowana - nie przeczuwał nawet, aż do chwili wybychu, jak głęboko zranił ją cały ten skandal. Musiała bardzo kochać swego ojca i dlatego usunęła go ze swoich myśli, bo tylko w ten sposób mogła trzymać na wodzy swoje uczucia do niego.

Po wyjściu z hotelu Bart skierował się w stronę miasta. Znalazł kwiaciarnię, wszedł do środka i zamówił bukiet orchidei Sobralia, o deli-

143

katnych, wąskich, białych kwiatach, które uwielbiał. Dołączył do nich kartkę: „Proszę wybaczyć, że wszedłem z butami tam, gdzie nie powinno się wchodzić nawet bosą stopą. Obiecuję: sprawię się lepiej przy okazji następnego spotkania. Życzę mnóstwo szczęścia, Bart Crosley”.

Kwiaty przyniósł steward wkrótce po powrocie Eriki na statek. Brała właśnie prysznic. Matka zapukała do drzwi, wołając poprzez szum wody:

- Kochanie, ktoś ci przesłał kwiaty!

- Ha! - mruknęła Erica, wcierając energicznie szampon we włosy.

- Wstawię je do wody, dobrze?

Lepiej wyrzucić je za burtę - pomyślała Erica. Ale to było niemądre.

- Dobrze.

- Jest też bilet.

- Chwileczkę - Erica zakreśliła wodę, otulając się ręcznikiem. Gotowa była podrzeć kartkę i jeszcze ją podeptać. Ale gdy przeczytała słowa Barta, poczuła się rozbrojona. Siedziała patrząc, jak litery rozmazują jej się przed oczami, w których niespodziewanie poczuła łzy, choć nie było żadnego powodu do płaczu.

- Co ci jest, kochanie? - spytała Amy z troską.

- Ach, nic. Po prostu rozzłościłam się na kogoś dzisiejszego wieczoru. Zupełnie bez sensu.

- Na kogo, córeczko?

- Na Barta Crosleya. Pamiętasz go z *Langrovii*!

- Wysoki młody człowiek z upartym podbródkiem?

- Myślę, że to go nieźle charakteryzuje.

- Dlaczego się rozzłościłaś? - Amy nagle zeszywniała. - Nie próbował chyba...

- Nie, nie. Zachowywał się jak dżentelmen i właściwie powinnam mu być bardzo wdzięczna, bo wybawił mnie od towarzystwa pani Achtov.

- Więc dlaczego byłaś zła?

Erica wstała, wytarła się do sucha i włożyła szlafrok z chińskiego jedwabiu, kupiony w tych odległych, beztrudnych czasach, kiedy pieniądze nie były jeszcze problemem...

- Mamo - zaczęła po chwili wahania - czy zastanawiałaś się kiedykolwiek, dokąd ojciec mógł pojechać?

Amy wciągnęła gwałtownie powietrze, przyciskając dłonie do policzków i usiadła nagle na taborecie przed toaletką.

- Wybacz mi! - zawołała Erica ze skrucą. Nigdy nie rozmawiały o ojcu, ponieważ matka nieodmiennie reagowała gwałtownymi łzami. -Nie płacz, proszę cię.

Próżne słowa. Amy płakała przez kilka minut, wreszcie wyciągnęła chusteczkę i otarła oczy.

- Owszem, zastanawiałam się, kochanie, wierz mi. Tyle razy marzyłam, żeby wiedzieć, gdzie on jest, żeby mieć pewność, że ma się dobrze.

- On powiedział to samo.

106

- Pan Crosley?

- Tak. Opowiadał o swoim własnym ojcu twierdząc, że nie znalazłby spokoju, póki by się nie dowiedział, że jego ojciec ma się dobrze i że ktoś

o niego dba.

- Sądziłam, że ojciec się z nami skontaktuje - powiedziała Amy. -Byłam tego zupełnie pewna.

- Obiecał, że to zrobi? - spytała Erica, wstrzymując oddech. Jeśli matka wiedziała z góry, że Lindon Tregarvon zamierza uciec, to oznaczało, że godziła się milcząco z jego występkiem.

- Nie, nic podobnego. Kiedy minął pierwszy szok, nie mówił wiele. Najpierw powtarzał, że chodzi o zwykłą pomyłkę i że wszystko się wkrótce wyjaśni... był pewien, że to zmowa ekspedytorów. Ale później stracił w dużej mierze tę pewność. Robił wrażenie... otumanionego...

Erica objęła matkę.

- Nie mówmy już o tym, jeśli cię to rozstraja.

- Kochanie, zawsze mnie to rozstraja, ale odkąd spytałaś, gdzie on jest

1 jak mu się powodzi, nie mogę przestać o tym myśleć.

- Nie zdradził najmniejszym słowem, dokąd zamierza pojechać?

- Nie. Policja wciąż pytała. Przeżyłam ogromny wstrząs i nie byłam w stanie myśleć rozsądnie. Powtarzałam im wielokrotnie, że Lindon prawie nigdy nie mówił ze mną o interesach. Timothy był wprowadzony we wszystkie jego sprawy, a też nie miał pojęcia, chociaż policja wypytywała go dziesiątki razy.

- Więc ojciec ostatecznie doszedł do przekonania, że to wszystko nie jest niemądrą pomyłką?

- Tak. To znaczy uświadomił sobie, że nie chodzi o zwykłe głupstwo. Ale nadal uważał, że coś się za tym kryje i że powinien to wyjaśnić.

- W jaki sposób? - spytała Erica żywo.

- Ach, to miało coś wspólnego z dokumentami... nie pamiętam dokładnie...
- Jakimi dokumentami?
- Naprawdę nie mam pojęcia, córeczko. Wiem, że ojciec był zdziwiony jakąś notatką w dokumentach, które stanowiły dowód w sprawie i które zgromadziła policja, ale nie bardzo mógł z nimi o tym dyskutować, bo wiesz, kochanie, w ciągu ostatniego roku, a może i wcześniej, tego roku, na który przypadł twój sezon londyński, ojciec zaniedbał trochę interesy. Miał zwyczaj czuwać nad nimi, gdziekolwiek byliśmy, nawet w najdalszych zakątkach świata. Pamiętasz, telegrafował do biura w Londynie z Rio czy Hongkongu, jakby telefonował na drugą stronę ulicy. Ale kiedy osiedliśmy w Anglii z powodu twojego debiutu, nie poświęcał interesom takowiele uwagi, bo wiesz, jak bardzo interesował się twoimi sprawami, skarbie. Był z ciebie taki dumny!
- Mamo! - szepnęła Erica ze ściśniętym gardłem.
- Naprawdę. I taki był szczęśliwy, kiedy się zaręczyłaś. Dlatego najście

tych detektywów i ich straszne oskarżenia tak bardzo nim wstrząsnęły. Ale po pierwszym tygodniu, po przemyśleniu wszystkiego, był jakby trochę pogodniejszy. Powiedział, że oczyści swoje imię z zarzutów. Tak się cieszyłam, kiedy wydawał się mniej przy bity, -choć uważałam naturalnie, że to tylko mrzonki. Ale nawet mrzonki potrafią uszczęśliwić, czy podnieść na duchu.

- Oczyścić swoje imię? - powtórzyła Erica. - Użył tych właśnie słów?

- Tak, kochanie. Tuż przed tym zniknięciem. Był nastawiony bardziej optymistycznie i tak zdeterminowany i... powiedział... powiedział... - Amy" urwała i zamilkła.

- Co powiedział?

- Nie wiem dobrze... że jest jakiś ślad, którym chce pójść, i że to oczyści jego imię; że było coś w przeszłości, co powinien zbadać. Powtarzał takie zdania, usiłując przekonać samego siebie, że uda mu się to rozwikłać, ale rozumiesz, nie miał żadnych podstaw... Powiedział, że wszystko będzie wyglądało inaczej, kiedy tylko dotrze do *Margravine*.

- Do *Margravine*?

- Zawsze czuł się szczęśliwy na pokładzie *Margravine* - westchnęła Amy.

- Ależ, mamo... dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- O czym, kochanie?

- Że miał zamiar dotrzeć do *Margravine*.

- Ale to były tylko takie fantazje, moja kochana.

- Mamo, nie rozumiesz? Być może tam właśnie pojechał, na Bahamy, żeby wsiąść na *Margravine*.

Erica zdjęła dłonie z ramion matki i wstała, wpatrując się w nią rozszerzonymi oczami. Amy Tregarvon wlepiała wzrok w córkę.

- Myślisz, że pojechał na Bahamy?

- Właściwie... czemu nie?

- Ale *Margravine*... została sprzedana Gaynorowi Medcalfe, żeby spłacić część wierzycieli...

- Tak, mamo, ale to nie znaczy, że ojciec nie pojechał na Bahamy. Nie mamy pojęcia, ile czasu mogłoby mu to zająć, biorąc pod uwagę, że musiałby podróżować pod przybranym nazwiskiem. No, a na miejscu zastałby oczywiście oficjalne powiadomienie, że statek przeszedł w ręce zarządców masy upadłościowej.

- Więc myślisz, że on może tam być? W Nassau?

- Niewykluczone - odparła Erica po namyśle.

Po postoju w Curaçao, *Vincenta* wyruszyła w rejs po Morzu Karaibskim, by znów powrócić do Miami. Panie Tregarvon miały bardzo mało pieniędzy. Nie chcąc nadużywać gościnności pani Oakes, wynajęły pokój w motelu. Kiedy wyruszyły w podróż na *Yincencie*, pomiędzy dwiema rodzinami

108

nastąpiła ożywiona wymiana telegramów. Eunice Oakes nalegała, żeby korzystały swobodnie z La Marmora, ilekroć będą w Miami. One jednak nie chciały zaciągać następnych długów wdzięczności wobec przyjaciół.

Nazajutrz po przyjeździe i urządzeniu się w motelu, Erica zajrzała do książki telefonicznej, zatrzymując się na kolumnie „Agencje detektywistyczne”. Wybrała na chybił trafił adres przy Raintree Street i zatelefonowała, by umówić się na wizytę. Zgodnie z umową stawiała się na miejscu tegoż popołudnia.

Biuro umeblowane było oszczędnie i praktycznie: półki i szafki na akta, biurka, przy których przyjmowano klientów, elektryczne wiatraczki. Daltry Clarbrook podniósł się na jej widok.

- Panna Tregarvon? Miło mi panią poznać. Czy mogę coś pani zaproponować? Kawę? Herbatę z lodem? Sok owocowy?

- Nie, nic, dziękuję.

Teraz, kiedy się tu znalazła, nie wiedziała, od czego zacząć. Powiedziała przez telefon, że chodzi jej o odzyskanie zaginionej osoby. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że musiałaby opowiedzieć temu nieznanemu o ojcu, a wcale nie miała na to ochoty.

Na szczęście Clarbrook miał niemałe doświadczenie. Były policjant z zachodniego wybrzeża, przyjechał do Miami po przejściu na emeryturę ze względów zdrowotnych i chętnie dorabiał jako prywatny detektyw.

- Mamy dużo czasu - powiedział łagodnie. - Nie jestem z nikim umówiony w ciągu następnej godziny i nigdzie się nie spieszę.

- Dziękuję panu.

Clarbrook był wysokim, może trochę zbyt korpulentnym mężczyzną

o siwych włosach i przenikliwym spojrzeniu. Zacinając się, Erica opowiedziała mu o zniknięciu Lindona Tregarvona.

W miarę słuchania, przenikliwe oczy detektywa wykazywały coraz większe zainteresowanie. Spodziewał się jakiejś historyjki o zaginionym mężu. Ale potentat, właściciel słynnych Tregarvon Line? Opuszczona żona

i córka? Ustalić, czy był na swoim jachcie? Żółta sukienka jego klientki miała wyjątkowo elegancki krój, a beżowe sandaalki, choć ostatnio naprawiane, były ręcznej roboty. A zresztą nawet, jeśli historia nie była całkiem prawdziwa, jej pieniądze były równie dobre, jak każde inne.

- Ślady są już zatarte - zauważył.

- Niestety. Przykro mi.

- Co do warunków: będzie to panią kosztowało pięćdziesiąt dolarów dziennie plus wydatki. Oplata za pierwszy dzień z góry - powiedział i zauważył, że drgnęła. - To przypuszczalnie nie potrwa długo - dodał szybko - a wydatki będą obejmować głównie rozmowy telefoniczne. Nie będę od pani żądał zwrotu za przejazdy, rachunki hotelowe i tak dalej.

- W takim razie... zgoda. - Erica wyjęła portmonetkę, odliczyła pięćdziesiąt dolarów i odebrała pokwitowanie.

- Kiedy mogę się spodziewać jakichś wiadomości?

149

- Mniej więcej za dwa dni. Poproszę panią o adres i numer telefonu. W Palm Beach odbywał się jednodniowy turniej brydżowy, z którego

Erica i jej matka, grające jako partnerki, wróciły bogatsze o pięćset dolarów. Następnie skontaktowali się z nimi właściciele spółki statków pasażerskich z propozycją rejsu do Buenos Aires.

W przeddzień wyjazdu Erica zatelefonowała do Daltry'ego Clarbrooka oznajmiając, że opuszcza Miami, a w dodatku nie może sobie pozwolić na opłacanie go dłużej.

- Mam coś dla pani - odpowiedział detektyw. - Czy mogłaby pani do mnie wpaść?

- Znalazł go pan?

- Nie, no chyba nie sądziła pani, że to będzie takie proste - zaprzeczył z pewną sympatią w głosie. - Ale mam kilka drobnostek.

Erica pojechała taksówką do centrum Miami. Serce biło jej mocno. Biuro wydawało się równie brzydkie i niewygodne, jak poprzednio.

Clarbrook sięgnął do stojącego na biurku metalowego koszyka po folder.

- Rozumie pani, że poszukiwania były prowadzone przez telefon - zaczął. - Nie mogę powiedzieć, czy znalazłoby się coś więcej na miejscu. Zacząłem od *Margravine*, bo ona interesowała pani ojca. Powiedziała mi pani, że jacht został sprzedany Gaynorowi Medcalfe'owi.

- Tak.

- Więc Medcalfe zgłaszał ją do udziału w regatach i podobnych imprezach. Często wypływał na niej z Nassau. Ludzie z okolic nabrzeża pamiętają dobrze pani ojca z dawniejszych lat. I oczywiście wszyscy wiedzą o całej aferze z gazet - była opisana w „Nassau Guardian” i w „Tribune”. Twierdzą stanowczo, że nie pokazał się w tamtych stronach od czasu, kiedy wybuchł skandal.

- Ale mógł posługiwać się fałszywym nazwiskiem.

- Tak, pomyślałem o tym. Ale nikt odpowiadający jego rysopisowi nie zjawił się w tych okolicach.

- Mógł wyglądać trochę inaczej...

- Na przykład zapuścić brodę? Coś w tym rodzaju? Możliwe. Ale faktem jest, że nikt nie wykazywał specjalnego zainteresowania *Margravine*... oprócz jednego człowieka.

- Kogo? - spytała Erica, sztywna z napięcia.

- Wspominała pani o osobistym sekretarzu ojca, Perrimanie.

- Tak!

- Właśnie on był na pokładzie *Margravine*.
- Na *Margravinel*
- Tak. Czy to według pani istotne?
- Timothy Perriman pojechał do Nassau?
- Nie. Zdaje się, że spotkał Medcalfe'a jakiś czas temu w Nowym Jorku. Medcalfe brał udział w zawodach organizowanych w Long Island, niedługo po odkupieniu jachtu od likwidatorów...

151

- Wiem, czytałam gdzieś o tym...
 - Perriman skontaktował się z nim przez Yacht Club na Long Island. Medcalfe zaprosił go na *Margravine* i zabrał na dwudniowy rejs z Montauk Point.
 - Timothy popłynął jachtem?
- Detektyw oparł się wygodniej w fotelu, przypatrując się Ericie z ciekawością.
- To takie szokujące?
 - Timothy nie znosi pływania. Choruje nawet wtedy, gdy statek jest przycumowany do nabrzeża!
 - No, no... Muszę powiedzieć, że sam byłem trochę zdumiony, kiedy usłyszałem jego nazwisko. Pani ojciec mówił o *Margravine*, zanim wyjechał, a teraz jego osobisty sekretarz jest nagle na jachcie.
 - To bardzo dziwne - powiedziała półgłosem Erica.
 - Tak, to by było tyle, panno Tregarvon. Wie pani, możliwe, że Perriman spodziewał się znaleźć pana Tregarvona gdzieś w pobliżu portu, w którym była zakotwiczona *Margravine*, ale w każdym razie to pewne, że pani ojca nie było ani w Nassau, ani na Long Island. Ten Medcalfe lubi brać udział w różnych regatach, więc pływa z miejsca na miejsce. Żeby śledzić dokładnie jego trasy, trzeba by praktycznie zaangażować w to straż przybrzeżną. Ma pani tyle pieniędzy?
- Erica potrząsnęła głową przecząco.
- No więc, przykro mi, chyba nic więcej nie da się zrobić.
 - Trudno. W każdym razie dziękuję za to, czego się pan dowiedział. Chciałabym zapłacić, jeśli może mi pan podać całą kwotę.
 - W porządku. Tu jest rachunek. - Detektyw przysunął jej kartkę, na której widniał skrupulatnie wymieniony koszt każdego połączenia telefonicznego.
- Kiedy odliczyła należne pieniądze, spytał:

- To co pani teraz zrobi?
- Nie wiem. Niewiele. Jutro wyjeżdżam z matką w rejs do Buenos Aires. - Widząc jego zdziwienie, dodała z uśmiechem: - Pracujemy obie na statku, w sekcji rozrywkowej.
- Rozumiem. Gdyby mnie pani potrzebowała, wystarczy zatelefonować. Jestem zawsze do usług.
- Dziękuję. Ale może po powrocie do motelu spróbuję zadzwonić do Timothy'ego Perrimana. - Zerknęła na zegarek. - W Anglii jest teraz trzecia po południu. Zatelefonuję, o ile uda mi się zdobyć jego numer biurowy...
- Ale dlaczego do Anglii? - spytał Clarbrook ze zdziwieniem.
- On tam mieszka.
- On mieszka w Nowym Jorku - oznajmił detektyw. - Ma biuro w pobliżu Bowling Green. Tu jest jego telefon. Erica wzięła karteczkę.
- W Nowym Jorku...

- Jasne. Nie wiedziała pani o tym? Potrząsnęła głową.
 - Chociaż rzeczywiście, kiedy zatelefonował do nas przed kilkoma tygodniami, mówił z Nowego Jorku. Ale myślałam... że jest tam przejazdem.
 - Nie, pan Perriman osiadł na stałe. Dostał wszystkie potrzebne zezwolenia i dobrze mu się powodzi. Jest doradcą do spraw żeglugi, jeśli pani wie, co to znaczy.
 - Dziękuję - powiedziała Erica, ściskając mu rękę na pożegnanie. - Dał mi pan wiele do myślenia... Istotnie, długo o tym wszystkim myślała, nie dochodząc jednak do żadnego rozsądnego wniosku. Poza tym w ciągu kilku następnych godzin musiały obie z matką zająć swoją kabinę na *Southwind* i podjąć obowiązki. Upłynęło sześć tygodni, zanim powróciły do macierzystego portu Fort Lauderdale. Zamieszkały znów w motelu, by odpocząć i pomyśleć o przyszłości.
 - Mamo, jadę na kilka dni do Nowego Jorku - oświadczyła Erica. - Chcesz się wybrać ze mną?
 - Nowy Jork w listopadzie? - wstrząsnęła się Amy. - Nie, dziękuję! I nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego chcesz tam jechać.
 - Mam zamiar obciąć włosy u dobrego fryzjera - odparła córka. Była to głupia wymówka, ale matka zaakceptowała ją bez dyskusji.
- Erica nie zwierzyła się Amy z wizyty u Daltry'ego Clarbrooka, nie wspomniała też o tym, czego się dowiedziała. Nie chciała robić matce fałszywych nadziei, nie mając pojęcia, czy cokolwiek uda się wyjaśnić. A teraz, kiedy Timothy wkroczył ponownie na scenę, było jeszcze mniej powodów, by o tym mówić. Erica wiedziała, że Amy nadal nie jest pewna, czy jej córka postąpiła słusznie, odrzucając kategorycznie Timothy'ego.
- Erica wybrała się do Nowego Jorku pociągiem, a po przyjeździe wynajęła pokój w spokojnym hoteliku blisko dworca. W książce telefonicznej sprawdziła numer Timothy'ego. Figurował w niej jako Timothy Perriman, konsultant do spraw żeglugi, Barharb Building, Bowling Green. W słuchawce usłyszała młody kobiecy głos:
- Biuro konsultacyjne Perrimana.
 - Czy mogę mówić z panem Perrimanem?
 - Pani godność?
 - Erica Tregarvon.
 - Czy można wiedzieć, w jakiej sprawie?
 - To sprawa osobista.

- Przepraszam panią. Pan Perriman jest bardzo zajęty.
- Niech pani będzie taka dobra i powie mu, że dzwoni panna Tregarvon.
- Zapewniam panią...
- Proszę mu to powtórzyć. Jeżeli nie będzie mógł ze mną rozmawiać, to trudno.

154

Po krótkiej przerwie i serii trzasków, dobiegł ją niepewnie brzmiący głos Timothy'ego.

- Erica?
 - Tak, to ja, Timothy. Jak się miewasz?
 - Dobrze, całkiem dobrze. A ty?
 - Dziękuję, również dobrze. Timothy, czy mogę przyjść do ciebie na rozmowę?
 - Skąd dzwonicz? - spytał oszołomiony.
 - Jestem w tej chwili na Manhattanie.
 - Naprawdę? Kiedy przyjechałaś?
 - Opowiem ci wszystko jak przyjadę. Czy mogłabym wpaść do ciebie do biura?
 - Kiedy? Zaraz? Niestety jestem dzisiaj zajęty...
 - Więc może jutro?
 - Jutro też mam bardzo zajęty dzień - słyszała szelest przewracanych kartek terminarza. - Wiesz co, zrobimy inaczej. Masz wolny wieczór?
 - No... tak.
 - Zjadłabyś ze mną kolację? Powinienem skończyć koło siódmej. Więc, powiedzmy, o ósmej?
- Zawahała się, ale w końcu wzruszyła ramionami. Czy to nie wszystko jedno, gdzie się spotkają? Ważne było tylko, żeby mogła zadać mu kilka pytań.
- Dobrze. Gdzie?
 - W Fontaine. To jest w pobliżu Columbus Circle, każdy taksówkarz będzie wiedział.
 - Dobrze. Więc jesteśmy umówieni na ósmą.

Erica poszła do swojego dawnego fryzjera, żeby obciąć włosy. Była to ekstrawagancja, ale czuła, że musi jakoś poprawić sobie nastrój. Nie wzięła żadnej sukni wieczorowej, więc wystąpi w ciemnej spódnicy i cienkiej jedwabnej bluzce. Jej elegancki płaszcz był pozostałością z lepszych czasów: cienki wełniany materiał na watowanej podpince, nie przepuszczający wiatru i wystarczająco ciepły nawet na nowojorski listopad.

A pogoda była okropna - silny lodowaty wiatr pędził tumany mokrego śniegu po bulwarze. Erica wstrząsnęła się, wsiadając do taksówki przed hotelem. Ale nie z zimna. Odczuwała dziwną mieszanię strachu i podniecenia. Jechała na spotkanie z człowiekiem, który być może będzie jej mógł powiedzieć cokolwiek o zaginionym ojcu.

8

Fontaine, jak obiecywała nazwa, zdołała imponująca fontanna. A poza tym bładoniebieskie ściany, wykładane w dolnej partii białymi płytami, mnóstwo luster w złożonych ramach i maitre'a d'hotel w błękitnej jedwabnej marynarce.

Timothy czekał w barze - niewielkiej niszy z pomalowanymi na szaro stołami i krzesłami wyściełanymi aksamitem. Podniósł się na jej powitanie ściskając wylewnie obie jej dłonie. Przez jedną chwilę pomyślała z przerażeniem, że ma zamiar ją pocałować, ale uniknęła tego odwzajemniając szybki uścisk ręki.

Kelner podał im menu i pstryknął palcami, przywołując barmana.

- Więc ostatecznie - zagadnął Timothy - nie wróciłyście do kraju na *Langrovii*?

- Nie, na razie osiadłyśmy po tej stronie Atlantyku. - Widziała, że zamierza spytać, gdzie, więc uprzedzając go, dodała: - Podobnie, jak ty! Przechodziłam dzisiaj koło twojego biura. Imponujący gmach.

- Tak, to się tutaj liczy - powiedział Timothy. - W Londynie możesz sobie pozwolić na prowadzenie interesów w jakiejś starej budzie, ale w Nowym Jorku trzeba mieć bezwzględnie odpowiednią oprawę.

- Dobrze ci się powodzi?

- Zupełnie nieźle - potwierdził nie ukrywając zadowolenia.

Jego zamożność rzuciła się w oczy. Timothy był zawsze dobrze ubrany -wymagał tego ojciec Eriki, zlecając szycie garniturów sekretarza swojemu własnemu krawcowi. Ale teraz, w mankietach wieczorowej koszuli Timothy'ego tkwiły czarne perły, wyjściowe buty zostały zrobione na zamówienie, a wąska ciemnowłosa głowa ostrzyżona była ręką mistrza. Cała jego osoba dyskretnie sugerowała człowieka sukcesu, co potwierdzał sposób, w jaki odnosiła się do niego obsługa restauracji.

Timothy spytał o panią Tregarvon.

114

- Matka ma się dobrze - odpowiedziała Erica. - Jeśli tylko jesteśmy na wybrzeżu lub na morzu, jej oskrzela sprawują się bez zarzutu.

- Ale nie mieszkacie już w La Marmora. - Widząc, że Erica wzrusza ramionami i nie ma zamiaru nic wyjaśniać, Timothy mówił dalej: - Próbowałem do ciebie dzwonić pod tamten numer i poinformowano mnie, że wyjechałyście.

- Zgodnie z prawdą. Jak sam słusznie zauważyłeś, nie wypadało mieszkać tam bez końca.

Timothy wykazał tyle przyzwoitości i taktu, że poczerwieniał lekko na wspomnienie własnych słów. Erica powitała z ulgą pojawienie się kelnera, który oznajmił, że stół na nich czeka; ostatnią rzeczą, której by sobie życzyła, była kłótnia z Timothyem.

Zjedli homary z Nowej Anglii, kaczkę z pomarańczami i placek z wiśniami na deser, popijając wodą Vichy. W szanujących się restauracjach nie podawano alkoholu; w Ameryce nadal obowiązywała prohibicja. Mówili o tym, co porabiali od czasu ostatniego spotkania. Timothy przyznał, że dobrze mu się powodzi.

- Tak się szczęśliwie złożyło, że udało mi się wejść w wielki biznes. Kiedy spytał, co ona robi, odpowiedziała zgodnie z prawdą, że udziela

lekcji brydża nowicjuszom. Ale gdy zapytał ją o miejsce pobytu, odpowiedziała wymijająco.

- Właściwie jesteśmy ciągle w ruchu.

Jeżeli Timothy wyobraził sobie, że chodzi o poszukiwania coraz tańszych kwater, nie miała zamiaru wyprowadzać go z błędu.

Kiedy byli przy kawie z ptifurkami, Erica uznała, że nadszedł czas, by przejść do rzeczy.

- Tak, i twoje, i moje życie całkowicie się odmieniło od chwili, gdy zniknął ojciec - powiedziała w zamyśleniu. -

Obie z mamą zastanawiamy się od dawna, gdzie on się podział.

- Bóg raczy wiedzieć - odparł Timothy, zgniatając w wąskich palcach pergaminowy papierek od ptifurka.

- Czy ojciec kiedykolwiek powiedział coś, co mogłoby być choćby najmniejszą wskazówką?

- Policja pytała mnie o to setki razy. Naprawdę nic nie wiem.

- Ktoś wysunął teorię, że ojciec miał odłożoną pewną sumę pieniędzy w jakimś banku...

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale jeśli chodzi ci o pieniądze, to przecież wiesz, Erico, że ja zawsze...

- Ach, nie. Zastanawialiśmy się obie po prostu... jak on się miewa, czy jest zdrowy... - Erica umilkła.

Timothy obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Dlaczego mówisz takim tonem, jakbyś się spodziewała, że ja ci na to odpowiem?

- A wiesz coś, Timothy? Może nie gdzie on jest, ale jak mu się powodzi. Czy on się z tobą kontaktuje?

- Ależ skąd! - zaprotestował Timothy gwałtownie. - Nic o nim nie wiem! Skąd ci w ogóle przyszło do głowy podobne przypuszczenie, Erico? Nie wiem więcej niż wiesz ty sama.

- Ale to ty byłeś najlepiej poinformowany o jego interesach. Gdyby miał się z kimkolwiek skontaktować, to prawdopodobnie...

- Nie możesz wygłaszać takich opinii! - przerwał. Jego twarz o żółtawej cerze zaczerwieniła się. - Sugerujesz, że porozumiewam się z człowiekiem poszukiwanym przez policję! Gdyby to się rozeszło, moja reputacja mocno by ucierpiała. Erico, nie wolno ci rozpowiadać takich rzeczy. Proszę cię, żebyś nigdy więcej nie mówiła ze mną na ten temat.

Protestuje zbyt gwałtownie, żeby mu uwierzyć, pomyślała Erica.

- Pojechał na Bahamy? - spytała. - Czy o to chodzi? Wydało jej się, że drgnął.

- A po co, u diabła, miałby tam jechać?

- Żeby się dostać na *Margravine*?

Tym razem nie miała wątpliwości. Twarz mu się lekko zmieniła, wargi zacisnęły. Ale prędko się opanował:

- Miał ważniejsze rzeczy na głowie, niż swój luksusowy jacht! Gdziekolwiek się wybierał, to chyba nie w miejsce, w którym każdy natychmiast by go rozpoznał, nie uważasz?

Nie można było odmówić słuszności jego argumentacji. A jednak zdenerwował się na wzmiankę o jachcie. Erica, przywykła oceniać swoich przeciwników przy stoliku karcianym, zrozumiała, że Timothy jest typem człowieka lubiącego, by wszystko szło według ustalonego planu. Źle sobie radził, kiedy sprawy przybierały niespodziewany obrót.

Spytała niemal obojętnie:

- Timothy, po co wsiadłeś na *Margravine*?

To pytanie naprawdę nim wstrząsnęło. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Skąd wzięłaś tę wiadomość?

- Gdzieś o tym usłyszałam... od ludzi, którzy pływają, wiesz, którzy brali udział w regatach w Easthampton... Żeglarski świątek jest niewielki.

- A, rozumiem. No więc byłem... po prostu akurat tam byłem...

- W Easthampton? - W jej tonie brzmiało zdziwienie, jakby mówiła: przecież nigdy nie lubiłeś tam jeździć.

- Byłem w Nowym Jorku i dowiedziałem się przypadkiem, że nowy właściciel *Margravine* bierze udział w regatach, więc... chciałem odnowić wspomnienia...

- Ale ty nie znosiłeś pływać na jachcie, Timothy. W dalszym ciągu nie rozumiem, po co zadałeś sobie ten trud. Niestety, w tej właśnie chwili, gdy udało jej się wyprowadzić go z równowagi, do stolika podszedł kelner pytając, czy dolać im kawy. Timothy zgodził się skwapliwie, poczekał, aż podadzą cukier i śmietankę. Kiedy odezwał się po chwili, był już znacznie bardziej opanowany.

116

- Pomyśl dobrze, Erico. Stosunki pomiędzy twoim ojcem a mną były dużo bliższe niż bywają zwykle między zwierzchnikiem i podwładnym. Łączyła nas przyjaźń. *Margravine* była mu szczególnie bliska. Czy to dziwne, że miałem ochotę przynajmniej na nią popatrzeć?

Miała właśnie powiedzieć: „Ale wybrałeś się w rejs, a przecież zawsze chorujesz na morzu”.

Pech chciał, że kelner znów pojawił się przy stoliku.

- Przepraszam pana.

Pochylił się, szepcząc coś do Timothy'ego, który spojrzał na stolik po drugiej stronie sali i podniósł się z miejsca.

- Wybacz, opuszczę cię na chwilę, Erico. To ważni klienci... proszą mnie na słowo.

Oddalił się, klucząc między stolikami. Przy stoliku do którego wzywano Timothy'ego siedziało osiem osób. Erica przyglądała im się z dużym zainteresowaniem i niejakim zdziwieniem. Cztery mężczyźni o śniadej cerze i ciemnych włosach musieli być Włochami lub przynajmniej włoskiego pochodzenia. Byli, jakby to określił jej ojciec, „pretensjonalni” - za dużo błyszczących akcentów w wieczorowych strojach, za dużo złotych spinek do mankietów, łańcuszków do zegarków i pierścionków. Piąty mężczyzna był ubrany dyskretniej, ale miał bardziej prostacki wygląd. Trzy kobiety o wyszukanych fryzurach, z profesjonalnym makijażem, miały na sobie wspaniałe toalety. Każda mogłaby nosić podpis „wysokiej klasy kokota”.

No, no, powiedziała sobie w duchu. Więc to tak wygląda ten jego biznes?

W chwilę potem Timothy powrócił do stolika. Usiadł, ale czuł się wyraźnie nieswojo. Żałuje, że zobaczyłam jego klientów, domyśliła się Erica.

- Mamy jutro spotkanie w interesach - mruknął - chcieli tylko zmienić godzinę.

- Wyglądają...

- Tak? - wyczuła w jego głosie obawę.

- ...na zamożnych - dokończyła. Chciała jednak powiedzieć, że wyglądają na bezwzględnych.

- O, tak! Przy tym, jak wiesz, Amerykanie lubią pokazywać wszystkim dookoła, że dobrze im się powodzi. - Usprawiedliwiał ich ostentację, a także to, że musiał pospieszyć na drugi koniec restauracji, kiedy po niego posłali.

Erica chciała powrócić do interesującego ją tematu, ale Timothy szybko zaczął mówić o czym innym.

- Chcę skorzystać z tej okazji, żeby cię przeprosić za różne nietaktowne uwagi, które wypowiedziałem swojego czasu. Mam nadzieję, że rozumiesz, do jakiego stopnia cały ten skandal i zniknięcie twojego ojca... jednym słowem, ja również byłem wytrącony z równowagi. Ale wiem, że nie potraktowałem cię, jak należało.

160

- Nie mówmy już o tym.
 - Ale ja chcę o tym mówić! Dlatego ucieszyłem się tak bardzo, słysząc dzisiaj twój głos. Chciałem się wytłumaczyć, przeprosić... -Umilkł na chwilę. - Widzisz, byłem zły i rozczarowany, kiedy mnie odrzuciłaś.
 - Ależ, Timothy, nie mogłeś przecież się spodziewać...
 - Dlaczego? Przede wszystkim byłoby to bardzo sensowne rozwiązanie twoich problemów, a poza tym... możesz uważać mnie za głupca, ale naprawdę nie mogłem uwierzyć, że nie domyślasz się, co do ciebie czuję i że nie odwzajemniasz moich uczuć...
 - Nie - westchnęła Erica, potrząsając głową. - Ale to wszystko należy do przeszłości.
 - Erico, nigdy nie spotkałem kobiety, która mogłaby ci dorównać. Czy nie moglibyśmy zapomnieć o wszystkim i zacząć od nowa?
 - Co zacząć od nowa? Doprawdy, Timothy, nigdy nie było...
 - Chciałbym przynajmniej usłyszeć, że nie popsulem wszystkiego na zawsze. Powiedz, że możemy być chociaż przyjaciółmi.
 - Tak, oczywiście. - Wszystko to było ogromnie krępujące. Erica marzyła, żeby skończyć tę rozmowę i odejść.
 - Wiedz o tym, że jeżeli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebować, na przykład jeśli potrzebna ci będzie pomoc finansowa...
 - Nie, nie, dziękuję, radzę sobie bardzo dobrze. To miło z twojej strony, Timothy, ale naprawdę nie jestem w potrzebie.
- Pozwoliła, by przywołał jej taksówkę, i odjechała. Jednak po przejechaniu dwóch przecznic, zastukała w szybę, dzielącą ją od kierowcy.
- Przepraszam, czy mógłby pan zawrócić? Zapomniałam rękawiczek.
- Rękawiczki leżały spokojnie w torebce. Poprosiła kierowcę, by zaczekał i wrócił do restauracji. Poinformowała maitre'a d'hotel, że zostawiła rękawiczki w garderobie i skierowała się w tamtą stronę. Uprzejma czarnoskóra kobieta spojrzała na Ericę ze zdziwieniem.
- Coś pani zostawiła, złotko?
 - Nie, ale chciałam o coś zapytać. Trzy panie zostawiły dziś tutaj swoje okrycia. Jedna jest wysoką blondynką w sukni z niebieskiego szyfonu i nosi diamentowe kolczyki; druga, niższa, ma czerwoną suknię z marszczonym kołnierzem; a trzecia jest ciemniejsza, ma naszyjnik z podwójnym rzędem pereł i jest ubrana chyba na zielono.

Oczy garderobianej powędrowały do trzech futrzanych narzutek, spoczywających na wieszaku.

- Ano tak.
- Czy pani coś o nich wie?
- Przyszły z tymi włoskimi dżentelmenami.
- Właśnie.
- Ja tam nic nie wiem.

Erica wyjęła z portmonetki banknot pięciodolarowy.

162

- Nie interesują mnie nazwiska, ani inne konkretne szczegóły. Chciałabym się tylko dowiedzieć, jakimi interesami zajmują się włoscy dżentelmeni.

Banknot zniknął błyskawicznie w kieszeni obszytego falbanką fartucha.

- Złotko, pani się w nic nie miesza z tymi tam gośćmi. Są nerwowi, rozumie pani, bo czasy niepewne i nie wiadomo, jak będzie z ustawą.
- Z jaką ustawą? - spytała Erica, nie wiedząc, o co chodzi.
- O prohibicji, kochana. Gdzie się pani ostatnio podziwała?
- Zniesienie prohibicji?
- Jasne. I wszyscy dżentelmeni, co zbili majątek przez ostatnie dziesięć lat na handlu bimbrem, to teraz łamią sobie głowę skąd wezmą na następny talerz spaghetti.
- Chce pani powiedzieć, że ci panowie są przemytnikami alkoholu? Czarnoskóra kobieta wzruszyła ramionami.
- To są bracia Bassania - powiedziała półgłosem. - Teraz ciągle tu wysiadują, wie pani, chcą wyglądać na przyzwoitych ludzi. Ale czeka ich to samo, co innych. Bo co oni zrobią z tymi wszystkimi ciężarówkami i statkami, które zostawili w małych dziurach na wybrzeżu?
- Dziękuję - odpowiedziała Erica i wróciła pospiesznie do czekającej taksówki.

Konsultant do spraw żeglugi! Klienci Timothy'ego dali swemu doradcy niewątpliwie trudny orzech do zgryzienia. Bezrobotni przemytnicy z całą flotą mniejszych i większych statków, które trzeba teraz jakoś wykorzystać.

Erica pojechała do hotelu, spakowała się, zapłaciła rachunek i wróciła do matki do Miami.

Następną podróżą Eriki i jej matki miał być krótki rejs w okresie Bożego Narodzenia z Miami do Hawany, a stamtąd do Vera Cruz. Dzień Bożego Narodzenia w Hawanie upłynął dość przyjemnie, choć większość pasażerów *Magnolo* spędziła go grając w okolicznych kasynach. W porcie Vera Cruz Erica ujrzała z wielką radością *Langrovię*. Jak długo tu zostanie? Aż do pojutra - poinformowano ją - żeby pasażerowie mieli czas obejrzeć religijne widowisko przed katedrą.

Przesłała wiadomość na pokład. Mniej więcej po godzinie nadeszła odpowiedź: „Schodzę ze służby o dziewiątej wieczorem. Spotkajmy się w restauracji Coronado”.

Przyszła na spotkanie za wcześnie, ale nie sprawiło jej przykrości czekanie. Restauracja mieściła się na pomoście ponad wodą, daleko od centrum miasta. Patrząc na migotliwe światła Vera Cruz, Erica słuchała dalekiego dźwięku gitar i trąbek, przygrywających do tańca na głównym placu.

Bart Crosley zjawił się w swoim białym mundurze.

- Nie chciałem tracić czasu na przebiewanie. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Nie, skądże.

Ale widok munduru przywołał słyszane kiedyś ostrzeżenie: nie angażuj się nigdy w bliższą znajomość z oficerami ze statku. No, to jej nie groziło. Nie była zaangażowana w żadną „bliższą znajomość” z Bartem Crosleyem. A jednak, paradoksalnie, był kimś w rodzaju przyjaciela, pierwszego, którego spotkała w swoim nowym życiu.

Zamówili koktajle, a następnie ogniste meksykańskie tortille, popijane „morską bryzą”, napojem, który zdobył ogromną popularność na statkach wycieczkowych.

Bart ucieszył się z kartki Eriki. Nie wiedział, czy przyjęła jego przeprosiny.

- To znaczy, że nie gniewałaś się na mnie długo? - upewnił się.

- Niezbyt długo.

- A jak ci się wiodło?

- Nieźle. Na tych amerykańskich rejsach jest zawsze spora grupa bardzo zamożnych pasażerów, mężczyźni lubią grać w brydża, jeśli stawki są „warte fatygi”.

- I zawsze wygrywasz?

- Na ogół. Wystarczająco często, żeby być zawsze trochę do przodu. Przynajmniej tak było do tej pory - dodała, odstawiając kieliszek z koktajlem.

- Tak, do tej pory. Przyznasz, że to dość niepewny sposób zarabiania na życie.

- Ale dla mnie to jedyna droga. Nie mam żadnych innych kwalifikacji.

Nigdy nie przypuszczała, że może zdobyć się na podobne wyznanie wobec kogokolwiek, oczywiście oprócz matki. Zerknęła na Barta, a kiedy przytaknął, poczuła ulgę na widok zrozumienia w jego ciemnych oczach. Przyniesiono tortille. Bart, który w pośpiechu nie zdążył zjeść, poczynił potężne wyłomy w stosie równo zwiniętych placków nadziewanych mieszaniną fasoli, odrobiny mięsa i kilku rodzajów przeraźliwie ostrej papryki. Erica patrzyła na niego z podziwem - gdyby pochłonęła je tak szybko jak on, spaliłaby sobie niechybnie gardło.

Zresztą nie była specjalnie głodna. Na pokładzie statku nieustannie serwowano jakieś posiłki. A poprosiła Barta o spotkanie w konkretnym celu.

- Pamiętasz - zaczęła - zapytałeś mnie poprzednio, czy nie zastanawiam się, gdzie może być mój ojciec.

- Pamiętam.

- Po powrocie na statek spytałam mamę, co ona o tym myśli - Erica wróciła pamięcią do tamtej sceny. - Zdenerwowała się i przejęła, zawsze

120

tak reaguje, kiedy rozmawiamy o ojcu. Ale po chwili powiedziała coś o naszym jachcie.

- Naszym jachcie - powtórzył Bart ze śmiechem. Erica zaczerwieniła się.

- No wiesz, kiedyś mieliśmy jacht. Nazywał się *Margravine*. Ojciec trzymał go w Nassau. - Widząc, że Bart jest nadal rozbawiony, przyjęła taktykę obronną: - Ojciec zaczął od pływania na statkach handlowych jako zwykły marynarz! Nie zawsze był potentatem okrętowym. Kochał morze, naprawdę głęboko je kochał; dlatego spędzaliśmy tyle czasu w rejsach, chociaż było to bardzo niewygodne dla różnych jego pracowników.

- *Margravine* jest regularnym jachtem żaglowym?

- To przerobiona brygantyna, zbudowana w Salem. Dawniej ojciec prowadził ją sam, ale potem nie miał wiele czasu na żeglowanie. Ale zawsze dbał, żeby była w idealnym stanie, mieliśmy też załogę, gotową na rozkazy, kiedy tylko przyjeżdżaliśmy na Bahamy.

- Więc co powiedziała twoja matka? - ponaglił Bart widząc, że Erica posmutniała, wspominając dawne dzieje.

- Powiedziała, że ojciec tuż przed swoją ucieczką chciał dostać się na ten jacht.

Bart skończył ostatnią tortillę, popijając ją potężnym haustem „morskiej bryzy”, po czym spytał:

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Bo... chciałam zasięgnąć twojej opinii. Wydarzyło się w związku z tym coś dziwnego. - Zrelacjonowała swoją wizytę u prywatnego detektywa. Pan Clarbrook powiedział mi, że były prywatny sekretarz mojego ojca skontaktował się z nowym właścicielem *Margravine* i został przez niego zaproszony na jacht.

- A to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- To jest bardzo zagadkowe. Bo widzisz, Timothy fatalnie znosi morze. Nawet na dużym statku pasażerskim przy gorszej pogodzie wyglądał zawsze na chorego. A na *Margravine*... właściwie wchodził na jej pokład tylko wtedy, gdy stała w porcie. A potem., pojechał specjalnie do Easthampton i wybrał się na dwudniowy rejs z panem Medcalfe'em.

- Rzeczywiście, to dziwne.

- Pogoda była sztormowa, pan Clarbrook sprawdził to na moją prośbę. Timothy chorował przez cały czas.

Podobno po powrocie wszyscy się z tego śmieli.

Przy stoliku zjawila się kelnerka i zebrała brudne talerze. Bart zamówił kawę, zaznaczając wyraźnie, że chodzi mu o kawę amerykańską, a nie mętny płyn, który zwykli pijać mieszkańcy Meksyku.

- Więc dlaczego ten tak bardzo nie lubiący morza prywatny sekretarz zadał sobie trud odszukania *Margravine*?

Zastanawiałam się, czy nie było to miejsce kontaktu, ustalone

166

z moim ojcem. Myślałam, że może umówili się na spotkanie tam, gdzie akurat będzie *Margravine*. Jej słowa zaszokowały Barta. Potrząsnął mimo woli głową.

- To by oznaczało, że sekretarz był w zмовie z twoim ojcem, przynajmniej w kwestii ucieczki.
- Tak.
- Erico, to jest bardzo poważne oskarżenie.
- Dokładnie to samo powiedział Timothy, kiedy go spytałam...
- Spytałaś go? - Bart był zaskoczony.
- Tak. Pojechałam w listopadzie do Nowego Jorku i spytałam go, czy wie, gdzie jest ojciec. Zrobił się bardzo nerwowy.
- Trudno się dziwić. Słuchaj no, Erico, nie możesz beztrąsko oskarżać ludzi o podobne rzeczy. Jeżeli on rzeczywiście pomógł zorganizować ucieczkę twojego ojca, to wszedł w konflikt z prawem i mógłby mieć poważne kłopoty.
- Teraz już nie. W Anglii owszem, mógłby być oskarżony o współudział, czy udzielenie pomocy poszukiwanemu. Ale nie w Nowym Jorku.
- Posłuchaj mnie - powiedział Bart surowo, marszcząc brwi i patrząc na nią ponad dzbankiem kawy. - Nie rzucaj takich oskarżeń. To się nazywa potwarz, czy zniesławienie, czy może oszczerstwo.
- Nie martw się, on mnie nie pozwie do sądu - odparła Erica, potrząsając głową. - Osiadł na dobre w Nowym Jorku i jest konsultantem do spraw żeglugi, i ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył, to przypomnieć wszystkim, że był związany z gigantycznym oszustem.
- Konsultant do spraw żeglugi? Czym on się zajmuje? Przewożeniem towarów czy też przewozem pasażerów? A może umowami pocztowymi?
- Tego nie wiem. Za to widziałam ludzi, którzy, jak powiedział, są jego klientami.
- U niego w biurze?
- Nie, w eleganckiej restauracji na Manhattanie. Szkoda, że cię tam nie było. Wyglądali na wystrojonych bandziorów. Szatniarka w garderobie powiedziała mi, że są przemytnikami przewożącymi alkohol.
- Przemytnikami!
- Powiedzmy: byli przemytnikami. Myślę, że można dorobić się fortuny, doradzając takim ludziom, jak wykorzystać cały sprzęt, który był im potrzebny do szmuglowania alkoholu.

- Erico, to nie są żarty! Czy zdajesz sobie sprawę, co to za ludzie? Na Boga, przecież Al Capone jest właśnie takim przemytnikiem!

- Szatniarka mówiła, że ta banda z restauracji nosi nazwisko Bassania.

- Pewnie jakaś inna mafijna włoska rodzina - stwierdził Bart, poważnie zaniepokojony. - Jeżeli twój przyjaciel Timothy ma do czynienia z mafią, to mam nadzieję, że wie, w co się wplątał.

- On nie jest moim przyjacielem - odpowiedziała Erica z urazą.

122

- Dzięki Bogu.

Bart słyszał niejedno i doskonale wiedział, że wiele załóg, łącznie z kapitanami, było głęboko uwikłanych w nielegalny przewóz alkoholu: rumu, francuskich win i koniaków, holenderskiego ginu, szkockiej whiskey. Teraz, po zniesieniu prohibicji znaleźli się bez pracy. Statki stały bezużytecznie, czekając na sposobność wykorzystania ich do innych celów, ale spółki, których były własnością, nie będą sennie patrzyły na przedłużający się okres bezczynności. Ktoś zamieszany w tego rodzaju rzeczy narażał się poważnie, chyba że miał wyjątkowo dobre układy i wiedział, co robi.

W tym miejscu Bartowi nasunęło się pytanie: czy ten Timothy wiedział, co robi? Czy był typem człowieka, który pomógłby oskarżanemu Tregar-vonowi w ucieczce?

Teraz, gdy było już za późno, zaczynał żałować, że wymawiał Ericie brak zainteresowania losami ojca. Jeżeli rozwiązanie zagadki prowadziło do tego podejrzanego gościa w Nowym Jorku, to im dalej będzie się od niego trzymała, tym lepiej.

- Ten cały Timothy... czy ty masz zamiar się z nim widywać?

- To raczej mało prawdopodobne.

Nie dodała: bo on próbuje mnie przekonać, żebym za niego wyszła i to jest bardzo krępujące.

- Lepiej, żebyś się z nim w ogóle nie spotykała - stwierdził Bart. - Ma podejrzanym klientów.

- Nie jestem zainteresowana jego klientami - odparła gwałtownie Erica. - Ale jeśli on wie, gdzie jest ojciec, to dlaczego mi nie chce powiedzieć?

Ponieważ w ten sposób przyznałby się do winy, pomyślał Bart.

- Co to za typ, ten Timothy?

- Taki... typowy biznesmen... sprawny i zaradny, choć wytrąca go z równowagi każda zmiana planów.

- Przywiązany do ojca?

- Słucham? - zdziwiła się, nie oczekując takiego pytania.
- Czy był przywiązany do twojego ojca? Oddany, jak wierny sługa?
- Ach, nie. Chociaż twierdził...
- Co twierdził?
- Że łączyła go z ojcem przyjaźń.
- Ale ty jesteś innego zdania?
- Czy ja wiem... niby byli przyjaciółmi. Z pewnością. Ojciec nie trzymałby go przy sobie, gdyby go nie lubił, prawda? Interesował się nim, ale też trzeba przyznać, że interesował się wszystkimi swoimi pracownikami.
- Mówisz o stosunku ojca do Timothy'ego. A co możesz powiedzieć o stosunku Timothy'ego do twojego ojca?
- To było znacznie trudniej ocenić. Erica wróciła myślą do dawnych

czasów, które teraz wydawały jej się tak odległe, jak obraz oglądany przez lornetkę.

Timothy był zawsze gdzieś w pobliżu. Brał udział w ich życiu towarzyskim, uczestniczył we wszystkich dłuższych rejsach, oczekując ich na lądzie, kiedy Tregarvonowie pragnęli pożeglować na jachcie.

Towarzyszył im w podróżach do Paryża, do Genewy, do Rio... Był obecny na debiutanckim przyjęciu Eriki. Jeździł z nimi do Ascot, do Henley, do Cowes...

Wszystko to sprawiało mu widoczną przyjemność. Przypominała sobie, jak usłużnie podawał ogień, jak przynosił okrycie młodej, ładnej debiutant-ce. Słyszała jego głos: „Czy nie siedzi pani w przeciągu, Mme Lelonge? Może zamknąć okno? Pan pozwoli, przyniosę panu następnego drinka, Mr. Berkimedes” - i jego odpowiedzi udzielane ojcu: „Tak, proszę pana. Nie, proszę pana”. Co kryło się w jego tonie? Uprzejmość. Szacunek. Uległość. Ale przyjaźń?

- Nie sądzę, żeby Timothy czuł coś więcej do mojego ojca - powiedziała - niż to, co zwykle odczuwa każdy pracownik w stosunku do dobrego chlebodawcy.

- Nie był przywiązany do twego ojca?

- Już drugi raz o to pytasz?

- Tak sobie myślę... człowiek, który pomaga drugiemu uciec przed więzieniem i to jeszcze w związku z tak głośnym skandalem, jakim była sprawa Tregarvona, musi być bardzo przywiązany... - urwał w pół słowa widząc, że Erica potrząsa głową w gwałtownym proteście.

- Nie! Timothy nie był bardzo przywiązany do mojego ojca.

- Taki chłodny flegmatyk, co?

- O, nie. Potrafi odczuwać emocje - przypomniała sobie złość, z jaką zareagował na jej odmowę. - Ma swoją dumę.

Zamilkła. Zdecydowała nie wspominać o jego zapewnieniach, że jest w niej zakochany. Była pewna, że to nieprawda. W tym momencie zaświtała jej myśl, że być może Timothy nie był zdolny, by kochać kogokolwiek. Bart siedział zamyślony.

- Oczywiście nie znam go, ale człowiek, którego opisałaś, raczej nie podjąłby takiego ryzyka, jakim byłaby pomoc twojemu ojcu. - A ponieważ milczała, dorzucił: - Nie zgadzasz się ze mną?

- Ale wobec tego, czemu interesuje się *Margravine*? Bart wzruszył ramionami.

- Czysta ciekawość? Pociąg do okropności?

- Co takiego?

- Wiesz, niektórzy ludzie uwielbiają oglądać miejsca wypadku, albo kupują na licytacjach rzeczy należące, załóżmy, do Maty Hari.

Erica roześmiała się.

- Mata Hari!

- Mówię poważnie. Jeden pasażer ze statku, na którym pływałem,

124

zapłacił na Jamajce pięćdziesiąt funtów za sztylet; podobno pirat zwany Czarnobrodym posiekał nim czterech ludzi.

- A sztylet był autentyczny?

- O, całkiem możliwe, jeśli Czarnobrody miał zwyczaj zaopatrywać się w sztylety z napisem „Made in England”.

Leciwa kelnerka, która obsługiwała ich wcześniej, patrzyła z zazdrością, jak się śmieją. Piękna para, on opalony i imponujący w swoim mundurze, ona promieniejąca radością. Kiedy wstali i wyszli, znikając w tropikalnej ciemności Rosita pomyślała: wspaniała noc, stworzona dla kochanków.

Od zatoki Camperche wiała lekka bryza. Ericę przeszedł dreszcz -miała na sobie sukienkę bez rękawów. . .

- Zimno? - spytał Bart obejmując ją ramieniem, żeby przekazać jej choć trochę własnego ciepła.

Była wdzięczna za ochronę przed chłodem i oparcie, jakie jej dawał, kiedy szli po nierównych deskach pomostu. Jej wysoki obcas omal nie utknął w szparze, a ona sama zachwiała się, jakby miała upaść. Ale Bart przytrzymał ją, a wtedy odruchowo przytuliła się do niego.

- Mam złapać taksówkę?

- Nie, lepiej się przejdźmy.

Od strony placu dochodziły nadal odległe dźwięki muzyki. Wkrótce restauracja zniknęła za zakrętem drogi. Ich cienie postępowały przodem w rozproszonym świetle nielicznych latarni, przesuwając się powoli do tyłu w miarę, jak posuwali się naprzód. Powietrze przesycone było słodkim zapachem czerwonego jaśminu. W górze migotały gwiazdy, jak cekiny na granatowej sukni. .

Doszli do niewielkiego parku. Bez słowa skręcili w alejkę, usiedli na najbliższej ławce i padli sobie w ramiona. Pocałunki Barta, niepodobne były do żadnego poprzedniego doświadczenia Eriki - wymagające, choć czule,

nagłące, choć delikatne. Pieścił wargami jej szyję, gładką skórę ramion. Potem odchylił cienki jedwab i poczuła jego usta na piersi.

Objęła go mocno, jeszcze mocniej, przyciągając bliżej i bliżej. Na długi czas zagubili się w sobie bez reszty. A potem nagle, niespodziewanie, Bart odsunął się od niej, mówiąc schrypniętym głosem:

- Lepiej odwiozę cię na statek.

- Nie!

- Erico, zmierzamy prosto...

- Wiem, dokąd zmierzamy, Bart. Nie jestem taka naiwna. Wiem, co robię.

- Skarbie, to tropikalna noc i dźwięki muzyki...

- Nie, to nie dlatego. - Podniosła rękę, dotykając jego policzka. -Nie mów, że to się już musi skończyć, najmiłszy. Przecież dopiero się zaczyna...

- Erico, jesteś pewna?

172

- Nigdy w życiu nie byłam niczego pewniejsza.
- Moglibyśmy pójść...
- Dokąd?
- Jest taki domek letniskowy. Należy do mojego przyjaciela.
- Gdzie, Bart?
- Niedaleko - Bart zawahał się. - Erico, chciałbym, żebyś była bardzo pewna.
- Jestem pewna.

Pięć minut później doszli do drogi prowadzącej w kierunku wybrzeża. W blasku gwiazd domek był ledwie widoczny. Bart wyjął klucz spod donicy stojącej przy drzwiach.

- Nie ma tu nikogo? - spytała Erica.
- Mój przyjaciel wyjechał do Seattle, do rodziny. Zaczekaj chwilę. Otworzył drzwi. Słyszała, jak podchodzi do stołu. Zobaczyła błysk ognia. Bart zapalił lampkę oliwną.
- Proste życie - powiedział a ona wiedziała, że się uśmiecha. - To dom artysty.

W pokoju panował nieład; płótna oparte o ściany, składane sztalugi oparte o krzesło. Bart otworzył drzwi i czekał bez ruchu, jakby chciał się przekonać, czy ona przekroczy próg.

Przeszła koło niego w drodze do sypialni. Na łóżku leżała różnokolorowa narzuta; barwy były ledwie widoczne w słabej poświacie lampy. Erica zbliżyła się do jego brzegu i odwróciła, wyciągając ręce do Barta. Gdy rozpiął wszystkie zabawne małe haftki przy jej sukience; miękki jedwab opadł z szelestem do jej stóp. Ona z kolei rozpięła guziki sztywnej marynarki od munduru, ozdobionej złotym paskiem. Jego skóra płonęła pod dotykiem jej palców.

Wkrótce leżeli koło siebie, całując się, dotykając, poznając. Zadrżała, gdy jego dłoń przesunęła się po jej plecach, znacząc linię kręgosłupa. Dotyk jej warg na jego piersi wystarczył, by serce zabiło mu mocniej. Stopniowo ich pieśczęty stały się bardziej nagłe, bardziej gorączkowe.

A potem porwała ich przemożna fala, pochłonął wszechogarniający ogień. Chwilę wcześniej szukali, pragnęli, żądali. W następnym momencie stali się jednością, zespoleni jak nigdy przedtem, stając się częścią siebie samych, częścią całej przyrody, częścią wszechświata i wieczności.

Później leżeli półsenni, mocno przytuleni. A jeszcze później kochali się znowu, wciąż ucząc się jedno drugiego, odkrywając nawzajem nowe źródła rozkoszy.

Około trzeciej nad ranem Erica usiadła z włosami w nieładzie i uśmiechem na ustach, uświadamiając sobie, że wokół jest jeszcze codzienny zwykły świat.

- Muszę wrócić na *Magnolo*. Mama będzie się zastanawiała, co się ze mną stało.

- Erico...

174

- Tak, kochanie?

- Erico, nie miałem pojęcia, że... że...

- Co takiego, najmilszy?

- To był twój pierwszy raz.

- O, tak.

- Erico, kochanie moje... - w jego głosie zabrzmiało coś jakby żal, poczucie winy...

Dotknęła jego ust końcami palców.

- Wszystko jest dobrze. Jestem szczęśliwa. I tak się cieszę, że to było z tobą. - Nagle się roześmiała.

- O co chodzi?

- Mogłam pójść pierwszy raz do łóżka z Geraldem!

- Z jakim Geraldem, do diabła? - mruknął groźnie Bart, usiłując wyplątać swój mundur z kłębowiska ubrań na podłodze.

- Z mężczyzną, z którym byłam zaręczona. Boże drogi, to po prostu niewiarygodne!

Usiłowała wyobrazić sobie, jak szybuje do siódmego nieba w ramionach Geralda i ta myśl wydała jej się tak zabawna i niedorzeczna, że wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

Kiedy wreszcie dotarła do *Magnolo*, matka spała spokojnie w ich wspólnej kabinie. Erica rozebrała się szybko, wzięła prysznic i wślizgnęła się do łóżka. Ale nie mogła zasnąć. Leżała przeżywając ponownie cud, który przeżyła.

Rano Amy swoim zwyczajem spała długo. Około dziewiątej trzydzieści Erica przyniosła jej tacę z herbatą; przyzwyczaiła się robić to codziennie, by oszczędzić kłopotu stewardowi. Amy, budząc się niechętnie, usiadła i pozwoliła ustawić sobie tacę na kolanach.

- Bardzo późno wróciłaś wczoraj, kochanie?

- Niestety raczej tak.

- Gdzie byłaś? W jakimś miłym miejscu?

- Po prostu w takiej niewielkiej restauracji meksykańskiej.

Nie podejrzewając niczego, Amy zapytała o dania, które podano. Nie przeszło jej nawet przez myśl, że córka może mieć coś znacznie ciekawszego do opowiedzenia.

- Jakie masz plany na dzisiaj, mamó?

- Państwo O'Brien zaprosili mnie na wspólne zwiedzanie miasta. Podobno jest tu sporo zabytków szesnastowiecznej architektury. Poza tym mają zamiar wybrać się do klasztoru na wzgórzach, żeby opłacić nowennę -chyba dobrze mówię - nowennę?

- Zdaje się, że tak. A co z lunchem? Wróćcie na statek?

- Nie. Państwo O'Brien wynajęli samochód i zabierają kosz z jedzeniem. Zrobimy sobie piknik. Wrócimy dopiero na kolację. - Amy popatrzyła niepewnie na córkę. - Nie będziesz się nudziła?

- Na pewno nie. Wezmę kostium i pójdę popływać.

127

Istotnie, wzięła kostium i poszła na plażę koło domku malarza. Pływała, czekając na Barta. Miał wolne popołudnie, ale musiał zgłosić się na pieską służbę o czwartej, choć wachty były właściwie formalnością w czasie postoju w porcie.

Kiedy nadszedł, Erica suszyła włosy w słońcu. Bart dotknął dłonią jej głowy.

- Pachniesz solą i wodorostami.

- Woda jest wspaniała, chociaż trochę drażni skórę.

Poszli do małego domku. Spędzili całe popołudnie na nowo odkrytych przyjemnościach ciała, dla Eriki wciąż tak samo zdumiewających i cudownych.

Oboje byli świadomi, że zostało im niewiele czasu: Bart musiał wrócić na służbę. Tymczasem otworzył butelkę wina, nalał do wyszczerbionych kubków i podnosząc do ust swój, spojrzał na nią poważnie.

- Powinniśmy porozmawiać.

- O czym?

- O przyszłości.

- A ja nadal usiłuję połapać się w terażniejszości! Roześmiał się.

- Zdumiewasz mnie nieustannie. A uważałem cię za konwencjonalną dziewczynę!

- Jestem konwencjonalną dziewczyną - przyznała Erica.

- Nie pozwolę powiedzieć na ciebie marnego słowa. - Pochyliwszy się, pocałował ją w czubek nosa. - Więc co zrobimy?

- Z czym?

- Z nami.

- Nie sędzę, żebyśmy potrzebowali robić cokolwiek. Jesteśmy perfekcyjni.

- Mówię poważnie, Erico. *Langrovia* wyrusza do Pernambuco dwudziestego ósmego. Więc muszę odpłynąć.

Jeśli tego nie zrobię, stracę pracę.

- Wiem oczywiście, że musisz odpłynąć, kochanie.

- Ale... co będzie z nami?

- Spotkamy się znów, najmilszy. Zostaw mi rozkład rejsów *Langrovii*, a ja postaram się wybrać takie trasy, żebyśmy trafiali do tych samych portów.

- To nie takie proste.

- Wiem, ale jakoś sobie poradzimy.

- Posłuchaj, Erico, po tym rejsie kończę służbę na *Langrovii*. Pamiętasz, mówiłem ci, że moim powołaniem nie są luksusowe statki pasażerskie.

- Aha... - odparła Erica. - Tak, pamiętam.

- Mam pracę na jednym ze statków należących do linii morskich Argentine Circle. Nazywa się *Carico* i będę pierwszym oficerem.

- Och, wspaniale.

128

- Tak, ale posłuchaj, skarbie, to nie jest najlepsza chwila, by planować małżeństwo.

Erica odstawiła kubek. Słowa Barta wstrząsnęły nią. Nie wybiegała myślami w przyszłość, w każdym razie dalej niż następne spotkanie, kiedy będą znów się kpchać.

- Mażeńskich? - powtórzyła.

- Chyba tego oczekiwałaś?

- Nie wiem...

Małżeństwo. Czy mogła go obarczać takim ciężarem? Rozpoczął dopiero karierę... Nie był zamożny, szalał kryzys... Żeniąc się z Ericą, brałby na siebie podwójną odpowiedzialność, również za jej matkę.

Dla większości statków z Argentine Circle portem macierzystym było Buenos Aires. Jak wyglądałoby życie jej matki w jakimś tanim mieszkanku w Buenos Aires? Czy Bart chętnie zamieszkałby z podupadającą na zdrowiu teściową?

Erica dawno pozostawiła za sobą dziewczęce złudzenia. Wiedziała, że życie bywa ciężkie i niepewne.

Szczęście, jakie stało się ich udziałem, mogło tak łatwo lec w gruzach; na przykład, gdyby linia morska wycofała kilka jednostek, Bart mógłby zostać bez pracy; albo gdyby matka miała naprawdę poważny atak swojej choroby i trzeba byłoby płacić za lekarzy...

Bart uważał, że powinien jej zaproponować małżeństwo. Rozumiała go doskonale. To był jego obowiązek - tylko lajdak bierze dziewczynę do łóżka, po czym odchodzi bez słowa, kiedy mu wygodnie. Bart oczywiście kochał ją i chciał, żeby została jego żoną, ale gdyby nie była taka samotna i pozbawiona przyjaciół, nie czułby potrzeby żenienia się z nią natychmiast.

- O czym myślisz? - spytał, patrząc na jej poważną twarz.

- Myślę, że to z pewnością nie jest dobry moment do rozmów o małżeństwie - powiedziała po chwili. - I, kochanie, nie ma potrzeby rozważać tego już teraz. Wiemy, że się kochamy i chyba możemy trochę poczekać.

- Ale okropna jest świadomość, że cię zostawiam i przez wiele tygodni cię nie zobaczę.
- Tylko, widzisz, byłoby tak samo, nawet gdybyśmy w tej chwili wzięli ślub... - powiedziała z cieniem żartobliwości w głosie, jakby się z nim droczyła. - Żona marynarza musi się przyzwyczaić do długich nieobecności męża, prawda? Więc nie musisz się o to martwić.
- Ale się martwię! Rodzaj życia, które prowadzisz, nie jest bezpieczny.
- Poradzę sobie, Bart. Wiele się nauczyłam w ostatnich czasach.

To zapewnienie wcale go nie pocieszyło. Wziął ją w ramiona i przytulił mocno; na dłuższą chwilę przyłgnęli do siebie bez słowa.

Przeżyli jeszcze jeden szczęśliwy dzień. 28 grudnia *Langrovia* odpłynęła do Pernambuco, a następnego dnia *Magnolo* wyruszył w powrotną drogę do Miami.

9 - Nieodrodna córka

129

- Do zobaczenia w lutym w Buenos Aires - powiedzieli sobie Bart i Erica, wymieniając pożegnalny pocałunek. Ale stało się inaczej. Chociaż Erica przybyła na miejsce spotkania i czekała na Barta cztery dni, *Carico* w ogóle tam nie dotarł. Awaria silników zatrzymała go w Bahia Blanca do początków marca. Wielki Kryzys spowodował ograniczenie liczby luksusowych rejsów. Erica i jej matka spędzały większość czasu w Miami i ledwie wiązały koniec z koncem, prowadząc mały klub brydżowy w swoim motelu. Bart żeglował pomiędzy Ameryką Południową a Liverpooliem. Pisywali do siebie często. Ale po jakimś czasie ból rozłąki i tęsknota stały się mniej dotkliwe, a dni i noce spędzone w Vera Cruz zatraciły z wolna realność, jakby przydarzyły się nie im, lecz dwojgu innym ludziom. Może tak jest lepiej, myślała Erica, może dobrze mieć piękne wspomnienia, cudowny sen, marzenie... tyle że zbyt kruche, by przetrwało brutalną rzeczywistość.

9

Providence była nowym statkiem. Propozycja popłynięcia na nim w dziewiczy rejs to zaszczyt. Poza tym Erica i jej matka potrzebowały pieniędzy.

- Ale do Cherbourga, kochanie - zaprotestowała Amy, potrząsając głową. - i jesienią.

- Mamo, to jest prawdziwy pływający pałac. Nie odczujesz żadnej niewygody, nawet, gdybyśmy się natknęli na jesienne sztormy.

Jednakże matka wciąż potrząsała głową.

- Cherbourg jest taki przygnębiający w czasie mokrej pogody - stwierdziła.

- Ale to tylko podróż tam i z powrotem. Spędzimy na miejscu zaledwie cztery czy pięć dni.

Amy spojrzała na rozpościerający się za oknem widok. Miami zmieniało się z miesiąca na miesiąc. Tam, gdzie poprzednio ciągnął się szereg małych domków w stylu meksykańskim, wyrosły teraz wysokie biurowce.

Ogród przy domu, w którym mieszkały panie Tregarvon, miał zostać przerobiony na parking.

Z pewnością byłoby przyjemnie popłynąć nowym amerykańskim statkiem pasażerskim, pozostawiając za sobą, choćby na kilka tygodni, ciasne mieszkanie i nieustanne kłopoty finansowe.

Eastern Seaboard Line zaproponowała im pracę w sekcji rozrywkowej. Kabina pierwszej klasy, przyzwoita gaża, żadnych ograniczeń co do pieniędzy zarobionych dodatkowo na udzielaniu lekcji pasażerom. Była to wyjątkowo dobra oferta, ponieważ rejs pięknym, nowym statkiem przyciągnął wielu bogatych i sławnych

ludzi. A bogaci i sławni byli zwykle hojni. Panie Tregarvon mogły zarobić podczas tej jednej podróży tyle, by nie martwić się o finanse do Bożego Narodzenia, a może nawet dłużej.

180

Erica przyglądała się matce, kontemplującej przygnębiający widok za oknem.

- Niezbyt atrakcyjny - potwierdziła, choć Amy milczała. - i z czasem będzie jeszcze gorzej. Może uda nam się po powrocie znaleźć jakieś lepsze miejsce.

- Chodzi o to, Erico...

- Tak?

- Chodzi o to, że... właściwie nie chcę jechać.

Słowa matki wprowadziły Ericę w zdumienie. Dotychczas nie zdarzyło się jeszcze, by Amy sprzeciwiła się planom wyruszenia na morze.

- Ale dlaczego?

Amy westchnęła. Odwróciła się plecami od okna i utkwiała wzrok w pasjansie rozłożonym na stoliku karcianym. Po chwili przełożyła piątkę karo.

- Dlaczego, mamó? - zaniepokojona Erica powtórzyła pytanie. Na twarzy Amy malował się dziwny wyraz determinacji, którego nigdy przedtem nie widziała.

- Posłuchaj, Erico... myślę, że powoli staję się za stara, żeby kontynuować nasz dotychczasowy tryb życia. Ta szarpanina, żeby związać koniec z końcem, kiedy jesteśmy w Miami, ten przymusowy dobry humor i obowiązkowe pogawędki z obcymi ludźmi, kiedy jesteśmy na statku...

Erica nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Matka powiedziała prawdę - ich życie nie należało do łatwych.

- Nie mamy się w co ubrać na Providence - podjęła Amy. - Moda bardzo się zmieniła w ciągu kilku ostatnich lat, wszystkie nasze stroje są okropne.

- Mogłybyśmy wybrać się znowu do „Prawie Nowych”.

- Ach, nienawidzę tego! - wybuchnęła niespodziewanie Amy z prawdziwą udręką w głosie. - Być zmuszonym do noszenia ubrań po kimś!

- Wiem, mamó, wiem, ale one są naprawdę dobrej jakości.

- Tylko zupełnie nie w naszym stylu! Choćby ta marokańska sukienka; nigdy nie kazałabym sobie uszyć podobnej rzeczy...

- Ale nie mamy wyboru, mamó. Kupienie nowej sukni tej jakości w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- Ten rejs na Providence... Erico, czy naprawdę uważasz, że nasze stroje będą wyglądały odpowiednio w jadalni pierwszej klasy, nawet jeśli wybierzemy je starannie w sklepie z używaną odzieżą?

- Hm...

- To nie ma takiego znaczenia w twoim przypadku - ciągnęła Amy. - Jesteś młoda i na tyle ładna, by było ci do twarzy w każdej sukience. Ale ja zaczynam wyglądać jak stare czupiradło.

Erica pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

- Więc o to ci chodzi? Martwisz się, co na siebie włożyć?

132

- Nie, wcale nie! Mówię poważnie, Eriko. Myślę o tym od dwóch miesięcy... właściwie dłużej... myślę... i zdecydowałam, że wolałabym osiaść na stałe w jakimś przyjemnym miejscu na wybrzeżu.

Erica wydała cichy okrzyk.

- Przecież zawsze uwielbiałaś życie na pokładzie!

- Trzeba się nieustannie pakować i rozpakowywać - przerwała jej Amy. - Czekać w kolejkach na oclenie. Czyścić i prasować po powrocie do domu. Dawniej nigdy nie musiałam tego robić. Podróże były zawsze łatwe i przyjemne. Ale teraz... Jestem tym ogromnie zmęczona, Erko. I nie chcę tego więcej robić. Chcę się ustabilizować.

- Ale gdzie? Tutaj, w Miami? Wiesz, jak było nam trudno tego lata, jakim problemem było się tu utrzymać. Musiałybyśmy się gdzieś przenieść, gdzie klientela jest pewniejsza... Ale gdzie?

Amy wahała się dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała.

- Nie myślałam o nas obu, córeczko.

Od początku rozmowy Erica była zdumiona i zaskoczona. Ale ostatnie zdanie sprawiło ją w osłupienie.

Tymczasem Amy mówiła dalej:

- To w ogóle jest dziwny tryb życia: opływać morza, grając w karty. Ale żeby dorosła dziewczyna wozila wszędzie ze sobą własną matkę...

- Ach, mamo, przecież wiesz, jak lubię mieć cię blisko.

- Ale to nie jest w porządku, kochanie! Bądź co bądź, masz dwadzieścia cztery lata. Moja stała obecność u twojego boku musi odstraszać młodych ludzi.
- Mamo, mówisz absurdy!
- Wcale nie. Nie powiesz mi, że moja obecność nie utrudniła kontaktów pomiędzy tobą, a tym miłym młodym człowiekiem z *Langrovii*. - Przerwała na chwilę. - Wydaje mi się, że teraz nie dostajesz od niego już tylu listów.
- Nie... wiesz, nie widzieliśmy się od roku - a to jest bardzo długo... -odparła Erica wzruszając ramionami, co miało ją chronić przed współczuciem.
- Ale przypuszczalnie poznałabyś kogoś innego - dodała Amy z uśmiechem - gdyby mamusia nie deptała ci nieustannie po piętach.
- Nie mówmy o tym nawet - powiedziała Erica krótko. - Nie szukam męża na statku.
- Żartowałam tylko, kochanie. Po prostu... jakoś... życie na statku nie jest już tym, czym było. Wszystko jest inaczej. Kiedyś była to dla mnie czysta przyjemność, bez kłopotów, z nową porcją radości każdego dnia. A teraz każdy dzień jest wysiłkiem.
- Och, mamo! - zawołała Erica pochylając się, by objąć matkę. - Tak mi przykro!
- Ależ dziecino, to nie twoja wina - odparła Amy. - Wszystko się zmienia, wiem o tym. Ale dla mnie dodatkowym utrudnieniem jest

przystosowanie się do życia na pokładzie w tym obcym, nowym stylu. Toteż zdecydowałam... to znaczy chciałam o tym z tobą pomówić... ale właściwie zdecydowałam, że nie będę więcej pływała. Erica wyprostowała się, by popatrzeć na matkę.

- Ale co my...

- Powiedziałam ci, nie chodzi o nas, chodzi o mnie.

Erica stłumiła westchnienie. Wszystko to było Taczrej nierealne. Nawet wtedy, kiedy pracowały obie, było im trudno zarobić na życie; ale jeśli matka miała mieszkać na ładzie, pozostawiając Ericę troskę o utrzymanie ich obu, sytuacja zaczynała wyglądać beznadziejnie.

- Poczekaj, mamó. Posłuchaj, tutejszy czynsz... - zaczęła Erica.

- Ale ja nie będę tutaj mieszkała.

- Gdziekolwiek pojedziesz, czynsz...

- Wszystko to już obmyślałam...

- Nie, mamó, posłuchaj mnie przez chwilę i postaraj się być rozsądna. - W tym momencie, ku zdziwieniu Eriki, jej matka roześmiała się cicho. - O co chodzi? - Co zabawnego powiedziałam?

- Nie myślałam o tym, co powiedziałaś, tylko jak.

- No jak? Co było w tym śmiesznego?

- Użyłaś dokładnie tego samego tonu, jak twój ojciec. Erica zmarszczyła brwi.

- Nie rób takiej miny, kochanie. Wiem, że nie chcesz mówić o ojcu, ale ja często o nim myślę. A ty czasem coś powiesz albo pochylisz głowę... zupełnie, jak on.

- Wcale nie jestem do niego podobna - powiedziała Erica, tłumiąc ' gniew.

- Kiedy właśnie jesteś. Pod wieloma względami jesteś nieodrodną córką swojego ojca.

Erica podniosła się i chwilę spacerowała po ciasnym pokoju; wzięła do ręki książkę, ale szybko ją odłożyła.

- Mniejsza z tym - powiedziała. - Mówiliśmy o twardej rzeczywistości. Niestety, mamó, nie mam możliwości zarobić dość, żeby utrzymać nas obie.

- Ale nie musiałybyś wcale tego robić.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Masz zamiar zagłodzić się na śmierć?
- Przeciwnie - oznajmiła Amy z cichą satysfakcją. - Sądzę, że będzie mi się całkiem nieźle żyło.
- Naprawdę? Za co?
- Za własną pensję. - Amy wreszcie to powiedziała.
- Więc ty... masz jakąś pracę? Amy przytaknęła.
- Gdzie? I co będziesz robiła?
- Będę hostessą w hotelu.

134

- Mamo! . Hostessy były damami o wątpliwej reputacji. Jeśli nawet osobiście nie zabawiały gości, to sprowadzały dla nich „panie do towarzystwa i to za pieniądze. Myśl o matce w tej roli była po prostu niepoważna. - A poza tym, po cóż którykolwiek z lepszych hoteli miałby zatrudniać panią Tregarvon, skoro zamiast niej mógł zaangażować młodą, ładną, energiczną kobietę? ,

- Praca jest całkowicie w porządku - pospieszyła z wyjaśnieniem Amy. - I wcale nie tutaj. Wiem, jak trudno byłoby zdobyć coś w Miami. To naprawdę przyzwoita posada, a propozycja wyszła od pani Oakes. Amy utrzymywała dość żywe kontakty z żoną multimilionera od czasu, gdy mieszkały w ich domu. Duma nie pozwoliła paniom Tregarvon na dalsze korzystanie z gościnności Oakesów, ale Amy i Eunice pisywały do siebie regularnie. . .

- Widzisz, Harry kupił nowe posiadłości na Bahamach i między innymi jest teraz właścicielem hotelu British Colonial. Pamiętasz chyba, kochanie, to najlepszy hotel w Nassau. Eunice powiada, że choć to dziwne, bezrobocie daje się również we znaki na Bahamach, więc żeby pomóc mieszkańcom, Harry zdecydował zatrudnić w hotelu wyłącznie tamtejszą obsługę. Ale jednocześnie uważa, że British Colonial potrzebuje... no wiesz... kogoś, kto zajmowałby się gośćmi, zwłaszcza tymi starszymi i konserwatywnymi.

- Mamo, więc ta praca jest w Nassau?

- Tak, kochanie.

Po chwili wahania Erica powiedziała:

- Jego tam nie ma, mam. Nawet, jeśli kiedyś tam dotarł, to teraz go tam nie ma.

Amy wpiła wzrok w rozłożone na stole karty; potem zebrała je i zaczęła machinalnie tasować.

- Wiem, Erico. Pogodziłam się z tym, że twój ojciec gdzieś się ukrył i może nigdy się do nas nie odezwać. Ale praca w British Colonial nie ma z tym nic wspólnego.

- Więc czemu ją przyjął?

- To dobre miejsce, żeby się ustabilizować, Erico. Mam tam przyjaciółkę, może nie taką od serca, ale łączące nas więzi przetrwały próbę lat. Poza tym znam Nassau, zawsze tak bardzo lubiłam się tam zatrzymywać. Dlatego się zgodziłam.

- Na czym ma polegać ta praca?

- Na zajmowaniu się gośćmi, a będzie ich co najmniej pięćdziesięciu, na oprowadzaniu ich po kolonialnych rezydencjach w starych posiadłościach graniu w karty, kontaktowaniu ich z krawcami i specjalistami od szycia tropikalnych strojów - wiesz, tego rodzaju usługi. Będę miała za to pokój w hotelu, utrzymanie i niewielkie wynagrodzenie.

- Niewiele się to różni od pracy na statku.

135

- Prócz tego, że nie będę musiała się nieustannie pakować i rozpakowywać, a w razie jakichkolwiek kłopotów znajdę zawsze oparcie w pani Oakes.

Rzeczywiście oferta brzmiała zachęcająco. Życie na statku nie było wolne od napięć i stresów. Natomiast w Nassau panowała atmosfera spokoju i swobody, było to jednak miasto w pełni cywilizowane. Jako przyjaciółka pani Oakes, Amy zajmowałaby tam uprzywilejowaną pozycję.

Rozmawiały o nowych planach przez większość tego dnia, a także następnego. Erica musiała do końca tygodnia powiadomić kierownictwo sekcji rozrywkowej, czy przyjmie pracę na pokładzie **Providence**. Zatelefonowała do biura Eastern Seaboard oznajmiając, że akceptuje propozycję, o ile zgodzą się, że będzie pracować sama, bez matki. Po krótkiej wymianie zdań kierownik stwierdził, że nie robi mu to wielkiej różnicy, ponieważ w razie potrzeby znajdzie kogoś na miejsce pani Tregarvon.

Wszystko zostało ustalone, choć Erica nie pozbyła się obaw. Jej matka była bardziej zmęczona, mniej odporna i delikatniejsza niż kiedyś. Zapewne miała rację, chcąc osiąść gdzieś na stałe. Co prawda nigdy dotąd nie musiała radzić sobie sama. Ale pani Oakes pomoże jej, gdyby okazało się to potrzebne. Eunice Oakes znana była ze swej życzliwości i działalności filantropijnej. Niechże więc pani Tregarvon stanie się jednym z jej dobrych uczynków, skoro już tak być musi.

Erica pojechała z matką na Bahamy, by towarzyszyć jej w pierwszych dniach samodzielności. Hotel został niedawno odnowiony, więc pokój Amy, choć niezbyt duży, był świeży i jasny. Nowy kierownik hotelu, Amerykanin, właśnie objął swoje stanowisko. Cała reszta personelu -zastępcy kierownika, kierownik gospodarczy, maitre d'hôtel, główny kucharz, a także pokojówki i kelnerzy - była miejscowa. Nie mieli wiele doświadczenia, ale byli chętni i pilni. Pani Oakes pojawiła się, żeby osobiście powitać hostesę, co nie uszło niczyjej uwagi.

Życie hotelowe toczyło się wartko. Sezon lepkich upałów dobiegł końca i wszystko powracało do normy.

Mieszkańcy eleganckich rezydencji przybywali raczyć się wykwintnymi daniami i napojami, ciekawi, jak wygląda British Colonial po odnowieniu i jakie rozrywki planuje nowe kierownictwo na okres zimowy.

Inni schodzili się tu zapewne na spotkania w interesach. Erica, która wiele miesięcy spędziła na morzu, a teraz siedziała pod wielkim parasolem w ogrodzie palmowym, ze zdziwieniem rozpoznawała znajome postaci mężczyzn. Znały ich nie tyle z twarzy, ile ze stylu, specyficznego typu, który reprezentowali. Wszyscy tak samo ubrani: płócienne spodnie, krzykliwe koszule z krótkimi rękawami, złote bransoletki, złote pierścionki, złote zapalniczki.

Byli bliźniaczo podobni do mężczyzn, z którymi rozmawiał Timothy Perriman w restauracji Fontaine w Nowym Jorku.

136

- Czy to jakieś specjalne osobistości? - spytała Erica, zwracając się do kierownika hotelu, McDermota, który przyszedł wypić w jej towarzystwie aperitif przed lunchem.

McDermot zerknął dyskretnie na grupę mężczyzn i ich przyjaciółki.

- A, tamci, niedoszli właściciele - powiedział.

- Właściciele czego?

- Tego hotelu. Ale pan Oakes okazał się szybszy.

- Przecież on kupił ten hotel na początku roku, przynajmniej tak słyszałam. Więc po co oni się tu kręcą?

- Nie przez cały czas. Odjechali, a teraz znów wrócili. Podobno usiłują namówić pana Oakesa do odsprzedania hotelu.

Erica spojrzała na swój kieliszek, marszcząc brwi. Nie podobała jej się myśl, że Amy może być zatrudniona przez kogoś takiego.

- Nie ma się co martwić - oświadczył McDermot, uśmiechając się z satysfakcją. - Pan Oakes nie sprzeda hotelu. A już w żadnym wypadku nie im. Przecież dlatego właśnie go kupił.

- Nie bardzo rozumiem - wyznała Erica.

- W opinii większości oni są z mafii.

- Mafia? A, ma pan na myśli przemytników?

- Tak, o nich mówię. To gangsterzy. Robią intery w różnych rejonach kraju, odkąd przemyt alkoholu przestał istnieć. - McDermot urwał, wracając pamięcią do przeszłości. - Słyszałem, że w tamtych czasach Bahamy były jednym z większych ośrodków przemytu - głównie rumu. Strategiczne położenie, ot co. Na brytyjskim terytorium alkohol nie był zakazany, a przecież stąd jest ledwie kilka mil do wybrzeży amerykańskich. Podobno niektórzy zbili na tym majątek.

- Właśnie ci, z włoskich gangów? - spytała Erica, nieznacznym ruchem głowy wskazując mężczyzn, którzy zamawiali właśnie napoje u wyraźnie znękanego kelnera.

- Tak, oni też, ale również pewne rodziny z Bahamów, cieszące się tak zwaną nieposzlakowaną opinią.

- Niemożliwe!

- Zapewniam panią. Oczywiście oni nie byli od brudnej roboty -srowadzali alkohol na wyspy i następnie sprzedawali go dalej, nie interesując się, dokąd trafi, kiedy został już wywieziony z ich magazynów.
- Coś podobnego! - Erica była szczerze zdziwiona. W przeszłości często odwiedzała te strony, ale nigdy nie przypuszczała, że wśród członków Yacht Clubu mogą znajdować się przestępcy.
- Tak, tak. Te czasy minęły bezpowrotnie. Oczywiście ludzie, którzy zarabiali pieniądze bez żadnego wysiłku, rozglądają się teraz za innym, równie łatwym zarobkiem. Niektórzy mieszkańcy New Providence uważają, że dobrze by się stało, gdyby nasi przyjaciele znad basenu kupili British Colonial.
- Ale po co? Nie rozumiem, co mogliby na tym zyskać...

McDermot pokiwał bez pośpiechu swoją potężną głową.

- Hazard, panno Tregarvon. Łatwe pieniądze. Jak w Hawanie, rozumie pani/ Tuz przy wybrzeżach Ameryki, łatwy dostęp, tropikalny klimat, piękne dziewczyny i kasyna gry otwarte od wieczora do samego rana Ale -kierownik podniósł palec, by zaakcentować swoje słowa - pan Oakes nie pochwała tego. Więc zjawił się pierwszy i kupił hotel. A nasi włoscy przyjaciele me byli z tego zadowoleni.

Erica wyprostowała się, udając, że poprawia kapelusz. Grupa skupiona przy basenie dostała już zamówione napoje i drinki. Jedna z dziewcząt, w głęboko wyciętym kostiumie kąpielowym, klęczała u stóp któregoś z mężczyzn na leżaku, trzymając kieliszek z koktajlem tak, żeby mógł z niego pić

Scena przy wodzila na myśl niewolnicę z haremu, usługującą panu

- Będą tu jeszcze długo?

- Myślę, że lada dzień odjadą. Pan Oakes polecił mi, żebym o nich zadbał ale nie dopuścił do żadnych ekscesów. Przedwczoraj wpadł tu jego prawnik; rozmawiał z nimi. Pewnie powiedział im, że tracą czas na próżno Więc spakują manatki i odjadą. Dzięki Bogu - dodał.

Piękna dziewczyna podniosła się, zatrzymała na chwilę na brzegu basenu i skoczyła do wody. W chwilę później wynurzyła się na powierzchnię i następnie wyszła na brzeg; jej ciemne włosy przylegały szczelnie do głowy. Świadoma, że kostium opina prowokująco jej ciało, podeszła wolnym krokiem do leżaków i w tej chwili ktoś odepchnął ją tak silnie że aż się zatoczyła.

- Zjeżdżaj, ty głupia krowo! Myślisz, że chcę być mokry?

- Uroczą scenka - mruknęła Erica. Zastanawiała się, czy Timothy ich zna.

Ale Timothy ich nie znał, choć znał innych wpływowych biznesmenów Na naradzie, dotyczącej planów na przyszłość, niedoszła transakcja w Nassau była jednym z tematów rozmowy.

- Jakiś dureń sprzątnął nam go przed nosa - zauważył Manzini -Zamierza zrobić tam wytworny hotel turystyczny, bałwan.

- I tak nie mieliśmy wtedy pozwolenia na rozkręcenie kasyna - odparł Timothy pojednawczo.

- Dostaniemy pozwolenie.

- Dotychczas Zgromadzenie głosowało za każdym razem przeciwko Manzini ściągnął wąskie wargi.

- Takie rzeczy są do załatwienia.

- Ale to nie będzie proste, panie Manzini.

- Załatwienie prostej rzeczy zabiera kilka minut. Załatwienie trudnej może potrwać kilka lat - i to jedyna różnica.

Timothy pomyślał, że naklonienie zasiadających w konserwatywnym Zgromadzeniu Bahamczyków do zmiany przepisów na temat hazardu było

191

więcej, niż „trudne”. Nauczył się jednak nie sprzeciwiać Giancarlo Manziniemu, chyba że istniały ku temu konkretne powody, podyktowane wymogami interesów.

- Czy nadal mamy się rozglądać za posiadłością w Nassau? - zapytał.

- Jasne. Ale nie wyślę tam nikogo z naszych. Enzo mówi, że ludzie niechętnie patrzą na takich, jak my.

Potrzeba nam prawdziwego angielskiego dżentelmena, Perriman, na przykład pana.

- Chce pan, żebym ja tam pojechał?

- Pojechał i rozejrzał się.

- Muszę zauważyć, panie Manzini, że handel nieruchomościami nie jest moją specjalnością; znam się lepiej na międzynarodowych przepisach dotyczących statków oraz przewożonych przez nie towarów.

- Dobra, w porządku, nie miałem zamiaru powierzać panu samego kupna. Zaangażuje się do tego kogoś z miejscowych. Pan ma tylko znaleźć miejsce i zaklepać je dla nas.

- Proszę wybaczyć, panie Manzini, ale nie widzę celowości takiego postępowania. Bez pozwolenia na hazard nie może pan otworzyć kasyna, a bez widoków na kasyno nie może pan być zainteresowany w kupnie posiadłości na Bahamach.

- O to niech już pana głowa nie boli. Pan ma tam pojechać i zbadać sytuację. - Przerwał, by zapalić cygaro, po czym dodał, uśmiechając się i wzruszając ramionami. - Jedno panu powiem: Enzo mówi, nie ma sensu zatrzymywać się w British Colonial. Atmosfera, jak w grobie. Pełno starych snobek z mężami chorymi na serce. Enzo mówi, że przeciętny wiek wynosi jakieś sześćdziesiąt. Zafundowali sobie nawet hostessę mniej więcej w tym samym wieku, która ich dogląda. Damulka z tak zwanych lepszych sfer, która nosi czarne koronki, perły i nazwisko Tregarvon.

- Słucham? - Timothy podniósł nagle głowę znad papierów, które składał, by schować je do teczki.

- Że co?

- Jakie nazwisko?

- Co jakie nazwisko?

- Mówił pan o jakiejś hostessie, o nazwisku Tregarvon.
 - Tak, chyba tak się nazywa - Manzini uniósł do góry gęste brwi. -A co, to pana flama?
 - Pan raczy żartować - odparł Timothy. - W tym wieku? Po prostu kiedyś znałem osobę o tym nazwisku.
 - „Pan raczy żartować” - powtórzył Manzini, przedrzeźniając Timothy'ego. - Kocham ten angielski akcent.
- Więc podług Enza, chyba pan raczy żartować sądząc, że warto odnawiać z nią znajomość.
- Dwa dni później Timothy Perriman przyleciał do Nassau na pokładzie samolotu Pan American. Pochłaniała go głównie kwestia znalezienia

posiadłości, która nadawałaby się pod budowę kasyna, ale ciekaw był także, co pani Tregarvon robi na Bahamach. Dobrze pamiętał, że Erica wypytywała go specjalnie o jacht Margravine. Ile i co wiedziała? Co w ogóle mogła wiedzieć? A jeżeli wiedziała cokolwiek to czy podzieliła się tym z matką? Czy właśnie dlatego pani Tregarvon zjawiła się w Nassau?

Wynajął pokój w hotelu Montagu Beach i spędził pierwszy dzień objeżdżając wyspę i oglądając różne posiadłości. Znalazł sporo dobrych miejsc; sama budowa, przy wykorzystaniu nowoczesnej technologii, nie była większym problemem. Nie brakło wokół plaż o srebrzystym piasku i palm dających cieniste schronienie... wszystko było idealne, z wyjątkiem purytańskich poglądów rady zarządzającej.

Oczywiście pozostawała kwestia, które posiadłości są na sprzedaż. Nie mógł pytać o to wprost. Gdyby w jakikolwiek sposób zdradził się ze swoją misją, przeciwnicy staliby się tym bardziej oporni, a potencjalni negocjatorzy podnieśliby natychmiast ceny do niebywałej wysokości.

Toteż drugiego dnia Timothy spędził czas na pogawędkach z biznesmenami z Bay Street, ludźmi ważnymi w finansach i polityce. Nazywano ich mianem „chłopcy z Bay Street”. Oficjalnie występowali jako Zjednoczona Partia Bahama. Timothy nie wspominał w ich obecności o budowie kasyna, natomiast bąknął coś mimochodem, że szuka terenu pod budowę przetwórni ryb, finansowanej z funduszy amerykańskich. Ależ tak, panie Perriman, znalazłoby się sporo dogodnych miejsc. Niech pan tylko spojrzy na mapę.

Zdecydował, że tegoż wieczora pójdzie na kolację do British Colonial. Wielkie było jego zdziwienie, gdy jedną z pierwszych osób, które zobaczył, okazała się Erica Tregarvon. Manzini nic nie mówił o Ericie. Timothy zakładał, że Amy Tregarvon będzie sama. Ale oto w barze siedziała Erica w jasnozielonej sukni z jedwabistego muślinu, z długimi kasztanowatymi lokami upiętymi luźno na czubku głowy i ozdobionymi kwiatem hibiscusa.

Gdy ją zobaczył popadł w panikę. Podczas ich ostatniego spotkania wypytywała go o Margravine. A w Nassau mieszkał obecny właściciel jachtu. Czy zdążyła się z nim skontaktować? Rozmawiała z nim? Czego się mogła dowiedzieć?

Timothy zastanawiał się, czy nie lepiej będzie odwrócić się i ulotnić, kiedy Erica go zauważyła. Była równie zaskoczona, jak on, może nawet bardziej. Podniosła się odruchowo, by go powitać, zanim miała czas się zastanowić, czy w ogóle chce z nim rozmawiać.

Timothy zbliżył się do niej; na twarzy miał wyraz usprawiedliwionego poniekąd zdziwienia. Uśmiechnął się dopiero po chwili.

- Erico! Jak cudownie cię widzieć! I jak cudownie wyglądasz!

- Jak się masz, Timothy - Erica wyciągnęła do niego rękę.

Dłoń Timothy'ego była wilgotna; nic dziwnego, wieczór był bardzo ciepły. A jednak wiedziała, że jest zdenerwowany. Zawsze się płoszył,

140

kiedy sprawy przybierały nieprzewidziany obrót, lub następowała nagle zmiana planów. Czula, że się boi.

- I cóż ty robisz w Nassau? - spytała. Pytanie całkowicie naturalne, ale Timothy robił wrażenie, jakby się go nie spodziewał.

- Ja... ee... wiesz, w interesach.

- Czym to ty się zajmujesz? Konsultacjami z dziedziny żeglugi, tak? - przypomniała sobie, co o tym słyszała. - A są tu jakieś interesy do zrobienia?

Idiota - pomyślał Timothy pod własnym adresem. Powinien był powiedzieć, że jest na wakacjach.

- Ach, nie... ja... ee... oglądam różne posiadłości.

Czyżby? - pomyślała Erica. Przypomniała sobie, co mówił Derrick McDermot o mafii, szukającej miejsca na postawienie kasyna. Mafia, mężczyźni tego samego typu, jak ci klienci Timothy'ego z restauracji.

- Nie wiedziałam, że zajmujesz się również handlem nieruchomościami.

- Nie... nie, ja... myślę, żeby kupić tu dom.

- Masz zamiar się tu osiedlić?

Erica była coraz bardziej zdumiona. Timothy nigdy nie lubił tropików. Wolał chłodny klimat i duże miasta. Również Nassau jako ośrodek żeglarski nie mógł mieć dla niego większego znaczenia, ponieważ nie znosił morza.

- Nie, myślałem o inwestycji - wyjaśnił Timothy. - To... hm... byłoby zyskowne.

- Rozumiem. - Nie wierzyła w ani jedno słowo, ale nie dała tego po sobie poznać. - No to mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

- Czy jesteś tutaj z matką? - Timothy w ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie powinien zdradzać się ze swoją wiedzą o nowej posiadzie Amy.

- Tak, mama pracuje w hotelu.

- Naprawdę? W jakim charakterze?

Erica wyjaśniła pokrótce, na czym polegają obowiązki Amy. Timothy uśmiechał się uprzejmie, i Erica nagle nabrała pewności, że wcześniej wiedział o wszystkim. Czyżby to był powód jego przyjazdu? Czy ktoś mu powiedział, że właśnie tutaj przebywa Amy Tregarvon?

Nie, zbesztala się w duchu, to obłąd! Nie mogę go podejrzewać tylko dlatego, że przyjechał na Bahamy.

Ale następne słowa Timothy'ego wzmocniły jej podejrzenia.

- Skoro tu jesteś, to pewnie poszłaś obejrzeć kochaną, pocziwą *Margravine*.

- *Margravine!*

- No bo ten człowiek, który ją kupił...

- Gaynor Medcalfe.

- Właśnie. On mieszka w Nassau, prawda?

- Tak, ale o ile wiem, odsprzedał komuś jacht.

- Ach, tak?

Czy w jego tonie zabrzmiała ulga? Nie wiedziała. Opanował się na tyle, że mógł panować nad głosem. W tym momencie pojawiła się w barze Amy. Jej zdumienie na widok Eriki pogrążonej w rozmowie z Timothy Perrimanem było niemal komiczne. Wydała okrzyk zdziwienia, po czym zasypała go gradem pytań. Żalowała, że obowiązki hostessy uniemożliwiają jej spędzenie z nim wieczoru. Uważała za oczywiste, że Timothy chętnie zjadłby z nimi kolację. Erica powitała z ulgą pojawienie się czwórki pasażerów ze statku wycieczkowego, których matka miała zaprowadzić do sali jadalnej.

- Ale zobaczymy się jutro? - nalegała Amy, ściskając rękę Timothy'ego i potrząsając nią na pożegnanie.

- Niestety nie. Lecę z powrotem do Miami.

- Niemożliwe, tak prędko?

- Muszę być w Nowym Jorku jutro wieczorem. Żałuję ogromnie. Gdyby pani odwiedziła kiedykolwiek Nowy Jork, proszę dać mi znać.

- Tak, tak, oczywiście. Chociaż to mało prawdopodobne... Timothy opuścił pośpiesznie obie panie i wrócił do swojego hotelu.

Wszystko się pokręciło. Zamierzał odnaleźć panią Tregarvon, porozmawiać z nią na osobności i spróbować się dowiedzieć, czy nadal myśli o Lindonie, czy ma jakieś przypuszczenia co do miejsca jego pobytu i tak dalej. Nie spodziewał się znaleźć pod obstrzałem przenikliwych oczu jej córki.

Erica Tregarvon... Od początku nie wiedział, jak z nią postępować. Psuł wszystko za każdym razem. To było irytujące. Co one robiły tutaj, w Nassau? Erica powiedziała, że *Margravine* została sprzedana. Ale komu? Czy powinien się dowiedzieć? I czy Erica знаła odpowiedź? Mógł ją o to spytać. Chociaż nie, nie powinien z nią w ogóle rozmawiać o *Margravine*, na wzmiankę o jachcie zawsze robiła się podejrzliwa.

Tak, właśnie podejrzliwa. Ale co podejrzewała? I czy to w ogóle było istotne?

Manzini miał przyjaciół w Nassau. Może jutro rano, przed odlotem, poprosi ich, żeby mieli baczenie na obie panie Tregarvon.

Podczas kolacji w towarzystwie matki i czterech turystów z pokładu statku *Tropical Rainbow*, Erica była zajęta niezobowiązującą rozmową. Jednak jej myśli krążyły uparcie wokół Timothy'ego.

Była przekonana, że jest jakoś zamieszany w interesy byłych przemytników alkoholu. W gazetach ukazywały się co jakiś czas artykuły głoszące, że byli przywódcy gangów powrócili na „drogę cnoty” i obecnie zajmują się legalnymi interesami.

Kasyna były legalne. Przypomniła sobie bogate domy gry w Monte Carlo. Jeżeli dawni przemytnicy chcieli otworzyć kasyno w Nassau, to mieli ku temu wszelkie prawa, pod warunkiem, że uzyskali oficjalne pozwolenie.

Jeśli więc Timothy przyjechał do Nassau z tego właśnie powodu, to

197

był jak najbardziej w swoim prawie. Nie powinna o nic go podejrzewać. A mimo wszystko wydawało jej się to dziwne. W jakim celu Timothy wstąpił do British Colonial, gdzie mieszkały obie z matką? I po co pytał o *Margravine*? Nie mogła się w tym dopatrzeć żadnego sensu. Wiedziała tylko, że czuje się wyraźnie nieswojo. Ale trudno, nie było na to rady. Za kilka dni będzie musiała opuścić matkę pozostawiając ją w hotelu British Colonial i wyruszyć do Nowego Jorku, by wsiąść na *Providence*. Co do Timothy'ego, nie skontaktuje się z nim nawet za milion dolarów. Ponieważ z jakiejś, zupełnie nieracjonalnej przyczyny - Erica zrozumiała, że po prostu nie ufa Timothy'emu Perrimanowi.

10

Na liście pasażerów *Providence* widniały nazwiska ludzi bogatych i sławnych. A także nazwisko, które zaskoczyło Ericę: Mitchell Harrow-ford. Od czasu turnieju brydżowego w Esmeraldzie nigdzie go nie spotkała; przyszło jej na myśl, że musiał pływać wyłącznie na statkach linii transoceanicznych.

Pierwszego wieczoru po wypłynięciu *Providence* w morze, kapitan wydał, jak zwykle, cocktail-party dla znaczniejszych pasażerów. Erica przyzwyczaiła się już do tego, że nie była zapraszana przy podobnych okazjach. Co innego dawniej... Ale to wszystko należało do przeszłości.

Jej obowiązkiem pierwszego wieczoru było zajęcie się przed kolacją pasażerami, którzy mogli czuć się trochę zagubieni. Przeszła krokiem spacerowym przez salon pierwszej klasy, wypatrując podróżnych szukających towarzystwa, ale nikogo takiego nie zauważyła. Większość z obecnych należała do ludzi zamożnych, czy to z urodzenia, czy też dzięki własnej pracy; drugą grupę stanowili ludzie będący u szczytu swej kariery - gwiazdy sceny i ekranu, malarze, pisarze.

Dostrzegła jednego samotnego mężczyznę oraz małżeństwo w średnim wieku; ci ostatni robili wrażenie trochę zbitych z tropu. Przed zaproszeniem ich na drinka serwowanego przed kolacją, zajrzała jeszcze do baru, by sprawdzić, czy nie ma tam samotnych panów topiących swoje smutki w kieliszku. Ale odkryła jedynie grupę mężczyzn, siedzących wokół stołu. Byli w doskonałych nastrojach, śmieli się i rozprawiali z ożywieniem. Jednym z nich był Mitchell Harrowford.

Zauważył ją, nim zdążyła się dyskretnie wycofać. Jej pojawienie się skwitował uniesieniem brwi i lekkim ruchem głowy dał jej znać, że chce z nią porozmawiać. Wychodząc, usłyszała jak przeprasza współtowarzyszy.

Dogonił ją w korytarzu, wyciągając dłoń na powitanie.

144

- Dzień dobry. Spotkaliśmy się już, ale nie wiem, czy pani pamięta...

- Oczywiście. Mitchell Harrowford, hotel Esmeralda, blisko trzy lata temu.

- Tak jest! A pani nazywa się Erica Tregarvon i zajmuje się pani brydżystami płynącymi tym statkiem.

Erica skinęła głową.

- Ja mam podobną funkcję, tyle że muszę jeszcze pilnować, żeby rozgrywki w pokera odbywały się uczciwie.

- Więc pan gra również w pokera?

- Ale nie z taką przyjemnością jak w brydża. Poker jest grą różnych taktyk, ale brakuje w nim strategii. Muszę się przyznać, że zostałem zaangażowany na miejsce pani matki. Zdaje się, że zwykle podróżowały panie razem?

- Teraz już nie - Erica wciąż nie mogła się z tym pogodzić.

- Proszę posłuchać, panno Tregarvon... niech pani nie ma mi za złe szczerości... dla samotnej kobiety taka praca..., no wie pani, o co mi chodzi.

- Nie, nie rozumiem - odparła Erica, reagując dumnym podniesieniem głowy na jego sugestię.

- Do tej pory nie miała pani zapewne żadnych albo prawie żadnych problemów na pokładzie. Młoda dziewczyna podróżująca w towarzystwie matki, to jakby gwarancja... gwarancja...

- Przyzwoitości?

Mitchell Harrowford odsunął się o krok.

- Masz ci los! - powiedział. - Widzę, że popełniłem gafę. W porządku, wycofuję się, chociaż to miała być tylko oferta pomocy.

- Ach, nie! - zawołała Erica, skruszona. - Przepraszam! Oczywiście z radością skorzystam z pomocy. Mamy tutaj imponującą listę pasażerów -notable i sławy, co zupełnie nie przypomina beztroskiego towarzystwa, spotykanego na przeciętnych rejsach wycieczkowych.

- Ma pani rację. Gościmy na naszym statku różne wybitne osobistości

o pobudliwym temperamencie. Miejmy nadzieję, że żadna z nich nie zechce grać w karty.

Mitchell uśmiechał się do niej. Był eleganckim mężczyzną, wysokim

i szczupłym, z ciemnymi włosami ledwie przyprószonymi siwizną na skroniach, z ciemnymi brwiami nad parą ciemnych oczu. Musiał być od niej starszy o jakieś piętnaście lat.

- Nasza podróż trwa tylko pięć dni. Niewielkie pole do popisu nawet dla pobudliwych temperamentów.

- Wystarczające, proszę mi wierzyć. Mógłbym opowiedzieć kilka przykładów... - zawiesił głos.' - Muszę wrócić do mojej grupy. Napomykam tu i ówdzie, że jestem zawsze do dyspozycji, jeśli ktoś ma ochotę na partyjkę. A pani? Odkryła pani już jakichś miłośników brydża?

- Jeszcze nie, ale z pewnością ktoś się pokaże w salonie gry po kolacji.

- Wobec tego do zobaczenia.

10 - Nieodrodna córka

Mitchell ruszył z powrotem do baru. Erica zebrała swoje trzy zagubione owieczki i podjęła swoje obowiązki. Drinki pomogły im się rozluźnić. Starsza para wybrała się w rejs, żeby uczcić swoje srebrne wesele. Samotny mężczyzna jechał do francuskiej filii swojej firmy, gdzie miał objąć wyższe stanowisko. Żadne z nich nie grało w brydża. Erica dopilnowała, by zawarli kilka znajomości i zostawiwszy ich własnemu losowi, wróciła na swoje miejsce.

Po kolacji udała się do salonu gry. Kilka stolików było już zajętych, szykowano się do rozpoczęcia rozgrywek. Stopniowo nadciągali pasażerowie - przyglądali się sobie badawczo, nie bardzo wiedząc, jak dobrać partnerów. Erica od razu opanowała kłopotliwą sytuację, usadzając gości przy stolikach. Wreszcie została z ostatnią szóstką chętnych do gry. Zdecydowała, że czworo z nich usiądzie przy jednym stoliku, a ona sama zajmie się zabawieniem dwojga pozostałych. Wtedy pojawił się Mitchell Harrowford.

- O, pan Harrowford... Czy nie zechciałby pan...

- Naturalnie, jak najbardziej.

Zagarnął wprawnie trójkę pasażerów, zabierając ich do wolnego stolika. Erica zaopiekowała się resztą. Rozpoczęto grę.

Podobnie było następnego dnia, ponieważ deszcz wypędził większość podróżnych z pokładu. Mitchell Harrowford wyrastał u boku Eriki, ilekroć zaczynała się za nim rozglądać. Z rozmów pomiędzy stewardami zorientowała się, że spędził pół nocy na długiej i zaciętej grze w pokera. Wyglądał jednak tak jak zawsze - zrelaksowany, elegancki, spokojny.

Zła pogoda uniemożliwiła pasażerom przechadzki i korzystanie z gier pokładowych, musieli więc ograniczyć się do rozrywek pod dachem. Oznaczało to oczywiście, że część z nich zainstaluje się w barze. Tego wieczoru towarzyszył Ericie pewien aktor filmowy, który za dużo wypił i nabrał przekonania, że ona marzy, żeby pójść z nim do łóżka.

- Choźno, kiziuniu - wybelkotał jej niewyraźnie do ucha, wionąc na nią przepojonym ginem oddechem. - Nie udawaj, wszystkie tego chcecie, ciągle piszecie listy, że chcecie...

- Nigdy do pana nie pisałam, panie Cookfield. Proszę mnie puścić.

- Choźno, ślicznotko, zawsze mi się podobały takie rude dziewczynki...

- Niech pan mnie puści!

- Co się tak rzucasz? To niby po co tu jesteś, co?

- Na pewno nie po to, panie Cookfield - odezwał się głos z przejścia za nimi i Mitchell Harrowford zbiegł ze stopni w niespodziewanym tempie. - Panna Tregarvon zajmuje się organizowaniem brydża, a nie sypianiem z pasażerami.

Aktor odwrócił się chwiejnie.

- A pan skądś się tu wziął? - zapytał zdziwiony. - Wyskoczyłeś pan, jak dzin z butelki.

146

- Ginu z butelki to ma pan już całkiem dość na dzisiaj. Chodźmy, przyjacielu, zejdziemy do pana kabiny.

- Ale z moją miłą dziewczynką! Potrzebuję towarzystwa! Jestem samotny i opuszczony...

- To bardzo smutne. Ale ja pana rozumiem. Chodźmy do kabiny i opowie mi pan o tym dokładnie, co?

Przemawiając do pijanego aktora, Harrowford delikatnie kierował go w stronę schodów, prowadzących do kabin pierwszej klasy.

Erica oparła się bezwładnie o balustradę. Aksamitna narzutka, którą Cookfield niemal ściągnął jej z ramion, nie chroniła przed zimnem. Zadygotała, zastanawiając się, co zrobić. Czula, że opuszczają ją siły. Powinna wrócić do salonu gry, ale ogarnęła ją nagle przemożna tęsknota, dojmująca potrzeba czyjejs życliwej obecności*, ciepłego słowa...

Po chwili usłyszała zbliżające się kroki. Odwróciła się, gotowa do ucieczki.

- To tylko ja. Przekazałem go pod opiekę stewarda. Najadła się pani strachu, co?

- Nie, nie! To jest... tak, muszę przyznać, że jestem trochę roztrzęsiona.

- Chodźmy, postawię pani drinka.

- Nie, muszę wrócić do salonu gry.

- Na miłość .boską, niech pani nie przesadza ze skrupulatnością. Pasażer, który nie potrafi się do partii brydża bez pani opieki, jest przypadkiem beznadziejnym, i pani tu nic nie pomoże.

Erica dała się namówić na pójście do baru. Usiedli na wyścielanej ławeczce w rogu. Po paru łykach koniaku z wodą sodową poczuła się zdecydowanie lepiej.

- Rozumiem teraz, co miał pan na myśli mówiąc, że mogę potrzebować pomocy - powiedziała półgłosem.

Mitchell Harrowford westchnął i potrząsnął głową.

- Na każdej liście pasażerów figuruje co najmniej jeden taki typ -odparł. - Przyjmuje za pewnik, że samotna kobieta, na przykład rozwódka albo wdowa... I, co gorsza, bywa, że ma rację. Niektóre kobiety lubią się zabawić przy takich okazjach.

Erica uśmiechnęła się blado.

- Dawniej obie z mamą obserwowałyśmy takie panie - przyznała. -Nazywałyśmy je „motylami morskimi”. Ale nigdy nie sądziłam, że ktoś mnie wźmie za jedną z nich.**
- Cookfield był zbyt pijany, żeby orientować się w czymkolwiek.**
- Jak to dobrze, że znalazł się pan w pobliżu.**
- Nie było w tym nic przypadkowego. Cały czas miałem na panią oko.**
- Boże drogi, naprawdę?**
- Proszę posłuchać, będę z panią szczery. Pani ogromnie mnie interesuje. Może pani nie pamięta, ale już wtedy, na turnieju, powiedziałem, że świetnie pani gra w brydża.**

202

- Pamiętam - powiedziała Erica. - Bardzo mi to pochlebilo.
- To była szczerą prawdą i wydaje mi się, że teraz gra pani jeszcze lepiej. Poza tym pani samotność nie jest chyba chwilowa ani przypadkowa?
- Nie - w głosie Eriki zabrzmiała nuta żalu. - Moja matka zdecydowała, że ma dość pływania.
- Rozumiem - Mitchell Harrowford upił łyk z kieliszka, porządkując myśli. - Wobec tego, co by pani powiedziała gdybym jej zaproponował układ?
- Słucham?
- Ze mną. Ale - dodał, widząc jej odruchowy gest protestu - wyłącznie w interesach! Pewnie zdążyła się pani zorientować, że zawsze znajdzie się kilku dobrych graczy; a im dłuższa podróż, tym gra na wyżym poziomie. Podczas tego rejsu pożegnamy naszych pasażerów za trzy dni, ale wie pani, jeśli podróżuje się regularnie, zaczyna się spotykać te same osoby - głównie ludzi interesu, jeżdżących tam i z powrotem w sprawach zawodowych. Z czasem taka grupa się konsoliduje, gra jest regularnie wznawiana i zaczyna przynosić naprawdę niezły dochód. Poza tym można oczywiście dawać lekcje, organizować turnieje i tak dalej.
- Tak - zgodziła się Erica. - Obie z matką dawałyśmy lekcje w nadmorskich hotelach.
- To wie pani dobrze, o czym mówię. W sumie jest to całkiem niezłe życie, zarabia się pieniądze robiąc to, co się lubi; ale chyba przekonała się pani, że na samotne kobiety czyhają pewne niebezpieczeństwa.
- Nie mogę panu odmówić racji.
- Wobec tego, co pani powie na moją propozycję? Erica zawahała się.
- Czy miał pan już kiedyś partnerów?
- Owszem. Miałem układ z pewnym znajomym, z którym obsługiwałem rejsy na Pacyfiku. Zatrzymywaliśmy się, dajmy na to, na Hawajach, gdzie przez parę miesięcy prowadziliśmy szkołę brydżową w jednym z hoteli, po czym wracaliśmy do San Francisco i cykl się powtarzał. Tylko niestety on się zakochał i postanowił osiedleć w Brisbane.
- Pan nie jest żonaty? Zaprzeczył ruchem głowy.
- I nigdy pan nie był?
- Nie. Czemu pani o to pyta?
- Pytam, ponieważ powiedział pan „wyłącznie w interesach”. Chciałabym znać własną pozycję.

- Bardzo rozsądnie. Więc jeśli pyta mnie pani, czy miałbym ochotę rozszerzyć moje zainteresowanie pani osobą poza sferę wspólnych interesów, odpowiedź brzmi: nie. Nie jestem... - zawahał się - nie jestem człowiekiem uczuciowym.

Erica wróciła pamięcią do czasów, gdy podróżowała z rodzicami, przypominając sobie wrażenie, jakie zrobił na niej wówczas Mitchell

148

Harrowford. Widziała go zawsze przy stoliku karcianym: starannie wypielęgnowane ręce trzymały wachlarz kart, a ciemne oczy spokojnie obserwowały partnera - niekiedy była to kobieta, innym razem mężczyzna. Nie pamiętała, by kiedykolwiek gawędził, śmiał się czy flirtował z kobietą

To dobrze. Jeśli miała wejść w układ partnerski, nie życzyła sobie żadnych komplikacji emocjonalnych. Jej matka mogła snuć romantyczne wizje w których pewnego dnia pojawi się ten Jeden Jedyny, ale dla Eriki pamięć dni spędzonych z Bartem stanowiła barierę odgradzającą ją od innych mężczyzn.

Przybrała rzeczowy wyraz twarzy.

- Czego konkretnie dotyczyłoby nasze partnerstwo? Mitchell Harrowford roześmiał się.

- Gdzie się pani nauczyła używać takiego tonu? Mówi pani jak prezes spółki omawiający dostawę towarów.

- Mniejsza o mój ton. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Dobrze. Zyskuje pani ochronę.

- Ochronę!

- Przyznaję, że brzmi to jak z filmu o gangsterach - był nadal rozbawiony jej protekcyjnym tonem. - Ale zaraz powiem, o co mi chodzi: pokażemy wszystkim wokół, że jesteśmy parą. To panią ochroni przed kobieciarzami.

Termin „kobieciarz” wchodził właśnie w modę, zamiast wcześniejszego „lowelasa” . . .

- Czy to znaczy - chciała wiedzieć Erica - że po tym jednym doświadczeniu z pijanym Cookfieldem, które mnie wystraszyło...

- Erico . czy mogę mówić, Erico? Więc, Erico, to nie było wyjątkowe przeżycie, uwierz mi. Zobaczysz, o ile będzie ci wygodniej z kimś, kto usunie kobieciarzy z twojej drogi.

- Często się tym zajmujesz? Myślę o „usuwaniu ludzi.

- Żartujesz chyba. Muszę dbać o ręce. Ale mówiąc poważnie, mężczyźni nie zaczepiają na ogół kobiety, jeśli wiedzą, że ktoś za nią stoi. Wiem co mówię, byłem dziesiątki razy świadkiem takich scen. Na statkach

wycieczkowych, w hotelach nadmorskich, w nocnych klubach. Pewni mężczyźni uważają, że kobieta bez partnera pokazuje się wyłącznie w jednym celu. Ze mną będziesz bezpieczniejsza.

- Rozumiem. Czyli ty będziesz moim ochroniarzem i to jest moj zysk. A co ty zyskujesz?

- Dola z tego, co wygrasz przy stoliku brydżowym.

- I na tym polega twoja idea partnerstwa? Mam dzielić się z tobą moimi wygranymi? - Erica była oburzona.

- Hej poczekaj! - znowu się roześmiał. - Wiem, że twój ojciec był wielkim biznesmenem, a ty coś po nim odziedziczyłaś: bezbłędnie znajdujesz słaby punkt. Ale czy powiedziałem, że zabiorę część twoich pieniędzy, a ty nie dostaniesz części moich?

205

Erica zmarszczyła brwi.

- A nie powiedziałaś?

- Pewnie, że nie. Proponuję ci, żebyśmy zbierali nasze wygrane razem i dzielili je po równo.

Erica wyprostowała się.

- Łącznie z twoimi wygranymi w pokera?

Mitchell, zachwycony tym pomysłem, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem; po czym, nie przestając się śmiać, dał znak kelnerowi.

- Napijmy się szampana - powiedział, uspokajając się powoli. - Myślę, że mamy co świętować. Proszę butelkę Kruga - zdecydował, a kiedy kelner odszedł pospiesznie, zwrócił się ku Ericie: - Posłuchaj, skarbie, zachwyca mnie twoja bezpośredniość. Ale dzielimy tylko te pieniądze, do których oboje mamy prawo. Więc póki nie zdecydujesz się zabrać do pokera i nie zaczniesz ogrywać innych, nasza umowa dotyczy tylko brydża.

Erica spodziewała się podobnej odpowiedzi, wygrane w pokerze bywały bardzo wysokie. Nie miała żadnego prawa do tych pieniędzy. A ponieważ także nie miała zamiaru zgłębiać kiedykolwiek tajników pokera, wzruszyła ramionami i uznała sprawę za zakończoną.

Gdy kelner przyniósł butelkę szampana w srebrnym kubelku z lodem, przeszli się do omawiania finansów. Erica zorientowała się, że ich wygrane przy stoliku brydżowym były mniej więcej równe. Mitchell wygrywał na ogół nieco większe kwoty, ale grał rzadziej niż Erica, ponieważ kończył dzień na partiach pokera, gdzie stawki były bardzo wysokie. Erica natomiast pozostawała przy stoliku brydżowym, gdzie znów późniejszym wieczorem odbywały się sesje z poważnymi graczami, gotowymi dowieść swoich talentów podwyższając stawki. Erica wygrywała, niekiedy też przegrywała, ale ogólnie biorąc miała całkiem niezłe dochody. Jednakże jako partnerzy mogli bezsprzecznie zarobić o wiele więcej, zwłaszcza występując razem w turniejach.

- No tak, ale turnieje odbywają się z reguły na lądzie - zauważyła Erica. - Musielibyśmy więc trzymać się razem również po zejściu z pokładu.

- Czemu nie?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, po powrocie z Europy będę musiała odwiedzić moją matkę. Nie mogę krążyć z miejsca na miejsce, odwiedzając kolejno, powiedzmy, Saratoga Springs i Atlantic City.

- W porządku; umawiamy się, że po przyjeździe do Ameryki pracujemy na własny rachunek. Ale podróżujemy razem i podczas rejsów trzymamy się również razem, aż do następnego powrotu. Zgoda?
- Ale kto decyduje o wyborze statków?

207

- Myślę, że to powinno należeć do mnie, Erico. Mam większe doświadczenie.
- Konkretnie jakie?
- Właściwie zajmowałem się tym przez całe życie. - Widząc, że Erica czeka na dalszy ciąg, Mitchell dorzucił: - Nie opowiem ci historii mojego życia, jest nieciekawa. Wiedz, że zacząłem grać w karty jeszcze w dzieciństwie, a zarabiać w ten sposób, kiedy tylko nauczyłem się, jak to robić.
- Zawsze uczciwie?
- Mniej więcej.
- Nie chcę być zamieszana w żadne nieuczciwe kombinacje. Zawsze pogardzałam szulerami.

Kiwnął głową.

- Ja też, ale kiedy brakuje pieniędzy na chleb, czasem jest się zmuszonym schować zasady do kieszeni^Chcę ci powiedzieć, że zrobiłem to zaledwie kilkakrotnie, wyłącznie w sytuacji krytycznej, a po raz ostatni, kiedy miałem dwadzieścia lat, rozumiesz?

Po dłuższym wahaniu Erica przytaknęła:

- Tak. Rozumiem.
- Więc jesteśmy partnerami?
- Tak.

Mitchell wyjął butelkę szampana z lodu i otworzywszy ją zręcznie, napelnił kieliszki. Gdy odstawiał ją do kubelka, lód trzasnął lekko, jakby na wiwat.

Mitchell podniósł swój kieliszek.

- Za nas oboje.
- Za nas, Mitchell.

Erica zwróciła się do niego po raz pierwszy po imieniu. Był to znaczący krok naprzód w ich wzajemnych stosunkach, ważniejszy od zawartej umowy, czy wzniesionego szampanem toastu.

Zaakceptowała go jako partnera i przyjaciela. Wiedziała, że ma pewne wady, przyznawał się do nich otwarcie: utrzymywał się z własnych zdolności i osobistej zręczności, zdarzało mu się w przeszłości

oszukiwać, podchodził do życia chłodno i z wyrachowaniem. Gdyby miała wybrać sobie partnera wedle własnego uznania, szukałaby zapewne kogoś zupełnie innego. Ale los zesłał jej Mitchella Harrowforda. Po latach opieki nad matką, podejmowania decyzji i utrzymywania ich obu, będzie wreszcie mogła odetchnąć swobodniej. Miała kogoś, kto pomoże jej w trudnej chwili. Może nie tego Jednego Jedynego, ale jednak kogoś. *Providence* zawiąła do Cherbourga. Czekać na rejs powrotny, Erica i Mitchell zatrzymali się w hotelu Heloise. Kiedy stanęli w recepcji, Ericę ogarnęła panika, ale Mitchell poprosił o dwa pojedyncze pokoje. - Połączone pokoje, monsieur? - spytał recepcjonista, obrzucając ich wymownym spojrzeniem.

151

- Nie, nie zależy nam na tym - odparł Mitchell.

A więc nie żywił wobec niej żadnych zamiarów. Wszystko było w porządku.

Droga powrotna była znacznie przyjemniejsza od rejsu zachód--wschód. Lista pasażerów zawierała co prawda równie wiele nazwisk ludzi bogatych i sławnych, ale jakoś znacznie łatwiej było sobie z nimi poradzić. Erica musiała przyznać, że mężczyzna u boku jest niezwykle pożyteczną instytucją, zwłaszcza gdy podróżuje się w towarzystwie kochliwych Francuzów.

Co więcej, zarobili całkiem dużo pieniędzy. Erica zauważyła, że tym razem, zamiast wycofać się w zaciszny róg palarni, by grać w pokera, Mitchell brał udział w późnowieczornych partiach brydża.

- Zrobiłeś dobry uczynek - stwierdziła, kiedy dokonywali podziału dochodów. *Providence* kończyła rejs powrotny, mijając właśnie Statuę Wolności.

- Gdzie tam. Nie trafili się po prostu poważni pokerzyści. Ale nie licz, że tak będzie za każdym razem.

Zgodzili się już wcześniej, że Mitchell wybierze następny statek. Upowiedział, że myśli o dłuższej podróży i teraz przeglądali razem listy rejsów.

- Co powiesz na *Verdoną*!

- *Verdona*... - spojrzała na dół kolumny, gdzie zatrzymał się jego palec. - Singapur i Hongkong via Southampton?

- Tak. W Southampton wsiądzie mnóstwo brytyjskich wyższych urzędników płynących na Wschód - powiedział Mitchell swoim chłodnym tonem, w którym kryła się nutka rozbawienia. - To najgorliwsi brydżyci. Więc co ty na to?

- Hm... dobrze. - Statek odpływał za dwa tygodnie, co oznaczało, że będzie miała dużo czasu, by polecieć z Nowego Jorku do Nassau i z powrotem. - Co masz zamiar robić w tym czasie?

- W Nowym Jorku można zawsze grać w pokera. Nie będę tracić czasu.

- Nie miałbyś ochoty polecieć ze mną do Nassau?

- Po co?

- Żeby odwiedzić moją matkę.

Popatrzył na nią, wykrzywiając się zabawnie.

- A co pomyśli twoja mama, kiedy pojawisz się z mężczyzną, którego chcesz jej przedstawić?

- O... - nie zastanawiała się nad tym. - Trudno, mniejsza z tym. Chociaż i tak nie mogę sobie wyobrazić, co ona powie.

Amy nie ociągała się z wyrażeniem swojej opinii.

- Rozumiem, że wygodniej pracuje się ze współnikiem - powiedziała

210

tonem pełnym powątpiewania - ale doprawdy... czy nie ma w tym nic niewłaściwego?

- Absolutnie nic - odparła Erica trochę zirytowana. - To jest partnerstwo w interesach.

- Tylko czy inni pasażerowie tak to odbierają?

- A cóż mnie oni obchodzą?

- Erico, kochanie, mów, co chcesz, ale żadnej kobiecie nigdy nie wyszło na dobre narażenie na szwank reputacji. Wiesz... gdyby pojawił się na twojej drodze jakiś sympatyczny młody człowiek, mógłby pomyśleć...

Co by sobie na przykład pomyślał ten miły Hobart Crosley?

- Mamo, nie odzywał się już od wielu miesięcy. Więc to naprawdę nieistotne, tak uważasz?

- Czy ten... ten wasz układ jest umową na stałe?

- Któż to może przewidzieć? Kiedyś myślałam, że wyjdę za Geralda Colberta i będę szczęśliwa. To też miało być na stałe, ale nic z tego nie wyszło.

Pani Tregarvon zaczęła poruszać wachlarzem z liści palmowych. Milczała. Czula się zmęczona, wieczory w Nassau były gorące, a Erica i tak nie posłucha głosu rozsądku. Amy mogła mieć tylko nadzieję, że ten niestosowny układ skończy się równie szybko, jak się zaczął.

Erica powróciła do Nowego Jorku, spotkała się ze swoim partnerem i popłynęła na Daleki Wschód na pokładzie *Verdony*. Stamtąd oboje wyruszyli przez Pacyfik do San Francisco, a następnie na Hawaje i wreszcie - z powrotem do Europy.

W czasie końcowego etapu podróży z Francji do Ameryki, Mitchell Harrowford zaproponował Ericie małżeństwo.

- To sensowne wyjście - zauważył. - Zmniejszyłyby się nasze wydatki. Moglibyśmy zajmować jedną kabinę na statku czy jeden pokój hotelowy...

- „Gdzie wyżywi się jedno, wyżywi się i dwoje”? - zacytowała Erica.

- Nigdy mi to nie przemawiało do przekonania - przyznał Mitchell -ale para może żyć taniej, niż dwoje samotnych ludzi.

Siedzieli w zacisznym saloniku na *Providence*, gdzie zwykle chronili się pasażerowie pragnący napisać list lub po prostu odpocząć. Światło było przyćmione, skupione na stołach i fotelach. Ogromny krzew kwitnącej azalii

oddzielał ich od pozostałych osób. Było tu przyjemnie, w przeciwieństwie do ponurego, grudniowego dnia na zewnątrz. Była zima 1936 roku. Świat znajdował się wciąż jeszcze w szponach Wielkiego Kryzysu. Chaos zdawał się ogarniać wszystkie dziedziny życia. Sytuacja finansowa była nadal niepewna, polityczna tym bardziej. Wojna w Abisynii zakończyła się w maju, wraz ze zdobyciem przez faszystów włoskich Addis Abeby. Świat nie zdążył jeszcze wydać westchnienia ulgi, kiedy rozpoczęła się następna wojna, tym razem w Hiszpanii.

153

I jakby nie było dosyć - plotki na temat brytyjskiej rodziny panującej zataczały coraz szersze kręgi: cieszący się powszechnym uwielbieniem księżę, a obecnie król Edward VIII, zakochał się podobno w amerykańskiej rozwódce i, jak szeptano, domagał się, by po ślubie uznano ją oficjalnie za królową.

W świecie tak pełnym konfliktów i powikłań, pomysł Mitchella wydał się Ericie dziwny.

- Dlaczego proponujesz mi małżeństwo, Mitchell? - spytała.

- Wiesz, w ostatnich miesiącach nasze dochody wyraźnie się zmniejszyły.

- Wiedzieliśmy przecież, że może być lepiej i gorzej.

- Niby tak, ale... nastaly trudne czasy, Erico... przyszło mi do głowy, że może chciałabyś wyjść za mąż, to znaczy być mężatką.

- Ale dlaczego? - Naprawdę nie rozumiała. To Mitchell ustalił od początku, że ich związek ma mieć charakter czysto zawodowy.

- Słuchaj, wiesz pewnie, jak mężczyźni są skłonni plotkować... w barze, w palarni...

- Na jaki temat?

- Ostatnio o tej historii Edwarda i Wallis Simpson. Te dowcipy... Nagle pomyślałem sobie: czy kobiety zachowują się podobnie we własnym gronie? A jeśli tak... czy plotkują również o tobie?

- Mitchell! Więc martwisz się chyba, że może wyrażają się o mnie niezbyt pochlebnie?

- Nie lekceważ tego, Erico. Jeżeli kobiety zachowują się podobnie do mężczyzn, to wystarczy dziesięć minut, nie więcej, żeby zszargać czyjeś dobre imię. Dlatego pomyślałem, że może wolałabyś być mężatką?

Zastanawiała się przez chwilę. Pani Erica Harrowford. Chciała tego, czy też nie?

- A co by się wówczas zmieniło i jak? - zapytała ostrożnie. - To jest, chyba nie chcesz powiedzieć, że się we mnie zakochałeś?

Podniósł na nią wzrok. Przez długą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Wreszcie Mitchell potrząsnął głową, odwracając spojrzenie.

- Nie sądzę, żebym był w stanie się zakochać, Erico. Ale to jest zupełnie nieistotne. Myślałem o całej tej sprawie z twojego powodu. Jestem pewien, że w opinii większości żyjemy ze sobą. Niektórym jest to całkowicie obojętne, inni mają o tobie nie najlepsze pojęcie. Więc uważam, że nie ma najmniejszego powodu, żebyś była obiektem plotek i pomówień. Mogłabyś zostać moją żoną, co z miejsca ucięłoby wszystkie te domysły.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry, Mitchell.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, ale słowa Eriki były zupełnie szczerze. Był dla niej dobry. Wiedziała, że z usposobienia jest raczej samotnikiem. Odnosiła wrażenie, że nie jest zainteresowany seksem. Nigdy nie spojrzał pożądliwie w kierunku jakiegokolwiek kobiety, ani, by powiedzieć wprost,
213

jakiegokolwiek mężczyzny. Był zamknięty w sobie, nie odczuwał potrzeb żadnych intymnych związków. Z drugiej strony, potrafił być przyjacielem. Dla niej był nawet bardzo dobrym przyjacielem, czego dowiódł po raz kolejny ostatnią propozycją.

- Moglibyśmy wziąć ślub w Nowym Jorku. Zdaje się, chociaż nie jestem pewien, że trzeba zrobić przedtem badanie krwi.**
- Nie wiem, co ci odpowiedzieć, Mitchell.**
- Więc to przemyśl - powiedział.**

Erira przebudziła się w środku nocy. Przez chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje. Usiadła, wyciągając rękę, jakby spodziewała się kogoś dotknąć. Ale nikogo nie znalazła, nikogo nie dotknęła. Była zupełnie sama. Miała uczucie, że coś czy kogoś straciła. Jeszcze przed chwilą czuła się szczęśliwa, ogarniało ją ciepło i miłość. A teraz była przerażająco samotna.

Musiała śnić. Usiłowała przypomnieć sobie sen, jego sens i przesłanie. Ale już nie potrafiła.

Była sama. Jak zwykle. Więc co spowodowało, że kulila się w sobie, bronila przed samotnością, zalewającą ją zimną falą? Jeśli wyjdę za Mitchella, pomyślała, będzie obok mnie.

Ale czy tak się stanie? Czy jej miejsce jest naprawdę u boku Mitchella? Gotowa była oddać się bez reszty, by osiągnąć cudowne połączenie z drugim Gzłowikiem. Czy jednak Mitchell również tego pragnął? Czy był do tego zdolny? Czy chciał „należeć” do kogokolwiek - on, taki zamknięty w sobie, tak wyzuty z namiętności?

Pozostawało tak wiele wątpliwości...

Powróciła pamięcią do własnego wizerunku jako debiutantki. Była wówczas taka pewna siebie, tak przekonana, że wystarczy spotkać odpowiedniego mężczyznę, by wyjść za mąż i być szczęśliwą żoną do końca życia. Dezercja Geralda nie zabolala jej mocno, rozumiała teraz, że nie żywiła do niego żadnych głębszych uczuć.

Mogła też poślubić Timothy'ego, ale czuła, że jest to człowiek, któremu nigdy nie będzie umiała zaufać.

Mitchell był zupełnie inny. Wiedziała, że jest uczciwy. Darzyła go szacunkiem, przyjaźnią, choć nigdy nie żądał tego od niej i przypuszczalnie nie zadałby sobie trudu, by uczucie te odwzajemnić.

Szacunek, zaufanie, przyjaźń - ale czy to wystarczy? Czy zdoła uciec przed samotnością?

156

Nie chciała powracać myślą do Barta Crosleya. Szansa spotkania kogoś, z kim przeżyłaby podobne fizyczne uniesienie, praktycznie nie istniała. Kochała go żarliwie, bez reszty. Cierpiała, gdy się rozstali. Ale nie mogła porównywać wszystkich mężczyzn do Barta; nie pojawi się w jej życiu ktoś podobny. Gdzie mógł być teraz Bart? Żeglował po oceanach i wiódł swoje własne życie, żalując może rozstania, ale wiedząc równie dobrze, jak ona, że ich złoty sen się prześnił.

Powinnam poślubić Mitchella, perswadowała sobie. To naprawdę rozsądne wyjście. Jeżeli rzeczywiście jestem nieodrodną córką mojego ojca, powinnam zważyć wszystkie za i przeciw, tak jak on by to zrobił, a potem podjąć decyzję.

Ale, jak się okazało, ojciec podjął błędne decyzje. Koniec końców, myślał tylko o sobie. A ona musiała myśleć także o matce. Ciekawe, czy matka wyraziłaby aprobatę na wieść, że Erica została panią Harrowford.

Nie. Z pewnością nie. Ponieważ Amy Tregarvon wyszła za mąż z miłości. I mimo że późniejsze wypadki zdawały się z niej szydzić, a także na przekór ostatecznej zdradzie i dezercji, Amy Tregarvon nadal wierzyła w miłość. Prawda, chciała, żeby Erica przyjęła oświadczenia Timothy'ego, ale Amy wierzyła, że był on w Ericie skrycie zakochany od lat. Przeraziłoby ją zapewne oświadczenie Eriki: „Mitchell mnie nie kocha i ja go nie kocham, ale się pobieramy”.

Z drugiej jednak strony, dzięki temu małżeństwu zyskałyby opiekę, wsparcie i towarzysza życia w osobie Mitchella. A ona sama status kobiety zamężnej, co położyłoby kres jej dwuznacznej sytuacji.

Nie wiem, naprawdę nie wiem, powtarzała sobie w rozterce.

W końcu zamknęła oczy. Nie musi dawać Mitchellowi odpowiedzi natychmiast. Poczekaj więc, może przypomni sobie ten sen, a wraz z nim wróci zrozumienie, pewność, klarowne rozeznanie we własnym stanie ducha.

Następnego dnia Mitchell o nic nie pytał. Zrozumiała, że chce, by podjęła decyzję sama. Nazajruch mieli dopłynąć do Nowego Jorku.

Rankiem tego ostatniego dnia, 11 grudnia, gazeta pokładowa dostarczyła, jak zwykle, streszczenia wydarzeń z poprzedniej doby, zanotowanych przez radiotelegrafistę. Pijąc poranną herbatę, Erica otworzyła dziennik. Natychmiast rzucił jej się w oczy tytuł: „Król abdykuje”.

Abdykuje? Erica, zszokowana, pogrążyła się w lekturze. Wyglądało na to, że skandal, który był na ustach wszystkich, z wyjątkiem Brytyjczyków, miał się wreszcie zakończyć. Edward VIII przekazał sukcesję bratu, by poślubić kobietę, którą kochał. W poruszającym przemówieniu radiowym, które wygłosił poprzedniego dnia, zrzekał się wszelkich pretensji do tronu angielskiego.

Erica siedziała bez ruchu, zę wzrokiem wbitym w gazetę. Miała wrażenie, że odebrała przekaz, którego nikt inny by nie zrozumiał. Król zrezygnował z tronu z miłości.

A więc to był ten podstawowy warunek małżeństwa - miłość, która potrafi bez wahania i żalu zdecydować się na tak ogromne poświęcenie? W porównaniu z tym jej własne rozterki wydawały się małostkowe i prozaiczne. Jak mogła rozważać małżeństwo z Mitchellem, które miało opierać się wyłącznie na jej własnym pragnieniu, by nie być samotną.

Opuszczając kabinę, by rozpocząć nowy dzień, Erica wiedziała, że decyzja zapadła jakby poza nią. Powie Mitchellowi, że woli istniejący stan rzeczy, że ceni swoją niezależność i nie dba o opinię osób, które traktują ją jak kobietę o wątpliwej reputacji. Ale nie wyzna mu, że na jej postanowienie wpłynęła decyzja księcia Windsoru. Śmiałyby się z jej taniego romantyzmu. Może i była romantyczką, może w głębi duszy nie przestała marzyć, że pewnego dnia w jej życiu pojawi się znów miłość doskonała. Niezależnie jednak od przyczyn, postanowienie zostało powzięte: będzie partnerką, ale nie żoną Mitchella Harrowforda.

Mitchell zaakceptował jej decyzję niemal bez komentarzy.

- Pewnie masz rację - mruknął. - Nie jestem specjalnie dobrą partią.

- Ależ nie o to chodzi, Mitchell - Erica była niepocieszona, że tak to odebrał. - Przemyślałam swoją propozycję... długo myślałam. Ale w końcu zdecydowałam... zdecydowałam... - nie bardzo wiedziała, jak umotywić swoją decyzję, nie raniąc go. Nie chciała powiedzieć wprost: „nie kocham cię”, albo „takie małżeństwo jest związkiem pustym”. W końcu powiedziała: - Zdecydowałam, że cenię niezależność nawet, jeśli mnie naraża mnie to na brak szacunku.

- Rozumiem. - W jego tonie nie słychać było ani urazy, ani złości. -Dobrze, czyli pozostajemy przy istniejącym układzie. Co będziesz robiła po przyjeździe do Nowego Jorku, jeśli nie zamierzasz stanąć ze mną na ślubnym kobiercu?

- Muszę pojechać do matki, Mitchell. Przecież zbliża się Boże Narodzenie.

- Racja. A dokąd chciałabyś popłynąć po Nowym Roku?

- Zdaję się całkowicie na ciebie.

- Co byś powiedziała na podróż do Australii? A kiedy pogoda się poprawi, moglibyśmy zrobić następny rejs do Europy.

- Będzie, jak zechcesz.

- Jest tylko jedno. Jeśli wybierzemy trasę do Australii, będę grał dużo w pokera. Poza Chińczykami, Australijczycy to najbardziej zagorzali hazardziści na świecie.

- Oczywiście. W porządku.

Zrozumiała, co chciał powiedzieć: jej dochody będą mniejsze. Ale da sobie radę, bo w czasie długich podróży trafiała się prawie zawsze okazja do zorganizowania lekcji brydża.

Boże Narodzenie na Bahamach było dużym przeżyciem. Chociaż w dawnych, dobrych czasach Tregarvonowie często odwiedzali wyspy, jakoś nigdy nie zawitali tutaj w okresie świąt. Biali celebrowali Boże 217

Narodzenie w tradycyjny sposób: importowane choinki ubierane błyszczącymi ozdobami, śpiewano kolędy, a na ulicach roilo się od świętych Mikołajów, zbierających datki na biednych. Organizowano regaty gwiazdkowe - świątecznie przystrojone jachty wyruszały z New Providence wokół Hog Island i z powrotem, a w drodze bawiono się wesoło i hałaśliwie. Poza tym nie brakło przyjęć, balów i obowiązkowych papierowych kapeluszy.

Kolorowi mieszkańcy świętowali na swój sposób. W okresie przed-gwiazdkowym zaplatano grzywy koniom w zaprzęgach oraz wplatało wstążki w koła rowerów. Ale drugi dzień świąt był rodzajem próby generalnej przed Junkanoo. Teoretycznie była to chrześcijańska uroczystość, korowód symbolizujący podróż Trzech Króli. Ale głośnie dźwięki muzyki, rytm wybijany na bębnach, szeregi podrygujących tancerzy, zamaskowane postaci i krzykliwa jaskrawość kostiumów kojarzyły się raczej z jakimś afrykańskim obrzędem plemiennym. Tancerze wsypywali się do sklepów, hoteli i biur, rozrzucając płatki kwiatów, kolorowe muszelki, fałszywe papierowe banknoty - „dary” Trzech Króli. Obdarowywano ich w zamian napojami, ciastkami i prawdziwymi pieniędzmi. Roztańczony tłum wypełnił również hol hotelu British Colonial, wdarł się na schody, do sali balowej, gdzie odbywała się właśnie kolacja połączona z wieczorkiem tanecznym, a potem skierował z powrotem ku wyjściu, śpiewając i pozdrawiając wszystkich po drodze.

- Ależ narobili zgiełku - zauważyła trochę zdziwiona Erica.

- Są tacy spontaniczni - odparła Amy. - Trudno byłoby wyobrazić sobie tłum Anglików, zachowujących się w podobny sposób.

- Tak, to raczej niewyobrażalne.

Erica nie była równie zachwycona świąteczną paradą Junkanoo jak jej matka. Obawiała się, że nadmiar podniecenia i nadmiar alkoholu może doprowadzić do jakichś zamieszek. Ale tak się nie stało, prócz dudnienia bębnów, walenia w patelnie i trzaskania pokrywami od śmietników, oraz okazjonalnych fanfar na trąbkach, świąteczny wieczór minął spokojnie. Tym razem obawy Eriki okazały się bezpodstawne. Nie wiedziała, że kiedyś, w przyszłości, ujrzy tłumy z Nassau w dużo groźniejszym nastroju.

Rankiem Erica wybrała się na pożegnalny spacer przed odlotem do Miami. Było bardzo wcześnie, więc była zupełnie sama. Jednakże, gdy szła ścieżką prowadzącą wzdłuż plaży, miała dziwne uczucie, że ktoś porusza się równoległe z nią.

Przystanęła nasłuchując. Wyobraźnia musiała płatać jej figle, lub też było to echo kroków jednej ze sprzątaczek, spieszącej o świcie do dzielnicy handlowej, by uprzątnąć pozostałości Junkanoo. A może któryś z tancerzy wracał do domu po świątecznej nocy?

Erica stała patrząc, jak fale pienią się i rozbijają o różową rafę koralową. Wąskim przesmykiem pomiędzy przystanią a wyspą Hog posu-

159

wała się ostrożnie łódź rybacka. Jeden drobny błąd nawigatora, a kadłub zostałby rozcięty ostrym jak brzytwa grzbietem rafy koralowej. Nad łodzią unosiły się ptaki morskie, wyczekując chwili, gdy z pokładu zostaną wyrzucone resztki ryb. Co jakiś' czas olśniewająca biel skrzydeł rozjaśniała ciemną zielen lasu na wybrzeżu.

Miejsce o rzadkiej urodzie. Jej matka czuła się tutaj szczęśliwa. Nawet jeśli życie, które wiodła, odbiegało od ideału, zalety wysp były bezsporne -morskie powietrze i łagodny klimat, zbawienne dla jej dolegliwości oskrzelowych, spokój i życzliwość ludzi. Być może wiedziano, że jest opuszczoną żoną milionera-przestępcy, Lindona Tregarvona, ale w rozmowie z nią nikt nigdy nie zrobił najmniejszej aluzji na ten temat.

Nie, żeby w Nassau nie było plotkarzy - rozprawiano gorliwie o skandalach, opowiadano sobie nieustannie, kto składał komu nocne wizyty, czyj samochód parkował w miejscu, gdzie nie powinien się być znajdować, Który z graczy zabrnął w długi przerastające jego możliwości. Ale na ogół ludzie byli tu tolerancyjni. A Harry Oakes, teraz sir Harry, czuwał nad spokojem i bezpieczeństwem mieszkańców.

Jeżeli Timothy Perriman zamierzał znaleźć dla swoich przyjaciół gangsterów miejsce na otworzenie kasyna, z pewnością nie urzeczywistni swoich planów, póki sir Harry Oakes będzie miał jakiegokolwiek wpływu w Radzie Wykonawczej. Erica uśmiechnęła się do siebie, wzruszając jednocześnie ramionami. Timothy i jego przyjaciele... było w tym coś bardzo dziwnego. Timothy Perriman, taki konserwatywny, taki typowy Brytyjczyk... a teraz... chłopiec na posylki bandy pretensjonalnie wystrojonych gangsterów.

W tym właśnie momencie przyjaciel jednego z przyjaciół Timothy'ego siedział w kucki za krzakami szkarłatnej bugenwilli obrzeżającej plażę obserwując angielską damę. Nie miał pojęcia, w jakim celu zlecono mu to zadanie. Dostał instrukcje: mieć na nią oko, uważać co robi i z kim się spotyka. Lecz nie miał nic do przekazania. Życie panny Tregarvon było otwartą księgą. Spacery i rozmowy z matką, partie brydża w hotelu popołudniowe herbatki z ciasteczkami... Jeśli człowiek, który wysłał instrukcje, spodziewał się wiadomości, że panna Tregarvon ma kochanka, czekało go wielkie rozczarowanie.

Ale rozkaz był rozkazem. Mężczyzna podreptał więc za Ericą do hotelu i nie dał za wygraną, póki nie odjechała przed południem na lotnisko, by wsiąść do samolotu lecącego na kontynent.

Timothy czuł się pokrzepiony na duchu. Wszystko wskazywało na to, że pani Tregarvon rezyduje w Nassau, ponieważ dostała tam pracę, a Erica przyjeżdża po prostu w odwiedziny do matki. Żadna z nich nie próbowała nawet odszukać *Margravine*. Tym lepiej.

Erica, nieświadoma, że stanowi stały obiekt zainteresowania Perrimana, pojechała do San Francisco, skąd miała wyruszyć do Australii. Tym razem płynęli starym statkiem *Cavalier*, jednak wygodnym i stabilnym na morzu

160

zwłaszcza w okolicach Tahiti i wysp Tubuai, gdzie nie sposób ominąć silne prądy.

Ż początkiem maja, nie poświęcając wiele uwagi sytuacji politycznej w Europie, Erica i Mitchell wsiedli w Nowym Jorku na statek *Portland*, płynący do Kairu. Tam właśnie, w King David Hotel, zorganizowano tygodniowy turniej brydżowy. Oboje zostali zaszczytzeni zaproszeniem do wzięcia w nim udziału.

Nie pomyśleli, że w Hiszpanii szaleje wojna domowa, nie mieli zresztą zamiaru wysiadać tam na ląd. Co prawda *Portland* miał zarzucić kotwicę na redzie przed Bilbao w północnej Hiszpanii, w celu uzupełnienia zapasów i zabrania poczty, ale turyści zostali wcześniej pouczeni, by nie opuszczali statku. Dopiero na pokładzie po kilku dniach podróży, dowiedzieli się, że na północ od Bilbao w wyniku nalotów powietrznych zostały zniszczone farmy.

Naloty z powietrza? Rzecz po prostu niesłychana! Opowiadano co prawda jakieś niewiarygodne historie o Japończykach, zrzucających bomby na chińskie miasta w ubiegłym roku, ale - po pierwsze, nie można było wierzyć w nic, co się czytało na temat Chin, a po drugie - to się działo tak daleko. Lecz bombowce nad Europą?

Na szczęście pasażerowie *Portlandu* nie mieli się czego obawiać. Nie będą zawijali do Bilbao, więc nie poniosą najmniejszego ryzyka uwikłania się w toczące się tam walki.

Rozumowanie okazało się jednak błędne. Niemiecki pilot bombowca zmienił nieoczekiwanie losy pasażerów i załogi wycieczkowego statku *Portland*.

Nie zamierzał bombardować maleńkiego obiektu, który dostrzegł na srebrzystej płaszczyźnie rozciągającego się pod nim morza. Ale, wyleciawszy z jednej z baz, utrzymywanych w Hiszpanii przez faszystowskich rebeliantów, znalazł się w trudnej sytuacji. Nie udało mu się zrzucić ani jednej bomby, zatoczył więc koło i powrócił, by spróbować ponownie, i został trafiony przez działo przeciwlotnicze sił rządowych. Uszkodzony statecznik spowodował problemy ,ze sterowaniem maszyną. Należało pozbyć się ładunku, by samolot mógł wrócić do bazy we Włoszech.

Pilot pociągnął za dźwignię na tablicy rozdzielczej. Sześć bomb runęło z wyciem w dół.

Był poranek zapowiadający upalny dzień. Tu i ówdzie drobne pasma mgły skręcały się spiralnie nad powierzchnią wody. Erica pływała w basenie kąpielowym na statku, co należało do jej porannego rytuału. Nie usłyszała dwóch pierwszych eksplozji. Poczula je jednak, jakby dwie gigantyczne pięści uderzyły w wodę. Zatrzymała się zdumiona pośrodku basenu. Dwa następne potężne uderzenia. Silniejsze od poprzednich - a potem statek zaczął niebezpiecznie dygotać. Erica ściągnęła czepek i nasłuchiwała.

11 - Nieodrodna córka

161

Chwilę później dostrzegła ze zdumieniem, że woda w basenie zmienia kierunek. Erica zaczęła płynąć energicznie, próbując się oddalić od pochylającego się w dół brzegu, ale przekonała się prędko, że siła wody spychają, jak potężna fala. Przedarła się jakoś do bocznej krawędzi basenu, podciągnęła i wydostała na górę. Usiłowała stanąć, ale zachwiała się i zatoczyła; wyłożony kafelkami brzeg basenu miał przechył trzydziestu stopni. Leżak, o który chciała się oprzeć, przewrócił się, pociągając ją za sobą. Zjechała po pochyłości, kalecząc gołe nogi o kafelki, uszkodzone przez fale wstrząsowe.

Wszystko to trwało zaledwie chwilę. Usłyszała następne dwie eksplozje - odbiły się drzeniem, które przeszło przez statek i jej własne ciało. Potężne strumienie wody przewaliły się z hukiem za oszklonymi drzwiami pomieszczenia, w którym znajdował się basen, jeden niemal dokładnie wzdłuż ściany, drugi w kierunku rufy. Co się działo? Co to było? Fala przyływu? Trzęsienie ziemi?

Woda z basenu zaczęła przelewać się przez krawędź, jak wino z karafki. Uderzyła o ścianę z szyb, odbiła się, chlustając do tyłu, po czym spiętrzyła w trójkątny staw. Statek kładł się na boku. Teraz cała woda zebrała się w zagłębieniu utworzonym z podłogi i szklanej ściany. Wreszcie, na oczach przerażonej i zafascynowanej Eriki, szkło pękło pod naporem wody, która natychmiast przelała się na zewnątrz.

Erica trzymała się poręczy przy schodkach prowadzących do płytszego krańca basenu. Oparła się o nią całym ciężarem, dźwignęła się i wyprostowała, aż zdołała chwycić za klamkę w ścianie oszklonego pomieszczenia. Miała trudności z ich otwarciem, wykrzywiły się i tarły o futrynę. Przechył przekroczył już trzydzieści stopni.

Wielki Boże, pomyślała Erica, ten statek tonie!

Rzuciła się biegiem w korytarz. Poczula zapach dymu i kurzu, pył oblepiał jej wilgotne ciało. Ze wszystkich stron dochodził zgiełk i krzyki.

Basen mieścił się nad lukiem bagażowym w tylnej części statku. Korytarz prowadził do salonu i schodów, wiodących w dół, do kabin. Pasażerowie, wciąż jeszcze w nocnych strojach, wspinali się po przechylonych schodach, biegli wzdłuż pokładu, wysypywali się z sali jadalnej, z kabin umieszczonych w przedniej części kadłuba, z salonu gier. Wszędzie pełno było pyłu, piasku, zwęglonych papierów, odłamków drewna, kawałków strzaskanego szkła, wszędzie wdzierał się swąd palących się chemikaliów.

„Trafil nas!” „Pasażerowie proszeni są do wyznaczonych miejsc przy szalupach!” „Proszę mnie przepuścić!” „Gdzie jest Johnny?” Zgiełk głosów, a ponad nimi wycie syren alarmowych i przenikliwe gwizdki oficerów.

Ktoś chwycił Ericę za ramię, gdy przepychała się przez tłum.

- Tam nie można iść! Woda wciągnie...

- Ale muszę! Muszę! - wyrwała się i sunęła do przodu.

162

Najpierw musi się ubrać. Miała na sobie tylko zielony kostium kąpielowy. A potem musi znaleźć Mitchella.

Jej kabina była czwarta z brzegu. Na szczęście przypięła klucz do ramiączka kostiumu, zwyczaj, który matka wpoila jej od dzieciństwa. Przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi.

Wszystko w kabinie pospadało, przewróciło się lub pochyliło. Dotarła do szafy, złapała sukienkę, płaszcz, buty.

Torebka? Zamknęła ją w szufladzie. Ale nie mogła znaleźć klucza do szuflady. Zostawiła go na popielniczce, a ta została pogrzebana gdzieś pod przewróconym biurkiem.

Przez chwilę rozglądała się oszolomiona, starając się odnaleźć klucz. Jej mózg odmówił posłuszeństwa. Nagle wzrok pochwycił błysk czegoś srebrnego. Rzuciła się w tym kierunku, by złowić szczotkę w srebrnej oprawie.

Zaciskała na niej palce, gdy drzwi się nagle otworzyły.

Mitchell wpadł do środka jednym susem.

- Prędko! Co ty wyprawiasz! Do szalupy...

- Nie mogę znaleźć torebki.

- Do diabła z torebką!

- Mitchell, co się dzieje?

- Toniemy i tyle.

- Uderzyliśmy w coś?

- Coś uderzyło w nas - pociągnął ją mocno za rękę.

Uszu Eriki dobiegł dziwny dźwięk, jakby głucho dudnienie przedzierające się przez tupot nóg po pokładzie i krzyków.

- Co to jest?

- Wszystko jedno, uciekajmy stąd, ale już!

Zdażyła jeszcze chwycić płaszcz i buty, nim wypadli na korytarz. Wszędzie była woda - przelewała się spod drzwi kabin po przeciwnej stronie.

To był właśnie ten dudniący pomruk - odgłos wody wpadającej potokami w otwarte drzwi po stronie lewej burty, zalewającej kabiny i bary, porywającej stolki i stoliki, walącej o ściany i drzwi.

Spojrzała na Mitchella przerażona, ale on był skupiony na przytrzymywaniu ich obojga, by nie porwał ich szalejący potok. Welniany sweter i spodnie, spod których wystawała piżama wskazywały, że katastrofa zastała go w łóżku.

Wiedział jednak od pierwszej chwili, co się stało. Powiedział „toniemy”. Teraz Erica nie miała wątpliwości, że to prawda. *Portland* tonął. I to całkiem szybko. Szedł na dno, a przez dwie dziury wlewała się woda.

Dwie pierwsze bomby wpadły w morze po prawej burcie, dwie następne trafiły w śródokręcie, dwie ostatnie uderzyły w wodę od strony lewej burty. To właśnie one były przyczyną runięcia na statek dwóch słupów wody, które widziała Erica. Wody basenu przekazały jej wibracje powstałe w wyniku uderzenia kolejnych bomb. Ale nadal nie rozumiała, co się właściwie stało.

224

Słyszała teraz, jak cały statek gnie się i trzeszczy, przechylając się coraz mocniej. Gdy brnęli, zataczając się, po pochyłym korytarzu, dobiegał ich co jakiś czas głośny trzask: większe przedmioty i urządzenia, wyrwane z grodzi, uderzały z hukiem o pokład, by następnie zjechać po jego pochyłości.

Schody były obłożone. Nikt jednak nie rozpychał się i nie przeciskał, najpewniej jeden z oficerów pilnował porządku u szczytu schodów. Kilkoro dzieci powędrowało ponad głowami tłumu, przekazywane z rąk do rąk, by zająć miejsce w pierwszej szalupie. Jedno z nich płakało rozpaczliwie, drugie wyglądało, jakby bawiło się w wesołym miasteczku.

A *Portland* pogrążał się coraz głębiej w wodę, nadal przechylony na lewą burtę.

- Włóż płaszcz - polecił Mitchell. - Trzęsiesz się.

Nawet tego nie zauważyła. Dopiero teraz zobaczyła, że jej skóra zsiniała z zimna. Pomógł jej ubrać się w płaszcz, podtrzymując, kiedy usiłowała włożyć pantofle na wilgotne stopy.

W minutę później znaleźli się na szczycie schodów.

- Wiecie, gdzie jest wasz punkt zbiórki przy szalupie?

- Tak.

- To postarajcie się tam dostać.

Ruszyli, ale łatwiej było wydać taki rozkaz, niż go wykonać. Musieli dotrzeć do lewej burty, w pobliżu rufy.

Cała lewa strona statku była teraz bardzo nisko, pokład wystawał niewiele ponad poziom wody. Nawet posuwając się na czworakach nie zdołaliby się tam dostać.

Cała ich grupa zatrzymała się, ludzie byli przerażeni, zdezorientowani. Przed sobą widzieli mundur jednego z oficerów. Wykrzykiwał jakieś polecenia, których nie słyszeli. Ale coś pokazywał, a jego nagły gest mógł oznaczać tylko: „naprzód, szybciej!” Na morzu, w pewnym oddaleniu od *Portlandu*, podskakiwały i kołysały się na falach kutry i łodzie rybackie, które przyplłynęły z Bilbao na pomoc.

- Musimy dojść do relingu, skoczyć, a oni nas wyłowią! - podawano sobie z ust do ust. Mitchell popchnął Ericę w kierunku krawędzi pokładu. Poniżej, w odległości jakichś czterdziestu jardów, czekała niewielka łódź.

- Skacz! - krzyknął Mitchell.

- Ty też.

- Już, zaraz. Na miłość boską, skacz!

Zrobiła, jak kazał. Mitchell pomógł jej i podtrzymał, kiedy odwracała, by nabrać powietrza przed skokiem.

W następnej chwili już szybowała w dół.

Woda uderzyła ją lodowato zimnym ciosem. Pogrążyła się w nią i wieki minęły, zanim kopiąc i machając rękami, zdołała się wydostać na powierzchnię. Zacerpnąwszy tchu, obróciła głowę i spojrzała w stronę *Portlandu*. Mitchell wspinał się właśnie na reling.

226

Wypluła słoną wodę krzyknęła:

- Skacz! Skacz!

Nie było czasu do stracenia. Teraz, kilka jardów od statku, widziała, że tonie: reling wystawał niewiele ponad powierzchnię wody, a kadłub pogrążał się i pogrążał, zstępując do swego morskiego grobu.

Mitchell był gotów do skoku. W momencie, kiedy się odbijał, jedna z ławek stojących zwykle na pomoście spacerowym zjechała po pochyłości i spadła wprost na niego. Zmiotła go z relingu, szybując z nim w powietrzu i grzebiąc go pod sobą, gdy uderzyli razem w wodę.

- Boże! - krzyknęła Erica, nie wiedząc nawet, czy woła na głos, czy we własnych myślach.

Rzuciła się w jego kierunku. Gdzie z tyłu ktoś wołał po hiszpańsku:

- Nie, nie, wracaj, tam jest niebezpiecznie!

Nie zwróciła najmniejszej uwagi na ostrzeżenie, jakby go nie słyszała. Drewniana ławka, unosila się na powierzchni. A Mitchell był pod nią, uwięziony. Wydawał się nieruchomy.

- Mitchell! Odepchnij ją!

Nie poruszył się. Był nieprzytomny.

Nie namyślając się ani chwili, Erica zanurkowała. Wypłynęła obok Mitchella. Zamierzała odepchnąć ławkę w bok, ale ta okazała się zdumiewająco ciężka.

Uniosła głowę Mitchella, utrzymując ją ponad powierzchnią wody. W chwilę później coś zaczęło ją ciągnąć. Bosak. Obejmowała Mitchella jednym ramieniem, drugą ręką pchając ławkę ku górze, podczas gdy bosak ciągnął ją w bok. Powoli jeden koniec ławki zaczął się unosić i wreszcie Mitchell został uwolniony. Pociągnęła go w dół, pod wodę, przepłynęła z nim razem kilka jardów i wydobyła ich na powierzchnię.

Byli wolni. Ławka dryfowała z prądem w kierunku statku. Zbliżała się do nich łódź. Erica podniosła rękę, próbując dać jakiś znak, ale jej ramię uderzyło tylko bezwładnie o wodę. Wyczerpała cały zapas sił.

Czuła, że unoszą ją jakieś szorstkie ręce, słyszała głosy nad swoją głową:

- *Despacio, despacio, hay tambien un hombre.*

Na jakiś czas ogarnęło ją dziwne odrętwienie. Przykryto ją kocem. Dobiegły ją niezrozumiane słowa. Coś ciężkiego zostało wciągnięte na pokład. Po chwili: skrzypienie wiosel w dulkach, ruch, zapachy portu, dymu z węgla drzewnego, smoły, ryb, wysoki krzyk mew, szczęk łańcuchów i haków, stłumiony odgłos silnika.

- Senorita, proszę zrobić krok... postawić nogę o, tutaj... pomogę pani...

Erica otrząsnęła się z apatii. Wstała, gdy pomocna dłoń chwyciła ją za łokieć. Posłuszna jak dziecko, szykowała się do zejścia na nabrzeże. Wtem zatrzymała się w pół kroku.

- Mitchell?

165

- *S u hombre.* - Ktoś ponaglił ją lekkim pchnięciem. - Wszystko będzie dobrze, seniorita. Proszę wyjść na ląd, zaraz go przeniesiemy.

Wygramoliła się na brzeg. Nabrzeże portowe Bilbao pełne było jakichś obcych ludzi, siedzących na skrzyniach i pakach.

Nadjeżdżały karetki. Na ich widok Erica zaczęła się gorączkowo rozglądać za Mitchellem. Musi znaleźć się dla niego miejsce w karetce. W wodzie był nieprzytomny.

Właśnie go wynoszono. Podbiegła, żeby dotknąć choćby jego ręki, ale jeden z wioślarzy odsunął Ericę na bok.

- Ostrożnie, seniorita, on jest ranny.

- Mitchell! Mitchell!

Ale jego usta nie poruszyły się, by jej odpowiedzieć, powieki pozostały szczelnie zamknięte.

- Mitchell, słyszysz mnie?

Nic. Erica zwróciła się do mężczyzn, którzy ostrożnie nieśli go w stronę czekających ambulansów.

- Co mu się stało? Co z nim jest?

- Nie wiemy, seniorita. Lekarze powiedzą.

Dwaj sanitariusze przenieśli nieruchomą postać na nosze szpitalne, które następnie wsunęli do karetki. Erica poruszyła się, jakby chciała wsiąść za nimi.

- Nie, seniorita, nie...

- Kiedy muszę!

Zalano ją falą wyjaśnień po hiszpańsku. W pierwszej chwili słyszała tylko niezrozumiały zgiełk, później uświadomiła sobie, że jeśli tylko uda jej się skupić myśli, będzie mogła zrozumieć i odpowiedzieć.

- Miejsca w karetce potrzebne są dla rannych, seniorita. Czy pani jest ranna? Nie? W takim razie musi pani iść do kościoła. Rozumie pani? Tam, do kościoła. Siostry zaopiekują się panią.

- Ale gdzie go wieziecie? Nie zabierajcie go!

- Musimy, seniorita. Czy to pani mąż? - spojrzenie na jej lewą rękę. -Nie. Więc może narzeczonny? Jak on się nazywa?

- Mitchell Harrowford.

- Proszę to tutaj napisać, o, na tej kartce.

Wzięła ołówek w palce, które odmawiały jej posłuszeństwa i napisała niezdarnie nazwisko Mitchella na jego wizytówce; sanitariusze przyczepili ją do guzika jego piżamy.

- Pozwólcie mi z nim pojechać...

- Niemożliwe. Proszę zgłosić się później. Seniorita, proszę się odsunąć, utrudnia nam pani pracę.

Zdała sobie sprawę, że zachowuje się samolubnie i bezmyślnie. Inni ranni czekali na załadowanie do karetki.

Cofnęła się o kilka kroków. Gdy sanitariusze zatrzaskiwali drzwi, zawołała:

- *Donde? Dicame, donde va?*

166

- *Hospital, el centro comercial, avenida Bajarego.*

Zadawała wciąż nowe pytania, ale tylne drzwi karetki zamknęły się i samochód odjechał.

Grupa pasażerek ruszyła w stronę wysokiej wieży kościelnej. Jedna z nich, partnerka od brydża, wzięła Ericę za rękę.

- Tędy, moja droga.

Poszła więc za nimi, bo nic innego nie mogła zrobić.

W kościele ochotniczki i siostry z zakonu św. Mariny rozdawały gorące napoje i suche ubrania kobietom uratowanym z katastrofy. Życzliwe ręce pomogły Ericę oswobodzić się z mokrego płaszcza. Widok jej skąpego kostiumu wywołał czyjś okrzyk, stłumiony w następnej chwili. Po zdjęciu płaszcza wręczono jej ogrzany ręcznik, którym mogła wytrzeć się do sucha.

Włożyła na siebie okropną płócienną bieliznę z zapasów klasztornych, a potem dostała do wyboru za dużą o cztery numery wzorzystą sukienkę oraz podniszczoną bluzkę i spódnicę. Wybrała bluzkę i spódnicę, ubrała się, wkładając na koniec ociekające wodą własne buty.

Wśród zgromadzonych krążyła kobieta w średnim wieku, z notatnikiem i ołówkiem w ręku. Zadawała pytania, na które jedyną odpowiedzią było zdziwienie i brak zrozumienia. Wreszcie weszła na krzesło i zaczęła wykrzykiwać niezrozumiałe słowa.

- Co ona mówi?

- Nie wiem. Coś o *habla espanol*. Kobieta szukała tłumaczki.

- *Hablo espanol, yo* - zawołała Erica.

Później niemal tego żałowała, bo zatrzymano ją w kościele na długie godziny. Ale nie mogła odmówić pomocy kobietom, pytającym z lękiem o mężów i dzieci; a potem zapragnęła zrobić jeszcze więcej, gdy dowiedziała się, że pięciu ludzi zginęło na statku, trzech utonęło w morzu, a jedenastu nadal nie odnaleziono.

W południe rozdano zupę i chleb. Wkrótce potem pojawili się przedstawiciele konsulatów: Anglicy, Amerykanie, Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Niemcy. Dopiero wtedy Erica dowiedziała się, że *Portland* zatonął w wyniku zbombardowania.

- Ale dlaczego? Przecież *Portland* był pasażerskim statkiem neutralnym.

- Nie wiemy. Możliwe, że nigdy się nie dowiemy - powiedział konsul brytyjski, Jack Mesonero. - To był prawdopodobnie niemiecki bombowiec wysłany z bazy we Włoszech.

- Niemiec? Jak to?

- Mussolini udziela pomocy swoim wojennym sprzymierzeńcom. Podobno eskadra niemiecka atakuje z powietrza hiszpańskie siły rządowe. W ten sposób popierają generała Franco, który zamierza opanować północno-wschodnią Hiszpanię.

230

- Ale... przecież... przecież nie wolno robić takich rzeczy. Dlaczego ktoś ich nie powstrzyma?
 - Tylko kogo powstrzymać? - spytał Mesonero, zaciągając się swoim cigarillo. - Niemcy twierdzą, że taka eskadra nie istnieje, Włosi zapewniają, że nie udostępni nikomu lotnisk, a rząd hiszpański nie ma środków na wysłanie samolotów bojowych do obrony swojej przestrzeni powietrznej... Nic nie jest w stanie powstrzymać ataku bombowego.
 - Ależ to jest absolutnie niewybaczalne! Twierdzi pan, że samoloty mogą sobie po prostu przylecieć i rzucać bomby na ludność cywilną? -zawołała Erica.
 - Hm... widzi pani, Franco nie uważa ludności cywilnej w północnej Hiszpanii za niewinną - wyjaśnił Mesonero z cynicznym uśmiechem. -Stawiają mu opór. Więc jest zirytowany.
 - Nie ma w tym nic zabawnego!
 - Słusznie. A w dodatku, rząd brytyjski wystosował już protest do Włoch, Niemiec i dowództwa falangistów. Ale to także nie da rezultatów. Wszyscy oni zapewnią, że nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.
 - Przecież zabili co najmniej ośmiu niewinnych ludzi.
 - Zabili znacznie więcej. Dziś o świcie praktycznie zrównali z ziemią miasto Guernica.
- Erica nie była w stanie się odezwać. Po chwili konsul podjął:
- Nie sądzę, żeby dostali państwo kiedykolwiek jakąś rekompensatę za to, co zginęło na statku. Jeśli chodzi o pani obecną sytuację, to cóż, dam pani trochę pieniędzy, ale rozumie pani chyba, że Bilbao jest oblegane. Nic tu nie można kupić, a pieniądze wkrótce stracą wartość.
 - Co chce pan przez to powiedzieć?
 - Kiedy oddziały Franco przejmą miasto...
 - Przejmą? Chyba do tego nie dojdzie? Przecież rząd z pewnością zdoła utrzymać...
- Mesonero potrząsnął głową.
- Nikt tego nie mówi wprost, ale wszyscy wiedzą, że siły rządowe nie są w stanie niczego utrzymać. Franco za sobą ma prawie całą armię. Republika dysponuje zaledwie kilkoma kompaniami żołnierzy i pewną liczbą cudzoziemskich ochotników. To stracona sprawa.
- Erica nie chciała mu wierzyć. Nie miała pojęcia o polityce, ale pragnęła, by ci życzliwi ludzie nie zostali pobici. Niestety okazało się, że Mesonero miał rację. W dwa miesiące później, 18 czerwca 1937 roku, siły generała Franco ruszyły do ataku na Bilbao.

W tym czasie Mitchell opuścił już szpital, choć nie dlatego, że wrócił całkowicie do zdrowia; po prostu szpital wciąż potrzebował łóżek dla rannych. W Hiszpanii toczyła się wojna.

232

Konsul amerykański dostarczył niezbędnych funduszy. Mitchellowi wynajęto pokój w hotelu, zresztą inny niż ten, w którym mieszkała Erica. Była z tego nawet zadowolona, bo hotel Cristal nie należał do najwygodniejszych. Niestety Rosario okazał się niewiele lepszy. Oba mieściły się na Starym Mieście, na prawym brzegu rzeki Nervion i oba były stare i zdewastowane.

Rządy brytyjskie i amerykańskie niewiele mogły pomóc - konsulaty nie były w stanie zapewnić musiały więc radzić sobie same. Jedno przynajmniej okazało się błogosławieństwem: pokój Mitchella w Rosario był na pierwszym piętrze. W hotelu nie było windy, a on chodził z trudem.

Lekarze nie bardzo chcieli rozmawiać z Ericą na temat stanu zdrowia Michella. Nie była jego krewną ani żoną, ani nawet narzeczoną, a obcym lekarze nie udzielają informacji. Musieli jednak zmienić zdanie, kiedy okoliczności stały się naglące i trzeba było zwolnić go ze szpitala. Ktoś musiał wziąć za niego odpowiedzialność. Seniorita Tregarvon wydawała się jedyną osobą, która skłonna była się tego podjąć.

- *Bueno*, więc były pewne obrażenia kręgosłupa, poniżej miejsca, które pani nazwałaby nasadą karku, tak? - Widząc wyraz twarzy Eriki, doktor Assunto dorzucił pośpiesznie: - Nie, nie, nie mówię o złamaniu karku, ale dwa kręgi są pęknięte, pani rozumie, kręgi?

- Tak. Proszę, niech pan mówi dalej.

. - To spowodowało nacisk na nerwy. Pojmuje pani, obecnie sygnały z mózgu przekazywane nerwom są jakby przerywane. Senior Mitchell wysyła sygnał do swoich nóg, ale nerwy go nie przekazują. I stąd bierze się lekkie powłóczenie nogami przy chodzeniu oraz zmęczenie, bo trzeba wielkiego wysiłku, żeby zmusić nogi do chodzenia, kiedy sygnały są bardzo słabe.

- Czy jego stan się polepszy?

- O tak, z czasem - odparł doktor Assunto na tyle optymistycznie, że Erica od razu wiedziała, jak powolna, a może nawet niepewna będzie ta poprawa.

- Poza tym to jest także przyczyną bólów głowy. Czy pani zwróciła uwagę, że senior Mitchell cierpi na napadowe bóle głowy?

- Owszem, ale sądziłam...

- To nie jest groźne, seniorita, potrzebuje wtedy spokoju i odpoczynku, no i oczywiście aspiryny.

- Rozumiem.

- Ale, seniorita Tregarvon, doznał również wewnętrznych obrażeń, rozumie pani. Zostały uszkodzone płuca. Ale przy odpoczynku i dobrym jedzeniu wszystko dojdzie do względnego stanu.

- Względnego? Co to znaczy względnego? - przerwała Erica.

- Pues, prawdopodobnie będzie mu brakowało tchu przy większym wysiłku. Jaki rodzaj pracy wykonywał senior Harrowford? Czy był aktywny fizycznie? Czy bardzo obciążał swój organizm?

169

- Wciąż używa pan czasu przeszłego - zauważyła Erica. - Czy chce pan powiedzieć, że senor Harrowford będzie inwalidą?

Doktor Assunto spuścił oczy, wpatrując się w papiery, rozłożone na biurku. Splótł ręce, następnie je rozplótł i podniósł powieki, napotykając spojrzenie Eriki.

- Senor Harrowford ma... *cuantos anos tienel...* ile lat?

- Czterdzieści dwa, zdaje się...

- Proszę mi wybaczyć niedyskrecję, ale czy on ma dość pieniędzy, żeby się wycofać z interesów po powrocie do kraju? To byłby dobry moment do przejścia na emeryturę.

Erica milczała przez chwilę.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie.

Dalsza część rozmowy dotyczyła konieczności stworzenia odpowiednich warunków rekonwalescencji, gdy senor Harrowford znajdzie się w kraju. Erica i doktor zastanawiali się, kiedy Mitchell będzie w dość dobrym stanie, by móc podróżować. Na razie i tak nikt nie mógł wyjechać z miasta bez pozwolenia dowódcy armii Franco. Ale zdaniem doktora Assunto, tego rodzaju pozwolenia będą wydawane obcokrajowcom.

Oboje wiedzieli, że pozwolenie nie jest w tej chwili najistotniejsze. Mitchell musiał odzyskać siły, przynajmniej w pewnej mierze. Nie było to łatwe w wojennych warunkach. „Dobre jedzenie”, zalecone przez doktora Assunto, było po prostu nieosiągalne, chyba że ktoś miał bezpośrednie kontakty z przemytnikami. Ale nawet wówczas potrzebne były pieniądze a kwoty przydzielane przez konsulaty były znikome i ledwie wystarczały na przeżycie, Erica miała co prawda małą rezerwę, ale postanowiła trzymać ją na czarną godzinę.

Gdy Mitchell został wypisany ze szpitala, odwiozła go do hotelu Rosario. Nie dostali karetki, bo wszystkie były potrzebne do przewożenia rannych. Konsul amerykański zmuszony był zapłacić za taksówkę bardzo wysoką sumę, ale wszystkie ceny były bardzo wysokie. Z pomocą właściciela hotelu, senora Carillo, Erica zaprowadziła Mitchella do pokoju: małego, podniszczonego, ale czystego. Z okna roztaczał się ładny widok; Mitchell spędzał długie godziny siedząc przy oknie i przyglądając się codziennemu życiu mieszkańców Starego Miasta.

Gdyby tylko mogła, Erica zamieszkałaby z Mitchellem. Ale rachunki hotelowe płacone były bezpośrednio przez konsulaty. Jack Mesonero wyglądał na zaszokowanego, kiedy powiedziała mu, że taniej byłoby opłacać jeden pokój.

- Przecież pani i pan Harrowford nie jesteście małżeństwem! Westchnęła.
- Nie da się temu zaprzeczyć.
- Naprawdę myślała pani o zamieszkaniu z mężczyzną, który nie jest pani mężem?

170

- Zgadzą się, że byłoby to trochę nietypowe, ale przecież żyjemy w nietypowych czasach...
- Nie mógłbym w żadnym razie przydzielić pieniędzy z moich funduszy na coś podobnego - oznajmił. - Ponadto senor Carillo nigdy by na to nie zezwolił.

Myśl o niezamężnej kobiecie mieszkającej z mężczyzną była dla niego nie do przyjęcia. Kościół to potępiał, potępiało społeczeństwo i zwykła ludzka przyzwoitość.

Skończyło się na tym, że Erica musiała zapłacić jednej z pokojówek, żeby zapewnić Mitchellowi choćby częściową opiekę. Senor Carillo przystał na to, ale za dziesięć procent od kwoty płaconej Consueli.

Powoli stan Mitchella zaczął się nieco poprawiać. W chwilach, gdy cichła strzelanina, chodził z Ericą nad rzekę Nervion czy na miejscowy targ, o ile kramarze mieli cokolwiek do zaoferowania.

Około dziesiątego czerwca stało się jasne, że nacjonałści zajęli obrzeża miasta na lewym brzegu rzeki. W jej ujściu dwa niszczyciele blokowały port, ponieważ marynarka hiszpańska przeszła na stronę Franco. Erica nie mogła zrozumieć tych układów politycznych. W książkach historycznych termin „nacjonałści” oznaczał rząd, a „epublikańcami” byli ludzie, którzy próbowali go obalić, ponieważ na jego czele stał jakiś despota. Tutaj natomiast, w północnej Hiszpanii, „nacjonałści” byli buntownikami, wywodzącymi się po większej części z armii, a „republikańcy” reprezentowali oficjalny rząd.

W mieście nie widziało się prawie mężczyzn; wszyscy byli na barykadach, usiłując powstrzymać ataki oblegających. Nieprzyjacielska artyleria nie ustawała w natarciu. Świsł pocisków w powietrzu, huk tych, które trafiały w cel, trzask pękających ścian stanowiły tło dla dzwonów alarmowych, wycia syren i pisku opon pędzących karettek szpitalnych.

- Mamy szczęście, że ulokowano nas na Starym Mieście - zauważył Mitchell, gdy siedzieli w przerobionej na schron piwnicy hotelowej, sącząc wolno z kieliszków bardzo marne, ale za to bardzo drogie wino.

- Tak, Franco musi być głównie zainteresowany zdobyciem nowej części miasta, z tymi wszystkimi fabrykami, i tak dalej - Erica zamilkła na chwilę, po czym spytała: - Jak myślisz, jaki los nas czeka, kiedy *Nationalistas* tu dotrą?

- Sądę, że nie stanie nam się nic złego. Franco już się naraził wielu rządów. Nie będzie chciał pogarszać swojej sytuacji, źle traktując cudzoziemców/ - Na ustach Mitchella pojawił się cień uśmiechu, lekkie drgnięcie wąskich warg w wychudłej twarzy. - Trochę się to wszystko różni od luksusów w Kairze, co? Przykro mi, Erico.

- Boże drogi, przecież to nie twoja wina! Nikt nie mógł przewidzieć, że statek pasażerski zostanie zbombardowany.

- Nie tylko o to chodzi. Wiem dobrze, że jestem dla ciebie ciężarem.

- Głupstwa opowiadasz - odparła tonem nauczycielki besztającej ucznia. - Trzeba ci po prostu trochę czasu, żebyś odzyskał formę.

236

- Czy rzeczywiście tylko tego mi trzeba? - westchnął Mitchell. - Zastanawiam się. Wczoraj próbowałem ułożyć pasjansa z dwóch talii, Erico, a kiedy uparcie nie szedł, sprawdziłem ustawienie kart i, wyobraź sobie, okazało się, że zrobiłem błąd w czwartym rzędzie.

- Ach, Mitch, przecież każdy może się pomylić!

- Kiedyś mi się to nie zdarzało. Kiedyś pamiętałem każdą kartę. Ale teraz już nie potrafię się skoncentrować.

- Mój kochany, przecież to wróci.

Ale wcale nie była pewna. Mitchell Harrowford, ten który opuścił szpital, nie był tym samym pewnym siebie i niezależnym człowiekiem, który wypłynął z nią z Nowego Jorku. Nie potrafiła przewidzieć, czy kiedykolwiek stanie się znów sobą.

W ciągu następnych tygodni oddziały nieprzyjacielskie zdobywały kolejno ulicę po ulicy w dzielnicy przemysłowej. Okręty wojenne bombardowały ujście rzeki, aby udaremnić małym statkom przewóz ludzi czy zaopatrzenia. Stare Miasto znalazło się również pod ostrzałem, grupy obrony cywilnej pracowały bez przerwy, rozkopując gruzy zwalonych budynków, w poszukiwaniu ofiar. Żywności prawie nie było, ograniczono dostawy wody do picia, elektryczność pojawiała się sporadycznie, a telefony przestały działać.

Wedle wieści przekazywanych z ust do ust *Natio-nalistas* opanowali nową część miasta.

Toteż niemal z ulgą powitano ciężarówki pełne żołnierzy, przejeżdżające hałaśliwie przez mosty prowadzące do Starego Miasta. W tej dzielnicy nie toczono walk z dachów, mężczyźni ukryli broń i zdjęli opaski wojskowe, a niektórym udało się uciec do kraju Basków.

Frankiści zeskoczyli z ciężarówek. Sierżanci sformowali plutony, które odmaszerowały, by pilnować miasta.

Walka była skończona. Bilbao upadło.

Przez kilka dni Erica i Mitch nie ruszali się ze swoich hoteli, posłuszni rozkazom powtarzanym przez głośniki zamontowane na samochodach. Nie mogli porozumieć się ze sobą. 26 czerwca zniesiono niektóre ograniczenia - ludność Bilbao mogła udać się do kościoła.

Erica pobiegła brukowanymi kostką ulicami do hotelu Rosario. W wąskim hallu spotkała ją Consuela, pokojówka opiekująca się Mitchem.

Wszystko jest w porządku, seniorita, ale szykuje się nieszczęście!

- O czym ty mówisz, Consuelo?

- *Insurgentes* szukają naszych bojowników, słyszała pani może? - Jej ciemne oczy pałały oburzeniem.

Erica kiwnęła głową.

- Podobno im doniesiono, że w tej dzielnicy ukrywa ktoś z Brygady Międzynarodowej.
- Naprawdę się ukrywa?
- Senorita! Donosiciel miał na myśli senora Harrowforda! Wie pani, że w *Brigada* jest wielu *Americanos*. Ta żmija chce zarobić! Senor Harrowford jest *Americano*, wobec tego musi być *brigadista*.

172

Ericę przeszedł lodowaty dreszcz.

- Consuelo! Kim jest ten donosiciel?
- Bóg jeden wie i mam nadzieję, że go pokarze. Na szczęście *insurgentes* mają teraz mnóstwo pracy z ładowaniem stali i opon samochodowych do pociągów. Nie poświęcili na razie wiele czasu na sprawdzanie donosów.
- A kiedy się tym zajmą?
- Kto wie?
- Musimy wywieźć senora, Consuelo.
- Zgadzam się z panią. Im szybciej, tym lepiej.
- Ale jak?

Consuela westchnęła i przeżegnała się.

- Bóg pani pomoże - powiedziała.

Erica poszła na górę. Mitch czekał na nią na progu pokoju.

- Słyszałem twój głos na dole. O Boże, Erico, myślałem, że już nigdy nie zniosą tego zakazu wychodzenia!
- Jak się miewasz? Consuela mówiła, że nie miałeś żadnych problemów.
- Nie. A co u ciebie?
- Aresztowali kogoś wczoraj dwa domy od nas. Wyglądało groźnie. -Wzruszyła ramionami. - Przeszukali również Cristal, ale bez skutków.
- Musimy stąd wyjechać - powiedział Mitchell marszcząc brwi i potrząsając głową. - To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie.
- W tej chwili, mój miły, to nie jest odpowiednie miejsce dla nikogo, *insurgentes* będą chcieli wziąć odwet na Bilbao. Ale my się spakujemy i zabierzemy stąd, kiedy tylko zdołam to zorganizować.
- Jak sądzisz, ile potrzebujesz czasu?
- Nie wiem - odpowiedziała. - Niewiele.

- Domyślam się, że będą nam potrzebne pozwolenia na podróż.

- Franco raczej nie będzie chciał żywić darmozjadów.

Okazało się, że Erica miała rację. Franco nie zamierzał marnować żywności na Bilbao. A co do niewinnych cudzoziemców, to mogli wyjeżdżać bez przeszkód, pod warunkiem, że nie wsiądą do pociągu ani na statek, bo te były mu potrzebne do przewozu zaopatrzenia dla własnych oddziałów.

- Będziemy musieli pojechać samochodem - stwierdziła Erica.

- Samochodem? Nie mamy samochodu.

- Zdobęde.

- Za co?

Erica uśmiechnęła się.

- Pamiętasz ten płaszcz, który miałam na sobie, kiedy skoczyłam ze statku?

- Owszem, ale nie mów mi, że uda ci się go zamienić na samochód. Nawet angielska wena nie jest aż tyle warta. - Uśmiechał się i Erica poczuła przypływ radości, bo ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej.

- W kieszeni płaszcza był naszyjnik ze złota.
- Erico!
- Pamiętam nawet, w jaki sposób się tam znalazł. Któregoś wieczoru schowałam go do kieszeni, bo zaczął o koronkę sukienki.

Sięgnęła ręką pod kołnierz taniej bluzki, którą nosiła, i wyciągnęła naszyjnik.

- Chcesz powiedzieć, że nie zginął?
- Zdaje się, że zaczął o podszewkę w kieszeni. Mówiłam ci, że zameczek zahacza o ubranie. Znalazły go siostry z kościoła, kiedy suszyły mój płaszcz, i pomyśl tylko, te anielskie istoty po prostu mi go oddały.
- Wygląda, jakby był wart dobre parę kawalków - powiedział Mitchell, dotykając ciężkich ogniw łańcucha.
- To jedna z niewielu pamiątek z czasów bogactwa i luksusu - potwierdziła Erica, tłumiąc westchnienie. - Osiemnastokaratowe złoto. Mam zamiar odczepić kilka ogniw i wymienić je na samochód.

Rzucił jej pełne powątpiewania.

- Myślisz, że ktokolwiek zechce sprzedać samochód?
- Tak, na pewno, ponieważ nikt prócz *Nationalistas* nie ma już benzyny.
- To wspaniale, więc kupisz samochód bez paliwa.
- Zdobę i benzynę, na *mercato nero*, za następne ogniwo łańcucha. Nie potrzebujemy dużo, Mitch, tylko tyle, żeby dostać się do Francji.
- Czy *Nationalistas* nie zabrali jeszcze wszystkich prywatnych samochodów?
- Nie, jeszcze nie - odparła Erica z lekkim grymasem. - Ale pewnie zrobią to lada chwila, więc musimy się pośpieszyć.

Widziała, że Mitch nie przejawiał zbytniego entuzjazmu na myśl

o wyjeździe. Czuł się zmęczony. A ponieważ nie wiedział o niebezpieczeństwie, jakie mu zagraża, nie widział powodu, by się spieszyć.

- Jesteś pewna, że nie narobisz sobie kłopotów? - spytał. - Czy wolno sprzedawać i kupować środki transportu? Pewnie są jakieś przepisy...
- Mitchellu Harrowford, czy masz zamiar tkwić tu jak kukła, podczas gdy te aroganckie draby panoszą się wszędzie i robią wszystko, żeby zatruć nam życie? Chcesz narobić kłopotów takim ludziom, jak senor Carillo i Consuela, którzy mają dość własnych trosk?

Ale nie dodała: I którzy mogą znaleźć się w więzieniu, jeśli padnie na nich podejrzenie o przechowywanie *brigadista*.

- Oczywiście, że nie chcę.

- Więc wyjedźmy.

Chociaż był tylko trochę przekonany, pozwolił jej działać. Prawdę mówiąc, Erica chciała opuścić Bilbao z paru powodów. Mitchell zaczynał znów tracić siły z braku odpowiedniego jedzenia i opieki lekarskiej.

Musiała go jak najszybciej wywieźć.

Znalezienie samochodu zajęło jej dwa dni. Wytargowanie się z właśc-

241

cicielem zabrało następny dzień. Z benzyną były poważne kłopoty, ale pod koniec pierwszego tygodnia lipca miała jej tyle, by dojechać do Irun.

W międzyczasie konsulowie załatwili im tymczasowe paszporty. *Commandante del distrito* wydał przepustki na podróż, ważne za okazaniem paszportów i listów uwierzytelniających. Szóstego lipca, w trzy tygodnie po wkroczeniu *insurgentes*, Erica Tregarvon i Mitchell Harrowford opuścili miasto.

Zmierzali ku granicy francuskiej i cywilizacji.

12

Uprzedzano Ericę, że drogi prowadzące do północnej granicy kraju będą trudno przejezdne i pełne uchodźców. Nikt jej natomiast nie powiedział - bo też nikt o tym nie wiedział - że wojska rządowe podjęły kontratak na nacjonalistów w okolicach Brunetę.

Po wyjeździe z Bilbao wielokrotnie zatrzymywani przez patrole drogowe - najpierw przez nacjonalistów, którzy sprawdzili papiery i skierowali ich na boczną drogę, ponieważ główny przejazd był zarezerwowany dla wojska. Następnie jechali przez ziemię niczyją. Niekiedy migaly im postaci mężczyzn walczących na zboczach okolicznych wzgórz. Przy wielu skrzyżowaniach dróg widzieli zainstalowane gniazda karabinów maszynowych. Ruch cywilny był dozwolony, natomiast zatrzymywano wszystkie pojazdy, które choć w przybliżeniu kojarzyły się z transportem wojskowym. Kwestią przypadku było, na kogo się trafi przy przeszukiwaniu: czasem był to patrol nacjonalistów, kiedy indziej republikanie. .

Stopniowo nacjonałiści pojawiali się coraz rzadziej. Najprawdopodobniej wjechali na teren zajęty przez republikanów. Wśród pól stały opustoszałe farmy, z obór dochodziło ryczenie nie wydojonych krów.

Erica zamierzała kierować się kolejnymi drogowskazami - Durango -Deva - San Sebastian - Irun, lecz na bocznych drogach było niewiele znaków, same drogi były nie tylko zatłoczone, ale miejscami zablokowane. Stromymi górskimi ścieżkami schodziły do podnóży wzniesień całe rodziny - pieszo, na wozach, na osiołkach, wlokąc za sobą krowy, niosąc kosze pełne kur. Ludzie próbowali ratować co się da, by przeżyć.

Erica zaproponowała miejsce w samochodzie rodzinie siedzącej na skraju drogi. Nie była w stanie się z nimi porozumieć, ponieważ mówili w nie znanym jej dialekcie, lecz z wymownych gestów i rozpacz w oczach nietrudno było pojąć, że cała wioska została zniszczona. Ruszyli wolno na północ, w kierunku granicy.

176

Wreszcie dotarli do punktu kontrolnego przy drodze, która wyglądała na główną trasę przejazdową w tym rejonie i która łączyła się następnie z drogą Pamplona-Bayonne. Stanęli w długiej kolejce. Niektórzy z czekających mówili po hiszpańsku. To była granica z Francją - ziemia opanowana przez republikanów, można było przejechać tędy do Francji. Ale nieprędko. Nie było innej rady, jak czekać.

Dzień zbliżył się ku końcowi, nadeszła noc. Posterunek graniczny zamknięto, bo nie było światła.

Ubogie domostwa pobliskiej wioski były już od dawna zarekwirowane przez wojsko. Ludzie na drodze powoli układali się do snu, niektórzy otulali się w koce pod drzewami, inni wciskali pod wozy, szukając schronienia przed drobnym deszczem, jeszcze inni znajdowali osłonę pod głazem czy krzakiem.

Samochód, który kupiła Erica, był wiekowym citroenem, wyprodukowanym około 1926 roku. Być może u zarania swego żywota stanowił przedmiot dumy jakiegoś drobnego biznesmena. Potem został zaadaptowany przez handlarza win, następnie przerobiony ponownie na osobowy, ktoś nawet wyciął dziurę w dachu dla ochłody w letnie upały, później służył sklepikarzowi do przewozu jarzyn i owoców, by wreszcie stać się własnością trzech robotników z fabryki, których dowoził do pracy.

Erica umościła się do snu na tylnym siedzeniu, dzieląc je z matką baskijskiej rodziny. Dzieci zostały umieszczone na przednim. Babka odwiązała od klamki płócienną plachtę, służącą za prowizoryczny dach i przykrywszy się nią, zadowolona ułożyła się do snu. Mitchellowi zaofiarowano miejsce w naprędcie skleconym namiocie.

W świetle wczesnego poranka kolejka zaczęła się znów wolno posuwać do przodu. Erica zbudziła się z ostrym bólem karku i uczuciem niezwyklej suchości w ustach. Dzieci siedziały w oczekiwaniu na śniadanie. Babka rozpałała ogień i przyniosła w zniszczonym czajniku wodę na kawę.

Urządzeń sanitarnych ani możliwości umycia się po prostu nie było. Oczekujący w kolejce znikali za pobliskimi drzewami na chwilę prywatności, po czym ochlapywali się w wąskim strumieniu. Kiedy Erica wróciła do baskijskiej rodziny, śniadanie było gotowe: lurowata kawa i czerstwy chleb, co jednakże powitano z radością. Po chwili przykuśtykał do nich Mitch, podpierając się kijem służącym mu za laskę. Wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, że miał za sobą bardzo złą noc.

Około jedenastej rano rachityczny samochód Eriki dotarł do bramy granicznej. Mitch w towarzystwie dwojga dzieci wysiadł, żeby rozprostować nogi. Baskijski sierżant wziął od Eriki i Mitcha paszporty i przepustki, zezwalające na podróżowanie. Po chwili przywołał kolegę i stali obaj, konferując nad dokumentami.

- Masz ci los! - mruknęła Erica do Mitcha przez otwarte okno samochodu. - Czy coś się nie zgadza?

12 - Nieodrodna córka

177

- Kto wie? Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią.

W następnej chwili, ku zdumieniu Eriki, żołnierze serdecznie obejmowali Mitcha.

Mitch był zbyt dobrym pokerzystą, by cokolwiek po sobie pokazać. Uścisnął dłonie mężczyznom, uśmiechnął się, akceptując ich wylewność, gdy klepali go po plecach, ograniczył się do *No comprendo* w/ odpowiedzi na wszelkie pytania, wypił szklaneczkę palącego alkoholu, którym go poczęstowali, i został odprowadzony z honorami do samochodu.

- Do licha, co to była za komedia? - spytała Erica, kiedy odjechali.

- Zdaje się, że wzięli mnie za rannego bojownika amerykańskiego z Brygady Międzynarodowej. Nie wyprowadzałem ich z błędu.

- Boże drogi!

Erica zatrzymała się w pasie neutralnym pomiędzy posterunkiem baskijskim, a francuskim, by zaczekać na rodzinę baskijską. Ale czas mijał, a oni nie nadchodzili. Wreszcie matka dzieci spojrzała w kierunku Citroëna, podniosła rękę w pożegnalnym geście i odwracając się, zgromadziła rodzinę, by poprowadzić ją z powrotem drogą, którą przybyli.

- Jak to, nie przepuszczą ich? - zawołała Erica, gotowa wysiąść i zacząć przekonywać strażników.

- Nie rób tego - powiedział Mitch, zatrzymując ją.

- Ale Mitch...

- Nie mają żadnych dokumentów, Erico. Nawet gdyby republikanie ich przepuścili, Francuzi nie zechcą ich przyjąć.

- Ale...

- Nie martw się - pocieszył ją widząc, jak się przejmuje - założę się, że zrobią ze dwie mile i przejdą granicę na dziko.

- Tak sądzisz?

Zmarszczył brwi. Widać było, że ból rozsada mu głowę.

- Nie możemy im pomóc, naprawdę. Jedź.

Miał niewątpliwie rację. Erica ruszyła z ociąganiem i po niedługiej chwili znów czekali, tym razem przed posterunkiem francuskim.

Zabrano ich dokumenty, nad którymi raz jeszcze odbyła się debata. Ale tym razem nie było entuzjastycznej reakcji. Przeciwnie, sierżant poszedł do swego gabinetu, żeby zatelefonować.

- *Il y a un probleme?* - spytała Erica kaprala, który ich pilnował.

- *Bien sur. La France ne veut pas de brigadistas.*

A więc to, co działało na ich korzyść po stronie baskijskiej, tutaj okazało się obciążające. „Francja nie życzy sobie *brigadistas*” - zabijaków, opuszczających własny kraj, żeby walczyć w obronie komunistycznego reżimu.

Po krótkiej rozmowie telefonicznej, powrócił sierżant. Poleciał, by udali się za nim do niewielkiego baraku, gdzie kilka ławek, stół oraz krzesło stanowiły umeblowanie prowizorycznego biura przesłuchań. Jego pytania dotyczyły osoby i działalności Mitcha.

- Jest pan *brigadista*

178

- Nie, jestem turystą.

- Turystą? Zwiedzającym teatr wojny?

- To przypadek. Nie mieliśmy zamiaru zatrzymywać się w Bilbao.

- Walczył pan w Bilbao?

- Nie, nie jestem żołnierzem.

- Ale chodzi pan z laską. Był pan ranny?

- Tak, zdarzyło się to na statku pasażerskim *Portland*, który został zbombardowany w maju, niedaleko ujścia rzeki w Bilbao. Sierżant skojarzył nazwę statku.

- Aa, *Portland*... A mademoiselle? Czy pani również była pasażerką?

- Tak, panie sierżancie.

Nastąpiła krótka przerwa w przesłuchaniu. Sierżant konferował z kapralem, Erica pochwyciła słowa „dywersant” i „szpieg”. Strażnicy graniczni zostali prawdopodobnie uprzedzeni, żeby nie wpuszczać podżegaczy i szpiegów.

- To idiotyczne - powiedział Mitch do Eriki przez zaciśnięte zęby. -Nacjoniści nie pozwoliliby nam wyjechać z Bilbao, gdyby podejrzewali, że jesteśmy republikańskimi szpiegami.

- Wiem, wiem... ci biedacy po prostu boją się, żeby nie popełnić błędu.

- Wobec tego będziemy musieli pomóc im w podjęciu decyzji. Nie należy dopuścić, by przeciwnik nabrał pewności - zawyrokował mistrz gry w brydża, Mitch.

Tak więc, gdy żołnierze zwrócili się ku nim, od razu zasugerował:

- Messieurs, mogą panowie skontaktować się z brytyjskim i amerykańskim konsulem w Bilbao, którzy poświadczą autentyczność naszych dokumentów.

- Nie możemy się połączyć z Bilbao - odparł sierżant. - Republikanie przecięli linie telefoniczne, przygotowując się do kontrataku.

- Aha... Ale może pan zatelefonować na przykład do Biarritz? Albo nawet do Paryża?

- Hm... można by spróbować...

- Gdyby zechciał pan zatelefonować do Paryża i poprosić pańskich przełożonych, żeby skontaktowali się z paryskim przedstawicielstwem New England Shipping Line, dowiedzieliby się panowie, że nazwiska, mademoiselle Tregarvon oraz moje, figurowały na liście pasażerów *Portlandu*.

- Ale... raczej wątpliwe, żeby biuro paryskie miało taką listę.

- Messieurs, pięciu ludzi zginęło w katastrofie statku, a kilkunastu innych dotąd nie odnaleziono. Rodziny z pewnością czekają na informacje o zaginionych. Mogą panowie być pewni, że biuro paryskie ma taką listę. Sierżant był zdezorientowany i zafrasowany. Nie chciał stawiać przeszkód osobom, które mimo żalosego wyglądu mogły być przecież milionerami, bo któż inny pływa na statkach wycieczkowych? Z drugiej

246

strony, jeśli wpuści hiszpańskich *agents-provocateurs*, zostanie zdegradowany do rangi szeregowca.

- *Eh bien*, mamy kolejkę czekających na przejście przez granicę. Proszę usiąść i czekać. Przekażę telefoniczne pytanie do Paryża na temat *Portlandu*.

Nie przydzielono im strażnika, ale kiedy wyszli z baraku, jeden z żołnierzy kontyngentu granicznego miał ich pod obserwacją. W południe Erica poprosiła o coś do jedzenia i picia.

- Francuzi szanują ludzi, którzy szanują swoje żołądki - stwierdził Mitch.

Przyniesiono im jedzenie: bułkę, ser, małą karafkę wina. Erica chciała zapłacić, ale okazało się, że pieniądze hiszpańskiego rządu, a także waluta nacjonalistów zdążyły stracić już wartość.

- Proszę się nie przejmować, mademoiselle - powiedział młody szeregowiec, mrugając do Eriki. - Może mi pani zapłacić całusem.

Przez chwilę nie wiedziała, co zrobić. Ale żołnierz był właściwie jeszcze chłopcem, a z jego otwartej, pogodnej twarzy wyczytała, że nie miał niczego zdrożnego na myśli. Obdarzyła go więc siostrzanym pocałunkiem w policzek, a on puścił do niej oko i wyszedł.

Od tej chwili chłopak stał się przyjacielem. Informował ich o bieżących wydarzeniach. Sierżant Deneuve zatelefonował do kwatery głównej w Pau, a Pau miało się porozumieć z Paryżem. Komunikacja telefoniczna nie była łatwa, przy tym inne telefony miały pierwszeństwo: Paryż czuwał oczywiście nad wszystkim, co działo się na granicach - teraz, kiedy walki toczyły się tak blisko.

Młody szeregowiec zaofiarował się pożyczyć im coś do czytania dla zabicia czasu.

- Dziękuję, *Patrie* - powiedział Mitch - ale wolałbym dostać talię kart z mojej walizki.

- Karty do gry? Gra pan w karty?

- Jestem ich entuzjastą.

- Załatwię to.

Po półgodzinie chłopak powrócił z talią kart i przyglądał się z zainteresowaniem Mitchowi i Ericie, którzy rozpoczęli partię wista.

- *C'est le bridge!* - spytał.

- Nie, to wist. Interesujesz się brydżem?

- Ja nie, ale sierżant owszem. Gra z żoną, kiedy tylko ma chwilę czasu.

- Jest dobrym brydżystą?

Patrie patrzył z podziwem na bezbłędne ruchy Mitcha. Tasującego i rozdającego karty.

- Nie tak dobrym, jak pan - zaopiniował i wyszedł.

Zapadł wczesny wieczór. Posterunek graniczny zakończył urzędowanie. Patrie przyniósł kolację: parówki, pomidory, nieodłączną bułkę i wino.

- Co z telefonem do Paryża? - spytał Mitch.

248

- Wciąż nie ma odpowiedzi. I niestety chyba... rozumie pan... biuro okrętowe będzie już zamknięte aż do rana.

- Nie - powiedziała Erica, która miała za sobą długie lata doświadczeń - biura okrętowe mają zawsze nocną zmianę.

Patrie był zakłopotany.

- Tak, ale... chodzi o to, że tak czy owak biura rządowe są już nieczynne.

- Chcesz powiedzieć, że utknęliśmy tu na noc?

- Przykro mi, mademoiselle.

Kiedy wychodził, Erica zatrzymała go w drzwiach.

- Czy mógłbyś zdobyć trochę aspiryny dla mojego przyjaciela? -zapytała.

- Aspiryny?

- Ma bardzo silne bóle głowy, wywołane uszkodzeniem kręgosłupa.

- To chyba ma własną aspirynę?

- Sądzę, że zużył już cały zapas.

Patrie wrócił po jakimś czasie, żeby zabrać talerze. Przyniósł buteleczkę aspiryny i zaproszenie.

- Sierżant pyta, czy pan i pani zechcieliby zagrać w brydża?

- W brydża? - powtórzył Mitch.

- Tak, sierżant chętnie zagrałby, dla wprawy. Osobiście uważam, że jego żona jest lepsza od niego.

- Powiedz sierżantowi, że zagramy z wielką przyjemnością.

- Nie ma co przekazywać wiadomości. Jeżeli państwo są gotowi, to proszę za mną.

Zaprowadził ich z powrotem do gabinetu, w którym znajdował się telefon. Sierżant oczekiwał ich z niecierpliwością, był jednak trochę zakłopotany.

- Jestem wdzięczny, że wyświadczają mi państwo ten zaszczyt -powiedział uroczystym tonem. - Gram dopiero od niedawna. Mam nadzieję, że nie okażę się kompletnym dyletantem.

- A kto zagra jako czwarty?

- Szeregowiec, proszę powiedzieć kapralowi Seplet, żeby tutaj przyszedł.

Usiedli wokół biurka. Na blacie pojawiła się karafka wina, zapalono lampę oliwną, żeby rozjaśnić wczesny górski zmrok. Gra się rozpoczęła.

Była to jedna z najbardziej męczących partii brydża, jakie kiedykolwiek przyszło rozegrać Mitchowi i Erice. Sierżant Deneuve był niepewny i zbyt ostrożny, kapral Seplet wymagał ponaglania, a dwoje ekspertów pracowało ciężko, by nie ujawnić się ze swym mistrzowskim poziomem. I tylko to, że Mitch zmagił się z koszmarnym bólem głowy, uratowało ich przed zgarnięciem wszystkich lew.

Kiedy wybiła dziesiąta, kapral Seplet przypomniał sierżantowi, że nadszedł czas zmiany warty. Grali jeszcze przez następną godzinę, aż

181

wreszcie zmęczenie i znużenie były już nie do opanowania. Sierżant uściskał im dłonie i odprowadził osobiście do baraku przesłuchań.

- Przykro mi, że nie ma tu żadnych wygod - przeprosił, ogarniając wzrokiem wnętrze. Zatrzymał się w progu z lampką oliwną w ręku. - Każę przynieść poduszki i koce. To wszystko, co możemy ofiarować. Nie mamy... tu żadnych łóżek.

- W każdym razie dziękujemy panu.

- *Bonne nuit* - sierżant postawił lampę na stole i wyszedł. Chociaż teoretycznie powinno im być wygodniej, niż poprzedniej nocy,

byli przecież pod dachem, ani jedno, ani drugie prawie nie zmrużyło oka. Erka wiedziała, że Mitch cierpi, bo kręcił się nieustannie na swojej ławce, starając się ułożyć poduszki w możliwie wygodny sposób. Wreszcie koło drugiej nad ranem zrezygnował z dalszych prób, wstał, podszedł do okna i zaczął oglądać gwiazdy.

- Powinnaś spać - zauważył.

- Ty też.

- Nieważne. W pierwszym francuskim miasteczku, do którego dojedziemy, wynajmiemy pokój i prześpimy okrągłą dobę.

Stali tuż koło siebie, wyglądając przez okno baraku. Po chwili Mitch objął ją ramieniem. Tylko tyle, ale Erka poczuła, jak bardzo są sobie bliscy. Wreszcie świt rozjaśnił niebo nad górami.

Śniadanie przyniósł im jakiś nowy żołnierz.

- Gdzie jest Patrie?

- Zszedł ze służby.

- A co słyhać na posterunku?

- Nic specjalnego. Sierżant nadal czeka na odpowiedź z Paryża. Niestety, proszę pana. - Żołnierz podszedł do drzwi. - Może czegoś państwu potrzeba? Papierosy?

- Szczerze mówiąc, chciałbym się przede wszystkim ogolić i umyć zęby - Mitch spojrział na Erkę - a ty?

- O tak, ja także! Marzę o tym, żeby się umyć i uczesać. Szeregowiec zawahał się, a potem uśmiechnął porozumiewawczo.

- Zobaczą, co da się zrobić. Wrócił, kiedy kończyli chleb i kawę.

- Sierżant mówi, że mogą państwo skorzystać z urządzeń sanitarnych. Pozwolił Erice zabrać przybory toaletowe z podróźnej torby, znajdującej się w samochodzie. Patrząc na jej skromną zawartość, powiedział:

- Nie ma pani za wiele rzeczy, zresztą pan też nie.

- To nie z wyboru, ale z przymusu. I pan Harrowford, i ja straciliśmy wszystko, kiedy zatonął *Portland*. Żołnierz uśmiechnął się ze współczuciem, prowadząc ją do płóciennej zasłony, za którą stał prosty stół na skrzyżowanych nogach, a na nim miska z wodą i ręcznik. Dalej zwisała następna zasłona, skrywająca najwyraźniej latrynę.

251

Najtrudniejszą częścią toalety okazało się rozczesanie włosów. Nie mogąc sobie pozwolić w Bilbao na fryzjera, Erka zapuściła włosy, które teraz zamieniły się w splątany kołtun. Upłynęło немало czasu, zanim w końcu wynurzyła się zza zasłony. Wciąż było bardzo wcześnie, zaledwie kilka minut po siódmej.

Biura w Paryżu nie zaczynały pracy o takiej porze. A jednak sierżant stał przed drzwiami swojego biura, trzymając w ręku jej dokumenty.

- Możemy odjechać? - spytała zdziwiona.

- Tak, mademoiselle. Zdecydowałem wziąć sprawę w swoje ręce. Kto wie, jak długo przyszloby nam czekać na odpowiedź z Paryża?

- Wielkie dzięki, panie sierżancie!

- Jesteście wolni i możecie odjechać, kiedy tylko monsieur Harrowford skończy poranne ablucje.

- Jest pan bardzo dobry...

- Nie ma o czym mówić. Nie powinienem był was w ogóle podejrzewać - powiedział, a jego okrągła twarz poczerwieniała z zażenowania. - Politykom wyraźnie brak rozumu. Wydają instrukcje: „Bądźcie czujni”, „Uważajcie na szpiegów”. Głupstwa i absurdy.

- W naszym wypadku, owszem - Erka uśmiechnęła się do niego. - Ale skąd mógł pan wiedzieć?

- Byłem niepewny, to prawda. Ale wie pani, co monsieur Harrowford powiedział mi wczoraj wieczorem przy brydżu? Są chwile, kiedy trzeba zaryzykować. Zdecydowałem, że w waszej sprawie nie będę kierował się ostrożnością.

O siódmej trzydzieści oboje byli gotowi do wyjazdu.

- Powodzenia w brydżu, panie sierżancie - powiedziała Erka, gdy ruszyła, by za chwilę znaleźć się we Francji.

- Do widzenia, monsieur, do widzenia, mademoiselle. Życzę szczęścia.

Na drodze za posterunkiem, mimo wczesnej pory, panował tłok: ciężarówki z towarem, prywatne samochody, wozy konne, piesi oczekujący na wjazd do Hiszpanii. Wszyscy patrzyli ze zdziwieniem, jak bariera przy

posterunku granicznym uchyla się przed oficjalną godziną otwarcia, przepuszczając starego, zniszczonego citroena.

Erka jechała skrajem zatłoczonej drogi, aż wreszcie znaleźli się na otwartej przestrzeni. Przez jakiś czas byli jedynymi użytkownikami prawej strony drogi, która w końcu doprowadziła ich do głównej szosy. Teraz należało zdecydować, jaki wybrać kierunek.

- Dokąd jedziemy? - spytała Erka.

- Gdybyśmy przejeżdżali przez Irun, kierowalibyśmy się do Bayonne albo Hendaye, prawda? Nie wiem, jak to daleko. - Mitch rozejrzał się po zielonych polach sięgających aż do skalistych podnóży gór. - Co jest napisane na drogowskazie?

Erica wyteńczyła wzrok.

183

- Lourdes - odczytała. Mitch roześmiał się.
- To znak z nieba - zawyrokował. - Raj dla takich inwalidów jak ja. A więc kierunek: Lourdes.
W Lourdes dowiedzieli się, że w mieście nie ma konsulatów. Spędzili tam jedną noc, żeby odpocząć w schronisku dla pielgrzymów, każde w sypialni mieszczącej sześć łóżek. Następnego dnia zdecydowali, że najlepiej zrobią jadąc do Marsylii. Ponieważ benzyna w Citroenie skończyła się, sprzedali go za bezcen. Za pieniądze uzyskane za samochód kupili bilety na pociąg do Marsylii.
I tam właśnie Mitch, wyczerpany nie kończącą się podróżą, stracił przytomność.

13

Ericę przygniotło poczucie winy. Nie powinna posłuchać Consueli. W końcu udaloby się im jakoś wyplątać z oskarżeń. Istniały w końcu konsulaty.

Chociaż... słyszało się o doraźnych sądach i egzekucjach. Mogło się zdarzyć, że nie mieliby czasu na wyjaśnienia. Poza tym warunki w Bilbao były tragiczne: żywność w ilościach znikomych, ograniczone dostawy wody i prądu, godzina policyjna.

Ponadto nie spodziewała się, że droga do Francji będzie aż tak trudna.

Lekarze ze szpitala Sainte Vierge uspokajali ją i pocieszali.

- Uszkodzone płuca... a, tak, to wyjaśnia zapalenie płuc, którego nabawił się pan Harrowford. W takich przypadkach trzeba się liczyć z podobnym ryzykiem. To nie pani wina, mademoiselle.

- Nie przyszło mi do głowy, że on może mieć zapalenie płuc.

- Nie mogła pani tego wiedzieć. Zazwyczaj zauważa się wysoką temperaturę, ale pogoda ostatnio przyniosła również upały, a słabość i zmęczenie wydają się zupełnie naturalnymi objawami podczas podróżowania w trudnych warunkach.

- Ale on wyzdrowieje?

- Teraz, kiedy jest w szpitalu, nie ma żadnego powodu wątpić, że przy starannej pielęgnacji...

Tylko że Mitch długo przychodził do siebie. Zapalenie płuc musiało przejść kolejne, naturalne etapy; należało obniżyć temperaturę, doprowadzić puls do normalnego rytmu, a następnie oczekiwać kryzysu i przelomu choroby w ciągu czterech czy pięciu dni. Nie było lekarstwa, które zwalczyłoby chorobę. Jedyne, co mogło pomóc, to pielęgnacja i cierpliwość.

Erica codziennie chodziła do szpitala. Mijała ruchliwe Boulevard de la Corderie - potraćali ją przechodnie, marynarze pogwizdywali na jej widok, ale ona niczego nie czuła ani nie słyszała. Z wybiciem godziny odwiedzin,

254

kiedy tylko otwierały się drzwi, spieszyła do sali. Drugiego dnia nie dopuszczono jej do Mitcha.

- To zupełnie bezcelowe, mademoiselle - powiedziała pielęgniarka spokojnie i życzliwie. - Nie poznałby pani dzisiaj, a dla pani byłby to dodatkowy powód do zmartwienia.

Erica została jednak w szpitalu. Siedziała w poczekalni, przyglądając się siostram w sztywnych kornetach, krążącym po korytarzu niby postaci z jakiejś średniowiecznej legendy. Próbowwała odczytać coś z ich łagodnych, ale nieprzenikniętych twarzy. Gdy godzina odwiedzin dobiegła końca, odesłano ją do domu.

Następnego dnia sytuacja się powtórzyła, ale czwartej doby pozwolono jej wejść do sali. Wokół łóżka ustawiono parawan.

- On chyba nie jest umierający? - spytała niemal bez tchu.

- Nie, nie, ale był bardzo chory, mademoiselle. Potrzebuje spokoju i snu.

Dopuszczono ją do łóżka, pozwolono wejść za parawan. Mężczyzna na posłaniu nie poruszył się. Erica ujęła bezwładną rękę i uścisnęła ją lekko. Stojąca obok siostra pokręciła głową, odsunęła jej dłoń i wyprowadziła, besztając łagodnie:

- On teraz śpi bardzo głębokim snem. Kryzys minął i powinien poczuć się lepiej.

- Dzięki Bogu!

- Tak, mademoiselle, dziękujemy Mu codziennie - zgodziła się zakonnica z uśmiechem.

Pewnego upalnego i dżdżystego czwartku w końcu lipca, Erica weszła jak zwykle do sali. Parawan został usunięty, a Mitch nie spał. Ale jego głos, kiedy się odezwał, był słaby i zmieniony.

- Nie spytam cię „gdzie jestem?” Już mi to wyjaśniono.

- Napędziłeś mi stracha, Mitch.

- Straciłem przytomność, prawda?

- Tak, na stacji w Marsylii.

- Wspaniale. Jak już grać, to na całego. - Zamknął oczy, ale zaraz je otworzył. - Jak długo będą mnie tu jeszcze trzymali?

- Prawdopodobnie około dwóch tygodni.

- A ty gdzie mieszkasz?

- Nie martw się o mnie. Wynajmuję pokój w małym hoteliku koło bazyliki St. Victor.

- Słuchaj no, Marsylia nie jest dobrym miejscem dla samotnej dziewczyny.

- To naprawdę przyzwoity hotel, Mitch. Poleciał mi go konsul amerykański.

- Czy konsul za to płaci?
- Tak, za szpital i wszystko inne - potwierdziła Erica beztróskim tonem.

256

W rzeczywistości konsul nie płacił za hotel, bo Erica była Angielką, więc nie leżało to w jego kompetencjach. Ale teraz, kiedy Mitch czuł się lepiej, mogła pomyśleć o sobie i poszukać pomocy w brytyjskim konsulacie.

W tydzień później, podczas wizyty Eriki w szpitalu, doktor Berrault poprosił ją o rozmowę.

- Poddaliśmy naturalnie monsieur Harrowforda dokładnym badaniom. Wiemy, że cierpiał na ostre bóle głowy, wiemy o urazie kręgosłupa jakiego doznał. Jeden z naszych lekarzy, doktor Achener, jest szczególnie zainteresowany tą dziedziną medycyny, więc dokonaliśmy serii prześwietleń. Doktor Achener jest zdania, że przyczyną bólów głowy jest ucisk odłamków kości na nerwy na wysokości uszkodzonych kręgów. Sądzi też, że mógłby pomóc pacjentowi.

- Naprawdę? W jaki sposób?

- Usuwając odłamy kostne. Prawdopodobnie ułatwiłoby to znacznie chodzenie i prawie na pewno zniosłoby bóle głowy.

- Ach, to po prostu wspaniale! - zawołała Erica.

- Naturalnie, mademoiselle. Ale widzi pani... to kosztowna operacja.

- O...

- O ile wiemy, pani, a także monsieur, stracili wszystko w katastrofie *Portlandu*?

- Niestety.

- Nie mają państwo żadnych funduszy w kraju?

- Bardzo niewiele.

Nie wyjaśniła, że jako zawodowy gracz, Mitch musiał mieć pieniądze przy sobie - stawki w pokerze bywały bardzo wysokie. Mitch miał w portfelu około tysiąca funtów szterlingów. Nie było sposobu dowiedzieć się, co stało się z tymi pieniędzmi, prawdopodobnie spoczęły na dnie oceanu, ponieważ Mitch był pewien, że portfel znajdował się w kieszeni marynarki, która została w kabinie.

- Otóż, mademoiselle, doktor Archener ma w swoim harmonogramie operacji wolne miejsce, które może zatrzymać na kilka dni. Jest początek sierpnia, a Archener wróci z wakacji we wrześniu. To dałoby panu Harrow-ford czas na pełną rekonwalescencję po przebytych zapaleniu płuc. Operacja mogłaby się odbyć we

wrześniu. To znaczy, o ile będzie pani w stanie potwierdzić ten termin, zawiadamiając sekretarkę doktora Achenera w ciągu dwóch najbliższych dni.

- Rozumiem. Jakiego rzędu honorarium wchodzi w grę?

- Z pewnością kilka tysięcy franków. A potem monsieur Harrowford będzie potrzebował dłuższej opieki.

Operacja kręgosłupa nie jest drobnym zabiegiem, pani to przecież rozumie.

- Tak, rozumiem.

- Czy mam uprzedzić sekretarkę, że da jej pani znać o swojej decyzji?

- Tak, bardzo proszę. Czy pan Harrowford wie o propozycji doktora Achenera?

187

- *Bien sur*. Jest pełen nadziei. On sam o wszystkim pani opowie, kiedy go pani odwiedzi.

- Dziękuję, doktorze Barrault.

Pierwsze pytanie, które zadał jej Mitch, brzmiało:

- Czy doktor Berrault mówił ci o tym, o tym tam Achenerze?

- Właśnie przed chwilą z nim rozmawiałam.

- Achener twierdzi, że mógłby mi pomóc. Dużo bym za to dał.

- Rzecz jasna, Mitch.

Wyglądał tego dnia dużo lepiej. Jego cera nabrała zdrowszego koloru i skóra była mniej Woskowa, ale, co najważniejsze, jego oczy odzyskały swój blask. Z wyrazu twarzy widać było, jak bardzo pragnie wyzdrowieć.

- Porozmawiałabyś z konsulem? Gdyby mógł wyłożyć pieniądze...

- Tak, od razu pójść do konsulatu.

- I posłuchaj, skarbie, to wcale nie oznacza, że musisz tutaj tkwić. Wracaj do domu, dosyć masz już przejść...

- Nie opowiadaj głupstw. Przecież nie zostawię cię samego w szpitalu.

- Dlaczego nie? Zajmują się mną tutaj bardzo troskliwie.

- Ale nikt by cię nie odwiedzał.

- Przeżyję, przywykłem do własnego towarzystwa.

- Więc wolisz, żebym się tu nie kręciła? - spytała.

- Nie, tego nie powiedziałem, Erico - Mitch wyciągnął rękę, chwytając jej dłoń. - Wiesz dobrze, że bardzo by mi cię brakowało. Ale twoja matka pewnie odchodzi od zmysłów.

- Wysłałam do niej telegram, kiedy dotarliśmy do Marsylii, pisałam do niej również listy. Wie, że jestem cała i zdrowa. Więc nie mówmy więcej o zerwaniu partnerstwa.

Mitch był na tyle osłabiony, że dał za wygraną. I rad był, że tak się stało. Na swój powściągliwy sposób, Mitch Harrowford z czasem ogromnie polubił swoją partnerkę.

Erica poszła do konsula amerykańskiego. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, którego zainteresowanie skupiało się głównie na własnych badaniach flory Morza Śródziemnego. Wysłuchał opowieści Eriki, ale jeszcze zanim skończyła zniecierpliwiony potrząsnął głową.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe, panno Tregarvon, nie dysponuję funduszami na tego typu sprawy.

- Przecież opieka nad obywatelami amerykańskimi za granicą mieści się chyba w pana obowiązkach, prawda?

- Niewątpliwie, toteż kiedy życie pana Harrowforda było zagrożone podczas ostrego zapalenia płuc, zagwarantowałem opłacenie kosztów leczenia. I będę to robił nadal, aż do całkowitego wyzdrowienia. Ale co do poddawania się niekonicznym operacjom...

- Niekonicznym? Jak może mówić pan coś podobnego! Uszkodzone kręgi są przyczyną niezwykle ostrych bólów głowy, a w czasie takiego

259

ataku pan Harrowford ma zaburzenia wzroku i ledwie może utrzymać się na nogach.

- Przecież może wrócić do Stanów i poddać się operacji w kraju.

- Ja...

- Czy ma dość pieniędzy? Erica milczała.

- A więc nie ma?

- Chodzi o to, że doktor Achener proponuje przeprowadzenie operacji już teraz, za kilka tygodni. Gdyby pan mógł tylko wyłożyć te pieniądze...

- Panno Tregarvon, naprawdę nie mogę. Nie dysponuję takim funduszem.

- A czy nie mógłby pan się przynajmniej dowiedzieć? To znaczy zatelefonować do ambasady w Paryżu?

- Zapewniam panią, że to nic nie da.

- A nie mógłby pan chociaż spróbować? Wyjaśnić, jakie to ważne? Błagalne spojrzenie złotobrzowych oczu zmusiło go do kapitulacji.

- Niech będzie, spróbuję - powiedział, podnosząc słuchawkę.

Erica słyszała tylko to, co on, mówił. Wyjaśnił, że obywatel amerykański może poddać się operacji we Francji, która zmniejszyłaby dolegliwości powstałe wskutek urazu kręgosłupa. Wymienił koszt. Czy Departament Stanu byłby skłonny wyasygnować odpowiednią kwotę?

- Nie, według moich informacji nie. Nie, nie ma tutaj krewnych. Młoda dama... hm... - zerknął na Ericę. - Narzeczona?

Potrząsnęła głową przecząco.

- Wiąże nas partnerstwo w interesach.

- Partnerka w interesach - powtórzył pan Baddingly, unosząc brwi ze zdumienia. - Jaki to interes? Spojrzał na Ericę, a usłyszał odpowiedź, zakrył słuchawkę dłonią. - Przecież nie mogę powiedzieć podsekretarzowi, że czerpie pani dochody z gry w brydża.

- Dlaczego nie? Tym się właśnie zajmujemy.
 - Ależ brydż jest tylko grą.
 - Siatkówka również, a jednak ludzie zarabiają w ten sposób na życie. Pan Baddingly westchnął, po czym zwrócił się do rozmówcy:
 - Panna Tregarvon twierdzi, że oboje utrzymują się z gry w brydża.
- Osoba po drugiej stronie, wyraźnie zirytowana, podniosła głos i mówiła przez, dłuższy czas. Konsul wtrącał: „Tak, sir”, „Rozumiem” i „Przekażę jej to”. Wreszcie odłożył słuchawkę.
- Odpowiedź jest niestety negatywna.
 - Domyśliłam się tego - odparła Erica znużonym tonem.
 - Proszę zrozumieć nasz punkt widzenia, panno Tregarvon. Stany Zjednoczone przeżywają kryzys ekonomiczny. Departament Stanu dysponuje ograniczonymi funduszami; znaczna ich część musi być przeznaczona dla Amerykanów w takich krajach, jak Hiszpania i Niemcy, gdzie są narażeni na poważne niebezpieczeństwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę.
 - Możemy wysłać pana Harrowforda do kraju. Możemy zapewnić mu podróż do Ameryki, kiedy wyzdrowieje z zapalenia płuc. Jestem pewien, że pani konsul zrobi to samo dla pani. Ale jeśli chodzi o wypłacenie pieniędzy na dłuższe leczenie... bez gwarancji zwrotu...
 - Zwrócilibyśmy je z pewnością.
 - W jaki sposób umotywowalibyśmy tę decyzję? Wielu ludzi bardziej potrzebuje naszych pieniędzy.
 - Rozumiem to doskonale - powiedziała Erica, podnosząc się. Przykro mi, że zabrałam panu tyle czasu.
- Gdy wyszła, było już późne popołudnie, choć słońce grzało bez litości. Czula się bardzo zmęczona, bardzo spragniona. Usiadła pod markizą kawiarnianą, żeby napić się *citron presse* i obmyślić dalszy plan. Nie było najmniejszego sensu zwracać się o pomoc do konsula brytyjskiego. Pan Wentworth dostarczył jej już pewną sumę na pokrycie jej własnych najbardziej naglących potrzeb, oświadczając przy tym, że ma zapewniony przejazd do Southampton. A gdy usłyszał, że Erica nie ma zamiaru opuszczać Marsylii, oraz że, tak czy inaczej, jej dom znajduje się na Bahamach, popatrzył na nią, jakby była pozbawiona rozumu. Nie, konsul brytyjski na pewno nie wyasygnuje pieniędzy potrzebnych na leczenie Amerykanina. Jej także nie wypłaci już więcej gotówki.
- Mogła zwrócić się z prośbą o pomoc do matki. Ale Amy Tregarvon miała tylko swoją niewielką pensję z hotelu. Co do oszczędności... mocno wątpliwe, żeby miała jakiegokolwiek. Amy nigdy nie nauczyła się sztuki oszczędzania.
- Erica rozważała wszelkie możliwości i ewentualności, a tymczasem dobiegał końca kolejny pracowity marsylski dzień. Urzędnicy z pobliskich biur, spieszący do domu, wpadali do kawiarni na aperitif. Kiedy jednak Erica wędrowała ocienioną Rue Sainte wiedziała już, co powinna zrobić.
- Należało po pierwsze, sprzedać złoty łańcuch, żeby opłacić operację kręgosłupa Mitcha, po drugie, znaleźć pracę w Marsylii. Chociaż honorarium doktora wydawało się olbrzymie, po przeliczeniu na funty szterlingi nie było na szczęście ani w połowie tak przerażające. A przez cały czas trwania Wielkiego Kryzysu cena złota utrzymywała się na wysokim poziomie, ponieważ ludzie uważali je za najpewniejszą lokatę kapitału.
- Następnego dnia rano Erica spytała kierownika hotelu czy może polecić jej jakiegoś ucziwego jubilera lub złotnika?
- Ma pani coś do naprawy? - zapytał, patrząc na zniszczone ubranie Eriki i myśląc w duchu, że ta dziewczyna nie wygląda na posiadaczkę biżuterii.

- Coś w tym rodzaju.
- Hm... Pan Deseubec jest raczej uczciwym rzemieślnikiem.
- Gdzie mogę go znaleźć?
- Rue des Paniers, za Canebidre, niedaleko portu.
- Dziękuję, monsieur.

262

Pan Deseubec był uczciwy, ale gburowaty. Zbadał naszyjnik przez lupę, zrobił próbę kwasem, upewniając się, że złoto jest prawdziwe i po zważeniu zapytał, w jaki sposób weszła w jego posiadanie.

- To prezent urodzinowy sprzed kilku lat.
- Czy ma pani jakiś dowód, że łańcuch należy do pani?
- Nie, ale zapewniam pana, że jest mój.
- Dlaczego brakuje ogniwi przy zapięciu?
- Ponieważ byłam zmuszona je sprzedać.
- Dlaczego więc nie poszła pani w to samo miejsce, żeby sprzedać resztę?
- Bo poprzednia transakcja odbyła się w Bilbao.
- W Bilbao? Ile ogniwi pani sprzedała i za jaką cenę?
- Wymieniłam ogniwa na samochód, żeby uciec z Hiszpanii - oznajmiła Erica, wyciągając rękę. - Jeżeli pan uważa, że go ukradłam, proszę mi go oddać. Pójdę do kogoś innego.
- Pani jest w gorącej wodzie kąpana - powiedział jubiler zirytowanym tonem. - Nie powiedziałem, że go nie kupię.

Zapłacił za naszyjnik odpowiednią cenę, a wręczając jej pieniądze dodał:

- Więc uciekła pani od *Nationalistas*, co? Podobno to banda lotrów. Brawo, mademoiselle.
- Erica wstąpiła do kawiarni, poprosiła o żeton i wykręciła numer podany jej przez doktora Berrault. Kobięcy głos poinformował, że połączyła się z gabinetem doktora Achenera.
- Polecono mi zawiadomić, czy miejsce zarezerwowane na operację pana Harrowforda zostanie wykorzystane.
 - Kto ma być operowany?
 - Pan Harrowford, Mitchell Harrowford - Erica przeliterowała nazwisko.
 - *Ah oui, Vaméricain. À ce moment à Uhópital Sainte Vierge. Oui, madame, j'ai trouvé le cas.*

- Miałam potwierdzić...

- *C'est décidé, oui? Bien, je l'ai noté.*

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, Erica podała swój adres, po czym ustaliły orientacyjną datę operacji. Gdy skończyła rozmowę, zamówiła kawę i sięgnęła do stojaka na pisma po poranną gazetę.

Usiadła w kącie kafejki i zabrała się do studiowania *annonces classées*, w poszukiwaniu ofert pracy. Bardzo prędko zorientowała się, że sprawa nie jest prosta. Francja także zaczynała odczuwać skutki Wielkiego Kryzysu. Ogłoszeń o pracy było niewiele, a w dodatku Erica nie miała wymaganych kwalifikacji.

Serveuse... sténographe... vendeuse...

Vendeuse. Sprzedawanie towarów nie było chyba trudne. Zanotowała adres, ale gdy tam dotarła po półgodzinie odkryła, że chodzi o sklep z wyrobami ze skóry, położony przy jednej z najelegantszych ulic Marsylii.

191

Nawet jej nie wpuszczano do środka; w mocno podniszczonej spódnicy i bluzce nie wzbudziła zaufania personelu.

Czyli trzeba będzie odwrócić kolejność rzeczy.

Za drobną część pieniędzy od jubilera należy kupić przyzwoite ubranie. Nic specjalnie kosztownego, po prostu coś, co będzie lepiej wyglądało.

W robotniczej dzielnicy niedaleko portu Erica znalazła sklep z konfekcją, gdzie kupiła bawełnianą sukienkę, zieloną w białe margerytki. Sprawiała sobie także torebkę z rafii i podobne sandały. W drogerii zaopatrzyła się w szampon, szminkę do ust i perfumowane mydło. Gdy wróciła do hotelu Nevette, umyła włosy, zwinęła je w ciasny węzeł z tyłu głowy i w czasie, gdy schły, wzięła orzeźwiająca kąpiel.

Ubrała się w nową sukienkę, rozwiązała włosy, które opadły gęstymi, luźnymi falami na plecy, po czym przypięła je po bokach dwoma grzebieniami; fryzura dość ją nawet zadowoliła. Na koniec umalowała starannie usta i przejrzała się w lustrze.

Nie wyglądała może nazbyt elegancko, ale też nie na nędzarkę. Widać było, że nie jest zamożna, ale ogólnie robiła dobre wrażenie.

Erica wyszła z zamiarem zaprezentowania się powtórnie na ulicy St. Ferreol. Była czwarta po południu, czas sjeisty dobiegł końca, ale na dworze nadal panował lepki upał. By nie wydawać pieniędzy na taksówkę, poszła na przystanek autobusu. Gdy tam stała przyglądała się dużemu, staremu domowi po drugiej stronie ulicy, częściowo ukrytemu za rzędem palm w donicach.

Malowany szyld nad drzwiami domu głosił: *Club de Jeu Zebre. Ouvert le soir 22h. a 4h. Adhesion 100fr.* Na drzwiach przypięta była jakaś kartka.

Autobusu nie było jeszcze widać. Erica przeszła przez ulicę, żeby przyjrzeć się klubowi gry. Kartka przypięta na drzwiach okazała się ogłoszeniem.

Weszła na trzy stopnie, chcąc ją przeczytać. *Recherche croupier, experience pas moins de trois ans, bonne presentation, salaire a plaire, s'adresser au directeur l'apres-midi entre 16h et 18h.*

Vendeuse, stenographe, croupier. Nie miała pojęcia o sprzedawaniu towarów, ani o pisaniu na maszynie. Ale znalazła się na kartach. Miała niewątpliwie więcej szans na posadę krupiera niż panny sklepowej.

Nacisnęła dzwonek. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Wreszcie otworzyło się małe okienko w górnej części drzwi i spojrzała na nią czyjaś opalona twarz.

- *Et vous voulez?* - spytał kobiecy głos.

- Chcę zgłosić się do pracy.

- Do pracy?

- Jako krupierka.

- Aha, rozumiem. Chwileczkę.

Chwileczka okazała się dłuższą chwilą. Wreszcie drzwi się otworzyły. Erica była pewna, że kobieta została zbudzona z poobiedniej drzemki.

192

Zdażyła się ubrać we wzorzystą jedwabną suknię, ale włosy miała w nieładzie, a na nogach domowe kapcie.

- Słucham - powiedziała.

- Przeczytałam ogłoszenie na drzwiach. Czy miejsce jest jeszcze wolne?

- Hm... - kobieta cofnęła się o krok, lustrując spojrzeniem Ericę. - Nie jesteś Francuzką.

- Nie, Angielką.

- Pracowałaś już w klubie gry? Albo w kasynie?

- Nie, ale grałam w karty na statkach pasażerskich.

- *Vraiment?* - kobieta miała sceptyczną minę. - Od dawna?

- Gram w karty od dziecka. A profesjonalnie przez ostatnie pięć lat.

- Hm. Ile masz lat?

- Dwadzieścia siedem.

- Jak się nazywasz?

- Erica Tregarvon. A pani?

- *Comment?* - spytała kobieta, zdziwiona. - A... no tak, jestem madame Fréjus, i zastępuję szefa. Kierownikiem klubu jest pan Kassilis, ale w tej chwili go nie ma. Chodź do biura, tam jest lepsze światło.

Erica ruszyła za madame z mrocznego holu do biura, znajdującego się na tyłach domu, w końcu korytarza. Panował tu półmrok z powodu zamkniętych okiennic, które madame Fréjus otworzyła natychmiast i przez które wdarło się światło późnego popołudnia.

Madame okrążyła Ericę, jak rzeźbiarz studiujący modelkę.

- Niezła figura, trochę za szczupła, ale to jest akurat w modzie. Ładne nogi, naturalny kolor włosów. Chyba jest naturalny?

- Tak. Mam również prawdziwe, własne zęby. Co jeszcze chciałaby pani wiedzieć?

- Nie brak i temperamentu, to dobrze, ale posłuchaj, nie możesz prawić impertynencji gościom, przychodzą tu, żeby się rozerwać. Madame Fréjus kiwnęła głową, przytakując własnym myślom. - Ładny zapach... to chyba gardenia? Ale sukienka okropna, gdzie ty ją kupiłaś? Na odpuście?
- Jeśli zostanę przyjęta do pracy, kupię lepszą - oznajmiła Erica. - Czy mogę pani zadać kilka pytań?
- Zależy, co chcesz wiedzieć. Ale pytaj.
- Jaka jest płaca?
- O tym porozmawia z tobą monsieur Kassilis. Jest też dodatkowa dwuipółprocentowa premia od stawek przekraczających 10.000 franków. Oznacza to 250 franków za każdym razem, kiedy gracz deklaruje stawkę...
- Dziękuję pani, potrafię to policzyć. A jakie są godziny pracy?
- Od dziesiątej wieczór do czwartej rano. Przecież to jest napisane na drzwiach.
- Ale każdej nocy?
- Niby co dziesiąta noc jest wolna, ale jeśli ją przepracujesz, to więcej zarobisz. Ponadto, jeśli klient kończy wieczór wygraną, krupierowi z regu-

13 - Nieodrodna córka

193

ły dostaje się hojny napiwek. No i od ciebie zależy, czy przyjmiesz jakieś zaproszenia, które się nadarzą.

- Zaproszenia?

- Słuchaj no, nie jesteś przecież chyba takim niewiniątkiem, co? Bo jeśli tak, to nie radzę brać tej pracy.

Zresztą... - przerwała.

- Co takiego?

- Pan Kassi myślał raczej o mężczyźnie.

- Tego warunku nie ma W ogłoszeniu.

- Nie. I mamy tutaj dziewczęta. Rządzi Kassi, nas jest razem siedmioro, ja, trzy dziewczęta i trzech mężczyźni, nie licząc barmana. Jakie gry umiesz obsługiwać?

Erica nie miała właściwie żadnego doświadczenia w tej dziedzinie, chociaż odwiedzała w swoim życiu różne kasyna. Powiedziała na chybił trafił:

- Dwadzieścia jeden i bakarata.

- Potrafisz obsługiwać ruletkę?

- Nigdy tego nie robiłam, ale... Madame Frejus wzruszyła ramionami.

- Wiem, wiem, każdy głupi da sobie radę z ruletką. Przez chwilę milczały obie.

- Kiedy przyjdzie pan Kassilis?

- Mniej więcej za godzinę. Lubi być na miejscu, zanim otworzymy; sprawdza, czy bar jest odpowiednio zaopatrzony, poza tym robi rachunki i tak dalej. Co masz zamiar zrobić? Chcesz poczekać, czy raczej przyjść później?

Erica nie miała właściwie dokąd iść. Przypuszczalnie było już za późno, żeby wyprawiać się na ulicę St. Ferreol. Tego dnia nie było też w szpitalu odwiedzin.

- Gdzie mogę zaczekać? - spytała.

- Właśnie miałam zaparzyć kawę i coś zjeść. Chodź ze mną, pójdziemy do kuchni.

Zeszły do sutereny. Kuchnia miała kamienną posadzkę i panował w niej miły chłód. Znajdowała się tam staroświecka kuchenka gazowa, stół z lakierowanym blatem oraz zlew i kilka garnków.

- Czasem gotujemy tu zupę - wyjaśniła pani Frejus - albo robimy filiżankę kawy. Dla siebie. Goście dostają tylko drinki i słone krakersy.

Podczas rozmowy, madame uśmiechała się - pulchna, budząca zaufanie kompetentna kobieta. Erica usiadła. Kawa parzyła się w dzbanku, madame postawiła też na stole chleb i pasztet.

- Proszę bardzo. Chcesz mleka do kawy? Jest w spizarni, przynoszę je sama, więc mam pewność, że jest świeże. Mówiłaś, że jak się nazywasz?

- Erica Tregarvon.

- Jesteś mężatką?

- Nie.

194

- Masz przyjaciela?

- Tak... jakby.

- Nie jesteś pewna, co? Mężczyźni są po prostu niemożliwi! Mój, to znaczy ten aktualny, jest żonaty. Nigdy nie wiem, kiedy będę mogła się z nim zobaczyć. Twój też jest żonaty?

- Ależ nie.

- To lepiej go złap i zwiąż, póki możesz. Choć właściwie nie wiem, czemu ci to doradzam, bo gość, za którego wyszłam, wszedł pewnego dnia do pociągu do Antwerpii i tyle go widziałam! - madame roześmiała się, szczerze ubawiona.

W czasie, gdy popijały znakomitą kawę, pani Frejus nie przestawała mówić. Wyraźnie to lubiła. Po chwili stało się również oczywiste, że w gruncie rzeczy to ona jest podporą klubu. Pan Kassilis kierował jego finansami, mając nad sobą jakąś spółkę czy syndykat właścicieli, ale madame Celinę Frejus nadzorowała sprzątanie, opiekowała się pracownikami, wyrzucała pijaków i dbała o dobre stosunki z policją. A przede wszystkim to od niej zależało zatrudnienie pracowników.

Kiedy pojawił się monsieur Kassilis, niski, bardzo śniady i ciemnowłosy, ubrany w nieskazitelnie białą koszulę i smoking, Céline oświadczyła z nonszalancją:

- Kassi, to jest nowa krupierka.

- Aha - powiedział Kassi, przypatrując się Erice. - Ale nie w tej sukni.

- Jasne, że nie, ma inne stroje. Prawda, Erico?

- Tak, madame - skłamała Erica.

- Kiedy możesz zacząć pracę?

- Kiedy pan sobie życzy, monsieur.

Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami, może nie przyjaźnie, ale przynajmniej z aprobatą.

- To co, dzisiaj?

- To znaczy...
 - W porządku, Kassi, zajmę się wszystkim - zapewniła Celinę przerywając Erice, jakby chciała powiedzieć: „Resztę zostaw mnie”. - Wynagrodzenie, jak zwykle, Kassi?
 - Czemu nie?
 - Dobrze. Chodź ze mną, Erico.
- Zaprowadziła ją, do pokoju na drugim piętrze, który świadczył o tym, że Celinę zostaje często na noc w miejscu pracy.
- Ktoś tutaj powinien być przez cały czas. W ciągu dnia przychodzi posłaniec po kasę, ale nigdy nie wiadomo, kiedy się zjawi... no i tak. -Celinę otworzyła szafę, w której piętrzyły się na półkach najróżniejsze stroje. - Wybierz sobie coś.
 - Ależ, Celinę!
 - Przecież to nie moje! Byłyby o dobrych parę numerów za małe, co? Celinę wybuchnęła śmiechem. - Dziewczęta zostawiają te szmatki. Wyjeż-
- 269

dżają bez namysłu, rozumiesz? Jakiś facet w eleganckim samochodzie proponuje wyprawę do Paryża albo jeszcze dalej, a ona, głupia, mówi do widzenia i tyle ją widać. Wyciągnij te rzeczy i obejrzyj.

Szafa zawierała prawie wyłącznie suknie wieczorowe. Były wśród nich takie, których Erica nie włożyłaby na siebie za żadne skarby świata, ozdobione świecidełkami, w ostrych, krzykliwych kolorach, pachnące tanimi perfumami. Ale znalazła też sukienkę z ciemnozielonego szyfonu z etykietką znanego domu mody.

- Może ta?

Celinę spojrzała na sukienkę.

- Hm... należała do Malou... kupił ją dla niej Erich Greismann. Miała podobną figurę do ciebie. Dobrze, weź ją do domu i przepasuj. Buty... Dopasujesz do niej jakieś pantofle?

Ale pantofli nie znalazły. Musiały się w końcu zadowolić parą czarnych sandałów na wysokich obcasach.

- Będziesz musiała kupić sobie pantofle. Muszą być wygodne i dobrze dopasowane. Stanie godzinami przy stoliku jest zabójcze dla nóg. Więc, przychodzisz o dziewiątej trzydzieści, tak?

- Tak, Céline.

Erica wróciła pospiesznie do hotelu Nevette, pożyczyła od pokojówki żelazko, odprasowała sukienkę i włożyła ją na siebie. Mimo że lustro w pokoju nie było najlepsze, własne odbicie okazało się zaskoczeniem.

Wydało jej się, że wieki całe upłynęły od dnia, w którym ostatni raz miała na sobie wieczorową suknię i że tamten czas należał do innego życia.

Tak, definitywnie. Teraz zaliczała się do klasy pracującej i tak, jak wszyscy otrzymywała tygodniową wypłatę. Beztroskie życie na pokładzie statków i luksusowe hotele przeminęły bezpowrotnie.

Nie szkodzi, wcale za nimi nie tęskniła. Ważne było jedno - wypełnić wzięte na siebie zobowiązanie wobec Mitcha i być przy nim, kiedy okaże się potrzebna. Nic więcej się nie liczyło.

14

Jak się okazało, nawet wielki doktor Achener mógł się mylić. Pierwsza operacja nie przyniosła spodziewanych efektów i potrzebna była następna. Dopiero ta dała oczekiwane rezultaty - usprawnienie nóg i wyraźną poprawę, jeśli chodzi o bóle głowy. Ale Erica miała wrażenie, że Mitch wcale nie czuje się dobrze. Podwójna operacja kosztowała też znacznie więcej. Trzeba było wydać pieniądze odłożone na rekonwalescencję. Toteż po wyjściu ze szpitala Mitch musiał pojechać od razu do hotelu Nevette. Erica zamieniła swój pokój na większy na parterze i zamieszkali w nim oboje.

Wszyscy w klubie Zebrę uważali za oczywiste, że są kochankami. Tymczasem było zupełnie inaczej. Z początku Erica sądziła, że dzieje się tak z powodu choroby Mitcha, a gdy stan jego zdrowia zaczął się poprawiać, doszła do wniosku, że przyczyną braku reakcji z jego strony są nietypowe godziny jej pracy. Mitch spał w nocy, kiedy ona była w klubie, a był na nogach w dzień, kiedy ona odsypiała. Poza tym dochodziło między nimi do nieustannych scysji. Erica powiedziała Mitchowi, że znalazła pracę w klubie Zebrę i nie wyprowadziła go z błędu, kiedy uwierzył, że jest to przyzwoity klub dla turystów i podróżujących biznesmenów. Jednakże, gdy odkrył, że Erica pracuje w klubie gier hazardowych, Mitch wpadł na swój spokojny i opanowany sposób we wściekłość.

- Powiesz im, że odchodzisz - rozkazał.**
- Nie mogę tego zrobić, Mitch, potrzebujemy pieniędzy.**
- Nie powinnaś w ogóle pracować.**
- To naprawdę nie jest jakieś okropne miejsce. Celinę dba o dobre imię klubu.**
- Erico, to, że byłem chory, nie oznacza, że straciłem rozum. Widziałem dość kasyn gry i wiem, jak to wygląda.**

- Zgoda, może ta praca nie jest idealna, ale ja przecież nic innego nie umiem...

- Nie umiesz być lafiryndą i nie będziesz tam dłużej pracowała.

Ta walka kosztowała go mnóstwo energii i jej efektem była podwyższona temperatura. Mitch nie mógł sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie. Kiedy zmuszony był wreszcie ulec z racji wyczerpania, Erica spodziewała się pojednania, zakończonego pocałunkiem i może czymś więcej. Ale nic się nie wydarzyło.

Przeprosili się, Mitch pocałował ją zdawkowo i tak sprawa się zakończyła.

Kiedyś Erica dostała w prezencie od jednej z przyjaciółek butelkę dobrego wina. Tego wieczoru, po wspólnej kolacji w pobliskiej restauracji wrócili razem do hotelu. Usadowili się na ławce z kutego żelaza w małym ogródku hotelowym, grzejąc się w niespodziewanym, choć bardzo pożądanym ciepłe zimowego słońca. Siedzieli tuż obok siebie, zrelaksowani, niemal rozleniwieni. Erica, opanowana nastrojem rozmarzenia i nostalgii, oparła głowę na ramieniu Mitcha.

Kiedy wrócili do pokoju, Erica musiała się przebrać w wieczorową suknię przed pójściem do klubu, skorzystała z pretekstu, by wyjść zza parawanu, oddzielającego jej własny kąt od reszty pokoju. Miała na sobie jedynie figi i stanik. Udała, że zostawiła w ogrodzie grzebienie do włosów.

Mitch sączył resztki wina.

- Mitch, przynieś mi grzebienie.

Odwrócił głowę i gdy ją zobaczył otworzył szeroko oczy, a potem nagle jego twarz straciła wszelki wyraz. Wyszedł i podał jej grzebienie przez otwarte okno. Teraz, pomyślała Erica. Jeśli teraz nie chwyci mnie w ramiona, to już chyba nigdy tego nie zrobi.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Spóźnisz się do pracy - powiedział i odwrócił się, siadając z powrotem na ławce.

Erica uczesała się i włożyła sukienkę. Uświadomiła sobie, że chce jej się płakać, choć nie bardzo wiedziała, dlaczego.

Mitch zaakceptował jej pracę w klubie, zwłaszcza kiedy poznał Celinę i kilka innych dziewcząt. Wpadały niekiedy, by odwiedzić Ericę w Nevette. Były to miłe, zwyczajne dziewczyny pochłonięte robotkami na drutach czy przepisami kuchennymi. Jeśli nawet niektóre z nich przyjmowały „zaproszenia”, była to wyłącznie ich sprawa.

Mitch także próbował pracować. Udzielał lekcji angielskiego rezydentom hotelowym, czasem też grał z nimi w pokera. Ale teraz nie był już tak pewien, że wygra. Poza tym długie sesje w zadymionych pomieszczeniach wyraźnie mu szkodziły, kaszel coraz częściej dawał mu się we znaki.

Pewnego ranka, po powrocie z klubu, Erica zastała pusty pokój. Oznaczało to bez wątpienia, że Mitch gra w karty w apartamencie pana Soupprana. Było dobrze po czwartej, więc oburzona, ruszyła na górę, żeby zainterweniować.

273

- *Oh, mon Dieu quelle belle sauvage!* - mruknął któryś z graczy, gdy wtargnęła do pokoju i wyrwała karty z ręki Mitcha.

- Powinien się pan wstydzić! - krzyknęła gniewnie do Soupprana. - Wie pan, jak bardzo mu to szkodzi!

- Ależ, mademoiselle, to tylko takie małe przyjęcie noworoczne.

- Mitch nie weźmie udziału w wielu następnych przyjęciach noworocznych, jeśli będzie spędzał całe godziny w zadymionym pokoju.

- Cicho bądź, Erico - powiedział Mitch.

- Nie będę cicho, a zresztą - rzuciła na stół otwarte karty - ty zakończyłeś już grę.

- *Ah, regarded* Kareta! Niezłe karty! - pozostali gracze poruszyli się i zaczęli mruzczyć między sobą, a Mitch wstał od stołu. Było jasne, że wygrywał.

Kiedy wyszli z pokoju, powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Pięknie. Ta partia była warta ponad trzy tysiące franków.

- Spędzenie dwóch następnych dni w łóżku nie jest warte trzech tysięcy franków.

- Nie spędzę żadnych dwóch dni w łóżku, do diabła! - oznajmił z zimną wściekłością, ale zaraz przerwał mu atak kaszlu.

- Pewnie, że nie. Odkaszniesz parę razy i na tym się cała sprawa zakończy, tak? Mitch, przecież oboje wiemy, jak to wygląda. Bądź rozsądny! Nic nie jest warte następnej choroby, żadna, nawet największa wygrana.

- Musisz się zawsze szarogęścić?

Tak rozpoczęła się następna kłótnia, tym razem zakończona miłym uściskiem i Erica sądziła, że będą się kochali. Ale nie, raz jeszcze potrzeba bliskości umarła śmiercią naturalną. »

- Czy... czy ze mną jest coś nie tak? - wyjąkała, kiedy Mitch się odsunął.

- Ale skąd. Jesteś fantastyczną dziewczyną.

- To czemu... czy... czy jest jakiś powód? Westchnął i podszedł do okna.
 - Chcesz wiedzieć, czy wolę chłopców? Zawahała się.
 - Jeśli to jest przyczyn... Mitch, nie miałabym ci tego za złe, naprawdę, tylko... wolałabym wiedzieć.
- Zaśmiał się drwiąco, ale przerwał mu znów kaszel.
- Nie, to nie to, skarbie. Zdaje się, po prostu, że nie jestem w stanie kochać nikogo, nawet ciebie, w ten sposób.
 - Ale dlaczego, Mitch? Przecież mnie lubisz, czuję to.
 - Dziecino, dla mnie nikt na świecie nie mógłby się z tobą równać, chyba o tym wiesz. Gdybym umiał stracić dla kogoś głowę, to z pewnością dla ciebie. Ale widzisz... miałem masę paskudnych przeżyć jako dziecko. Wychowałem się w sierocińcu dla chłopców. Niejedno mi się tam przyda-

rzyło. Mówiłem ci kiedyś, że uciekłem stamtąd, i poszedłem w świat zarabiać na życie grą w karty...

- Pamiętam.

- Jeśli nawet kiedyś, bardzo dawno temu, miałem zdolność prawdziwego kochania kogokolwiek, pozbawiono mnie tego w sierocińcu. Nauczyłem się obywać się bez uczuć. Taki jestem i wierz mi, już się nie zmienię.

- Ale Mitch...

- Tak jest lepiej, dziecino, wiem, co mówię. Powinnaś sobie znaleźć kogoś, kto na ciebie bardziej zasługuje.

Dlaczego miałabyś wikłać się...

- Ależ ja jestem uwikłana, Mitch!

Już miała powiedzieć: „Kocham cię!”, ale zamilkła w ostatniej chwili. Nie chciała stawiać go w kłopotliwej sytuacji. Miałby poczucie, że ona oczekuje od niego więcej, niż on może jej dać. Nie ma nic gorszego od kobiety, która ciągle czegoś oczekuje i wymaga, przestrzegła samą siebie.

Zresztą - nie była wcale pewna, że go kocha, w każdym razie nie tą żarliwą i namiętną miłością, jaką kochała Barta Crosleya. Uczucie, którym darzyła Mitcha, było zupełnie inne: opiekuńcze, ciepłe, pełne troski. Nie mogła mieć żadnej pewności, że przerodziłoby się w coś więcej.

Od czasu wydarzeń w Bilbao, Erica interesowała się żywiej polityką. Czytała dzienniki i słuchała radia.

Wiedziała, że generał Franco zajął ziemię Basków, przez które przejeżdżali z Mitchem. Z głębi serca współczuła temu szlachetnemu i niezależnemu ludowi. Wiosną 1938 roku wojska Franka walczyły już we wschodniej części Hiszpanii.

Tej samej wiosny wojska niemieckie wkroczyły do Austrii. Następnie Niemcy z rejonu Sudetów zaczęli domagać się przyłączenia do Rzeszy. Sytuacja międzynarodowa była coraz bardziej napięta. We Francji i Wielkiej Brytanii przygotowywano się do wojny...

Erica dostała list od matki z Bahamów. Dlaczego Erica ociąga się z wyjazdem z Francji, kiedy tam jest podobno tak niebezpiecznie? Dlaczego nie wraca do domu? W odpowiedzi Erica wyjaśniła, że odkładają pieniądze na bilety i przyjadą, jak tylko będą mogli. Matka odpisała trochę cierpko, że nie rozumie, dlaczego córka nie może wrócić sama, „skoro, kochanie, nie jesteście dla siebie niczym więcej niż partnerami w interesie”.

Czytając to zdanie, Erica uśmiechnęła się. Woląла nie myśleć, co powiedzialaby Amy Tregarvon na wiadomość, że jej córka dzieli pokój z Mitchem. Mitchell Harrowford pozostał dla matki Eriki na zawsze kimś, kogo widywała niegdyś na pokładzie statków pasażerskich i kto nie należał do jej kręgów towarzyskich.

Niepokoje w Europie zdawały się przycichać. We wrześniu premier Wielkiej Brytanii udał się do Monachium, by podpisać porozumienie z Hitlerem i Mussolinim. Po powrocie do kraju oświadczył, że pokój jest zagwarantowany.

Pewnego wieczoru na początku października, Leonidę Kassilis oznajmił, że wyjeżdża.

276

- Jak to? Porzucasz klub? - spytała Celinę ze zdumieniem.

- Porzucam ten kraj. Wracam do siebie, do Grecji.

- Kassi! Co ci strzeliło do głowy?

Kassi uśmiechnął się ponuro i zabrał do opróżniania biurka z rzeczy osobistych, które pakował do teczeki.

- Jakież kłopoty z szefami? - zainteresowała się Helenę

Dla nikogo nie było tajemnicą, że to miejscowi gangsterzy ostro reagują na niewielki nawet spadek dochodów klubu.

- Nie, to nic z tych rzeczy. Oni wiedzą, że wyjeżdżam. Znaleźli nowego kierownika, który będzie tu jutro.

- Kassi, o co właściwie chodzi? - spytała Celinę.

Stała przed nim, podparłszy się pod boki. W długiej, czarnej sukni wieczorowej i czarnych rękawiczkach, wyglądała jak anioł zemsty.

- Wojna wisi w powietrzu, ot co - wyrzucił z siebie wreszcie Kassi. -I nie mam zamiaru tu tkwić, kiedy wybuchnie.

- Brednie!

- Żadne brednie. Ten Hitler się nie uspokoi, póki nie zagarnie całej Europy.

- Mylisz się. Przecież było Monachium...

- Jesteś naiwna, jeśli w to wierzysz, Ceine. Szwaby Wejdą do Francji, Zobaczysz.

.- Ale nawet, gdyby do tego doszło - wtrącił główny krupier, Martin -zostaną zatrzymani we Flandrii, tak jak poprzednio.

- Nie - zaczęła Erica, ale zaraz urwała.

- Jak to: nie - odpowiedziała Celinę z zaczepką w głosie. - Linia Maginota zatrzyma ich zanim zdążą spróbować...

Erica potrząsnęła przecząco głową, przypominając sobie Bilbao. Kassi uśmiechnął się ponuro:

- Linia Maginota nie będzie dla nich przeszkodą!

- A powinna! W końcu po co płacimy podatki?

- Jeżeli rzeczywiście wybuchnie wojna - powiedziała Erica - będzie zupełnie inna niż poprzednia. Tym razem użyją bombowców, żeby zniszczyć mosty, linie kolejowe i fabryki.

- Opowiadasz głupstwa.

- Nie, ona ma rację - poparł ją Kassi. - Nie powstrzymają ich najpotężniejsze barykady... A chcą podbić całą Europę, co nietrudno wyczytać ze wzroku tego faceta. Znam się na tym, w końcu to moja rzecz wiedzieć, kiedy hazardzista zamierza rozbić bank. Więc wyjeżdżam. Wracam do domu. W Grecji jest bezpiecznie. Nic tam nie ma prócz zrujnowanych świątyń i gajów oliwnych.

Wszyscy z wyjątkiem Eriki próbowali go odwieść od tego zamiaru. Ale ona go rozumiała. Życie w nocnym klubie nie było łatwe, odwrócone do góry nogami, z dniem zamiast nocy. Nie dawało też żadnego poczucia bezpieczeństwa: klub mógł stać się w każdej chwili przedmiotem pora-

201

chunków pomiędzy dwoma gangami. A świat poza klubem stawał się coraz bardziej groźny. Na domiar złego, Mitch przechodził ostry bronchit. Wiał mistral, dając się porządnie we znaki wszystkim mieszkańcom Marsylii. Nadszedł z północy, doliną Rodanu i przyniósł ze sobą zimną wilgoć i zaciągnięte zwalami niskich chmur niebo. W hotelu Nevette było zimno i wilgotno. Dania przynoszone z restauracji, mieszczącej się dwa domy dalej, nie nadawały się do jedzenia. Mitch, wstrząsany nieustannym kaszlem, nie jadł, nie mógł nawet ogrzać się ciepłymi promieniami słońca, które złagodziłyby ból w piersiach. Pewnego dnia Erica wybrała się na długi spacer. Włożyła na siebie stary angielski płaszcz z wełny, na głowę zawiązała chustkę i wyruszyła przed siebie. Skierowała się, jak zawsze, ku morzu. Było tak ważną częścią jej życia, że choćby przelotne spojrzenie na spienione fale stało się jej codzienną potrzebą. Tego dnia wyglądało przygnębiająco - maszty zakotwiczonych jachtów przypominały igły wpięte w drobne ściegi mżawki, CMteau d'If był ledwie widoczny, a Zatoka Lyońska spowita we mgle. Z morskich szlaków prowadzących do portu dobiegało wycie syren okrętowych. Syreny poruszały zawsze jakąś strunę w duszy Eriki. Budziły w niej wspomnienia tylu odjazdów z różnych portów w dawnych czasach... Tamte rejsy wiodły do malowniczych przystani, do egzotycznych miast pod gorącym niebem tropików. Tak bardzo do tego tęskniła - do ciepłego morza, ocienionego palmami wybrzeża, tak bardzo miała dość życia w tym mieście w oczekiwaniu na zimowe wiatry chłody. Tego ranka nadszedł list od matki. „Dziękuję ci za prezent urodzinowy, chustka ma bardzo ładny kolor i mogę jej używać jako lekkiego okrycia na ramiona. Kilku przyjaciół zorganizowało dla mnie małe przyjęcie, ale tęskniłam do ciebie. Chciałabym, żebyś wróciła do domu. Kiedy rozpoczęłaś swoje samodzielne wyprawy, wyobrażałam sobie, że będziesz przyjeżdżała przynajmniej co dwa miesiące, a tu już tyle czasu upłynęło. Minęły moje następne urodziny; niestety, nie ubywa mi lat, kochanie”.

Słowa matki zapadły Ericie w serce. Biedna Amy. Nie została stworzona do takiego życia. Erica powinna wrócić do domu. A w dniu takim jak ten, pod posepnym, ciężkim niebem, Marsylia nie wydawała się miejscem przyjaznym. Erica polubiła Marsylczyków, z ich bystrością i zmysłem praktycznym, ale mimo wszystko nie byli jej rodakami. Jeszcze silniej odczuwał to zapewne Mitch, który nie mówił dobrze ich językiem, więc nie mógł zaprzyjaźnić się z kimkolwiek.

Gdy wracała ze Starego Portu, nie opuszczały jej myśli o innych czasach i innych miejscach. Przywołała w pamięci obraz *Langrovii* ze wszystkimi jej luksusami i wygodami, hotel Esmeralda w Miami i British Colonial w Nassau, gdzie pozostawiła matkę.

Gdybyż tylko mogła tam pojechać... byłoby to zbawienne dla Mitcha.

279

Sam klimat od razu by pomógł. W Nassau nie żyliby pod groźbą wybuchu nowej wojny. W dodatku była tam jej matka.

Ogarnęła ją nagle, przemożna tęsknota, by znów ją ujrzeć. Łzy poczuła w oczach. Musiała przystanąć i orjrzeć się o pobliski filar, żeby je otrzeć.

Przez cały rok odkładała, ile się dało, z myślą o podróży przez Atlantyk. Teraz, nagle, poczuła tę samą potrzebę, która ogarnęła Kassiego -wyjechać, i to natychmiast, ponieważ bardzo prędko może się okazać, że jest już za późno. Jeśli w Europie wybuchnie wojna, powrót do domu stanie się praktycznie niemożliwy. Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że doszła do nabrzeża w handlowej części miasta. Był to dla niej znajomy, swojski widok, tak często oglądany podczas podróży morskich: wylądowane ciężarówki, podjeżdżające z kłopotem do nabrzeża, tragarze przewożący bagaże na swych motorowych wózkach, hałaśliwy wyladunek i załadunek towarów; skrzypienie żurawi przenoszących skrzynie, świst pokładowych dźwigów parowych, szczęk łańcuchów przesuwających się przez bloki.

Erica szła przed siebie nabrzeżem, nie zwracając niczyjej uwagi w ogólnym zamieszaniu. Wkrótce dotarła do spokojniejszej części portu, gdzie statki, które ukończyły załadunek towarów, stały na kotwicy, czekając na pozwolenie opuszczenia portu.

Niespodziewanie, zobaczyła napis „*Carico, Buenos Aires*”. .Tak nazywał się statek Barta. Był czas, kiedy śledziła jego trasy w rejestrach rejsów. Ale w pewnym momencie nazwa statku przestała się pojawiać i Erica pomyślała, że został wycofany z powodu kryzysu. A potem przestała śledzić jego losy.... Bo i po cóż? A teraz, nagle, odnalazła go w porcie marsylskim.

Erica ruszyła w kierunku statku, który, z zamkniętymi lukami i smugą dymu, wydobywającą się z komina, zdawał się nad nią górować gotowy do wypłynięcia, gdy tylko kotwica zostanie podniesiona, czekający cierpliwie na opuszczenie Zatoki Lyońskiej i skierowanie się na szersze wody.

Na pokładzie stał oparty o reling marynarz, zapewne na wachcie. Nieruchoma sylwetka wpatrzona w wąski pas wody, falującej lekko pomiędzy kadłubem statku a nabrzeżem.

- Halo!

Marynarz wyprostował się.

- Seniorita?

Właściwie wcale nie zamierzała się do niego odezwać. Ale skoro już zwróciła jego uwagę, mogła mu również zadać pytanie.

- Czy na statku jest może pan Hobart Crosley?

- Chce się pani z nim widzieć? Chwileczkę, senorita.

Zniknął, zanim zdołała go powstrzymać, zadowolony, że ma coś do roboty.

Erica stała przez chwilę bez ruchu, z głową uniesioną do góry, a potem nagle ogarnęło ją zakłopotanie. Po co, na miły Bóg, pytała o Barta? Jeżeli

203

rzeczywiście był na statku, to co mu powie, kiedy on się pojawi? Już chciała pospiesznie odejść, gdy marynarz powrócił.

- Kapitan kazał powtórzyć, że zaraz do pani zejdzie, seniorita. Może zechce pani wejść na pokład?

- Kapitan?

- Pytała pani przecież o kapitana Crosleya?

- Nie... to jest tak... pan Crosley jest kapitanem *Carico*!

- Oczywiście, seniorita. Już od roku.

Marynarz zszedł po stromym trapie, łączącym statek z nabrzeżem. Podtrzymał ją, gdy wspinała się na pokład wejściem dla podróżnych. Na górze Erica rozejrzała się dookoła. Czyste deski, świeża farba, liny i plandeki starannie powiązane - tego należało się spodziewać po kapitanie Crosleyu.

W tej chwili on sam ukazał się na mostku kapitańskim, spoglądając z góry na gościa.

- Słucham, kto o mnie pytał?

Po czym, zbliżywszy się do barierki, powtórzył już innym tonem:

- Kto chce się ze mną widzieć?

- Bart? - powiedziała Erica pytająco.

15

Bart pokonał schodki jednym zwinnym susem urodzonego żeglarza. Chwycił ją w objęcia, przyciskając do siebie z całej siły i obracając w koło.

- Erica! Erica Tregarvon! Co ty robisz w Marsylii?

Nie mogła złapać tchu w jego uścisku, więc zwolnił go nieco, żeby mogła odpowiedzieć i dopiero teraz przyjrzał jej się uważniej.

- Boże drogi, Erico, co się z tobą stało? Próbowала się roześmiać.

- Aż tak źle wyglądam?

- Nie, nie, skądże znowu.

Ale miał ochotę powiedzieć: „tak”. Gdzie się podziała pełna życia i temperamentu dziewczyna, którą kochał? Lśniące, kasztanowe włosy były ukryte pod niebieską chustką, gibka postać otulona płaszczem, który powinien już dawno trafić do śmieciarza. Jej gładka, biała skóra nie nosiła nawet śladów opalenizny. Była

blada jak ktoś, kto zbyt wiele czasu spędza w zamkniętym pomieszczeniu, a na twarzy miała wypisaną troskę, widoczną w zmarszczce rysującej się między długimi łukami brwi.

Marynarz, który wprowadził ją na pokład, przypatrywał się scenie z zainteresowaniem.

- Chodź do mnie - powiedział, obejmując ją. - Myślę, że przydałby ci się drink.

Patrzył, jak rozgląda się po jego kabinie i był zadowolony, że jest ona -podobnie jak reszta statku - pedantycznie porządna i znakomicie utrzymana. Podsunął Ericie jedyne krzesło, stojące za biurkiem. W szafce przechowywał parę butelek, by móc ugościć odwiedzające statek osobistości oraz pilota, który wprowadzał ich z portu.

Erica wzięła kieliszek brandy i upiła mały łyk. Przyglądał jej się uważnie sponad brzegu swojego kieliszka.

Uśmiechnęła się blado.

282

- Tak się cieszę naszym spotkaniem - powiedziała.
- A ja jestem zdziwiony naszym spotkaniem. Myślałem, że pływasz wzdłuż obu Ameryk.
- Nie, mój ostatni rejs był do Kairu, na turniej brydżowy, ale statek został zatopiony w pobliżu Bilbao.
- *Portlanal* - Każdy kapitan statku znał losy *Portlandu*. - I co się potem wydarzyło? Dostaliście się na ląd w Bilbao?

- Tak.

- Czy twoja matka była razem z tobą? - spytał z nagłym niepokojem. Zawsze lubił panią Tregarvon.
- Nie, doszła do wniosku, że ten rodzaj życia jest dla niej zbyt męczący. Osiadła w Nassau.
- Ale *Portland* zatonął w zeszłym roku, Erico.

Dlaczego wciąż była w Europie? Dlaczego wyglądała, jakby los obchodził się z nią srogo?

Czując wzrok Barta, Erica rozwiązała chustkę i potrząsnęła głową. Jakież ma piękne włosy - pomyślał, patrząc na lśniąca gęstwinę o barwie syconego brązu, opadającą luźnymi falami na ramiona. Jakby odczytując jego myśli, przejechała przez nie palcami, by je nieco uporządkować, ale mógł to być równie dobrze gest osoby, która pragnie mieć chwilę czasu do namysłu.

- Nie mogliśmy wyjechać z Bilbao. Tam... była wojna... Po wkroczeniu *Nationalistas* dostaliśmy przepustki na podróż i pojechaliśmy samochodem do Francji. A potem... widzisz... ja teraz jestem z kimś, Bart. On zachorował i musiał przejść operację i... po prostu... nie udało nam się jeszcze wrócić do domu.

Dlaczego poczuł lekkie ukłucie w sercu? Gdyby ktoś go spytał, powiedziałby, że wcale już nie myśli o Ericie Tregarvon. A jednak jej wyznanie poruszyło go niespodziewanie,

- Ale wobec tego, jak sobie radzisz? Z pieniędzmi i tak dalej.
- Mam pracę. I odkładamy na podróż do domu.
- Czy ambasada angielska...

- Tak, gotowi są odstawić mnie do Anglii. Ale Mitch jest Amerykaninem. Zresztą ja chcę jechać na Bahamy, a nie do Southampton. - Wypiła następny łyk. - Ale dość o mnie. Powiedz mi raczej coś o sobie.

- Jak widzisz, udało mi się wdrapać na szczyt - Bart roześmiał się z własnych słów. Ale chociaż jego kapitański apartament był tylko kajutą na statku handlowym drugiej klasy, czuł się z niego dumny. - Oczywiście w marynarce też nie za dobrze się dzieje. Handel jest w kompletnym dołku. Ale mam jako taką reputację, rozumiesz, statek ma opinię niedrogię, odbywa rejsy bez zbędnych opóźnień i opłat za niepotrzebne

postoje, tego typu sprawy. Wielu kapitanów zostało zmuszonych do przestojów, ale rym się nie martwię. W tej chwili wszyscy się raczej przejmujemy zachowaniem Niemców. W czasie wojny handel morski jest

284
jedną wielką niewiadomą. Ale gdyby rzeczywiście do niej doszło, zgłoszę się do marynarki wojennej.

- Naprawdę myślisz, że szykuje się wojna?

Bart wspomniał patrolujące okolice Kilonii krążowniki, które sam widział. Podobno niemiecka marynarka wojenna w wielkim pośpiechu i jeszcze większym sekrecie budowała w Kilonii łodzie podwodne. W Bremerhaven także odbywało się mnóstwo jakichś tajemniczych przygotowań.

- Na twoim miejscu wyjechałbym z Europy jak najszybciej - powiedział.

Erica westchnęła. Miał wrażenie, że się z nim zgadza, ale zaczęła mówić o czym innym.

- Jak długo zostajesz w Marsylii?

- Jeszcze tylko parę godzin. Czekamy na pilota.

- A ja pewnie ci przeszkadzam...

- Nie, nie, uporałem się już z całą papierkową robotą. Nie mam nic do roboty, poza przeliczeniem członków załogi, wracających na statek i powitaniem pilota. - Wyciągnął rękę po jej kieliszek, by go napęlić, ale potrząsnęła przecząco głową. - Dlaczego przyszedł do portu?

- Czy ja wiem? Wielkie statki zawsze przywodzą mi na myśl szczęśliwsze czasy.

- Erico! - wybuchnął Bart. - Co się stało? Wydajesz się... - nie wiedział, jak wyrazić to, co czuje - jakby... niepodobna do siebie samej -dokończył niezręcznie.

- Bo, wiesz, wszystko się zmieniło, i ja również - odparła. Wpatrywała się we własne ręce, składające i rozkładające niebieską chustkę. - Wysłałam mamie podobny jedwab na urodziny. Podziękowała w następnym liście, ale widać, że jej się nie spodobał. Niestety, nie mogłam sobie pozwolić na nic innego. - Uśmiechnęła się do niego, ale za uśmiechem kryły się łzy. - Cóż, wszystkim jest trudno w dzisiejszych czasach.

- Ta twoja praca nie jest dobrze płatna?

- Praca jest w porządku. Ale widzisz... Mitch nie bardzo może robić cokolwiek. Choruje na płuca...

Bart poczuł natychmiast, że nie lubi Mitcha, który był najwyraźniej próżniakiem, pasożytującym na Ericie. To niesprawiedliwe. Była z nim związana, to jasne, ale z jakiego powodu musiała go utrzymywać? Dlaczego jest taka blada i wycieńczona, dzieląc życie z tym typem? Byłoby znacznie lepiej, gdyby wrócili za Atlantyk.

Facet jest Amerykaninem. Jeśli by wyprawić ich za ocean, Mitch będzie mógł wrócić do miejsca, z którego pochodzi, a Erica pojechać na New Providence do matki.

- Masz odłożone jakieś pieniądze? - spytał.

- Trochę - odparła, otwierając szeroko oczy. - Dlaczego pytasz?

- Mam znajomego, który odpływa pojutrze do Trinidadu. To jest statek handlowy, ale zabiera również ludzi.

Zdaje mi się, że van Kreg ma

207

niekompletną listę pasażerów. Co byś powiedziała, gdybym załatwił wam podróż?

- Ach, Bart! - jej twarz się rozpromieniła.

- Będziecie musieli zapłacić, ale mogę uzyskać dla was zniżkę. Poza tym statki handlowe są o wiele tańsze od pasażerskich, wiesz o tym sama.

- Tak, oczywiście! - Erica zerwała się, uśmiechnięta, tym razem bez skrywanego cienia smutku, a w jej złotych oczach lśniła nadzieja. - Jak cudownie będzie znaleźć się znów na morzu! I jestem pewna, że podróż okaże się zbawienna dla Mitcha. Matka zawsze miała się lepiej podczas rejsów morskich.

Nic mnie nie obchodzi zdrowie Mitcha - pomyślał Bart. Ale niech sobie korzysta z morskiego powietrza.

Bartowi było to zupełnie obojętne, byle tylko Erica Tregarvon mogła powrócić do matki, i lepszego życia.

- Dobrze, wobec tego pozostaw mi załatwienie tej sprawy. Skontaktuję się z van Kręgiem i zobaczymy, co da się zrobić. Muszę się z tym uwinąć szybko, bo niedługo wypływamy.

- W takim razie idę. Muszę być zresztą w pracy za dwie godziny.

- Pracujesz w nocy?

- Tak, w klubie.

- Erico!

- Nieważne! - powiedziała ze śmiechem. - Wygląda, że szybko go porzucę.

- Do licha, mam nadzieję! - Bart sam był zdziwiony, do jakiego stopnia zaszokowała go i rozgniewała informacja Eriki. - Czy jest jakiś telefon, pod którym można cię znaleźć?

- Tak, w klubie. Nazywa się Zebrę, tylko, że tam patrzą niechętnie na krupierów odwoływanych od stołu.

- Na miłość boską, Erico, nie pracujesz chyba jako krupierka?

- Owszem, pracuję, i nie ma co robić wokół tego wielkiego szumu. Po prostu zarabiam na chleb!

Posmutniała znowu i to z jego winy. Bart był wściekły na siebie.

- Przepraszam cię. Jeśli mówisz, że praca jest w porządku, to musi tak być. Masz jeszcze jakiś telefon?

Dała mu numer klubu i hotelu Nevette. Bart zanotował oba.

- Posłuchaj, zadzwonię do van Krega natychmiast. Powinnaś dostać odpowiedź jeszcze dziś, może jutro. Czy tak będzie dobrze?

- Więcej, niż dobrze: cudownie. Dziękuję ci, Bart.

Pocałowała go w policzek. Chciał ją objąć, ale cofnęła się od razu. Oczywiście. Teraz była dziewczyną kogoś innego. Odprowadził ją do nabrzeża.

- To tymczasem, Erico. Do widzenia.
 - Zobaczymy się jeszcze kiedyś? Wzruszył ramionami.
 - Zależy, gdzie będę pływał. Raczej wątpliwe, żeby nadarzyła się
- 208

sposobność przewożenia czegokolwiek na Bahamy. Ale miewam krótkie urlopy. Mógłbym złapać samolot z Buenos Aires do Miami i wpaść cię odwiedzić. Będziesz w Nassau?

- Tak. Pytaj o mnie w British Colonial.
- To do zobaczenia.

Wyciągnęła do niego rękę. Właściwie miał ochotę wziąć ją w ramiona i pocałować, ale zdążyła przybrać swój dawny wyraz twarzy nieprzystępnej panny Tregarvon. Uścisnęli więc tylko dłonie, a potem Bart patrzył w ślad za nią, gdy oddalała się, idąc pomiędzy wyspami światła, rzucanego przez latarnie nabrzeżne.

Dlaczego dopuścił, by wszystko między nimi wygasło? Na swoje usprawiedliwienie mógł powiedzieć, że miał jej bardzo niewiele do zaoferowania - ale przecież i tak więcej, niż jej aktualny partner. Dlaczego był wówczas takim głupcem? Potrząsnął głową z ubolewaniem i poszedł do kawiarni portowej, zatelefonować do van Krega.

Kiedy Erica dotarła do hotelu zapadł zmrok. O siódmej trzydzieści jadali zazwyczaj kolację. Mitch czekał na nią pełen niepokoju.

- Gdzieś ty się podziewała, skarbie? Nie było cię przeszło cztery godziny!
- Poszłam na spacer...
- W taką pogodę?
- Ach, Mitch, posłuchaj tylko, zdarzyło się coś cudownego! Spotkałam kogoś znajomego, kto był kiedyś oficerem na *Langrovii*...
- *Langrovia*?! - przerwał Mitch. - Płynąłem nią jakieś... zaraz, niech policzę... dziewięć lat temu?
- Tak, obie z matką przypomnialiśmy sobie... - Erica urwała. To wszystko wydawało się tak odległe, nierealne, jak historia oglądana na ekranie. - Nie będziesz go znał. Nazywa się Bart Crosley.
- Nie, nie mogę powiedzieć, żebym...
- Bo to było później. Poznałyśmy go, kiedy był drugim oficerem.
- Aha - powiedział Mitch żywszym tonem, którego nie słyszała od wielu dni. - Jedna z twoich dawnych sympatii, co?

Erica złapała oddech.

**- Matka uprzedzała mnie, żebym się nigdy nie wdawała w bliższe znajomości z oficerami na statku -
odpowiedziała ze śmiechem.**

- Znakomita rada. Mam nadzieję, że wzięłaś ją sobie do serca. Więc spotkałaś dziś tego oficera z *Langrovii*''!

- Tak, ma teraz własny statek, *Carico*.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

**- Możliwe, bo to tylko średniej wielkości statek handlowy. Ale chcę ci powiedzieć coś zupełnie innego! Otóż
Bart twierdzi, że może nam załatwić tani rejs u znajomego, kapitana van Krega.**

- Rejs? Dokąd?

- Do Trinidadu!

14 - Nieodrodna córka

209

- **Trinidadu?**
- **Pomyśl tylko, Mitch! Z Trinidadu do New Providence są dosłownie dwa kroki! Możemy wsiąść w miejscowy samolot do New Providence. W ten sposób będziemy tam za tydzień, najdalej dwa.**
- **Ale czy ja chcę być na New Providence? - zastanowił się Mitch tonem pełnym wątpliwości.**
- **Naturalnie! W Nassau jest moja matka, która pomoże nam znaleźć jakieś mieszkanie, a ja będę mogła dostać pracę.**
- **Hej, hej, nie tak prędko! Uważasz za oczywiste, że zostaniemy radośnie powitani.**
- **To oczywiste!**

Mitch potrząsnął przecząco głową.

- **Nie byłbym tego taki pewien. Twoja mama nie darzy mnie sympatią.**
- **Mama nigdy cię właściwie nie poznała.**
- **Słuchaj, Erico, nie wpadaj w euforię tylko dlatego, że masz szansę wrócić do domu... - Mitch urwał: - Rzeczywiście, to wspaniała okazja i powinnaś jechać.**
- **Na pewno nie ruszę się nigdzie bez ciebie!**
- **Ale co na to twoja mama? Zawsze wyczuwałem, że uważa mnie za kogoś spoza towarzystwa...**
- **Co za absurd! A poza tym, jakie to ma znaczenie? Mamy czas pomyśleć o tym na miejscu. Przecież chcesz wyjechać, prawda?**
- **Do Trinidadu?**

Mitch uświadomił sobie, że w Trinidadzie może się pożegnać z Erką. Nie musi koniecznie towarzyszyć jej do Nassau, stawiając wszystkich w piekielnie kłopotliwej sytuacji. Znajdzie jakiś sposób, żeby się dostać do Stanów.

- **Będzie nam po prostu prze wspaniale, Mitch! Błękitne niebo, ciepłe morze, żadnego mistralu...**
- **I ludzie dookoła mówiący zrozumiałym językiem.**
- **Poncz z rumem.**
- **Ani śladu bagietek.**
- **Nie lubisz bagietek?**
- **Nie cierpię. Do licha, czy nie byłoby cudownie zjeść hot doga z naprawdę miękką bułką?**
- **I owoce, tak tanie, że za szylinga można kupić cały kosz.**
- **Kelner, który się do ciebie szczerze uśmiecha.**

- Pokojówka, która nie rusza zostawionych na krzesle ubrań...
- Pokój, w którym nie masz uczucia, że za chwilę chyba wyskoczysz przez okno.
- Mitch! Naprawdę tak się czułeś? - zawołała Erica, wstrząśnięta.
- Nie, nie, dziecino, było całkiem dobrze, wprost świetnie.
- Ale nienawidziłeś tego pokoju?
- No... powiedzmy - zaśmiał się niewesoło.

210

- Ależ Mitch, kochany, dlaczego mi nic nie powiedziałeś?
- I co by to dało?
- Mogliśmy przenieść się gdzie indziej.
- Właśnie mamy zamiar to zrobić, prawda?
- Nie myślisz, że za bardzo się rządę, planując to wszystko?
- Tym razem, wyjątkowo, możesz się rządzić do woli!

Po czym rzucili się sobie w ramiona i odtańczyli taniec radości.

Przy kolacji snuli fantastyczne plany podróży. Teraz, kiedy już wiedzieli, że wyjadą, wyznawali sobie wzajemnie, czasem ze śmiechem, to znów z westchnieniem, jak bardzo nie znosili życia w Marsylii. Erica zwierzyła się, że Celine nie raz i nie dwa ratowała ją przed zbyt energicznymi admiratorami. Mitch oświadczył, że ma powyżej uszu madame Soupbran, która dla oszczędności wyłączała elektryczne wentylatory nawet w najgorętsze dni letnie i wyrabiała niekształtne kostki mydła ze zużytych resztek.

Następnego dnia Erka wróciła z klubu jak zwykle o wpół do piątej rano. Spała do ósmej, po czym wstała cicho, żeby nie obudzić Mitcha, i wybierała się właśnie do pobliskiej kawiarni na śniadanie, kiedy zawołano ją do telefonu. Aparat znajdował się w foyer hotelowym. W pobliżu kręciła się madame Soupbran, ogromnie zainteresowana tematem rozmowy.

- Słucham? - powiedziała Erica. - Mówi Erica Tregarvon.
- Madame Tregarvon? Mam nadzieję, że nie dzwonię za wcześnie? Dość młody, męski głos wymówił jej nazwisko, jakby było francuskie.
- Nie, wcale nie. Z kim mam przyjemność?
- Moje nazwisko Schelmer, jestem oficerem rachunkowym na *Iridei*. Kapitan van Kreg polecił mi porozumieć się z panią w kwestii podróży do Trinidadu.

- Tak, słucham pana.
- Jak rozumiem, chodzi o panią i monsieur?
- Tak.
- Kapitan prosił o przekazanie, że z przyjemnością przyjmie państwa na statek. Zdaje się, że rozmawiała pani o tym z kapitanem Crosleyem?
- Tak, omawialiśmy to wczoraj.
- Więc pani, że wypływamy jutro? Czy mogą państwo być gotowi w tak krótkim terminie?
- O tak, bez najmniejszego kłopotu.
- To się świetnie składa, madame. Dopełnimy wszelkich formalności, kiedy będą już państwo na pokładzie. Potrzebne będą paszporty i odpowiednia kwota na opłacenie podróży. Czy są państwo przygotowani?
- Oczywiście. O której mamy się pokazać?
- Czy mogliby państwo przyjść nie później, niż o czwartej po południu? Wypływamy o siódmej. Kolacja zostanie podana w jadalni dla pasażerów o ósmej. Nawiasem mówiąc, wie pani zapewne, że *Iridea* jest statkiem handlowym, więc nie obowiązuje specjalna etykieta. Nie ma

potrzeby przebierać się do kolacji, chociaż panów prosimy o włożenie marynarki i krawata.

- Dziękuję panu, rozumiem doskonale.

- Więc powitam państwa na pokładzie jutro po południu, madame?

- Myślę o tym z przyjemnością.

- Dziękuję, madame Tregarvom. *A demain.*

Erica odłożyła słuchawkę. Madame Souppran kręciła się niespokojnie w recepcji.

- Widzę z pani twarzy, że to dobra wiadomość, mademoiselle Erica?

- Jak najbardziej.

- Cieszę się. Szykuje się coś przyjemnego? Może przyjęcie?

- Coś jeszcze lepszego. Ale muszę już iść, madame. Jules na pewno przygotował mi kawę.

W kawiarni ledwie zdołała już przelknąć kilka kęsów z przejęcia i podniecenia. Inni stali bywalcy patrzyli na nią z ciekawością: radość bila z jej twarzy.

Kiedy wróciła do Nevette, Mitch był już na nogach. Czekał w szlafroku - potrzebował rano dłuższej chwili, by się rozbudzić. Gdy ją zobaczył, wiedział od razu, że dostała oczekiwaną wiadomość.

- Więc wszystko załatwione?

- Ach, Mitch! - objęła go i uściśliła mocno. - Jutro o czwartej.

- Rano? — zawołał, udając przerażenie.

- Nie, głuptasie, po południu. Odplywamy o siódmej, kolacja o ósmej. Statek nazywa się *Iridea*.

- Niech Bóg błogosławi i statek, i wszystkich, którzy nim płyną.

- Czy to nie fantastyczne? - Erica roześmiała się. - Madame Souppran podsłuchiwała, umierała z ciekawości, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

- Powiedziałaś jej? - spytał Mitch, a widząc, że kręci głową, zaproponował: - Chodźmy jej powiedzieć. Przy okazji wręczmy jej w prezencie ten ohydny kawałek mydła, którym nas uraczyła w sobotę.

Mitch nie chciał, żeby Erica szła tego wieczora do klubu. Mogła przekazać wiadomość o wyjeździe.

- Ale należą mi się pieniądze, Mitch - zaprotestowała. - Poza tym chciałabym się pożegnać. Celinę była dla mnie bardzo dobra.

- Wobec tego idę z tobą. Ale odbierzesz pieniądze i wracamy. To miejsce nie podobało mi się od początku.

- Dobrze.

Teraz już mogła ustąpić i nie protestować przeciw jego przesądom. Wkrótce klub Zebrę będzie tylko wspomnieniem. Celinę zasmuciła się, usłyszawszy nowinę.

- *Ah, ma p'tite*, będzie mi cię brakowało - westchnęła. - Ale wracasz do siebie, *n'est-cepas!* Nie mogą mieć ci tego za złe. O, pan Harrowford. Proszę przypomnieć Erice, żeby do nas napisała.

293

Erica przygotowana była na wymówki, że wypowiada pracę z dnia na dzień. Ale okazało się, że nowy kierownik ma przyjaciółkę, którą chce zatrudnić jako krupierkę, więc wszystko się szczęśliwie ułożyło. Erica odebrała kopertę ze swoją należnością i wyszli.

- Do widzenia, Zebrę - powiedziała, odwracając się za siebie i obejmując wzrokiem fasadę budynku.

- Do widzenia, a raczej do niewidzenia - parsknął Mitch, ponagłając ją do odejścia.

Pakowanie nie zabrało im dużo czasu; w ciągu roku i trzech miesięcy, które spędzili w Marsylii, nie dorobili się wiele. O wpół do czwartej pożegnali się z państwem Souppran i z sąsiadami z hotelu. Ponieważ mistral wiał nadal, a uporczywa mżawka dawała się we znaki od rana, pozwolili sobie wyjątkowo na taksówkę, która ich zawiozła do portu.

Oficer rachunkowy czekał u szczytu trapu, by powitać ich na pokładzie *Iridei*. Nadchodzili inni pasażerowie, których bagaże zanoszono do kabin lub składowano w ładowni.

- Monsieur, madame, pozwolą państwo do biura. Tędy, proszę. Oficer przysunął krzesła i obdarzając ich uśmiechem, spytał, czy nie napiliby się herbaty, a gdy odmówili, przystąpił do rzeczy.

- Mogę prosić o państwa paszporty? - spojrzał wyczekująco na Mit-cha i wydawał się trochę zbity z tropu, gdy Erica podała mu swój.

Otworzył oba dokumenty i zaczął czytać półgłosem:

- Angielka... Amerykanin... - po czym podniósł na nich wzrok i skonsternowany odezwał się po angielsku: - Ależ... sir... madam... to jest panno Tregarvon... jest mi ogromnie przykro...

- O co chodzi? - spytał Mitch, zdziwiony.

- Państwo nie są małżeństwem?

- Jak widać, nie.

- Ale... ale... poinformowano mnie... w każdym razie zrozumiałem, że tak jest... naprawdę ogromnie mi przykro...

- Czy mogę się dowiedzieć, o co chodzi? - spytał chłodno Mitch, z nutą zniecierpliwienia w głosie.
- Mamy do dyspozycji jedynie podwójną kabinę.
- Zgadza się. Wszystko w porządku - wtrąciła szybko Erica.
- Nie, niestety nie. To jest zupełnie niemożliwe. Zajmowanie jednej kabiny przez parę, która nie ma ślubu, jest niezgodne z naszym regulaminem.
- Słucham?
- Taki jest przepis. Pewnie państwo o tym nie wiedzą...
- O Boże - jęknął Mitch.

Oficer miał rację i oboje dobrze o tym wiedzieli. Niejednokrotnie zdarzało im się widzieć na statku biznesmena z „sekretarką”, mieszkających w osobnych kabinach, chociaż wszyscy na pokładzie wiedzieli świetnie, że są kochankami. Mimo to nie wolno ich było umieścić razem! Podobnie miała się sprawa z hotelami - pary pozostające w nielegalnych

związkach musiały się rejestrować jako „Państwo Smith”. Ale na pokładzie było to bardziej skomplikowane, ponieważ trzeba było wylegitymować się paszportem.

Erkę ogarnęła rozpacz. Uczucie zawodu było tak dojmujące, że po prostu ją poraziło, siedziała jak sparaliżowana, niezdolna przemówić ani zareagować w jakikolwiek sposób. Po chwili zwróciła oczy na Mitcha-twarz miał szarą i wyglądał na ciężko chorego. On przeżył jeszcze gorszy wstrząs. Zrozumiała jak bardzo chciał się stąd wyrwać.

Nie mogła dopuścić, żeby stracił w tak bezsensowny sposób szanse wyjazdu.

- Zaraz! - wykrzyknęła. - Zaszło nieporozumienie.

- Tak, niestety, mademoiselle. Żałuję niezmiernie...

- Nie, chwileczkę. Widzi pan...

- Tak?

- Pan Harrowford i ja nie jesteśmy małżeństwem, to prawda. Ale od dawna pragniemy się pobrać.

Chcielibyśmy, żeby kapitan udzielił nam ślubu na morzu.

- Panno Tregarvon!

- Erko... - zaczął Mitch.

- To moja wina, powinnam była poprosić kapitana Crosleya, żeby wyjaśnił to panu dokładnie, panie Schelmer - ciągnęła pospiesznie, nie dopuszczając Mitcha do głosu. - Oczywiście nie możemy się spodziewać, że kapitan van Kreg udzieli nam ślubu natychmiast, musimy najpierw wypłynąć z portu, prawda?

- Tak - odparł oficer słabym głosem. - Ceremonia musi się odbyć na wodach eksterytorialnych.

- Poza tym kapitan będzie bez wątpienia zajęty swoimi obowiązkami do wieczora. Więc zdawało nam się, że najlepiej byłoby to urządzić po kolacji, prawda, kochanie? - zwróciła się do Mitcha, ujmując go za rękę i ściskając ją mocno.

- Erko, mówisz jakieś bzdury...

- Bzdury?... - powtórzył Schelmer.

- To taki amerykański idiom, pewnie go pan nie zna - pospieszyła z wyjaśnieniem Erica. - To znaczy, że daję się ponieść romantycznym mrzonkom. Nie zaprzeczę, jestem romantyczką i ślub na morzu był moim pomysłem. Mogliśmy równie dobrze pobrać się w Marsylii, nasi przyjaciele z hotelu Nevette tak bardzo nalegali, prawda, Mitch, najmilszy?

- Enco - szepnął Mitch ledwie dosłyszalnie. Przedstawienie, jakie odegrała na jego oczach, pozbawiło go mowy.

- Jak zwykle, za dużo mówię, przepraszam, kochanie. Ale jestem taka szczęśliwa! Pan to chyba rozumie, panie Schelmer?

- Tak, oczywiście - przytaknął oficer, wczuwając się w nastrój chwili. - Czy mogę przeprosić państwa na kilka minut? Muszę spytać kapitana o zgodę.

296

- Tak, tak, jak najbardziej. Ale proszę, niech pan powie kapitanowi van Kreg, że dzięki niemu w cudowny sposób wkroczymy na naszą drogę życiową.

Zaledwie drzwi zamknęły się za oficerem, Erica ruszyła do ataku:

- Mitch, tylko nie mów, że się nie zgadzasz! Inaczej stracimy miejsce na statku.

- Do pioruna, przecież nie możesz tego zrobić!

- Dlaczego? Zapropnowałeś mi kiedyś małżeństwo. Pamiętasz? Na *Providence*.

- Tak, a ty powiedziałaś, że nie chcesz wychodzić za mąż.

- No to zmieniłam zdanie. Chcę odbyć tę podróż jako pani Erica Harrowford.

- Zwariowałaś! Musimy po prostu poczekać na inny statek.

- Nie możemy, Mitch - powiedziała Erica błagalnym tonem. - Spaliliśmy za sobą mosty. Nie możemy się teraz nagle rozmyślić. - Nie mogła już myśleć o nocnej pracy w Zebłę, o pokoju, w którym Mitch czuł się tak, że miał ochotę wyskoczyć przez okno.

- Czy zdajesz sobie sprawę z wagi tej decyzji?

- Kochany, mieszkaliśmy razem przez ponad rok i wszyscy traktowali nas jak małżeństwo.

- Ale nim nie jesteśmy i nie ma co udawać, że to wszystko jedno. Nie nadaję się na męża.

- Na miłość boską, Mitch, przecież chodzi o tę podróż! Nikt ci nie każe traktować tego poważnie! Jeśli chcesz, pojedę za miesiąc czy dwa do Reno i dostanę rozwód!

To go trochę uspokoiło. Zmarszczył brwi.

- Nie przejmuj się, nie ma czym - mówiła Erica z przekonaniem. - Weźmy ten ślub i bądźmy państwem Harrowford jakiś czas... dopóki nie zechcemy odzyskać wolności. Zróbmy ten krok, Mitch, bo ja nie jestem w stanie wrócić do starego życia, po prostu nie jestem w stanie!

Obserwowała go wielokrotnie przy brydżu, kiedy sprawdzał w myśli karty, i planował kolejny ruch. Teraz także mogła odczytać uczucia z jego twarzy. Przez chwilę milczał, w końcu westchnął.

- Hm - powiedział z namysłem - wobec tego powinienem zejść z powrotem na brzeg, co?

- Po co?

- Obrączka, kochanie, obrączka. Jeśli planowaliśmy romantyczny ślub na morzu, nie mogliśmy zapomnieć o obrączce.

- Och, Mitch! - Erica zaśmiała się trochę niepewnie, dotykając dłonią jego policzka. - Zawsze przewidujesz przynajmniej dwa ruchy do przodu.

Oficer wrócił uśmiechnięty. Kapitan van Kreg nie miał jeszcze okazji udzielać komukolwiek ślubu, choć zawsze pragnął dopełnić tej ceremonii. Z ogromną przyjemnością połączy węzłem małżeńskim pannę

Tregarvon

215

z panem Harrowfordem. Najstosowniejszą chwilą na ceremonię, tak jak zaplanowała panna młoda, będzie godzina po kolacji.

- Ach, bajecznie! - zawołała szczęśliwa narzeczona.

Mitch oznajmił, że musi zejść na ląd, bo przypomniał sobie o ważnym telefonie.

- W każdej chwili - zgodził się Schelmer - tylko poproszę jeszcze, żeby był pan łaskaw uregulować opłatę za bilety.

- Oczywiście.

Zaprowadzono ich do kabiny, o wiele skromniejszej niż te, w których dotąd mieszkali na statkach, niemniej zupełnie wygodnej. Mitch pocałował Ericę w czoło i pospieszył do wyjścia, a ona zabrała się do rozpakowywania walizek.

Wrócił ze zwykłą, taną obrączką i z wiązką orchidei.

- Mitch!

- Panna młoda musi mieć bukiet.

Była to ekstrawagancja, prawie szaleństwo, ale Erica wzruszyła się niemal do łez.

Przy kolacji było już jasne, że wszyscy wiedzą o ślubie. Na statku było sześciu pasażerów: włoski handlarz wyrobami tytoniowymi i jego żona, trzech Francuzów podróżujących w interesach oraz student z Hagi. Z racji uroczystej okazji postanowiono mówić po angielsku. Kapitan van Kreg, którego poznali dopiero teraz, polecił przynieść szampana - może nie najwyższej marki, ale i tak znacznie lepszego od wszystkiego, na co było ich stać przez ostatnie miesiące.

- Musimy wypić toast! - zawołał kapitan. - Zdrowie panny młodej i pana młodego! Wszystkiego najlepszego oraz długiego i szczęśliwego życia!

Dziękujemy, dziękujemy...

Żadne z narzeczonych nie było w stanie odpowiedzieć na toast. Ale nikt im się nie dziwił. Czekало ich coś niezwykłego - i jakież to romantyczne. Pozdrawiano ich uśmiechem, gdy siedzieli milcząco i zakłopotani.

Po kolacji wszyscy przeszli do salonu - z konieczności niezbyt dużego, ponieważ *Iridea* była statkiem handlowym. Pan Schelmer zgodził się być drużbą, a signora Travoriano przystąpiła z radością na rolę „starościny”. Kapitan van Kreg, ubrany w galowy mundur, przyniósł dwie grube księgi. Modlitewnik Holenderskiego Kościoła Protestanckiego, oraz regulaminu spółki okrętowej. Kapitan przypominał niedźwiedzia, który za chwilę wykona cyrkowy numer z rekwizytami.

- Panie i panowie, nigdy jeszcze nie przypadła mi w udziale podobna rola - zaczął, patrząc na nich z góry. - Ale zjrzałem do regulaminu i sądzę, że wiem, co należy do moich obowiązków. Naturalnie nie mogę dopełnić ceremonii w taki sposób, w jaki robi to ksiądz. Księga przepisów dozwala mi użyć dowolnej uroczystej formuły, pod warunkiem, że znajdą się w niej przepisowe pytania, a małżeństwo zostanie oficjalnie zarejestro-

299

wane. Pewnym problemem jest modlitewnik, bo ten oto - tutaj potrząsnął mszałem - jest jedynym, jaki posiadam. Będę więc musiał tłumaczyć z holenderskiego. Czy wszystko jest jasne?

- Co on mówi? - szepnęła po włosku signora Travoriano do męża.

- Czy to nie wszystko jedno? - odszepnął w odpowiedzi. - Ślub bez księdza i tak się nie liczy.

- Miałem piekielny kłopot ze znalezieniem odpowiednich formularzy, które musicie podpisać, żeby wasze małżeństwo było legalne. - Twarz kapitana rozpromieniła się. - Ale mój pierwszy oficer wszystko przygotował jak należy. Gotowi?

Kapitan van Kreg rozejrzał się wokół, po czym utkwił rozradowany wzrok w pannie młodej i panu młodym. Erica dotknęła bukiecika orchidei, a potem odwróciła głowę, i spojrzała na Mitcha. Gdyby powiedział w tej chwili, że powinni się wstrzymać, zgodziłaby się niemal z wdzięcznością, bo teraz, kiedy miało się to wydarzyć, nie wiedziała już sama, czy postępują słusznie.

Mitch wciągnął głęboko powietrze, i po czym, zupełnie jakby siedzieli przy stoliku brydżowym^uśmiechnął się do niej nieznacznie, co zawsze znaczyło: „wychodzisz”.

- Jestem gotowa - powiedziała Erica.

- Świetnie. Panie i panowie, zebraliśmy się tutaj na pełnym morzu, aby połączyć tę oto kobietę i tego mężczyznę świętym węzłem małżeńskim...

**Amy Tregarvon była szczęśliwa - oto po blisko dwóch latach rozłąki miała powitać swoje najmilsze dziecko!
A w dodatku, Erica wracała do domu jako młoda mężatka.**

Amy wynajęła i przygotowała dla młodej pary bungalow przy East Bay Street. Przypilnowała sprzątanania i ułożenia kwiatów, nadzorowała wypakowania i rozmieszczenia zapasów kuchennych. Wreszcie, o wiele za wcześnie, pojechała na lotnisko, gdzie już czekał wynajęty samochód.

W chwilach stresu Amy na ogół siadała przy stole i układała pasjansa. Ale tutaj, na Oakes Field, nie miała takiej możliwości. Spacerowała więc tam i z powrotem, przystając co jakiś czas przed stoiskiem z gazetami i prześlizgując się wzrokiem po nagłówkach. Starła się ostatnio nie zwracać uwagi na wiadomości, od jakiegoś czasu jedna była gorsza od drugiej. „Rejestr służb wojennych: podajemy dane liczbowe”. „Włochy wypowiadają Porozumienie”. O co tu w ogóle chodziło?

Dla niej nieporównanie ważniejsza była pogoda. Popatrzyła na niebo: błękit, a na nim białe obłoki, podobne do kłębków waty, które mogły być zapowiedzią krótkiego, odświeżającego deszczu, temperatura w granicach 80 F. Pogoda zdecydowanie lepsza niż w zeszłym miesiącu, kiedy jakiś zapóźniony huragan przyniósł im niezwykle silne wiatry, które zgięły wpół palmy i pozrywały dachówki z kilku domów.

Amy martwiła się o Ericę podróżującą na pokładzie *Iridei*. Statek nie był duży, myślała, większa fala będzie nim rzucała jak lupiną, to zupełnie co innego niż wielkie liniowce, do których przywykła jej córka. Co prawda Erica zawsze czuła się świetnie na morzu, a *Iridea* dopłynęła szczęśliwie do Trinidadu.

**Kłopoty zaczęły się później. - W małych samolotach, latających pomiędzy Wyspami Karaibskimi miejsca były zarezerwowane na długo naprzód. Ostatecznie młoda para zmuszona była polecieć z Trinidadu do
218**

Hawany, z Hawany do Miami i dopiero z Miami do Nassau, co oznaczało całe trzy dodatkowe dni w podróży. Nieważne. Kiedy już dotrą do domu, będą mieli mnóstwo czasu, żeby odpocząć. Ich domek urządzone był naprawdę uroczo: mahoń, wzorzyste obicia i kominek, choć naturalnie nikt nie będzie nawet próbował w nim zapalić. Amy była pewna, że młodej parze będzie się tam podobało. Przynajmniej bez wątplenia będzie się tam podobało Ericie.

Nie miała jednak podobnej pewności, co do Mitchella Harrowforda.

Właściwie wcale nie знаła tego człowieka! Żeby własna córka wyszła za mąż za kogoś, z kim ona sama nie zamieniła nawet kilku zdań! Ale zaraz zaczęła robić sobie wymówki. Erica wiedziała, co robi. Erica była nieodrodną córką swego ojca, rozsądną, opanowaną. A w tym wypadku na pewno nie straciła głowy znając Mitchella od bardzo dawna, była jego partnerką.

Właśnie. Amy nie rozumiała tego słowa. Tak czy owak, cokolwiek się za nim kryło w przeszłości, teraz wszystko było w najlepszym porządku: Mitchell i Erica byli po ślubie. Nikt w Nassau nie będzie mógł powiedzieć o nich złego słowa.

Megafon przebudził się nagle i zatrzeszczał. Samolot z Miami zbliżał się do lotniska Oakes Field. W chwili potem Amy usłyszała warkot. Zaciskając nerwowo dłonie, pospieszyła do wyjścia, by popatrzeć na dwuśmigłową maszynę, kołującą nad budynkiem lotniska. Wreszcie silniki zatrzymały się i ucichły.

Do samolotu podjechały schodki. Następnie otworzyły się drzwi od kabiny pasażerów i ukazali się pierwsi podróżni. Starsze małżeństwo, które Amy знаła z widzenia, państwo Carruthers, powracający z wizyty u krewnych na Florydzie. Kilku biznesmenów z teczkami, rozmawiających z sobą przez ramię nawet podczas schodzenia ze schodków. Pospieszcie się, przynagliła Amy, chcąc wreszcie zobaczyć swoją córeczkę.

Trzy panienki wracające ze szkoły, by spędzić Boże Narodzenie z rodzicami, jakaś para bardzo młodych ludzi, wyraźnie w podróży poślubnej. Pan Gadley, który prowadził restaurację na terenie Yacht Clubu, młoda kobieta... - Amy podniosła rękę, żeby pomachać, ale nie, to nie była Erica, dziewczynę przywitał młody człowiek stojący po prawej stronie Amy.

I w końcu, jakby w zwolnionym tempie, Erica... z wyciągniętą ręką, przytrzymująca kogoś za ramię... i poruszający się równie wolno mężczyzna. Schodzili oboje ze schodków z wielką ostrożnością.

- Erico!

Jej córka odwróciła się w połowie schodków i zobaczyła ją. Na chwilę zastygła w bezruchu. Podniosła rękę, ale natychmiast odwróciła głowę, patrząc na idącego za nią mężczyznę.

Amy ruszyła naprzód po płytach lotniska. Zdażyła przejść połowę

dzielącej ich odległości, kiedy oni stanęli na ziemi i skierowali się w jej stronę. Amy zatrzymała się, patrząc na córkę.

Jakże ona się zmieniła! Chudsza, bledsza, ubrana w mocno podniszczoną bawełnianą sukienkę, z torbą podróżną na ramieniu i... mężem.

Nie przypominał w niczym mężczyzny, którego pamiętała. Był nadal wysoki - tego niepodobna zmienić - ale teraz jakoś trochę przygarbiony. Dość wygniecione białe ubranie, no, przecież byli w podróży. Ale nie o to chodziło.

On jest chory, pomyślała Amy. Moja biedna dziewczynka poślubiła chorego człowieka.

- Kochanie! - wykrzyknęła, przebiegając ostatnich kilka kroków i obejmując mocno Ericę. Przyłgnęły do siebie, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Po dłuższej chwili rozluźniły uścisk i Amy zwróciła się w stronę zięcia.

- A więc to jest Mitchell - powiedziała. - Witaj w Nassau. Wyciągnęła do niego rękę i nadstawiła policzek do pocałunku.

- Dziękuję, pani Tregarvon - Mitch uściśnął jej dłoń i pocałował ją. Wargi miał suche i gorące. Ma wysoką temperaturę, pomyślała Amy.

- Tędy, tędy.

Zagarnęła ich ze sobą, prowadząc do sali przylotów, gdzie wszelkie formalności zredukowano do minimum. Nassau szczyciło się swoją gościnną atmosferą w stosunku do przybyszów. W ciągu kilku minut byli już na zewnątrz, ich bagaż znalazł się w samochodzie i szofer ruszył, mijając pomalowane na białło kamienie, okalające drogę z lotniska i tereny golfowe. Jechali do Nassau.

- Mam nadzieję, że spodoba wam się dom, który dla was wynajęłam -oznajmiła Amy. - Jest własnością sir Harry'ego, jak wiele innych. Zamówiłam trochę jedzenia - mleko, chleb i tak dalej. Kucharka nie jest bardzo doświadczona, ale możesz ją przyuczyć, Erico. Na imię ma Neginah, wydaje mi się, że to wzięte z Biblii...

- Mamo - powiedziała Erica, ściskając jej rękę - uspokój się.

- Racja, kochanie - Amy wzięła głębszy oddech. - Przepraszam. Jestem kłębkim nerwów. Wybacz mi, Mitchell - dodała, uśmiechając się do niego - ale nigdy jeszcze nie byłam teściową.

- To wyrównuje nasze pozycje, boja nigdy jeszcze nie byłem zięciem. Amy pomyślała, że jego głos brzmi dziwnie, jakby wydobywał go

z pewnym trudem - z lekką chrypką, choć jeszcze nie chrapliwie. Zdawało jej się, że oddycha nierówno.

- Mielście dobrą podróż?

- Nie bardzo.

- Martwiłam się nie na żarty doniesieniami o sztormach. Ale na tobie nigdy nie robiła wrażenia nawet najgorsza pogoda, kochanie - zwróciła się Amy do Eriki.

Jej córka uśmiechnęła się smutno.

- Tak, mam, w dawnych, dobrych latach, kiedy większość życia

303

spędzaliśmy na statkach. Ale Mitch i ja mieszkaliśmy na łądzie około półtora roku... Obojgu nam choroba morska dała się wyjątkowo mocno we znaki.

- Ach, kochanie, to okropne! - wykrzyknęła Amy, ale poczuła ulgę. Choroba morska nie była niczym poważnym, ot, drobną dolegliwością, o której zapomina się w ciągu kilku dni. To pewnie dlatego oboje tak źle wyglądali...

W trakcie jazdy samochodem rozmowę podtrzymywały Amy i Erica. Amy zorientowała się natychmiast, że córka niechętnie mówi o życiu w Marsylii, ale obie miały za sobą lata praktyki w towarzyskich pogawędkach - konwencjonalna paplanina uprawiana w czasie rejsów wycieczkowych, blahe informacje wymieniane z innymi pasażerami.

Mitch nie odzywał się prawie wcale. Amy zauważyła, że patrzy przez okno samochodu jakby chciał na zawsze utrwalić w pamięci mijane widoki.

Zaintrygowana, wyjrzała również. Na cóż tak patrzył? Gęstwina zieleni pod słonecznym niebem, drzewa kazuaryny ze swymi długimi warkoczami z liści, chwiejące się lekko w podmuchach morskiej bryzy, barwne bugenwille, różowe domy z zadbanymi trawnikami i fontannami - otwarta przestrzeń, ciepło, zapachy, swoboda beztroski i spokoju.

- Mam nadzieję, że ci się tu spodoba - powiedziała cicho.

- O tak, jestem tego pewien.

Neginah przygotowała podwieczorek. Podróżnicy postanowili jednak przebrać się w czyste ubrania, nim zasiądą do herbaty z bułeczkami. Szofer wniósł bagaże, a Amy wręczyła mu należność, dodając napiwek.

Kiedy wróciła do domu, Erica wychodziła właśnie z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

- Mitch odpoczywa - oznajmiła. Nie będzie pił z nami herbaty.

- Erico, córeczko, co się z nim dzieje? - wybuchnęła Amy.

- Nie wiem. Chorował już wcześniej, ale nie tak. To wszystko przez tę sztormową pogodę, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo huśtało, mamó -powiedziała Erica zamykając oczy i przykładając rękę do czoła, jakby chciała odpędzić od siebie przykre wspomnienie.
- Uważasz, że do takiego stanu doprowadziła go uciążliwa podróż?
- Wszyscy pasażerowie cierpieli na chorobę morską. Pamiętasz, zawsze uśmiechałyśmy się z politowaniem, patrząc na ludzi, którzy się gorzej czuli. - Widząc, że matka przytakuje, Erica potrząsnęła głową. - Nigdy więcej nie uśmiechnę się z wyższością. Ja sama wstałam po dwóch dniach, ale Mitch nie. Dostał bronchitu. Ma kłopoty z płucami od czasu katastrofy.
- Ta potworna wojna! Jak można było zbombardować statek pasażerski?
- Mamó, zdarzyło się tyle gorszych rzeczy - odparła Erica. - Mieliśmy w gruncie rzeczy szczęście, udało nam się przeżyć. Ale Mitch został

naprawdę bardzo ciężko ranny i od tamtej pory nie odzyskał w pełni zdrowia.

- Zobaczysz, poprawi się z pewnością, aniolku. Sama się przekonałam, że tutejszy klimat jest zbawienny, choć wydawałoby się, że południe Francji...

- Mamo, Marsylia nie jest „południem Francji”, przynajmniej nie takim o jakim myślisz. Jest brudna i zadymiona. Nadszedł moment, kiedy poczuliśmy, że po prostu musimy wyjechać. Ale w pewnym sensie to ja zmusiłam Mitcha, żeby zgodził się na podróż, a teraz... czuje się o wiele gorzej, niż przedtem.

- Kochanie, przestań - uspokajała córkę Amy, obejmując ją czule. - To nie twoja wina. Jestem pewna, że chciałaś dla niego jak najlepiej.

- Oczywiście! Wiedziałam, że nasz wyjazd z Marsylii jest absolutną koniecznością.

- Koniecznością? Nie bardzo rozumiem, Erico. Myślałam, że czujesz się szczęśliwa, miałaś dobrą sympatyczną pracę i mile otoczenie.

Erica potrząsnęła przecząco głową. Znużenie malujące się na jej twarzy zdradziło ją mimo woli.

- Ale przecież w listach pisałaś...

- Mniejsza z tym, mamo, to już przeszłość. Udało nam się w końcu dotrzeć tutaj, gdzie mogę doprowadzić wszystkie sprawy do porządku. Mitch poczuje się lepiej, będę się nim opiekowała... znajdę pracę...

- Moja biedna malutka! - zawołała Amy, obejmując córkę i szlochając z twarzą ukrytą w gęstej fali włosów dziewczyny.

W drzwiach pojawiła się Neginah pytając, czy może przynieść herbatę.

- Bo będzie za mocna, jeśli panie jej nie wypiją, madam.

- Tak, bardzo proszę, Neginah.

Matka i córka zasiadły przy niewielkim stoliku, zastawionym porcelaną i srebrem. Na honorowym miejscu Neginah ustawiła talerz z domowymi bułeczkami. Zupełnie jak w Anglii. Erica uśmiechnęła się mimo woli. Matka odetchnęła z ulgą. Wszystko się ułoży. Biedne dziecko wymagało po prostu kilku dni odpoczynku i matczynej opieki.

Jednakże nie wszystkie sprawy potoczyły się po ich myśli. Pierwszy dzień dobiegł powoli i spokojnie końca, a następnego ranka Amy postanowiła zdecydowanie zabrać Ericę do miasta i kupić jej coś z ubrania. Mitchell wolał zostać w domu i odpoczywać. Rozłożono mu leżak w ogrodzie za domem, a służący miał za zadanie podawać mu zimne napoje i kawę.

Sklepy przy Bay Street były obficie zaopatrzone przed Bożym Narodzeniem. Obie panie spędziły sporo czasu w Jaeger i Liberty. Amy radowała się w duchu, patrząc na ożywioną twarz Eriki, która odnalazła zapomnianą przyjemność w przymierzaniu delikatnych jedwabnych bluzek, cienkich skórzanych pantofelków i zabawnych kapelusików.

Wstąpiły do Royal Victoria na lunch, a potem udały się do fryzjera. Długie, gęste włosy Eriki zostały doprowadzone do porządku i uczesane

306

do góry, w nowym stylu. Fryzura weszła właśnie w modę i nazywano ją uczesaniem a la Edward. Amy zaopatrzyła także córkę w różne kosmetyki. Po południu ruszyły w stronę domu, za nimi szedł chłopiec obładowany paczkami.

Amos otworzył im drzwi, gdy wchodziły na werandę.

- Madam - powiedział zatroskanym tonem, patrząc najpierw na Amy, a następnie na jej córkę - z panem nie jest bardzo dobrze.

- Co się stało?! - wykrzyknęła Erica i pobiegła do saloniku. Ale Mitcha tam nie było, nie znalazła go również w sypialni.

Po chwili już wiedziała, gdzie jest. Usłyszała go wyraźnie. Z ogrodu na tyłach domu doszedł ją paroksyzm kaszlu. Pobiegła do Mitcha. Siedział na leżaku z nogami na ziemi, pochylony do przodu, walcząc o oddech.

- Kochanie! - krzyknęła Erica.

Uklękła przy nim, opasując ramieniem jego zgięte plecy. Ale niewiele mogła mu pomóc. Kiwał się w przód i w tył, ze śmiertelnie bladą twarzą, ściągniętymi wargami i przekrwionymi z wysiłku oczami, szamocząc się, by wciągnąć choć haust powietrza do spragnionych płuc.

- Erico! - Amy, która właśnie nadeszła, wydała cichy okrzyk. - Co się z nim dzieje?

- Nie wiem. Miewał takie ataki na statku. Nie umiem mu pomóc. Mitch, Mitch, kochany...

. Po jakimś czasie atak zaczął słabnąć, w końcu minął. Powrócił oddech - chrapliwy i urywany. Erica pomogła Mitchowi wyprostować się i usadowiła go na leżaku, opierając o poduszki. Amy odciągnęła ją na bok.

- Trzeba wezwać doktora.

- Znasz kogoś, kogo mogłabym poprosić?

- Tak, doktora Commagera. Grywam z nim w brydża.

- Zatelefonowałabyś do niego?

Amy pospieszyła do telefonu. Gabinet Williama Commagera mieścił się zaledwie kilka domów dalej, więc po dziesięciu minutach doktor był na miejscu. Czekaly na niego na werandzie.

- To jakiś atak, który mija, kiedy Mitch dłużej kaszle. Po prostu nie może złapać tchu. Myślę, że czuje się tak, jakby się miał udusić.

- Od jak dawna na to cierpi? - spytał doktor Commager. Jego zdaniem, blada i roztrzęsiona dziewczyna sama wymagała opieki lekarskiej.

- Ataki zaczęły się niedawno, ale kaszel męczy go od czasu zapalenia płuc, które przechodził w zeszłym roku.

- A wyzdrowiał z choroby całkowicie?

Erica opowiedziała o urazie kręgosłupa, operacji, która się nie udała za pierwszym razem, nieomaganiach Mitcha od tamtego czasu.

- Rozumiem - doktor pogladził się po pulchnej szyi. - Dobrze, zobaczymy, jak to wygląda.

223

Dał znak Amy, żeby została w domu, i poszedł za Ericą, która zaprowadziła go do ogrodu. Mitch spoczywał w nie zmienionej pozycji, otworzył oczy, gdy usłyszał kroki.

- No i jak tam, młodzieńcze - zaczął doktor, zakładając ręce do tyłu i przyglądając się bacznie nowemu pacjentowi - slyszałem, że napędził pan wszystkim porządnego stracha.

- Sobie również - odparł Mitch z cieniem uśmiechu.

- Rozumiem, że zdarzało się to wcześniej?

- Aż za często.

- To może wejdziemy do domu i spróbujemy odkryć, na czym polega problem?

- Chyba nie ma innej rady.

Mitch usiłował spuścić nogi na ziemię, żeby się podnieść. Musiał jednak ponowić próbę. Erica chciała mu pomóc, ale doktor Commager powstrzymał ją.

Kiedy w końcu Mitch stanął na nogach, doktor podał mu ramię. Po chwili wahania Mitch oparł się na nim.

Obaj mężczyźni skierowali się wolnym krokiem w stronę domu. Erica szła za nimi, ale na znak doktora, wycofała się do salonu, gdzie czekała matka.

Minęło około pół godziny. Wreszcie w drzwiach pojawiła się wysoka postać zażywnego doktora Commagera. /

- Panie doktorze! - Erica zerwała się, usiłując odgadnąć coś z jego twarzy. Nie wyczytała nic poczekającego.

- Proszę mi powiedzieć prawdę.

Doktor usiadł w jednym z wyściełanych foteli. Westchnął.

- Nie odmówiłbym czegoś do picia - oznajmił.

- Ależ oczywiście! - Amy zadzwoniła na Amosa, posyłając go po herbatę z lodem.

- Ustalmy dokładnie fakty - zaczął doktor. - Pani mąż został ranny w czasie bombardowania statku.

- Właściwie później, w chwili, kiedy miał skoczyć z relingu do wody.

- Został uderzony czymś ciężkim?

- Ławką, która się oderwała od pokładu. Zha pan pewnie ten rodzaj ławek - deski połączone metalowymi prętami.

- A następnie przechodził zapalenie płuc?

- Tak. Może dlatego, że długo przebywał w wodzie po uderzeniu.

- Jaka była diagnoza lekarska?

- Stwierdzono częściowe złamanie dwóch kręgów. Powiedzieli, że to nie jest bardzo poważna sprawa, tyle że w szpitalach w Bilbao nie było miejsca... toczyły się walki.

Do salonu wszedł Amos ze szklanką herbaty na tacy. Doktor Commager chwycił ją, opróżnił jednym haustem i westchnął, ocierając usta.

- Poproszę jeszcze jedną, Amos, tylko więcej lodu. - I obracając się ku Erice, dodał: - Czy wspominali coś o płucach?

224

- Powiedzieli, że go podreperowali - Erica wróciła pamięcią do tamtych dni. - I że będzie miał kłopoty z oddychaniem. I jeszcze, że powinien unikać wysiłków.

- Hm... Tak. Wnioskując z tego, co mogę wysłuchać, powiedziałbym, że załatano to płuco w pośpiechu.

Lekarze pewnie nie mieli wyboru. No i dobrze, można sobie z taką sprawą świetnie żyć, tylko, widzi pani, w trakcie jednego z ostatnich ataków kaszlu operowane płuco się zapadło. Więc kiedy pani mąż kaszle, zaczyna mu brakować powietrza.

- Czy można coś zrobić, żeby jego stan uległ poprawie? - spytała Erica z troską.

- O, bezwzględnie. Możemy płuco rozprężyć, a wówczas będzie znów spełniało swoją funkcję. To stosunkowo prosty zabieg i gdyby został zrobiony bezpośrednio po zapadnięciu się płuca, pani mąż nie byłby narażony na te męczące ataki. Ale muszę pani uświadomić...

- Co takiego, panie doktorze? O co chodzi?

- Te dolegliwości obciążą bardzo serce. Chciałbym zrobić elektrokardiografię. Można to załatwić za jednym zamachem, przy okazji rozprężania płuca.

- Co zapewne oznacza pobyt w szpitalu? Doktor Commager uśmiechnął się.

- Pani mąż oznajmił mi już, że ma dość szpitali. Rozumiem go doskonale, ale pewne zabiegi można przeprowadzić tylko w warunkach szpitalnych. Jeśli pozwolą mi panie użyć telefonu, załatwię to od ręki. Wkrótce wszystko zostało zorganizowane; Mitcha przewieziono do Collins Avenue Clinic.

- Nie można powiedzieć, żebyś miała radosny powrót do domu, skarbie - powiedział z westchnieniem, gdy Erica zęgnęła go w drzwiach sali szpitalnej.

- To nieważne. Będziemy mieli czas na wiele radości, jak tylko lepiej się poczujesz.

- Nie cierpię być ciężarem!

- Nie jesteś dla nikogo ciężarem!

Erica pocałowała go w policzek, a on poklepał ją po ramieniu. To nie przypomina pożegnania młodych małżonków, pomyślała Amy, patrząc na nich z boku. Ale w końcu nie był to najlepszy moment na okazywanie namiętności.

W ciągu tygodnia wykonano potrzebne zabiegi.

- Muszę pani wyznać - powiedział doktor Commager - że nie wygląda to dobrze. A zaczęło się dziać źle od jakichś dwóch lat - być może przyczyną było zapalenie płuc. Ale kolejne przejścia w ciągu ostatnich kilku miesięcy poważnie pogorszyły stan męża, zwłaszcza jeśli chodzi o prawą stronę serca. Ataki kaszlu... w tym właśnie całe zło.

- Co to oznacza, panie doktorze? - spytała Erica.

- Bardzo spokojne życie - doktor pochylił się, ogarniając ją uważnym

I5 - Nieodrodna córka

225

spojrzeniem. - Pani matka poinformowała mnie, że są państwo świeżo po ślubie. Zdaję sobie sprawę, że czeka panią trudne życie, ale musi pani zapewnić spokój mężowi. Powinien bardzo uważać, zwłaszcza na bronchit. Szczęściem mamy tutaj dobrotliwy klimat... zostawię pani mieszankę, którą należy podać na złagodzenie kaszlu w przypadku zaostrzenia dolegliwości. Ale generalnie rzecz biorąc, najważniejsze to życie bez stresów, spokój i odpoczynek. Erica westchnęła.

- Czuję się winna. Nie było mu dobrze w Marsylii, ale przynajmniej nie miałby teraz dodatkowych problemów, gdyby nie chorował na statku.

Doktor Commager poklepał ją po ręce.

- Doszłoby do tego tak czy inaczej. Jego płuca są stale ogromnie obciążone i po kilku potężniejszych atakach kaszlu mogło dojść do takiego stanu z byle powodu. Wie pani, spotykamy się nieraz z podobnym zjawiskiem u dzieci, które przechodzą koklusz. To nie należy do rzadkości. Z tym, że u dzieci nie kończy się zazwyczaj chorobą serca. Pani mąż miał po prostu paskudnego pecha i w dodatku w czasie podróży poślubnej. / Mitch wrócił ze szpitala i życie zaczęło się toczyć w ustalonym, powolnym i spokojnym rytmie. Boże Narodzenie nadeszło i minęło z tradycyjnym świętowaniem Junkanoo. Z początkiem nowego, 1939 roku, Erica odbyła konferencję z matką.

- Mamo, muszę znaleźć pracę. Nie możemy dłużej żyć na twój koszt. Amy najchętniej machnęłaby ręką na wszystkie problemy finansowe, ale prawdę mówiąc, jej niezbyt wielkie oszczędności były teraz mocno uszczuplone. Miała czterdzieści dziewięć lat i doskonale wiedziała, że nie może pracować do końca życia jako hostessa w hotelu. Wkrótce zaczyna szukać kogoś młodszego.

Już wcześniej wpadła na ten pomysł.

- A może przejęłabyś moją pracę w Colonialu, kochanie?

- Twoją pracę... Ale co z tobą?

- Ja, serduszko, zaczynam być za stara - odparła Amy z grymasem. - Turyści, a już zwłaszcza amerykańscy, lubią otaczać się młodymi ludźmi. W dodatku coraz gorzej sobie radzę. Zbyt się przejmuję, kiedy coś się nie układa, gdy są problemy z dowiezieniem gości, albo czyjś bagaż gdzieś się zawieruszy. Jeśli utrzymałam się na tej posadzie tak długo, to tylko dlatego, że jestem protegowaną lady Oakes.

- Ach, mamo... zawsze mówisz o sobie tak, jakbyś niczego nie potrafiła.

- Życie mnie rozpieściło - westchnęła Amy. - W czasach, kiedy mieliśmy pieniądze i o wszystkim decydował twój ojciec, przywykłam do tego, że obsługiwali mnie inni ludzie i na dobrą sprawę nigdy nie oswoiłam się do końca z inną sytuacją. Ale ty jakoś potrafiłaś tego dokonać. Patrzę jak opiekujesz się Mitchem. Po prostu dajesz sobie radę.

- Ale przecież nie mogę zabrać ci twojej pracy!

226

- Będę szczęśliwa, jeśli to zrobisz! Widzisz, pani Liddell pytała mnie, czy nie chciałabym pracować z nią przy kwiatach.

- W jakim sensie przy kwiatach? W kwiaciarni? - zapytała Erica, usiłując wyobrazić sobie matkę sprzedającą bukiety ixory.

- Niezupełnie. Mary Liddell obmyśliła i zorganizowała serwis przesyłania kwiatów samolotem. Turyści zamawiają wiązanki dla przyjaciół w kraju, Mary notuje zamówienia, a kwiaty są specjalnie pakowane i wysyłane pocztą lotniczą klasy. Co dziwniejsze, ma z tego całkiem dobry dochód.

- A na czym polegałaby twoja praca? Pakowałabyś kwiaty do pudeł?

- Skądże znowu, wiesz przecież, Erico, że mam przysłowiowe dwie lewe ręce. Nie, Mary chce mieć pomocnicę, która załatwiałaby sprawy, kiedy ona sama musi wyjść, czy coś w tym rodzaju. Przyjmowałabym zamówienia podczas jej nieobecności, odbierałabym telefony i tak dalej.

Prawdę mówiąc, to zajęcie nie różniło się wiele od pracy zwykłej sekretarki.

- Musiałabyś się pogodzić z niższą pensją.

- Owszem... I straciłabym pokój w hotelu. Ale myślałam... jeżeli nie mielibyście nic przeciwko temu... mogłabym zamieszkać tutaj.

- Tutaj?

Amy zaczerwieniła się.

- Nie mam zamiaru wam się narzucać, kochanie, ale właściwie tu jest bardzo dużo miejsca, nie uważasz? A gdybyś musiała czasem zostać do późna w hotelu, zawsze byłabym na miejscu... gdyby Mitch czegoś potrzebował.

W ciągu niedługiego czasu, jaki upłynął od ich przyjazdu, Amy zdążyła pozbyć się wszelkich uprzedzeń, jakie żywiła wcześniej wobec Mitcha. Przede wszystkim było oczywiste, że Erica jest dla niego najważniejszą osobą

na świecie. Po drugie, nigdy się nie skarżył, choć tak często cierpiał. Wreszcie, po trzecie - lubił ją. Trudno było zachować nieprzystępną postawę wobec kogoś tak życzliwego.

- Wszystko dobrze - powiedziała Erica - ale nie wiem, dlaczego uważamy, że w Colonialu przyjmą mnie z otwartymi rękami.

- Zobaczysz, że cię przyjmą.

Tak też się stało. Erie Staithe, który został kierownikiem w następstwie McDermota, wysłuchał obu pań z mieszaniną rozbawienia i ulgi. Rozbawienia, ponieważ pani Tregarvon uważała, że może swoją posadę przekazać córce niczym dziedzictwo i ulgi na myśl, że będzie mógł się jej pozbyć. Była miła i dobra, ale nie miała większych talentów organizacyjnych. Często chciał jej po prostu powiedzieć, że postępuje bez sensu, ale zawsze powstrzymywała go myśl, że żonie sir Harry'ego Oakesa mogłoby się to nie spodobać.

- Jeżeli rzeczywiście pragnie pani zrezygnować... - wymruczał, poprawiając krawat.

- Tak będzie ze wszech miar lepiej, prawda?

313

- A ja byłabym wdzięczna, gdyby zaangażował mnie pan na próbę, panie Staithe.
- Nie mam nic przeciwko temu. Zdaje się, że wolałaby pani nie mieszkać w hotelu?
- Tak, jeśli się pan zgodzi. Mieszkam blisko.
- Owszem, to bardzo wygodne.
- W ten sposób więcej zarobię.

Ho, ho - pomyślał pan Staithe - ta młoda osóbką ma głowę na karku. Uświadomił sobie również, że przyjęcie jej do pracy okaże się prawdopodobnie bardzo korzystnym posunięciem. Niełatwo było zdobyć dobrych pracowników. Większość białych kobiet na New Providence były żonami i córkami zamożnych kupców, które uważały pracę w hotelu, czy w ogóle jakąkolwiek pracę, za coś poniżającego. Musiał więc angażować pracowników z Florydy, którzy pojawiali się i znikali jak przelotne ptaki. Na kimś, kto miał na miejscu matkę i męża, można było polegać.

- Dobrze więc, umówmy się na okres próbny - powiedział, otwierając szufladę i wyjmując z niej egzemplarz regulaminu hotelowego. - Miesięczny okres próbny z możliwością wypowiedzenia dla obu stron, poczynając od najbliższego poniedziałku. Co pani na to?

- Doskonale, dziękuję panu.

Mitch nie miał obiekcji co do pracy Eriki w British Colonial. Zaszedł tam kiedyś na drinka i przekonał się, że jest to przyzwoite i godne szacunku miejsce, zupełnie inne niż klub Zebre w Marsylii. Godziny pracy będą może niezbyt wygodne, ale podobnie bywało, gdy grali w karty w czasie rejsów. Poza tym aż za dobrze rozumiał, że potrzebują pieniędzy.

Mitch został bardzo prędko zaakceptowany przez towarzystwo Nassau. Był zięciem pani Tregarvon, która z kolei była przyjaciółką i protegowaną lady Oakes. Prawda, że nie miał pieniędzy, ale kiedy przyjęto go do elitarnego Klubu, okazał się wart zainteresowania. Spokojny, pełen rezerwy, ale, na Boga, nie miał równego sobie w pokerze, o ile tylko dał się namówić na partyjkę.

Mitch grał od czasu do czasu, chociaż wiedział, że Erica była temu zdecydowanie przeciwna. Ale sala karciana w Klubie była urządzona na otwartej werandzie i powietrze było tu świeże. Poza tym w Nassau wszyscy kładli się późno, bo wieczorem było najchłodniej.

Mitch wygrywał prawie zawsze. Jeżeli miał złą passę, odchodził od stolika. Nikt nie miał mu tego za złe - wszyscy wiedzieli że nie jest zamożny i w dodatku nie cieszył się dobrym zdrowiem. Za to miał bardzo ładną

żonę. Warto było znać Mitchella Harrowforda choćby po to, by czasem wpaść do jego domu i pogawędzić z jego żoną.

Erica rzuciła się w wir pracy w British Colonial. Pod koniec próbnego miesiąca zdążyła już dowieść, ile jest warta - zorganizowała cotygodniowy „Podwieczorek przy brydżu” dla pań z Nassau, poranne lekcje brydża w sali balowej, która dotychczas przed południem stała pusta oraz wieczor-

315

ki pod hasłem „Brydż i moda”. Nie zaniedbywała przy tym swoich codziennych obowiązków.

Nowa praca sprawiała jej zresztą przyjemność. Wróciła jej dawna pewność siebie. Jej zdrowie również uległo poprawie - pomiędzy nieregularnymi zajęciami w ciągu dnia znajdowała zawsze czas, by popływać, pospacerować, posiedzieć z Mitchem w ogrodzie lub na werandzie, porozmawiać z jego przyjaciółmi.

Jedyną rzeczą, która niepokoiła Ericę, była obecność Timothy'ego Perrimana w Nassau. Zdumiała się, gdy zobaczyła go któregoś poranka przy stole w recepcji. Zajęty wpisywaniem swego nazwiska, nie zauważył jej, przechodzącej pospiesznie od schodów do sali jadalnej, skąd miała zabrać grupę turystów na samochodową przejażdżkę po wyspie.

Później zagadnęła recepcjonistkę:

- Wydawało mi się, że widziałam dziś rano pana Perrimana.

- Prawdopodobnie - odparła dziewczyna, wzruszając ramionami. - Musiał przylecieć porannym samolotem z Miami. Pani go zna?

- Często odwiedza Nassau?

- Trzy, cztery razy do roku. Zwykle zatrzymuje się w Fort Montagu, ale oni mają teraz remont.

Erica kiwnęła głową i skończyła rozmowę. Tegoż popołudnia, przed pójściem do domu, wstąpiła do sklepiku o nazwie Kwiaty dla Przyjaciół, gdzie obecnie pracowała Amy.

- Czym mogę służyć? A to ty, kochanie. Idziesz do domu? Przynieś mi chusteczkę gdy będziesz wracała, dobrze? Podziałam gdzieś tę, którą wzięłam rano.

- Mamo, w Colonialu zatrzymał się Timothy Perriman.

- Doprawdy? - spytała Amy bez zainteresowania.

- Podobno przyjeżdża do Nassau dość regularnie.

- Tak, zdaje się. Prowadzi tu jakieś interesy. Spędza dużo czasu na rozmowach z Haroldem Christie.

- Nie pisałaś mi o tym w listach. Amy spojrziała na córkę ze zdziwieniem.

- Nie przypuszczałam, że może cię to zainteresować. Byłaś związana z Mitchellem. Zresztą wymieniam z nim tylko formalne ukłony... Nie bardzo wiem, jak go traktować po... wiesz sama... tej niezręcznej sytuacji między wami.

Widok Eriki był szokiem dla Timothy'ego. Poleciał kiedyś, by donoszono mu o wszystkich jej działaniach, ale od tamtej pory upłynęły dwa lata. A teraz zjawiała się tu jako Erica Harrowford. Przeglądał informator hotelowy, leżący na komodzie w pokoju. Zobaczył jej nazwisko, ale nie podejrzewał nawet, że może chodzić o Ericę: hostessa, pani Harrowford.

Czy powinien się do niej odezwać? Czy też po prostu uklonić się, przechodząc? Od jej matki trzymał się raczej z daleka: uprzejme pochycenie głowy, czasem uchycenie drzwi, nic więcej. Należało okazywać jej szacu-

nek, ponieważ była pod opieką lady Oakes, a Timothy usiłował się zaprzyjaźnić z sir Harrym Oakesem. Ale czy nie powinien wykazać więcej inicjatywy w stosunku do Eriki?

Dowiedział się, co mówiono o niej w Klubie. Córka pani Tregarvon wróciła z tym gościem z Europy - choruje, zdaje się, musiał pójść do szpitala zaraz po przyjeździe. Przyzwoity facet, a żona jest do niego bardzo przywiązana.

Czyli sprawa była prosta. Erica wróciła do matki, ponieważ jej mąż chorował. Nie było się czym przejmować. Może lepiej z nią porozmawiać, zadbać o przyjacielskie stosunki. Podjął postanowienie i następnego dnia po powrocie z konferencji w interesach zajrzał do jej niewielkiego biura w hotelu.

- Czy mogę wejść? - spytał, zaglądając przez drzwi.

- Proszę. Jak się masz, Timothy. Widziałam cię wczoraj.

Erica podniosła się zza biurka, ale nie zbliżyła, by uścisnąć mu rękę. Zdziwiła się, że tak mało się zmienił. Tak samo nienagannie ubrany, nawet w upalne majowe południe na Bahamach, tak samo starannie ostrzyżone i uczesane ciemne włosy, taki sam wyraz jasnoszarych oczu, przypominających lodowiec.

- Dobrze wyglądasz, Erico - powiedział.

Mówił szczerze. Stała się prawdziwą kobietą - mniej zaokrąglona, mniej spontaniczna, ale za to pełna charakteru i godności.

- Dziękuję ci, mam się dobrze. Jesteś tutaj w interesach? Kiwnął głową.

- A ty podobno osiadłaś w Nassau na stałe.

- Tak. Mieszkamy z Mitchem przy East Bay Street. Na długo przyjechałeś?

- Na kilka dni. Jak się miewa twoja matka?

- Dziękuję, cieszy się życiem. Oczywiście mieszka razem z nami.

- Mieszka z wami? To znaczy, że nie zajmuje już pokoju tutaj, w hotelu?,- spytał, żywo zainteresowany.

- Nie, to było związane z jej pracą.

Zmarszczyła lekko brwi i Timothy zrozumiał, że zbyt jawnie okazał swoje zainteresowanie. Ale nareszcie miał jakąś szansę. Nie mógł zyskać dostępu do rzeczy Amy, póki mieszkała w hotelu, nie zdołał odkryć, co zachowała z przedmiotów należących niegdyś do Lindona Tregarvona.

- Słyszałem w Klubie, że pan Harrowford nie jest w najlepszym stanie zdrowia. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Po prostu musi żyć spokojnie, to wszystko. Czy życzysz sobie czegoś? Czy może...

- Nie, wpadłem, żeby się z tobą zobaczyć i chwilę porozmawiać. W końcu znamy się od tak dawna.

- To miło z twojej strony. Ale teraz muszę cię przeprosić i zająć się swoimi sprawami.

318

Choć była nienagannie uprzejma, nie mogła mu dać jaśniej do zrozumienia, że pragnie się go pozbyć.

Timothy cofnął się do drzwi.

- Pewnie się jeszcze gdzieś tu spotkamy?

- Tak, prawdopodobnie. - Ale ton jej głosu przeczył słowom. Timothy miał jeszcze sporo do zrobienia: trzeba było przekazać

wiadomości, dopracować plany. Choć z polecenia Giancarlo Manziniego, kupił wiele posiadłości na Bahamach, upragniony cel nie został jednak osiągnięty. Harold Christie poinformował go, że Rada Ustawodawcza uparcie nie chce wydać zgody na budowę kasyna!

- To sir Harry - wyjaśnił Christie. - On jest grubą rybą w Nassau, co do tego nie ma dwóch zdań.

- Nie można by go przegłosować? Christie skrzywił się.

- Trzeba by się diabelnie napracować, żeby inni członkowie Rady chcieli głosować przeciwko niemu. Oakes ma tony pieniędzy. I robi z nich niezły użytek. Na swój sposób zrobił wiele dobrego dla Bahamów. Zbudował lotnisko, daje ludziom zatrudnienie. Nie, niełatwo zwrócić się przeciw niemu.

- Moi klienci przywykli dostawać to, na czym im zależy, Haroldzie.

- A Oakes nie? Słuchaj, powiedz panu Manzini, że robię, co mogę. Wiedzieliśmy od początku, że to musi potrwać.

. - A jak długo? - spytał Timothy chłodno, ale sam wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi.

W sobotę po kolacji zorganizowano w British Colonial wieczorek taneczny. Upewniwszy się, że Erica bierze w nim udział, Timothy wybrał się do Klubu na drinka ze znajomymi. Bez wielkiego trudu przekonał towarzystwo, żeby wpaść do Mitchella Harrowforda. Wkrótce Harold Christie, Norman Simmons i on sam wyszli na chłodne nocne powietrze i powędrowali East Bay Street.

Jeśli nawet Amy zdziwiła się, widząc Timothy'ego, nie dała tego po sobie poznać. Uprzejmie powitała gości na werandzie.

- Jak to miło, że zajrzeliście do nas! Timothy, to prawdziwa niespodzianka! Wejdźcie, wejdźcie, proszę. Amos, przynieś nam coś do picia.

Mitęh podniósł się, wymieniając uścisk dłoni z przybyszami. Przedstawiono go Timothy'emu, którego powitał z uśmiechem. Timothy uśmiechnął się w odpowiedzi. Był zupełnie pewien, że Erica nie wspomniała o nim ani jednym słowem.

Usiedli wszyscy z drinkami i rozmawiali kilka chwil o codziennych wydarzeniach. Wreszcie ktoś zaproponował partię brydża.

- Tylko jednego robra - powiedział Simmons. - Co pani na to?

- Nie, jest nas pięcioro, co znaczy, że jedna osoba będzie się nudziła -orzekła Amy. Jako gospodyni nie mogła przystać na podobne rozwiązanie.

- Chętnie zrezygnuję z gry - zaofiarował się Timothy. - Jeśli można, wyjdę do ogrodu na cygaro.

231

Wszyscy przywykli, że w tym domu nie paliło się ze względu na zdrowie Mitchella. Jeśli ktoś miał ochotę na papierosa, wychodził na zewnątrz. Amy podziękowała uśmiechem za uprzejmość, poleciła Amosowi przynieść stół do kart i zasiedli do gry.

Timothy wyszedł do ogrodu. Wyjął z kieszeni cygaro i zapalił. Po chwili jego aromat dotarł do werandy, ale zbyt słaby i daleki, by podrażnić chore płuca Mitcha. Nikt jednak nie domyślał się, że Timothy pozostawił palące się cygaro na brzegu glinianej donicy.

Ruszył przez trawnik, okrążył dom i wszedł do niego powtórnie przez drzwi frontowe. Pojawił się Amos.

- Czy pan czegoś sobie życzy, proszę pana?

- Napiłbym się z przyjemnością kawy.

- Zaraz przyniosę, proszę pana.

Kiedy tylko Amos odszedł, Timothy rozejrzał się uważnie po saloniku. Był to duży pokój, przypominający salon w posiadłości wiejskiej w Anglii, z kanapą wyściełaną wzorzystą tkaniną i cenną porcelaną w serwantce. Urządzenie pokoju wskazywało na gust poprzedniego właściciela, któryt musiał niespodziewanie wyjechać i od którego Harry Oakes kupił dom.

Ale jak zwykle, tak i tutaj pewne przedmioty były własnością nowych właścicieli. Amy zgromadziła trochę pamiątek, odkąd zamieszkała w Nassau: świąteczne prezenty od pani Oakes, obraz przedstawiający Christ Church Cathedral, ofiarowany przez któregoś z przyjaciół. Lecz Timothy'ego interesowały głównie pamiątki z przeszłości. Znalazł je na półce nad kominkiem, w którym nigdy nie płonął ogień.

Fotografia *Margravine*, wycięta z magazynu poświęconego jachtingowi i oprawiona w ramkę. Na drugim zdjęciu *Langrovia*, zakotwiczona przy nabrzeżu w Southampton. Niewielkie pudeleczek z drzewa cedrowego, przywiezione z jakiejś dawnej podróży. Japoński wachlarz. Mały srebrny puchar, potrójna srebrna ramka z fotografiami.

Timothy odwrócił się, gdy usłyszał jakiś odgłos przy drzwiach. Wszedł Amos z tacą na której stały mały srebrny dzbanek kawy, filiżanka ze spodkiem, śmietanka i cukier.

- Życzy pan sobie śmietanki i cukru, proszę pana?

- Nie, dziękuję. To wszystko.

Po wyjściu Amosa Timothy powrócił do półki nad kominkiem. Tu właśnie spodziewał się znaleźć osobiste drobiazgi Lindona Tregarvona. W jego znakomitej pamięci tkwiły słowa Amy: nowy właściciel jachtu przesłał parę rzeczy należących do Lindona, „jego szczotkę do włosów i srebrną ramkę z fotografiami”.

Wziął do ręki puchar i odczytał napis:

Żwycięzca Regaty na New Providence 1929 Lindon Tregarvon

321

Odstawił go z powrotem. Co za głupota. Żeby potentat finansowy brał udział w regatach na swoim jachcie i ryzykował życie, by zdobyć podobną blahostkę!

Dla niego naprawdę ważna była tylko ramka do fotografii. Gdy słuchał Amy w tym nędznym hoteliku nadmorskim, stanął mu nagle w oczach obrazek z jeszcze dawniejszej przeszłości: Lindon Tregarvon, wkładający coś do ramki od tyłu. Timothy wszedł akurat do salonu na *Margravine*; Tregarvon odstawił szybko ramkę. Cokolwiek w niej umieścił, było niewidoczne. Ale Timothy się domyślał.

Tuż przed otwarciem drzwi i wejściem do salonu usłyszał dźwięk zaskakującego zamka od szafki. Istotnie, była taka szafka, wbudowana w orzechową boazerię, pokrywającą ściany. Tregarvon używał jej jako sejfu. Było to bezpieczne, dobrze ukryte miejsce, z dziurką od klucza niewidoczną pośród lśniącego, rzeźbionego drzewa orzechowego. Timothy był pewien, że usłyszał odgłos zamykanej szafki.

W tej szafce spoczywały dokumenty, ważne dokumenty. Kiedy Gaynor Medcalfe kupił *Margravine*, Timothy zdobył zaproszenie na jej pokład. Miał jednak bardzo niewiele sposobności, by w czasie trwania zawodów w Mon-tauk odszukać ukrytą szafkę, a kiedy tego dokonał, okazała się zamknięta. Próbował ją otworzyć za pomocą noża, ale okazało się to niemożliwe.

Przez lata pocieszał się myślą, że nikt prócz niego nie wiedział o istnieniu szafki-sejfu, gdzie schowane były dokumenty tak ważne dla Lindona Tregarvona, że gotów był nie stawić się przed sądem, byle tylko je odzyskać. Gaynor Medcalfe, który kupił jacht, o niczym nie widział. A nawet, gdyby odkrył sejf, to cóż? Bez klucza był nie do otworzenia.

Timothy Perriman wziął do ręki srebrną ramkę. Z fotografii uśmiechała się do niego młoda para - Lindon i Amy Tregarvon sprzed trzydziestu kilku lat. Po jednej stronie środkowego zdjęcia włożono fotografię niemowlęcia. Timothy pamiętał, że był to chłopczyk, Neville, który umarł we wczesnym dzieciństwie. Po drugiej stronie widniała podobizna małej dziewczynki w marynarskiej bluzie, uśmiechniętej i pewnej siebie już w wieku czterech lat. Erica Tregarvon, obecnie Erica Harrowford.

Obrócił ramkę w swoich wąskich dłoniach. Przesunął palcami wzdłuż krawędzi, próbując coś wyczuć.

- Timothy! Można wiedzieć, co robisz? Odwrócił się gwałtownie.

Na progu stała Erica, wlepiając w niego oczy. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Jej zdumione spojrzenie zdawało się go paraliżować.

W tym momencie od strony werandy nadeszła Amy.

- Kochanie, tak mi się właśnie wydawało, że słyszę twój głos. Jak to dobrze! Skończyłaś już pracę?

- Nie wiedziałam, że masz gości, mamo - powiedziała Erica, nie spuszczać oczu z Timothy'ego.

233

- Timothy, Harold i Norman przyszli z wizytą. Prawda, jak to miło? Jesteśmy akurat w połowie partii brydża.
- Widzę, że Timothy nie bierze udziału w grze?
- Kochanie, o co chodzi? Mówisz takim dziwnym tonem.
- Zdaje ci, się mam. Wracaj do swojego brydża.
- Ach, Timothy, oglądałeś nasze zdjęcia rodzinne! Pamiętasz? - Amy wzięła składaną ramkę z jego rąk i ustawiła na właściwym miejscu na półce. - Stała kiedyś na biurku mojego męża na *Margravine*.
- Pamiętam - potwierdził Timothy słabym głosem. Głupiec! Głupiec i jeszcze raz głupiec! Dlaczego za każdym razem, gdy sprawy przybierały niespodziewany obrót, czuł się totalnie obezwładniony i otumaniony?
- Neville był zawsze taki delikatny. Gdyby przeżył, miałby dziś prawie trzydzieści lat. - Amy otrząsnęła się ze wspomnień. - Widzę, że pijesz kawę. Czy chciałbyś może coś zjeść?
- Nie, dziękuję, i w ogóle czas już na mnie. Powinienem wrócić do hotelu i załatwić kilka telefonów.
- Już idziesz?
- Niestety, muszę. Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce. Skłonił się uprzejmie i wymknął z salonu.
- No, no - powiedziała Amy - ależ mu się spieszyło. Rozejrzała się wokół.
- Czego szukasz?
- Timothy wyszedł, żeby wypalić cygaro. Ale jestem pewna, że nie miał czasu go skończyć. - Rozejrzała się. - Widocznie zgasło. Czy wróciłaś już na dobre, Erico?
- Tak, wszyscy bawią się w najlepsze i pan Staithe zdecydował, że mogę pójść. Mamo, jak długo Timothy tu był?
- On? Dwadzieścia minut, może pół godziny. Przyjdiesz przywitać się z Normanem i Haroldem?
- Za minutkę.

Amy kiwnęła głową i wróciła do gry. Po jej wyjściu Erica stała przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, wpatrując się w swoje wieczorowe pantofelki z ciemnozielonego atlasu. Potem skinęła głową, jakby przytakując jakiejś myśli i zdjęła składaną ramkę z półki nad kominkiem.

Usiadła na kanapie. Spódnica wieczorowej sukni z lekkiej koronki opadła powoli, układając się miękko wokół jej kolan. Obróciła ramkę, ustawiając ją w takiej pozycji, w jakiej widziała ją w rękach Timothy'ego i tak jak on przesunęła palcami wzdłuż krawędzi zgięcia.

Czego on mógł szukać? Nie wyczuwała pod palcami niczego. Podniosła się, podeszła do lampy, zapaliła ją i zaczęła przyglądać się ramce w jasnym świetle.

Zrobiona ze srebra, była bogato zdobiona. Każda z trzech tylnych ścian wykonana była ze szlachetnego gatunku drewna. Całość wyglądała dokładnie tak, jak zwyczajne ramki do fotografii - drewniany tył, fotografia na

324

podkładce, szkło, i sama ramka, zdobiona rzeźbami miniaturowych delfinów i muszli. Dolna krawędź centralnej części wydawała się nieco bardziej wytarta niż reszta. Trzymając ramkę w jednej ręce, Erica ścisnęła lekko, a następnie potarła zniszczony fragment. Nacisnęła mocniej.

Pomiędzy rzeźbioną ramką, a drewnianą tylną ścianką ukazała się minimalna szczelina, mająca może ósmą część cała. Puściła ramkę i szczelina zniknęła.

Pochyliła się nad lampą, raz jeszcze biorąc w palce zniszczoną część. Szczelina pojawiła się ponownie. Ale tym razem widać w niej było coś błyszczącego.

Odwróciła więc ramkę do góry nogami, przycisnęła wytartą część i potrząsnęła. Na podłogę wypadł maleńki stalowy kluczyk.

Erica i Amy siedziały na kanapie w salonie. Było kilka minut po pierwszej nad ranem. Goście dawno wyszli, służba wróciła do domów, Mitch położył się do łóżka. Wpatrywały się w kluczyk, który leżał przed nimi na niskim stoliku.

- Do czego może służyć? - zastanawiała się Erica.
- Do zegara? - Amy powiodła roztargnionym wzrokiem po pokoju.
- Nie. Amos nakręca wszystkie zegary, a kluczyki chowa do osobnej szarki.
- Może do teczki?
- Czyjej?
- Któryś z mężczyzn, Normana czy Harolda, jeśli wypadł mu z kieszeni.
- Chyba mało prawdopodobne.
- Dlaczego?
- Bo znalazłam go w ramce z fotografiami.
- Coś ty powiedziała, kochanie?
- W tej ramce. - Erica ruchem głowy wskazała półkę nad kominkiem.
- Co ty opowiadasz, Erico?
- Serio.
- Przecież... to niemożliwe. Nigdy go tam nie zauważyłam, a trzymałam tę ramkę w rękach Bóg wie ile razy.
- Kluczyk był ukryty.
- Jak to?
- Wewnątrz dolnej krawędzi w środkowej części ramki.
- Erico, to jest absurdalne. Ramka przylega ściśle do fotografii.
- Tak, ale ona jest wypukła. Delfiny i muszle trochę odstają.
- To nic, przecież jest zrobiona z litego srebra.
- Wcale nie. Nie zapominaj, że to składana ramka, przeznaczona do

zabierania w podróż, musi więc być lekka. Srebro pokrywa cienką warstwą jakiś inny materiał, może drewno, w którym wyrzeźbione są delfiny i muszle. Tak czy owak są tam szczeliny, gdzie jest trochę wolnej przestrzeni i jeśli ściśniesz krawędź ramki na dole, zobaczysz, że jej góra się odrobinę odchyła.

- Boże miły, przecież musiałam ją ścisnąć dziesiątki razy, zupełnie przypadkowo.

- Tak, ale żeby dojrzeć szparę, trzeba trzymać ramkę w bardzo jasnym świetle. A do tego należy ją odwrócić do góry nogami i potrząsnąć, dopiero wtedy klucz wypadnie.

Amy wstała, wzięła do ręki ramkę i trzymając ją pod lampą, ścisnęła dolną krawędź pod środkową fotografią.

- Ach!... Rzeczywiście... widzę. Więc ty wzięłaś ją do ręki, bo akurat mówiliśmy o niej, kiedy wróciłaś do domu, i przypadkiem znalazłaś szczelinę.

- Tak - przytaknęła Erica po sekundzie milczenia. Nie chciała mówić matce, że przyłapała Timothy'ego.

- Czy wobec tego... myślisz... że ten kluczyk był tam od czasu... od czasu...

- Tak sądzę.

Amy opadła na kanapę, jakby jej nogi odmówiły nagle posłuszeństwa. - - Więc to nie jest klucz, który otwiera jakąś skrytkę w tym domu?

- Nie.

- To znaczy... uważasz, że należał do twojego ojca?

- Tak.

I niemal chórem zadały pytanie:

- Więc co on otwiera?

- Czy widziałaś kiedykolwiek, żeby ojciec używał takiego kluczyka? -zapytała Erica. - Do walizki, czy pudełka z dokumentami, czy czegoś podobnego?

- Nie.

- Pomyśl, mamo.

- Nie, nigdy go nie widziałam - odparła Amy z wahaniem. - Ale nie zapominaj, córeczko, że nic nie wiedziałam o interesach ojca. Więc jeśli sprawa ma związek z biznesem, to całkiem prawdopodobne, że nigdy nie widziałam, żeby ojciec używał tego kluczyka. Nie znalazłam nawet kodu otwierającego sejf, do którego wkładał wieczorem moją biżuterię.

Była to najszczerza prawda. Pewnego razu Lindon Tregarvon powierzył żonie szyfr, ponieważ wyjeżdżał na kilka dni, a ona chciała w tym czasie włożyć diamentowy naszyjnik. Amy zapisała cyfry na karteczce, którą zatknęła w rogu lustra na toalecie, gdzie były doskonale widoczne dla każdego chętnego.

- Czuję, że ten klucz ma związek z interesami - powiedziała w zamyśleniu Erica.

327

- Ale nawet jeśli tak jest, mój skarbie, to właściwie nie ma znaczenia. Wszystko, co należało do Tregarvon Line, zostało dawno przejęte i sprzedane...
- Przez zarządców masy upadłościowej.
- Właśnie. Jeśli znaleźli pudełko z dokumentami albo sejf do którego nie było klucza, to na pewno jakoś sobie poradzili?
- Na pewno.

Amy zaczęła płakać.

- Po cośmy go znalazły? - szlochała, szukając po omacku chusteczki. - Pewnie nigdy się nie dowiemy, czy to był klucz do czegoś ważnego...
- Nie płacz, mamó - powiedziała Erica, obejmując matkę i poklepując ją po ramieniu. - To tylko mały kluczyk.
- Ale został ukryty w tajemnym miejscu. Jakoś czuję, że twój ojciec zamierzał go odzyskać.
- Nie myśl już o tym i nie martw się.

Amy uspokoiła się powoli. Napily się ciepłego mleka i każda udała się do swojej sypialni. Amy przystanęła na chwilę patrząc, jak jej córka wchodzi do pokoju przylegającego do sypialni Mitcha.

Chciała zapytać: „Dlaczego macie osobne pokoje?” i usłyszeć: „Dlatego, że Mitch jest chory”. Ale czuła, że odpowiedź byłaby zupełnie inna. Pewna była, że córka i jej mąż kochają się wzajemnie, ale ich miłość w niczym nie przypomina miłości, która łączyła Amy z Lindonem Tregarvonem. Biedne dziecko pomyślała.

Życie nie oszczędza jej.

Erica nie spała wiele tej nocy. Rozmyślała o małym kluczyku. Ale w jej myślach panował chaos.

Dopiero w następnym miesiącu udało jej się zaprowadzić w nich nieco ładu, a stało się to za sprawą Barta Crosleya. Napisała do niego już wcześniej, by go zawiadomić, że dotarli szczęśliwie na Bahamy i że wyszła za mąż. Bart przesłał w odpowiedzi życzenia i obietnicę, że wpadnie z prezentem ślubnym, gdy tylko będzie mógł.

Zjawił się w początkach czerwca. Wynajął pokój w British Colonial, chociaż Erica i Amy usiłowały go namówić na zamieszkanie w domu. Ale Bart miał swoje powody. Nie chciał przebywać pod jednym dachem z człowiekiem, który skradł mu Ericę Tregarvon.

Musiał jednak przyjąć zaproszenie na kolację pierwszego wieczoru w Nassau. Przyniósł obiecany prezent ślubny. Był nim pięknie wyrzeźbiony mały statek żaglowy.

- To jest starość - wyjaśnił Bart. - Sprzedawca w sklepie powiedział mi, że został zrobiony prawdopodobnie około 1800 roku.

- Jest przepiękny! Prawda, Mitch?

- Co do tego nie ma wątpliwości - Mitch przesunął delikatnie palcami po gładkiej powierzchni. - Kość słoniowa?

329

- Nie, sprzedawca powiedział, że to raczej kiel morsa.

- Stokrotne dzięki. Zasluguje na miejsce wśród skarbów rodzinnych - Mitch pozostawił stateczek między fotografiami *Margravine* i *Langrovii*.

- Świetnie znam tę damę - zauważył Bart, dotykając zdjęcia statku pasażerskiego. - A to jest *Margravine*, tak? Piękny jacht.

- Podobno. Nigdy go nie widziałem - odparł Mitch.

- Ach, był przecudowny! Zastanawiam się, co się z nim stało - westchnęła Amy.

- Pewnie już inaczej się nazywa... - powiedziała Erica.

Po kolacji przenieśli się do salonu, gdzie przez otwarte okna wpływało przesycone słodką wonią nocne powietrze.

Bart nareszcie mógł poznać człowieka, dla którego Erica marnowała swoją młodość. Był właściwie zdecydowany nie lubić Mitchella Harrowforda od pierwszej chwili. Ale, ku własnemu zdziwieniu, wcale mu się to nie udało.

Przede wszystkim Mitch był chory. To od razu rzucało się w oczy. Błada skóra, powolne ruchy, płytki oddech, ataki kaszlu, które usiłował powstrzymać...

A przy tym świata nie widział poza Ericą. Świadczyło o tym każde jego spojrzenie. Czy można było nienawidzić kogoś, kto kochał Ericę?

W miarę upływu czasu zaprzyjaźnili się ze sobą. Chodzili razem na spacer, w czasie, gdy Erica pełniła swe obowiązki w British Colonial, byli dziwną parą: jeden tryskający zdrowiem i pełen życia, drugi wychudzony i pozbawiony energii.

- Co właściwie dolega Mitchowi? - spytał Bart Ericę pewnego wieczoru, kiedy przysiadła się do niego na chwilę w jadalni hotelowej.

- Jest chory na serce. Sprawę pogarsza stan jego płuc, uszkodzonych przez uderzenie w trakcie katastrofy *Portlandu*.

- Twoje życie bardzo się zmieniło od czasu katastrofy *Portlandu*. Wzruszyła ramionami, i pokręciła głową.

- Szkoda, że nie mogłeś mnie widzieć podczas londyńskiego debiutu! Moje życie uległo drastycznej zmianie prawie zaraz po wyjściu z sali tronowej.

- Z powodu tej historii z twoim ojcem? Pewnie mu tego nigdy nie wybaczysz.

Erica'zawahała się, po czym wyznała:

- Wynajęłam znowu tego detektywa.

- Co, tego z Miami?

- Tak, Clarbrooka. To znaczy sprawą zajmuje się jeden z jego współpracowników.

- Co cię do tego skłoniło? Przecież zdecydowałaś, że nie będziesz marnowała pieniędzy na próby odnalezienia ojca.

- Bart, wydarzyła się przedziwna rzecz. Znalazłam klucz.

- Klucz do czego?

- Tego właśnie nie wiemy. - Opowiedziała mu pokrótce historię

małego kluczyka ukrytego w ramce z fotografiami. - Mama nie ma pojęcia, do czego mógł służyć, ja także nie. Ale ten klucz przybliżył do nas ojca... - Przeszedł ją dreszcz. Bart położył dłoń na jej ręce.

- Wystraszyło cię to?

- Nie sam klucz. Tylko powód jego znalezienia.

- To znaczy ?

- Pewnego wieczora wróciłam niespodziewanie wcześniej i gdy weszłam do salonu, zastałam w nim Timothy'ego Perrimana, badającego krawędzie ramki do fotografii.

- Perriman! On jest tutaj?

- Przyjeżdża od czasu do czasu. Ma w Nassau przyjaciół, z którymi robi jakieś interesy. Nie wiem dokładnie, kim są ci ludzie, w każdym razie spotykają się w Klubie.

- A po cóż Timothy Perriman miałby interesować się waszą ramką?

- Jedyne powód, jaki mi przychodzi do głowy - powiedziała Erica, marszcząc brwi z wyrazem niepokoju na twarzy - to to, że Timothy wiedział o czymś, co zostało w niej schowane.

W tym momencie przez salę jadalną przeszedł kierownik, pan Staithe, z jego spojrzenia wynikało jednoznacznie, że Erica powinna być teraz zupełnie gdzie indziej.

- Muszę iść - powiedziała, wstając od stolika. - Czekają na mnie w sali karcianej.

- Odprowadzę cię do domu, kiedy skończysz - powiedział Bart.

- Och, nie rób sobie kłopotu...

- Żaden kłopot.

Partie brydża zakończono około północy. Bart czekał na Ericę w foyer hotelowym. Wyszli razem na Bay Street, gdzie słona bryza od morza dmuchała im prosto w twarze. Erica w swoich wieczorowych pantofelkach na wysokich obcasach z trudem nadążała za Bartem.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś - zaczął. - O Perrimanie, który zdawał się czegoś szukać. Przypuszczam, że jeśli wiedział, gdzie to jest, równie dobrze mógł wiedzieć, co to jest. Innymi słowy, szukał klucza.

- Ale klucza do czego, Bart?

- Tego nie wiemy. Ale możemy spróbować się domyśleć.

- Nie rozumiem?

- Szukał go Timothy Perriman. Co mi opowiadałaś o Timothy Perrimanie?

Erica zastanawiała się chwilę.

- Że był osobistym sekretarzem mojego ojca. Że po wyjeździe ojca pomagał w zlikwidowaniu wszystkich jego interesów. Że... - umilkła. Nie wspominała nigdy Bartowi o propozycji małżeństwa ze strony Timothy'ego i nadal nie miała zamiaru by to zrobić. - Nie pamiętam więcej - zakończyła.

240

- Powiem ci, co jeszcze mi wyjawiałaś. Zaangażowałaś Clarbrooka, żeby szukał twojego ojca. Clarbrook zaczął śledztwo od miejsca, do którego, jak się zdaje, ojciec chciał dotrzeć, to znaczy od *Margravine*, stojącej tutaj, w Nassau.

- *Margravinel*

- I czego się dowiedział Clarbrook? Że Timothy Perriman też się za nią rozglądał.

- Tak, pojechał na Long Island, do Easthampton...

- I pływał na jej pokładzie, chociaż mówiłaś mi, że nie znosi żeglowania.

- Tak. I mówił o niej, kiedy tylko przyjechał do nas, za tym pierwszym razem...

- Więc - powiedział Bart - czy nie uważasz, że jest możliwe, a nawet prawdopodobne, żeby klucz, którego szukał, pasował do czegoś na *Margravine*!

- Bart!

- To tylko pewien pomysł.

- Ale jestem przekonana, że masz rację! - ścisnęła go mocno za ramię. - Pewnie dlatego mi się oświadczył.

- Co takiego?

- Oj! - Erica zawahała się, a potem roześmiała. - Nie zamierzałam nigdy nikomu o tym mówić. Tylko moja matka wie. Timothy oświadczył mi się, a kiedy odmówiłam, powiedział, że robię duży błąd, bo nikt inny mnie nie zechce.

- Erico... to chyba niemożliwe.

- Ależ tak, to prawda. Jego zdaniem, to, że jestem córką Tregarvona stanowiło takie obciążenie, że znacznie dla mnie korzystniej było zostać panią Perriman. Małżeństwo wydawało mu się jedynym sposobem, żebym uniknęła śmierci głodowej, bo przecież nikt nigdy nie zaangażuje mnie do żadnej pracy.

- Cóż za przemily typ!

- Zachodziłam w głowę, dlaczego proponuje mi małżeństwo, skoro uważa mnie za taki ciężar. Ale teraz zaczynam podejrzewać, że...

- Ze chodziło mu o odnalezienie klucza...

- Przepuszczalnie wiedział albo się domyślał, że nowy właściciel jachtu prześle nam osobiste drobiazgi, które należały do ojca, bo kto chciałby trzymać składaną ramkę z fotografiami czyjejs rodziny? Nietrudno było odgadnąć, że pan Medcalfe przekaże te rzeczy mojej matce.
- Ale wtedy Perriman nie mógł dostać się do rzeczy...
- Nie, ponieważ mieszkaliśmy w hotelu. Wszystko było spakowane w kufrach, stojących w piwnicy. Nie miał do nich dostępu. Ale jeżeli przyjąłabym propozycję małżeństwa, mógłby je przeszukać, zwłaszcza że matka zamieszkałaby razem z nami.
- Tylko, że jego plany zawiodły.

16 - Nieodrodna córka

241

- Tak i wówczas z jakiegoś powodu postanowił dostać się na *Margravine* własnym sposobem. Po co to zrobił?
 - Rzeczywiście, to jest zagadkowe. Jeśli wiedział, że ty i twoja matka jesteście w posiadaniu srebrnej ramki, to tym samym wiedział, że macie klucz. Mimo to pojechał na *Margravine* bez klucza...
 - Nie rozumiem tego. Jeśli w ogóle klucz pasował do jakiejś skrzynki czy pudełka, które znajdowało się na jachcie. Ale pan Medcalfe nie przysłał nam niczego podobnego.
- Przeszli kilka kroków w milczeniu. Nagle Bart zatrzymał się jak wryty.
- To jest coś, czego nie można przenieść.
 - Słucham?
 - Coś nieruchomego. Coś wbudowanego. Boże drogi, wiesz chyba, jak wygląda życie na jachcie, Erico. Rozkładane łóżka, uchwyty, w które wstawia się butelki. Klucz, który znalazłaś w ramce z fotografiami, otwiera coś, co jest wbudowane... Gotów jestem się o to założyć.
 - Wiesz co? - powiedziała Erica z namysłem. - Chyba masz rację. Ale i tak nigdy nie dowiemy się, dlaczego to było takie niesłychanie ważne dla Timothy'ego. Bo nie wiemy, gdzie jest *Margravine*.
 - A gdzie jest klucz? - spytał Bart.
 - Klucz? Włożyłyśmy go z powrotem tam, gdzie się znajdował.
 - Sądzisz, że to dobry pomysł? - w głosie Barta zabrzmiała nuta niepokoju.
- Erica westchnęła.
- Może nie. Ale mama powiedziała, że czuje... czuje, że ojciec może wrócić pewnego dnia po ten klucz. Więc prosiła, żebym go¹włożyła w to samo miejsce. I zrobiłam to.
 - Naprawdę myślisz, że po niego wróci?
 - Kto wie?
 - Chciałabyś tego?
- Zawahała się, a potem powiedziała gwałtownie:
- Tak, chciałabym! Głównie ze względu na matkę, ponieważ ona go nadal kocha!
 - Ale również ze względu na siebie samą. Co czujesz, myśląc o jego powrocie? - spytał cicho Bart.
 - Nie jestem pewna. Przez długi czas nienawidziłam go...
 - Erico!
 - Wiem, to okropne, prawda? Własnego ojca... Nienawidziłam go za to, co nam zrobił, zostawiając nas same, rzucając światu na pożarcie. Ale teraz, wiesz... - urwała. - Od tamtej pory sama popełniłam niejedno

głupstwo, Bart. Zrozumiałam, że nie zawsze można postępować mądrze i rozsądnie, nie zawsze można kontrolować własne reakcje. Teraz wiem, że mógł stracić głowę i, ogarnięty paniką, sądzić, że... musi uciekać. Myślała o własnych decyzjach, o wyjeździe z Marsylii, o ślubie z Mi-tchem... Nie, żeby tego żalowała. Uznała, że los powierzył jej opiekę nad

242

Mitchem. Jednak to wszystko było szalone, rozumiała więc, że Lindon Tregarvon mógł postąpić podobnie.

- Ale nadal uważam, że powinien był się z nami skontaktować -podjęła. - Byłam pewna, że naprawdę kocha matkę. Jak może pozostawiać ją wciąż w niepewności, co do jego losów?

- Może rzeczywiście wróci po klucz. Może się okaże, że intuicja nie zawiodła twojej matki.

- Mam nadzieję. Nigdy nie przypuszczałam, że wypowiem te słowa, ale mam szczerą nadzieję, że ojciec do nas wróci.

- A klucz jest z powrotem w ramce. Nad kominkiem, tam, gdzie ją widziałem?

- Tak.

Bartowi nie wydawało się to bezpieczne, ale nie chciał dyskutować z Ericą, ani jej niepotrzebnie niepokoić.

Mogło to być po prostu dużo hałasu o nic. Jednakże zastanawiające było, że Timothy Perriman wciąż szuka klucza i to po tak długim czasie od zniknięcia Lindona Tregarvona.

Bart odprowadził Ericę do drzwi domu, żegnając ją symbolicznym pocałunkiem na dobranoc. W drodze powrotnej do hotelu, rozmyślał o niej i jej matce. Obie posiadały umiejętność przetrwania - Amy, ponieważ została obdarzona urokiem osobistym, który zjednał jej miłość Lindona Tregarvona i zawsze będzie zdobywał jej oddanych przyjaciół. Natomiast Erica, nieodrodna córka swego ojca, podejmie zawsze walkę, by pokonać przeszkody.

Jego urlop powoli dobiegał końca. Tego dnia Bart wybrał się na spacer. Był chłodny wczesny poranek.

Podziwiał właśnie strzępki puszystych obłoczków, które wschód słońca zabarwił na złocisto, gdy zauważył Mitchella Harrowforda, zbliżającego się wolno drogą wzdłuż plaży.

Mitch poruszał się jak starzec, z każdego jego kroku przebijało znużenie. Ubrany był bardzo starannie, choć ubranie na nim wisiało.

- Dzień dobry - powiedział Bart, nadając swemu głosowi pogodne i optymistyczne brzmienie. - Nie wiedziałem, że należysz do ludzi, którzy zrywają się o świcie.

- Kiedyś tak nie było - odparł Mitch. - Ale ostatnio jakoś nie bardzo mogę spać.

Przeszli razem kilka kroków. Brnęli przez piasek, co wyraźnie męczyło Mitcha. Bart zauważył łódź odwróconą dnem do góry i usiedli na niej obaj.

- Zdaje się, że wkrótce wyjeżdżasz ^ zagadnął Mitch.

- Tak, *Carico* kończy załadunek w końcu tygodnia.

- Wrócisz jeszcze kiedyś w te strony?

Pytanie zastanowiło Barta. Czy było podyktowane zwykłą ciekawością? A może Mitch pragnął wiedzieć, czy ma uważać Barta za rywala?

- Niewykluczone - odparł. - To zależy.

- Chciałbym, żebyś tu wrócił - powiedział Mitch.

- Słucham? - Bart nie potrafił ukryć zaskoczenia.

336

- A co, pewnie myślałeś, że chciałbym się ciebie jak najszybciej pozbyć? Ale wcale tak nie jest.
- Jak mam to rozumieć?
- Słuchaj, to, że jestem chory, nie znaczy, że jestem głupi. Jest dla mnie jasne, że kochasz Ericę i założę się, że ona kocha ciebie.
- Ależ jest do ciebie ogromnie przywiązana.
- Tak, wiem, ja czuję do niej to samo. Zrobię dla niej wszystko. Ale nie o to mi chodzi. Domyślasz się pewnie, że w gruncie rzeczy nie jestem dla niej żadnym mężem...
- Posłuchaj, to naprawdę nie moja sprawa.
- Ale ja chcę, żeby to była twoja sprawa. Chciałbym, żebyś się zaopiekował Ericą.
- Zaopiekował? - zdumiał się Bart.
- Kiedy mnie nie będzie.
- Nie będzie? A dokąd się wybierasz?
- Na najwspanialszą partię brydża tam, w górze, przyjacielu.
- Daj spokój, Mitch - zaprotestował Bart. - Tak się nie mówi. Mitch wziął do ręki strzępek wyschniętego wodorostu, który przyłgął do kila łodzi. Przypatrując mu się uważnie, powiedział:
- Mówię tak, ponieważ martwię się o Ericę. Chciałbym ustalić pewne sprawy, zanim odejdę.
- Ależ nie ma potrzeby...
- Owszem, jest. Nie będę już długo chodził po tym świecie, *amigo*. Każdy następny dzień bardziej mi ciąży niż poprzedni. Pewnego ranka obudzę się i zobaczę własne nazwisko w nekrologu.
- To absolutny nonsens...
- Wcale nie, jeśli wierzyć doktorowi. Nie rozmawiam o tym z Ericą, ale pozwól, że z tobą nie będę krążył dyplomatycznie wokół tematu. Myślę, że nie mam przed sobą nawet roku, a kiedy mnie zabraknie, Erica będzie zrozpaczona.
- No widzisz, mówilem, że ona cię kocha.
- Dobrze, zgoda, ale najcięższe będzie dla niej do zniesienia poczucie winy. Będzie uważała, że gdyby nie skłoniła mnie do wyjazdu z Marsylii, nie byłbym tak ciężko chory. A tak musiało być - wcześniej czy później. Ona nie zdawała sobie sprawy, jak źle ze mną było, zanim wsiedliśmy na statek. Bart, chcę, żebyś jej pomógł.

Bart był zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć. Mitch dobrze wiedział o czym mówi, to nie była spontaniczna prośba, ale coś, o czym nieraz myślał w samotności.

- Mam chyba rację, że jesteś osobą, do której Erica zwróci się w razie nieszczęścia? - nalegał Mitch.

- Czy ja wiem... o ile tu będę...

- Postaraj się tu być, Bart. Postaraj się przyjechać do niej, kiedy to się zdarzy.

338

- Do diabła, przestań tak mówić! Sam się wpędzasz do grobu! Mitch uśmiechnął się, jego blade rysy rozjaśniło prawdziwe rozbawienie.

- To znaczy, że chcesz, żebym żył wiecznie i żebyście nigdy nie mogli się połączyć? Dobra, żarty na bok.

Przede wszystkim nie powinniśmy się pobrać z Ericą. Nie mam do niej w gruncie rzeczy żadnego prawa, ale ona jest zbyt uczciwa, żeby mieć przygody na boku, dopóki jest moją żoną. Z tonu, jakim mówiła o tobie, kiedy spotkaliście się w Marsylii, nietrudno było odgadnąć, że coś was łączyło w przeszłości.

- Ale to się wydarzyło całe lata temu.

- A jednak przyjechałeś tutaj z Buenos Aires tylko po to, żeby się z nią zobaczyć.

- Ja...

- Myślę, że jej miejsce jest przy tobie. A ja przypadkiem was rozdzieliłem. Nie zrozum mnie źle, obdarzam Ericę wszelkimi uczuciami, do jakich jestem zdolny, i zrobiłbym, co w mojej mocy, żeby ją uszczęśliwić. A umowa z tobą jest jedną z rzeczy, które koniecznie chciałbym załatwić zanim odejdę.

- Mitch, nie wiem, co ci mam odpowiedzieć - odezwał się po chwili Bart, wytrącony z równowagi i nieszczęśliwy.

- Kochasz Ericę?

- Tak, Mitch.

- Więc bądź tu, kiedy będzie cię potrzebowała. O nic więcej nie proszę. - Milczeli przez chwilę. - Zgoda?

- Zgoda - odpowiedział Bart.

I choć obaj byli do głębi poruszeni odbytą rozmową, uścisnęli sobie dłonie tak zwyczajnie, jakby zawarli jakieś blahe porozumienie.

Mitch umarł w końcu sierpnia.

Lipiec i sierpień były zawsze bardzo upalnymi miesiącami na New Providence. W tym okresie hotele były na ogół zamknięte, świadczone tylko usługi dla miejscowej klienteli, ponieważ liczba turystów malała, aż w końcu nie pozostawał w Nassau nikt obcy. Praca Eriki została czasowo zawieszona, a sklepik „Kwiaty dla Przyjaciół” zamknięty aż do października, kiedy największe upały przeminą, wilgotność powietrza wróci do normy, a huragany ucichną aż do następnego lata. Wszyscy zatrudnieni w turystyce musieli gromadzić oszczędności, by przetrwać miesiące bez pracy.

Amy Tregarvon przywykła do miejscowego klimatu. Nauczyła się stosować taktykę mieszkańców: nie tracić na próżno energii, jak najmniej się poruszać, nie wychodzić z cienia, odpowiednio nawadniać organizmu, i nie wdawać się w zbędne dyskusje.

Gra w karty idealnie przystawała do tego sposobu życia. Przyjaciele zbierali się więc kolejno w swoich domach na leniwe sesje brydża czy wista.

W trakcie jednego z karcianych wieczorów Mitch przeprosił gości, i wrócił do swojego pokoju.

- Nic mu nie jest? - spytał pan Simmons, lyknąwszy soku cytrynowego z lodem.

- Upał daje mu się we znaki - wyjaśniła Amy.

Zebrani pokiwali głowami ze zrozumieniem. „Upał” był uniwersalną wymówką, usprawiedliwieniem wszystkiego: spóźnienia, klótni, marnego programu radiowego, migreny czy złamanego paznokcia.

Mitch nie wrócił do salonu. Po wyjściu gości Erica zapukała do jego pokoju, by spytać, czy czegoś nie potrzebuje.

Mitch siedział w trzcinowym fotelu w pobliżu wiatraczka elektrycznego. Wyglądał bardzo źle:

246

- Mitch! Co ci jest, kochanie? - zawołała.

- Bóg raczy wiedzieć. Czuję się paskudnie.

Wyciągnęła rękę, dotykając jego policzka. Skóra Mitcha zdawała się płonąć.

- Masz gorączkę.

- Tak, na pewno. I piekielny ból głowy.

- Taki jak tamte, kiedyś?

- Nie, teraz boli mnie cała głowa, nie tylko jedna strona, i cały kręgosłup.
Erica wiedziała, że Mitch bardzo cierpi, choć nigdy nie mówił o swoich bólach.

- Wezwę doktora Commagera.

- Nie, nie przeszkadzaj mu o takiej późnej porze, to pewnie jakiś wirus. Rano na pewno poczuję się lepiej.
Ale Erica machnęła ręką na późną godzinę. Obawiała się, że to jakaś poważniejsza sprawa.

- *Pappataci* - zawyrokował doktor, skończywszy badanie. - Był pan ostatnio na plaży?

- Tak, oczywiście, to jedno z moich ulubionych miejsc.

- Zapewne bez warstwy kremu ochronnego?

- Przecież nie można, u licha, stale pachnieć na miłą cytronellą, panie doktorze - Mitch usiłował przywołać uśmiech na wargi, ale przekraczało to jego siły. Głos miał głuchy, jakby stłumiony.

- Do łóżka - polecił doktor. - Mnóstwo płynów, mleko, woda sodowa. Przyślę mieszankę, którą będzie pan zażywał. Macie w domu fenacetynę?

- Nie, tylko aspirynę - odparła Erica.

- Brał ją pan dzisiaj? - spytał doktor Mitcha.

- Tak, trzy tabletki od godziny jedenastej.

- Dobrze. Może pan wziąć teraz jeszcze dwie, a ja przyślę razem z miksturą tabletki fenacetyny. Proszę iść do łóżka i niczym się nie przejmować.

- Wygląda mi to na ostry atak choroby. Niech pani pilnuje, żeby wypoczywał cały czas i nie był przegrzany.
Wpadnę rano - zapowiedział doktor.

Amy także czekała na diagnozę doktora.

- *Pappataci*, o tak, to się potrafi porządnie dać we znaki - stwierdziła z przekonaniem osoby, mającej za sobą doświadczenie trzyletniego pobytu na wyspie. - Nieraz potrzeba dwóch tygodni, żeby ją przewyciężyć, a potem jeszcze przez następny tydzień czy dwa chory jest na ogół osłabiony i bez życia.
Erica także wiedziała trochę o chorobie, ponieważ widywała cierpiących na nią turystów. Zwykle narzekali z powodu popsutych wakacji. Ale rzeczywiście po dwóch tygodniach byli już na ogół zdrowi.
Posłaniec przyniósł obiecaną przez doktora lekarstwa. Mitch wziął

dawkę mikstury, nawet nie poczuł smaku kamfory. Erica pomogła mu ułożyć się wygodnie pod moskitierą, poprawiła elektryczny wiatrak i usiadła na krześle obok łóżka.

- Idź spać, skarbie - zarządził Mitch. - Chyba nie masz zamiaru przesiedzieć tu całej nocy.

- Ale możesz czegoś potrzebować.

- Idź spać! To zwykła gorączka. Muszę ją odchorować i nic mi nie pomożesz, spędzając tutaj całą noc.

- Ale naprawdę uważam...

- Przestań robić zamieszanie, Erico. Nie zasnę, póki będziesz tu siedziała i patrzyła na mnie.

Erica uśmiechnęła się i ustąpiła. I nigdy sobie tego nie wybaczyła, bo kiedy wróciła do pokoju po pięciu godzinach, o ósmej rano następnego dnia, Mitch już nie żył.

- Proszę się o nic nie obwiniać - powiedział doktor Commager. - Jego serce nie wytrzymało wysokiej temperatury. Nie mogła pani absolutnie nic na to poradzić.

- Mogłam wezwać pana...

- Moja droga, przypuszczalnie nie zorientowałaby się pani nawet, kiedy nadeszła ta chwila. Odszedł spokojnie we śnie. Jest mi bardzo przykro i ogromnie pani współczuje. Ale przecież było wiadomo, że coś podobnego może się w każdej chwili wydarzyć.

Wszyscy byli dla Eriki bardzo mili. Współczuli i ofiarowali jej pomoc. Biedna dziewczyna, zaledwie rok po ślubie, a już została wdową. Wszyscy przyszli na pogrzeb, choć był to jeden z najgorętszych i najcięższych do zniesienia dni tego męczącego lata.

Uwagę publiczną pochłonęły jednak wkrótce inne, ważniejsze wydarzenia. Trzy dni po pogrzebie Mitcha Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom hitlerowskim. -*

- Cóż mnie to może obchodzić! - wykrzyknęła ze złością Erica, usłyszawszy nowinę. - Niech się zabijają nawzajem, jeśli tego chcą! Mój mąż już nie żyje.

- Erico, kochanie moje...

- Nie mów, że się z tym pogodzę, mamó! Nie chcę tego słyszeć.

- Wiem, dziecko - westchnęła Amy. - Ale to minie. Każda strata staje się z czasem do zniesienia. Wiem, bo sama przez to przeszłam.

Na te słowa Erica rzuciła się w ramiona matki. Przytuliły się do siebie, dzieląc przeżyty tragedię. Chociaż Amy nie wyobrażała sobie nigdy, że będzie występować w roli pocieszycielki i opiekunki, teraz starała się być jednym i drugim dla córki, która dotąd była dla niej jedynym oparciem.

Minęły prawie dwa tygodnie, nim Erica znalazła w sobie dość siły, by zająć się posegregowaniem niewielu rzeczy Mitcha. Kilka białych garniturów z tropiku, koszule, buty.... Tak niewiele, jak na człowieka, który niemal przez ćwierć wieku przemierzał wszystkie morza świata.

248

W małym pudełku z plecionych liści palmowych, gdzie Mitch przechowywał spinki do mankietów i szpilki do krawatów, Erica znalazła złożoną kartkę papieru. Gdy ją rozłożyła, zobaczyła wąskie pismo Mitcha. Opadła na łóżko i zaczęła czytać.

Kochana Erico!

Jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że mnie już z Tobą nie ma: Nie płacz nade mną za bardzo, skarbie, szkoda Twoich łez.

Chcę, żebyś wiedziała, że odmieniłam całkowicie moje życie od chwili, kiedy Cię spotkałem. Znasz powiedzenie: kto ma szczęście w kartach, nie ma go w miłości - ze mną tak właśnie zawsze było. Nigdy nie potrafiłem żywić głębszych uczuć dla kobiet, które bliżej znałem. A było ich kilka i wszystkie dały za wygraną...

Ale z Tobą było zupełnie inaczej. Przy Tobie nie musiałem nigdy mieć się na baczności. Co nie znaczy, że mógłbym kiedykolwiek .otworzyć się całkowicie - za bardzo obrosłem w skorupę, w którą się schroniłem, prawdopodobnie nie udałoby mi się nigdy z niej wydostać.

A jednak pokochałem Cię, Erico, na tyle, na ile byłem zdolny kiedykolwiek kochać. I wdzięczny jestem za to, co tak szczerze mi ofiarowałaś, chociaż miałem poczucie, że tracisz na mnie czas. . Buduj dalej swoje życie i bądź szczęśliwa.

Twój dawny partner, Mitch

Po długim czasie Amy odnalazła Ericę siedzącą z listem w ręce i łzami spływającymi z policzków.

Usiadła obok córki na łóżku, biorąc jej rękę w swoje dłonie. Ucieszyła się, widząc płacz córki. Do tej chwili Erica nie zapłakała ani razu, gniew i wyrzuty sumienia nie pozwoliły jej okazać także bólu.

Ale później, kiedy łzy wyschły, powróciło poczucie winy. Erica nie mogła sobie wybaczyć, że przywiozła Mitcha do Nassau, że była taka bardzo pewna, że wie, co jest dla niego najlepsze. To z jej winy zapadł na ostatnią chorobę, która skończyła się tragicznie.

Czuła się w Nassau jak w więzieniu. Marzyła o wyjeździe. Ale dokąd? Wrócić do życia na statkach, z rejsu na rejs? Było to praktycznie nieosiągalne. Co prawda amerykańskie towarzystwa okrętowe pracowały nadal, ale

panowało powszechne przekonanie, że morze nie jest już bezpieczne dla nikogo, nawet dla statków uznanych za „neutralne”. Obawiano się łodzi podwodnych, a liczba pasażerów wciąż malała.

Poza tym Erica nie mogła zostawić matki samej. Amy, podobnie jak córka, była chwilowo bezrobotna. Będzie mogła wrócić do swojej pracy w sklepiku „Kwiaty dla Przyjaciół”, gdy - i jeśli w ogóle - sezon turystyczny ożywi się znów w październiku. Pozostawało więc tylko leniwe życie

343

towarzyskie w zamkniętym kręgu: kilku uczniów,, pragnących pogłębić swoje umiejętności gry w brydża, lokalny turniej, zorganizowany przez hotel British Colonial dla mieszkańców Nassau. Ale to nie wystarczyło, by zająć jej myśli.

I wtedy na scenę wkroczył Timothy Perriman. Jego pojawienie się na wyspie było co najmniej zaskakujące. Musiał mieć ważne powody, żeby zdecydować się na przyjazd w samym środku upalnego lata.

Przyjazd Timothy'ego wiązał się bezpośrednio z wybuchem wojny. Jego pracodawcy poczuli zagrożenie. Wyspy Bahama stanowiły terytorium brytyjskie. Czy należało się liczyć z nagłą rekwizycją posiadłości, których właścicielami byli cudzoziemcy? A może z zakazem inwestowania dla wszystkich nie-Brytyjczyków? Bracia Bassania i ich partnerzy opracowali długoterminowe plany dotyczące Bahamów i nie życzyli sobie ich udaremnienia z powodu jakiegoś wojennego dekretu. Dlatego też wysłali Timothy'ego, by zorientował się w sytuacji.

Timothy odniósł wrażenie, że biali na wyspie są zbyt zajęci „uprawianiem patriotyzmu”, żeby zajmowali się czymś tak poważnym jak ustalanie prawa własności. Powoływano najróżniejsze komitety, deklarujące pomoc sprawie aliantów, „zaadaptowano” kilka okrętów wojennych, a panie z Nassau robiły na drutach ciepłe szaliki i czapki dla ich załóg. Natomiast kolorowi mieszkańcy wyspy wydawali się raczej nieświadomi wybuchu jakiegokolwiek wojny.

Timothy uznał, że najlepiej będzie nie zwracać niczyjej uwagi i nie przypominać „chłopcom z Bay Street”, że spora część terenów zarówno na New Providence, jak na Grand Bahama, jest własnością spółek amerykańskich. Porzucił więc interesy i zajął się sprawami prywatnymi.

Wiedział, ponieważ o to zadbał, że Erica Harrowford została wdową. Ta wiadomość nawet go ucieszyła. Nigdy nie lubił Mitchella Harrowforda, który miał zwyczaj przyglądać mu się w taki sposób, że Timothy zaczynał czuć się nieswojo. Ale co ważniejsze, Erica była znów samotna.

Timothy wiedział, że nie ma żadnej szansy, by zbliżyć się do Eriki. Ale nie rezygnował.

Czekał na okazję do pogawędki. Podszedł do niej pewnego wieczoru, gdy porządkowała salon karciany w British Colonial po długiej sesji brydża.

- Nie można powiedzieć, żeby życie toczyło się tu wartko - zagadnął. Erica zauważyła, że Timothy kręcił się przy drzwiach salonu w czasie

rozgrywania ostatniego robra. Teraz, gdy już zebrała rozrzucone karty, wyprostowała się.

- Zawsze jest znacznie spokojniej poza sezonem - powiedziała.

- Ale czy w ogóle można spodziewać się nadejścia „sezonu”? Teraz, kiedy wybuchła wojna?
- Kto wie? - Erica wróciła do swojego zajęcia. Elektryczne wiatraki szumiały cicho, z sali balowej, gdzie tańczyło jeszcze kilka niestrudzonych par, dochodziły stłumione dźwięki muzyki.

345

- Co masz zamiar robić w najbliższej przyszłości? - spytał Timothy, przyglądając się, jak porusza się niespiesznie wokół stolika do gry.

Była nadal bardzo atrakcyjną kobietą, może nawet bardziej niż w czasach, gdy jej młode, świeże rysy nie nosiły śladów przeżyć ostatnich lat. Teraz jej twarz była bardzo szczupła, opalona przez słońce, którego nie sposób było uniknąć na Bahamach. Oczy wydawały się większe, a rzęsy ciemniejsze na tle złocistej karnacji. Kasztanowe włosy upięte na czubku głowy przytrzymywały dwa grzebienie z łupiny orzecha kokosowego -uczesanie odpowiednie na upały. Miała na sobie wieczorową suknię, którą widział już przedtem, z bladezielonego jedwabnego szyfonu, z wysoko odciętą talią i dekoltem karo. Jedynie bardzo wprawny obserwator zauważyłby, że jest to moda sprzed jakichś czterech lat.

Erica nie odpowiedziała na pytanie. Uważała, że jej plany nie powinny obchodzić Timothy'ego Perrimana. Zresztą, prawdę mówiąc, sama ich jeszcze nie знаła. Nie była w stanie wyobrazić sobie, co może jeszcze ją czekać. Zdecydowanie, które cechowało ją dotąd, zdawało się należeć do przeszłości.

- Posłuchaj - powiedział Timothy - mam przyjaciół, którzy mogliby udzielić ci poparcia finansowego, jeśli chciałabyś zająć się jakimś interesem.

Erica odwróciła się do niego z talią kart w dłoni.

- Interesem? Jakim interesem?

- Choćby brydżem.

- Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby udzielać mi poparcia finansowego...

- Brydż robi wielką karierę - przerwał jej Timothy. - Cała Ameryka chce się nauczyć gry w brydża.

- Ah, Ameryka.

- Ależ tak. To już cały przemysł. Szkoły brydża powstały we wszystkich miastach i ośrodkach wypoczynkowych. Erico, nie chciałabyś wsparcia, by założyć własną szkołę?

Nie miał wątpliwości, że jego propozycja ją zainteresuje. Odłożyła karty na stół.

- Timothy, brydż nigdy nie będzie tak popularny jak wyścigi konne czy hazard. Dlaczego więc twoi przyjaciele mieliby interesować się tak niepewnym przedsięwzięciem?

W odpowiedzi na jej pytanie, wąska twarz Timothy'ego oblała się rumieńcem. W jasnoszarych oczach błysnęło na chwilę coś, jakby uraza.

- Moi przyjaciele są zainteresowani robieniem pieniędzy - powiedział spokojnie. - A ludzie z pieniędzmi są zainteresowani brydżem. Więc sprawa jest prosta.

- .Widziałam twoich przyjaciół w restauracji w Nowym Jorku, jeśli sobie przypominasz - Erica wzruszyła lekko ramionami. - To wciąż ci sami?

251

- Erico, oni dysponują funduszami, które chętnie zainwestują. Banki i korporacje finansowe tylko czekają na okazję. Pieniądze są pieniędzmi, niezależnie od tego, kto je ma.

Gdy skończył, natychmiast się zorientował, że powiedział za dużo. Rozdrażniło go to. Dlaczego we wszystkich rozmowach z Ericą Tregarvon popełniał zawsze te same nietakty? Czyżby wspomnienia z przeszłości odbierały mu pewność siebie?

Brnął więc dalej.

- Mogłabyś wyjechać z Nassau, gdybyś tylko chciała. Pewnie obie z matką czujecie się zobowiązane wobec lady Oakes. Ale z pieniędzmi, niezależnie od ich źródła, mogłabyś rozpocząć nowe życie. Przenieść się na przykład do Miami czy Palm Beach, albo do jakiegokolwiek innego miasta na kontynencie amerykańskim.

- W Ameryce?

- Dlaczegoż by nie? Chyba nie masz zamiaru zagrzebać się na resztę życia na Bahamach? - Tak, to było ważne, wyrwać ją z Bahamów, odciągnąć od miejsca, gdzie mogłaby trafić na ślad *Margravine*.

Timothy zdawał się odczytywać jej myśli - jej niepoohamowaną tęsknotę do ucieczki od klaustrofobicznej atmosfery zamkniętej społeczności Nassau.

- No i co na to powiesz? - dopytywał się Timothy.

- Wątpię, żebym miała ochotę zaczynać cokolwiek, korzystając z pieniędzy twoich przyjaciół z Nowego Jorku, Timothy.

- Dobrze, więc powiedzmy, że to ja wyasygnuję pewną sumę.

- O, nie.

- W charakterze pożyczki. Osobistej pożyczki. Możesz ją spłacić z uzgodnionym procentem. To będzie czysty biznes.

- Wyobrażam sobie, że byłaby to całkiem spora suma. Wynajęcie odpowiedniego lokalu, wymagającego być może przeróbek, remont, ogłoszenia...

- Ależ naturalnie. Wszystko powinno być w najlepszym stylu. Mogłabyś polecieć na Florydę, znaleźć odpowiednie miejsce i porozmawiać z pośrednikiem nieruchomości.

- Teraz są przecież ograniczenia lotów...

- Ach, jeśli o to chodzi... nie przejmuj się, zdobędę pozwolenie bez kłopotu.

Nie domyślał się nawet, że tym stwierdzeniem znów wzbudził w niej podejrzliwość. Sądząc z jego pewnego tonu, istotnie mógł zdobyć pozwolenie na wylot z Oakes Field; na wyspie, gdzie benzyna i paliwo były

importowane, a lada dzień miało podlegać ścisłemu racjonowaniu. Czy zamierzał skorzystać z pomocy swoich przyjaciół? I czy wobec tego ciążyłyby na niej poważne zobowiązania? Podobna ewentualność była mocno niepokojąca.

- Przemyśl moją propozycję - doradził, czując, że zbytnia gorliwość

348

z jego strony mogłaby ją tylko zniechęcić. - Wyjeżdżam dopiero pojutrze. Spotkajmy się jeszcze raz, a wtedy omówimy sprawy dokładniej, zrobimy ogólny plan kosztów.

- Nie wiem, Timothy. Nigdy w życiu nie zaciągałam długów...

- Nie myśl o tym jako o długu, a raczej wspólnej inwestycji. Ty zainwestujesz swoje doświadczenie, a ja pieniądze. Nie uważasz, że to uczciwy układ?

- Zapewne.

Nie dodał nic więcej, instynkt biznesmena podpowiedział mu, że należy skończyć rozmowę. Wyczuł, że Erica tęskni do zmiany, pragnie po raz kolejny odmienić swoje życie.

Negocjacje w sprawach interesów dotyczą zazwyczaj kwestii finansowych. Ale dla Eriki pieniądze, choć ważne, nie były sprawą najistotniejszą. Nie brakło także innych, bardzo poważnych względów.

Przede wszystkim problem braku zaufania, który pojawiał się, ilekroć miała do czynienia z Timothyem Perrimanem. Miała wrażenie, że on zawsze usiłuje ją manipulować. Nie mogła pozbyć się tego uczucia od chwili owych krępujących i tak bardzo żenujących oświadczeń. W gruncie rzeczy Timothy wcale nie pragnął się z nią ożenić. Chciał natomiast... no właśnie, czego chciał? Może zdobyć nad nią kontrolę?

A potem wciąż pojawiał się w jej życiu. Nie wierzyła ani przez chwilę, żeby wiązało się to z jakimkolwiek uczuciem z jego strony. Po prostu z jakiegoś powodu chciał być z nią w kontakcie.

A teraz wystąpił z bardzo korzystną ofertą. Rzeczywiście, pragnęła zacząć wszystko od nowa.

Ale czy przy pomocy Timothy'ego Perrimana?

Brakowało kogoś, kogo mogłaby się poradzić. Matka nie wchodziła w grę. Amy Tregarvon nadal żałowała, że córka odmówiła Timothy'emu przed laty; takie przynajmniej wrażenie odnosiła Erica. Ale Amy nie знаła prawdziwego Timothy'ego, dla niej był zawsze młodym człowiekiem, którego Lindon obdarzył zaufaniem i który teraz odnosił sukcesy w biznesie.

Tego dnia, o późnej wieczornej godzinie, po powrocie z hotelu, Erica napisała list do Barta Crosleya.

Przelala na papier wszystkie swoje lęki i niepewności, pragnienia, tęsknoty i żale; głębokie przygnębienie i poczucie straty po śmierci Mitcha, rozterkę związaną z planami na przyszłość, wątpliwości dotyczące Timothy'ego Perrimana, wreszcie pisała o tej okropnej samotności, z którą nie umiała sobie poradzić. „Gdzie jesteś?” pytała. „Gdzieś bardzo daleko stąd? Potrzebuję cię, Bart. Gdzie jesteś?”

Okolo trzeciej nad ranem, wyczerpana, položyla się w końcu do łózka.

Następnego dnia przeczytala list i ogarnal ją wstyd. Jeden wielki lament na temat własnej osoby i własnych problemów. Podarła zapisane kartki i wyrzucila je do kosza na śmieci.

Przyszło jej jednak do głowy, że nie zawiadomila Barta o śmierci

253

Mitcha. Usiadła więc znów przy biurku, napisała tym razem krótki, rzeczowy list. Zakończyła go słowami: „Po twoim wyjeździe Mitch bardzo często cię wspominał. Pragnę ci podziękować za wszystkie chwile, które z nim spędziłeś. Może pewnego dnia odwiedzisz nas znowu. Miło byłoby cię zobaczyć, Bart”.

Ten list wysłała. Nie miała pojęcia, kiedy Bart go dostanie. On sam, i jego *Carico*, mogli się teraz znajdować na drugim końcu świata.

Ale samo napisanie listu rozjaśniło jej myśli. Wiedziała teraz, bez cienia wątpliwości, że nie może przyjąć żadnej pomocy od Timothy'ego Perrimana. Jego oferta wydawała się wielkoduszna, może aż nadto, i dlatego budziła nieokreślone podejrzenia.

Przesłała mu wiadomość do hotelu. Oznajmiła, że nie chce słyszeć o jego propozycji. Unikała kontaktu z nim, póki nie doszły jej słuchy, że Timothy wyjechał do Miami. O całej sprawie nie wspomniała nawet matce. Niemniej pomysł założenia szkoły był zupełnie dobry. Na początku jesieni Erica poczyniła w tym kierunku pewne kroki. Zawarła umowę z hotelem

0 wynajęcie jednej z sal, zamieściła ogłoszenia w „Tribune” i „Guardian”

1 przekonała się z przyjemnością, że znudzeni mieszkańcy New Providence zainteresowali się jej ofertą.

A w dodatku, od 1940 roku na Bahamach zaczęły stacjonować wojska brytyjskie. W Europie toczyła się tymczasem „dziwna wojna”, tak nazywana przez dziennikarzy - okres zawieszenia działań pomiędzy aliantami a armią niemiecką. Dopiero późną wiosną wojska hitlerowskie ruszyły na Francję, podbijając po drodze Holandię i Belgię.

Siły brytyjskie walczyły z wrogiem, cofając się aż do Dunkierki. Cała flota brytyjska została zaangażowana w ewakuację żołnierzy na względnie bezpieczne tereny południowej Anglii. Ministerstwo Wojny przystąpiło do reorganizacji sił zbrojnych: Kilka oddziałów zostało wysłanych na Bahamy, a wraz z ich przyjazdem ożywił się tam nie tylko handel, ale także życie towarzyskie i wszelka inna działalność.

Dla Eriki i Amy nadeszły lepsze czasy. Odkąd pieniądze zaczęły krążyć, ludzie skłonni byli je wydawać. Z finansowego punktu widzenia życie stało się nieco łatwiejsze. Nawet, gdy z początkiem czerwca powróciły upały, oficerowie brytyjscy nie dali im się pokonać. Poruszali się żywo po małej kolonii, grali w golfa, odwiedzali wyścigi konne w Hobby Horse Hill i zeglowali na wynajętych jachtach.

Po długim czasie nadszedł list od Barta. Koperta nosiła ślady długich wędrówek poprzez różne sortownie i urzędy cenzury wojskowej.

Kochana Erico!

Twój list dotarł do mnie z opóźnieniem, spowodowanym przetrzymaniem w biurze żeglugi w Buenos Aires. Wiadomość o śmierci Mitcha nie była dla mnie aż takim szokiem; on sam powiedział mi, że liczy się
351

z rychłym odejściem. Bardzo mi smutno, że go zabrakło, był naprawdę dobrym człowiekiem. Zjawilibym się u was lotem błyskawicy, ale gdy wybuchła wojna zgłosiłem się do marynarki wojennej. Mój obecny adres to: „gdzieś w Anglii”, morski obóz szkoleniowy. Po skończeniu kursów mam nadzieję wyruszyć na morze w randze porucznika, ale to pozostaje w gestii bogów i Admiralicji, co wychodzi mniej więcej na to samo. (W tym miejscu cenzor rządowy wykreślił kilka linijek ze względu na bezpieczeństwo kraju.) ...Rozumiesz więc, że nie wiem, gdzie zostaną wysłani. Powiem tylko, że mam nadzieję znaleźć się z rozkazu odpowiednich władz gdzieś niedaleko Ciebie. Napisz do mnie pocztą wojskową na ten adres, chociaż w chwili, gdy będziesz czytała mój list, mogę być już gdzie indziej.

Matka Eriki zauważyła natychmiast, że musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego. Jej córka jaśniała wprost ze szczęścia.

- List od Barta! - zawołała, wymachując kopertą. - Och, mam wreszcie mam wiadomości od Barta!

- To świetnie, kochanie - zgodziła się Amy. - Jakże on się miewa?

- Nie wiem, o tym nie napisał. Ale zgłosił się do wojska i jest w marynarce wojennej. Przeczytaj. Jak cudownie, że jesteśmy znów w kontakcie!

- Tak, córeczko, widzę, że to cudownie - odparła Amy z rozbawieniem.

Oczywiście, Erica musiała natychmiast odpisać na list, który otrzymała z wielomiesięcznym opóźnieniem. Co też Bart sobie pomyślał, gdy tak długo me dostawał odpowiedzi? Ułożyła pełną entuzjazmu odpowiedź, co robi i jak wygląda obecnie życie w Nassau, opisała i dodała, że nareszcie ma kogoś, dla kogo będzie mogła robić na drutach. „Nigdy nie opanowałam tej sztuki, czyż to nie straszne, że moje edukacja została tak zaniedbana?” Wspólnie z matką zrobiły paczkę, do której włożyła kandyzowane owoce, amerykańskie cukierki, papierosy. Po raz pierwszy poczuły, że należą do poważnego grona pań, które zajmują się zbieraniem artykułów, stanowiących „osłodę dla walczących”.

Z końcem lipca nowe sprawy zaprzętnęły panie z Nassau. Wszyscy czuli, że na coś się zanosi. Kilku członków Rady Wykonawczej zdawało się wiedzieć, o co chodzi, ale za nic nie chcieli zdradzić tajemnicy. Potem niespodziewanie sir Charles Dundas, gubernator Bahamów, został przeniesiony do Ugandy, nim upłynął okres jego urzędowania. Cóż to miało znaczyć? Czyżby popadł w niełaskę? Czy może zamieszany był w jakiś

Okolo połowy sierpnia upały sięgnęły apogeum i w normalnych warunkach mieszkańcy wysp wiedliby apatyczne i bierne życie, jednak teraz rozprawiali z ożywieniem, z pochylonymi ku sobie głowami. Pewnego dnia nowina przedostała się w końcu na światło dzienne. Dziwna, wprost niewiarygodna nowina.

Nowym gubernatorem wysp Bahama został książę Windsoru.

W pierwszej chwili nikt w to nie uwierzył. Ot, propaganda hitlerowska albo niemądre wymysły Amerykanów.

A jednak była to szczerza prawda. Na Bay Street zaczęto wznosić dekoracje, przywieziono flagi, które wciągnięto następnie na słupy, robiono girlandy, by ozdobić witryny sklepowe. Miał przecież przyjechać książę, a wraz z nim - co było może jeszcze istotniejsze dla amerykańskich dziennikarzy - również księżna!

Nikt nie pozostał obojętny wobec wiekopomnego wydarzenia. Całe Nassau ogarnęła gorączka. Tego dnia panowała duszna spiekota. Erica i Amy stawily się na bulwarze, pośród fioletowych dekoracji i flag oraz wieńców palmowych. Jak wszyscy wokół, były odświetnie ubrane. Absurdem wydawało się stać w tłumie w jedwabnych sukniach i wielkich kapeluszach oraz pantofelkach na wysokich obcasach. I w jakim celu? Aby powitać człowieka, który został wysłany w miejsce, gdzie, jak się wydawało, mógł najmniej zaszkodzić.

Wieść niosła, że Windsorowie pozwolili sobie na nietaktowne uwagi o negocjowanym pokoju z Niemcami. W czasie, gdy padała Francja, a wojska brytyjskie ledwie zdołały ewakuować się za kanał La Manche, oni przebywali w neutralnej Portugalii, uczestnicząc w hitlerowskich rauchach dyplomatycznych. Ministerstwo Wojny w Londynie postanowiło usunąć ich w bezpieczne i oddalone od Europy miejsce. W rezultacie zostali wysłani na Wyspy Bahama.

U wejścia do zatoku ukazał się niszczyciel HMS *Excalibur*. Nowy gubernator i jego żona, w towarzystwie niewielkiej grupy oficerów, przesiadli się z jego pokładu na *Lady Somers*. Gdy statek zbliżał się do pochylni, widać było, że dostojni pasażerowie przyglądają się z wysokości mostka najważniejszym budowlom na wybrzeżu: rezydencji gubernatora, Fortowi Montagu, siedzibie sądu.

Tłum poruszył się nerwowo. Zaczęły przybywać co znaczniejsze osobistości: sir Harry Oakes, główny dobroczyńca wysp, Harold Christie, kontrolujący większość handlu nieruchomościami; „chłopcy z Bay Street” z rodzinami. Wszyscy pragnęli uściskać dłoń byłego księcia Walii.

Lady Somers zbliżyła się wolno do mola. Przerzucono trap. Na pokładzie ukazał się nowy gubernator wraz z żoną. Jego pierwszy krok na trapie tłum powitał radosnymi okrzykami.

W chwilę później gubernator postawił stopę na ziemi swojego nowego królestwa: szerokiej tafli oceanu, usianej uroczymi wyspami, na czele z New Providence, które, choć mało ważne dla reszty świata, miały teraz stać się jego

354

ojczyzną. Dziwny los dla człowieka, który był niegdyś królem Zjednoczonego Królestwa, imperatorem Indii, władcą Kanady i Australii oraz tysiąca kolonii, rozproszonych po całym świecie.

Członkowie Rady Wykonawczej zbliżyli się, by uścisnąć dłoń księcia i wypowiedzieć słowa powitania. Para książęca przeszła w cień baldachimu, gdzie dokonano oficjalnych prezentacji. Parę kroków za nimi szły osoby należące do świty z tekami i osobistym bagażem księżnej. Za nimi z kolei podążała grupa oficerów marynarki. Książęca para pod baldachimem przestała być widoczna, więc Erica zwróciła oczy na mężczyzn w mundurach, zstępujących po trapie.

I nagle serce stanęło jej w piersiach.

Trzecim oficerem w szeregu był Hobart Crosley.

Erica chwyciła matkę za ramię.

-Mamo!

- Co takiego?

- Mamo, tam...

Ale oficer już przeszedł. Jego twarz przestała być widoczna. Złudzenie. Wywołała jego wizję, ponieważ tak bardzo pragnęła go ujrzeć.

- Co, kochanie? Co się stało?

- Nic. Wydawała mi się, że zobaczyłam kogoś znajomego. Amy rozejrzała się wokół.

- Nic dziwnego, Erico.

Odbyła się ceremonia zaprzysiężenia nowego gubernatora. Książę i księżna zostali zawiezieni do rezydencji, w której zresztą, wedle późniejszych pogłosek, odmówili zamieszkania: ponure miejsce, żadnych wygód.

Mówiono, że księżna spytała, czy nie mogliby pojechać na książęce rancho w Kanadzie, dopóki nie zakończy się generalny remont rezydencji. Mówiono również, że nie otrzymali na to zgody. W efekcie Windsorowie spędzili pierwsze miesiące w Nassau w domach wynajętych im przez „chłopców z Bay Street”.

Ale w dniu przyjazdu przeważał nastrój patriotycznego entuzjazmu. Wydano szereg przyjęć, by uczcić przyjazd księcia krwi. *Erica* i Amy zostały zaproszone na kilka z nich. Były na herbacie u Eaglestonów i na koktajlach u Marshe'ów. Wieczór spędziły w British Colonial, bo *Erica* musiała podjąć swoje obowiązki hostessy. Bogaty program wieczoru obejmował uroczystą kolację z toastami pod hasłem: „Powitajmy naszego nowego gubernatora”, następnie tańce, kabaret, iluminacje, puszczanie balonów i nocny bufet z szampanem. Gdy już wychodziły, *Erica* zauważyła, że recepcjonistka daje jej jakieś tajemnicze znaki.

258

- Mam pani coś przekazać.

- Naprawdę? Ktoś chce, żebym przygotowała stolik do...

- Ach nie, to list, który przyniósł ciemnoskóry chłopak. Zdaje się, że ze statku.

- Z jakiego statku?

- Z *Lady Somers*.

Erica zmarszczyła brwi, nie wiedząc, o co chodzi, ale naraz ogarnęło ją radosne przecucie. Chwyliła kopertę. Jeden rzut oka wystarczał, by rozpoznać pismo Barta.

- A więc rzeczywiście go widziałam! - szepnęła zachwycona.

- Kogo, córeczko? - spytała matka.

- Barta! To list od niego! - rozerwała szybko kopertę.

Kochana Erico - pisał Bart - mam nadzieję, że się nie przestraszyłaś. Jestem na Bahamach. Przez kilka następnych dni pełnię służbę, ale przyjadę do was, kiedy tylko będę mógł. Serdeczności, Bart.

- Widziałam go! To naprawdę był Bart!

- Kochanie, mówisz trochę od rzeczy...

- Przeczytaj sama, przeczytaj! On jest tutaj, w Nassau!

Nie, właściwie nie był w Nassau. Kiedy w najbliższy czwartek pojawił się w domu przy East Bay Street, nie mówił wiele o powodach swojego przyjazdu.

- Po prostu towarzyszę księciu - powiedział, gdy obie go uściskały, robiąc przy tym należyte zamieszanie.

Później, spacerując z Ericą w cieniu drzew wokół Fort Montagu, powiedział trochę więcej:

- Nie mogłem nic mówić w obecności twojej matki - zaczął. - Tobie zresztą też niewiele mogę ujawnić, kochanie. Krótko mówiąc pan Churchill sądzi, że może nie postąpił najmądrzej, pozbywając się księcia.

- Jak to: pozbywając się? - spytała Erica ze zdziwieniem.

- Widzisz, był mocno kłopotliwy - przyjaźnił się podobno z różnymi dziwnymi osobami w Lizbonie. Więc Winston wysłał go na Bahamy, gdzie będzie otoczony sztywnymi Brytyjczykami z kolonii. Taki był zamiar.

- Hm... zapewniam cię, że wśród sztywnych i poprawnych Brytyjczyków jest tutaj również mnóstwo dziwnych typów. Nie mówiąc o ludziach przyjaźniących się z amerykańskimi gangsterami.

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie przejmuje się amerykańskimi gangsterami, tylko chodzi o atak nazistów.

- Tutaj?

- Czemu nie? Przecież tutaj nie ma żadnej obrony, prawda? Wystarczy, że niemiecka marynarka wojenna wyśle łódź podwodną i wysadzi na brzeg oddział kamandosów. Jak by to wyglądało, gdyby książę Windsoru został porwany?

Erica otworzyła szeroko oczy, ale nie umiała potraktować poważnie słów Barta. Widząc wyraz jej twarzy, Bart uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Pewnie - przyznał, choć nie odezwała się słowem - to brzmi raczej dość fantastycznie. Ale Admiralicja uważała, że trzeba podjąć pewne środki ostrożności, więc wysłała naszą grupę, która ma patrolować wody wokół New Providence.

- Na miłość boską, nie spodziewacie się chyba spotkania z niemiecką łodzią podwodną?

- Uchowaj Boże! - odparł Bart. - Nie, z pewnością nie istnieje poważniejsze zagrożenie, bo nie wysłano by tutaj grupy niedoświadczonych, świeżo upieczonych oficerów, takich jak my. Będziemy odbywali patrole w MTB.

- A cóż to takiego?

- Torpedowiec. Motor torpedo boat. Jediną doświadczoną osobą załogi jest kapitan. A ja jestem tutaj, bo jestem doświadczonym marynarzem... Tak jakby pływanie na statkach pasażerskich miało cokolwiek wspólnego z tym. Ale tak wykoncypowano w Admiralicji, która słynie z logicznego myślenia.

- Dla mnie mogą w ogóle przestać myśleć - oznajmiła Erica. - Ja się po prostu cieszę, że tu jesteś.

- Niezupelnie „tu” - poprawił Bart. - Mamy bazę na jednej z mniejszych wysp. Nie pytaj, na której, bo nie wolno mi tego powiedzieć.

- Tę wielką tajemnicę znają prawdopodobnie wszyscy w Grants Town i w każdej wiosce rybackiej na wyspach - uśmiechnęła się. - Rybacy z wysp Bahama wiedzą praktycznie o wszystkim, co się dzieje w okolicy.

- Naprawdę?

Jej słowa dały mu wyraźnie do myślenia. W ciągu następnych tygodni zorientowała się, że Bart dokłada wszelkich starań, by zaprzyjaźnić się z wyspiarzami.

Nie przyszło mu to łatwo: Bahamczycy, choć uśmiechnięci i życzliwi, nie byli jednak przyzwyczajeni, by ktoś traktował ich jak równych sobie. Stosunki między kolorową ludnością a białą mieściły się wciąż w relacji: służący - pan. Bahamczycy zdawali się akceptować ten stan rzeczy, niemniej rzadko pozwalali sobie na całkowitą szczerłość i uczciwość. I któż mógłby mieć do nich pretensje? - myślał Bart.

Jeśli jednak oficer z małej bazy morskiej, założonej na jednej z trudno, dostępnych wysp archipelagu, miał ochotę wpaść do ich wioski podczas Junkanoo i włączyć się w uroczystości, to był mile widziany. Zwłaszcza, gdy stawiał drinki i lubił gawędzić.

Bart dowiedział się od nich wielu interesujących rzeczy. Na przykład, że skandynawski właściciel Hog Island zbudował w swoim domu dość podejrzaną stację radiową. Albo, że kilka wysp leżących pomiędzy Grand Bahama a New Providence zostało sprzedanych przez „chłopców z Bay Street” pozornie szacownej klienteli, ich faktycznymi właścicielami byli gangsterzy - Wyspiarze nie mieli na ten temat wątpliwości, ponieważ

pracowali dla nich w czasach prohibicji. Albo, że nocami dostarczano nadal towary do rzadko uczęszczanych miejsc, skąd przewożono je dalej. Kto je odbierał? Bezpieczniej było nie interesować się tym zbytnio.

359

Raport, wysłany przez Barta w połowie 1941 roku, wywołał niepokój w Admiralicji. Oczywiście się stało, że system bezpieczeństwa na Bahamach praktycznie nie funkcjonuje. By choć trochę poprawić tę sytuację, trzeba było wysłać na miejsce więcej okrętów patrolowych. Czy gra była warta świeczki? Jeśli przemysł alkoholu wyparł obecnie przemysł narkotyków, to czy Admiralicja powinna się tym zainteresować? Jeśli brudne pieniądze bossów Cosa Nostra prane były przez banki w Nassau i wypuszczane następnie w postaci czystych brytyjskich funtów szterlingów, czy powinno to obchodzić rząd brytyjski?

I czy w ogóle cokolwiek z tego wszystkiego stanowiło zagrożenie dla księcia Windsoru?

Póki co, Admiralicja poinstruowała swojego specjalnego oficera wywiadu na pokładzie MTB *Striga*, żeby kontynuował swoją prywatną inwigilację, o ile tylko zezwoli mu na to obowiązki patrolowe. „Dziękuję uprzejmie”, mruknął do siebie Bart, czytając rozkaz. Myślał z odrazą

o wyprawach na następne, oblegane przez moskity wyspy. Zbieranie informacji miało się odbywać w czasie wolnym ód służby. Oznaczało to poważne ograniczenie wizyt w Nassau. A w dodatku nie mógł wyjaśnić Ericie powodu długich okresów nieobecności. Inni członkowie załogi *Strigi* odwiedzali hotele w poszukiwaniu relaksu i rozrywki. Musiała ją zastanawiać, dlaczego on ma mniej wolnego czasu niż inni. Ale jego funkcja oficera wywiadu znana była tylko kapitanowi i Admiralicji.

' Odwiedzał Ericę, kiedy tylko mógł. Pragnął gorąco spędzać z nią jak najwięcej czasu i odnowić dawną zażyłość. Po tamtych kilku magicznych dniach spędzonych na Curaçao, teraz tak bardzo odległych w czasie i przestrzeni, żadna inna kobieta nie mogła zastąpić Eriki.

A przecież zmieniła się ogromnie, on sam zresztą także. Erica wiele przeżyła, wyszła za mąż i straciła męża, który wyraźnie wiele dla niej znaczył. Nie była już tą żarliwą, płomienną dziewczyną, którą wprowadzał w tajniki miłości fizycznej. On też nie przypominał młodego, ambitnego oficera ze statku pasażerskiego.

Być może nadejdzie czas i sposobność, by odbudować to, co ich łączyło i czemu pozwolili umrzeć. Na razie Erica wydawała się cieszyć, ilekroć udało mu się ją odwiedzić, i to musiało na razie wystarczyć.

Pewnego dnia przyjechał z dziwną wiadomością.

- Nie wiem, czy będziesz miała ochotę jej wysłuchać, Erico - powiedział z pewnym wahaniem.

Był koniec września 1941 roku. Temperatura utrzymywała się na wysokości 88°F. Nocny sztorm pozostawił po sobie wichry o sile huraganu, ale teraz wiatr ucichł i Nassau odetchnęło rozkoszną świeżością. Erica w bawelnianej sukience i sandałach siedziała na werandzie British Colonial, planując zorganizowanie turnieju dla początkujących brydżystów.

- Usiądź i napij się czegoś - powiedziała, uśmiechając się do niego. -Chyba jesteś zmęczony...

261

Bart opadł na stojący obok fotel, zdejmując oficerską czapkę. Erica przywołała kelnera i zamówili coś do picia.

- Proszę cię, odepnij kołnierzyk i zrelaksuj się. Więc czego mogę nie chcieć wysłuchać?

- Wydaje mi się, że znalazłem *Margravine*.

- Co takiego? - Erica wyprostowała się gwałtownie. Taca, na której leżały projekty i listy osób, zsunęła jej się z kolan. Zbladła. Patrzyła na Barta szeroko rozwartymi oczami.

- Spokojnie, nie bierz sobie tego tak bardzo do serca - powiedział łagodnie i miękko. - Domyślałem się, że to będzie dla ciebie szok.

- *Margravine*?

Bart skinął potakująco głową.

- Ale, Bart, skąd masz pewność, że to ten jacht? Nigdy go nie widziałeś.

- Widziałem tę fotografię, która stoi na kominku w waszym salonie.

- Przecież nigdy jej się nawet nie przyjrzałeś.

- Owszem, przyjrzałem. Poza tym jestem w końcu doświadczonym żeglarzem. Tej sylwetki nie sposób pomylić: dwumasztowa brygantyna z klasycznym masztem głównym, który wygląda na stalowy, i topową reją.

- Tak - potwierdziła słabym głosem.

- Widziałem go tylko z daleka. Nie miałem okazji zbliżyć się bardziej, ale trochę rozpytywałem po okolicy - przerwał na chwilę. - Chcesz posłuchać?

- Tak.

- O ile zdołałem ustalić, człowiek, który go kupił - jako pierwszy, sprzedał go, bo chciał sobie sprawić coś szybszego.

- Tak, o tym nawet wiedziałam.

Kelner przyniósł napój. Bart milczał chwilę.

- No więc został sprzedany białemu szyprowi, handlującemu żywnością w regionie Eleuthery, aż po Inagę. Mówiono mi, że przewozi masło i śmietanę którą kupują zamożni właściciele jachtów.

- O, tak - powiedziała Erica z cieniem uśmiechu na ustach. Zawsze mieliśmy różne przysmaki ma *Margravine*.

- Potem właścicielem jachtu był kubański biznesmen, który podejmował na nim gości, ale szybko go sprzedał, bo był uszkodzony. Zdaje się, że załatwiono go i handlowano nim jeszcze kilka razy. Wreszcie trafił w ręce czarnego mieszkańca Bahamów na Stocking Island, który wynajmował go na połowy ryb.

- A gdzie jest teraz? - wyszeptała.

- Stoi opuszczony i bezpański, Erico. Nazywa się teraz *Perlina*.

- Czy jest tam ktoś na pokładzie?

- Ach, nie - Bart pochylił się, by wziąć jej dłoń w swoje ręce. - Jacht spoczywa w sześciu stopach mułu, w płataninie gałęzi mangrowców - tyle zdołałem dostrzec. Nie ma żadnej kładki, żeby móc się na niego dostać
362

z brzegu, a od strony morza wymagałoby to trudnych manewrów i żeglowania po zdradliwych kanałach. To jakby mała zatoczka, po północnej stronie małej wysepki położonej o jakieś sześćdziesiąt mil stąd, która chyba nie ma nawet nazwy... Najbliższą zamieszkałą wyspą jest Panago, a i ta nie jest zbyt duża. Miejscowi nazywają tamtą małą wysepkę Diggo.

- Chcesz powiedzieć, że jacht po prostu tam tkwi?

- Na to wygląda. O ile dobrze zrozumiałem, dwa lata temu kilku podochoconych turystów wynajęło go, żeby sobie połowić; pogoda była zła i wpakowali go na skały. Wydostali się stamtąd łodzią wiosłową. Zapłacili za szkodę właścicielowi, więc nikomu nie opłacało się wyciągać jachtu i doprowadzać do stanu użyteczności, nawet gdyby się to okazało możliwe. Z tego, co sam widziałem, jacht utknął solidnie. Od tamtego czasu zniknęło z niego wszystko, co można było zabrać: meble, lodówka, pomocniczy silnik.

Zapadło milczenie. Po chwili Erica szepnęła:

- Biedna *Margravine*. Żeby tak skończyć...

W miarę, jak Bart opowiadał, Ericę ogarniał coraz głębszy smutek. Dotychczas tkwiło w niej uparcie irracjonalne poczucie, że jeśli kiedykolwiek odnajdzie *Margravine*, odnajdzie również ojca.

Przeżyła rodzaj olśnienia, gdy zrozumiała, że nigdy nie straciła nadziei; nadziei, że jakoś, gdzieś, zdoła się o nim czegoś dowiedzieć. Przez wszystkie te lata, kiedy upewniała się w przekonaniu, że był winien i że go nienawidzi, mimo wszystko pragnęła go znów zobaczyć. Teraz ojciec stanął jej jak żywy przed oczami: taki przystojny w eleganckim garniturze, z cerą jaśniejącą zdrowiem, bystrym spojrzeniem i uśmiechem na ustach, otoczony aurą sukcesu i wiary we własne siły. Gdzież teraz był? W jakim zakątku tego wielkiego świata się podziewał?

Bart znów coś do niej mówił.

- Co powiedziałeś? - spytała z trudem wracając do rzeczywistości.

- Pytałem, czy chciałabyś pojechać tam, żeby zobaczyć jacht.

- Ach nie. Nie w tym stanie!

- W porządku - Bart uściśnął jej rękę. Erica podniosła się.

- Przepraszam, Bart. Muszę iść.

- Nie powinienem był ci mówić...

- Nie, zupełnie nie o to chodzi. Tylko przypomniałam sobie, że muszę załatwić kilka telefonów z biura. -

Odeszła pośpiesznie, zostawiając rozsypane papiery na podłodze.

Gdy dotarła do swojego pokoiku, który nazywała biurem, zamknęła drzwi na klucz, usiadła za biurkiem i oparłszy głowę na ramionach zaniosła się płaczem.

Biedna *Margravine*. Taka piękna, taka pełna wdzięku. Teraz zniszczona, ograbiona, leżała bez sił gdzieś daleko, wśród turkusowego błękitu Morza Karaibskiego, jak zgnieciony motyl na tle atlasowej sukni.

Ostatnie wspomnienie, ostatnia nadzieja zniknęły, stracone na zawsze.

263

Postanowiła nie wspominać o niczym matce. Jeśli dla niej samej było to tak silne przeżycie - dla niej, tak odpornej, rozsądnej, i zaradnej - o ileż gorzej musiałaby znieść to Amy. Tak, lepiej nic jej nie mówić, nie przyniesie to żadnego pożytku, co najwyżej szkodę. A ona sama wymaże całą sprawę z pamięci.

Łatwiej postanowić, niż wykonać, Od czasu rozmowy z Bartem, nie mogła przestać myśleć o *Margravine*. Nocą prześladowała ją wizja wdzięcznej linii dziobu pogrążającego się w morze, łamiącego się, roztrzaskującego o ostre skały koralowe, połamanych desek huśtających się na wodzie, masztów zwałających się w gniewne fale, żagli nasiąkniętych wodą i wleczonych w dół, pomiędzy lepkie korzenie drzew mangrowych.

W jakiś tydzień później, korzystając z wolnego dnia, Bart znów odwiedził dom przy East Bay Street. Była godzina lunchu; Amy wróciła właśnie ze swej kwiaciarni, Erica przyszła do domu, by przebrać się na „towarzyskie popołudnie” w hotelu. Bart został na lunchu, a potem odprowadził Ericę do British Colonial.

- Pamiętasz, o czym mi opowiedziałeś w zeszłym tygodniu? - zaczęła Erica.

- Głupiec ze mnie, nie powinienem był tego robić. Byłaś zdruzgotana. Uśmiechnęła się z trudem.

- Przyznaję, że przeżyłam to bardziej, niż mogłam się spodziewać - powiedziała. - Zachowałam się idiotycznie, uciekając w takim pośpiechu.

- Głupstwo. Miałaś wszelkie powody, żeby czuć się zgnębiona. Erica zatrzymała się, odwracając do niego.

- To miło, że rozumiesz.

- Oczywiście, że rozumiem. Gdybym usłyszał, że mój własny statek został tak zniszczony, wypłakałbym sobie chyba oczy.

- Nie, tego byś nie zrobił - zaprzeczyła, ale roześmiała się. Ruszyli znów wolnym krokiem.

- Pomyślałam sobie - podjęła Erica. - że... że...

- Że co?

- Pytałeś, czy chciałabym go zobaczyć.

- Tak?

- No więc chciałabym, Bart. Wiem, że nie zaznam spokoju, póki go nie zobaczę.

Kiwnął głową.

- Czuję pewnie to samo.

- Czy on... wygląda okropnie?

- Niestety, obawiam się, że nie jest to wdzięczny widok. Jeśli myślałaś o ratowaniu go, możesz się z tym pożegnać. Kosztowałyby to fortunę i nie byłoby warte zachodu.

- Nie, nie myślałam o remontowaniu go. Po prostu czuję...

- Co, Erico?

- Że muszę się z nim pożegnać.

365

- Dobrze. Wezmę cię tam. Ale przy lepszej pogodzie. Do wysepki jest dobre cztery godziny drogi, z powrotem następne cztery, a nie mam ochoty, żeby nas złapał jakiś huragan.

- Ją też nie.

- Należy mi się trzydniowy urlop. Powiedzmy, że zaplanuję go na koniec października. Co o tym myślisz?

- Bardzo dobrze. Będę mogła spokojnie zorganizować wszystko w hotelu.

Nassau kipiało życiem. Ministerstwo Wojny zdecydowało wysłać na Bahamy rekrutów RAF-u na przeszkolenie. Konieczne było więc zbudowanie pasów startowych, koszar i biur. Towarzystwo z Bay Street było zachwycone - po ciężkich czasach, które trwały od wybuchu wojny, na New Providence napłyną znów pieniądze. Hotel Royal Victoria, który był zamknięty z powodu braku klienteli, miał wkrótce otworzyć swoje podwoje.

Cynicy utrzymywali, że z początkiem chłodniejszego sezonu w końcu października nieodmiennie mówiono o „wstąpieniu nowego ducha” w Nassau. Teraz historia się powtórzy - dużo słów, ale mało czynów. Jednak tym razem nie mieli racji. Jeszcze przed końcem października w porcie rozpoczął się ruch. Przygotowywano się do nowych inwestycji.

Erica wyruszyła w rejs ku wysepce Diggo z mola położonego w pewnej odległości od portu. Bart wynajął motorówkę z odpowiednią ilością paliwa, które kupił na czarnym rynku.

Dzień był piękny, morze spokojne. Skierowali się ku Sail Rock i wyspom Exuma. Erica знаła te wody, bo kiedyś uczestniczyła w przyjęciach wydawanych na jachtach podczas regat rozgrywanych na obrzeżach Bahamów. Ta podróż była jednak zupełnie inna. W duszy Eriki walczyły sprzeczne uczucia: tęsknota, by ujrzeć jacht, na którym spędziła tak wiele szczęśliwych dni, ciekawość, by się przekonać, jak znalazł się w obecnym miejscu postoju, lęk przed wspomnieniami.

Szanując jej nastrój, Bart nie przerywał ciszy. W niemal całkowitym milczeniu przecinali migotliwą wodę. W okolicach Highborne Gay zatrzymali się na lunch, zapakowany troskliwie przez Amy w kosz wysłany liśćmi palmowymi: zimne kurczęta, sałata, świeże owoce i ser, białe wino, które schłodzili w wodzie.

Bart przyjrzał się Ericie. Pod opalenizną była bardzo blada.

- Czy nie wolałabyś zawrócić? - spytał. Potrząsnęła głową przecząco.
- Nie pozostało z niego wiele, wiesz, właściwie goły kadłub. Naprawdę chcesz go zobaczyć?
Nie umiała mu wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo pragnie dotrzeć do *Margravine*.
Wzruszyła ramionami. Bart jednak rozumiał jak bardzo jest nieszczęśliwa.

265

Wyruszyli więc w dalszą drogę, płynąc pomiędzy rafami koralowymi. Około drugiej po południu Bart powiedział:

- Popatrz tam.

Migotliwy blask wody oslepił. Nawet pod daszkiem w pasy, zamontowanym na motorówce, Erica musiała osłonić oczy dłonią, by dojrzeć łąd, do którego się zbliżali.

-Panago - powiedział Bart. - Diggo leży na wschód od niej, mniej więcej milę stąd.

Ale falujące od upału powietrze i migotanie wody zamazywały widok. Erica uklękała na skórzanym siedzeniu, wyteżając wzrok, by wypatrzeć wysepkę. Kanał wodny, którym płynęli, znajdował się w bezpośrednim pobliżu Panago. Niektórzy mieszkańcy wyspy zeszli na plażę, spodziewając się, że motorówka przybije do brzegu. Bart pomachał im ręką, wskazując na prawo i machając jeszcze raz na pożegnanie, gdy pozostawili za sobą kolejne miejsca, gdzie można było przybić do brzegu.

Wkrótce potem zobaczyli przed sobą Diggo, nierówną skalistą wysepkę, ozdobioną zielonym pióropuszem drzew - przypominała zużyty pędzel do golenia, z którego sterczą kępy szczeciny. Kiedy się do niej zbliżyli, powitała ich najeżonymi, ostrymi głazami. Bart zmniejszył obroty silnika do cichego pomruku. Zdał się teraz na prąd, pozwalając mu nieść łódź wzdłuż bocznych krawędzi skał koralowych, aż znaleźli się po północnej stronie wysepki, gdzie w łąd wrzynały się wąskie zatoczki. Ich obecność zdradzały tylko wiry i ruch wody, bo ginęły w gęstwinie korzeni i gałęzi mangrowców.

- Popatrz tam - powiedział Bart, wskazując dłonią.

Zwróciwszy oczy we wskazanym kierunku Erica zobaczyła je - maszty *Margravine*, sterczące jak świece spośród splątanej zieleni. W ostrym słońcu wczesnego popołudnia można było dojrzeć na nich słabe przeblyski, chociaż ptaki morskie zanieczyściły tak zadbane niegdyś metalowe konstrukcje. Maszty *Margravine* wykonane były ze specjalnego stopu - ówczesnej nowinki żeglarskiej - co ułatwiało noszenie żagli przy złej pogodzie i dawało przewagę w regatach. Zapatrzona w maszty Erica dopiero po chwili usłyszała głos Barta, powtarzającego jakieś pytanie.

- Słucham? O tak, nieomylnie. O ile się orientuję, teraz już sporo jachtów ma metalowe maszty, ale zainstalowanie tych na *Margravine* było innowacją.

Kołysali się lekko na wodzie.

- Czy poprzednim razem podpłynąłeś bliżej? - spytała.

- Trochę. Chcesz się do niego zbliżyć?

Kiwnęła głową w milczeniu. Bart zwiększył nieco moc silnika, zachowując wielką ostrożność, gdy manewrował motorówką, wprowadzając ją w niewielki zakręt.

- Nie chcę poharatać dna - mruknął - tym bardziej że to nie moja łódź. Zbliżenie się do wejścia do małej zatoczki wymagało bardzo precyzyj-

266

nych manipulacji. Wreszcie, mniej więcej po kwadransie, ustawili się wzdłuż bariery z korzeni mangrowców, które zarastały samo wejście. Teraz można było dostrzec kształt dawnej brygantyny, tkwiącej na ostrych skałach wysepki z dziurą w dziobie, w której chlupotała ciemna woda.

Erica podniosła się i schwyciła gałąź drzewa mangrowego. *Perlina*, odczytała krzywe litery.

Perlina - obca nazwa. Pokryta grubą warstwą zielonej farby, z wyrwanym relingiem, który posłużył zapewne za poręcz dla jakiegoś pomostu, pozbawiona desek z dachu sterówki, które zużyto prawdopodobnie na budowę czyjegoś kurnika.

- Czy możemy dostać się na pokład? Bart zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie bardzo wiem, jak moglibyśmy tego dokonać. Z całą pewnością nie możemy podpłynąć bliżej tą motorówką, mangrowce nas nie przepuszczą. Musiało istnieć jakieś dojście, skoro łódź została ograbiona prawie ze wszystkiego. Nie mam jednak pojęcia, czy nadal jest dostępne; a jeśli nawet tak, nie znam miejsca, do którego moglibyśmy dopłynąć, nie uszkadzając motorówki.

- Rozumiem.

- Ale możemy wrócić na Panago i popytać. Chwila ciszy.

- Tak, zrobmy to - zdecydowała Erica.

Bart włączył wsteczny bieg i z wielką ostrożnością wyprowadził motorówkę z okolic wejścia do zarośniętej zatoczki. Gdy wydostali się na otwartą przestrzeń, zawrócił i odpłynęli powoli. Kiedy zbliżyli się do Panago, ten sam niewielki tłum znów się zebrał, by ich pozdrowić, reagując radosnymi okrzykami i gestami, gdy okazało się, że łódź zmierza do plaży.

- Człowieku, myśleliśmy, że już nie wrócicie, kiedy płynęliście w tamtą stronę - powiedział jeden z mężczyzn pomagających przy wyciąganiu łodzi na brzeg. - Po co płynęliście do Diggo? O wiele lepiej było wysiąść na Panago.

Wyspiarze otoczyli ich kołem, wymieniając uściski dłoni. Bart do-brzegł starszego, krzepkiego mężczyznę, z którym rozmawiał podczas swojego poprzedniego pobytu na wyspie i zwrócił się do niego z wyjaśnieniem: .

- Byliśmy popatrzeć na *Perlinę*.
- Tam już nic nie ma.
- Erico, to jest Hosiah Gorley. Hosiah, pani Harrowford pływała na *Perlinie* dawno temu.
- Patrzcie no! - wykrzyknął Hosiah zdumiony, po czym uśmiechnął się z lekkim grymasem. - Już nie ta sama elegancka dama z *Perliny*, co? A może byście tak wstąpili na coś do picia? Suszy człowieka, kiedy pływa w taką pogodę.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę domu, gdzie pospieszyła

369

wcześniej jego żona, by przygotować coś na przyjęcie gości. Nim znaleźli się w miłym chłodzie małego domku, zdążyła już sięgnąć po kawałek białego materiału, którym nakrywała teraz wieko skrzyni służącej za stół. Mała dziewczynka zdjęła kubki, wiszące na haczykach w szafce, nie spuszczać oczu z dwojga białych gości. Będzie czym się pochwalić przed przyjaciółmi: dwoje nieznajomych przyszło pod dach, żeby się czegoś napić. Poczęstowano ich napojem, będącym mieszaniną rumu z sokiem owocowym. Erica przyjęła go z podziękowaniem, ponieważ niegrzecznie byłoby odmówić, ale zadowolila się jednym łykiem. Musiała poczekać, aż Bart odbędzie z gospodarzami wstępną rozmowę o pogodzie, warunkach na morzu, porannym połowie ryb i o tym, co porabia ostatnio książę.

Wreszcie można było wrócić do tematu *Perliny*.

- Zbliżyliśmy się do niej na tyle, że mogliśmy odczytać nazwę - powiedziała Erica. - Czy jest jakiś sposób, żeby dostać się na pokład?

Hosiah wymienił znaczące spojrzenie z żoną.

- Lila nie lubi, jak tam jeżdżę - oznajmił. Można złowić niezłe langusty, ale to diabelnie niebezpieczne miejsce dla łodzi.

- Jak się tam wyprawia, trzęsę się ze strachu, że zmarnuje łódź. Sama nie widziałam, ale mówią, że skały są tam okrutne - dorzuciła Lila.

- Co racja, to racja - zgodził się Hosiah. - Ostre jak brzytwa.

- Ale ludzie powynosili z pokładu mnóstwo rzeczy.

- To było dawno - powiedziała Lila, potrząsając głową. - Mangrowce rosną, kanały się zamykają.

- Wuj Porter był tam na pokładzie przed burzami - poinformowała cieniem głosem dziewczynka.

- Cicho, Mimmy, co ty opowiadasz, wuj Porter nigdy tam nie był.

- Kiedy był, naprawdę, przed burzami.

Burze oznaczały sezon huraganów. Innymi słowy, wuj Porter mógł być na *Perlinie* w okolicach czerwca.

- A jak się dostał na pokład, Mimmy? Wiesz coś o tym?

Mimmy, do której biała lady zwróciła się bezpośrednio, zaniemówiła z wrażenia. Utkwił wzrok we własnych stopach i potrząsnęła przecząco głową. ,

- Moglibyśmy porozmawiać z wujem Porterem? - spytała Erica.

- Porter to jest teraz na drugiej stronie wyspy - odparł Hosiah. - W zalotach - dodał z uśmiechem.

Erica domyśliła się, że Porter popłynął gdzieś ze swoją dziewczyną.

- Czy on tutaj mieszka? Wróci do domu?

- Jasne. Ale kto go tam wie, kiedy - powiedziała Lila, kręcąc głową. -Niby rodzony brat, a nigdy nie wiem, gdzie jest i co robi. Nosi go to tu, to tam. Ale gdybyście zostali, to on na pewno wróci jeszcze po południu, tak myślę, bo jak raz planował nocny polów.

Na wyspach termin „po południu” oznaczał porę przedwieczorną,

371

w każdym razie po piątej, Bart spojrzał na Ericę. Decyzja należała do niej. Jeżeli mieli wrócić do Nassau przed nocą, powinni wkrótce wyruszyć. Gdyby natomiast zdecydowali poczekać na Portera, trzeba by przelożyć powrót do rana. Płynięcie nocą po tych zdradliwych wodach było co najmniej ryzykowne.

- Bart, czy możemy zaczekać?

- Jeżeli chcesz.

- Wspaniale. Opowiedzcie nam o księciu i jego żonie. A to prawda, że ona ma koronę z diamentów? - zapytała Lila.

Erica zaśmiała się.

- Ja takiej korony nie widziałam. Ale nie jestem zapraszana na przyjęcia w siedzibie gubernatora.

Jednak Lila wciąż pytała o „życie wyższych sfer” w Nassau. Erica odpowiadała możliwie wyczerpująco. Przez okna i drzwi zaglądały dzieci, by przyjrzeć się sukni białej lady i posłuchać jej dziwnego akcentu. Bart zajął się zorganizowaniem noclegu dla Eriki i siebie.

Mogli spędzić noc na motorówce. Obite skórą siedzenie posłużyłoby za zupełnie znośne łóżko, ale tylko dla jednej osoby. Bart musiałby spać na deskach na dnie łodzi. Poza tym trzeba by wypłynąć na środek zatoki, żeby uciec od moskitami. A Hosiah nie chciał w ogóle słyszeć o podobnych planach.

- Człowieku, przecież możecie spać w domu Portera. Jest całkiem pusty...

- Przecież on będzie tam spał. Hosiah mruknął do Barta.

- Porter nie wróci przed rankiem - stwierdził. - Myślicie, że nocny polów z lampami oderwie go od tej jego ślicznotki? Nie, wróci dopiero, jak ona go odeśle i mówię wam, nie puści go przed ranem.

Tak więc po długim i hałaśliwym posiłku u Hosiaha i Liii, w którym uczestniczyła większość mieszkańców wioski, zaprowadzono ich do domu Portera McCabe. Była to chata zbudowana ze skał koralowych i liści palmowych, z jednej strony otwarta na morze, przykryta plecioną matą. Główny pokój okazał się zadziwiająco porządny - niezbędne rzeczy umieszczone były w wiszących siatkach, a na werandzie stała

wielka balia wypełniona świeżą wodą. Za nim znajdował się mniejszy, wąski, na środku stał stół, gdzie Porter trzymał kilka kubków i talerzyków oraz patelnię.

- Tylko żeby wam się nie umyśliło gotować śniadania, człowieku, jedzenia jest u nas pełno, przyjdźcie, jak się obudzicie - nalegał Hosiah. Nie chciał przepuścić żadnej okazji do rozmowy z gośćmi.

Kiedy gospodarze wreszcie ich pożegnali, Bart przyjrzał się Ericie zatroskany. Wyglądała na bladą i zmęczoną. Prawie nie brała udziału w rozmowach, ograniczając się do odpowiedzi na pytania Liiv.

- Jak się czujesz Erico? - spytał.

- Och, Bart! - wyciągnęła rękę w jego kierunku.

269

Wziął ją w swoje dłonie, przyciągając dziewczynę do siebie.

- Nie powinniśmy tu przyjeżdżać - mruknął. - Głupio zrobiłem.

- Nie, nie, bardzo chciałam zobaczyć. Chociaż...

Chociaż widok pięknego jachtu w stanie totalnej ruiny rozdzierał serce. Zniknął cały wdzięk i splendor *Margravine*. A razem z nimi zniknęła ostatnia nadzieja.

Na przekór wszystkiemu wierzyła podświadomie, że znajdzie jakiś znak, cień nastroju z przeszłości, który naprowadzi ją na ślad ojca. Teraz zrozumiała, że musi pożegnać się na zawsze z tą nadzieją. Gdyby ojciec dotarł kiedykolwiek do *Margravine*, nie dopuściłby za nic, żeby spotkał ją podobny los. Erica wiedziała z niezachwianą pewnością, choć nie wiedziała dlaczego, skąd się ona bierze, że Lindon Tregarvon nie był na jachcie od wybuchu skandalu w Londynie.

Ojciec uratowałby go w jakiś sposób. Wypowiedziane w myśli zdanie uświadomiło jej, że pierwszy raz od wielu lat pomyślała o nim „ojciec”. Od czasu, gdy uciekł, próbowała nie myśleć o sobie jako o córce złodzieja i oszusta.

Ale teraz znów była jego córką, Ericą.

Poczuła, jak bardzo jest jej bliski, wróciły wspomnienia dzieciństwa pełnego ciepła i miłości. Gdzie on teraz był, gdzie był człowiek, który dał jej magiczne lata szczęścia? Łzy płynęły jej po policzkach. Poczuła, że Bart obejmuje ją i przytula.

- Nie płacz - szepnął - nie płacz, moja biedna, moja najmilsza. Nagła potrzeba bliskości zrodziła się i ogarnęła ją jak fala przyływu. Minęło tyle czasu, tak bardzo wiele czasu od chwili, gdy znajdowała się w ramionach mężczyzny. Przyłgnęła do silnego ciała Barta, poczuła, że znów ma do kogo należeć. Słyszała, jak jego serce zaczyna bić coraz szybciej, świadoma, że jej serce uderza w tym samym rytmie. Kiedy jego dłoń zsunęła z jej ramion suknię i poczuła jego usta na piersi, odchyliła się z uczuciem rozkoszy.

Drżąc z pragnienia przywarli do siebie namiętnie. Pocałunki stawały się coraz głębsze, ich ręce i nogi splotły się w uścisku. Kochali się z żarliwością tym większą, że dzieliło ich długie rozstanie, czas, gdy byli dla siebie straceni, czas tęsknoty. Jej gładkie białe ciało, jej opalone nogi i jedwabiste loki tonęły w pocałunkach.

Oddawała mu hojnie uściski i pieścizoty, przyjmując i odwzajemniając stokrotnie jego namiętność.

Wspólnie odnaleźli swój zagubiony raj na zgrzebnym łóżku rybaka z wyspy.

Timothy'ego Perrimana nie poruszyła wiadomość o wyprawie Eriki na Panago. No więc pojechała na przedłużony piknik z jakimś typem z marynarki. I cóż z tego? Dawno porzucił myśl związania się z nią w jakikolwiek sposób, czy to emocjonalnie, czy w sferze interesów. Erica wyraźnie go nie lubiła i chociaż on sam nie miałby nic przeciwko próbie rozkoszy, którą obiecywało jej silne, jędrne ciało, zawsze mógł poszukać rozrywek gdzie indziej.

Poza tym zaczęła się nim interesować siostra jednego z ważniejszych klientów. Rodzina pochodziła z Sycylii, gdzie zazdrość i podejrzliwość tłumiły wszelkie inne uczucia, toteż będąc obiektem zainteresowania Clementyny, nie mógł myśleć o spojrzeniu na inną kobietę.

Timothy miał najświeższe informacje z wysp Bahama. System wywiadowczy mafii nie ustępował w niczym wywiadowi brytyjskiemu. Gdy nadeszła wiadomość, że „przedłużony piknik Eriki miał również w programie oglądanie jakiegoś zniszczonego jachtu”, w głowie Timothy'ego odezwał się dzwonek alarmowy.

Margravine? Czy możliwe, żeby to była *Margravine*? Ten niemal mistyczny jacht z jego tajemniczą zawartością? Przez dziesięć lat Timothy pragnął dostać się do ukrytego sejfu. Najbliżej celu znalazł się podczas tego okropnego rejsu z Lond Island, gdy Gaynor Medcalfe, nowy właściciel jachtu, zaprosił go na pokład. Wspominał te dni ze zgrozą. Medcalfe brał udział w jakichś bezsensownych regatach, a on sam, bezradny, miotany i obijany, cierpiał katusze z powodu morskiej choroby. Tylko raz udało mu się wejść do salonu bez świadków. Ale przez krótki czas, kiedy tam przebywał, wszystko migotało mu przed oczami i nie był w stanie skupić wzroku na tyle, by odszukać ukrytą dziurkę od klucza.

A potem *Margravine* przepadła. Nie wiedział zupełnie, gdzie się zwrócić, miał tylko nie sprecyzowane uczucie, że jacht musi być w pobliżu

Bahamów. W gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia - póki nie natknąłby się na nią ktoś, kto miał związek ze sprawą Tregarvona. I nikt poza Lindonem Tregarvonem nie wiedział, gdzie należy szukać sejfu. Panele tworzące boazerię wydawały się idealnie dopasowane i identyczne. Ktoś, kto nie wiedział, że za jednym z prostokątów znajduje się schowek, nie mógłby się domyślić jego istnienia. Nawet sam Timothy, który tylekroć w dawnych czasach widywał Lindona Tregarvona w salonie, nie był do końca pewien, na której ścianie znajduje się skrytka.

Ale ktoś, kto miałby równie poważny powód do poszukiwań, jak on sam, mógłby odnaleźć tę dziurkę. A następnie zainteresować się samym kluczem.

Jakiś klucz był schowany w srebrnej ramce do fotografii, Timothy był tego niemal pewien. Kiedyś, podczas jednego z rejsów na *Margravine*, Timothy przypomniał swojemu pracodawcy, że potrzebna będzie książeczka czekowa spółki. Tregarvon miał akurat na sobie jakieś sportowe ubranie, bez łańcuszka do kluczy, który nosił zawieszony między kieszeniami kamizelki. Garnitur wyjściowy znajdował się w Yacht Clubie, gdzie wieczorem miała się odbyć jakaś impreza; Timothy widział po południu lokaja, niosącego tam ubranie w walizce.

- To żaden problem - powiedział wówczas Tregarvon.

Poszedł do salonu, a potem wkrótce zjawiała się książeczka, чеки zostały wystawione, opatrzone podpisem i wysłane. Sejf musiał więc znajdować się gdzieś w salonie. A jeśli chodzi o zapasowy klucz, ten prawdopodobnie był ukryty w składanej ramce. Timothy poszedł później do salonu.

Ta sama składana ramka zdobiła teraz półkę nad kominkiem w domu przy East Bay Street. Klucz niewątpliwie znajdował się wewnątrz, wyczuł go dotykiem tamtego wieczoru... Niestety, zabrakło czasu, żeby go wydostać. Ale dotychczas nie przejmował się tym zbyt. Ani Erica, ani jej matka nie miały pojęcia o istnieniu klucza, a nawet gdyby go znalazły -nie wiedziałyby, do czego służy.

Jednakże teraz... niewykluczone, że Erica odszukała *Margravine*. A jeśli tak, może odnajdzie dziurkę od klucza, albo wręcz otworzy schowek...

Timothy zmusił się, by rozważyć sprawę spokojnie. Powiedzmy, że Erica rzeczywiście oglądała *Margravine*, co stało przecież pod wielkim znakiem zapytania, to czy coś musiało się wydarzyć? Wedle informatora z odkrycia jachtu nic nie wyniknęło. Erica nie narobiła z tego powodu żadnego zamieszania.

A może była to po prostu podróż sentymentalna, próba dotarcia do czegoś, co kochała w dzieciństwie.

Timothy przypomniał sobie, że rzeczywiście kochała *Margravine*, choć nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego:

jacht był niewygodny, niestabilny, niepewny. Po co podróżować z miejsca na miejsce jachtem, kiedy na wybrzeżu jest tyle wygodnych hoteli?

272

Wreszcie, może to wcale nie była *Margravine*? Informator z Nassau donosił, że Erica i jej towarzysz oglądali statek o nazwie *Perlina*, wynajmowany kiedyś amatorom połowów na pełnym morzu. Podobno znajdował się teraz w pożałowania godnym stanie - rozbity, огоłocony, po prostu wrak. Ten opis nie pasował do *Margravine*.

Timothy odznaczał się wrodzonym brakiem wyobraźni, który niejednokrotnie psuł mu szyki. Gdy myślał o *Margravine*, miał ją przed oczami taką, jaką widział po raz ostatni, chlubę dumnego właściciela, Gaynora Medcalfa. Nie umiał sobie wyobrazić, jak okrutny los potrafi obejść się nawet z najpiękniejszą istotą. Timothy uważał się za wytrawnego człowieka interesów, dalekowzrocznego, przewidującego trafnie reakcje oponentów, możliwe komplikacje. Jednakże nie zawsze potrafił przyznać sam przed sobą, że nieprzewidziany zwrot zbija go z tropu. Choćby teraz - myśl, że Erica znalazła może *Margravine*, wystarczyła, by wzbudzić w nim panikę. Kto by się spodziewał, że coś podobnego wydarzy się po tylu latach?

Oczywiście mogło nie być żadnego powodu do zmartwienia. Z odnalezienia jachtu nic praktycznie nie wynikło. Jednak należy zdobyć klucz. Trzeba będzie skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji. Okazja pojawiła się zupełnie niespodziewanie i Timothy wykorzystał ją natychmiast, bo od dłuższego czasu był na taką ewentualność przygotowany.

W Nassau doszło do rozruchów. Amerykanie angażowali się coraz bardziej w wojnę. Rząd Bahamów zarządził budowę lotnisk, żeby umożliwić i ułatwić patrolowanie wód przybrzeżnych. Pewną liczbę robotników przywieziono z Florydy, inni rekrutowali się spośród mieszkańców wysp.

Jednakże okazało się, że kolorowi mieszkańcy Bahama nie otrzymują nawet ćwierci pieniędzy, wypłacanych białym kierowcom koparek i buldożerów.

Zaczął się od drobnych nieporozumień. Nie było autobusów, które dowoziłyby robotników do odległego o osiem mil miejsca pracy i z powrotem. Nie zorganizowano żadnego posiłku w połowie dnia, więc robotnicy brali jedzenie ze sobą a przy okazji butelki z napitkiem własnego wyrobu. Pensje tygodniowe białym wypłacano w sobotę; natomiast miejscowi dostawali wypłatę za pracę w kolejne środy. Nie pojmowali tego systemu i czuli się oszukani.

A w dodatku tempo pracy, jakiego wymagano było większe niż rytm, do którego przywykli mieszkańcy Bahama. Miejscowi pracodawcy zawsze brali pod uwagę gorący klimat, dlatego pozwalano na częste przerwy w pracy na odpoczynek. Ale nowi bossowie nie mieli takiego zwyczaju, poza tym na świecie toczyła się wojna i chodziło o budowę lotniska dla samolotów wojskowych, a nie luksusowego hotelu. Puszczali więc mimo uszu żądania, które miejscowi robotnicy uważali za rozsądne i zasadne.

Ale najgorsze było to, że czarny kierowca ciężarówki z Bahamów

18 - Nieodrodna córka

273

dostawał szylinga za godzinę, podczas gdy biały Amerykanin dostawał sześć szylingów.

Pewnego upalnego czerwcowego popołudnia, kiedy robotnicy utworzyli kolejne koperty z nędznym wynagrodzeniem i zauważyli, że potrącono im jeszcze za „porę deszczową”, ich cierpliwość się wyczerpała. Pod biurem urzędnika nadzorującego prace odbył się spontaniczny meeting; udzielono pewnych wyjaśnień, ale nikt nie mógł dopatrzeć się w nich sensu. Doszło do awantury, przyjechała policja; rozległ się ostrzegawczy strzał i uczestnicy meetingu rozpiechli się w popłochu.

Kolorowi kierowcy ciężarówek podwieźli robotników do Nassau. Wydawało się, że teraz rozejdą się i wrócą do domów, ale wielu z nich trafiło do okolicznych barów, żeby poszukać pociechy w kieliszku.

Następnego ranka robotnicy stawili się w Nassau, skąd zwykle ciężarówki zabierały ich na budowę. Ale tego dnia po prostu nie zgodzili się wsiąść do ciężarówek.

Wezwano czarnoskórego adwokata. Wyjaśnił robotnikom, że kwestie płacy mogą być rozstrzygnięte w drodze negocjacji, ale przy wcielaniu w życie ważnych projektów budowlanych prace nie mogą ulec przerwie. Kiedy skończył, czterystu słuchających go mężczyzn powzięło decyzję o strajku.

Tymczasem robotnicy z innych rejonów, którzy zebrali się na budowie, odmówili przystąpienia do pracy. Raz jeszcze wezwano policję. Dowodzący oddziałem kapitan szybko wycofał się do biur zarządu budowy i zatelefonował do komisarza policji z prośbą o posiłki. Ale zanim te zdążyły przybyć na miejsce, robotnicy ruszyli do Nassau.

W tym czasie Timothy Perriman przebywał w hotelu Prince George. Jego klienci z mafii kontrolowali związek zawodowy białych robotników, a Timothy przyjechał sprawdzić, czy członkowie związku są opłacani zgodnie z zawartą umową. Odgłosy ulicznego zamieszania zwabiły go do okna.

Zdumiał się, gdy zobaczył gromadę mężczyzn, uzbrojonych w kije i maczety, otoczoną kordonem policji i maszerującą po Bay Street. Patrzył, jak minęli wejście do hotelu Prince George i skierowali się w kierunku British Colonial. Mężczyźni potykali się, inni po nich deptali. Śpiewy zamieniły się w gniewne okrzyki. Słychać było brzęk tłuczonego szkła.

Timothy zmarszczył brwi i odsunął się od okna. Chwilę stał nieruchomo. A potem, powściągnąwszy uśmiech, podszedł do telefonu.

Erica i jej matka były i rozgrywały pokazową partię brydża tego ranka w British Colonial. Kiedy ktoś z obsługi wbiegł do sali wołając, że tłum buntowników posuwa się w kierunku hotelu, większość obecnych wpadła w panikę i uciekła.

Erica w pierwszej chwili nie uwierzyła w ostrzeżenie. Słyszała już niejedną plotkę, mówiono na przykład, że niemiecka łódź podwodna

274

wysadziła na brzeg grupę komandosów, którzy mieli za zadanie porwać księcia Windsoru. Jednakże tym razem to nie była plotka.

- Ach, mój Boże! - zawołała pani Tregarvon. - Musimy się ukryć, Erico.

- Gdzie mianowicie?

- Nie wiem... na górze?

Erica uznała, że byłoby to bezsensowne. Jeśli tłum miał rzeczywiście złe zamiary wobec gości hotelowych, to po przeszukaniu sal ogólnych, ruszy na górę. W tej sytuacji najlepszą drogą ucieczki wydawały się tylne drzwi hotelu na parterze. Ale brydżyści, którzy uciekli pierwsi, teraz wrócili oznajmiając, że część awanturników dostała się już do hotelu właśnie od tyłu, wynosząc zapasy jedzenia i wyposażenie kuchni. Erica rozejrzała się wokół. Niewiele tu było do złupienia. Krzesła, zasłony i żaluzje, stoliki do gry, talie kart, komplet szklaneczek do ponczu. Jeśli buntownicy byli zainteresowani tymi dobrami, mogli je spokojnie wynieść, nie robiąc krzywdy przebywającym w sali ludziom.

- Myślę, że powinniśmy tu po prostu zostać - powiedziała.

- Ale oni już idą!

W końcu jednak nie przyszli. Policja rozgoniła większość strajkujących, zmuszając ich do rozejścia się po bocznych ulicach. Byłoby to całkiem zręczne posunięcie, gdyby chodziło tylko o uratowanie British Colonial. Ale niektórzy z mężczyzn wbiegali na boczne ulice, skręcali za najbliższy róg i wracali na Bay Street w innym miejscu.

Większość sklepów przy Bay Street została zniszczona i ograbiona. Ze wszystkich barów wyniesiono zapasy alkoholu. Buntownicy biegali bez ładu to tu, to tam w różnych kierunkach - niektórzy tak pijani, że nie wiedzieli nawet, gdzie się znajdują. Zaczęto strzelać, ale nikt nie umiał powiedzieć, kto zaczął.

Okolo południa do pomocy przy tłumieniu zamieszek skierowano oddział wojska stacjonujący na wyspie.

Para książęca przebywała w Waszyngtonie. Władze wysłały naglący telegram do księcia-gubernatora, choć

nie było zupełnie jasne, co takiego mógłby zrobić, gdyby powrócił. W odczuciu ogółu zamieszki były w pewnym sensie jego winą: wystarczyło, że opuścił Nassau, a zaraz zaczęły się rozruchy. Musi więc wrócić niezwłocznie i położyć im kres.

Nie było to jednak możliwe. Chociaż usunięto buntowników z centrum Nassau, Grants Town znalazła się w ogniu. Główna ulica miasta, nazywana niegdyś Bond Street Karaibów, była zrujnowana.

Erica i Amy wyruszyły w drogę do domu, gdy wieczorne słońce chyliło się ku zachodowi. Szły wolnym krokiem, wzdychając przy każdym rozbitym oknie i przewróconym samochodzie, przystając, by wyrazić współczucie przyjaciółom i znajomym, którzy zostali ograbieni. Na ulicy poniewierały się rozrzucone rzeczy osobiste i meble. Jednak w miarę zbliżania się do domu zniszczeń było coraz mniej.

380

Gdy były już na miejscu, zatrzymały się, zaskoczone; w pierwszej chwili bały się wejść do środka. Frontowe drzwi domu zostały najwyraźniej sforsowane i strzaskane, a następnie zatrzaśnięte na powrót tak, że wyglądały na zablokowane.

- Amos? - zwołała Erica, wchodząc na stopnie werandy. - Neginah? Dosłyszała jakiś niewyraźny odgłos. W zachodzącym słońcu dostrzegła

poruszający się cień. Cofnęła się, przestraszona, ale zaraz potem spoza rozbitych drzwi odezwał się głos Neginah:

- Pani Harrowford! Czy to pani?

- Neginah! Nic ci się nie stało?

- Nie, proszę pani, ale jeśli chce pani wejść do środka, to musi pani spróbować od tyłu.

- W porządku, mam - powiedziała Erica. - Neginah jest w domu. Amy, czując się nadal niepewnie, poszła śladem córki wzdłuż bocznej

ściany domu do drzwi kuchennych. Neginah czekała na nie z ręką na klamce. Kiedy tylko znalazły się wewnątrz, zamknęła drzwi na zasuwę.

- Co się stało, Neginah? Byłaś tu cały czas?

- Szykowałam lunch, proszę pani. Amos poszedł do warzywnika, posłałam go po zieleninę. I nie wiadomo skąd przyszło pięciu dzikusów, walili w drzwi frontowe, wrzeszczeli i wyli, i nie wiedziałam, co robić, więc wybiegłam do Amosa, i schowaliśmy się w altance, a te dzikusy rozwalily drzwi, słyszałam to - Neginah mówiła coraz wyższym głosem, przeżywając na nowo przerażające chwile.

- Wszystko w porządku, Neginah - uspokoiła ją Erica. - Usiądź wygodnie i mów powoli. Nic ci nie zrobili?

- Nie, proszę pani. Przycupnęłam z Amosem w altance i siedziałam cicho, jak mysz pod miotłą. Tylko mu powiedziałam, że zbóje, lotry, przyszli obrabować dom. Ale nie zrobili tego, proszę pani! - Neginah rozłożyła obie ręce, wskazując na kuchnię. - Tylko wyciągnęli wino z kubelka z lodem, łazili po kuchni i pili, i walili garneczkami, a potem poszli do salonu i zaczęli coś tłuc, i potem zobaczyłam, że to porcelana i szkło z serwantki. A później wybiegli przed ogród, i śmiali się, i wrzeszczeli.

- Niczego nie zabrali? A byli na górze?

- Nie, proszę pani, tylko rozwalili się w kuchni... Ja się trzęsłam caluteńki czas, jak Bóg na niebie, a Amos ciągle swoje, że może on się wymknie i polecą po policję, ale mówię, nie zostawisz mnie tu samej, a do furtki to

na pewno nie będę biegła, jak oni tam siedzą w kuchni i patrzą przez okno. - Neginah załamała rękę. - Tak się bałam, proszę pani. Może trzeba było biec z Amosem. Ale nogi to miałam jak z waty.

- Słusznie zrobiłaś, Neginah - zapewniła ją Erica. - Nie było najmniejszego sensu ryzykować. Ale gdzie jest Amos?

- Kucharka od pani Doonan mówiła, że Grants Town jest całe w ogniu, a Amos ma brata, co tam mieszka, więc on poszedł, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Mówiłam mu, poczekaj, aż panie wrócą...

276

- Ależ nie, to normalne, że niepokoił się o rodzinę. I jeśli tylko z tobą jest wszystko dobrze, Neginah...

- Mnie nic nie jest, proszę pani, tylko że nie ugotowałam ani lunchu, ani kolacji.

- Nic nie szkodzi.

- A to. prawda, że oni porozbijali sklepy na Bay Street, proszę pani? I że żołnierze wyszli i strzelali do ludzi?

- Nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło, Neginah. Nie mogłyśmy wyjść z Colonialu. Ale Bay Street jest strasznie zniszczona.

- Święci prorocy z Izraela! Bay Street? - dla Neginah było to równie niepojęte, jakby usłyszała wiadomość o bankructwie Bank of England.

- Czy coś jadłaś? - spytała Amy. Przez całe życie uważała za swój obowiązek troszczyć się o służbę.

- Nie, proszę pani. Nie przelknęłam ani kęsa.

- Wobec tego, Neginah, zaparz nam wszystkim herbaty i zrób kanapki.

- A my tymczasem pójdziemy obejrzyć resztę domu.

Amy była odważniejsza w słowach, niż w czynach. W rezultacie Erica poszła sama na górę, żeby rzucić okiem na sypialnię. Musiała utorować sobie przejście pośród szczątków rozbitej porcelany i szkła z serwantki, zagradzających przejście do schodów. Ale na górze nic nie wydało jej się nawet poruszone.

Gdy wróciła na dół, zastała panią Tregarvon stojącą bez ruchu z kawałkiem porcelanowej figurki w ręku. Ale jej wzrok utkwiony był gdzie indziej.

- Co się stało, mamó? - spytała przestraszona Erica.

- Popatrz.

Erica pobiegła wzrokiem za wyciągniętą ręką matki. Półka nad kominkiem była prawie pusta.

Fotografia *Margravine*, wycięta z magazynu poświęcanego jachtingowi, fotografia *Langrovii*, pudełko z drzewa cedrowego, japoński wachlarz, mały srebrny puchar i składana srebrna ramka z fotografiami rodzinnymi zniknęły bez śladu.

Zawołały Neginah, pokazując jej pustą półkę, popatrzyła zdumiona, a potem potrząsnęła, głową.

- Nic nie zauważyłam, proszę pani. Taka byłam przejęta tą rozbitą serwantką.

- Dlaczego zabrali właśnie te rzeczy! - zawodziła Amy. - Przecież one są nic niewarte! Nikomu poza mną nie mogło na nich zależeć!

- O jej, niech już pani tak nie rozpacza, proszę pani...

- Nic nie rozumiesz, Neginah! Zabrali jedynie zdjęcie mojego małego synka!

Neginah wybuchnęła płaczem. Obie kobiety opadły na kanapę, a Neginah zasłoniła twarz fartuchem, Amy tuliła do policzka połamaną figurkę. Erica przyniosła z kuchni herbatę i nalala ją do filiżanek, dodając dużo

383

cukru. Znalazła też jakieś herbatniki. Siedziały przy stoliku, próbując dodać sobie wzajemnie otuchy. Ale Erica przez cały czas myślała intensywnie. Dlaczego „dzikusy” zjawiły się akurat w ich domu, skoro innych nie tknęli? Dlaczego, po sforsowaniu drzwi, ograniczyli się do hałasowania i picia wina w kuchni? Dlaczego nie ograbili całego domu? I dlaczego zabrali tylko nic nie znaczące drobiazgi z półki nad kominkiem?

Wyglądało to niemal na umyślną złośliwość w stosunku do jej matki, ale w Nassau nie było osoby, która nie lubiłaby Amy Tregarvon.

Po niespokojnej nocy, Nassau obudziło się rano ze świadomością, że trzeba będzie jakoś wytłumaczyć to, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Ale co się właściwie wydarzyło? Kto strzelał? Czy ktoś został zraniony? Kto prowadził buntowników? Kto zaczął zamieszki? I co je spowodowało?

Te same pytania usłyszał Timothy Perriman. Nie przyszło mu łatwo udzielić zadowolających odpowiedzi lokalnemu szefowi mafii w Miami.

- Nikt nie potrafi określić dokładnie, co było przyczyną zamieszek -relacjonował Timothy. - Nasi ludzie twierdzą, że Bahamczycy byli wściekli z powodu niskich zarobków.

- To ile oni w końcu dostają?

- Ich płace wynoszą czwartą, a niekiedy szóstą część tego, co zarabiają biali robotnicy.

Alfredo Capelli gwizdnął przeciągle.

- Nie mieliśmy pojęcia, że mogą być aż takie różnice. Perriman, trzeba to jakoś załatwić. Nie chcemy, żeby ktoś szczegółowo czytał umowy...

Istotnie, byłoby to wysoce niepożądane. Chodziło o duże łapówki, dzięki którym można było zapewnić pracę własnym ludziom.

- Nie mogę tego załatwić, panie Capelli, to nie leży w mojej gestii. Takie sprawy rozpatruje sir Harry Oakes, Christie i inni notable. Zebrali się właśnie, by ustalić, co się właściwie stało, a pod koniec dnia ma przyjechać książę.

- Może by uzyskał pan audiencję? I przekonał go, że cały ten bunt był na tle rasowym?

- Audiencja u księcia? - powtórzył Timothy, osłupiały. - To absolutnie nie wchodzi w grę! - Wszędzie teraz są oddziały wojskowe, zaostrzono zwyczajne środki ostrożności.

- A ci inni faceci, o których pan mówił, sir Harry i ten Christie, może pan z nimi pogadać?

- I co im powiem? Że powinniśmy potraktować wczorajsze wypadki jako problem rasowy? - Timothy pokręcił przecząco głową, jakby Capelli mógł to zobaczyć. - To nie ma sensu, panie Capelli. Nieporozumienia na tle rasowym to ostatnia rzecz, jakiej mogliby sobie życzyć.

- Słuchaj no pan, wysłaliśmy pana na Bahamy, żeby się pan zorientował, czy wszystko dobrze idzie. A okazuje się, że są jakieś problemy. Więc zrób pan coś, żeby ich nie było!

385

- Przecież, panie Capelli... - zaczął Timothy, ale po drugiej stronie odłożono słuchawkę.

Na szczęście dziennikarze, którzy spadli na Nassau jak stado sępów, okazali się pomysłowi. Ktoś wpadł na pomysł, że wszystkiemu winni są naziści. *Agents provocateurs* działali skrycie: tajni agenci, którzy mieli przeszkodzić budowie wojskowych lotnisk. Timothy mógł więc oddzwonić wieczorem donosząc, że znalazło się przekonujące wyjaśnienie i już nikt nie będzie się interesował umowami o pracę.

- Nieźle - mruknął Capelli. Timothy odetchnął z ulgą.

Teraz wreszcie miał czas, by zająć się własnymi sprawami. Najważniejsze to dowiedzieć się, jak panie Tregarvon zareagowały na włamanie do domu.

Mógł wpaść do nich nie zapowiedziany; wszyscy w Nassau zaglądali do przyjaciół pytając, jak dali sobie radę w czasie „buntu”. Nie ulegało wątpliwości, że minione wypadki dostarczą tematów do rozmów na długie miesiące, a opowiadane historie tak dalece odbiegają od rzeczywistości, że niektórzy uwierzą, iż osobiście widzieli flagi ze swastyką powiewające wśród tłumu buntowników.

Frontowe drzwi domu pań Tregarvon były nadal wykrzywione i zaklinowane. Na eleganckiej karteczce gospodynie zawiadamiały, że obecnie wchodzi się tylnym wejściem. Timothy ruszył do drzwi kuchennych. Atmosfera przerażenia i niepewności zdążyła zniknąć z domu. Amy Tregarvon powitała Timothy'ego z przyjemnością. Było u niej dwoje innych gości, którym został przedstawiony, znajomych ze szkółki brydżowej. Gdy wszedł, Erica, zajęta podawaniem drinków, odwrócona była akurat plecami, dzięki temu uniknęła podania mu ręki na powitanie. Co on tu robił? Co go mogło obchodzić, jak sobie poradziły w czasie zamieszek? Jego obecność, jak zwykle, wywołała w niej ostrzegawczy dreszcz.

- Widzę, że frontowe drzwi zostały uszkodzone?

- Ach, tak, zauważyłam, gdy tylko zbliżyliśmy się do domu. Możesz sobie wyobrazić, Timothy, jak się wystraszyliśmy - paplała Amy, malując barwnymi słowami obraz ich powrotu, przerażenia Neginah i uczucie ulgi, gdy okazało się, że szkody są niewielkie. - Ale najgorsze, że zabrali moje fotografie! - lamentowała. -

Stało tam jedno jedyne zdjęcie mojego biednego Neville'a. On był taki delikatny, że baliśmy się prosić fotografa, by zrobił więcej zdjęć. - Amy opowiadała o straconym synku, tak bardzo kochanym i troskliwie pielęgnowanym, którego życie było tak krótkie.

Timothy słyszał już nie raz historię Neville'a ze wszystkimi szczegółami, słyszał ją setki razy w czasach, gdy pracował u Lindona Tregarvona. Nigdy nie wydawała mu się warta słuchania, tym bardziej teraz.

Przyszedł, by uzyskać konkretne informacje. Przede wszystkim chciał wiedzieć, czy panie Tregarvon zorientowały się, że włamanie zostało zaaranżowane specjalnie w celu zdobycia składanej ramki do fotografii.

Odniósł wrażenie, że niczego się nie domyśliły. Były zaintrygowane,

279

to prawda. Miał zamiar porozmawiać ostro ze znajomymi, którzy zarekomendowali mu mężczyzn do tej roboty. Polecił im zdemolować trochę dom, tak jak robili to buntownicy, a nie rozsiadać się, popijać wino i walić w rondle.

Poza tym chciał się dowiedzieć, czy Erica odkryła *Margravine*. Miał już składaną ramkę, miał więc i klucz, i wiedział, do czego ten klucz pasuje: do ukrytego sejfu na pokładzie *Margravine*. Ale chciał wiedzieć, czy podczas wyprawy na Panago Erica odnalazła jacht.

Sporo czasu upłynęło, nim zdołał nakierować rozmowę na interesujący go temat. Zaczął mówić o planach na najbliższe miesiące, rias sezon upałów.

- Mys'le, że nie ma wielkich szans, żeby dostać pozwolenie na wyjazd w chłodniejsze okolice - powiedział.

- Nie, z pewnością nie. Zaraz będzie: „czy ta podróż jest naprawdę konieczna?!“ - stwierdziła pani Givens, jakby to ona sama wymyśliła mocno już wytarty wojenny slogan. - Wszyscy musimy oszczędzać paliwo.

Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że pana podróże wiążą się z ważnymi interesami.

Pani Givens wiedziała, że Timothy przestaje z „chłopcami z Bay Street”.^J

- Ale chyba będą jakieś niewielkie przydziały na wycieczki morskie - rzucił Timothy. - Podobno trochę chłodniej jest na niektórych wyspach położonych najbliżej oceanu, ponieważ wiatry wieją właśnie w ich kierunku.

- New Bight jest chłodniejsza - oznajmił Sam Merton. - Mógłbym pozełgować na New Bight i nikt by mi nie zarzucił, że marnuję paliwo.

- A niemieckie łodzie podwodne? - spytała, wstrząsając się pani Givens.

- Czy ktoś widział na własne oczy niemiecką łódź podwodną? Słyszałem, że byłaś niedawno na morskiej wycieczce, Erico. Czy zauważyłaś jakieś peryskopy?

Erica, zaskoczona, spojrzała na Timothy'ego. Patrzył obojętnie gdzieś poza nią, jakby pytanie, które zadał, było w gruncie rzeczy nieważne. Ale miała wrażenie, że wcale tak nie jest.

- A, rzeczywiście, wybrałaś się w kierunku Exomy, prawda, Erico? Czy może Eleuthery? - próbował przypomnieć sobie Sam Merton.

- To był tylko piknik z jednym z przyjaciół - odparła Erica. - Nic wielkiego.

- Czy gdzieś wysiedliście? Uważam, że moskity są udręką w czasie pikników na plaży.

- Tak, przybiliśmy do brzegu. A nawet zostaliśmy na noc na wyspie. Wszyscy dobrze o tym wiedzieli.

Wiedzieli także, że Erica Harrowford

i Bart Crosley szaleją za sobą i spodziewali się usłyszeć w najbliższej przyszłości dźwięk weselnych dzwonów. Ale Erica nie miała zamiaru poruszać tego tematu przy Timothy.

388

- Co to za miejsce? - pytał dalej Timothy. - Jaka jest tam plaża? Pływaliście w morzu?

- Nie, nie pływaliśmy.

- Widzieliście coś interesującego? Jakiś wodospad? Jezioro? - podchwyciła pani Givens.

- Nie, Panago jest to mała wyspa. Wydaje mi się nawet, że mieszkańcy mają pewne problemy ze słodką wodą. A więc informacja, którą dostał Timothy, była prawdziwa: Erica popłynęła na wyspę Panago. Ale gdzie znajdował się jacht? I czy była to *Margravine*? Nie mógł przecież zadać wprost takiego pytania.

- Przypuszczam, że to kolejna wyspa, gdzie podobno są ukryte skarby piratów - powiedział ze śmiechem.

- A Jbo hiszpański galeon - dorzucił Merton, zgodnie z oczekiwaniami Timothy'ego. Na Bahamach słowo „skarby” kojarzyło się natychmiast z „hiszpańskim galeonem” lub „łupami pirackimi”.

- Nie, nikt nam nic nie mówił o ukrytych skarbach - powiedziała Erica. - Komu dolać?

Wszyscy opróżnione szklanaki i kieliszki, ale rozmowa krążyła uparcie wokół tego samego tematu.

- Naturalnie, że tam są skarby - stwierdził Merton. - Kiedyś zatonała tam cała masa statków, a co więcej całkiem niedawno również! W czasach prohibicji dużo łodzi poszło na dno z powodu zbytniego obciążenia beczkami rumu.

- Przypuszczam, że wśród tamtejszych skał utknęły gdzieś małe statki? - zagadnął znów Timothy.

Ale Erica nie odpowiedziała.

Nie wiedział, jak traktować jej milczenie. Jeżeli istotnie oglądała wrak jachtu, jak doniósł jego informator, mogła nie chcieć mówić o tym przy matce. Ale czy to by znaczyło, że znalazła *Margravine*? Czy, przeciwnie, że szukała *Margravine*, ale jej nie znalazła?

Dużo później, podczas wieczornej toalety, Erica wróciła myślami do rozmowy przy drinkach. Może się myliła, ale miała nieodparte wrażenie, że Timothy usiłował się czegoś dowiedzieć.

Nie wrócili na *Margravine* po nocy spędzonej na Panago. Wuj Porter, który mógł im ewentualnie wskazać drogę do jachtu, nie pojawił się następnego ranka, zniewolony zapewne wdziękami swojej „rajskiej dziewczyny”, a Bart musiał wracać do Nassau - dostał tylko dwudniową przepustkę.

Erica nie weszła więc na pokład *Margravine*, nie zamierzała również robić tego w przyszłości. Zdecydowała, że jedynym skutkiem takiej wyprawy będzie nowy potok łez. Poza tym w ostatnim okresie pochłonięta była zupełnie czym innym.

Po raz pierwszy od lat patrzyła z ufnością w przyszłość. Była zakochana, głęboko zakochana w człowieku, który także ją kochał. Kiedy byli

281

razem, ogarniało ją uczucie, jakiego nie doświadczyła nigdy przedtem. Nie mogli nic na razie planować, bo Bart służył w marynarce, a wojna wciąż trwała. Erica wiedziała, że jest w lepszej sytuacji, niż wiele innych kobiet, które przeżywały wielomiesięczną, jeśli nie wieloletnią rozłąkę z ukochanym mężczyzną. I choć widywała Barta nieregularnie i na krótko, każda wspólnie spędzona chwila była niczym wyprawa do raju. Z tej właśnie przyczyny nie chciała tracić czasu na mniej ważne sprawy. Jednakże wizyta Timothy'ego zaniepokoiła ją, toteż opowiedziała o niej Bartowi. Jedli razem kolację w Prince George, przy stoliku w osłoniętej łoży, gdzie mogli swobodnie trzymać się za ręce.

- Próbował wybadać, na której wyspie byliśmy. Co to go może obchodzić?

- Ciekawe. Tó dziwny facet.

- Wiem o tym aż za dobrze! Dlaczego wciąż się pojawia w moim życiu? Dlaczego przyszedł tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy nic nam się nie stało? Zwykle spędza czas w Klubie ze swoimi grubymi rybami.

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć. To prawda, że jest związany z niektórymi ludźmi z Bay Street. - Bart zawahał się. - Erico, powiem ci coś w zaufaniu, ale myślę, że powinienem, bo on wciąż miesza się w twoje sprawy: wywiad ma oko na Timothy'ego.

- Wywiad? To znaczy, że podejrzewają go o szpiegostwo? - Erica wybuchnęła śmiechem. - Timothy Perriman szpiegiem! On nie jest tego typu człowiekiem.

- A jakim typem człowieka jest szpieg? - spytał Bart spokojnie.

- Czy ja wiem... przecież szpieg powinien być chyba przygotowany na niebezpieczeństwo? Nie sądzę, żeby Timothy był szczególnie odważny.

- Wydawanie pieniędzy w Klubie i podlizywanie się „chłopcom z Bay Street” nie wymaga specjalnej odwagi.

- Ale czego miałby u nich szukać? Obstawała przy swoim Erica. - Jedyne, co może tam wyszpiegować, to jakiś interes.

- Właśnie. Podobno usiłuje przekonać rząd Bahama, żeby pozwolił na wybudowanie kasyna.

- To po prostu śmieszne. Wszyscy teraz myślą o budowaniu lotnisk. Ach nie, nie mówiłem o tym, co dzieje się teraz. To są plany na

przyszłość, kiedy wojna się skończy.

- To długoterminowe projekty, Bart.

- Ludzie, z którymi on ma do czynienia, myślą o przyszłości... Tacy ludzie mogliby spokojnie przejść na stronę Niemców, gdyby uważali, że zapewnią sobie w ten sposób korzystne układy po wojnie.

- Ale i zaden z tych z Bay Street nie sympatyzuje z nazistami.
- Jesteś pewna? Nie słyszałem, żeby byli szczególnie liberalni w swoich przekonaniach.
- No tak, może są trochę ograniczeni, ale... na przykład sir Harry Oakes na pewno wystąpiłby absolutnie i bezwzględnie przeciw zbudowa-

391

niu kasyna, czy czegoś podobnego. On nawet mnie uważa za osobę frywolną, ponieważ gram w brydża dla pieniędzy. Bart pokręcił głową.

- Ja nie żartuję, Erico. Różne ciemne typy próbują zdobyć sobie pozycję w Nassau. I zwykle osiągają to, do czego dążą.
- Ale czemu brytyjski wywiad miałby się interesować tym pokątnym biznesem?
- Ponieważ jest to kwestia presji wywieranej na miejscowych notabli, ludzi typu sir Harry i Harold Christie, i Sands, oraz - a to najbardziej niepokoi wywiad - również na gubernatora.
- Na księcia? - spytała Erica, zaskoczona.

Bart wzruszył ramionami i zakończył rozmowę słowami:

- W każdym razie pamiętaj: w obecności Timothy'ego Perrimana miej się na baczności.

Na szczęście nie było takiej potrzeby. Timothy wrócił na kontynent.

Nadeszła pora deszczowa - czas apatii i rozleniwienia. We wrześniu temperatura zaczęła powoli spadać, a mieszkańcy Bahama, którzy dostali pozwolenie na wyjazd w chłodniejsze okolice, zaczęli wracać do Nassau.

Z Kanady powrócił także sir Harry Oakes z rodziną.

Zazwyczaj dopiero po urządzeniu się na nowo w swoim domu na wzgórzu, państwo Oakes wydawali przyjęcie. Toteż Erica zdziwiła się, kiedy pani Oakes zatelefonowała, zapraszając ją już pierwszego dnia po powrocie. Przyjęła zaproszenie. Może chodziło o zorganizowanie partii brydża? Choć lady Oakes wciąż była wobec Eriki i jej matki niezmiennie miła i życzliwie usposobiona, ostatnimi czasy rzadko stykały się na gruncie towarzyskim.

Erica zjawiała się więc w Winbourne. Lady Oakes powitała ją serdecznie.

- Przepraszam, Erico, że musiałaś na mnie czekać. Wiesz chyba, jak to jest tuż po powrocie... wszędzie panuje rozgardiasz.

- Tak, oczywiście - powiedziała Erica machinalnie. Coś ją zaniepokoiło. Lady Oakes, jak zwykle energiczna i zdecydowana, robiła wrażenie osoby wyraźnie zatroskanej.

- Usiądź, proszę, moja droga. Co mogę ci zaproponować? Lemoniadę? Kawę?

Erica zdecydowała się na lemoniadę. Czekać na służącą, lady Oakes krążyła bezcelowo po pokoju. Jej wysoka postać przesuwała się jak ruchomy filar w przestronnym zacięnym wnętrzu. Usiadła dopiero, gdy pokojówka wniosła tacę z napojami. Co się z nią dzieje? - zastanawiała się Erica. Na ogół jest uosobieniem spokoju.

Wreszcie lady Oakes zaczęła rozmowę.

- Moja droga - powiedziała, pochylając się ku Ericie - chcę ci coś pokazać. To bardzo poważna sprawa.

Oczy Eriki rozszerzyły się ze zdziwienia.

283

- Pokazać?

- Rozmawiałam o tym z Harrym. Oboje byliśmy zdania, że lepiej będzie przywieźć to i pokazać ci osobiście, niż posyłać listownie.

- Ale o czym pani mówi?

Zamiast odpowiedzi, Eunice Oakes wstała i wzięła z małego stolika złożoną gazetę. Jej strony poruszyły się lekko w podmuchu elektrycznego wiatraczka.

- Popatrz.

Nic nie rozumiejąc, Erica wzięła gazetę od pani domu. Złożona była w taki sposób, że na pierwszy rzut oka widoczna była notatka na dole pierwszej strony. **ZAGINIONY MILIONER - ODNALEZIONY?** - krzyczał tytuł czarnymi literami.

Zaginiony milioner. Serce podskoczyło jej w piersi. Ojciec? Jej ojciec żyje?.. Może w Ameryce Południowej! Przeskakując słowa, zaczęła czytać notatkę:

Podczas otwarcia zamkniętego od dawna kamieniołomu znaleziono szkielet mężczyzny, który musiał spaść z góry przed laty. Napis we wnętrzu koperty zegarka kieszonkowego pozwala przypuszczać, że zmarłym jest Lindon Tregarvon, właściciel Tregarvon Line. Lindon Tregarvon, wypuszczony za kaucją, nie stawiał się w sądzie w 1932 roku. Przypuszczano wówczas, że uciekł z kraju. Obecnie wydaje się prawdopodobne, że uległ wypadkowi. Kamieniołom został otwarty z powodu budowy magazynu; w innym przypadku ciało...

Słowa rozmazały jej się przed oczami, a potem wszystko gdzieś odpłynęło.

21

Do uszu Eriki dobiegł krzyk lady Oakes:

- Nancy! Nancy!

Ktoś, przypuszczalnie Nancy, zaczął ją poklepywać po rękach. Elektryczny wiatraczek dmuchał na nią ze zdwojoną siłą, jakby został przysunięty bliżej.

Erica otworzyła oczy. Córka Eunice, Nancy, pochylała się nad nią z troską. Lokaj trzymał wiatraczek w górze. Lady Oakes przysuwała kryształową szklankę...

- Erico, moja kochana! Słyszysz mnie? Erico, zbudź się!

- Ta-ak - szepnęła - wszystko w porządku.
- Ależ nas przestraszyłaś! Masz, wypij to.
- Nie, ja...
- Wypij, moja droga, To ci dobrze zrobi.

Erica przelknęła parę łyków brandy. Nancy podłożyła jej poduszkę pod głowę. Oparła się o nią, wyciągnęła na trzcinowym szezlongu, próbując uchwycić strzępki pamięci, które zdawały się krążyć w powietrzu gdzieś wokół.

Jej wzrok padł na gazetę leżącą na podłodze. Skupiła na niej wzrok i usiadła.

- Boże!
- Moja droga, nie wstawaj. Przeżyłaś szok.
- Czy to, co czytałam... czy mój ojciec...?
- Niestety. - Lady Oakes nie potrafiła udawać. - Oprzyj się, odpocznij chwilę. Nie ma żadnego pośpiechu.
- Ale moja matka!
- Tak, trzeba jej będzie o tym powiedzieć. Ale możesz trochę poczekać...
- To czekało dostatecznie długo - gorycz w tonie Eriki była silniejsza niż głos, którym wypowiedziała słowa. - Prawie dwanaście lat.
- Beaufort, nalej pani Harrowford brandy.

- Nie, nie, dziękuję - Erica odsunęła rękę Nancy i usiadła. - Muszę iść do domu.
- Jeszcze nie...
- Czuję się dobrze. Naprawdę, wolałabym wrócić.
- Nie przyszłaś jeszcze do siebie.
- Mamo, ona chce być sama! - wtrąciła siedemnastoletnia Nancy ze łzami w oczach, zniecierpliwiona, że matka nie rozumie tak prostej rzeczy.
- Ach, naturalnie. Zachowuję się niedelikatnie.
- Ależ skąd, lady Oakes. Jest pani taka dobra.
- Beaufort, powiedz szoferowi, żeby zajechał przed dom.
- Nie, dziękuję, wolę pójść piechotą.
- Czy doprawdy czujesz się na siłach...?
- Proszę. Świeże powietrze dobrze mi robi.
- Jesteś pewna, moja droga?
- Tak, całkowicie.

Choć wszyscy byli tacy troskliwi, marzyła, żeby dali jej spokój. Eunice odprowadziła ją do drzwi.

- Posłuchaj, Erico, jeśli możemy cokolwiek zrobić...
 - Już tyle pani dla mnie zrobiła.
 - Głupstwo, nie ma o czym mówić. Ale o tej sprawie wiadomo zapewne dużo więcej, Erico. To tylko kilka zdań w gazecie, która zamieszcza przede wszystkim wiadomości wojenne. Czy chciałabyś, żeby sir Harry zapytał o szczegóły?
 - A może to zrobić? - spytała Erica z niedowierzaniem.
 - Ależ tak. Orientujesz się chyba, że istnieją kanały dyplomatyczne, z których mój mąż może skorzystać, a ty pewnie nie...
- Oznaczało to, że sir Harry wspomni o sprawie księciu, który przekaże pytanie komuś w Londynie, kto z kolei prześle odwrotną pocztą wszelkie informacje ze Scotland Yardu.
- Dziękuję, lady Oakes, dziękuję pani z całego serca! Jest pani nadzwyczaj dobra.
 - Nie ma za co, naprawdę nie ma za co - odparła lady Oakes zarumieniona, co często jej się zdarzało. - Weź ze sobą tę gazetę.

Erica posłuchała niechętnie. Gazeta wydawała jej się czymś wrogim, bo przecież przyniosła takie tragiczne wieści. Ale może matka będzie musiała zobaczyć wiadomość czarno na białym, żeby w nią uwierzyć. Tu się jednak myliła. Usłyszawszy, co córka wyczytała w „Globe”, Amy Tregarvon osunęła się na kanapę bez sił - blada i drżąca. Łzy popłynęły z jej oczu i wstrząsnął nią szloch. Jednakże zaakceptowała wiadomość natychmiast.

- Wiedziałam, że nie mógłby tak po prostu nas porzucić! Wiedziałam! Wiedziałam! Och, Erico, on nie chciał skazywać nas na cierpienia! Tylko śmierć mogła mu przeszkodzić w zajęciu się nami. Powinnam się była domyślić!

396

Matka i córka siedziały przytulone, płacząc i przeżywając na nowo wspomnienia. Erica myślała o wszystkich gorzkich słowach, które kiedykolwiek wypowiedziano o ojcu... - złodziej, oszust, morderca. Tak bardzo pragnęła zmazać wszystkie oskarżenia, wszelkie gniewne i złe, egoistyczne myśli.

Przez resztę tego dnia, a także przez cały następny, obie były milczące. Odzywały się z konieczności. Czuły się jak rekonwalescentki, które wracają do normalnego życia po bardzo długiej chorobie i muszą zachować wielką ostrożność, by nie dopuścić do nowego kryzysu. Wszystko było już inne, wszystko wymagało przemyślenia od nowa.

Bart przyjechał wieczorem następnego dnia. Przewoził dokumenty, więc mógł zostać tylko kilka chwil. Nie chcąc narażać matki na ponowne przeżywanie śmierci ojca, Erica wzięła go do ogrodu i tam, pod rozgwieżdżonym niebem, opowiedziała mu o wstrząsającej nowinie.

- W kamieniołomie? - powtórzył osłupiały Bart. - Ale gdzie, na miły Bóg?

- Tego jeszcze nie wiemy. Sir Harry Oakes obiecał postarać się o więcej wiadomości.

- Ale przecież szukał go ten detektyw?...

- Tak, Bart. A ja myślałam, że ukrył się bezpiecznie z własnym zapasem pieniędzy gdzieś w Chile czy Wenezueli.

- Ale wiesz, Erico... mówiliśmy o tym, zastanawialiśmy się, czy " spróbował dotrzeć na Bahamy.

- Tak, rozważaliśmy taką możliwość.

- I na *Margravine*...

- Owszem, braliśmy to pod uwagę.

- Ale posłuchaj, kamieniołomy są zwykle daleko od miasta. Więc co on tam robił? I jak się tam znalazł?

- Jak to?
 - Przecież nie doszedł tam piechotą?
 - Sądzę... sądzę, że nie.
 - Więc ktoś go musiał zabrać samochodem? A jeśli tak, to kto? Zapadło długie milczenie, a potem powiedzieli chórem:
 - Timothy Perriman?
- Ericę ogarnęło przerażenie, Bart objął ją i przytulał.
- Nie przejmuj się, kochanie. No już dobrze.
 - Nic nie jest dobrze! On mnie przeraża!
 - Przecież go tu nie ma. Nie martw się.
 - Ale wróci. Zawsze wraca. Zawsze jest gdzieś w pobliżu, płacze się w moje życie, pilnuje mnie... Bart, ja to czuję, on mnie... obserwuje...
- Bart próbował ją uspokoić. Gładził po włosach, jakby była dzieckiem, któremu trzeba dodać otuchy. Po jakimś czasie powiedział:
- Muszę iść, muszę już być w bazie. Ale postaram się o krótki urlop. Wkrótce przyjadę. Pójdziemy do Prince George i wszystko omówimy.

W ciągu kilku następnych dni sir Harry zdążył przekazać Ericie notatki z raportu policyjnego, które przybyły z pocztą dyplomatyczną do Nassau.

- Kamieniołom znajduje się w Hampshire, nazywa się Hilliston - poinformowała Barta Erica. - Został zamknięty w 1929 roku, kiedy z powodu kryzysu nastąpił zastój w budownictwie. Teraz go otworzono, bo planowano urządzenie składu amunicji. W pobliżu nie ma żadnej stacji kolejowej i nie jeździ tamtędy żaden autobus. Najbliższe miasto jest odległe o pięć mil.

- Ale musi prowadzić do niego jakaś droga.

- Tak, jest droga, którą jeździły kiedyś ciężarówki wywożące kamienie. Właściwie, jak rozumiem, to raczej trakt.

Bart zawahał się.

- Czy zrobiono autopsję zwłok?

- Tak, ale nic z niej nie wynikało - odparła Erica zupełnie pewnym głosem. - Zachowały się tylko kości. Była na nich pleśń... i ślady szczurów... tego typu rzeczy.

- A ślady przemocy?

- Niektóre kości były złamane, ale to się mogło zdarzyć w czasie upadku.

- Nie przypuszczają, że popełnił samobójstwo?

- Sir Harry twierdzi, że uważają to za morderstwo. Ojciec spakował torbę z ubraniami. Nie ma po niej śladu, choć oczywiście mógł ją ktoś ukraść. Ale policja jest przekonana, że on tam nie poszedł na piechotę... Miał na sobie buty, które się nosi w mieście, wieczorowe buty z cienkiej, czarnej skóry. Zostało z nich tyle, żeby było jasne, że nie doszedł do kamieniołomu pieszo po kamienistej i wyboistej drodze. W Scotland Yardzie są raczej pewni, że dojechał tam samochodem.

- Ale jeśli sam prowadził, to gdzie jest samochód?

- No właśnie. Ktoś go tam zawiózł i potem odjechał.

Żadne z nich nie dodało: po wszystkim... Po zepchnięciu Lindona Tregarvona do kamieniołomu.

Erica i Bart siedzieli w zacisznym zakątku restauracji hotelu Prince George, Pomiędzy nimi, na białym obrusie, stał srebrny dzbanek z kawą i taca kandyzowanych owoców, ale żadne z nich nawet tego nie zauważyło.

- Więc traktują to jako morderstwo - powtórzył Bart w zamyśleniu.

- Tak, ale sir Harry powiedział, że nie będą tej sprawy rozpatrywać poza kolejnością. Wiesz, „toczy się wojna” i tak dalej. Mają ważniejsze rzeczy na głowie, niż śmierć jednego człowieka ponad dziesięć lat temu.

- Twoja matka przyjęła to bardzo spokojnie.

- Jest niemal szczęśliwa - przyznała Erica. - Reputacja ojca została uratowana, przynajmniej częściowo. Nie uchylił się od sprawy sądowej, nie ukrywał się przed prawem, nie zostawił nas na pastwę losu. Dla mamy oznacza to, że jest całkowicie niewinny...

- To wcale niewykluczone - powiedział Bart.

288

- Gdyby tylko można zyskać pewność! - zawołała Erica, podnosząc do góry zaciśnięte dłonie.

- O to będzie trudno, ale wiesz, Erico... Wygląda na to, że ktoś go zwabił do kamieniołomu, po czym zepchnął na dół. Twój ojciec powiedział matce, że wie, gdzie są dokumenty, które go oczyszczą z zarzutów i może właśnie dlatego został zabity. Ktoś nie chciał do tego dopuścić.

- Ojciec powiedział matce, że chce się dostać na pokład *Margravine* - Erica westchnęła. - Ale nawet, jeśli kiedyś coś tam nawet było, to dawno już zniknęło.

Sięgnęła po dzbanek z letnią już kawą i zaczęła ją nalewać do filiżanek. Kawa nie nadawała się właściwie do picia, ale Erica była spragniona. Czula się tak, jakby miała gorączkę, była przygnębiona, niespokojna, przepelniona wyrzutami sumienia.

Bart milczał.

- O czym rozmyślasz? Wziął ją za rękę.

- Poczekaj. Pamiętasz klucz, który znalazłaś w ramce z fotografiami? Powiedziałem ci wtedy, że wygląda to na klucz od czegoś niedużego, co stanowi stałe wyposażenie jachtu. Przypuśćmy, Erico... przypuśćmy, że skrytka, którą otwiera klucz, jest nadal na swoim miejscu?

- Bart!

- Przypomnij sobie. Skrytka, w której ojciec trzymał dokumenty, kiedy był na jachcie...

- Było takie miejsce! Wydaje mi się, że w salonie... rodzaj sejfu. Och, nie pamiętam dobrze!

- A twoja matka będzie pamiętała?

- Nie. Ojciec nigdy nie rozmawiał z nią o interesach. Nie myślę, żeby cokolwiek wiedziała. Ale jestem przekonana, właściwie pewna, że w salonie był panel, który się otwierał. Ojciec przechowywał tam biżuterię matki.

- Poproszę o dwa dni urlopu - powiedział Bart, podnosząc się -i wrócimy na Panago. Zapytamy wuja Portera, jak dostać się na pokład jachtu. Tylko potrzebny będzie ten klucz...

- Tak! - Erica wstała również i sięgnęła po torebkę, zwracając się w stronę wyjścia. Ale nagle opadła z powrotem na krzesło.

Zbladła tak gwałtownie, że Bart pochylił się nad nią, przestraszony.

- Erico, co ci jest, na Boga?

- Klucz - powiedziała. - Klucz.

- Co z kluczem?

- Był w srebrnej ramce.

- Tak, pamiętam, mówiłaś mi o tym.

- Bart, to jest jedna z tych rzeczy, które zostały skradzione, kiedy buntownicy włamali się do naszego domu!

Bart także usiadł. Potrząsnął głową, skonsternowany.

- Opowiedz mi to jeszcze raz - poprosił. - Opowiedz o włamaniu.

19 - Nieodrodna córka

289

- Neginah mówiła, że napastnicy wyważyli frontowe drzwi. Usiedli w kuchni i popijali wino. Mówiła, że walili pokrywkami o rondle i garnki, śpiewali i wrzeszczeli.
- Ale nie zdewastowali kuchni, ani nie splądrowali domu.
- Nie. Po jakimś czasie poszli, ale Neginah jest pewna, że nie wchodzili na górę. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła. Potem, ona i Amos, zdobyli się na odwagę i weszli do domu. Zastali w kuchni bałagan, ale nic nie było zniszczone. W salonie leżała przewrócona serwantka. Jedyne, co zostało zabrane, to pamiątki znad kominka.
- Erico - powiedział Bart wolno - oni tylko po to przyszli.
- Co takiego?
- To zostało zrobione naumyślnie. Ktoś skorzystał z zamieszek, żeby upozorować kradzież pamiątek.
- Ale dlaczego, Bart?
- Dlatego, że w ramce ukryty był klucz. Erica zmarszczyła brwi, kręcąc głową.
- Ale klucz na nic się nie zda bez sejfu, Bart. A jeżeli sejf w ogóle istnieje, to jest na *Margravine*.
- Tak.
- Tylko, że nikt oprócz nas o tym nie wie. Bart odetchnął głęboko.
- Owszem. Timothy Perriman o tym wie.
- Timothy?
- Był przecież zaufanym sekretarzem twojego ojca, prawda? Pracowali razem również podczas waszych podróży.
- Tak, wielokrotnie.
- Więc Timothy prawdopodobnie wie o istnieniu sejfu. I co więcej usiłował znaleźć *Margravine*. Twój detektyw ustalił to ponad wszelką wątpliwość.
- To prawda. I nawet nią płynął... Ale raczej nie miał wielkich szans, by dostać się do sejfu. Wiała ósemka i miało całkiem zdrowo. A jeśli próbował odszukać jacht później, to mu się nie udało. Bart, myśmy to zrobili.
- Słusznie. A przy okazji zadawaliśmy masę pytań na Panago, pamiętasz? Pytaliśmy, jak można się dostać na *Perlinę*.
- Tak, ale nie bardzo widzę...
- Uważasz, że Perriman cię obserwuje, tak mi powiedziałś. Może to prawda, Erico. Może zawsze obawiał się, że pewnego dnia dotrzesz na *Margravine*. Bo w tym schowku jest coś, czego odkrycia on się wyraźnie boi. Ta myśl wydała się Erico zbyt przerażająca, by nawet ją rozważać.

- Jak mógł się dowiedzieć, że oglądaliśmy *Margravine*? Nie wymówiliśmy jej nazwy przy nikim obcym.

- Może nie, ale pojechaliśmy obejrzyć jacht. Sama mi mówiłaś, że

290

Timothy wypytywał cię, gdzie byłaś i co robiłaś. Widząc, że Erica marszczy brwi, jakby nie mogła, czy nie chciała zrozumieć, wyjaśniał dalej: - Ktoś zawiózł twojego ojca do kamieniołomu, a potem sam wrócił stamtąd samochodem. Musiał to być ktoś, komu twój ojciec ufał, nie sądzisz? Wyruszył prawdopodobnie do portu myśląc o dostaniu się na statek płynący na Bahamy; ktoś zaofiarował się go zawieźć i zrobił niewielki objazd, zatrzymując się przy opuszczonym kamieniołomie. Komu zaufałyby twój ojciec, Erico? Blade wargi ułożyły się w kształt imienia „Timothy”.

- Kto zaproponował ci małżeństwo, żeby mieć cię na oku? Timothy Perriman. Kto szukał sposobu, by dostać się na *Margravine* na Long Island? Timothy Perriman. Kto badał srebrną ramkę, co miałaś okazję sama stwierdzić? Timothy Perriman. Kto mógł zorganizować kradzież ramki, gdy się dowiedział, że znalazłaś jacht? Timothy Perriman.

- Twierdzisz... twierdzisz, że nie chciał dopuścić, żeby ktoś odkrył zawartość sejfu?

- Tak, ponieważ dokumenty oczyszczają prawdopodobnie twojego ojca z zarzutu wyludzenia pieniędzy od towarzystw ubezpieczeniowych. A jak myślisz, kogo mogą obciążyć?

- Nie...

- Ktoś zaaranżował zniknięcie ładunku, ktoś zorganizował zatopienie statków. Lindon Tregarvon zniknął, ogłoszono jego bankructwo, ale kto miał tyle pieniędzy, by otworzyć własny interes w Nowym Jorku? Timothy Perriman.

. - Nie mogę tego słuchać! - wykrztusiła Erica. - Mój ojciec mu ufał!

To tylko dowodzi jego naiwności, pomyślał Bart, ale nie powiedział tego głośno.

- Ale dlaczego miałyby zrobić coś podobnego? - próbowała oponować Erica. - Ojciec był dla niego zawsze bardzo dobry.

- Zawieść? Mściwość? Chciwość? Jedno, albo wszystko razem -odparł Bart. - Wierz mi, kochanie, podczas pracy w wywiadzie zetknąłem się z ludźmi gotowymi zdradzić przyjaciela za kilkaset funtów. Wyobrażam sobie, jak proste wydało się Timothy'emu wykorzystanie zaufania twojego ojca.

- Tak, to nie musiało być trudne - powiedziała Erica, przypominając sobie tamte dni - zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, kiedy trwały przygotowania do mojego londyńskiego sezonu. Ojciec poświęcał wtedy znacznie mniej uwagi interesom... Wszystkim zajmował się Timothy.
- Więc widzisz sama. Miał motyw i sposobność. - Bart umilkł na chwilę. - Żeby oddać mu sprawiedliwość, morderstwo nie leżało przypuszczalnie w jego planach. Przy odrobinie szczęścia, oszustwo ubezpieczeniowe mogło nigdy nie zostać ujawnione.
- To prawda, sprawa stała się głośna, bo dwaj marynarze powiedzieli za dużo.
- Ano właśnie. Gdyby nie oni, Timothy siedziałby cicho, w odpowied

niej chwili zrezygnowałby z pracy w Tregarvon Line i otworzył własny biznes, nie uciekając się do żadnych desperackich kroków. Ale kiedy twój ojciec został oskarżony i postanowił oczyścić się z zarzutów, Timothy musiał zacząć działać. Erica wstrząsnęła się.

- Pomyśleć, że prawie za niego wyszłam. Matka nawet sobie tego życzyła.

Bart zerwał się, pociągając ją za sobą.

- Chodź, wyjdźmy stąd.

Pod rozgwieżdżonym niebem bahamskiej nocy Bart wziął Ericę w ramiona i przytulił mocno.

- Zapomnijmy o wszystkich smutnych sprawach - powiedział. - Zostało mi tylko kilka godzin przed powrotem do bazy. Chyba nie chcemy ich stracić?

- Nie, najmilszy, oczywiście, że nie.

Poszli do pokoju, który Bart wynajął w niedrogim hotelu nad samym brzegiem morza. Znalazłszy się w swoich objęciach, zapomnieli o przeszłości i nie próbowali robić planów na przyszłość. Liczyło się tylko to, że są teraz razem, że mogą obdarzyć się wzajemnie radością i miłością.

Dwa miesiące później Amy Tregarvon dostała niewielką paczkę, która przyszła z pocztą dyplomatyczną z Londynu. Wewnątrz kartonowego pudełka znajdowały się rzeczy znalezione przy zmarłym w kamieniołomie. Amy wyjęła drżącymi rękami portfel z krokodylej skóry ze złotym zapięciem, kilka pięciofuntówek, pozieleniałych od pleśni. Było tam także złote wieczne pióro Watermana, złota spinka do krawata, wykładana masą perłową i także same spinki do mankietów oraz zegarek z łańcuszkiem.

Erica towarzyszyła matce, gdy ta rozpakowywała paczkę. Siedziały w milczeniu, patrząc na drobne pamiątki po człowieku, którego obie kochały.

Nagle Erica wciągnęła gwałtownie powietrze. Wyciągnęła rękę i podniosła z kolan matki złoty zegarek z łańcuszkiem. Do łańcuszka przyczepiony był maleńki kluczyk.

22

Timothy Perriman miał wielu informatorów na Bahamach - pozostałości siatki wywiadowczej zorganizowanej w czasach prohibicji, kiedy najdrobniejsza wiadomość pomagała czasem uniknąć konfiskaty towaru.

Jednakże ich praca daleka była od doskonałości. Informatorzy nie traktowali Timothy'ego poważnie, zwłaszcza wtedy gdy żądał wiadomości o Erice Harrowford. Widocznie upodobał sobie tę ślicznotkę. No i co z tego? To na pewno nie były interesy.

Toteż wiadomość o odkryciu ciała Lindona Tregarvona dotarła do niego ze znacznym opóźnieniem. Usłyszał ją zresztą od jednego z najlepiej poinformowanych plotkarzy z klanu z Bay Street. Wielmożny pan Harold Christie, który akurat przyjechał do Waszyngtonu i jadł z Timothyem kolację, zagadnął:

- Ale, ale, kilka dni temu sir Harry mówił o dziwnej sprawie. Znasz tę damę, która pracuje przy wysyłaniu pocztą kwiatów?

- Tak? - odparł Timothy, zastygając z kieliszkiem w powietrzu.

- Podobno jej zaginiony mąż został odnaleziony.

Zapadła dłuższa cisza. Sir Harold nie zwrócił na to uwagi, zajęty wyborem cygara. Czuł się przyjemnie wypełniony po posiłku, który miał niewiele wspólnego z wojennym racjonowaniem żywności.

- Skąd... skąd to wiadomo? - spytał Timothy.

- Hm... poczekaj no... wydaje mi się, że lady Oakes zauważyła wiadomość w jednej z angielskich gazet. Wiesz, Harry lubi mieć oko na wszystko, czyta gazety równie często, jak my menu w restauracji. -Christie roześmiał się, wypuszczając dym z cygara. - O ile dobrze sobie przypominam, odkryto ciało w jeziorze czy też w jakiejś kopalni, coś w tym rodzaju. I okazało się, że to zaginiony mężulek Amy Tregarvon.

Timothy zdołał się już otrząsnąć z szoku na tyle, by odezwać się normalnym tonem.

- Musiała się bardzo przejąć.

- Prawdopodobnie. Nie interesowałem się tym bliżej. Sądzę, że nikt oprócz Eunice nie wie dokładnie, jak to było - wiesz, jak ona interesuje się zawsze cudzymi sprawami. A nazywa to dobrymi uczynkami...

Christie kontynuował temat lady Oakes, którą w gruncie rzeczy lubił, choć uważał za zbyt oficjalną w sposobie bycia. W dodatku było mu jej żal: jej własna córka wystawiła rodzinę na pośmiewisko, wychodząc za tego łobuza de Marigny.

Nie było sposobu, by wrócić do poprzedniego wątku rozmowy, bez wzbudzenia podejrzliwości Christiego. Ale w głowie Timothy'ego nie przestawał dźwięczeć dzwonek alarmowy.

Przede wszystkim należało zacząć od informatorów. Dlaczego o niczym dotąd nie wiedział? Co jeszcze się wydarzyło?

W porządku - pomyśleli informatorzy - jeśli on naprawdę ma ochotę płacić za plotki, to czemu ich nie dostarczyć?

W rezultacie Timothy został zasypany informacjami o Erice i Barcie. Od Nowego Roku wciąż ich widywano razem. Obecnie porucznika Crosleya nie było w pobliżu. Marynarka miała mnóstwo roboty, różne dziwne rzeczy działy się wokół Bahamów. Pani Harrowford nie miała nowego adoratora, zajmowała się wyłącznie pracą w hotelu. Czy o to chodziło panu Perrimanowi?

Częściowo tak. Ale dla Timothy'ego ważniejszy był odręczny dopisek, na niechlujnie przygotowanym raporcie. „Arnos Powell” służący pani Tregarvon, mówi, że bardzo się przejęła przesyłką, która ma coś wspólnego z dawnymi czasami i Anglią, i którą dostarczył specjalny posłaniec z rezydencji gubernatora. Timothy zatelefonował bezpośrednio do głównego informatora. Co było w tej paczce? Obiecał dodatkową premię za szybką wiadomość.

Człowiekiem zbierającym plotki był właściciel baru o nazwisku Barka w Grants Town. Arnos wpadał zwykle do baru w wolne wieczory, przy okazji odwiedzin u rodziny. Nie było trudno wypytać go o szczegóły dotyczące paczki. Przed świtem po zamknięciu baru, Barka telefonował już do Waszyngtonu na koszt Timothy'ego.

- Pan Perriman? Mówił pan, żeby dzwonić jak tylko dowiem się więcej o tej paczce...

- Tak? - Timothy złapał gwałtownie oddech.

- To były takie tam rzeczy po mężu. Zapaćkany portfel, zjedzony przez mrówki, zegarek z łańcuszkiem, spinki do koszuli. To pan chciał wiedzieć?

- Tak, dziękuję, Barka. Dobrze się sprawiłeś. Czeka na ciebie sto dolarów, dostaniesz, jak się zobaczymy. Timothy Perriman wywlókł się z łóżka. Dygotał tak, że ledwie zdołał zawiązać pasek od szlafroka. Przeszedł do salonu swojego waszyngtońskiego mieszkania, opadł bezwładnie na fotel i wlepił oczy w ciemność.

294

Ujrzał zegarek z łańcuszkiem tak wyraźnie jak obraz wyświetlony na ekranie, zegarek z łańcuszkiem Lindona Tregarvona. Łańcuszek odcinał się od materiału, z którego zrobiona była kamizelka wieczorowego garnituru, w który ubrany był Lindon, gdy spadał w dół kamieniołomu...

Timothy zaplanował to trochę inaczej. Zamierzał uderzyć pryncypała ciężką latarką, którą miał przy sobie, tak, by ten stracił przytomność, po czym obszukać ciało przed zepchnięciem go w przepaść.

W ogóle nie przypuszczał, że będzie musiał podjąć jakiegokolwiek gwałtowne działania. Jego plan zakładał dokonanie kilku przemyślnych oszustw i zgromadzenie pieniędzy na przyszłość. Po czym pewnego dnia oświadczyłby panu Tregarvonowi, że otwiera własny biznes w Stanach. Pożegnałby się i obdarowany hojnym czekiem ruszyłby do Nowego Jorku. Koniec z uniżonością wobec człowieka, który miał mniej wycucia w interesach, niż on sam, koniec z przymusowym wysłuchiwanym paplaniny matki i znoszenia zarozumiałości córki.

W urzeczywistnieniu tych planów przeszkodzili mu tamci dwaj, inżynier i pierwszy oficer z *Ganymede 'a*, którzy odnaleźli się nagle w Darwin, chępiąc się po pijanemu jakimiś łatwo zarobionymi pieniędzmi. Potem zaczęto poszukiwać na gwałt kapitana *Larriette*. - Do uszu Timothy'ego dochodziły zaledwie blade echa tych wydarzeń. Był równie mało przygotowany na najście policji w tamtą mroźną styczniową niedzielę, jak sam Lindon Tregarvon.

Timothy był wówczas przerażony nie na żarty. Jednak z początku wszystko toczyło się po jego myśli. Tregarvon został zaarrestowany, uznany za przestępcę i zbyt oszołomiony, by myśleć logicznie. Opuścili go wszyscy przyjaciele. Oczywiście poza dobrym i wiernym sługą, czyli sekretarzem osobistym, Timothy Perrimanem. Timothy trwał dzielnie na posterunku, pomagając policji w poszukiwaniu dokumentów, otwieraniu sejfów i szuflad... a przy tym nie ustając w protestach i zapewnieniach, że jego pracodawca jest niewinny.

Nie mając się do kogo zwrócić, Tregarron rozmawiał ze swoim sekretarzem. Timothy zorientował się niebawem, z uczuciem rosnącej paniki, że myśli pryncypała biegną coraz częściej ku dokumentom ubezpieczeniowym, które podpisał pewnego wakacyjnego wieczoru w Nassau.

- Jestem właściwie pewien, że wcale nie powierzyłem Fairforth Freighters towarów wiezionych przez *Ganymeda* - mruczał nod nosem Tregarvon. - Od początku nie podobało mi się to ich jakieś obejście przepisów...

- Nie przypominam sobie, proszę pana.

- Niemożliwe, żebyś nie pamiętał, Timothy! Rozmawialiśmy o tym. Jakaś historia z towarami, które nie dotarły do Pernambuco, a potem niespodziewanie się okazało, że są w San Francisco...

- Naprawdę nie mogę sobie tego przypomnieć.

- Powiem ci, co myślę, Timothy. Myślę, że gdzieś po drodze zamie-

408

niono dokumenty. Albo ktoś w mojej spółce został przekupiony i wpisał inną firmę na orginale umowy.

- Ach, nie, na pewno nikt by nie zrobił czegoś podobnego'

- Dla pieniędzy, Timothy, dla pieniędzy... W każdym razie, kiedy tylko odnajdę moją własną kopię kontraktu, będę mógł wykazać, że nie podpisywałem żadnej umowy z Fairforth Freighters.

Rozmawiali wczesnym popołudniem pierwszego lutego. Timothy pomagał panu Tregarvonowi w poszukiwaniu kopii dokumentów załadunkowych i kontraktu. Jednakże niczego nie znaleźli. Timothy wyraził przypuszczenie, że być może policja zabrała oba dokumenty.

I na tym stanęło. Ale następnego dnia Lindon Tregarvon przyszedł do biura pełen nadziei.

- Timothy, jestem prawie pewien, że w ogóle nie przywiozłem tych dokumentów do Londynu. Sądzę, że są w dalszym ciągu na *Margravine*'

Rozważali tę możliwość przez resztę dnia, nie rezygnując z poszukiwań w biurze. Wreszcie Lindon Tregarvon oznajmił:

- Zwierzę ci pewną tajemnicę, Timothy. Postanowiłem wyrwać się stąd i skoczyć do Nassau. Dokumenty, które zostawiłem na jachcie, dowiodą że me zawarłem żadnej umowy z Fairforth Freighters, a zarazem że ktoś inny jest odpowiedzialny za fałszerstwo. Jestem o tym przekonany.

- Ależ, proszę pana! Czy to znaczy, że nie zamierza się pan stawić w sądzie?

Timothy Perriman nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Znał swojego pracodawcę jako bogatego właściciela statków i nigdy nie podejrzewał, że jest on również pełnym fantazji, szybkim w decyzjach i poruszeniach żeglarzem. A takim właśnie człowiekiem był niegdyś Lindon Tregarvon.

- Tak, Timothy, właśnie taki mam zamiar. Znam mnóstwo ludzi znajdę kogoś w Itchenor, kto przewiezie mnie motorówką do Francji gdzie wsiądę na statek do Stanów. A stamtąd jest naprawdę jeden skok do Nassau i *Margravine*.

- Ale, proszę pana...

- Widzę, że cię zaszokowałem, Timothy. Wiem, że działałem wbrew prawu, ale wszystko będzie dobrze, jeśli zdołam dowieść mojej niewinności i sprawcy znajdą się za kratkami.

Mózg Timothy'ego, który nigdy nie sprawował się najlepiej w chwilach niespodziewanego kryzysu, zaczął wreszcie funkcjonować.

- Ale pana żona i córka...

- Nic im nie powiem. Mam nadzieję, że uda mi się obrócić tam i z powrotem w dziesięć dni.

- Ale... ale... jak pan tego dokona?

- Dziś wieczorem przebiorę się i zjem kolację, jak zwykle, a potem powiem, że mam jeszcze pracę w biurze.

Nie wezmę samochodu, bo nie chcę wtajemniczać w to szofera. Pojadę pociągiem do 410

- Czy to rozsądne, proszę pana? A jeśli ktoś pana rozpozna?

- Biorę to pod uwagę.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybym zawiózł pana samochodem?

- Ach nie, nie mogę się na to zgodzić.

- Ale ja chcę panu pomóc, proszę pana. W końcu, jeśli to ma doprowadzić do wyjaśnienia całej sprawy i oczyszczenie z zarzutów... -przerwał, patrząc na Tregarvona wzrokiem pełnym zapału i oddania.

Lindon Tregarvon był mile zdziwiony. Chociaż lubił Timothy'ego i mu ufał, uważał go zawsze za formalistę. Nie spodziewałby się, że Timothy jest gotów wdać się w coś tak niebezpiecznego. A już zupełnie zaskoczyła go następna propozycja sekretarza, gdy jechali do Itchenor.

- Proszę pana, przyszło mi coś do głowy w związku z pana paszportem.

- Mam go~ przy sobie - odparł Tregarvon, dotykając kieszeni na piersi.

- Tak, ale chciałem powiedzieć, że nawet, jeśli oficer na francuskim statku nie zwróci na nic uwagi, to amerykański urzędnik biura imigracyjnego... może czytają tam angielskie gazety... rozumie pan, ten sam język...

I Lindon Tregarvon natychmiast zrozumiał o co chodzi sekretarzowi.

- Możliwe - powiedział - ale muszę podjąć to ryzyko.

- Niekoniecznie, proszę pana - oznajmił Timothy. - Mam znajomego, który mieszka w Hampshire. To farmer i tak się składa, że jest do pana podobny. Więc myślę, że gdybyśmy do niego wpadli po drodze i zaproponowali mu dobrą sumę, to pożyczylby panu swój paszport na jakieś dwa tygodnie.

- Na Bóg, miły, Timothy!

- Wiem, że to nielegalne, proszę pana, ale w końcu... - Timothy machnął ręką. - A John potrzebuje pieniędzy.

- Do stu par beczek! - powiedział niebotycznie zdumiony Tregarvon, używając nieświadomie języka, który zdawało się dawno już zapomniał. Konserwatywny, sztywny Timothy! Ale jeśli się zastanowić, to właściwie ma rację. Nie było sensu narażać się już na początku podróży na dekonspirację. - No dobrze, a gdzie jest ta farma?

- W bok od głównej drogi, jakieś dwadzieścia mil stąd. John pozwala mi czasem polować na swoim terenie. Samochód podskakiwał na wybojach i nierównościach ciemnego traktu wiodącego wzdłuż kamieniołomu, który Timothy odwiedzał podczas polowań. Wreszcie się zatrzymali.

- Stąd musimy pójść piechotą, proszę pana.

Wysiedli. Timothy ruszył przodem, oświetlając latarką ścieżkę prowadzącą do krawędzi kamieniołomu.

- Trochę to zaniedbane - zauważył Tregarvon czując ostre kamienie pod stopami i kolce na krzakach czepiające się nogawek spodni.

- Tak, mówiłem panu, że niezbyt dobrze mu się teraz powodzi. Gdy doszli do skraju głębokiej przepaści, Timothy powiedział z ulgą, jakby właśnie położył dłoń na furtce:

297

- No, wreszcie jesteście.

Lindon Tregarvon zbliżył się do niego po omacku. Ale coś w tej ciemności, która przypominała czerń nocnego nieba zimą, musiało wydać mu się niepokojące. Odwrócił się do sekretarza:

- Czy dom...

Lindon Tregarvon nigdy nie dokończył rozpoczętego zdania. Ogarnięty paniką Timothy uderzył go z całej siły latarką,- a gdy Tregarvon upadł, pchnął go szybko, w obawie przed oporem zaatakowanego. Usłyszał głuchy odgłos ciała uderzającego w głaz na krawędzi kamiennej ściany, trzask i darcie, gdy spadało, obijając się o gałęzie i ciernie, a potem daleki łomot i plusk, gdy uderzyło o skały i wodę na dnie kamieniołomu.

Przez długi czas Timothy tkwił skulony i drżący na brzegu. Zgubił latarkę, ale odnalazł ją po chwili, palącą się nadal wśród kęp szorstkiej trawy. Skierował promień światła w przepaść.

Nie dojrzał niczego. Nawet, jeśli gałęzie krzaków wygięły się i połamały pod ciężarem spadającego ciała, taraz zdążyły się już wyprostować. Timothy stał nasłuchując. Wokół panowała głęboka cisza. Stał bez ruchu prawie przez godzinę. Ale żaden głos nie odezwał się z dna kamieniołomu. Tregarvon zginął albo był nieprzytomny. A jeśli nawet żył, ale odniósł poważne rany, noc na dnie kamieniołomu wykończy go niewątpliwie.

W długi czas później Timothy żałował, że nie upewnił się, czy Tregarvon nie żyje i nie obszukał ciała przed egzekucją. Zapomniał

o kluczyku zawieszonym na łańcuszku od zegarka. Timothy próbował kupić *Margravine*, ale spóźnił się z ofertą, a kiedy wyludził od nowego właściciela zaproszenie na jacht, zdołał zlokalizować sejf, ale nie był w stanie go otworzyć.

Jeszcze później próbował zdobyć jedyny, jak mu się wydawało, istniejący klucz, ukryty w srebrnej ramce do fotografii. Ale teraz panie Tregarvon także miały klucz, ten, który powinien był zabrać z łańcuszka przy zegarku.

Czy zrobią z niego użytek? Gdybyż tylko mógł się dowiedzieć, czy Erka i jej przyjaciel naprawdę znaleźli *Margravine*. Ale teraz nieostrożnością byłoby wyprawiać się na Panago i próbować wejść na pokład zniszczonego jachtu. Ściągnąłby na siebie powszechną uwagę, bo właśnie wyspy znalazły się w centrum zainteresowania.

Na Bahamach zawsze krążyły opowieści o zakopanych czy zatopionych skarbach. Zachodziła poważna obawa, że uczestnicy którejś z „wypraw po skarby” poważą się porwać księcia Windsoru. Widziano dziwne

statki i łodzie wypływające z zacisznych zatoczek i znikające we mgle. Niektórzy uważali, że ma to związek z osobą szwedzkiego milionera i właściciela Hog Island, pana Wenner-Gren, który, o czym wszyscy wiedzieli, sympatyzował z nazistami. Inni utrzymywali, że to sprawka sir Harry'ego Oakesa i jego finansowych machinacji.

413

W efekcie stacjonujące na Bahamach oddziały marynarki wojennej zostały postawione w stan alarmu. Rejsy wycieczkowe i spacerowe zostały zawieszono, dopuszczano wyłącznie ruch jednostek zajmujących się położeniem lub transportem towarowym i pocztowym.

Ta sytuacja była bardzo niewygodna dla pracodawców Timothy'ego. Wyspy Bahama były dla nich wygodnym miejscem do prania brudnych pieniędzy mafii i nie życzyli sobie wcale, by znajdowały się w centrum zainteresowania. Timothy dostał polecenie udania się do Nassau. Jego zadaniem było sprawdzić, czy przyczyną zamieszania jest osoba Wenner--Grena; jeśli tak, to niewiele można było na to poradzić. Jeśli jednak chodziło o jakąś sekretną działalność sir Harry'ego, Perriman miał mu ją wyperswadować.

- W jaki sposób mianowicie mam tego dokonać? - spytał Timothy Giancarlo Manzinego.

Manzini był przyzwyczajony do zadawania pytań, ale nie do udzielania na nie odpowiedzi.

- Wymyśl pan coś - odparł swoim chłodnym, beznamiętnym głosem. - Byleby okazało się skuteczne.

Perriman przyjechał więc do Nassau. Nie było wątpliwości, że powinien wywiązać się z powierzonego mu zadania. Nie miał pojęcia, jak zdoła to zrobić. Poza tym miał swoje własne zmartwienia... jeśli ten jacht to rzeczywiście *Margravine*... Ale tego nie mógł ustalić.

Na dodatek był początek lipca i nadchodziła pora najintensywniejszych upałów. Ale w Nassau był jeszcze ktoś, kto dzielił z Perrimanem niepokój w kwestii wraku jachtu spoczywającego przy Diggo.

Erica Harrowford pragnęła dostać się na *Perlinę*. Miała klucz do sejfu. Gdybyż tylko mogła znaleźć się na jachcie i upewnić się, że sejf jest nienaruszony! Jeśli boazeria nie została zerwana, jeżeli salon nie został zdewastowany, mogła znaleźć to, czego szukał jej ojciec.

Pewnego dnia Bart wreszcie dostanie urlop. Wówczas wyprawiają się oboje na Diggo i razem odnajdą sejf.

Jednakże wszystkie wydarzenia w Nassau zeszły na drugi plan w obliczu dramatycznego wypadku.

Sir Harry Oakes został zamordowany. Rankiem 8 lipca 1943 roku znaleziono go w jego własnej, częściowo spalonej sypialni.

Powszechną reakcją na wiadomość o tragedii było niedowierzenie.

Starsi potrząsali głowami, mężczyźni w Klubie zbierali się w grupy. „Skończone brednie!” W Nassau nigdy nie zamordowano białego człowieka!

Jednak wiadomość okazała się prawdziwa. Harry Oakes został znaleziony z roztrzaskaną głową.

Lecz to nie ciosy pozbawiły go życia. Kiedy leżał nieprzytomny, choć jeszcze żywy, ktoś polał ciało oraz część pokoju benzyną i podpalił. Ogień nie rozprzestrzenił się szeroko, choć zajęła się część holu. Na ścianach, jak szeptano, widniały zakrwawione odciski dłoni.

Ciało odkrył Harold Christie, który spędzał noc w rezydencji Oakesów. Nie słyszał niczego, ale tej nocy szalała burza z gwałtownymi błyskawicami i grzmotami.

Nikogo więcej nie było w domu. Pani Oakes wyjechała z dziećmi na północ; służba zawsze wracała do siebie o jedenastej wieczorem; nocny dozorca został wcześniej zwolniony.

Najbogatszy baronet w Imperium Brytyjskim, zaprzyjaźniony i związany interesami z księciem Windsoru, został zamordowany w swojej - pięknej tropikalnej rezydencji. Dziennikarze węszyli sensację, a tragedia stała się pożądaną odskocznią od nudnego już tematu wojny.

Cała policja i wszyscy wojskowi na Bahamach zostali zaangażowani do pilnowania porządku. Alarm dotyczący nie zidentyfikowanych statków poszedł w zapomnienie, władze borykały się teraz z nowym problemem.

- Możliwe, że będziesz potrzebny - dowiedział się Bart Crosley. -Zdaje się, że zamotali to śledztwo zupełnie beznadziejnie.

Po mieście krążyły plotki, wywołujące kłótnie, bójki i niezgodę. Część miejscowych ludzi twierdziła, że Oakes został zamordowany na rozkaz ludzi z Bay Street, ponieważ trzymał stronę kolorowych Bahamczyków, płacąc im regularnie, podczas gdy tamci dążyli do utrzymania zaniżonych płac. Inna

300

grupa wyrażała przekonanie, że maczał w tym palce Wenner-Gren i jego prohiderowscy kamraci. Jeszcze inni utrzymywali, że morderstwo miało zapewne związek z mafią - Oakes występował głośno i stanowczo przeciw wprowadzeniu na wyspy hazardu, podczas gdy mafia w osobie Meyera Lansky'ego zamierzała objąć swoimi mackami całe Morze Karaibskie.

Poza tym był jeszcze Harold Christie. „Przecież on był całą noc na miejscu zbrodni” - szeptano.

Ale uwaga policji skupiła się na kimś zupełnie innym. Aresztowano zięcia sir Harry'ego Oakesa, nowo poślubionego męża Nancy Oakes, Freddiego de Marigny.

- Uważasz, że zamknęli właściwego człowieka? - spytała Erica Barta, który zjawił się w domu przy East Bay Street pewnego upalnego, dusznego wieczoru.

- Można tylko powiedzieć, to że śledztwo przyniosło szybkie rezultaty - odpowiedział, wzruszając ramionami.

- Bart, mój drogi, mówisz o tym tak obojętnie - zaprotestowała Amy Tregarvon. - Pomyśl o biednej lady Oakes. Jej mąż nie żyje, a teraz twierdzą, że dokonał tego mąż jej własnej córki. Lady Oakes zależy nie na szybkich, ale na właściwych rezultatach.

- Powiedzmy, że „właściwe rezultaty” zależą od tego, kto się zajmuje sprawą.

- Jak możesz coś takiego mówić? Policja...

- Kontrolę nad policją sprawuje sam książę. Jego wielkim błędem było wezwanie do pomocy w śledztwie dwóch ignorantów z Departamentu Pblicji z Miami.

- Tak, to rzeczywiście dziwne - zauważyła Erica.

- Dziwne? To jest czysta bezmyślność. Książę nie ma pojęcia o prowadzeniu śledztwa w sprawie kryminalnej, ludzie z Miami nie mają pojęcia o warunkach miejscowych, a w dodatku nie zabezpieczono miejsca zbrodni. - Bart jako profesjonalista był oburzony amatorszczyzną całego postępowania. - Bez trudu można było sfalszować dowody.

- Ale kto by je chciał fałszować? - zawołała Amy. - Wszyscy pragną, żeby morderca stanął przed sądem. Czyżby? Widząc, że Erica potrząsa nieznacznie głową, Bart zamilkł. Nie było sensu przyczyniać strapienia pani Tregarvon, która podzielała żalobę rodziny Oakesów tak szczerze, jakby umarł ktoś z jej własnych krewnych.

Później, odprowadzając Barta do furtki, Erica zapytała go, co naprawdę myśli o tym.

- Uważasz, że de Marigny jest winny?

- Erico, pięćdziesiąt procent mieszkańców Nassau chciałoby, żeby to on okazał się mordercą, bo go po prostu nie lubią. Jest cudzoziemcem, uwodzicielem i rywalem w interesach. Przechytrzył miejscowych, wżenając się w rodzinę Oakesów. Czterdzieści pięć procent wołałoby, żeby był winny, ponieważ to najprostszy sposób zakończenia i uciszenia całej sprawy.

- Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Uważasz, że on to zrobił? Z powodu jakiegoś nieporozumienia rodzinnego?

- Nie.

Erica zawahała się.

- Myślisz, że mógł to zrobić Harold Christie?

- Niewykluczone. Ale jeśli to był on, na pewno nie działał sam.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Benzyna, którą oblane pokój, została przyniesiona z zewnątrz. Nie znaleziono żadnego kanistra. Również narzędzie, którym został uderzony sir Harry, pochodzi z zewnątrz i ono także nie zostało odnalezione.

- Christie mógł mieć te rzeczy ze sobą w samochodzie, kiedy jechał do Westbourne na wieczór karciany - zasugerowała Erica.'

- Owszem. Widziano go zresztą później, przejeżdżającego przez Nassau samochodem, chociaż twierdzi, że nie opuszczał Westbourne, czyli mógł wymknąć się i wyrzucić wszystko do morza. Ale nie bardzo to sobie wyobrażam.

- Mhm - zgodziła się Erica, myśląc o usposobieniu Harolda. - Ale pamiętaj, był blisko związany z sir Harrym w dziedzinie interesów. Mogli się... czy ja wiem... pokłócić o pieniądze.

Bart zastanawiał się nad całą tą sprawę. Gromadził wiadomości krążące pocztą pantoflową w wywiadzie, plotki i własne domysły. Dostał jednak wyraźne ostrzeżenie z Admiralicji: „Źródła i środki dostępne Wywiadowi Marynarki Wojennej nie mogą być w żadnym wypadku wykorzystywane, ani używane w śledztwie dotyczącym śmierci sir Harry'ego Oakesa". Wyglądało na to, że Admiralicja poczuła się urażona zachowaniem księcia Windsoru, który zwrócił się o pomoc do policji w Miami; albo też wiedziała, że coś się psuje w państwie duńskim, i nie chciała być w to wplątana.

Ponieważ zarówno sir Harry, czyli ofiara, jak i Harold Christie, czyli cichy wspólnik, a także Freddie de Marigny, czyli aresztowany, należeli do kręgów towarzyskich Nassau, w których obracał się książę. A co więcej, istniały niezbite dowody, że sir Harry, Christie i książę zajmowali się wbrew prawu inwestowaniem pieniędzy w Meksyku. Ujawnienie tego faktu podczas śledztwa w sprawie morderstwa byłoby niesłychanie kłopotliwe i krępujące.

Bart mimo wyraźnego zakazu mieszania się do tej sprawy, nie mógł przestać o niej myśleć.

- Christie pojechał do Westborne, żeby spędzić wieczór przy kartach -powiedział Eric. - Potem inni goście wyszli, ale on został dłużej i A może umówił się z jakimś współnikiem, który miał się do nich przyłączyć, żeby, powiedzmy, przedyskutować kwestie finansowe wspólnie z sir Harrym?

- Ale, Bart, musiało być już bardzo późno.

- Może to był rodzaj dyskusji, którą toczy się wyłącznie w czasie, gdy inni ludzie śpią spokojnie we własnych łóżkach. Słyszałaś pewnie o alarmie z powodu pojawienia się nieznanych statków w okolicach wysp?

- Myślisz, że jedno z drugim ma coś wspólnego?

417

- Wiesz, może to przypadek, że akurat teraz mieliśmy do czynienia z całą tą tajemniczą aktywnością na morzu. Nie wiadomo, co przewoziły statki. Ale założmy, że były to pieniądze.

- Pieniądze? Mówisz o zwykłej gotówce?

- On miał jej bardzo dużo, Erico. Myślę o sir Harrym. - Nie powtórzył jej tego, co podejrzewał wywiad, mianowicie, że sir Harry kupował posiadłości w Meksyku. - Przypuśćmy, że do Christiego dołączył znajomy czy współnik, żeby podyskutować razem takie czy inne posunięcia sir Harry'ego. Może ci dwaj chcieli mieć swój udział w tym, co planował, a może, przeciwnie, postanowili go powstrzymać: I przypuśćmy, że znajomy przyprowadził ze sobą zabójcę... jako straszaka... A potem sprawy zaszły dalej niż się spodziewali.

- Ale to są tylko domysły i zgadywanki, Bart.

- Oczywiście.

Z jego tonu Erica wywnioskowała, że chodzi o coś więcej niż domysły.

- Jeśli istnieją jakiegokolwiek dowody na to, co „zgadywałeś”, Bart, chyba powinieneś je przekazać policji.

- Komu? Tym dwóm głupcom z Miami?

- Kochany, jeśli to, co mówiłeś, jest choć trochę bliskie prawdy, Freddie de Marigny nie powinien być teraz w areszcie.

- Najpierw musiałabyś przekonać władze, żeby zechciały wysłuchać tej historii. A władze postanowiły, że de Marigny będzie sądzony za morderstwo.

Po ciągnącym się w nieskończoność śledztwie, sprawa przeciw Alfredowi de Marigny została wyznaczona na 18 października 1943 roku.

Zgodnie z przewidywaniami Barta, materiał dowodowy budził wiele wątpliwości. Obrona nie miała żadnego kłopotu z wykazaniem, że ekspert daktyloskopii nie wie, o czym mówi. Co gorsza, linia obrony zdawała się

sugerować, że dowody przeciwko de Marigny'emu zostały sfabrykowane. Sąd przysięgłych większością głosów wydał wyrok: niewinny.

Timothy Perriman dostał telefon od Giancarlo Manzini.

- Mówiłeś pan, zdaje się, że ten Francuzik pójdzie na pewno za kratki? -powiedział swoim pozbawionym emocji głosem.

- Taka była powszechna opinia, panie Manzini.

- To co będzie teraz? Zaczną się następne kłopoty?

- Nie sądzę...

- Pan nie sądzi? No to mnie pan pocieszył. Mówiłem chyba, żeby rozwiązać ten problem, a nie komplikować.

- Sprawa zostanie zamknięta - odpowiedział Timothy Perriman żywo i z przekonaniem. - Zapewniam pana, że wszyscy na wyspach mają dosyć szpiegowania policji. A księżę Windsoru, niezależnie od werdyktu sędziów, jest nadal przekonany, że de Marigny jest winny. Polecił mu wyjechać z kolonii, to znaczy wicegubernator wydał taki rozkaz w imieniu księcia, który przebywa w Nowym Jorku.

303

- Policja Nassau...

- Proszę wybaczyć, panie Manzini, ale policja Nassau nie jest w stanie nic zrobić. Policjanci z Miami sfuszerowali sprawę... Wiadomo, że czasem rzeczy wymykają się spod kontroli.

- Nie w naszej organizacji - oznajmił Manzini i zamilkł. Cisza była wymowniejsza od pogrózek. - Dobra, w porządku, podobno orientuje się pan w miejscowej sytuacji. Jeśli mówi pan, że nie będzie dalszego ciągu, gotów jestem w to uwierzyć. Tylko, Perriman, miejmy nadzieję, że pan się nie myli.

- Proszę się nie martwić, panie Manzini, sprawa jest zakończona.

Tak się też wydawało. De Marigny opuścił wyspę. Po jego wyjeździe zapanowało pewne odprężenie, dalekie jednak od normalnej swobody. Tajemnicze manewry statków ustały również. Zredukowano liczbę wojska. Zmęczeni służbą oficerowie dostali krótkie urlopy.

Bart Crosley otrzymał czterodniową przepustkę.

- I co zrobimy z tymi niespodziewanymi wakacjami? To znaczy poza spędzeniem wspólnie każdej możliwej chwili?

Erica roześmiała się. Od miesięcy nie mieli okazji porozmawiać dłużej niż kilka minut, czy uściskać się inaczej niż przelotnie.

- Hm... możemy pobujać się na hamakach w ogrodzie. Możemy też wziąć udział w organizowanym przez panią Montagu poszukiwaniu skarbów. Poza tym odbędą się wyścigi na rzecz inwestowania w bony wojenne...

- Za dużo tego dobrego. Nie mam pojęcia, jak wytrzymałbym podobnie zwariowane tempo.

- Bart, jest coś, co naprawdę chciałabym zrobić — powiedziała Erica niepewnym głosem.

- Co takiego?

- Chciałabym się dostać na *Perlinę*.

Pragnienie, by wejść na rozbity jacht, nie opuszczało jej od chwili, gdy ujrzała maleńki kluczyk na łańcuszku ojcowskiego zegarka. Ale restrykcje wojenne, a następnie trzymiesięczny okres ścisłych ograniczeń po śmierci sir Harry'ego udaremniły zrealizowanie tych zamiarów.

- Spodziewałem się tego - powiedział Bart.

- Myślisz, że możemy to zrobić? Wybrać się tam, odnaleźć wuja Portera i dostać się na jacht?

- Dlaczego nie? Ścisły zakaz pływania statkami w celach wycieczkowych został właściwie zniesiony. Nie sądzę, żeby udało nam się zdobyć paliwo, ale moglibyśmy pożyczyć żaglówkę i popłynąć zdając się na wiatr. Można przenocować na Panago.

- Miałbyś na to ochotę? - spytała Erica z uśmiechem.

- O ile dobrze pamiętam ostatni nasz tam pobyt, nie był pozbawiony atrakcji - Bart urwał na chwilę. - Ale... czy jesteś pewna, że chcesz tam wrócić?

304

- Muszę sprawdzić, czy na jachcie coś jest, Bart. Jestem to winna ojcu.

- Rozumiem.

Z pożyczaniem żaglówki nie było kłopotu. Wyruszyli więc w drogę pewnego listopadowego poranka, a przyjazny, północno-zachodni wiatr dmuchał im w żagle.

Gdy dopłynęli do brzegów Panago, okazało się, że wuj Porter jest w domu. Przyszedł na plażę z resztą mieszkańców wioski, by ich przywitać.

- Człowieku, słyszałem, że chcieliście oglądać wrak. Żałuję, że mnie nie było pierwszym razem, ale wiecie, jak to jest ze sprawami sercowymi. - Wuj Porter mrugnął znacząco i ścisnął im dłonie.

- Oczywiście, świetnie to rozumiemy - odpowiedział Bart. - Jeśli możesz poświęcić nam teraz trochę czasu, chcieliśmy prosić, żebyś pojechał z nami na Diggo i pomógł nam dostać się na pokład *Perliny*.

- Tak słyszałem. Ale nie dziś. Nie da rady. Trzeba poczekać na przyływ. Przenocujcie u nas?

- Będziemy wdzięczni za gościnę.

- Aha! - powiedział wuj Porter z uśmiechem. Po zachodzie słońca urządzono długą ucztę, a potem nastąpił równie długi wieczór muzyki pod usianym gwiazdami niebem. Gitary i bębny rozbrzmiewały pulsującym rytmem, głosy wznosiły się i opadały. „Zimorodku, piękne masz piórka, gładkie i lśniące, lecz uroda mej dziewczyny zaćmi i słońce”.

Powietrze przesycone było wonią bauhinii i kwiatów puoi, zmieszana ze słonawym zapachem dopalających się ognisk. Na niebie lśnił księżyc niby srebrny cekin na granatowym aksamitnym płaszczu nocy.

Ta noc stworzona była dla kochanków. Powoli grupa śpiewających przy ognisku przerzedziła się, pary znikwały kolejno w ciemności. Erica i Bart siedzieli przez długi czas ze splecionymi dłońmi, celebrując przedsmak chwil, które ich czekały.

W końcu i oni podnieśli się i ruszyli wolno w kierunku gościnnej chaty. Księżyc płynął ponad wyspą, samotny żeglarz wśród wędrownych chmur. Morze szumiało cicho, lekka bryza szeptała wśród liści palm, grały cykady. Inne odgłosy ciemnej wioski rybackiej były zbyt sekretne, by dołączyć do przytłumionego chóru przyrody - przyspieszony oddech, szept miłosnych słów, niski namiętny okrzyk.

Następnego ranka wioska zbudziła się o świcie. Wuj Porter, wysoki i kanciasty w spranym białym ubraniu, czekał na nich na brzegu morza.

- Sprawa jest taka, że jak dopłyniemy blisko, będę musiał sam kierować łodzią - uprzedził. - Bez obrazy, człowieku, ale pewnie byś pan skończył z kawałkiem rafy w dnie łodzi.

- Powiedz tylko, kiedy będziesz chciał przejąć ster.

Dopłynięcie do Diggo zajęło im około dwudziestu minut. W promieniach porannego słońca trudniej było rozróżnić maszty jachtu pomiędzy zieloną płataniną mangrowców, słońce świeciło w oczy. Żrefowali żagiel.

Bart wstał ze swego siedzenia przy rumplu, a jego miejsce zajął wuj Porter.

20 - Nieodrodna córka

305

- Musicie zrozumieć - zauważył - że mamy cztery problemy: korzenie mangrowców, krawędzie skał koralowych, prąd i wejście do zatoki, które musimy odnaleźć. Jak je znajdziemy - jeden problem z głowy. Ale tamte trzy... No więc ostrożnie, a jak wam powiem, żeby odpychać albo schylić głowę, to ruszajcie się szybko. O, jest, dopłynęliśmy do wejścia.

Dojście do jachtu było trudniejsze, niż myśleli. Trzeba było popłynąć wzdłuż wybrzeża, mijając wrak. Wpłynęli w ujście zatoczki, używając wiosel, żeby odepchnąć łódź za każdym razem, gdy wuj Porter wydał polecenie. Posuwali się naprzód cal po calu, a wokół łodzi falowała gwałtownie woda, tworząc wiry w miejscach, gdzie przyływ łączył się z prądem malej zatoczki. Wkrótce mangrowce oplotły gałęzie nad ich głowami, płynęli w przyćmionym, zielonym świetle. Woda wokół łódki pociemniała od błota. Wilgotne, ciężkie powietrze wibrowało od brzęczenia insektów.

Erica drząc w swojej cienkiej, bawełnianej spódnicy, zrobiła wysilek, by opanować strach. Jej ojciec nigdy się nie bał. Nie mogła go zawieść.

Kanał wodny otwierał się i zamykał pośród korzeni mangrowców. Erica nie mogła sobie wyobrazić, jak wuj Porter w ogóle na niego natrafił; niewątpliwie potężnym bodźcem była nadzieja uzyskania tych wszystkich dóbr, które mogły się jeszcze znajdować na pokładzie rozbitego jachtu.

Posuwali się ostrożnie pomiędzy skałami koralowymi, którymi usiana była zatoczka i do których przyłgnęło dość ziemi, by mogły wczepić się w nią zachłanne korzenie mangrowców. Dach z liści ponad głowami upodobał podróż do przejazdu wijącym się tunelem.

W końcu błysnął między drzewami bledszy odcień zieleni. Porter wyciągnął rękę.

- Macie jacht - powiedział.

Ale przy następnym zakręcie znów zapadła ciemność.

Wreszcie zatrzymali się przy sporej skale. Porter przywiązał cumę do wystającej części koralowca. Po drugiej stronie skały znajdowała się *Perlina*, tkwiąca na głazach, jak wyrzucony przez morze wodorost. Porter wskoczył na skałę i widać było, że wie, gdzie postawić stopę. Stojąc na górze, pochylił się, by pomóc wejść Bartowi, a następnie obaj podtrzymali Ericę.

- Tylko uważajcie, bardzo tu ślisko, a skała jest ostra. Łatwo pokaleczyć kolana.

Ostrzeżenie przyszło w samą porę, bo Erica omal nie upadła. Trzymając się blisko przewodnika, zrobili kilka kroków wzdłuż ostrej krawędzi skały i znaleźli się przy rozbitym dziobie *Perliny*.

Porter stanął w miejscu.

- Jeśli myśleliście, że znajdziecie tu skarby, to się rozczarujecie - powiedział z lekką drwiną. Rzeczywiście, jacht przedstawiał żalosny widok. Spoczywał w dziwnej pozycji pomiędzy skamieniałymi koralowcami. Erika usłyszała odgłos tarcia drewna, poruszanego w przód i w tył, zgodnie z ruchem fal. Stłumiała

306

okrzyk bólu, odwracając się tak gwałtownie, że omal nie straciła równowagi. Bart chwycił ją w ostatniej chwili.

- Pani zna ten statek? - spytał Porter, przyglądając jej się uważnie ciemnymi oczami.

- Niegdyś go znalazłam - odparła zdławionym głosem. - Kiedy byłam mała.

- Też bym się przejmował, gdyby moja łódź leżała rozbita na skałach. - Uczynił zapraszający gest dłonią. - Mówiliście, że chcecie wejść na pokład?

- Czy to jest bezpieczne? - zapytał Bart nie bez powodu, ponieważ część desek z pokładu zniknęła, wyrwana i poniesiona przez fale, czy też zabrana przez ludzi.

- Jasne, wchodziłem tu nie raz. Ale nie wiem, ile on jeszcze wytrzyma, aż go następny sztorm wykończy - Porter westchnął. - Chciałbym zabrać maszty, zanim pójdzie na dno. Dobry, mocny metal, przydałby się na piękny maszt radiowy na Panago. Tylko przydałaby się piła łańcuchowa.

Pokazał im, jak wejść na jacht przez wyrwę w zniszczonym relingu. Po chwili stali wszyscy na śródokręciu.

- I co dalej? - zagadnął Porter.

- Czy można zejść do salonu? Zawahał się.

- Może i można, ale to ponure miejsce. Nie takie, jak pani pamięta, kiedy była pani mała, pani Harrowford.

- Tak, wiem p tym. Więc możemy zejść?

- Pewnie. Idźcie za mną, ale uważajcie, gdzie stawiacie nogi. Schody są w szlamie i mogą być kraby i takie tam różne. - Porter zerknął na stopy Eriki, uważał zapewne, że szkoda jej pantofli.

Erica miała na sobie błękitną bawelnianą spódnicę, luźną bluzkę z krótkimi rękawami, a na nogach płócienne pantofle. Jej gęste kasztanowate włosy przewiązane były różową apaszką, w którą zawinęła łańcuszek od zegarka z kluczykiem.

Podtrzymywana dłonią Barta, zeszła na dół po śliskich stopniach. Na podłodze stała woda. Przefiltrowane przez liście mangrowców światło przedostawało się do środka przez pozbawione szyb okna. Wnętrze było zielonkawe, ciemne, przygnębiające.

' Próba odszukania dziurki od klucza wymagała światła. Bart miał na szczęście latarkę. Teraz sięgnął po nią i zapalił. Większość paneli tworzących boazerię została zerwana ze ścian, zniknęły także krzesła i stół a także pokrywający podłogę dywan - wszystko, co tylko dało się zabrać.

Zostało tylko to, co okazało się nie do ruszenia. Złożony z kilku paneli kwadrat, znajdujący się mniej więcej na wysokości oczu, na tylnej ścianie salonu, okazał się za trudny do zerwania.

- Aha - powiedział Bart, kierując światło latarki w tę stronę. Przebrnęli przez salon. Zobaczyli, że fragment składający się z czterech

424

zdobnych, rzeźbionych kwadratów z drzewa orzechowego pokryty jest pleśnią. Porter przesunął palcami wzdłuż krawędzi, szukając szczeliny

0 którą mógłby zaczepić, by pociągnąć panel i przekonać się, czy drewno me jest obluźwane. Ale panele idealnie przylegały do ściany.

- Niezła stolarka - powiedział z podziwem.

- Zobaczymy... Erico, weź na chwilę latarkę - teraz Bart zbliżył się do ściany. On również przesunął palcami po panelach, ale nie wzdłuż ich zewnętrznych krawędzi. Próbował wyczuć dziurkę od klucza.

- Nic tu nie ma - stwierdził.

- Ależ musi być - zaprzeczyła Erica. - Bo inaczej, czemu ten właśnie kwadrat byłby tak solidnie przymocowany, że nie udało się go zerwać?

Podążyła latarkę Porterowi. Zaczęła od dolnej krawędzi, przesuując palce wolno i delikatnie po powierzchni drzewa. Nic. Tylko wypukłości

1 zawijasy w kształcie owoców, ryb z płetwami i krętymi ogonami Nagle stanął jej przed oczami obraz tych samych paneli w czasach ich świetności Przedstawiły morską pieczarę z falującymi wodorostami, wpływającymi i wypływającymi rybami, a pośrodku... pośrodku, w miejscu zetknięcia czterech paneli, widniała syrenka rozczesująca włosy.

- Chwileczkę - szepnęła.

Zamknęła oczy, przywołując obraz paneli i wodząc dłonią wśród rzeźbionych kształtów. Znalazła lusterko, małe owalne lusterko, które syrenka trzymała nad głową. I w środku tego lusterka wyczuła małą szparę

- Bart...

- Znalazłaś coś?

- Tak mi się wydaje. Chwileczkę.

Odsunęła się i drżącymi dłońmi rozwiązała apaszkę. Rozłożyła ją wzięła delikatnie w prawą rękę mały kluczyk, lewą wyczuwając lusterko. Włożyła kluczyk i przekręciła. Nic.

- Co się dzieje? - spytał Bart.

- Klucz jest w zamku, ale nie daje się przekręcić.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Próbuję. Nie mogę za mocno, klucz może pęknąć, jest bardzo delikatny.

- Poczekaj - powiedział Bart.

W odbitym od wody, rozproszonym świetle zauważyła, że szuka czegoś w plecaku.

- Posuń się trochę.

Odsunęła się o krok i wówczas, już wyraźniej, zobaczyła, że Bart trzyma małą puszkę smaru.

- Wyjmij klucz - polecił, a kiedy to zrobiła, natłuścił go smarem -spróbuj teraz. Porusz nim lekko, żeby smar dostał się do wewnątrz Przecież ten zamek nie był używany przez ponad dwanaście...

Erica wsuwała i wysuwała kluczyk, a następnie próbowała go obrócić Powoli przestał stawiać opór i poruszył się w zamku. Porter stał za nią

426

trzymając latarkę tuż nad jej ramieniem i pogwizdując przez zęby. Woda morska falowała z chłupotem wokół ich nóg. Było zimno. Palce Eryki zaczęły ziębnąć i stały się niezdarne. Klucz wypadł jej z ręki, omal nie znikając w wodzie, ale zdążyła chwycić za łańcuszek.

Nie chciała zrezygnować. Poczekala, aż Bart jeszcze raz nasmaruje ponownie mały kluczyk. Bez wielkich nadziei włożyła go z powrotem do dziurki i przekręciła.

Rozległ się dźwięk odskakującej zapadki.

- Jezusieńku! - zawołał Porter, podrywając gwałtownie ręce do góry, tak że promień latarki przemknął po suficie. - Otworzyła!

- Brawo! - wykrzyknął Bart. - Trzymaj latarkę nieruchomo, Porter. Klucz przekręcił się, ale panel wciąż był zamknięty. Erica nacisnęła

lekko. Drzwi sejfu poruszyły się odrobinę, ale nie dosyć. Pociągnęła powtórnie. Bez rezultatu. Bart wyjął swój składany nóż, wsunął ostrze pod dolną krawędź drzwiczek i podważył je, a wówczas rozwarły się ze zgrzytem zawiasów.

- Przejdź na tę stronę i poświeć do środka. Porter usłuchał.

Wnętrze sejfu stanowił metalowy sześcian o bokach grubości około dwunastu cali. Erica zauważyła niewielkie prostokątne pudełko. Rozpoznała je natychmiast. Matka trzymała w nim swoją bransoletkę z rubinami. Obie od dawna o niej zapomniały. Resztę stanowiły dokumenty, złożone kartki wielkości strony maszynowej, położone luzem lub w kopertach. Erica wyciągnęła je z okrzykiem radości.

- To tego tutaj pani szukała? - spytał zdumiony Porter, kierując promień latarki na zbutwiały stos papierów.

- Tak, tak! To właśnie te dokumenty chciał przywieźć mój ojciec do Londynu, żeby dowieść, że jest niewinny! Zaczęła je rozdzielać, by zobaczyć, czego dotyczą. Ale nie sposób było odczytać cokolwiek w półmroku salonu.

- Wyjdźmy na pokład, do światła - zaproponował Bart.

Porter ruszył przodem, Erica za nim, podtrzymywana ramieniem Barta, ponieważ w obu rękach niosła drogie dokumenty. U szczytu schodów powitało ich bębnienie ciężkich kropli deszczu, zapowiedź nadciągającej ulewy. Porter zatrzymał się nagle w miejscu, Erica prawie na niego wpadła. Bart przysunął się bliżej.

- Uważaj - powiedział.

Niemal jednocześnie pchnęli lekko Pottera do przodu, żeby wyjść na światło dzienne.

- Ja się zajmę tymi papierami - usłyszeli jakiś głos. Za kanciastą sylwetką Portera zobaczyli kogoś jeszcze. Był nim Timothy Perriman.

Ręka Perrimana wyciągnęła się w kierunku papierów. Bart zrobił krok i stanął między nim a Ericą. Ktoś kogoś trącił, ktoś się potknął. Perriman upadł na pokład. Jakaś postać pospieszyła mu z pomocą - nie zauważony dotąd, czarnoskóry mężczyzna. Perriman odepchnął wyciągniętą dłoń z gniewnym pomrukiem. Udało mu się stanąć na nogach. Wyprostował się, a jego ręka powędrowała do kieszeni marynarki. I wyłoniła się, uzbrojona w pistolet.

Na chwilę wszyscy zastygli w bezruchu, jakby otworzyła się i zamknęła klatka aparatu fotograficznego. Krępy czarnoskóry mężczyzna, odchylony ku relingowi; Perriman z wyrazem wściekłości na twarzy; Porter sztywny, z wytrzeszczonymi oczami; Bart z pytaniem na ustach; Erica przyciskająca dokumenty do piersi. Scenę oświetlała tylko mroczna, stalowa poświata, płynąca od nisko zawieszonych chmur. Deszcz zaczął padać dużymi, ciężkimi kroplami, ale nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zastygli, przykuci do miejsca widokiem pistoletu.

- Daj mi dokumenty - powiedział Perriman.

- Nie!

- Sądzisz, że masz wybór? - zrobił ruch pistoletem.

Erica otrząsnęła się z pierwszego, paraliżującego szoku. Jej mózg pracował szybko jak nigdy dotąd.

- Więc ich zdobycie jest dla ciebie takie ważne? Szukałeś ich od lat, prawda?

- Daj mi je. - Przysunął się bliżej, zaciskając palce na broni. Bart spojrział na pistolet. Kaliber 22, pistolet kieszonkowy, ale wystarczająco duży, by zabić. A człowiek, który go trzymał, był dostatecznie zdesperowany, by go użyć.

- Erico, daj mu te dokumenty - powiedział.

- Oto wyraz należnego szacunku - stwierdził z sarkazmem Perriman,

310

chwytną triumfalnie złożone kartki. Niespodziewany podmuch wiatru przewrócił jedną z nich. Erica zdołała dostrzec jedno słowo. *Ganymede*.

Ganymede zatonął z towarami i załogą. Uratowało się tylko dwóch ludzi. Za to właśnie jej ojciec został aresztowany. Umowa spedycyjna mogła dowieść jego niewinności.

- A więc to ty - powiedziała zdławionym głosem, patrząc szeroko otwartymi oczami na Timothy'ego. - To ty oszukales towarzystwo ubezpieczeniowe. A te dokumenty mogą to poświadczyć.

- Bzdury - odparł Perriman i choć uwaga była ironiczna, Bart dostrzegł, że jest wstrząśnięty. Jego palce zacisnęły się na pistolecie.

Bart spytał pospiesznie, by odwrócić jego uwagę:

- Jak, u diabła, zdołałeś się tu dostać?

- Łodzią, oczywiście.

- Ale skąd wiedziałeś, gdzie płynąć?

- Waszym śladem.

- Ale jak...

- To się nazywa właściwa lokata pieniędzy - stwierdził Perriman z satysfakcją. - Przez wszystkie te lata płaciłem po kilka dolarów to tu, to tam, i zawsze wiedziałem, co robi pani Harrowford - sklonił się w kierunku Eriki - od dnia, kiedy przyjechała do Nassau.

- Wiedziałaś - szepnęła Erica. - Czulaś, że ktoś mnie stale obserwuje...

- Dlaczego musiałaś przyjechać właśnie na Bahamy? - przerwał jej Perriman z czymś w rodzaju urazy. - Nie obchodziło mnie, co robiłaś we Francji i Hiszpanii. Ale nie mogłem dopuścić, żebyś kręciła się tutaj.

- Zbyt ryzykowne, co? - skonstatował Bart. - Za blisko *Margravine*.

- Właściwie jestem wam winien podziękowania... - powiedział Perriman z uśmiechem. - Sam nigdy bym nie rozpoznał w tej kupie złomu *Margravine* - rozejrzał się wokół, patrząc na zrujnowaną sterówkę i ziejące dziurami deski pokładu.

Deszcz, który na chwilę ustał, znów powrócił. Krople bębniły po papierach, które trzymał w ręku. Wepchnął je do kieszeni marynarki.

- Co zrobisz z tymi dokumentami? - spytał Bart.

- Rozpalę uroczysty ogień dziś wieczorem. Zdobycie ich zabrało mi lata, więc chcę je odpowiednio pożegnać. - Równe zęby Perrimana błysnęły w nieco złośliwym uśmiechu.

- Czego one dowodzą? Że przechytrzyłeś Lindona Tregarvona?

- I to nie po raz pierwszy, zapewniam was. Miałem bardzo dobre układy z Fairforth Freighters.

- Mówisz takim tonem, jakbyś był z tego dumny - powiedziała Erica, potrząsając głową z niedowierzaniem.

**- A może nie okazałem się sprytniejszy od twojego ojca, co? -W głosie Perrimana zabrzmiała nuta wyzwania. -
Zacząłem od drobnostek, ale kiedy Jego Lordowska Mość dał się wciągnąć w te wszystkie głupoty**

430

w związku z sezonem londyńskim, nie było trudno dokończyć dzieła. Nauczyłem się podrabiać idealnie jego podpis.

- A on ci zawsze ufał...

- Nigdy by się o niczym nie dowiedział, gdyby nie ci dwaj głupcy, którzy nie mogli się powstrzymać od gadania w Darwin - oświadczył, jakby pragnął, żeby zrozumieli, że jego plany skomplikowały się wcale nie z jego winy. - Kiedy się o tym dowiedziałem, myślałem, że to już koniec, słowo daję. A jednak, jak widzicie, jestem tutaj, a wszyscy myślą, że to wielki Lindon Tregarvon był oszustem.

- Nie chodzi tylko o oszustwo! Zginęli ludzie!

- Możliwe, ale to już wina kapitana. To on pokpił sprawę.

Porter ocknął się nagle z transu. Wyciągnął przed siebie ramię w geście oskarżenia.

- Znaczący, pan dał utonąć ludziom dla pieniędzy? .

- A co to ciebie obchodzi?

- Człowieku, żyję z morza! Sam nieraz mało nie utonąłem, wiem, co to jest. A z pana to po prostu zwykła glista!

- Milcz...

- A kto pan jest, żeby kazać mi milczeć? Szpieguje nas taki, płynie za nami i myśli, że taki mądry, a nic niewart, nic, nigdy by tu nie trafił, gdyby go nie przywiózł w swojej łodzi jakiś czarny...

- Na kogo mówisz czarny, no? - warknął Bahamczyk stojący przy relingu. - Głupi wyspiarz! Lepiej uważaj, co gadasz!

- I czego mu pomagasz? Gdzie masz rozum? Słuchaj no mnie, on mówi, że zabił żeglarzy! Z takimi trzymasz? Timothy Perriman machnął pistoletem.

- Trzyma ze mną, bo mu płacę - powiedział.

- No, ale ja z takim nie trzymam i kiedy wrócę na Panago, to zaraz ślę wiadomość do kapitana Searsa z policji, i mówię mu, że...

- Co takiego? - Przerwał mu Timothy. - Nasłuchałeś się jakichś głupstw...

- Nie no, pan mnie posłucha - powiedział ciemnoskóry właściciel łodzi, który przywiózł Perrimana. - To nie tylko ten głupi wyspiarz mówi. Pani Harrowford też i...

- Zaraz - Timothy podniósł dłoń, nakazując gestem ciszę. Myślał przez chwilę. - Kto powiedział, że wróćcie na Panago?

Nastąpiło długie milczenie. Deszcz stukał o deski pokładu, siekł w stojące naprzeciw siebie postacie.

- Co masz zamiar zrobić? - spytał Bart. - Zastrzelić troje ludzi?

- Czemu nie?

- Zastanów się, Perriman. Jak wyjaśnisz obecność trzech ciał, podziurawionych kulami twojego pistoletu?

- A kto je znajdzie? - odparł Timothy.

Gdy się dowiedział, że Erica i Bart wybrali się w kierunku odległych

432

wysp, postanowił popłynąć za nimi, odnaleźć jacht i dotrzeć do sejfu. Sądził, że szybką motorówką Groby'ego dotrze na *Margravine* przed nimi. Poprzedniego wieczoru zobaczyli z daleka wrak jachtu, a potem dobili do Curpy, największej wyspy po Panago. Ale nikt na całej Curpie nie umiał im powiedzieć, jak dostać się do wraku przy Diggo.

- To trzeba pytać Portera na Panago - powtarzano mu. Ale na Panago byli Erica i Bart.

Jedyną, co mu pozostało, to przyczaić się w motorówce Groby'ego do chwili, gdy zobaczy żaglówkę wpływającą do wejścia zatoczki pośród skał, a następnie płynąć jej śladem, cal po calu. Groby skarżył się nieustannie, że korzenie mangrowców i ostre koralowce niszczą jego piękną, lśniącą łódź.

Ale udało się, znaleźli przejście i przycumowaną żaglówkę. Na pokładzie jachtu nie widać było nikogo. Gdzież oni się mogli podziać? Widok Portera u szczytu schodów było prawdziwym zaskoczeniem.

A teraz on, Perriman, stał twarzą w twarz z trojgiem ludzi, którzy wiedzieli, że dotarł tutaj, żeby zdobyć umowę spedycyjną, którzy słyszeli, jak chęłpił się, że udało mu się przechytryć Tregarvona. I po co się chęłpił? Ponieważ chciał nad nimi zatriumfować. Głupiec, skończony głupiec... Ale teraz nie miał już wyjścia... - oni nie mogli wrócić na Panago czy do Nassau.

- Nie będę musiał wyjaśniać żadnych dziur po kulach - powiedział z uczuciem wewnętrznej ulgi, bo niespodziewanie wpadł na świetny pomysł. - Zbliża się sztorm, widać, że wiatr się wzmaga. Załadujemy wasze ciała do łodzi, powiosłujemy na głęboką wodę i wrzucimy je do morza, a tam już ryby dokonają reszty. Po prostu zginiecie na morzu w czasie sztormu... bardzo smutny wypadek, choć bynajmniej nie odosobniony.

- Hej! - powiedział z tyłu Groby.

- Co takiego?

- Nic pan nie mówił o zabijaniu.

- Zamknij się, Groby.

- **Sluchaj no pan! Nie wynajalem się, żeby kogoś zabijać!**
- **Skąd te nagle skrupuły? Sam wykończyłeś paru ludzi w dawniejszych czasach.**
- **Panie Perriman, to była prohibicja. Chodziło o interesy.**
- **To też są interesy, Groby. Nie zbiedniejesz, to ci mogę obiecać.**
- **Ile mu zapłacisz? - zapytał Bart. - Sto? Dwieście? A kiedy wróci po tygodniu, albo dwóch i powie, że sumienie nie daje mu spokoju i że chyba powinien pójść na policję...**
- **Groby nie byłby taki głupi, żeby mnie szantażować - odparł Timothy z uśmiechem. - Nie mam racji, chłopcze?**

Groby popatrzył na niego ponuro, ale się nie odezwał:

- Aha, więc to tak wygląda - powiedział Bart. - On ci rozkazuje, Groby, a ty musisz słuchać. Bo on trzyma z bossami.

313

- Owszem, mam przyjaciół - zgodził się Timothy.
 - Gangsterów z Miami? Przemysłników? Mafię?
 - Pilnuj swojego nosa! - był wyraźnie zdziwiony.
 - Nie myśl, że nie zwracałeś naszej uwagi, Perriman. Obserwowaliśmy cię i wiemy o tobie całkiem sporo.
 - Wiemy? Kto wie? - Timothy wstrząsnął dreszcz. Od lat on sam sprawował kontrolę - bezpieczny, nietykalny. A teraz ten ukochany Eriki sugeruje, że ktoś coś o nim wie.
 - W Nassau są ludzie, którzy bardzo się tobą interesują, przyjacielu.
 - Jeśli mówisz o policji, to możesz sobie oszczędzić fatygi. Mieliśmy dopiero przykład jak nasi chłopcy prowadzą śledztwo... Jedyne, co potrafią, to zaarrestować nie tego kogo trzeba, pokpić sprawę w sądzie, a po werdykcie „niewinny” wyrzucić go z kraju.
 - Skąd wiesz, że de Marigny jest nie tym człowiekiem? Poufne informacje?
 - Nie twoja sprawa! - Dlaczego dawał się prowokować temu typowi? On tu rozkazywał. On miał pistolet. Wszystko to jednak nie było takie proste. Musiał zastrzelić troje ludzi. Nacisnąć spust trzy razy. W porządku. A co będzie, jeśli nie zdoła ich zabić? Człowiek, który mu sprzedał pistolet, uprzedzał, że to nie najlepsza broń.
- A gdyby strzelić do każdego dwukrotnie? Tak, to była myśl. I zacząć od Barta Crosleya - on był najgroźniejszy. A potem tego rybaka z wyspy.
- I na końcu Ericę.
- W grucie rzeczy, dlaczego nie? Nigdy jej nie lubił. Przemądrzała smarkula, ważniaczka, mijala go w biurze ojca, jakby był powietrzem; odrzuciła go, kiedy się oświadczył, bo nie był dla niej dość dobry. No to teraz jej pokaże.
- Wpił wzrok w swoje ofiary. Deszcz zacinał, przemokli wszyscy na wylot. Porter przyjął postawę stoicką, skrzyżował ręce na piersi, a mokre rękawy koszuli przylgnęły mu do ciała. Crosley zasłaniał sobą częściowo Ericę, próbując chronić ją przed deszczem i przed Timothyem. Bawelniana bluzka oblepiała jej piersi, długie, kasztanowate włosy przylgnęły ciasno do głowy, wilgotne policzki nabrały złotego odcienia, jakby je natarła olejkami. Niczego sobie dziewczyna, ale była skończona. Jej kochanek też, najwyższy czas go uciszyć. Palec spoczywający na spuście drgnął.
- Czeka! - krzyknął Bart. - Perriman, nie rób głupstwa! Nie wyjdiesz z tego obronną ręką.
 - Dlaczego nie? - powiedziała Erica z goryczą. - Skoro dotąd mu się udawało...

Groby wydał pomruk zdziwienia.

- Skąd pani wie? Na procesie o zamordowanie Oakesa nikt nic nie pisał. Ani słowa, że coś nas łączy...

435

- Zamknij się, ty durniu! - warknął Perriman.

- Myślisz, że mówię o sir Harrym Oakesie? - Erica była zbyt skupiona na własnej przeszłości, by poświęcić choć myśl zabójstwu Oakesa. - Nie, mówię o moim ojcu. - Podniosła głowę i spojrzała Perrimano-wi prosto w oczy, rzucając mu w twarz oskarżenie: - Ty go zabiłeś, Timothy!

Wiatr pochwyił jej słowa i poniósł okrzyk pomiędzy mangrowce, ponad skały koralowe i spienione wody morza.

Timothy wzruszył ramionami. Więc wiedziała o tym. Ale czy to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie? Dźwięk jej głosu ucichł szybko, tak samo szybko znikną ich ciała...

Erica wiedziała, że śmierć jest blisko. Dziwne, ale nie czuła strachu, tylko żal: nie będzie mogła nigdy powiedzieć matce, że jej wiara w Lindona Tregarvona była słuszna, nie zdoła nigdy oczyścić imienia swego ojca, nie wyzna nigdy Bartowi, jak bardzo go kocha, nie urodzi mu nigdy dzieci.

Bart przyjechał tutaj z jej powodu i z jej powodu zginie. Nie byłoby go tutaj, gdyby nie uparła się, że chce otworzyć sejf na *Margravine*. Choć może był w tym okrucieństwie pociechy: mieli zginąć razem, a jeśli istniało życie przyszłe, może wkroczą w nie razem...

Bart stał nadal krok przed nią, próbując zasłonić ją przed pistoletem Perrimana. Przyłgnęła do niego, tak by poczuł ciężar jej ciała na plecach. Pragnęła przekazać mu przynajmniej tę myśl: jeśli mamy umrzeć, przejdziemy przez to razem. Bart sięgnął ręką do tyłu, obejmując jej łokieć. Przycisnął go. Erica poczuła, że rodzi się w niej cień nadziei. Bart mówił jej: jeszcze nie wszystko stracone.

Perriman dojrzał ten ruch i warknął:

- Nie ruszaj się.

Crosley był z nich najniebezpieczniejszy. Trzeba go wykończyć pierwszego. Lepiej zrobić to jednym strzałem, prosto w serce. Timothy przesunął się bliżej.

Bart właśnie na to czekał. Błyskawicznym kopnięciem wytrącił pistolet z wyciągniętej ręki. Sztuczka z półświatka, dżentelmeni jej nie stosują.

Perriman wrzasnął z bólu. Pistolet zatoczył luk w powietrzu.

Wylądował na pokładzie, w pobliżu Eriki. Groby, otrząsając się z chwilowego transu, rzucił się za nim, ale Erica kopnęła pistolet w kierunku dziury między deskami pokładu. Broń zniknęła w kabinie. Bart zwałił z nóg Timothy'ego, próbując uderzyć go tak mocno, by go ogłuszyć. Timothy nie umiał się bić, ale bronił życia. Z desperacką siłą skręcił się i wydarł z uścisku Barta, rzucając się gwałtownie w bok na śliskie deski. Pokład zadygotał pod jego ciężarem. Fala przyływu naparła na *Perlinę*. Gwałtowny poryw wiatru spiętrzył wodę, tocząc wielką falę pomiędzy skały. Wymknąwszy się z uścisku Barta, Perriman ześlizgnął się po zamulo-

nych deskach. Pędzone wiatrem morze znów natarło, jacht wspiął się i opadł z miażdżącym jękiem na ostre skały.

Erica straciła równowagę, wpadła na Portera i oboje runęli na pokład, Groby rzucił się w kierunku masztu, próbując się go przytrzymać.

Timothy Perriman zjechał bokiem na samą krawędź pokładu, gdzie część relingu została wyrwana. Wypadł przez wyrwę, wymachując w powietrzu rękami.

Wrak dygotał pod naporem fal. Woda morska i deszcz obmyły pokład do czysta. Bart wstał i pomógł się podnieść Ericę. Pociągnął ją w stronę sterówki, by miała się za co chwycić.

- Uciekajcie z jachtu! - krzyknął Porter, skacząc z gracją tancerza poprzez wyrwy w pokładzie. - Zaraz go nie będzie!

Groby, który trzymał się kurczowo masztu, ruszył jego śladem, lądując ciężko na skałach, o które tarła *Perlina*. Bart uniósł Ericę, postawił ją na kamieniach, gdzie czekał już Porter, by ją pochwycić. Wreszcie Bart skoczył sam, raniąc kolana o ostre krawędzie głazów. Krew zabarwiła pokrytą szlamem skałę.

Obejrzeni się za Perrimanem. Leżał w wodzie na plecach. Bart zeskoczył na brzeg skały, jakby chciał zanurkować i podплыnąć do niego. Porter złapał go za koszulę.

- Człowieku, nie rób pan tego! Tu jest tylko ze cztery stopy wody, może i trzy. Skoczysz pan i rozwalisz głowę o skały, jak nic!

- Ale on...

- Człowieku, on jest martwy, przyjrzyj się pan!

Bart obejrzał się: Timothy Perriman nie leżał w wodzie, ale na wodzie. Spadł tyłem na środek skały koralowej. Jedna z ostrych, sterczących w górę krawędzi, przebiła mu plecy między łopatkami.

Okolo południa, gdy sztorm minął i morze się uspokoiło, wuj Porter wrócił na Diggo motorówką Groby'ego z Panago. Zabrał ze sobą kilku przyjaciół i tratwę zbitą z kawałków drzewa. Przesiedli się na nią i popłynęli lawirując ostrożnie pośród skał koralowych. Wyłowili ciało Timothy'ego Perrimana.

Zabrali także wszystko, co dało się uratować ze szczątków *Perliny*, leżącej teraz w dwóch częściach, z masztami w wodzie.

- Trzeba tu kiedyś przyjechać z piłą łańcuchową - zauważył wuj Porter. - Będzie z nich niezły maszt radiowy.

W kieszeni zmarłego znalazły się przemoczone dokumenty. Dało się jednak odcyfrować dość, by wykazać, że były to faktury, wystawione dla statku *Ganymede*, podpisane przez Lindona Tregarvona. Tylko spółką wymienioną w umowie nie było Fairforth Freighters.

- Nie rozumiem - powiedziała Amy Tregarvon, gdy Erica i Bart usiłowali jej to wytłumaczyć.

438

- Widzi pani, to jest dowód, że umowa została zamieniona już po podpisaniu przez pana Tregarvona, zakładamy, że bez jego wiedzy i zgody - wyjaśniał Bart. - Poza tym wuj Porter i Groby oficjalnie potwierdzają to, co usłyszeli od Perrimana, mianowicie, że sfałszował podpis pani męża na zamienionych dokumentach. Pan Tregarvon zamierzał zatrudnić zupełnie inną spółkę frachtową, o której uczciwości był przekonany. Perriman zamienił dokumenty, powierzając sprawę firmie, która ukradła towar i podzieliła się z nim zyskami.

- Ale ubezpieczenie... Myślałam, że chodzi o oszukanie firmy ubezpieczeniowej

- Statki musiały zatonać, żeby można było zgłosić, że towar zginął w morzu. Żądanie wypłaty ubezpieczenia było zgodne z prawem, ale pani mąż nie miał pojęcia, że statki zostały zatopione, by kradzież nie mogła być ujawniona.

- Rozumiem.

Ale było jasne, że Amy nic nie rozumie. Poza tym jej umysł zaprzątnięty był analizowaniem rozgrywki w turnieju brydżowym, który odbył się poprzedniego wieczora. Nie ulegało wątpliwości, że pani Earle powinna była wyjść wcześniej w króla pik, ale dlaczego nie zablokowała Williemu Darnleyowi dojścia do stołu?

- Mamo - powiedziała Erica z wymówką w głosie - czy nie interesuje cię, że możemy dowieść niewinności ojca? Amy uśmiechnęła się.

- Nie potrzebuję żadnych dowodów, kochanie, zawsze w nią wierzyłam.

Była to szczerza prawda. Erica pocałowała więc matkę i zostawiła ją pochłoniętą przepowiadaniem sobie wieczornej partii brydża.

- Jaki będzie dalszy ciąg sprawy Oakesa? - spytała Barta, gdy szli przejść się po molo.

- Myślę, że nie będzie w ogóle dalszego ciągu.

- Ale, Bart, Groby wyraźnie myślał, że oskarżam Timothy'ego o zabicie sir Harry'ego Oakesa! W dodatku on nie tylko zgodził się z tą sugestią, ale stwierdził, że nic „nie łączy nas” z zabójstwem, co oznacza, że tam był i mógłby wystąpić jako świadek.

- W tym właśnie cały szkopuł. Groby nigdy się nie przyzna, że był na miejscu zbrodni.
 - Ale słyszeliśmy, że to powiedział...
 - Jak brzmi ten znany cytat z Dickensa? „Proszę nam nie opowiadać, co mówił żołnierz, to nie stanowi żadnego dowodu.", czy jakoś podobnie. Innymi słowy, to co zasłyszane, nie jest materiałem dowodowym.
 - Zawsze wiesz, co jest dowodem, a co nie...
 - Zbieranie dowodów jest częścią mojej pracy, Erico. Tym właśnie zajmuje się, między innymi, wywiad. Świadecko może stanowić legalny dowód lub też nie. - Bart westchnął. - W każdym razie sprawa
- 317

Oakesa nie zostanie wznowiona, nawet gdyby Groby zdecydował się złożyć zeznania.

- Ale, Bart...

- Timothy Perriman był „biznesmenem”, tak? - przerwał jej. - A czyich interesów dopatrywał?

- Czy ja wiem... mówiłam ci, sądzę, że był związany z... jak ich się nazywa? Z mafią?

- Mafia, Cosa Nostra, nazwa nie jest ważna. Z tego, co wiemy, rzeczywiście dla nich pracował. Otóż grube ryby w mafii mają bliskie powiązania ze światem przestępczym we Włoszech.

- Tak?

- A właśnie teraz wojska alianckie przebijają się przez Włochy i walczą z Niemcami.

- I co z tego?

~ Czy naprawdę uważasz, że rząd amerykański chciałby antagonizować szefów mafii? Jedno słowo Big Boys'ów w Chicago czy w Nowym Jorku i pomoc wieśniaków z Salermo i Sycylii udzielana naszym żołnierzom skończy się w jednej chwili.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nikt palcem nie kiwnie w sprawie Oakesa, ponieważ mogłoby to nie podobać się mafii? - spytała zdumiona.

- Mniej więcej.

- Ależ to jest...

- To jest polityka, Erico. Nawiasem mówiąc wątpię, żeby policja wydobyła wiele z Groby'ego na temat morderstwa sir Harry'ego Oakesa. Bo on o wiele bardziej boi się szefów Cosa Nostra niż policji. A bez jego zeznania sprawa o morderstwo Oakesa przeciw Perrimanowi po prostu upada. W dodatku Perriman nie żyje. Co za sens mieć spokojne wody, kiedy morderca zapłacił już życiem?

Erica zamilkła. Szli wolno, wracając myślami do wydarzeń ostatnich dni, rozważając zyski i straty.

Timothy Perriman nie żył. Dlatego morderstwo sir Harry'ego Oakesa mogło pozostać tajemnicą na zawsze.

Ale po stronie zysków była sprawa Lindona Tregarvona: jego dobre imię zostanie mu zwrócone.

Przy moło zauważyli łódź, która czekała na ludzi powracających do bazy na Spessu Island. Było w niej już kilku członków załogi.

- Muszę jechać - powiedział Bart.

- Wiem.

- O co chodzi? Powinnaś być szczęśliwa. Twój ojciec nie jest złodziejem i mordercą.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, że Timothy... Timothy był kimś zaprzyjaźnionym, kogo ojciec lubił i komu ufał. A teraz okazało się, że Timothy jest zdrajcą i zabójcą. I zginął tak okrutnie, Bart. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, obróconej do ciemnego nieba i deszczu.

441

- Nie roztrząsaj tego więcej, Erico, moja najmilsza. Perriman zasłużył na taką śmierć.

- Tak, wiem. Tylko...

- No co?

- Był taki... żywy, w jednej chwili nad nami panował..., a w następnej był już tylko martwym ciałem okrywającym kości, unoszącym się nad skałami.

Bart nie znalazł na to odpowiedzi. W większości sytuacji potrafił nieść pociechę, ale nie było słów, które mogłyby złagodzić świadomość przemijania.

Myśli Eriki musiały biec podobnym torem. Uśmiechnęła się niepewnie.

- W każdym razie zdałam sobie sprawę z jednej rzeczy. Wydarzenia na pokładzie *Margravine* pozwoliły mi zrozumieć, co się dla mnie liczy najbardziej.

- Co takiego? Przywrócenie dobrego imienia ojcu? Westchnęła.

- Po wszystkich tych latach, kiedy go nienawidziłam, bo zszargał nasze dobre imię, po miesiącach, kiedy już zdałam sobie sprawę, że to nie on był winien... Nie. Kiedy Timothy trzymał palec na spuście, myślałam

o jednym, że byliśmy ze sobą za krótko.

Bart uśmiechnął się.

- Nie zapomnij o tym, kiedy będziesz myślała o moim pytaniu. Bo po powrocie zażądam od ciebie odpowiedzi.

- Kiedy cię znów zobaczę?

- Kiedy tylko zdołam się wyrwać. Za tydzień, może dwa. Muszę iść, Erico. Zatrzymuję łódź.

Pochylił głowę, by pocałować ją na pożegnanie. Jej reakcja zaskoczyła go. Odpowiedziała mu namiętym uściskiem, przytulając się do niego z całej siły, jakby chciała przejąć choć część jego ciepła, by dotrzeć do chwili, gdy się znów zobaczą.

Doszedł ich pomruk aprobaty od strony łodzi. Bart puścił Ericę i wszedł na pokład, uśmiechając się do niej, podczas gdy łódź kierowała się na morze.

Erica stała na pomoście obserwując, jak łódź wypływa z portu w Nassau. Tak często żegnała go tutaj... Ale tym razem było inaczej. Bart powiedział, że po powrocie zażąda od niej odpowiedzi. A pytanie, które jej zadał, brzmiało: Czy zostaniesz moją żoną?

Znała odpowiedź.

Cień, który zalegał nad jej życiem, rozwił się. Z podniesionym czołem mogła przyznać, że jest córką swego ojca. Małżeństwo z nią nie zaszkodzi karierze Barta, przestała być kimś, nad kim unosi się znak zapytania. Mogła zostać jego żoną bez rozterek i lęków wynurzających się z przeszłości.

319

Oczywiście nie znaczyło to, że nie czekają ich trudności. Na świecie nadal szalała wojna. Bart mógł być wezwany tam, gdzie rządziły śmierć i zniszczenie; tym bardziej powinni więc chwytać swoje szczęście, dbać o nie i radować się nim.

Odpowiedź, na którą czekał mogła być tylko jedna. Erica powie mu „tak”.